O miłości Ojczyzny nie deklamowaliśmy... Wspomnienia Antoniego Sejmeja Górszczyka

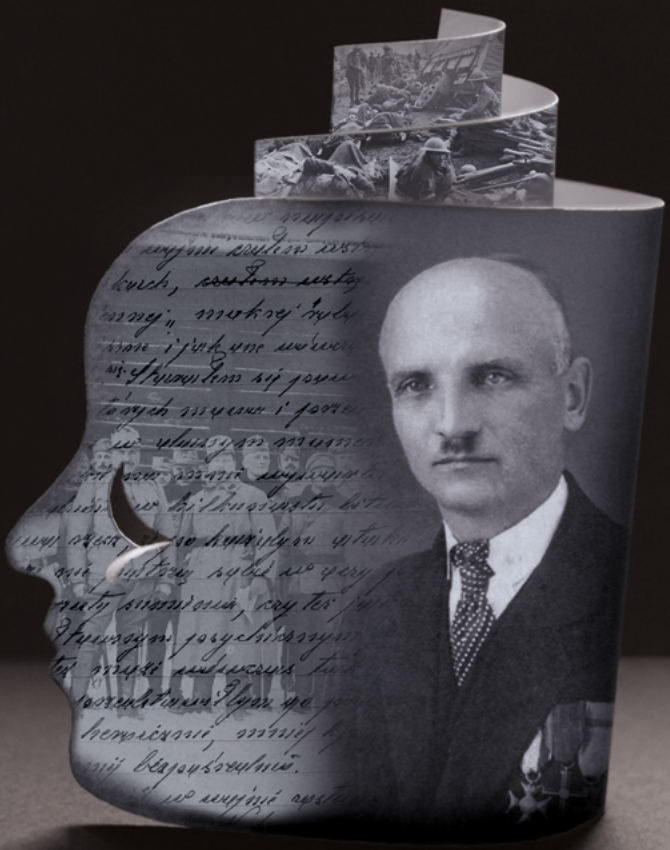

WIELKA WOJNA – CODZIENNOŚĆ NIECODZIENNOŚCI

O miłości Ojczyzny nie deklamowaliśmy...

Rada Naukowa
- *Jerzy Kochanowski*
- *Grzegorz Leszczyński*
- *Grzegorz Mędykowski*

WIELKA WOJNA – CODZIENNOŚĆ NIECODZIENNOŚCI

BIBLIOTEKA PAMIĘTNIKÓW Z I WOJNY ŚWIATOWEJ
Z ZASOBÓW POLSKICH ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH

Tom szósty

O miłości Ojczyzny nie deklamowaliśmy... Wspomnienia Antoniego Sejmeja Górszczyka

opracowanie
Sylwester Rękas

NACZELNA DYREKCJA ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH
ARCHIWUM NARODOWE W KRAKOWIE

Warszawa–Kraków 2019

CIP – Biblioteka Narodowa

Sejmej Górszczyk, Antoni
O miłości Ojczyzny nie deklamowaliśmy...
: wspomnienia Antoniego Sejmeja Górszczyka
/ opracowanie Sylwester Rękas. – Warszawa
: Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych.
Departament Archiwistyki ; Kraków : Archiwum
Narodowe, 2019. - (Wielka Wojna – Codzienność
Niecodzienności : biblioteka pamiętników z 1 wojny
światowej z zasobów polskich archiwów państwowych
; t. 6)

© Copyright by Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych,
Warszawa 2019
© Copyright by Archiwum Narodowe w Krakowie,
Kraków 2019

Fotografie ze zbiorów Rodziny,
Archiwum Narodowego w Krakowie,
Zakładu Narodowego im. Ossolińskich,
Narodowego Archiwum Cyfrowego i innych

ISBN 978-83-65681-62-1

Opracowanie graficzne serii *Anna Betlejewska*
Projekt typograficzny, skład i łamanie, opracowanie
graficzne tomu *Małgorzata Chyc* | www.bymouse.pl
Redaktor prowadzący *Dominika Pruszczyńska*
Redakcja i korekta *Izabella Rdzanek*

Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych
Departament Archiwistyki
ul. Rakowiecka 2D, 02-517 Warszawa
tel. (+48 22) 565 46 00, fax. (+48 22) 565 46 14
e-mail: ndap@archiwa.gov.pl, www.archiwa.gov.pl

Archiwum Narodowe w Krakowie
ul. Sienna 16, 30-960 Kraków
tel. +48 12 422 40 94; +48 12 421 27 90;
+48 12 421 68 81, fax +48 12 421 35 44
e-mail: sekretariat@ank.gov.pl, www.ank.gov.pl

1. Wstęp

- *Sylwester Rękas*

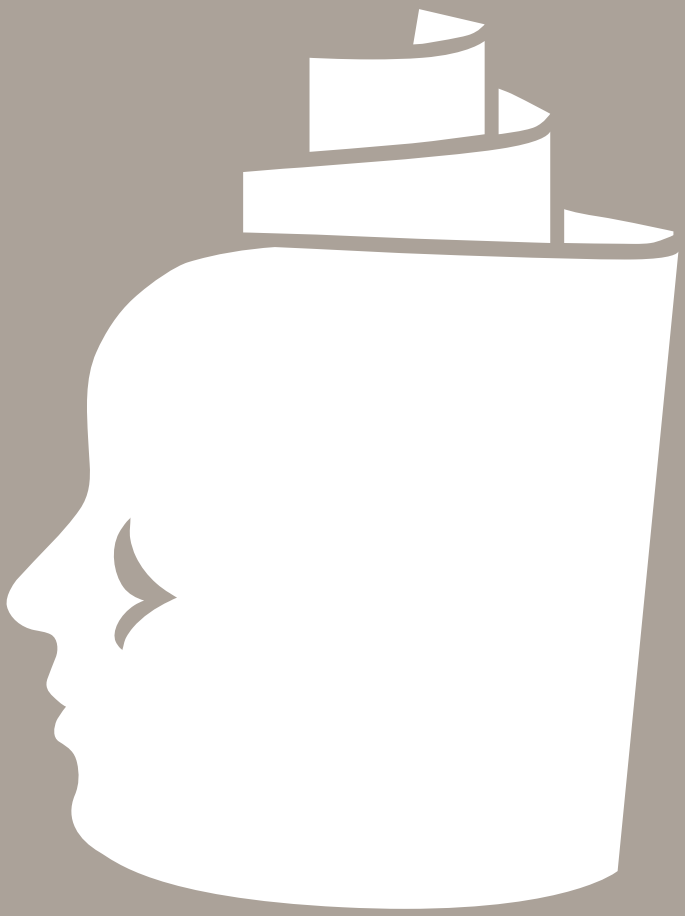

Sylwester Rękas

Zarys biografii Antoniego Górszczyka

Antoni Sejmej Górszczyk[1], nauczyciel, działacz społeczny, legionista, etnograf i członek władz powiatowych w Limanowej, urodził się 13 stycznia 1892 roku w Pisarzowej[2] w wielodzietnej, zamożnej rodzinie chłopskiej. Miał braci Piotra, Stanisława, Franciszka oraz siostry Rozalię i Marię. Według tradycji rodzinnej, o której pisze Autor wspomnień, Górszczykowie byli w Pisarzowej od czasów króla Jana III Sobieskiego, kiedy niejaki Sejmej otrzymał górę[3]. Górę tę zwano odtąd Sejmejówką.

Górszczykowie nazwisko przyjęli od formy ukształtowania terenu. Do niego dodawali czasem drugi człon Sejmej, pierwotną nazwę ich rodu. Ponieważ ojciec autora był właścicielem pola zwanego Belonówką, określano ich również Belonami. Górszczykowie byli spokrewnieni z wieloma mieszkańcami wsi, gdyż jego antenaci mieli bardzo liczne rodziny. Zawierali też małżeństwa z bliskimi krewnymi. Z rodu autora podczas wojen zawsze ktoś walczył. Jego dziadek miał sześciu synów, z których trzech zginęło podczas wojen napoleońskich.

Antoni Górszczyk rozpoczął swoją edukację w wieku sześciu lat, w szkole ludowej w Pisarzowej, w której ukończył trzy pierwsze klasy. Naukę od IV klasy kontynuował w Nowym Sączu w szkole ludowej, a później w 1902 roku w I Gimnazjum. Nie otrzymał promocji do następnej klasy,

dlatego powtarzał ją w II Gimnazjum w Tarnowie. Potem znów trafił do Gimnazjum w Nowym Sączu, i tam ukończył II klasę. W 1905 roku wstąpił do Seminarium Nauczycielskiego, mieszczącego się w Starym Sączu. Maturę seminaryjną zdał w 1910 roku. W tym samym roku objął posadę nauczyciela w Siekierczynie. Dwa lata później postarał się o przenosiny do szkoły w rodzinnej wsi. Zaraz po rozpoczęciu pracy nauczycielskiej został członkiem Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Limanowej oraz limanowskiego Ogniska Związku Nauczycielstwa Ludowego w Galicji. Od roku 1922 przewodniczył limanowskiemu Ognisku, a od 1925 roku był przewodniczącym Oddziału Powiatowego Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych w Limanowej[4]. Funkcję tę pełnił aż do 1948 roku.

Od 1912 roku należał do Polskich Drużyn Strzeleckich. Po wybuchu I wojny światowej, wraz z grupą 29 strzelców z powiatu limanowskiego, przybył na zgrupowanie, do majątku w Łososinie Górnej, skąd wymaszerowali do krakowskich Oleandrów. Po krótkim pobycie w Krakowie, a później ponownie w Łososinie Górnej, strzelcy limanowscy wyjechali do Choczni koło Wadowic. Otrzymał przydział do 3. Pułku Piechoty Legionów Polskich i brał udział w walkach na froncie w Karpatach Wschodnich i Bukowinie. Pułk ten stał się częścią późniejszej II Brygady Legionów Polskich. Służył tam prawdopodobnie w stopniu kaprala w 7., a następnie 3. Kompanii Pułku, w 4. Plutonie, gdzie dowodził drugą sekcją[5]. Walcząc w Karpatach Wschodnich, poznał wielu oficerów, którzy później w okresie międzywojennym zrobili karierę, zarówno w armii, jak i w administracji. Fakt ten nie pozostał bez wpływu na jego działalność w powiecie limanowskim, choć po 1926 roku krytycznie oceniał

Prymicja ks. Franciszka, 5 VII 1931 r.
Ze zbiorów Rodziny Autora (dalej: Zb. R.)

Antoni Górszczyk po maturze, 1910 r. Zb. R.

kierunek zmian zachodzących w ojczyźnie w okresie rządów sanacji.

1 czerwca 1915 roku został wzięty do niewoli pod Łużanami na Bukowinie i wywieziony do Stawropola, na północy Kaukazu. Jako jeniec wojenny pracował najpierw na roli u bogatego gospodarza, a następnie w rosyjskiej Grodzkiej Uprawie (Magistrat Miasta), w parku miejskim jako ogrodnik, a nawet zarządzający ogrodem miejskim. W Stawropolu aktywnie angażował się w sprawy miejscowej Polonii. Z ramienia Polskiego Klubu Demokratycznego otrzymał nominację na członka zarządu stawropolskiego Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. Przebywając w Stawropolu obserwował również krwawy przebieg rewolucji rosyjskiej.

Do kraju powrócił pod koniec 1918 roku, uciekając przed wymiarem sprawiedliwości białej Rosji, której wojska wówczas zajęły Stawropol i krwawo brały odwet na faktycznych i domniemanych zwolennikach rewolucji październikowej. Autor nie brał udziału w wojnie polsko-bolszewickiej, został urlopowany z wojska ze względu na zły stan zdrowia.

Za walkę w Legionach został odznaczony Orderem Virtuti Militari, Krzyżem Niepodległości, dwukrotnie Krzyżem Walecznych, natomiast za pracę społeczną został uhoorowany Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz Medalem Dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości.

Antoni Górszczyk został wybrany do Rady Powiatu Limanowskiego. Jako członek Wydziału Powiatowego (1926–1939) pełnił różne funkcje: działacza Powiatowej Komisji Rolnej, przewodniczącego Komisji Drogowej, członka Komisji Szkolnej Powiatowej Szkoły Roliczej w Łososinie Górnej, Rady Szkolnej Powiatowej oraz opiekuna żeń-

skiej szkoły rolniczej w Koszarach. Autor pamiętnika był również w okresie międzywojennym prezesem powiatowego Związku Legionistów. Zrezygnował jednak z tej funkcji, gdy dostał polecenie od władz zwierzchnich związku zapisania się do Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem.

Dzięki jego staraniom wybudowany został w Pisarzowej pomnik ku czci poległych w powstaniach listopadowym i styczniowym oraz mieszkańców Pisarzowej, którzy stracili życie w okresie I wojny światowej. Autor sfinansował większość kosztów pomnika (od ludzi zebrał 195 zł, a pomnik kosztował 800 zł). Pierwotnie miał być poświęcony 37 mieszkańcom Pisarzowej poległym w walkach lat 1914–1920, ostatecznie uhonorowano też powstańców polskich. Po II wojnie światowej domurowano tablice poświęcone pisarzowskim żołnierzom, którzy zginęli w latach 1939–1945.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego Górszczyk zasiadał także w Zarządzie Komunalnej Kasy Oszczędności powiatu limanowskiego. Często był delegowany przez Radę Powiatową do różnych instytucji jako przedstawiciel powiatu limanowskiego, przede wszystkim do ogólnopolskiego Związku Powiatów Rzeczypospolitej Polskiej, organizacji propagującej wiedzę o samorządzie oraz udzielającej pomocy organizacyjnej i prawnej samorządom powiatowym. W 1938 roku, jako bezpartyjny, kandydował do Sejmu. Jednak do Sejmu się nie dostał, choć oddano na niego ponad 15 tys. głosów.

Od 1928 roku, jako kierownik szkoły, podjął inicjatywę budowy placówki oświatowej. Gromadził już na ten cel materiały budowlane, jednak wybuch II wojny światowej przerwał te przygotowania. Zmobilizowany, walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku, w 1. Brygadzie Górskiej Strzelców

Antoni Górszczyk w okresie międzywojennym, Zb. R.

Antoni Górszczyk w podeszłym wieku, Zb. R.

(brygada piechoty Korpusu Ochrony Pogranicza), w składzie Armii „Karpaty". Jednostka stacjonowała w Nowym Targu. Jego oddział, po wielu dniach walk, został rozbity w okolicach Lubaczowa, a on sam przedostał się do Lwowa. Klęska wrześniowa mocno przygnębiła byłego legionistę. Podczas próby przekroczenia nowej granicy, pomiędzy strefą okupacyjną Związku Sowieckiego a Generalną Gubernią, został złapany i zamknięty na cztery tygodnie w przemyskim więzieniu, znajdującym się wtedy po stronie sowieckiej. Udało mu się przedostać przez granicę w lutym 1940 roku (przeszedł po zamarzniętym Sanie).

Poszukiwany przez gestapo, ukrywał się w lesie, w swojej rodzinnej okolicy. Utrzymywał kontakt z miejscowymi nauczycielami, z którymi zorganizował tajne nauczanie[6]. Uczył przedmiotów z zakresu szkoły podstawowej i średniej. Założył trzy punkty tajnego nauczania (w tym jeden we własnym domu)[7]. Uczył historii i geografii. Został członkiem Armii Krajowej, współpracował również z konspiracją ludową, współredagując podziemne czasopismo Batalionów Chłopskich. Podczas okupacji, wraz z delegatem rządu emigracyjnego na powiat limanowski dr. Adamem Mamakiem i inż. Jakubem Pawłowskim (przed wojną poseł na Sejm z powiatu Dobromil), planował organizację powiatu limanowskiego po wojnie. W czasie okupacji Górszczyk udzielił schronienia w swoim domu uciekinierowi z Auschwitz, Wincentemu Gawronowi[8], artyście malarzowi, pochodzącemu ze Starej Wsi. Gawron wstąpił w szeregi partyzanckie w okolicach Limanowej i później opublikował cenne wspomnienia obozowe z Oświęcimia.

Dzięki swoim umiejętnościom nabytym podczas pobytu w niewoli rosyjskiej, oraz kontynuacji działań zapoczął-

kowanych jeszcze przed wybuchem I wojny światowej przez ówczesnego sekretarza Rady Powiatowej Józefa Beka, Górszczyk wpłynął na rozwój lokalnego sadownictwa. Po powrocie z niewoli rosyjskiej Górszczyk bezpośrednio od Beka otrzymał 250 drzew jabłoni, celem obsadzenia drogi powiatowej prowadzącej przez Pisarzową. To właśnie Autorowi pamiętnika Limanowszczyzna zawdzięcza sprowadzenie tak zasłużonego dla powiatu człowieka, jakim był inż. Józef Marek.

Z ramienia Wydziału Powiatowego udał się Górszczyk do Krakowa, aby wybrać spośród absolwentów Uniwersytetu Jagiellońskiego odpowiedniego kandydata na instruktora sadownictwa dla powiatu limanowskiego. Prof. Józef Piotr Brzeziński[9] polecił mu inż. Józefa Marka, który właśnie skończył studia na Wydziale Rolnym. W powiecie Marek zaczął pracę w 1927 roku, i to dzięki niemu powstała Podhalańska Spółdzielnia Owocarska w Tymbarku, której członkiem był również Autor (był także członkiem jej Zarządu). Dzięki zaangażowaniu Górszczyka powstała ponadto Górska Szkoła Rolnicza Męska Powiatu Limanowskiego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łososinie Górnej, która wespół z Podhalańską Spółdzielnią Owocarską w Tymbarku ustanowiła wzorce dla rozwoju rolnictwa w tym biednym regionie górskim.

Z upoważnienia Wydziału Powiatowego Górszczyk przewodniczył Komisji przy Szkole Rolniczej w Łososinie Górnej. Jako prezes limanowskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego i członek Komisji Szkolnej Wydziału Powiatowego organizował przy pomocy Komisji Oświaty Pozaszkolnej przy ZNP w Limanowej kursy ogrodniczo-rolnicze (tzw. uniwersytety ludowe) na terenie różnych miejscowości powiatu. Z jego też inicjatywy na kursie trykotarstwa uczono, jak

prząść wełnę, robić pończochy, rękawiczki, swetry i szale, a z gorszych gatunków wełny – kilimy o zdobniczych motywach ludowych. Koło Młodzieży Ludowej w Pisarzowej w latach 1937–1938 dostarczało skarpety i rękawice dla 4. Pułku Strzelców Podhalańskich w Cieszynie. Dla zwiększenia sił przerobowych postanowiono założyć przędzalnię, jednak uruchomienie zarejestrowanej w 1939 r. Podhalańskiej Przędzalni Wełny w Limanowej uniemożliwił wybuch wojny.

Dzięki zgodnej współpracy ZNP i władz powiatowych, powiat limanowski był jedynym, który subwencjonował pracę tej organizacji nauczycielskiej. Wieczorowe szkoły rolnicze umożliwiały zapoznanie się młodzieży z nowoczesnymi osiągnięciami w rolnictwie.

Wspomniane Koło Młodzieży Ludowej w Pisarzowej zostało zorganizowane przez Antoniego Górszczyka. Prowadziło różnorodną pracę kulturalną: chór, konkursy czytelnicze dotyczące hodowli zwierząt; gromadziło książki, organizowało wycieczki krajoznawcze, pielęgnowało lokalny folklor itp. Autor pamiętnika interesował się etnografią, rozpoczął publikowanie pierwszych artykułów o tej tematyce w prasie regionalnej. Pisał o swojej rodzinnej wsi oraz sąsiedniej Męcinie w czasopismach: „Głos Podhala" i „Gazeta Podhalańska"[10]. Zorganizował – wespół z Mieczysławem Mordarskim, kapelmistrzem orkiestry wojskowej 1. Pułku Strzelców Podhalańskich w Nowym Sączu, oraz założycielem orkiestry dętej przy rafinerii w Sowlinach – „Echo Podhala", zespół regionalny w Pisarzowej. Jego pasją stało się zbieranie eksponatów sztuki ludowej, które z braku regionalnego muzeum przekazywał do Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie oraz miał również przekazać do Muzeum Etnograficznego w Krakowie.

Po II wojnie światowej przez krótki okres kierował Oddziałem ZNP w Limanowej, był też radnym powiatowym, do momentu opanowania władz powiatowych przez komunistów w 1947 roku. W 1945 roku powrócił na stanowisko kierownika szkoły w Pisarzowej, pracował w trudnych powojennych warunkach. W tym czasie został wybrany do Rady Nadzorczej Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku, gdzie pracował aż do jej przejęcia przez Centralę Ogrodniczą w Krakowie i nacjonalizacji w latach 1948–1949. Decyzją lokalnych władz politycznych w sierpniu 1951 roku utracił posadę nauczyciela i kierownika szkoły. Został przeniesiony w stan spoczynku.

W zachowanym piśmie Wydziału Oświaty Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Limanowej do nadrzędnej instancji wojewódzkiej w Krakowie podano trzy powody odwołania. Pierwszy, osiągnięcie wieku emerytalnego przy korzystnym przeliczeniu lat służby nauczycielskiej. Drugim była przynależność do drużyn strzeleckich i Legionów Polskich oraz opinia, że z racji wychowania nie mógł „nagiąć się do dzisiejszej rzeczywistości i stanowi w szkole czynnik nie dający żadnej gwarancji, że wychowanie młodzieży odbywa się zgodnie z założeniami programu". Ostatnim negatywnym powodem miała być przynależność i przewodniczenie ZNP: „pełnił około 20 lat obowiązki prezesa Powiatowego Oddziału ZNP w Limanowej i dlatego wyeliminowanie z szeregów czynnych nauczycieli zerwie wszelkie nici łączące go ze starszym pokoleniem nauczycielstwa i pozwoli nowym członkom Zarządu Powiatowego ZNP oddziaływać pozytywnie na masy nauczycielskie"[11].

Nie bez znaczenia był również fakt, że w niewoli rosyjskiej obserwował rewolucję bezpośrednio, był również więź-

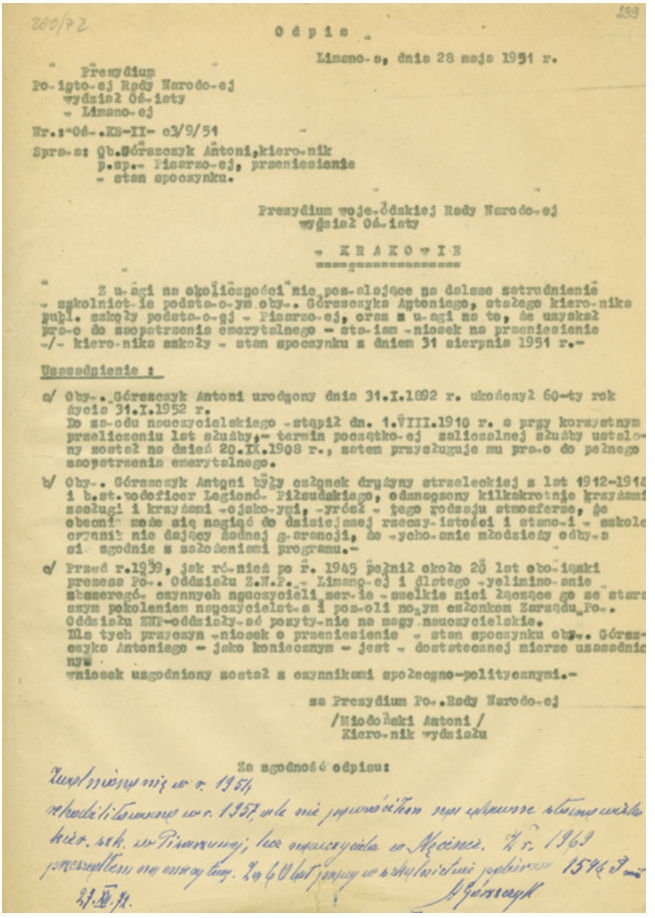

Odpis

Limano-a, dnia 28 maja 1951 r.

Prezydium
Po-iato-ej Rady Narodo-ej
Wydział Óś-iaty
- Limano-ej

Nr.: Óś-.KS-II- ol/9/51

Spra-a: Ob. Górszczyk Antoni, kiero-nik
p.sp.- Pisarso-ej, przeniesienie
- stan spoczynku.

Prezydium woje-ódzkiej Rady Narodo-ej
Wydział Óś-iaty

- K R A K O W I E

Z u-agi na okoliczności nie pozwalające na dalsze zatrudnienie - szkolnict-ie podsta-o-ym oby-. Górszczyka Antoniego, stałego kiero-nika publ. szkoły podsta-o-ej - Pisarso-ej, oraz z u-agi na to, że uzyskał pra-o do zaopatrzenia emerytalnego - sta-iem -niosek na przeniesienie -/- kiero-nika szkoły - stan spoczynku z dniem 31 sierpnia 1951 r.-

Uzasadnienie :

a/ Oby-. Górszczyk Antoni urodzony dnia 31.I.1892 r. ukończył 60-ty rok życia 31.I.1952 r.
Do za-odu nauczycielskiego -stąpił dn. 1.VIII.1910 r. a przy korzystnym przeliczeniu lat służby,- termin początko-ej zaliczalnej służby ustalony został na dzień 20.IX.1908 r., zatem przysługuje mu pra-o do pełnego zaopatrzenia emerytalnego.

b/ Oby-. Górszczyk Antoni były członek drużyny strzeleckiej z lat 1912-1914 i b.st. wktóficer Legiono- Piłsudskiego, odznaczony kilkakrotnie krzyżami zasługi i krzyżami -ojako-ymi, -prócz - tego rodzaju stosunku, że obecn- może się naglić do dzisiejszej rzeczy-istości i stano-i - szkolc- czynnik nie dający żadnej g-arancji, że -ycho-anie młodzieży ódy-a się zgodnie z założeniami programu.-

c/ Przed r.1939, jak ró-nież po r. 1945 pełnił około 20 lat obo-iązki prezesa Po-. Oddziału Z.N.P.- Limano-ej i dlatego -yeliminowanie stanowczó- czynnych nauczycieli wer-ie - wszelkie nici łączące go ze starszym pokoleniem nauczycielst-a i poz-oli no-ym członkom Zarządu Po-. Oddziału ZNP-oddziały-ać pozyty-nie na nagy nauczycielskie.
Ale tych przyczyn -niosek o przeniesienie - stan spoczynku oby-. Górszczyka Antoniego - jako koniecznym - jest - dostatecznej mierze uzasadnionym.
Wniosek uzgodniony został z czynnikami społeczno-politycznymi.-

za Prezydium Po-. Rady Narodo-ej
/Niedobski Antoni/
Kiero-nik wydziału

Za zgodność odpisu:

Zwolniony z w. 1957, ale nie zgłosił się na zajęcie stanowiska w szkole i formalnie w r. 1957, ale nie zgłosił się na zajęcie stanowiska kier. szk. w Pisarzowej, lecz nauczyciela w Męcinie. Z r. 1969 przeszedłem na emeryturę. Mam 60 lat pracy w szkolnictwie publicznym 1576 zł mies.
27.VI.79.
J. Górszczyk

Pismo Wydziału Oświaty w Limanowej z wnioskiem
o przeniesienie na emeryturę, 1951 r. Ossolineum,
Wspomnienie sadownika, sygn. 1538/II, s. 239

niem w sowieckim więzieniu w Przemyślu. Z pewnością te doświadczenia były niewygodne dla budowniczych nowego ładu w Polsce Ludowej, zwłaszcza w okresie stalinizmu. Do 1953 r. był uważnie obserwowany przez władze.

Z zapisów ewidencyjnych dokumentacji byłego Wydziału „C" Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Krakowie wynika, że interesował władze jako były międzywojenny działacz i legionista, nieujawniony członek podziemia w kontakcie z nielegalną organizacją, człowiek mikołajczykowskiego Polskiego Stronnictwa Ludowego, wrogo nastawiony do Rządu Jedności Narodowej. W listopadzie 1952 roku organy bezpieczeństwa przeprowadziły z nim nawet rozmowę w sprawie krytycznej oceny wyborów do Sejmu[12]. Zrehabilitowany w 1957 roku, pracował jako nauczyciel aż do 1969 roku, lecz nie w rodzinnej Pisarzowej, ale w sąsiedniej Męcinie. Tam na własną prośbę przeszedł na emeryturę. Pomimo rehabilitacji, władze uznawały go nadal za osobę podejrzaną. Jako jeden z dawnych działaczy ludowych był inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa, tym bardziej że po odwilży 1956 roku zaczął aktywnie działać, zarówno w spółdzielczości, jak też i w innych dziedzinach życia. Wraz ze starymi działaczami spółdzielczymi, z inż. Józefem Markiem na czele, doprowadził do reaktywacji spółdzielni owocarskiej, lecz tym razem z siedzibą w Limanowej (w dawnym browarze Marsów – obecnie budynek Starostwa Powiatowego). W tej odtworzonej spółdzielni pracował w radzie nadzorczej aż do lat siedemdziesiątych XX wieku.

W dokumentach Służby Bezpieczeństwa zachowała się jego charakterystyka z tego okresu. Wspólnie z grupą podobnych mu działaczy, w tym części dawnych członków PSL

i dawnego podziemia okupacyjnego powiatu limanowskiego, angażował się w reaktywowanie organizacji wiejskiej „Wici". Grupa ta przyłączyła się do, utworzonego w grudniu 1956 roku w Krakowie, Chłopskiego Towarzystwa Oświaty i Kultury – organizacji, której celem było zaspokajanie kulturalnych i gospodarczych potrzeb mieszkańców wsi, wzorującej się na przedwojennych organizacjach tego typu (Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych, „Wici"). Została ona jednak rozwiązana niespełna dwa lata później. Antoni Górszczyk, wraz z innymi działaczami, starał się ograniczyć wpływy członków partii w radach narodowych i władzach spółdzielni na terenie powiatu, angażował się także w reaktywację kółek rolniczych. Według oceny organów bezpieczeństwa PRL, grupa Górszczyka miała wpływ na szefa Powiatowego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego Edwarda Trojanowskiego (dawniej prezes Zarządu Powiatowego PSL). Próbowali przekonać go do wyboru m.in. na przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej w Limanowej Adama Mamaka, byłego delegata rządu londyńskiego na powiat limanowski w czasie okupacji i pierwszego powojennego starostę. W stosunku do nich, określanych przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa nazwą „prawica ludowa", prowadzono sprawę o kryptonimie „Koło"[13]. Górszczyk po przejściu na emeryturę, mimo podeszłego wieku, brał aktywny udział w konferencjach, wielokrotnie wygłaszał wykłady.

W okresie powojennym kontynuował swoją pasję etnograficzną. Zainteresowania te mógł rozwinąć w powołanym w 1947 roku w Mszanie Dolnej, a następnie w 1954 roku w Limanowej, oddziale Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Jego prace ukazały się m.in. w serii „Archiwum Etnograficzne Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego" nr 30,

w trzech zeszytach, pod wspólnym tytułem *Materiały etnograficzne z powiatu limanowskiego*[14]. W 1968 roku został członkiem honorowym tego towarzystwa, dzięki któremu udało się powołać do życia placówkę muzealną w Limanowej, gdzie jako pierwsze trafiły eksponaty zebrane właśnie przez członków PTL.

W 1920 roku Antoni Górszczyk ożenił się z bliską krewną Marią Górką (po otrzymaniu dyspensy kościelnej), z którą miał troje dzieci. Pod koniec życia przeniósł się do rodziny do Krakowa, gdzie po kilkuletniej chorobie zmarł 10 marca 1980 roku. Pochowany został w swojej rodzinnej Pisarzowej.

Górszczyk sięga wspomnieniami czasów przed I wojną światową, walk Legionów Polskich i pobytu w niewoli rosyjskiej. Opowiada o życiu społeczno-gospodarczym w Polsce po odzyskaniu niepodległości. Z punktu widzenia sadownika i członka spółdzielni ogrodniczo-warzywniczej opisuje również okres po II wojnie światowej. W tej ostatniej części widoczne jest rozgoryczenie zachodzącymi zmianami[15]. Zdarzają się również powtórzenia z wcześniejszych części pamiętnika. Wspomnienia obejmują okres dzieciństwa Górszczyka, jego edukację w Nowym i Starym Sączu, pracę zawodową nauczyciela oraz społeczną w powiecie limanowskim, życie codzienne na wsi i miastach na południu Małopolski, środowisko nauczycielskie i stosunki panujące w szkolnictwie, w powiecie limanowskim, a także w całym kraju w okresie międzywojennym.

Niezwykle cenne są zwłaszcza wspomnienia dotyczące kampanii karpackiej II Brygady Legionów Polskich podczas I wojny światowej oraz spostrzeżenia z przedrewolucyjnej oraz rewolucyjnej Rosji. Autor sam napisał o tym okresie: „Ponieważ czas w niewoli uważałem za stracony

dla siebie, starałem się zawsze jak najwięcej ciekawych rzeczy zobaczyć, jak najwięcej ludzi poznać i o ile to możliwe podglądnąć dodatnie i ujemne strony naszego najsilniejszego wroga – Rosji”[16].

Antoni Górszczyk był osobą o silnie ukształtowanym kręgosłupie moralnym. W jego życiu często dochodziło do konfrontacji brutalnej rzeczywistości politycznej ze szlachetnymi i pożytecznymi dążeniami. Komentując swój przyjazd do Warszawy, gdzie u dawnych kolegów szukał sprawiedliwości w czasach, gdy sanacyjne stosunki w powiecie limanowskim mocno dawały się we znaki, pisał: „[...] udałem się do jednego z nowosądeckich kolegów, który pomimo bardzo wysokiego stanowiska poznawał dawnych kolegów, a nawet czasem ich odwiedzał. Nie prosiłem nigdy o nic dla siebie, prosiłem w imię dobra powiatu. Przyjął mnie jak zawsze życzliwie, przy śniadaniu opowiadałem mu, po co przyjechałem. W pewnym momencie aż się zachłysnął wódką, zwrócił się do trzeciego z towarzystwa, mówiąc: »Patrz do Warszawy przyjechał po sprawiedliwość, oglądnij go, takie okazy są tylko jeszcze w naszej okolicy. Człowieku, kogo tu obchodzi sprawiedliwość w limanowskim powiecie. Powiatów jest dwieście kilkadziesiąt, a że tam w jednym jest niezupełnie w porządku, to przecież nie jest rzeczą ważną, tu mamy ważniejsze rzeczy (kpił ze stołecznych stosunków); jutro jest przyjęcie u ministra X, pojutrze u ministra Y, potem zaś *garden party* u samego S., to są rzeczy ważne. Mów po polsku – potrzeba ci coś, to się załatwi, chcesz kogoś spławić, to jest do zrobienia – tylko na miłość Boską o sprawiedliwości nie mów, bo się znów zachłysnę i stracę resztę szacunku, jaki jeszcze do ciebie żywiłem«. Uśmialiśmy się serdecznie, jakkolwiek sam śmiałem się z goryczą”[17].

Nagrobek Autora w Pisarzowej. Fot. Sylwester Rękas

Oprócz pracy w szkole i działalności społecznej był rolnikiem i sadownikiem. Prowadząc swoje gospodarstwo rolne, dokładnie planował dochody i wydatki: „W domu rodzice przypominali nam zawsze, że kto bez rachunku żyje, ten bez testamentu umiera. By więc nie skończyć w ten pogardliwy sposób, zawsze zapisywałem rozchody i dochody”[18].

Autor nie odcinał się od swoich chłopskich korzeni. Wprost przeciwnie, skupiał się na podtrzymywaniu i pielęgnowaniu kultury ludowej. W pamiętniku wielokrotnie wskazywał na swoje pochodzenie. We wspomnieniach, komentując swój ożenek z kuzynką, ustalony przez rodziców, kiedy był jeszcze dzieckiem, napisał: „Pomimo wszystko czułem się chłopem, najlepiej odpowiadała mi praca na wsi, nienawidziłem blagi i pozy małomieszczańskiej, nie mógłbym się pomieścić w dwu pokoikach wynajętych gdzieś na zakazanej ulicy. Musiał tu grać rolę atawizm szeregu pokoleń, które obcowały stale ze ziemią”[19].

Wspomnienia Górszczyka, choć spisane przez nauczyciela, nie są pozbawione błędów językowych, ortograficznych, czy stylistycznych. Można powiedzieć, że proza ta, miejscami nieefektowna, pozbawiona ozdobników, ale bardzo realistyczna, w pełni odzwierciedla bogate życie Autora. Dzięki nauce i własnej zaradności zdołał on przezwyciężyć niełatwe prowincjonalne, historyczne bariery epoki i wywalczyć sobie awans społeczny. Dodatkowo wyróżnił się szczerym patriotyzmem i nigdy nie zatracił pełnego rzetelności spojrzenia na otaczającą go rzeczywistość. Był człowiekiem o stabilnej osobowości, rozumującym w sposób rzeczowy, konkretny, i pozbawionym skłonności do romantycznych porywów. Te cechy sprawiły, że jego wspomnienia noszą szlif bardziej zapisu dokumentalnego, aniżeli literackiego.

Wspomnienia Autor spisywał w różnych okresach. Część tekstu dotyczącą I wojny światowej sporządził bezpośrednio po powrocie z niewoli w 1920 roku, część późniejszą opracował podczas okupacji niemieckiej. Niektóre fragmenty sporządził w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. Sam Autor pisał o tym w kilku miejscach wspomnień oraz w swoim życiorysie. Niestety, części pamiętnika opisujące okupację i czasy po II wojnie światowej, według przekazu Autora, spłonęły podczas pożaru stodół w 1964 roku[20]. Najpóźniej (około 1971 roku) napisał ostatnią część, pt. „Wspomnienia i uwagi sadownika", w której opisał zwięźle powojenne czasy.

Pamiętnik Antoniego Górszczyka przechowywany jest w całości, wraz z dołączonymi wspomnieniami sadownika i dokumentami osobistymi Autora, w zasobie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Przed przekazaniem do Ossolineum tekst został przepisany na maszynie. Fragment rękopisu poświęcony I wojnie znajduje się w AN w Krakowie Oddział w Nowym Sączu, w Zbiorze Sandecjanów. Charakter pisma nie pozostawia wątpliwości, że jest to rękopis własnoręcznie sporządzony przez Antoniego Górszczyka. Do nowosądeckiego oddziału Autor przekazał swoje materiały w latach siedemdziesiątych XX wieku. Pamiętnik przechowywany w Zakładzie im. Ossolińskich we Wrocławiu został zakupiony przez Zakład od Autora w 1972 roku.

Do Oddziału AN przekazał on również swoje niektóre opracowania oraz dokumenty, zebrane podczas prac badawczych. Są to archiwalia dotyczące Pisarzowej: książka wydatków na organistę i kościelnego z 1850 roku, list byłego nauczyciela szkoły parafialnej z 1859 roku, wykaz na-

leżności wykupionych przez komisję zniesienia ciężarów gruntowych z 1855 roku oraz odpisy testamentów od XVIII do XIX wieku[21].

Autor pamiętnika, przekazując zbiory do wielu instytucji, kierował się potrzebą zabezpieczenia swojego dorobku i wspomnień dla potomnych, tym bardziej że jego pamiętnik obejmował również czasy rewolucji październikowej w Rosji i na pewno nie mógł być w żaden sposób opublikowany w czasach PRL.

Z inicjatywy Władysława Frączka, w latach 2001–2002 fragmenty pamiętnika wraz z komentarzem ukazywały się w organie prasowym PSL „Wici" oraz w regionalnym czasopiśmie „Echo Limanowskie", 2002.

Przypisy

1 Wykorzystano oprócz pamiętnika m.in. dokumenty z zasobu Archiwum Narodowego w Krakowie i jego Oddziału w Nowym Sączu, dokumenty z Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu (dalej: ZNO), złożone tam wraz z rękopisem pamiętnika, wspomnienia Rodziny, Pani Anny Madej z Krakowa i Elżbiety Górszczyk, długoletniej dyrektorki szkoły w Pisarzowej, wnuczek autora; dostępne biogramy w wydawnictwach, prasie oraz Księdze Pamiątkowej Związku Nauczycielstwa Polskiego w Limanowej (przechowywana w jego siedzibie): Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu, Antoni Górszczyk, Wspomnienia z lat 1892–1939. Wspomnienie sadownika, sygn. 15382/II; AN w Krakowie Oddział w Nowym Sączu, Sandecjana, Antoni Górszczyk, Wojna. (Pamiętniki z I wojny

światowej), sygn. 31/190/43; Związek Nauczycielstwa Polskiego w Limanowej, Księga pamiątkowa (przechowywana przez Oddział ZNP w Limanowej); Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Nowym Sączu Filia w Limanowej, Materiały regionalne, Antoni Górszczyk, Życiorys kolegi Antoniego Górszczyka, byłego kierownika Szkoły w Pisarzowej (kopia mpsu z 1972 r.), sygn. 31/3/21; Miejska Biblioteka Publiczna w Limanowej, Zbiory regionalne, Antoni Górszczyk; J. Wielek, *Antoni Górszczyk (1892–1980), nauczyciel, etnograf, historyk amator*, [w]: *Etnografowie i ludoznawcy polscy. Sylwetki, szkice biograficzne*, t. 1, red. E. Fryś-Pietraszkowa, A. Kowalska-Lewicka, A. Spiss, Kraków 2002, s. 136–137; tenże, *Widziane z Limanowej*, „Dunajec. Nowosądecki Tygodnik PZPR", 1988, nr 40, s. 7; E. Smajdor, *Z dziejów tajnego nauczania*, „Dunajec. Nowosądecki Tygodnik PZPR", 1984, nr 48, s. 9; S. M. Jankowski, *Nauczyciel z karabinem*, „Polonia Węgierska", 2005, nr 119, s. 12; W. Frączek, *Sławny chłopski ród Górszczyków*, „Wieści", 2001–2002, nr 13/14–78; tenże, artykuły o Górszczyku, „Echo Limanowskie", 2002, nr 91–95; M. Kowalska, *Sylwetki z regionu limanowskiego*, „Almanach Sądecki", 1995, nr 4, s. 12–14.

2 Pisarzowa – wieś w powiecie limanowskim, położona w górnym biegu potoku Smolnik, uchodzącego do Dunajca w Marcinkowicach. Nauczycielka szkoły ludowej Maria Dąbrowska tak charakteryzowała tę miejscowość w 1882 r.: „Wieś dosyć rozległa, z budynkami tuż obok siebie stojącymi, górzysta – robi dosyć przyjemne wrażenie. Droga tylko przez środek wioski idąca, nędzna, zaniedbana, świadczy, iż brak w tej wiosce silnej ręki,

któraby porządek zaprowadzić mogła". Szkoła Podstawowa w Pisarzowej, Kronika Szkoły Etatowej w Pisarzowej 1883–1990, s. 155. Przed rozbiorami Pisarzowa stanowiła dobra królewskie (Jan Sitowski pisze, że była własnością klarysek starosądeckich), które po rozbiorach stały się austriackimi dobrami rządowymi; tzw. Dobra Kameralne, w 1832 r. odkupione przez barona Maurycego Brunickiego z Zaleszczyk. Ziemie były we władaniu rodziny Brunickich do 1881 r. Bruniccy m.in. szukali ropy naftowej w Pisarzowej, Mordarce i z powodzeniem w Klęczanach. Po śmierci ojca (1876 r.) dzieci zaczęły majątek parcelować, w końcu w 1877 r. część pisarzowską odkupił były strażnik Bonawentura Potacz, którego syn sprzedawał ją po kawałku chłopom, Żydom (las), a dwór z ogrodem w 1890 r. byłemu słudze dworskiemu Rudolfowi Kąckiemu vel Konckiemu. AN w Krakowie Oddział w Nowym Sączu, Sandecjana; A. Górszczyk, *Pisarzowa w latach 1870–1880*, „Gazeta Podhalańska", 1932, nr 7–12, 14–18; J. Sitowski, *Dwory i dworki w limanowszczyźnie oraz ich właściciele w ostatnich dziesiątkach XIX w.*, Piotrków Trybunalski 1918, s. 7–93. Według *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. 7, Warszawa 1887, s. 225, Pisarzowa obejmowała 196 domostw, 1242 mieszkańców, szkołę ludową, kościół drewniany z 1713 r. (zbudowany w miejsce rozebranego rok wcześniej kościoła z XV w.). Przez Pisarzową przebiega, otwarta w 1884 r., linia kolejowa Chabówka – Nowy Sącz, jest to pierwsza stacja za Limanową w kierunku Nowego Sącza.

3 Autor podaje hipotetyczną wersję, że nazwisko Sejmej mogło być pochodzenia muzułmańskiego, a pro-

toplaści rodu Tatarami osadzonymi w Pisarzowej za króla Jana III Sobieskiego. Górszczykowie-Sejmejowie mieli być jednym z dwóch rodów z Pisarzowej, pochodzących od jeńców tureckich. A. Górszczyk, Wspomnienia..., s. 135; A. Górszczyk, *Historia wsi Pisarzowej – Męciny. Porównanie wsi królewskiej i szlacheckiej*, „Głos Podhala", 1937, nr 18, s. 2.

4 Od 1930 r. organizacja nosiła nazwę Związek Nauczycielstwa Polskiego.

5 W biogramach oraz w pamiętniku jest stwierdzenie, że służył w stopniu sierżanta. Prawdopodobnie awans otrzymał dopiero po powrocie z niewoli. Świadczy o tym informacja zawarta we wniosku o odznaczenie Orderem Virtuti Militari za bohaterstwo wykazane podczas akcji ofensywnej na Kołomyję, w lutym 1915 r., gdzie podano ówczesny stopień – kapral, oraz adnotacja w książeczce jeńca wojennego z 1918 r., gdzie jako stopień wojskowy wpisane zostało: *младший унтер-офицер* czyli właśnie kapral. Wojskowe Biuro Historyczne (dalej: WBH), Kolekcja Orderu Wojennego Virtuti Militari, sygn. I.482.66.5777; A. Górszczyk, Wspomnienia..., s. 241.

6 Władysław Czechowski, Wystąpienie w czasie uroczystości pogrzebowych śp. Antoniego Górszczyka w dn. 13 III 1980 r., Miejska Biblioteka Publiczna w Limanowej, Zbiory regionalne.

7 Wspomnienie Górszczyka cytuje badacz dziejów tajnego nauczania w południowej Małopolsce Edward Smajdor, gdyż publikowane pamiętniki Górszczyka obejmują okres jedynie do wybuchu II wojny światowej: „W tym czasie (1940 r.) przyjechał do swego brata

inspektor szkolny z Wrześni, Piotr Ciuła, z więzienia niemieckiego wyszedł pijar Andrzej Wróbel, przyjeżdżał często ks. dr Franciszek Górszczyk [brat Górszczyka – przyp. S.R.]. Zaczęli oni wiosną 1940 r. uczyć dzieci swoich krewnych. Pod koniec 1940 r. było uczących się trzynastu. Ponieważ brakowało wykładowców do niektórych przedmiotów, korzystano z nauczycieli dochodzących, a to Józefa Bednarza, Wincentego Zelka i Zofii Oleksy, pracujących w tajnym nauczaniu w Żmiącej. Liczba uczniów wzrosła w międzyczasie do 23. Z tych 6 ukończyło szkołę, 14 składało egzaminy z poszczególnych przedmiotów i klas gimnazjalnych, 4 złożyło pełne matury. Po okupacji 10 z nich ukończyło wyższe studia. Egzaminatorami byli dyr. Antoni Bieda, prof. Feliks Rapf, prof. Maria Flisówna, prof. Zofia Oleksy i dyr. Ignacy Kwieciński". E. Smajdor, *Z dziejów tajnego nauczania...*

8 Wincenty Gawron, artysta malarz, ur. 28 I 1908 r. w Starej Wsi (obecnie częściowo w Limanowej). Podczas wojny angażował się w pracę konspiracyjną. Aresztowany przez gestapo 19 I 1941 r., był więziony w Nowym Sączu i Tarnowie, skąd został przewieziony do KL Auschwitz. W obozie kontynuował działalność artystyczną. Rysował portrety współwięźniów, kapo i esesmanów (prace przekazane po wojnie do Muzeum w Auschwitz-Birkenau). Związał się z obozowym ruchem oporu. W obozie zaprzyjaźnił się z rtm. Witoldem Pileckim. Po ucieczce z obozu znalazł schronienie u Autora pamiętnika, skąd udał się do oddziałów partyzanckich Armii Krajowej. Zagrożony ponownym aresztowaniem, wyjechał do Warszawy, brał udział

w powstaniu warszawskim. Wyszedł z miasta wraz z ludnością cywilną i trafił do obozu przejściowego w Pruszkowie, skąd zbiegł. W kwietniu 1945 r. aresztowany przez NKWD, uciekł z aresztu, docierając przez Czechosłowację i Niemcy do II Korpusu gen. Andersa we Włoszech. Z Korpusem wyjechał do Anglii; zdemobilizowany, wyemigrował do Kanady, a później do USA, gdzie został na stałe, utrzymując równocześnie kontakt z rodakami, w tym z A. Górszczykiem. W. Gawron, *Ochotnik do Oświęcimia*, Oświęcim 1992; http://www.1944.pl/historia/powstańcze-biogramy/Wincenty_Gawron, dostęp 01-12-2015.

9 Józef Piotr Brzeziński (1862–1939), profesor UJ i członek PAU, polski biolog i ogrodnik, organizator Katedry Ogrodnictwa przy Studium Rolniczym UJ.

10 A. Górszczyk, *Pisarzowa w latach 1870–1880*, „Gazeta Podhalańska", 1932, nr 7–12, 14–18; tenże, *Historia wsi Pisarzowej – Męciny*, „Głos Podhala", 1937, nr 13–18, 20–22, 24–30, 37–38.

11 A. Górszczyk, Wspomnienia... s. 239.

12 Oddziałowe Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Krakowie, Zapisy z lat 1946–1953 w „Kartotece zniszczeniowej b. Wydziału »C« KWMO/MUSW w Krakowie", sygn. IPN KR 080.

13 IPN Kr 08/47, t. 1, s. 858. Funkcjonariusze bezpieczeństwa zanotowali: „Powyższa grupa utrzymuje kontakt z byłym działaczem PSL »Wici« Jerzym Matusem z Krakowa. Grupa usiłowała reaktywować ZWM [Związek Młodzieży Wiejskiej – przyp. S.R.] »Wici« i CH.T.K.O, starała się przeprowadzić modyfikacje powstających Kółek Rolniczych według programu sprzed

1939. Prowadziła agitację przeciw kandydatom posłów na Sejm PRL. Domagała się usunięcia przyjezdnych zajmujących stanowiska w PRN, PZGS, MO, a zastąpienia przez aktyw AK i BCh, szkalowali aparat bezpieczeństwa. Byli inicjatorami usuwania członków PZPR i lewicy ZSL z GRN. Obecnie typują swoich ludzi z b. PSL do GRN". Oddziałowe Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Krakowie, Sprawa Obiektowa „Koło" – „wroga" działalność w kółkach rolniczych województwa krakowskiego. Charakterystyka grupy prawicy ludowej opozycji spoza ZSL (1959 r.).

14 A. Górszczyk, *Malowane skrzynie pisarzowskie*, [w:] *Materiały etnograficzne z powiatu limanowskiego*, „Archiwum Etnograficzne PTL", 1967, z. 1, s. 50–53; tenże, tamże, *Pisarzowa* oraz *Głody i epidemie w Limanowskiem*, 1971, z. 2, s. 53–69, 70–73; tenże, tamże, *Pisarzowa u schyłku XIX wieku i w początkach XX wieku*, 1986, z. 3, s. 35–51.

15 Rozgoryczenie to widoczne jest też w powojennej pracy Górszczyka, poświęconej tradycji pracy nauczycieli związkowców w powiecie limanowskim: „[...] obecnie autorytet nauczyciela zdewaluowano zupełnie. Nauczyciel, który miał kilkunastu przełożonych, używany i nadużywany do najrozmaitszych prac często nienawistnych środowisku, zastraszany, pracujący w bardzo ciężkich warunkach za głodowe wynagrodzenie, nieprzygotowany przez szkołę do pracy, nie mógł być autorytetem, a bez tego nie ma pracy w środowisku wiejskim. Jeżeli społeczeństwo chce, by nauczyciel szerzył oświatę, by dał możność szerokim masom obywateli czerpać z dobrodziejstw kultury, by tę kulturę pomnożył, by spowodował jak największą pręż-

ność społeczeństwa, musi stworzyć szkole: 1) warunki spokojnej pracy, 2) wynagradzać nauczycieli odpowiednio do ich trudu i ważności funkcji, 3) starać się o jego wyższe wykształcenie ogólne i zawodowe. Wówczas nauczyciel będzie mógł pracować tak intensywnie, jak to czynił przed 1939 rokiem". Miejska Biblioteka Publiczna, Zbiory regionalne, A. Górszczyk, Tradycje pracy nauczycieli związkowców w powiecie limanowskim, s. 5–6.

16 A. Górszczyk, Wspomnienia..., s. 135.

17 Tamże, s. 179.

18 Tamże, s. 210.

19 Tamże, s. 165.

20 Taką wersję podaje sam Autor w swoim życiorysie z 1972 r. Materiały regionalne, A. Górszczyk, Życiorys....

21 AN w Krakowie, Oddział w Nowym Sączu, Sandecjana, sygn. 31/190/14. Oprócz archiwaliów są tam mpsy artykułów: Testamenty – odpisy testamentów od XVIII do XX w., Historia 2 ról i 2 rodzin chłopskich, Porównanie dwóch wsi: Pisarzowej i Męciny, królewskiej i szlacheckiej, Skrzynie pisarzowskie, Pisarzowa w latach 1870–1880, Historia szkoły parafialnej w Pisarzowej.

Mapa Galicji z powiatem limanowskim i częścią nowosądeckiego, ok. 1900 r.
AN w Krakowie, Zbiór Kartograficzny, sygn. dawna Zb. Kart. VII 33

11. *O miłości Ojczyzny nie deklamowaliśmy...* Wspomnienia Antoniego Sejmeja Górszczyka

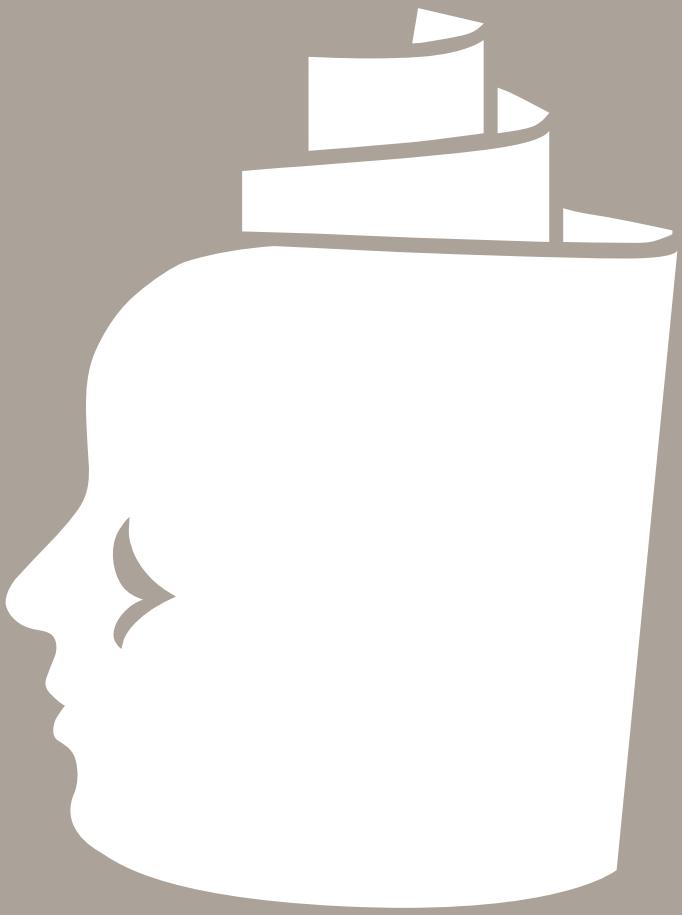

Urodziłem się w roku 1892 w Pisarzowej, powiat Limanowa. Przodkowie moi zamieszkiwali tę wieś od czasów Sobieskiego, kiedy to jakiś Sejmej utrzymał górę, która otrzymała później nazwę "Sejmejówka". Ponieważ prawdopodobnie nazwisko było dla mieszkańców obce, posiadaczy jej nazywali Górszczykami, później Górszczykami. We wsi są liczni Górkowie i Górscy, nazwiska może od tych nazwisk utworzone. Górski - Górszczak - syn Górskiego. W księgach hipotecznych brzmi dotychczas nazwisko posiadaczy Sejmejówki "Sejmej - Górszczyk", później Sejmej alias Górszczyk, ostatnio Górszczyk zwany Sejmej.

Dziadek miał sześciu synów i jedną córkę. Dwaj najstarsi bracia ojca pozostali na Sejmejówce, którą się podzielili, ojciec był właścicielem półrodka /36 mórg austr./ zwanego Belonówką, dlatego czasem nazywano nas Belonami. Jeden ze stryjów po ukończeniu służby wojskowej osiadł w Krakowie i pracował w kolejnictwie, dwaj młodsi ożenili się we wsi i pracowali na średniej wielkości gospodarstwach. Spokrewnieni byliśmy prawie z połową wsi, bo i dziadek miał sześciu braci, a do tego dochodzili krewni Matki i ich progenitura.

Gospodarstwo Ojca leżało w środku wsi. Wieś liczyła przeszło tysiąc mieszkańców, kościół, szkoła, stacja kolejowa, dwa sklepy były w miejscu. Belonówka miała ustaloną opinię, że podczas każdej wojny z tego osiedla musi ktoś zginąć. Rzeczywiście tak się działo do ostatniej wojny włącznie. Podczas wojen napoleońskich zginęło trzech braci pradziadka, czy też prapradziadka, w przedostatniej mój brat Staszek, w ostatniej był ciężko ranny mój siostrzeniec, który jako 18-letni brał udział jako ochotnik w Obronie Narodowej w bitwie pod Tylmanową /wrzesień 1939 r./.

Piękny był belonowski ogród, pochylony łagodnie ku drodze, ciągnął się od zabudowań gospodarskich, aż do zarośli rosnących wzdłuż rzeczki. Późną wiosną i wczesnym latem stale tonął w kwiatach. Trawa wysoka do połowy chłopa stanowiła tło, na którym szalała orgia barw. Przeważał oczywiście kolor żółty, kaczeńce wczesną wiosną ustępowały miejsca pełnikom, te zaś nikły gdy wyrastały jaskry. Pomiędzy nie przechylały się różowe firletki, dumnie sterczały nikomu niepotrzebne czerwone głowy szczerbaków, chwiały się jastrzębnie, w cieniu których wyrastały pochylone liliowe dzwonki.

Pierwsza strona mps Wspomnienia z lat 1892–1939.
Ossolineum, sygn. 1538/II

1. DZIECIŃSTWO – SZKOŁA

Urodziłem się w roku 1892, w Pisarzowej, powiat limanow[ski]. Przodkowie moi zamieszkiwali tę wieś od czasów Sobieskiego, kiedy to jakiś Sejmej otrzymał górę, która otrzymała później nazwę Sejmejówk[i]. Ponieważ prawdopodobnie nazwisko było dla mieszkańców obce, posiadaczy jej nazywali Górszczokami, później Górszczykami. We wsi są liczni Górkowie i Górscy, nazwiska może od tych nazwisk utworzone. Górski – Górszczak – syn Górskiego. W księgach hipotecznych brzmi dotychczas nazwisko posiadaczy Sejmejówki: Sejmej – Górszczyk, później Sejmej alias Górszczyk, ostatnio Górszczyk, zwany Sejmej.

Dziadek miał sześciu synów i jedną córkę. Dwaj najstarsi bracia ojca pozostali na Sejmejówce, którą się podzielili, ojciec był właścicielem półrządka (36 mórg austriackich)[1] zwanego Belonówka, dlatego czasem nazywano nas Belonami. Jeden ze stryjów, po ukończeniu służby wojskowej, osiadł w Krakowie i pracował w kolejnictwie; dwaj młodsi ożenili się we wsi i pracowali na średniej wielkości gospodarstwach. Spokrewnieni byliśmy prawie z połową wsi, bo i dziadek miał sześciu braci, a do tego dochodzili krewni Matki i ich progenitura.

Gospodarstwo Ojca leżało w środku wsi. Wieś liczyła przeszło tysiąc mieszkańców; kościół, szkoła, stacja kolejowa, dwa sklepy były w miejscu. Belonówka miała ustaloną opinię, że podczas każdej wojny z tego osiedla musi ktoś zginąć. Rzeczywiście, tak się działo do ostatniej wojny włącznie. Podczas wojen napoleońskich zginęło trzech braci pradziadka, czy też prapradziadka, w przedostatniej mój

brat Staszek, w ostatniej był ciężko ranny mój siostrzeniec, [osiemnastolatek], który brał udział jako ochotnik w Obronie Narodowej w bitwie pod Tylmanową (wrzesień 1939 r.)[2].

Piękny był belonowski ogród, pochylony łagodnie ku drodze, ciągnął się od zabudowań gospodarskich, aż do zarośli rosnących wzdłuż rzeczki. Późną wiosną i wczesnym latem stale tonął w kwiatach. Trawa, wysoka do połowy chłopa, stanowiła tło, na którym szalała orgia barw. Przeważał oczywiście kolor żółty, kaczeńce wczesną wiosną ustępowały miejsca pełnikom, te zaś nikły, gdy wyrastały jaskry. Pomiędzy nie przechylały się różowe firletki, dumnie sterczały nikomu niepotrzebne czerwone głowy szczerbaków, chwiały się jastrunie, w cieniu których wyrastały pochylone liliowe dzwonki.

Koło bruzdy odprowadzającej wodę od studni rosły gęstą ławą niezapominajki. Mądre ich oczka przebijały się wśród bujnej trawy ku słońcu, walcząc z białym kwieciem rzeżuchy o ciepły promyk. Popod miedzą trawa była mniejsza, tu rosło jaskółcze ziele, kozieradka, nazywaliśmy ją pazurkami, wiosną pełno było kukułek (storczyków). Gospodyni zbierająca ziele na wianek święcony 15 [sierpnia] (Matki Boskiej Zielnej) znalazła tu i fartuszki, kopelnik, piorunowe ziele, jak i żółte dzwonki (dziurawiec). Pełno było zawsze kwiatów na ogrodzie Belonów i żaden ogród we wsi nie miał ich takiej ilości. Gdy z podgórza popatrzyło się na południową część wsi, to Belonówka odcinała się jaskrawością kolorów od reszty.

Wiosną i latem paliła się żółcią ogrodu, jesienią płonęła czerwienią liści grusz i czereśni. Osiedle było skupione, wszystkiego dziesięć chałup, dwóch gospodarzy, reszta chałupnicy i zagrodnicy.

Ojciec to wysoki, suchy, trochę pochylony, o dobrotliwym wyrazie chłop. Nosił się zawsze po staroświecku. Latem lniane spodnie, kamizelka niebieska z czerwonymi wypustkami, biała lniana górnica[3] i góralski kapelusz; zimą guniaki z białego sukna, kamizelka, biały kożuch w czerwoną kostkę lub futro pokryte szarawym suknem i futrzana czapka w kształcie misiurki, to był jego strój. Zimą i latem nosił na co dzień buty węgierskie[4] albo owijaki, na niedzielę wzuwał polskie buty[5]. Opis byłby niezupełny, gdyby nie wspomniało się o szerokim pasie, którym był przepasany, u którego wisiał na rzemyku w mosiężnej oprawie nóż, a za [nim] z tyłu zatknięty był worek napełniony tabakiem. Fajki, [jeśli] nie miał w zębach, co się zresztą rzadko zdarzało, to nosił ją w kieszeni kamizelki.

Gospodarstwo było dosyć duże, budynki obszerne, wybudowane dawniej, gdy pola było znacznie więcej, 18 mórg stanowiło wiano siostry Ojca, i te odpadły. Pozostało jeszcze 36 mórg w jednym łanie, ciągnącym się od drogi, aż do granicy Siekierczyny[a]. Pole było rozmaite, najbliżej drogi ów ogród, nad nim budynki mieszkalne i gospodarskie, nad zabudowaniami łąka, potem pola uprawne, za działem koło potoka krzaki i znów pola, krzaki, pastwiska, a na końcu 7 mórg jodłowego i świerkowego lasu[6].

Wzdłuż łanu ciągnęła się droga zwana wygonem, koło której były okrawki pastwisk, wiekuiste zmartwienie wszystkich pastuchów na Belonówce. Na nich bowiem musiało się paść bydło wypędzając na pastwisko, a obronić od szkody było bardzo trudno, wygon był bowiem wąski.

Budynki były duże, przepołowione sienią, w jednej stronie była świetlica i komnata, a za nią komora na zboże, po drugiej stronie kuchnia. O ile w izbie było czysto, podłoga

[a] Graniczą-ca z Pisarzową od południa, w dolinie górnego biegu potoku Słomki, uchodzącego do Dunajca w Naszacowicach.

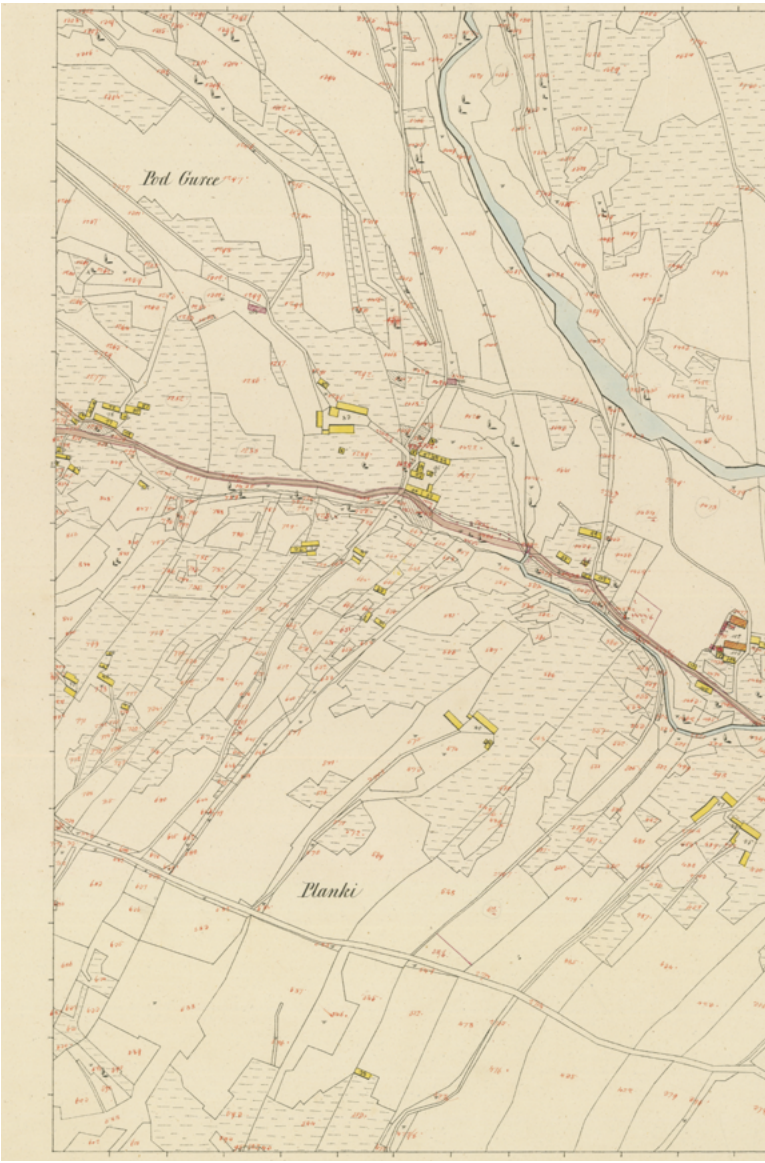
Pod Gurce
Planki

VII sekcja mapy katastralnej Pisarzowej w cyrkule sądeckim.
Odbitka litogr., 1946 r. AN w Krakowie, sygn. 29/280/0/10.1/1879

i powała z desek, sprzęty z twardego drzewa, rząd obrazów popod powałą i kropielnica koło drzwi, o tyle w kuchni zamiast podłogi było klepisko, południową część przeznaczono na stajnię dla krów, w powietrzu unosiła się stale woń amoniaku lub dymu. Światła było tu bardzo mało. Były wprawdzie dwa okna, ale tuż obok nich [...] drabina, za którą zarzucano paszę dla bydła. W oknie [wstawiono] 12 małych szybek, z tych to powodów w kuchni panował stale półmrok. Piec do wypiekania chleba i nalepa[7] zajmowały czwartą część kuchni. Na nalepie palił się ogień, przystawiano doń śpiżaki[a], nad ogniem zawieszony był miedziany kocioł, w którym nagrzewało się wodę. W reszcie kuchni stała pod ścianą ława, nad nią półka na garnki, miski, dzieżkę z mąką, w kącie stał na trzech nogach pomyjarz i cebrzyk na czystą wodę, z uwieszonym przy nim jaworowym korcakiem (czerpakiem).

[a] Spiżak – rodzaj garnka dostawiany na palenisko.

Z kuchni prowadziły drzwi do stajni, gdzie stały woły, koń i jałownik. Tu w kącie stała gródź[b] na paszę, a nad nią był wyrek, legowisko parobka i wolarza. Całe życie w domu koncentrowało się w kuchni.

[b] Gródź – drabina na paszę dla bydła.

Lata dziecięce

Z młodości prawie nic nie pamiętam, a raczej pamiętam znikomo mało. Miałem dwóch starszych braci, którzy ze mną bawić się nie chcieli; młodsze rodzeństwo umierało, tak że dopiero gdy miałem dziesięć lat rodzice dochowali się młodszych dzieci. Wiosną, latem i jesienią biegało się po polach. Najgorsza była zima, musiało się ją spędzić w domu. Wprawdzie czasem wywlokło się z domu ławkę i na niej zjeżdżało się po ogrodzie, ale za to można było oberwać paskiem.

Wiosną zrywaliśmy pierwiosnki i na wilgotnych szybkach okien naklejało się kielichy kwiatowe, tworząc rozmaite ornamenty. Wstawaliśmy wcześnie rano, gdy tylko służąca roznieciła ogień, pchaliśmy się na nalepę do kąta i poprawialiśmy płonące drzazgi, bawiąc się ogniem. Służąca stale gderała: nie możecie to gnić w łóżku, tylko tu musicie zawadzać. Gdy Mama wstała, krajała po wąskiej skibce chleba, maczała w mleku, tak ażeby na chlebie osiadła śmietana, i dawała nam je mówiąc, abyśmy zaraz zmówili pacierz. Myśmy jednak po zjedzeniu chleba dawali nura do łóżka, kłócąc się o miejsce, mawialiśmy – kto leży od ściany, dostanie garnek śmietany, kto leży z kraja, dostanie dwa jaja. Budzono nas do śniadania, trzeba się było umyć zimną wodą. Gdy nikt na nas nie patrzał, myło się nos i jego najbliższą okolicę, gdy jednak w pobliżu był Ojciec lub Matka, musiało się zawadzić i o czoło.

Pacierz to była męka, klękało się na nalepie. *Ojcze nasz* i *Zdrowaś* to jakoś szło, przy *Wierzę* zaczynało się nudzić i albo sięgało się do pieca, poprawiało szczapy pod garnkami, albo też szukało czegoś w piecu. Czasem, gdy się doszło do *Wierzę w Ducha św*. przez zapomnienie mówiło się *w Boga Ojca*, i pacierz się wydłużał. Gdy czasem kazali mi zmówić jeszcze 10 przykazań, to wyładowywałem złość zdrapując paznokciami polepę z pieca. Do jedzenia stawiano na środku chałupy ławkę, a wokół niej stołki. Z jednej strony siadał Ojciec, najstarszy syn, dalej młodszy, na końcu ławki parobek i pastuch. Po drugiej stronie Matka, obok niej służąca i pasterka. Siostra, jako najmłodsza, stała pomiędzy rodzicami. Pierwszy łyżkę brał Ojciec, później brał każdy jak popadło, uważając, aby nie uderzać łyżkami o miskę i nie jeść z hałasem.

Pejzaż okolic Limanowej i Pisarzowej, z lat 1939–1945.
Nar. Arch. Cyfrowe, sygn. 2-8426

Dzień jakoś schodził na psich figlach, czasem jednak kazali kołysać kogoś z młodszego rodzeństwa lub pilnować kur, aby nie szły w dojrzewające zboże. Wieczorem zwykle schodzili się sąsiedzi. Wszyscy byli dużego wzrostu, w siwych kamizelkach i spodniach. Wyglądałem, czy nie przyjdzie wujek, który zawsze przynosił mi w kieszeni kamizelki kawałek brudnego zwykle cukru. Sąsiedzi opowiadali nowiny, parobek rżnął sieczkę w skrzynce, dziewka i pasterka skrobały ziemniaki lub przędły. Mama krzątała się koło wieczerzy, dzieci siedziały w kącie.

Gdy tylko przyszedł ktoś nowy, zeskakiwaliśmy z nalepy i biegliśmy przywitać się, tj. pocałować w rękę. Witało się tylko niektórych; komorników i zagrodników nie kazywali nam witać. Wiosną w niedzielę budził się rano Ojciec i szliśmy w poddziele[a]. Był to najładniejszy kawał pola, dosłoneczny, liczący około 8 mórg. Ojciec rozważał, gdzie i kiedy można by wyjechać orać, ja zaś ścigałem wzrokiem skowronki. Czasem przyszedł ktoś z sąsiadów i siadał z Ojcem na miedzy i szła pogwarka o wołach, orce, siewie i urodzajach.

[a] Nazwa części pola Górszczyków.

Nie wiem dlaczego (nie byłem ani najstarszy, ani najmłodszy), rodzice mnie chcieli zostawić na gospodarstwie, co się zresztą nie stało, i dlatego Ojciec brał mnie zawsze ze sobą w pole i zaznajamiał z glebą, lasem, odmianami zbóż, hodowlą bydła, słowem, uczył gospodarki. Jodłowego lasu było 7 mórg, ale bukowego do gospodarstwa należał skrawek wielkości 1 morgi. Trafiała się możność dokupienia 2 morgów. Ojciec zabrał mnie ze sobą, zawołał kupca Czyzika, który znał położenie tego lasu i poszliśmy oglądać. Czyzik twierdził, że te buczki szybko rosną, dojazd dobry, cena przystępna. Siedzieliśmy na jakiejś polance, promienie słońca przesączały się przez świeże, wiosenne buczynowe liście.

Znudziło mi się to siedzenie, położyłem się na grzbiecie i bosą stopą zasłaniałem sobie słońce, świecące mi w oczy. W pewnym momencie usłyszałem zdanie, które wprawiło mnie w ambaras – była mowa o mnie. Czyzik mówił: „Wy, gazdo, nie będziecie mieć korzyści z tego lasu, ale dzieci Antka to już tu będą mogły rąbać ładne bucoski". Zastanowiło mnie to bardzo, że ludzie poważni poważnie mówią o moich dzieciach, wówczas gdy mnie uważali za dziecko. Nie wiem, co przeważyło, dość że Ojciec ten las kupił.

Kończył się jednak beztroski okres dzieciństwa, coraz częściej straszono mnie szkołą i biciem w niej. Co do tego bicia, miałem pewne wątpliwości, bo czasem bywał u nas nauczyciel. Ojciec dawał mu corocznie furkę siana i zagon pod ziemniaki. Był grzeczny i nie wyglądał na to, by bijał dzieci. Ze spostrzeżenia tego zwierzyłem się starszemu bratu. Ten zaprowadził mnie pod szkołę i w pewnym momencie usłyszałem wyraźny i wcale niedwuznaczny odgłos kija bijącego w katedrę. Brat objaśnił mi, że ktoś odebrał kije i że dobrze zrobimy, gdy uciekniemy, bo i my moglibyśmy oberwać. Po szybkim powrocie do domu, oświadczyłem Mamie, że do szkoły nie pójdę, ponieważ słyszałem, że tam nauczyciel bił kogoś tak mocno, że aż strzelało.

W pewną niedzielę po południu dodatkowo umyto mnie, ubrano w marynarskie ubranie z guzikami, z kotwiczkami (prezent od stryja z Krakowa) i zaprowadzono do szkoły do zapisu. Nauczycielki nie było, Mama zostawiła pół kopy jajek matce nauczycielki i wróciliśmy do domu. Na drugi dzień poszliśmy po raz drugi do zapisu, tym razem szedłem boso. W sieni szkolnej była podłoga, w jednym miejscu naprawiona świeżą zaprawą. Stanąłem więc tam, obróciłem się na pięcie i zrobiłem ładny dołek. Mama coś tam mó-

wiła, pożegnała się i odeszła. Gdy byliśmy już w sieni, nauczycielka rzekła głośno: „Przychodzą takie porządne gospodynie, a nic nie przynoszą", wówczas jej matka odpowiedziała: „Maniu, ta gosposia przyniosła wczoraj kilka jajek". Matka [moja] odchodziła zawstydzona, mnie zaś szkoła zaczęła się coraz bardziej podobać, ponieważ zauważyłem, że drążki w płocie szkolnym odstają i dadzą się w razie potrzeby oderwać.

W domu słyszałem, jak żałowano starego nauczyciela[8], który odjechał; nowej zaś nauczycielce przypięto epitet – wiśnickiej flaczarki – ponieważ pochodziła z Wiśnicza, skąd jak wiadomo jeżdżą po jarmarkach przekupnie z faryną[a].

[a] Mączka cukrowa nierafinowana.

Dom po zmianie nauczyciela ustosunkował się do szkoły nieprzychylnie, mnie zaś zaczęła się szkoła coraz bardziej podobać, zwłaszcza po zabawach w kotka i myszkę, i gdy spróbowałem swych sił z innymi pierwszoklasistami i wyszedłem z tej opresji zwycięsko.

Do szkoły w [Pisarzowej] chodziłem lat trzy, czy się uczyłem, nie pamiętam, zdaje się byłem dobrym uczniem, ponieważ wyrywano mnie zawsze podczas inspekcji inspektorskiej i bito mnie nie za naukę, tylko za brojenie. Szkoła była jednoklasowa, nauczycielka uczyła cztery oddziały, z tego dwa równocześnie, gdy więc były ciche zajęcia, powstawała sposobność do psot. Nauczycielka w przystępie dobrego humoru nazywała mnie wójtem, częściej jednak hersztem, i obiecywała, że mi rozedrze pysk na dwie części. [Jeżeli tylko] nie sięgała po kij, gadanie samo nie wyprowadzało mnie z równowagi. W szkole podłoga była cementowa, zimno wiało od niej niemożliwe.

Jakoś po ustępie „Kopalnie soli" zrobiliśmy okutymi obcasami w podłodze dziurę i zaczęliśmy kopać sól. Po drugiej

przerwie dziura w podłodze była imponujących rozmiarów. Nauczycielka spostrzegła to poniewczasie. Nie miała żadnego zrozumienia dla naszego przejęcia lekcją, rozpłakała się, lecz następnie chwyciła za trzcinę, a wówczas my odpowiedzieliśmy bekiem. Drugie wielkie lanie pamiętam z innej okazji. Nauczycielka pojechała do Nowego Sącza, rzekomo na spowiedź. W czasie nieobecności nauczycielki pilnował [porządku] jeden z lizusów i brojących zapisywał na tablicy. Po przyjściu nauczycielki była wypłata. W ów dzień nieobecność nauczycielki trwała dwie godziny (o 10.00 przyszedł ksiądz). Zapisywał wówczas Kasper, syn ubogich komorników, który widywał chleb w okresie Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Po jakimś czasie zbliżył się do jednej z dziewcząt i zażądał, aby mu dała chleba, bo inaczej, to ją zapisze. Napastowana nie chciała mu dać swej kromki, więc Kasper zapisał ją na tablicy, a że była to dziewczyna spokojna i nigdy na nas nie skarżyła, więc cieszyła się ogólną sympatią chłopców. Wszczął się wśród nas, trzecioklasistów, tumult.

Moje poczucie sprawiedliwości nie wytrzymało, wyszedłem przed katedrę i zażądałem, aby Kingę zmazał. Kasper, królujący za katedrą, zrobił mi propozycję, że i mnie może zapisać. Poszedłem bliżej, zamalowałem niespodziewającego się niczego Kaspra tak silnie w kark, że położył się za tablicę. Byłem bohaterem chwili. Kasper wygramolił się i płaczliwym głosem rzekł: „Ją wymażę, ale ciebie zapiszę". To możesz zrobić – odrzekłem. Przykład był zaraźliwy, po upływie dwu godzin, cała tablica była dokumentnie zapisana, a gdy przyszedł ksiądz proboszcz na naukę religii, nikt go nawet nie zauważył.

Na drugi dzień nastąpił sąd. Dziewczęta, jak zwykle wszystkie oskarżyły, bo Kasper za cenę 6 kromek chleba był

skłonny powiedzieć, że wszyscy cicho siedzieli. Wywołano nas na środek, jeden po drugim kładł się na stopniu i brał wały. Na moje szczęście, byłem pierwszy, nauczycielka nie rozmachała się jeszcze i otrzymałem tylko kilka kijów, gdy się jednak rozpajerzyła[a], biła ile wlazło. Ktoś pomysłowy podłożył sobie krótki katechizm, trzaskało jak po desce. Od tego czasu każdego delikwenta przed uderzeniem szturchała trzcinką, czy jej nie chce oszwabić. W pewnym momencie, zgrzana i rozczochrana, zapytała, czy już wszyscy. „Wszyscy" – zawołał z ostatniej ławki Moryc (późniejszy oficer Legionów), który również miał brać lanie. Podziwialiśmy jego spryt.

[a] Rozjuszyła, rozwścieczyła się.

Ogółem bitka w stanie biernym i czynnym zapełniała nam sporo czasu. Po nauce stale dzieliliśmy się na dwie partie, na dole i na górze. Antagonizm pomiędzy dolną a górną częścią wsi był zdaje się tak stary, jak sama wieś. Początkowo biliśmy się pięściami, potem piórnikami i torbami, na końcu chwytaliśmy za kamienie, jakkolwiek było to zawsze surowo karane. Czasem my odpędzaliśmy nadólaków, czasem oni nas przepędzali. Raz bój był tak zaciekły, że gdy nas chciał rozpędzić proboszcz[b], powaga parafii, oberwał w zamieszaniu i musiał schronić się na plebanię.

[b] Ks. Franciszek Górski, w 1910 r. przeniósł się do Radogoszczy.

Słyszałem jak raz mówił do mego Ojca: „Mój Janie, ci chłopcy na coś złego wróżą – zobaczycie". Sam już nie zobaczył, bo umarł w 1913 r. Z ławki szkolnej, w której siedziało nas siedmiu uczniów, pięciu zginęło na wojnie, ze wsi zginęło 37 chłopaków, trzech uczniów szkoły dosłużyło się stopnia pułkownika.

Kanarek [i pożar]

W naszej belonowskiej roli, na malutkim skrawku ziemi, miał tuż przy gościńcu domek Żyd Kanarek[9]. Nazywano go tak, ponieważ miał brodę żółtą jak kanarek. W ogródku przed domem, [o powierzchni] kilku m², sadził tyczną fasolę. Ojciec mój miał coś z nim na pieńku. Nikomu nie wolno było uczynić najmniejszej krzywdy, jeżeli jednak zwojowaliśmy coś Kanarkowi, patrzał na to pobłażliwie. Jakoś szybko w tej sytuacji zorientowaliśmy się. Kanarek miał kapę nad płytą kuchenną, która prowadziła ku górze, jak gdyby komin. Na dach jego domu można było wyskoczyć z dachu kurnika. Raz w piątek, gdy Kanarkowa przygotowywała ucztę szabasową i gotowała potrawy na całą sobotę, zaopatrzywszy się w zdechłą wronę, wdrapałem się na dach i wpuściłem ją do komina; zbiegłem szybko i ukryłem się w pobliskich zaroślach. Na pagórku nad domem Kanarka siedziało dwóch chłopców, którzy sławnie biegali. Gdy rozpajerzony Żydowina wyskoczył z domu, ci zaczęli się z niego naśmiewać, że ponoć smaży wrony. Kanarek rzucił się, by któregoś z nich złapać i na nim wyładować złość. Na to tylko czekaliśmy. Chłopcy biegli tak, aby goniący miał złudzenie, że już ich dopędza. Gdy rezygnował z pogoni, udawali, że upadają ze znużenia, jeden dopomagał drugiemu, brał go na ramiona, a wówczas zapieniony i zasapany Kanarek rzucał się znów naprzód i pędził za uciekającymi, którzy jakoś odzyskiwali siły. Tak odciągnęli go w Raszówki, około 2 kilometrów od domu[a]. Gdy powracał zasapany i blady z bezsilnej wściekłości, wyskakiwaliśmy dookoła niego na jednej nodze.

Z drugim Żydem, J. Lejbą, który nie był chasydem, żyliśmy w zgodzie i bawiliśmy się z jego dziećmi. Lejba jedna-

[a] Raszówki – osiedle pmiędzy Pisarzową a Siekierczyną, przy starym gościńcu z Limanowej do Nowego Sącza.

kowoż chował konie, pracował w polu, nie był uważany za prawdziwego Żyda, mówiono, że to jest Żyd chłopski.

Duże wrażenie wywarł na mnie w młodości pożar na Łąkach. Było to jakoś późną wiosną, zasiewano ostatnie owsy. Nadeszła pierwsza wiosenna burza. Pioruny uderzały z rzadka, nie zwracałem uwagi na nie, w izbie zapalono gromnicę, podmuchiwałem nieznacznie, a płomień świecy chwiał się, dym zaś zygzakiem unosił się w górę. Raptem otwarły się drzwi, wpadł ktoś ze służby i zawołał: „Na Łąkach gore". Była to rola przylegająca do Belonówki, gorzało gospodarstwo Rośka. Wybiegliśmy przed dom, dął jak zwykle zachodni wiatr. Nad nami pomykała się chmura dymu, wśród której niosło płonące snopy słomy poszycia dachu. Szczęściem, padał jeszcze rzęsisty deszcz. Powoli zaczął się zmieniać kierunek wiatru na bardziej południowy. W nadzwyczajnych wypadkach wszyscy z osiedla zbiegali się do Ojca. „Brać konewki i wszyscy chłopi do ognia", rzucił Ojciec. Porwałem blaszaną kwartę i biegłem za chłopakami z osiedla. Do pożaru było około 700 kroków. Gdy dobiegliśmy, dom płonął jak smolna, sosnowa drzazga; próbowano ratować, pomimo sprzeciwu starych, że piorunowy ogień ugasi jedynie kozim mlekiem, a zlewać go wodą jest wielkim grzechem.

W kilka minut wyczerpano wszystką wodę z niegłębokiej studni, wszyscy stanęli bezradni. Dookoła pogorzeli utworzył się wianek ludzi, którzy patrzyli [jak] urzeczeni słupem płomienia bijącego w górę. Czasem wiatr zamiótł płomieniem koło ziemi, a wówczas tłum kolebał się i cofał przed żarem. Najbliżej ognia stał Rosiek, niewielki, przysadkowaty, czterdziestoletni chłop. Stał w bieliźnie, granatowej kamizelce, bez kapelusza, jak wybiegł z domu. Nie zabrał

niczego, wypuścił tylko bydło. Twarz miał jakąś drapieżną, chociaż zszarzałą, ani drgnął, pomimo że czasem zawiewało żarem i tylko wiatr podnosił mu długie włosy. Obok niego, w zapamiętałym żalu miotała się jego żona, z zarzuconą na głowę spódnicą. Nie zwracał na nią uwagi, raz tylko odsunął ją trochę na bok i poruszał coś wargami, pewny jednak jestem, że głosu nie wydobył z gardła. Czasem zabiegał przed ojców ich mały syn Józek i przynosił na patyku to obręcz, to rozpalony garnek. Przed stajnią, chwyciwszy się za głowę, biadał płaczliwym głosem najstarszy syn Michał: „Moja owca, moja owca".

Zdawało mi się, że Rosiek jest podobny do jednego świętego, który stał przed wielkim ołtarzem, zwierzyłem się z tej myśli jednemu z rówieśników. Zaprzeczył. On jest biały, a święty jest ozłocony, taką tylko znalazł różnicę. Powoli ogień dogorywał, ponad ziemią snuła się woń spalenizny i zapach zesmędzonego zboża. Ze stajni wywleczono zabitego przez piorun i spalonego wołu. Gdy przed burzą zjeżdżano z pola, wół ów nie chciał wejść do stajni. Bito go długo, zanim udało się go wepchnąć do zabudowań. Przeczuł śmierć.

[Po upływie kilku dni] wszedł do nas ten sam Rosiek, ale jakiś zmalały, skurczony, po twarzy przebiegały mu drgawki. Uchwycił Ojca za nogi, czego nigdy nie robił. W domu było kilkoro ludzi, mimo to nagle zrobiło się cicho. Ojciec obruszył się: „Co robicie kumie?". „Na to mi dzisiaj przyszło kumie, na to", i głos mu zadrgał.

„Dziś wy, nie wiadomo kto jutro z kraja" – rzekł Ojciec – „każdy musi pomóc, bo nie wie, co go jutro czeka". Mama pozbierała jakieś sukienki, miskę, garnki i posłała to [przez] dziewczynę na gościniec, gdzie stał wóz, Ojciec posłał pa-

robkiem ćwierć twardego zboża. „Na nikim tego nie będzie znać", mawiał Ojciec przy takiej okazji.

Góracy

Na Belonówce najweselej było w niedzielę w południe. Rodzice mieli sporo krewnych na przysiółku Góry, odległym od kościoła o 2,5 kilometra. Zawsze też w niedzielę zapraszano po sumie kilku Góraków na obiad. Na Górach była bieda, gospodarstwa nieduże, ale ludzie byli bardzo żartobliwi i weseli. Raz na obiedzie był z Gór stryj Józef ze Sejmejówki, wujek i stary Pusak. Śmiano się nadzwyczajnie, dogadywano, tak że zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Nie wiedziałem, dlaczego Ojciec, stryj i wujek śmiali się tak, że aż im łzy kapały z oczu. Kończyliśmy właśnie jeść ryż ze śmietaną czy też mlekiem. Stryj nie wytrzymał i rzekł do Pusaka: „Janie – dyć[a] wy ponoć nie lubicie ryżu?". Pusak spoważniał, ze zgrozą popatrzył na łyżkę, na misę, na dnie której bieliła się reszta ryżu, i zafrasowanym głosem wymówił: „Psio – na śmierć se zabocyłem". Wszyscy śmiejąc się porzucali łyżki, przy misce pozostał tylko oniemiały Pusak z podniesioną łyżką.

[a] Przecież; także jako partykuła nawiązująca rozmowę lub poprzedzająca prośbę lub polecenie.

Służba i komornicy

Rodzice czasem wyjeżdżali na jarmark. Z Limanowej powracali zaraz po południu, z Sącza dopiero wieczorem. Dyspozycje służbie były wydane, tak że nas, dzieci, nic nie obchodziło.

[Kiedy] rodzice byli w domu, żadne z dzieci nie mogło niczego rozkazać służbie. Raz zdarzyło się, że pojechali do

N[owego] Sącza, zaniosło się na burzę, komornica Alejzina z płaczem prosiła parobka, aby wyjechał po jej zboże. Parobek odmówił, twierdząc, że ma inną robotę. Zrozpaczona kobieta wbiegła do kuchni, klękła, chwyciła mnie za nogi (miałem wówczas około 11 lat) prosząc, abym kazał parobkowi przywieźć jej zboże. Zmieszało mnie to bardzo, poszedłem do stajni i kazałem zaprzęgać. Zboże przywieziono przed samą ulewą. Przed przyjazdem rodziców poczułem pewne skrupuły, tym bardziej, że parobek [pojechał] twierdząc, że robi to na moją odpowiedzialność. Widząc powracający wózek Ojca wybiegłem przed ogród i aby zapobiec skardze parobka opowiedziałem, że przed burzą kazałem przywieźć Alejzinie zboże i że parobek mnie usłuchał. „Jakżeby Cię mógł nie posłuchać, jak mnie w domu nie było" – odrzekł Ojciec.

Przed wieczerzą wigilijną wnosił Ojciec do domu snop owsiany i stawiał go we wschodnim kącie kuchni. Snop ten stał przez całe święta w domu, dopiero w św. Szczepana w południe Ojciec rozwiązywał go. Każde bydlę otrzymało po garści, nam zaś, dzieciom, dawał również po dużej garści i kazał zanieść każdemu z komorników, którzy paśli bydło na naszym polu. Odnosiliśmy chętnie, ponieważ od każdego otrzymywaliśmy po 2 centy. Raz, nie wiem z jakiego powodu, nie dano nam zanieść do Alejziny. Przybiegła z płaczem (o płacz u niej było zawsze łatwo), wołając: „Gazdo, co to odpędzacie mnie z pastwiska". Ojciec coś jej powiedział i dał jej garść ze snopka. Wyszła uradowana. Co miało oznaczać to posyłanie owsa, nie wiem.

Domem rządziła Matka, wprawdzie zawsze powoływała się, że będzie tak jak Ojciec powie, lecz my wiedzieliśmy, że Ojciec tak powie jak Mama zechce. Sprzeczek w domu

nie było, najwyżej Ojciec, niezadowolony z obrotu rzeczy, mruknął: „Cholewa" albo „Dziadzi", to były dwa najgorsze przekleństwa, czasem mówił jeszcze „pśś", co wychodziło jako syk. Mama nie mówiła zwykle dużo, mówiła krótko, grzecznie, niemal prosząco. Gdy jednak wyprowadziło się ją z równowagi, wybuchała.

Była wówczas bardzo elokwentna, mówiła zdecydowanie, szybko, zjadliwie i nie liczyła się wówczas z nikim i z niczym. [Jeśli] powodem gniewu było którekolwiek z nas, dzieci, to najlepiej było nie czekać końca wymówek, tylko wyrwać do sieni, przebiec przedsionek, susem przeskoczyć cztery schody, galopem osiągnąć ogródek kwiatowy, a zwolnić można było dopiero nad starą studnią. Ja sam jednak, gdy na tej doli byłem, to pędziłem aż do zaklętej jabłoni, która rosła opodal granicy roli belonowskiej i królewskiej.

Na polu jak i wobec obcych ludzi nikogo z nas nie tkła. W sieni lub kuchni oberwać można było kijem, polanem przygotowanym do palenia, żarnówką[a], czym popadło. Oberwać można było tylko w pierwszym momencie gniewu, na zimno nigdy nikogo nie uderzyła. Gdy więc wyprysło się z domu, Mama wybiegała najdalej na przedsionek, do domu można było wrócić nie prędzej [niż po upływie] kilkunastu minut.

[a] Żerdka, rączka – element żarna rotacyjnego do ręcznego mielenia zboża. Żarnówka wprawała w ruch górny kamień żarna.

Wchodziło się zależnie od pory roku i dnia sienią lub przez stajnię, starając się plecy mieć zawsze asekurowane ścianą, frontowych uderzeń bowiem Mama unikała. Stanąwszy przy słupie drzwi słuchało się horoskopów na przyszłość. Mój w dzieciństwie brzmiał stale nieodmiennie: „Psy drażnić będziesz po świecie, jak się nie poprawisz". Robiło się wówczas pokorną minę, jakkolwiek wiedziało się, że to są ciche grzmoty po burzy. Wczesnym rankiem, w niedzie-

lę latem, [Matka] lubiła chodzić do lasu na grzyby, wówczas brała którekolwiek z dzieci. Zbieraliśmy rydze, prawdziwki, liszówki, gołąbki, granatki, a nawet po kilka bieli, które rzekomo miały dodawać grzybom smaku. Gdy już weszliśmy do lasu, Mama stale zaczynała śpiewać. Głos miała bardzo miły, czysty, metaliczny, cienki. Śpiewała najczęściej jakieś rzewne piosenki ze swej młodości. Nie zapamiętałem ani jednej, jakkolwiek gdy słyszałem Matkę śpiewającą, opuszczałem natychmiast ręce i słuchałem. W lesie chodziłem jak urzeczony tym śpiewem.

[...] Ojciec interesy całej Belonówki, wszystkich komorników i niemal całej wsi uważał za swoje, [a] Matka pilnowała interesów domu. Wszystko musiało być we właściwym czasie i to dokładnie zrobione. Rano budziła służbę, posyłała po najemników, decydowała o kupnie i sprzedaży, starała się o nas, dzieci. Była wszędzie, ostatnia kładła się spać, najwięcej robiła. Dla dzieci oddałaby wszystko. Nie lubiła ceremonii, sprawy stawiała jasno, nie lubiła również częstych zabaw. Stosunki utrzymywaliśmy tylko z kilkunastu domami, gdzie rodzice bywali na chrzcinach, weselach lub podczas świąt. Ona wymogła na Ojcu, że wysłano mnie do gimnazjum.

Nieporozumienie wybuchło o brata Franka. Mama postanowiła posłać go do gimnazjum, Ojciec był zdecydowanie przeciwny. Głośno przeciwstawiał się, podając swoje racje. Piotr w Ameryce, nie powróci. Staszek wybudował sobie dom i ma odrębne gospodarstwo. Antek jest nauczycielem, chcesz mi ostatniego zabrać. Kto pozostanie na Belonówce, pytam się, kto? Powiedz! „Mam może zięciowi oddać Belonówkę" – mówił rozżalony. Gdy zostało wypowiedziane to ostatnie zdanie, Mama milkła na kilka dni, po czym

ponawiała natarcie. Czy to wujek z Ciułówki nie chodził do gimnazjum? A gazda z Górkówki? Nie zaszkodziło im. Franuś może pochodzić parę lat, zawsze mu się to przyda, argumentowała Matka. Ostatecznie przemogła, zacząłem brata uczyć po niemiecku. Teraz ostatnia latorośl Sejmejów zaczęła chodzić za bydłem z gramatyką polską i początkami języka niemieckiego.

Ojciec jednak nie zrezygnował; dostarczał memu bratu pieniędzy na papierosy, na łódki i tym podobne przyjemności, sądząc, że odechce mu się uczyć. Gdy zaś po ukończeniu gimnazjum wstąpił do zakonu Jezuitów, ze łzami w oczach prosił go, aby poszedł na filozofię, obiecując mu na niej dostatnie utrzymanie. Brat nie porzucił powziętego zamiaru, pozostał w zakonie. Gdy wracaliśmy od niego, wówczas ze Starej Wsi koło Brzozowa[10], w powrotnej drodze Ojciec jedyny raz w życiu zaczął się przede mną żalić: „Matka dopięła swego, chciała abyś ty był księdzem, jak nie mogła tego zrobić wypchała Franka, zostanę sam na starość, zawsze robi wszystko swoim dumem. Ciężko mi będzie umrzeć, tyle się tutaj narobiłem, nastawałem i obcy może przyjedzie na Belonówkę". Ojciec pochodził z młodszej linii.

Starsi dwaj bracia pozostali na ojcowiźnie, podzieliwszy się nią. Po jakimś wojowniczym przodku odziedziczyliśmy górę Sejmejówkę. Nic tam dobrego nie było, trochę pola, trochę lasu, jakieś krzaki, dużo pastwisk i bardzo ładne widoki na Tatry, tym się jednak nasycić nie można. Dziadek już za mej pamięci nie żył, babka miała około 90 lat, pozostała przy stryju Józefie, który odziedziczył Sejmejówkę.

[Babka] kilka lat była dla odmiany u nas, na Belonówce, ponieważ matka była zajęta stale gospodarstwem. My, dzieci, byliśmy stale z babką, najmłodsza latorośl na kola-

nach, siostra z boku, ja zaś przed babką. Babcia opowiadała najrozmaitsze historie o duchach, królach, kopciuszkach, wężach, skarbach. Gdy chciała wprowadzić do opowiadania jakiś [nowy] wariant, prostowaliśmy [go] natychmiast. Wszystkie te powieści znaliśmy dokładnie, żądaliśmy jednak, aby nam je opowiadano. Czasem babka nie chciała niby opowiadać, mówiąc, że nie może otworzyć ust, wówczas najmłodsza Marysia pomagała je otworzyć palcami.

Czasem przychodził do babci Dyzma, komornik mieszkający w naszym osiedlu. Dyzma miał wówczas około 100 lat (umarł podczas wojny światowej, mając 102 lata), babka około 90. W młodości służył u rodziców babki (naszego pradziadka) za parobka, a było to około roku 1840. Wspominali stale stare lata. W opowiadaniach tych Dyzma był nieodmiennie młodym, zadzierżystym parobkiem, babka zaś młodziutką dziewczynką, psocącą lub biegającą beztrosko po polach. Tematów do rozmów mieli bez liku. Siadali zwykle na schodach, do słońca, grzali swe 190 lat i odgrzewali młodość. Siadałem nieraz niepostrzeżenie za nimi i notowałem te wspomnienia (gdy już byłem nauczycielem). Dopomogły mi one do napisania pracy pt. „Pisarzowa w latach 1870-tych".

Raz babka opowiadała mi, jak wyszła za mąż. Brzmiało to opowiadanie mniej więcej podobnie: „Wiesz, że u nas było duże gospodarstwo, pola było 140 morgów, czeladzi ze sześcioro, ruch był zawsze w domu. Często przychodzili sąsiedzi, siadali w izbie na ławach. Chłopi byli nie tacy marni jak dzisiaj, chłop w chłopa jak dąb, wszyscy siwo ubrani we wysokich skórzniach (butach z cholewami), pili se herbatę z rumem. Co upili trochę herbaty, dolewali se rumu. Pili tak po ciulowsku[a]. Raz pozchodziło się dużo chłopów,

[a] Wyrażenie gwarowe od „ciul" (głupek), pogardliwe określenie; pić po ciulowsku – po chamsku, na umór.

zawołali mię do izby. Weszłam, pocałowałam wszystkich w rękę, dali mi wina, wypiłam, pożegnałam się i wyszłam. Za parę dni powiedzieli mi tata: «Dziopa[a] pójdziesz za Sejmeja». «A jaki to?» – spytałam się. «Przecieżeś go widziała przedwczoraj». «Anim go nie widziała, ani znała, nikomu się nie przypatrowała, zawołali mię to weszłam, poczęstowali winem, wypiłam i podziękowałam». Z chęcią się zgodziłam na ślub, miałam już 15 lat. Parę dni temu mama zbili mnie bardzo, bo rozbiłam glinianą miskę. Pomyślałam se, że to już mnie bijać nie będą, jak się wydam, nijako mi ino trochę było, że nie wiedziałam, jaki ten Sejmej".

[a] Określenie gwarowe dziewczyny.

Zajęcia wakacyjne

W domu chowano jednego konia, 2 lub 3 pary wołów, 3 do 4 krów i kilka sztuk cieląt i bardzo często buhaja. Te cielęta to było nasze utrapienie podczas wakacji, w szkole powszechnej i gimnazjum. Rano budzono mnie, gdy już zaawansowałem na pastucha, okrzykiem – „Wstawać!" Po przeciągnięciu, ziewnięciu i byle jakim obmyciu się wtykała mi Mama w rękę kromkę chleba, najczęściej z głupim masłem (ser rozrobiony ze śmietaną), wolarz wypuszczał mi cielęta i buhaja, wetknął w drugą rękę bat i trzeba było iść za bydłem. Ponieważ w lecie chodziło się boso, to nieraz od rannej rosy nogi aż czerwieniały z zimna. Dopóki mogli mnie zobaczyć z domu, szedłem przykładnie za bydłem, gryząc chleb, gdy jednakowoż skryłem się za dział, wskakiwałem na byka i jechałem do potoka, gdzie rozpoczynało się pasienie. Tak jeździłem na kilku bykach przez siedem wakacji. Wymagało to pewnej zgrabności. Buhaj szedł nie zatrzymując się, należało więc w biegu wyskoczyć na nie-

go, gdy zaś cielęta rozbiegały się do szkody, musiało się zeskoczyć, pozapędzać do gromady i znów wyskoczyć na kroczącego byka. Niejednokrotnie trzeba było kilka razy wyskoczyć i zeskoczyć.

W potoku popasło się trochę, a następnie pasło się na wygonie, w jałowcach, na ugorze i w lesie. Pasałem sam, komornicy paśli po miedzach, nudziło się więc bardzo. Od godziny 9.00 spoglądało się na niebo, czy już czas gnać, słońce posuwało się bardzo powoli. Z nudów budowało się młynki, zegary słoneczne, strugało zabawki. O godzinie 10.00 jechała osobówka[11], wtedy zaganiało się bydło i pędziło do domu. Po obiedzie o godzinie 4.00 wypędzało się znów i pasło do wieczora.

Nigdy może nie myślałem tak dużo i nie obserwowałem przyrody jak na pastwisku. Z nudów całymi godzinami stałem nad mrowiskiem, podglądałem ptaki, żuczki, gąsienice i kwiatki. Czasem robiłem pętle z ptasiej pszenicy (roślina), zapuszczałem ją śliną, na którą puszczałem kroplę soku z mleczu pastwiskowego i sasanki, wówczas tworzyły się cudne kolory tęczowe. Wspaniale wyglądały również bańki mydlane, zaprawione sokiem sasanki, puszczane z wiatrem. Wzdłuż całego pastwiska, co kilkadziesiąt kroków od siebie, pobudowałem piece do palenia. Budowało się je z kamienia (wylepione były gliną); jedne miały płytę do gotowania, inne piec do pieczenia chleba, inne kociołek (ze starego garnka) do grzania wody, inne znów komin. Gdy się popuściło wodze fantazji, wyczarowywało się cudny świat bajki, zapominało się o całym świecie, a bydło tymczasem wchodziło w szkodę i objadało się za wszystkie czasy.

Po ukończeniu III klasy szkoły powszechnej, rodzice postanowili oddać mnie do gimnazjum. Raz po nieszpo-

rach wstąpił do nas do domu wujek z Ciułówki. „Chłopcze, masz się ty ochotę uczyć?" – zapytał mnie wprost. Coś tam odrzekłem. „Ale to ma być naprawdę, nie na żarty" – rzekł wujek – „W domu nie masz co robić, jest was kilkoro, dostałoby ci się z pięć mórg, byłbyś dziadem. Ja mogłem się wrócić ze szkół, bo mi ojciec oddał 40 mórg pola, ty ani 10 nie otrzymasz". Po tej oracji zadał mi kilka pytań i odrzekł do rodziców, że można spróbować. Wujek ten uczęszczał do gimnazjum. Gdzieś z IV klasy gimnazjum wezwano go do umierającego ojca, który go zapytał, czy dać mu kawałek pola, czy też przeznaczyć spłat na wykształcenie. Wujek pocałował dziadka w rękę i powiedział, że powróci na grunt, otrzymał 40 mórg pola (dwaj bracia jego otrzymali też po 40, a trzeci 24 morgi). Na Ciułówce były wówczas 144 morgi pola.

Szkoła w Nowym Sączu

Na drugi dzień ojciec wziął litr wina i poszedł ze mną do studenta VI kl[asy] gimn[azjum], aby mnie przygotował z języka niemieckiego, tak abym mógł zdać do kl[asy] IV w Nowym Sączu. Odtąd codziennie chodziłem na lekcje, w płóciennych porciętach, z nożykiem u paska, [a] gramatyką polską i początkami języka niemieckiego pod pachą.

Po wakacjach zawieziono mnie do N[owego] Sącza, egzamin jakoś poszedł, dyktat napisałem bez błędu (Tatarzy niszczyli łany Podola. Żyto i pszenicę zwozimy do stodół). W szkole powsz[echnej] kl[asa] IV miała dwa oddziały: A i B, jako pochodzącego ze wsi, dano mnie do B. Nauczycielem był Wł[adysław] Mazur, bardzo zacny człowiek, serdeczny nauczyciel, człowiek bardzo inteligentny[12]. Niczego bar-

dziej nie obawialiśmy się, jak tego, by nie przyszedł do szkoły. Zdarzyło się to kilka razy, wówczas łączono oddziały i uczył nas nauczyciel L., gospodarz [klasy] A. Miał on dobrą metodę, popartą rzetelnym biciem. Gdy wchodziliśmy do A, strach ściskał nam gardła, i nim opamiętaliśmy się, już kilku obrywało na krześle. Tak nas terroryzował, że płakać nawet obawialiśmy się. Uczniowie z A zdawali wszyscy do gimnazjum. Przy zapisach do kl[asy] IV dyrektor zapytywał rodziców, czy zapisują ucznia do A czy też B. Mamusia czy też życiodawca wzdychał, patrzał na swą pociechę, ale [jeżeli] myślał oddać syna do gimnazjum, zapisywał do A. Zdawka była pewna. Naszego nauczyciela lubiliśmy, [ale] gdy zobaczyliśmy nauczyciela L. na ulicy, przechodziliśmy na chodnik po drugiej stronie jezdni[13].

W szkole w P[isarzowej] byłem znany, miałem wyrobioną opinię, byłem z Belonówki, przynosiłem sporo chleba, który wymieniałem za rozmaite pukawki, sikawki lub dawałem jako stuligębne za brojenie. W Nowym Sączu role się zmieniły. Ubranie uszyte przez starego Kizmarę było marne i na wyrost, buty takiegoż pokroju. Kłapciaty kapelusz, który w P[isarzowej] budził zazdrość u kolegów, tu był celem pośmiewisk. Gwara i brak zasadniczych form konwenansu miastowego ośmieszały mnie na każdym kroku. Najgorzej było, gdy chciałem zastosować konwenans wsi, którego w domu bardzo przestrzegano. Szczęściem było nas kilku takich „Jasiów", posadzono nas w ostatniej ławce. Pierwsze ławki zajmowali chłopcy ładnie uczesani, z długimi lokami i kokardami pod szyją lub białymi kołnierzami. Ci się z nami nie zadawali. Z zakresu znajomości wsi, pracy, przyrody miałem znacznie więcej wiadomości od swych paniczykowatych kolegów, wykazywałem jednak rażący brak

znajomości życia miejskiego, a podręczniki szkolne były inne na wsi, inne w mieście. Zostałem słabym uczniem. Ponieważ wyśmiewano się ze mnie, kilkakrotnie pobiłem się, popłynęły skargi, adwersarze moi byli wymowni, podczas gdy mnie oburzało każde kłamstwo i mówiłem [tylko]: „Oni cyganią – to nieprawda". Kiwano nade mną głową i mówiono: „ze wsi".

Na stancji

Nie lepiej było na stancji, na którą mnie oddano. Byłem najmłodszy, uczęszczałem do szkoły powszechnej, podczas gdy wszyscy [chodzili] do gimnazjum. Nie miałem łóżka, bo go jeszcze stolarz nie zrobił, sypiałem z tym szóstoklasistą, który mnie przygotowywał do zdawki. Matka, gdy mnie żegnała, rozpłakała się rzewnie, [zaś] chrzestny ojciec dał mi w woreczku 5 koron, rozmienione po 10 halerzy. Ojciec dał mi również jakąś kwotę, pogłaskał po głowie, splunął w bok, co czynił, gdy był markotny, i cmoknął na konia. Dopóki widziałem siwka, nie zszedłem z ulicy, gdy mi zniknął z oczu, poszedłem na podwórze i gdzieś w kącie bezradnie płakałem. Po jakimś czasie przyszła „Pani", u której mieszkałem. Zacna, starsza wdowa, utrzymywała się z trzymania na stancji studentów[14]. Jakoś mnie uspokoiła. Przyszedł obiad: nóż i widelec, nowe upokorzenie. W domu jadało się do syta, a nawet może i dostatnio, ale tylko łyżką. Najbardziej dokuczał mi syn jakiegoś podurzędnika kolejowego, matoł, który gruntował prawie każdą klasę, ale pobierał lekcje języka francuskiego. On był dobrze wychowany, siedzących na szarym końcu stołu nie widział, rozmawiał tylko z tymi, którzy mieli złote paski na kołnierzu[a].

[a] Gimnazjaliści mieli mundurki z kołnierzem ze złotymi paskami.

Raz stałem przy łóżku, gdy przechodził, przez nieuwagę nie ustąpiłem mu z drogi, zawołał na mnie – „Na bok, chamie". Powiedziałem mu coś o wielkich panach, których ojcowie machają czerwonymi chorągiewkami. Uderzył mnie w twarz, łzy zasłoniły mi oczy, rzuciłem się na niego. Było to zuchwalstwo – uczeń szkoły pow[szechnej] rzucający się na ucznia V kl[asy] gimnazjum. Zostałem obity. Niezbyt zresztą silnie, ponieważ do sporu wmieszał się mój krajan z VI kl[asy], który się mną opiekował i dawał lekcje. Przybiegła „Pani", nawymyślała mi, wypomniała, że za mnie płacą tylko 8 koron miesięcznie, a za pana W. 20 koron. Zagroziła mi, że za drugą podobną awanturę wyrzuci mnie z mieszkania. Mój opiekun niespodziewanie postawił się. Oświadczył, że p[an] W. nie miał żadnego prawa uderzyć mnie w twarz, a jeżeli mnie wymówią mieszkanie, to on również je opuści. Sprawę załagodzono i niektórzy starsi, a nawet młodsi wszyscy do p[ana] W. nie odzywali się.

Na stancji były dwie kategorie studentów. Synowie urzędników i mieszczan płacili pełną taksę i mieli pełne utrzymanie, tj. śniadanie, obiad, podwieczorek i kolację – cztery razy w tygodniu mięso. Synowie chłopów, którzy otrzymywali obiad (dwa razy tyg[odniowo] mięso), na śniadanie kawę i na kolację herbatę. Chleb miała ta druga kategoria swój. Nic dziwnego, że panie utrzymujące studentów na stancji szukały przede wszystkiem takich z pełnym utrzymaniem.

Za mnie płacili rodzice miesięcznie 8 koron, [kilogram] masła, ew[entualnie] 1,5 kilograma słoniny, a nadto pewną ilość mąki i korzec ziemniaków rocznie. Co tydzień my ze wsi otrzymywaliśmy po dużym bochenku chleba, garnuszku masła, czasem serek, jesienią owoce i zmianę bieli-

zny. Owoce rozdawało się kolegom, masło wystarczało na dwa, trzy dni, zawsze się kogoś poczęstowało. Najnieprzyjemniej było, gdy przynoszono niektórym podwieczorek. Wówczas my otwieraliśmy kuferki, siadali na nich, krajali kromki chleba, pomaścili masłem, gdy było, ew[entualnie] żuli suchy chleb.

Bardzo często na dzień lub dwa [żywności] brakło, zwłaszcza gdy przysłali dobry chleb. W dnie targowe, po obiedzie, wybiegaliśmy na miasto, by zobaczyć kogokolwiek ze wsi, przywitać się i zapytać, co we wsi słychać. Każdy kto pochodził ze wsi, i przypominał ją, był mile witany. Całując w rękę witałem częstokroć ludzi, na których we wsi nie zwróciłbym uwagi. Wówczas zobaczyłem obraz, którego piękno i szlachetność zrozumiałem dopiero jakie 20 lat później. Na robotach koło Dunajca pracowali w więziennych ubraniach gospodarze z naszej wsi, skazani za rozruchy antyżydowskie[15]. Szedłem wówczas z owym studentem, który się mną opiekował. Gdy podeszliśmy do nich, ów student (zdaje się w tym roku miał zdawać egzamin dojrzałości) pocałował kilku z nich w rękę, taki bowiem był odwieczny zwyczaj powitania w P[isarzowej]. Przynieśliśmy im tytoniu. Odtąd co drugi dzień chodziliśmy do nich, braliśmy od nich pieniądze i zamówienia i przynosiliśmy im tytoń. Po [upływie] roku poszedłem do gimnazjum i sprawiono mi mundurek[16].

W gimnazjum

Przypominam sobie, jak raz odwoził nas mój Ojciec do szkoły, z nami jechał zawsze młody, wówczas przysiadł się stary Sąmir. Na pewnym odcinku droga szła pod górę i poscho-

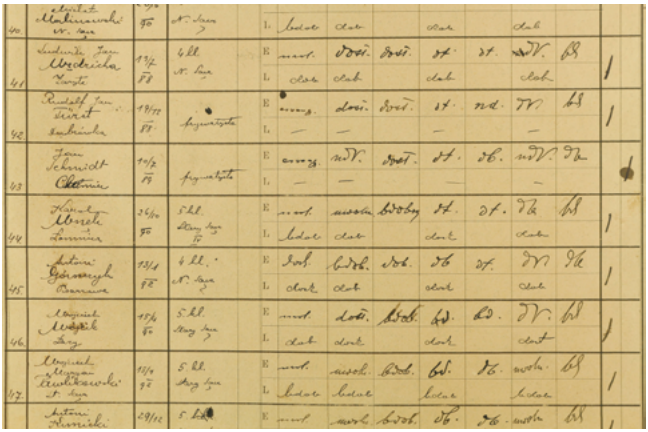

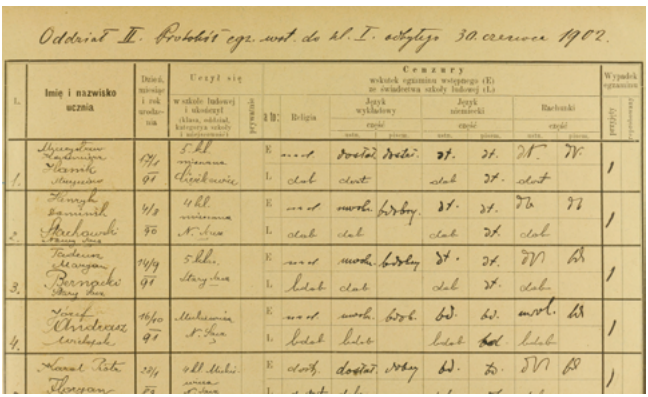

Protokół egzaminu wstępnego do kl. I gimnazjum, 30 VI 1902 r.
AN Kraków Oddział Nowy Sącz, sygn. 31/118/47

dziliśmy z wózka, by ulżyć siwkowi. Słyszałem, jak stary Sąmir (Sędzimir) mówił do młodego: „Wiesz Jaśku, masz się dobrze sprawować, żebyś nam wstydu nie zrobił, nie mówię o naukę, bo będziesz się uczył jak będziesz mógł, tylko żebyś czego nie wskórzył. Pamiętaj, że my przecie nie prości, zbiednieliśmy. Wydałem Marynę – trza było ją wywianować, stodoły trza postawić, bo się zawalają, zsypki jeszcze coś winienem. Szanuj ubranie, bo ciężko nowe sprawić. Wstydu nam nie zrób”[17].

Do gimnazjum uczęszczał syn starosty – Austriak Walter. Ogólnie był znienawidzony za ton, elegancko wyprasowane spodnie (wówczas my mieliśmy je wygniecione na kolanach, a obszarpane u dołu), rękawiczki itp. Korepetycji udzielał mu syn małomieszczanina, który za to otrzymywał u starosty obiady. Raz wynikł spór pomiędzy synem starosty a niejakim Kiełbasą. Starościc ironizował i kpił. Nie mogliśmy wytrzymać, aby syn józefińskiego przybłędy w ten sposób odnosił się do nas, którzy byliśmy solą i pracownikami tej ziemi. Wypożyczyliśmy sobie starościńskiego synka, za którym ujął się znów jego korepetytor. Wówczas Sąmir zawołał: „Broń Jasiu, broń, pani starościna da ci jeszcze jeden sznycel więcej na obiad”. Sala wybuchła śmiechem i do niefortunnego obrońcy przylgnął przydomek „Sznycel”[18].

Profesorzy odnosili się do nas bardzo dobrze, o ile prof[esorzy] odnosić się mogą, różnic ze względu na pochodzenie socjalne rodziców nie robili. Połowa klasy w gimnazjum to byli synowie chłopscy, którzy w ciężkich warunkach żyjąc uczyli się przeciętnie dobrze. Nadskakiwać nie umieliśmy, podlizywać również; pewną poważną trudność sprawiało nam wysłowienie [się], nie umieliśmy sprzedać posiadanych wiadomości, jakiś uraz kazał nam zawsze cofać

się przezornie w tył. Powinszowania imieninowe, [okolicznościowe] przemówienia brali zawsze inni. Przeszkadzało nam również zbyt silnie wyrobione poczucie sprawiedliwości. Krusząc kopie w obronie sprawiedliwości, od początku młodości, aż po wiek męski, brałem cięgi, i jeżeli nie raz w życiu oberwałem, to winny był dom rodzicielski, w którym uczono nas bezkompromisowo iść przez życie i ze sumieniem handlu nie prowadzić.

Warunki dla uczącej się młodzieży pochodzącej ze wsi były wówczas korzystne. Nie było taks administracyjnych, a raczej płacili ją tylko repetenci, po 20 koron rocznie. Żadnych składek organizacyjnych, komitetów rodzicielskich nie było, nikt nie zwracał zbyt uwagi na ubrania uczniów. Książki można było otrzymać z wypożyczalni lub kupić za kilka koron u starszych kolegów. Wpisowe kosztowało 1 koronę, blankiet na rodowód 5 centów, i można było uczęszczać [przez] rok do gimnazjum. Do I kl[asy] szkoły powszechnej poszedłem po ukończeniu 6 roku życia. III klasę przeskoczyłem, w I kl[asie] gimn[azjum] byłem najmłodszym uczniem, nie miałem podstaw języka niemieckiego, i w I klasie nie dałem rady, dostałem dwójkę[19].

Drugi rok uczęszczałem w Tarnowie, gdzie byłem na stancji u siostry naszego proboszcza[20]. Z pobytu w tarnowskim gimnazjum pamiętam profesora, który odbierał nam zabawki i mówił: „Przynoście zabawki do szkoły, będą się moje dzieci miały czym bawić". Religii uczył nas chudy, wysoki ks. Rec[a]. Pożyczał nam książki religijne, czasem dawał pomarańcze. Gdy zachorowałem na tyfus, odwiedzał mnie z jakimś lekarzem Izraelitą, który mnie bezinteresownie leczył. W Tarnowie [większość] czasu wolnego spędziłem w Parku Strzeleckim i na stawie na łódkach. Do klasy II

[a] Ks. dr Michał Rec.

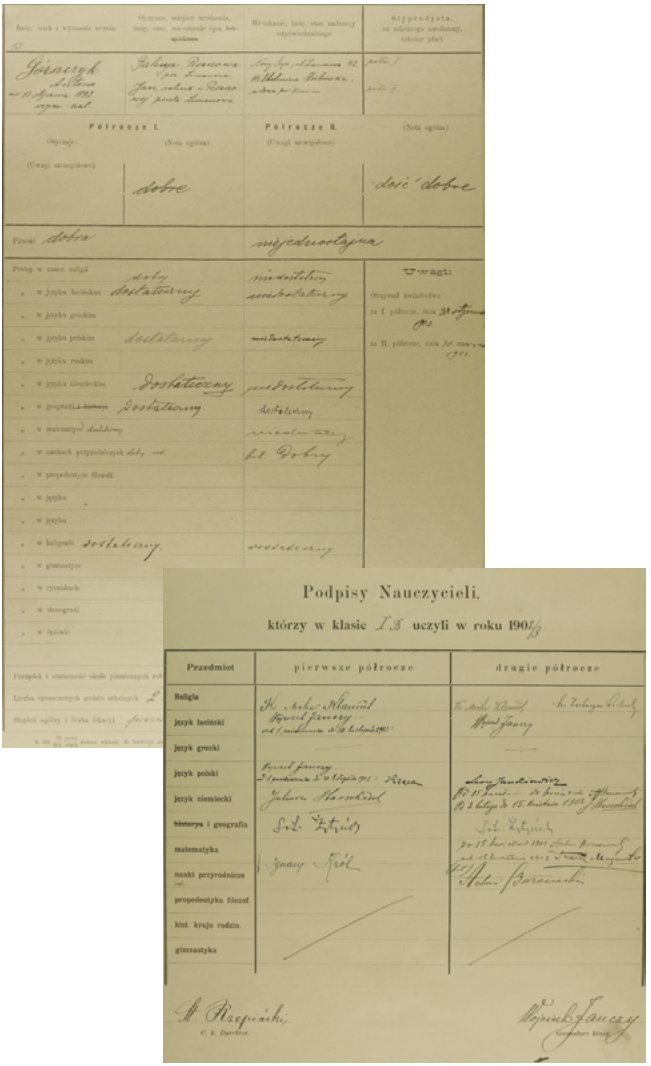

Katalog główny kl. I B, 1902/1903 r.
AN Kraków Oddział Nowy Sącz, sygn. 31/118/20

powróciłem znów do N[owego] Sącza, [...] łaciny uczył nas prof[esor] M.[21], który był również gospodarzem klasy. Po prawej strony klasy siedzieli jego dawni uczniowie, po lewej repetenci, przybysze z innych gimn[azjów] i rozbity oddział D klasy I.

Na stancji byłem również u tej samej „Pani" co poprzednio. Byli tutaj uczniowie niższego i wyższego gimnazjum. Starsi mieli osobny mały pokój, młodsi jeden duży pokój wspólny, 3 uczniów z klasy II miało łóżka w kuchni. Razem było nas na tej stancji coś [z] 16. Nie wiem, co było tego przyczyną, może większe skupisko, dość, że często napadały nas jakieś manie. Przez jakiś czas wiedliśmy zażarte spory i bójki z Żydami, potem robiliśmy okręty i puszczali Dunajcem (okres bitwy pod Cuszimą)[22], w maju odprawialiśmy majowe nabożeństwa, zbudowaliśmy ołtarzyk, zakupili świece, dzwonek. Nabożeństwo odprawiał – ubrany w ornat zrobiony z dwu ręczników – późniejszy ksiądz. Długo zabawialiśmy się wojskiem wycinanym z papieru. Za Zulusów[a], piechotę saską, żuawów[b] wydawałem kromki chleba z masłem, jabłka i grosze, o ile te plątały się koło mojej duszy.

W tym czasie zaczęliśmy również grać w karty, raz przegrałem 4 centy, naśmiewano się ze mnie co niemiara. Wprawdzie kwota nie była znaczna, ale koledzy potrafią być bezlitośni, o ile zechcą. Dojadło mi to, dałem sobie słowo honoru, że więcej w pieniądze grać nie będę. Od tego czasu nie grałem w ogóle w karty, jakkolwiek sposobności było sporo, szczególnie w okopach. Nic w życiu nie skalkulowało mi się tak korzystnie, jak te przegrane wówczas 4 centy.

Na stancji ze mną był niejaki Karol R., który – prześladowany przez jednego z prof[esorów] – wybił mu kamieniem okna i wyjechał do domu. Profesor ów, który mnie

[a] Afrykański lud Bantu, w początkach XX w. stawiał opór Burom i Anglikom.

[b] Żuawi (fr. *zouave*): żołnierze fr. piechoty kolonialnej 1831–1870; także nazwa oddziałów powstańców pol. 1863 r.

również uczył, był przekonany, że i ja brałem udział czynny w tym szybobiciu, co zresztą nie było prawdą, nie dlatego, bym nie miał ku temu chęci, ale z tej przyczyny, że Karol nie chciał mieć wspólników w zbożnym dziele. Belfer przypiął się do mnie. Gdy miał mnie pytać, robił komiczną minę i mówił: „Teraz będziemy pytać jednego filozofa". Klasa podśmiechiwała się spoglądając na mnie. Wówczas podchodził do mnie i zapytywał: „Kochasiu, dlaczego masz taką głupkowatą minę?". W ten deseń kpił ze mnie kilka minut. Gdy już byłem siny z wściekłości, i wbijałem palce w ławkę, by nie wybuchnąć, rzucał jakieś skomplikowane pytanie z gramatyki łacińskiej. Jeżeli odpowiedziałem, rzucał drugie i trzecie, aż nareszcie na czymś potknąłem się, zdenerwowany. Następowało kazanie ze stereotypowym: „Siadaj, masz sześć"[a].

Siadłem do łaciny, obkuwałem ją tak, że wyrabiałem zadania uczniom z klasy III. Przerobiłem cały materiał klasy trzeciej. Ci, którym wyrabiałem zadania w klasie III mieli dobre noty, ja z zadań w klasie II miałem stale niedostateczne. Musiałem coś umieć, jeżeli po 20 latach, gdy mi przyszło odczytywać stare dokumenty pisane po łacinie, to wprawdzie przy pomocy słownika, ale dawałem sobie radę.

Na końcu roku dostałem z łaciny poprawkę, której nie zdałem. Drugi profesor, który był przy poprawce odwołał mnie na bok i poradził mi, abym się przeniósł do innego gimnazjum, bo tu nie dam rady.

[a] W Austro-Węgrzech zóstka była oceną niedostateczną, a jedynka celującą.

W seminarium: uczniowie i uczący

Pojechałem do Starego Sącza, gdzie było seminarium nauczycielskie i zapisałem się na kurs przygotowawczy. O żad-

nym zawodzie nauczyciela nie myślałem, nie chciałem jedynie wracać do domu. Doświadczenie ostatniego roku zwarzyło mnie zupełnie i odebrało ochotę do [nauki w] gimn[azjum]. Egzamin do seminarium zdałem dobrze, zacząłem chodzić w cywilnym ubraniu. Seminarium to niedawno otworzono, słuchacze rekrutowali się z „wykolejeńców" z całej ówczesnej Galicji. Na ławie szkolnej zasiadali eksgimnazjaliści, były wachmistrz żandarmerii, eksorganista, wysłużeni żołnierze, którzy obecnie kończyli studia, czeladnicy szewscy i kuśnierscy, itp. element. Rozpiętość wieku wahała się od 15 do 32 lat. Rozpiętość rozwoju umysłowego była stanowczo większa. Gros słuchaczy, to byli ludzie bardzo zdolni, którzy jednak nie mogli pomieścić się w ciasnych ramach ówczesnego ustroju szkolnego[23].

To samo było można powiedzieć i o profesorach; obok bardzo zdolnych i bardzo rogatych byli również i bardzo słabi. Jedni z uczniów uczęszczali do kilku zakładów, znali duży szmat kraju, inni natomiast nie widzieli nic poza Starym Sączem i kołtuńskim otoczeniem. Stary Sącz – miasteczko liczące kilka tys[ięcy] mieszkańców, położone w ślicznej dolinie Dunajca i Popradu, zamieszkały przez zacnych i gospodarnych rzemieślników i chłopów – nie był środowiskiem odpowiednim dla tego rodzaju zakładu naukowego; żadnego ruchu umysłowego nie było tu ani śladu[24].

Stancję wyszukałem sobie u mieszczanina kowala, który równocześnie miał 24 mórg roli. Byłem znów najmłodszym na stancji i w klasie[25]. Moim utrapieniem były lekcje muzyki, nie miałem bowiem słuchu, zaś nasz profesor muzyki (kompozytor, okultysta) miał [słuch] bardzo dobry i każde odchylenie natychmiast zauważał. Na domiar złego, miałem skrzypki kupione po jakimś Cyganie. Miały tak silny

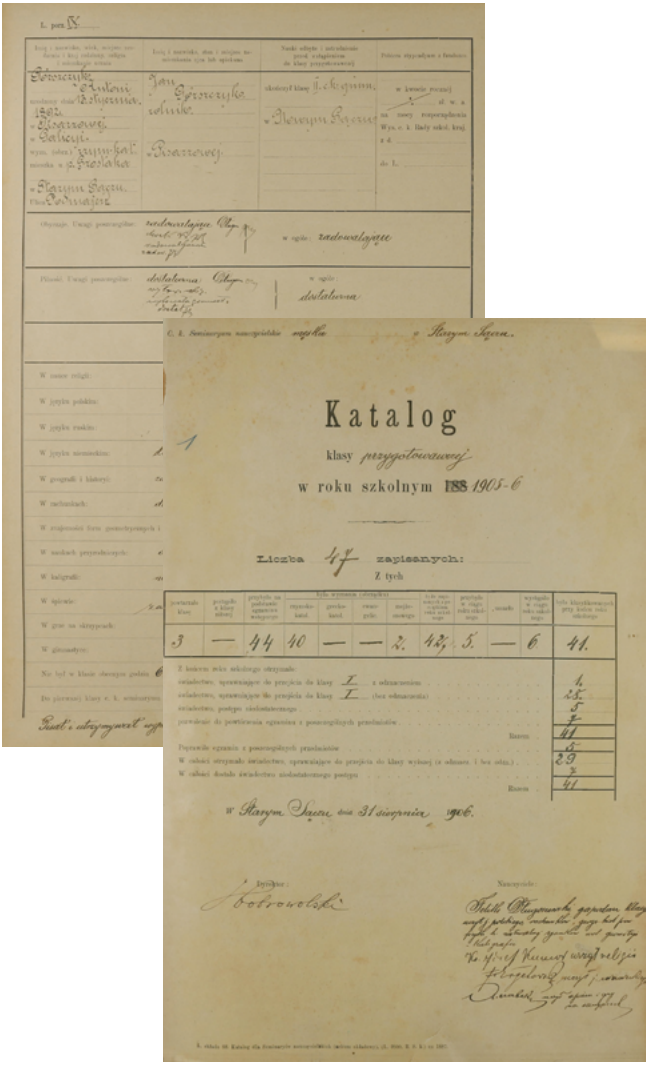

Katalog

klasy przygotowawczej

w roku szkolnym 1905-6

Liczba 47 zapisanych:

Z tych

| postawiono klasy | przegląd z klasy niższej | przyjęto na podstawie egzaminu wstępnego | Było wezwanie (obrządek) | | |

Widok Starego Sącza od strony Podmajerza.
Nar. Arch. Cyfrowe, sygn. 1-U-5936

Stary Sącz, ul. Mickiewicza, pocz. xx w.
Muzeum Regionalne im. S. Udzieli w Starym Sączu

ton, gdy grałem na strunie d i g, że każdą sfałszowaną nutkę, nawet wówczas [kiedy] cała klasa ćwiczyła, zauważał wrażliwy na czystość tonu profesor i rzucał batutą w moim kierunku. Nauczyłem się [zatem] poruszać smyczkiem nie dotykając strun[26].

W klasie był duży odsetek uczniów, synów kolejarzy z N[owego] Sącza, którzy dojeżdżali pociągiem. Był to element ruchliwy, hałaśliwy i zadzierżysty, w pewnym sprawach miał swoistą, kolejarską etykę[27]. Nie mogłem z nimi znaleźć wspólnego języka. [W nauce] trudność sprawiały mi jedynie sztuki piękne. Jednym z przedmiotów była kaligrafia. Pisałem jak umiałem, na półrocze otrzymałem z tego przedmiotu niedostateczną ocenę. Od półrocza kaligrafię pisał za mnie sąsiad, ja zaś wyrabiałem za niego niemieckie zadania i na końcu roku z kaligrafii miałem bardzo dobrą ocenę. Nauka nie poszła w las. [Ciężko] szły mi również rysunki, więc za matematyczne i polskie zadania jeden z kolegów oddawał za mnie gotowe rysunki.

Miało to pewną niedogodność, a mianowicie, że na wyznaczonej na zadanie godzinie musiałem napisać wpierw zadanie dla kolegi, a następnie pisałem dla siebie. Ale noty z rysunków miałem bardzo dobre, chociaż znałem jedynie barwy zasadnicze, a o malowaniu miałem bardzo problematyczne wiadomości[28]. Później, bo na trzecim kursie, wynikł z tego zabawny incydent. Przed zakończeniem roku szkolnego była wystawa prac uczniów, na sali było trochę publiki i profesor rysunków. Weszło nas kilku kolegów roześmianych, ja zaś, znając technikę malarską kol[egi] Polichta H.[a] [rzekłem] głośno: „Na tej ścianie to wszystko «malunki» Polichta". Koledzy śmieją się, profesor wściekły rusza wąsami i zbliża się do mnie. Nie rozum[iałem], co

[a] Henryk Policht – repetent, syn rolnika z Wiatrowic, jeden ze starszych uczniów (ur. 1888 r.).

to ma znaczyć, ale przypatrzywszy się bliżej rysunkom zauważyłem, że poważna ich ilość [nosiła] mój podpis. Kolega, któremu pisałem zadania, oddawał za mnie rysunki, ja zaś nie zadałem sobie trudu, aby je obejrzeć i na wystawie ich nie poznałem.

Opinia wsi

Rok przeszedł szybko i łatwo, przyjechałem na wakacje. We wsi powstało poruszenie, przyjechałem bowiem w cywilnym ubraniu. Wypędzili ze szkoły sejmejaka, mówili jedni, polny ksiądz – mówili drudzy. Opinia wsi pragnęła, by studenci szli do sem[inarium] duchownego, bo to przecież dla wsi honor, dla rodziny prelit. Nasza wieś nie miała pod tym względem stanowczo szczęścia. Jeden ze starszych kolegów, po ukończeniu gimnazjum, przez wakacje potakiwał życiodawcy, że pójdzie na księdza. Po ukończeniu tychże, zaopatrzony w grubszą gotówkę (na rewerendę[a], książki i godne kleryka rekwizyta) wyjechał do Krakowa, skąd przysłał list. List zaczynał się tymi słowy: „Kochany Ojcze, donoszę Wam, że zapisałem się na filozofię, nie na teologię". Gdy wytłumaczyłem jego Ojcu, co znaczy filozofia, odrzekł: „Psio krew, jo życie zdarłem i nie wiedziałem co to filozofia, a on na filozofię poszedł". Od tego czasu nie dopomagał mu zupełnie. Następny okaz posiadał dużo charakteru i światlejszego Ojca. Po maturze, zapytany przez Ojca, czy pójdzie na księdza odrzekł, że syna ofiaruje na księdza, a sam pójdzie na profesora. „Ty psiaduszo, jak sam nie idziesz, to syna nie ofiaruj". Trudności mu żadnej w domu nie robiono, czasem ino matka ofiarowała swe strapienie Bogu. Ostatecznie wieś postawiła na trzeciego. Syn

[a] Sutannę (łac. *reverenda*).

bogobojnych ojców, stale sługiwał do mszy, matka stale mawiała, że o niczym innym nie myśli, tylko o tym, aby dożyć prymicji[a]. Ale i ten się zlisił. Po maturze odsłużył w armii austriackiej rok, wystąpił z niej jako kadet, o własnych siłach ukończył we Wiedniu akademię eksportową, został urzędnikiem kasy komunalnej. Zginął [potem] nad Nidą jako oficer legionowy.

[a] Prymicja – pierwsza msza odprawiona przez nowo wyświęconego księdza (łac. *primitiae*).

Wówczas wieś przypomniała sobie pewne podanie lokalne, głoszące że ks. Najduch przed zgonem w więzieniu przeklął P[isarzową] wioskę i oświadczył, że nie dochowa się swego księdza.

We wsi zaczęto patrzeć na mnie nieufnie. Gdy zaś dowiedziano się, że idę na nauczyciela, machnięto na mój los ręką.

Książka

W domu podczas wakacji pasałem bydło, czyściłem stajnię, nosiłem wodę, czasem jeździłem koniem. Podczas tych to wakacji zetknąłem się po raz pierwszy z książką polską (powieścią). Sędzimir przyniósł z Limanowej z TSL[29] paczkę książek do czytania, pomiędzy którymi była *Trylogia*. Zabrałem kilka do domu, a mój najstarszy brat dobrał się do *Ogniem i mieczem*. Siadywał pod płotem kwiatowego ogródka i tam czytał, oderwać go było niemożliwością, na wszelkie nawoływania odpowiadał opryskliwie lub mruczał. Jedynie mama posiadała możność oderwania go od książki. Przy czytaniu *Potopu* nikł. Kopaliśmy w tym czasie studnię obok domu. Z powodu pilnych sianokosów roboty przerwano. Po południu, przechodząc koło studni, usłyszałem syk, to wołał mnie brat. Prosił, abym mu przyniósł skrycie chleba i mleka i [...] nikomu nic nie mówił, bo on musi

dokończyć czytać. Wylazł ze studni wieczorem, wysłuchał kazania, a na drugi dzień czytał dla odmiany na dębie. *Trylogię* czytaliśmy [według] wieku: Piotr, Staszek, następnie ja. Nawiasem mówiąc, czytałem *Trylogię* z 10 razy, gdy jednak czytałem ją po raz pierwszy (w wieku 13 lat), pomijałem stale wszelkie opisy przyrody, wyszukiwałem jedynie opisy batalii, marszów.

Drugi mój brat, Staszek, od wczesnej młodości nosił stale ze sobą ołówek i rozmaite szpargały. Początkowo nosił je w zanadrzu, potem po kieszeniach. Każdą rzecz zapisywał na drzwiach, słupach i ścianach budynków gospodarczych. Gdy podrósł, nie wydawał na nic groszy, a za oszczędności kupował książki. Jako kawaler miał bibliotekę [złożoną z] około 200 tomów. Zbiór był rozmaity, zakupywał książki, które zobaczył na wystawie. Były to książki wartościowe, były i powieści z tysiąca i jednej nocy. Pomiędzy parobczakami był bezsprzecznie unikatem. Nie pił, umiarkowanie palił, był spokojny, zrównoważony, a równocześnie wesoły. Największą przyjemność można mu było sprawić pożyczając od niego książki lub rozmawiając z nim o nich.

Poczytnością w tym czasie cieszyli się Sienkiewicz i Rodziewiczówna. Była również biblioteka Macierzy czy też Oświaty Ludowej na plebanii. Pożyczało się tam *Wieczory pod lipą*, *Pielgrzyma w Dubrowniku*, *Żywot Beldonka*. Brat Staszek o bibliotece księdza wyrażał się z lekceważeniem, jakkolwiek spełniała i ona swoje zadanie, przyzwyczajała bowiem wieś do czytania.

Następny rok mieszkałem u majstra kominiarskiego. Było nas trzech kolegów, mieliśmy ładny pokój z osobnym wejściem, dobre utrzymanie, a przede wszystkim rodzina majstra była inteligentna i miła, drobne dzieci nie prze-

szkadzały nam w nauce zupełnie. Wówczas zaprzyjaźniłem się ze starym znajomym z gimnazjum Bembynkiem R.[30] i synem starosądeckich mieszczan Fr[anciszkiem] Skoczniem[31]. Wszyscy trzej byliśmy pierwszymi uczniami kursu. Razem chodziliśmy, uczyliśmy się, a przede wszystkim staczaliśmy stale ze sobą homeryckie boje, do których nie wolno było nikomu mieszać się.

Profesorzy, począwszy od II roku, byli starsi i bardzo wartościowi: Sowa[a], Drożdż, Nowak, Czerbak, ks. Kumor. Gospodarzem klasy był pr[ofesor] Sowa, rodem z Nowego Sącza. Uczył fizyki i matematyki. Odnosił się do nas prawie że po koleżeńsku, dobrze wykładał, żartował. Raz przyjechał do St[arego] Sącza, gdzie były sławne jarmarki na konie. Nie chciałem, by kupiono konia bez mego czynnego współudziału, tym bardziej że brat Staszek stanowczo zażądał siwka. Targowica była tuż obok seminarium. Zwracam się do prof[esora] Sowy z prośbą o zwolnienie z dwóch godzin, jako powód podaję kupno konia.

[a] Leon Sowa.

Profesor namyśla się, wówczas jeden ze starszych kolegów, mówi: „Panie profesorze, koń to bajka, on chce się zobaczyć z Zosią". –„Tak mów! Prędko biegnij, Zosia nie może na ciebie oczekiwać. Nie mogę pozwolić, by moi uczniowie byli źle wychowani i pozwolili na siebie czekać". Gromki śmiech był odpowiedzią. Naturalnie Zosia była legendą, ale na drugi dzień, na dłuższej przerwie uchwaliliśmy zawsze być punktualni, bo prof[esor] Sowa powiedział, że spóźnianie się jest cechą złego wychowania. Ergetowski[32] uczył historii i geografii, kazano mu uczyć i języka niemieckiego, ale noty tego ostatniego przedmiotu uzależniał od noty z historii, którą w tym okresie czasu wspaniale wykładał. Jako podręcznika używaliśmy Zakrzewskiego. Okazało

się jednak, że [na] dobrą notę to nie wystarczy. Za bajońską dla ucznia sumę 120 koron, kupiłem dwunastotomowe wydanie *Historii* Korzona[33]. Pobory miesięczne nauczyciela początkującego wynosiły wówczas 50 koron. Uczeń utrzymywał się za 20 koron miesięcznie. Ergetowski był surowy, nieprzystępny, sprawiedliwy, czasem rzucił jakieś słówko, które dawało wiele do myślenia. Pracował bardzo intensywnie w Sokole i TSL.

Literatury uczył nas profesor Despinoix[34], a następnie profesor Drożdż[35], obydwom bardzo dużo zawdzięczaliśmy, Despinoix, jako Francuz, zwracał uwagę na lekkość języka, Drożdż zwrócił nam uwagę na ideę niepodległości przesnuwającą się w najnowszej ówcześnie literaturze.

Najpocieszniejszy był suplent Nowak, przyrodnik, i najbardziej lubianą figurą. Zawsze roztargniony, prawdziwy męczennik nauki. On wyrobił w nas przyrodniczy pogląd na świat[36]. Chodził bez czapki, miał artystyczny, czarny krawat, był wolnomyślny, z czym się bynajmniej nie krył, był stale na stopie wojennej z katechetą P.[a], co wszystko jednało mu naszą życzliwość. Wszystko to wyrażaliśmy mu w ukłonie, w którym była miłość, szacunek i trochę pobłażania.

[a] Prawdopodobnie chodzi o jezuitę ks. Michała Przywarę.

Muzyki uczył nas profesor Czerbak, człowiek bardzo zdolny i stale zajęty, prawdziwy artysta, świetnie prowadził chór i orkiestrę, uczył mniej, bo albo zajęty był tworzeniem symfonii lub marsza, albo przygotowywał występ artystyczny lub zajmował się okultyzmem.

Jakkolwiek z muzami nie miałem nic wspólnego, to jakoś tolerował mnie, dzięki temu, że zbierałem mu piosenki ludowe. Zresztą o ile każdy z profesorów, nawet naucz[yciel] kaligrafii, twierdził, że jego przedmiot jest najważniejszy, to Czerbak słynął z twierdzenia, że źle byłoby, gdyby

było za dużo artystów, nawet muzyków zbyt wielu byłoby dla społeczeństwa balastem. Miał zupełną słuszność, on, jeden jedyny artysta w kilkutysięcznym mieście, nie mógł się pomieścić. Reakcja postarała się o jego usunięcie, jak również o usunięcie prof[esora] Nowaka. Za nich przyszli dobrzy ludzie, pilni nauczyciele, ale rzemieślnicy. Zapalić do żadnej idei nie potrafili, spełniali jedynie instrukcje c.k. Rady Szkolnej Krajowej.

Religii uczył nas do III roku ks. Kumor[a]. Był to człowiek rubaszny, szorstki, o mir u uczniów nie starał się, ale był ogólnie lubiany. Wiedzieliśmy, że broni każdego na konferencji naucz[ycielskiej]. Gdy mu raz udowadniano, iż jeden z uczniów jest hultaj, odrzekł: „Jak go wypędzicie, to zrobicie z niego prawdziwego hultaja, weźcie go w opiekę i zróbcie z niego porządnego człowieka".

[a] Ks. Józef Kumor.

Miał ciekawą metodę nauczania. Twierdził, że młody człowiek, który myśli i wierzy, musi mieć wątpliwości; jeżeli ich nie ma, to jest bałwan. Wobec tego my mieliśmy stale wątpliwości, tym bardziej, że miało to bardzo dobre strony. Ile razy ks[iądz] prof[esor] wyjmował notes, aby pytać, wówczas zgłaszało się kilku z wątpliwościami. Dyskusja trwała przeciętnie przeszło pół godziny. Ostatecznie ksiądz orientował się, chwytał za głowę, oświadczał, że drugą lekcję przeznacza na pytanie i rozpoczynał wykład. Po wyjściu jego wyznaczaliśmy, kto na następną lekcję ma mieć wątpliwości z nauki religii. Nie było to sprawą lekką, nie wystarczało wątpić – trzeba było powtórzyć odpowiednie partie historii kościoła, uchwały soborów, czasem liturgię, zawadzić o jakiegoś ojca kościoła lub figurę starego zakonu. Dwu wyznaczono do wątpliwości, dwu albo trzech oponentów. Trzy lata trwała ta komedia, nam zdawało się, że nabiera-

my swojego ks[iędza] prof[esora], tymczasem on nas szpetnie nabierał. Religii poświęcaliśmy sporo czasu, chcieliśmy ją zrozumieć. Sprawa wyjaśniła się podczas wizytacji. Jakiś kanonik tarnowskiej kapituły chciał się pobawić naszym kosztem przekręcając jakiś werset, czy coś podobnego.

Byliśmy przyzwyczajeni do dyskusji, fioletowe wszywki i półfuntowy krzyż nie zmieszały nas zupełnie. W klasie zawrzało, jak zaczęliśmy sypać wersetami, cytatami, ktoś w zapale otworzył historię kościoła i podtykał tarnowskiemu dostojnikowi pod purchawkowaty nos. Wówczas kanonik palnął nam pochwalną mówkę, podziękował ks[iędzu] prof[esorowi], zaznaczając, że podobnie miła przygoda trafiła mu się po raz pierwszy w życiu.

Po nim przyszedł młody katecheta. Już to samo, iż przyszedł po ks. Kumorze spowodowało, że ustosunkowaliśmy się do niego negatywnie. Nowy katecheta nosił szarfę jezuitów, nie miał natomiast wysokiej kultury i głębokiej wiedzy członków TJ [Towarzystwa Jezusowego]. Gdy na domiar tego przekonaliśmy się, że nocami nas szpieguje i oświeca po szpiegowsku elektryczną latarką, że robi wielką różnicę pomiędzy sodalisami, a nienależącymi do sodalicji, znienawidziliśmy go. Raz w retorycznym zapale oświadczył, że woli widzieć ucznia leżącego w chrześcijańskim błocie, aniżeli chodzącego w pogańskiej cnocie. To powiedzonko dostało się na nasze zdrowe, bo młode ząbki.

Internat

Młody ksiądz zakrzątnął się koło internatu. Zachodziła istotna potrzeba założenia tegoż[a]. Wprawdzie wielu dojeżdżało z N[owego] Sącza, wielu mieszkało u rodziców

[a] Internat od 1908 r., po usilnych staraniach dyrektora zakładu Józefa Dobrowolskiego.

w N[owym] Sączu, ale była grupka uczniów, która nie należała ani do kolejarskiej rodziny, ani do starosądeczan. Pań żyjących z utrzymywania studentów nie było, trzeba się było przygodnie gdzieś umieścić. Jednakowoż nastrój, jaki zapanował w internacie był odstraszający. Zgrupowały się tam jednostki najsłabsze, wyrobiło się lizusostwo i donosicielstwo. Do internatu nie poszedłem, rodzice dawali mi więcej aniżeli potrzeba mi było, a to z tego powodu, że miał to być niejako spłat z gruntu. Ojciec zresztą stał stale na stanowisku dobrego hodowcy, że kto chce dobrze pracować, musi dobrze jeść i mieć głowę spokojną. Mieszkałem nadal prywatnie.

Ruchu umysłowego w miasteczku nie było. Ośrodkiem zebrań był Sokół, ale uczniowie mieli tam wzbroniony wstęp. Przedstawienia odbywały się bardzo rzadko, wrażenie niejakie zrobił *Kościuszko pod Racławicami*, duży jakiś akt z *Zaczarowanego koła* Rydla[a]. Kilku z nas było pieszo w N[owym] Sączu na *Weselu*, którego wrażenie zostało niezatarte. Dwu z nas wyjechało specjalnie w tym celu do Krakowa, by być na przedstawieniu *Dziadów*. Z Rudkiem B. byliśmy w Krynicy na *Moralności pani Dulskiej*. Tak przejęliśmy się nie tyle sztuką, ile aktorkami, że powracając pieszo do Muszyny, skąd odchodził pociąg, pobiliśmy się o Irenę Trapszo[b]. Bój zażarty skończył się w Powroźniku, w fosie przydrożnej, niestety, przedmiot sporu nigdy się o nim nie dowiedział.

[a] Lucjan Rydel (1870–1919) liryk, autor baśni scenicznych, tragedii historycznych, poematów, opowiadań.

[b] Irena Trapszo-Chodowiecka (1868–1953), aktorka teatralna.

Kasa

W owym czasie założyliśmy kasę pożyczkową, do której należał Rudek B[embynek], Skoczeń i ja. Statut ułożyli-

śmy, określili odsetki, złożyli kapitał i przeznaczyli na co obrócimy czysty zysk. Jakiś czas wszystko szło dobrze, potem jednak potoczyło się zwykłą u nas koleją. Dwu pożyczkobiorców po nabraniu [długów] przestało nas odwiedzać. Rudek, zawsze potrzebujący, ogłosił strząśnienie ciężarów, policzył zapłacone odsetki za kapitał, i wycofał się ze spółki. Franek Skoczeń tyle był winien, ile złożył, poszkodowanym zostałem ja, ponieważ nie mogłem wycofać włożonego kapitału. Dziś, po 30 latach, Rudek, pomimo pięknej gaży oficerskiej, niczego nie złożył, Franek natomiast kupił sobie domek i parcelę.

Stosunki starosądeckie

Najgorzej w St[arym] Sączu było z książką. Biblioteka seminarialna była tak blada, bezpłciowa, że nie budziła żadnego zainteresowania. Zakup książek był pod ścisłą cenzurą dyrekcji. Literatura nowożytna kończyła się na Kraszewskim i Sienkiewiczu[37]. Miasto nie miało żadnej biblioteki. TSL miało jakąś bibliotekę w Szkole, ale ta była dla nas niedostępna. Czasem wpadła nam jakaś wartościowa książka z N[owego] Sącza, najczęściej jednak były to mało wartościowe tłumaczenia francuskich romansideł. Dobre dzieła mieli Promieniści (należeli tam koledzy z dwóch najważniejszych kursów), jednakże byli oni zakonspirowani i lektury nie wypuszczali ze swych rąk. Kto należał do tej organizacji, dokładnie nie wiedzieliśmy, co do kilku byliśmy pewni. Nosili oni czarne kołnierzyki, niektórzy nosili białe, bardzo wysokie *Vatermördery*[38], golili głowy, katecheta wymyślał im od socjalistów i malował przed nimi miłą perspektywę ognia piekielnego[39].

O ile sobie przypominam, to na 1 Maja 1908 r. urządzili oni zebranie na pastwisku gminnym na Podmajerzu[40]. Na stół wyskoczył jeden słuchacz IV roku i z tego piedestału wygrażał szlachcie, kapitałowi i koronowanym głowom.

Zakończył, że głowami koronowanymi wybrukujemy drogę, po której przejdzie wolny lud. Mowa na ogół podobała się nam, jedynie nie przekonywało nas zdanie, by można było dobrze wybrukować drogę głowami czterech cesarzy, kilkunastu królów i dwudziestu kilku książąt (bo tylu ich wówczas było w Europie). Rynek starosądecki był wprawdzie wybrukowany granitowymi, kocimi łbami, ale tych było tysiące, a nie 40 sztuk.

Na 3 Maja urządzał Sokół pochód, który w ów rok był dobrze zorganizowany. Słuchacze seminarium szli parami, ktoś zaśpiewał *Gdy naród do boju*[a]. Momentalnie podchwycono melodię i około 100 młodych głosów wrzało – *Panowie...*Wnet w bogobojnym mieście Bryjowie[b], gdzie to siedzibę obrała sobie św. Kinga, i gdzie wyrabiano buty dla c.k. infanterii – huczało. *O cześć wam panowie, magnaci*. Jeden z nauczycieli zaintonował: *Jeszcze Polska...* Dyrektor przyspieszył kroku i biegnąc truchcikiem wzdłuż naszych szeregów spoglądał na nas przerażonym wzrokiem. Gdzie był dyrektor, tam śpiewano pieśń Legionów Dąbrowskiego, w oddali natomiast grzmiała pieśń 1831 r. Doszliśmy pod farę, tu, przy cysternie na dwumetrowym kamiennym słupku, stał smutny wieszcz, otulający się peleryną przed sławnym starosądeckim wiatrem.

Ktoś palnął bladą mówkę, następnie na trybunę wszedł nasz profesor Nowak. Mówił pięknie o ideałach Kołłątajowskiej Kuźnicy i przywitał świat pracy, który ujmuje w swe spracowane dłonie sprawę walki o niepodległość. Wspo-

[a] Pieśń znana pt. *Szlachta w roku 1831*. Utwór powstał w 1835 r., popularny od poł. XIX w.

[b] Potoczne określenie Starego Sącza; od bryjki, potrawy na mące i mleku.

Magistrat i c.k. seminarium w Starym Sączu, pocz. xx w.
Muzeum Regionalne im. S. Udzieli

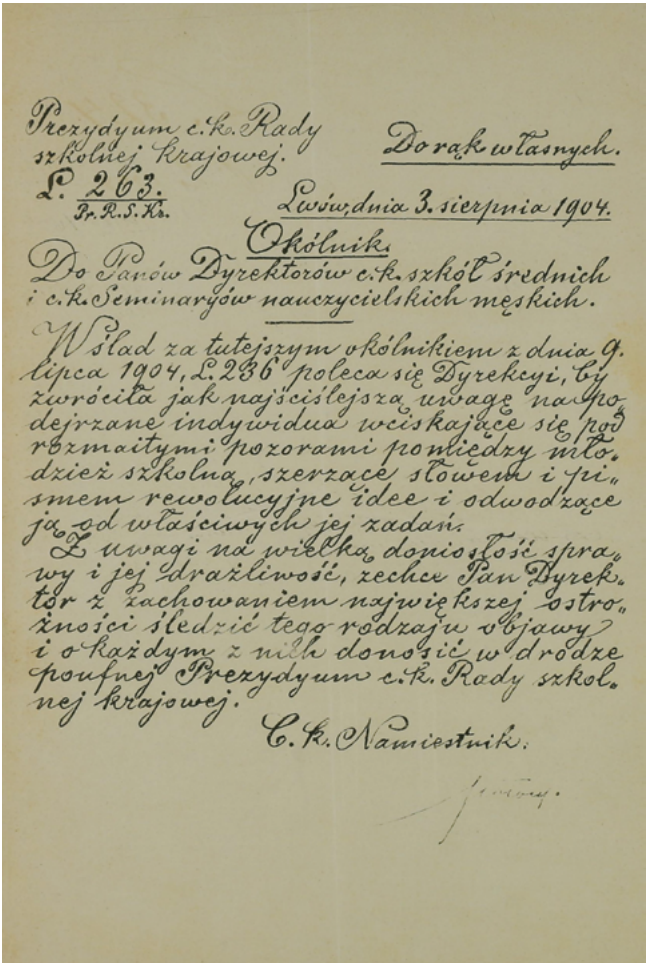

Prezydyum c.k. Rady szkolnej Krajowej.

L. 263.
Pr. R. S. Kr.

Do rąk własnych.

Lwów, dnia 3. sierpnia 1904.

Okólnik.

Do Panów Dyrektorów c.k. szkół średnich i c.k. Seminaryów nauczycielskich męskich.

Wślad za tutejszym okólnikiem z dnia 9. lipca 1904, L. 236 poleca się Dyrekcyi, by zwróciła jak najściślejszą uwagę na podejrzane indywidua wciskające się pod rozmaitymi pozorami pomiędzy młodzież szkolną, szerzące słowem i piśmem rewolucyjne idee i odwodzące ją od właściwych jej zadań.

Z uwagi na wielką doniosłość sprawy i jej drażliwość, zechce Pan Dyrektor z zachowaniem największej ostrożności śledzić tego rodzaju objawy i o każdym z nich donosić w drodze poufnej Prezydyum c.k. Rady szkolnej krajowej.

C. k. Namiestnik.

Jaworski.

Okólnik c.k. Rady Szkolnej Krajowej dla dyrektorów szkół średnich i seminariów nauczycielskich, 3 VIII 1904 r.
AN Kraków, sygn. 29/490/136

mnienia 1905 r. były świeże. Za dwa miesiące radykalnego profesora przeniesiono do jeszcze bardziej zapadłej (aniżeli St[ary] Sącz) mieściny[41].

W ów brzemienny w wypadki rok, ostatnia awantura miała miejsce podczas nabożeństwa na zakończenie roku szkolnego. Po mszy zaśpiewano na chórze *Hymn* austriacki. Młodzież śpiewała go zawsze niechętnie, nigdy jednak do skandalu nie dochodziło. Wówczas jednak, nie wiem, czy to było zaaranżowane, czy nie, bo do chóru nie należałem, każdy głos brał tak fałszywie i w różnych tempach, że wytworzyła się istna kakofonia. Rozgniewany prof[esor] muzyki wpadł pomiędzy chórzystów z batutą, ci zaś rozbiegli się, ucichł śpiew, słychać było jedynie tupot nóg i organistę wygrywającego melodię *Hymnu*.

Następne dwa lata ciekły normalnym korytem, pewną nowość stanowił przyjazd artystki malarki Rychter-Janowskiej, [i] jej zadeszczone zwykle krajobrazy; głucha fama szła wśród przerażonej gawiedzi mieszczek, że maluje akty[42]. Oczekiwano w związku z tym bezeceństwem strasznych skutków dla miasta, i z tej tylko przyczyny kometa Haleya miała rzekomo pokazać się nad Starym Sączem.

Bardzo często urządzaliśmy sami wycieczki nad Dunajec, Poprad lub nad stromy, prawy brzeg Popradu. Raz w niedzielę, po południu, idąc przez wieś Myślec, zauważyliśmy ładny obraz. W obejściu dużego gospodarstwa przed sienią na ławce siedziała ładna, może osiemnastoletnia dziewczyna i czytała głośno książkę, druga, młodsza, stała obok niej i trzymała ją za szyję. Najmłodsza przykucnęła przed czytającą i patrzyła w jej oczy, a o odrzwia otwartej sieni stał oparty gospodarz i pykał fajkę. Książka musiała być zajmująca, bo opodal stał z pełnym koszem paszy parobek i rów-

nież słuchał. Grupa prosiła się o pędzel Wodzinowskiego[43]. Obejście w półcieniu, niebieskawa ściana domu, złotawe drzewa, ściany budynków gospodarskich, drób na podwórzu, biała sukmana gospodarza na tle ciemnej sieni, białe koszule, czarne gorsety, różowe spódnice grupy dziewcząt, stanowiły śliczny obrazek. W powrotnej drodze rozmawialiśmy długo o znaczeniu książki i przyszliśmy do przekonania, że jedną z pierwszych prac nauczyciela na wsi jest założenie biblioteki.

W tym roku rozpoczęliśmy uczęszczać do szkoły ćwiczeń na lekcje pokazowe i wzorowe. Zaczęliśmy niby wprawiać się dla zawodu. Rozmaicie to wychodziło, na ogół wychodziliśmy dzięki uczynnej pomocy nauczycieli szk[olnych] ćwiczeń obronną ręką.

Raz podczas lekcji prowadzący dał uczniom do wyliczenia, ile jest 7 razy po 5 jaj. Na konferencji dyrektor pomiędzy innymi uwagami zwrócił mu i tę, że nie należy używać takich słów, jak jaja. „A jakich?". Zapytał z głupia frant J. Kędzierski. „Można powiedzieć na przykład owoc kurzy" – odrzekł dyrektor. Na następnej lekcji tenże Józek z komiczną powagą zadawał takie pytania, jak np. 5 razy 8 owoców kurzych, 9 razy 4 owoce kurze itd., aż mu zwrócił uwagę nauczyciel szkoły ćwiczeń, by dał tym owocom już spokój, bo parsknie śmiechem.

Dyrektor

Z dyrektora mieliśmy sporo pociech; był to człowiek starej daty, wspominał nieraz, że chodząc do szkoły nosił niejednokrotnie za używanie polskiej mowy dużą drewnianą książkę na plecach[a]. Używał często wyrażeń z *Biblii księdza Wuj-*

[a] Dyrektor Józef Dobrowolski.

ka, które obecnie miały inne, czasem dwuznaczne znaczenie. Kapitalnie wyglądał w pierogu, z rożenkiem przy boku, jak ubierał się w każde święto panującego domu. Stale mawiał nam, że pokorne cielę dwie krowy ssie i ażeby jak najczęściej schylać się, a unikniemy wielu przykrości. Był on żywym wykładnikiem stańczykowskiego kursu politycznego. Zbrodnią było, gdyby uczeń gwizdnął, grzechem wołającym o pomstę do nieba było ślizganie się, czytanie gazet lub listów od panny. Na IV kursie kupił mi Ojciec rower, byłem jedynym uczniem posiadającym ów środek lokomocji. Raz zatrzymał mnie dyrektor, mówiąc: „Masz rower, jako student możesz jeździć, ale jako nauczyciel nie mógłbyś się pokazać na takim farmazońskim wehikule. Popatrz tylko, jaką nieprzyzwoitą pozę ma każdy jadący na rowerze, jaką ma linię!". Szczęściem, mimo całej poczciwości, grono nie zwracało na niego zbytniej uwagi, duchem zakładu nie był, przechodził już obok życia, któremu ton nadawali bliżej nam duchowo stojący, młodzi suplenci[a].

Raz wyłoniła się kwestia tańca, jeden z kolegów, którego zdążono usunąć już z trzech zakładów naukowych, przekonał nas, że musimy nauczyć się tańczyć. Na wsi sztuki tej nie posiądziemy, nietańczący zaś mężczyzna musi z konieczności przesiadywać w bufecie. Bawić się mieliśmy ochotę, do picia jakoś nikt chęci nie zdradzał. Zdawaliśmy sobie już sprawę, że pobory naucz[ycielskie] nie pozwolą na zbyt czynne popieranie bufetu. W miasteczku zjawił się jakiś nauczyciel sztuki tańca, poszliśmy więc do dyrektora w deputacji. Dyrektor nałożył mankiety i zapytał, o co chodzi. Gdy wyłuszczyliśmy mu sprawę, zgodził się, wówczas prosiliśmy, by pozwolił nam na zakończenie kursu na jeden komplet z panienkami z odbywającego się już kursu, za-

[a] Zastępcy profesora gimnazjalnego (łac. *supplentis* – uzupełniający).

znaczając, że jeden z panów profesorów uproszony wyraził zgodę na objęcie opieki. Dyrektor rozłożył bezradnie ręce. Na to absolutnie pozwolić nie może.

Wchodząc w skład deputacji, kpiarz Józek K. obruszył się na mnie i Skocznia. Oświadczył, że komplet i panienki są zupełnie, ale to zupełnie niepotrzebne, wystrugamy sobie kije, by nikt nie musiał się uczyć mylnie jak danserka i z nimi będziemy tańczyć. Róbcie jak chcecie, ale tańczyć z pannami absolutnie nie pozwolę, to byłby skandal, odrzekł żegnając nas dyrektor. Rzecz jasna, że rzeczony kurs nie doszedł do skutku. Wobec tak zdecydowanego stanowiska, jakie zajmował nasz dyrektor w stosunku do płci pięknej, żaden student nie zaryzykował pojawienia się na ulicy w towarzystwie panienki. Raz jednak wdepnęliśmy. Na stancji, jak już wspomniałem, mieszkaliśmy z Rudkiem u p[aństwa] Szewczyków (majster kominiarski), którzy mieli szerszy horyzont od naszych wychowawców. Przyjechała do nich siostra z mężem i córką Michaliną, podlotkiem, zaś mąż znów tej siostry był jakimś krewnym matki Rudka, tak że siostrę pani nazywaliśmy wszyscy żartobliwie ciocią. W niedzielę wyszliśmy na spacer. Rudek z Michaliną pierwsza para, ja z Panią szedłem za nimi, pochód zamykała ciocia z p[anem] Szewczykiem. Przedefilowaliśmy po mieszczańsku przez miasteczko, nie przypuszczając, że dopuszczamy się zbrodniczego czynu. W poniedziałek, na pierwszej godzinie, tuż po dzwonku, zjawił się obleśnie uśmiechnięty cerber i wywołał Rudka i mnie do dyrektora. Sumienie mieliśmy nieczyste, prenumerowaliśmy bowiem na nazwisko naszego gospodarza „Nową Reformę”[44]. W owych czasach majster kominiarski „Reformy” nie czytywał i trudno było uwierzyć, by ją prenumerował.

Studentom czytanie gazet było najsurowiej wzbronione. Nim doszliśmy do kancelarii, ustaliliśmy, że o „N[owej] Reformie" nic nie wiemy, czasem tylko nasza Pani roznieca nią ogień w piecu.

Dyrektor, zawsze opanowany, uważający na dobry ton i nieskazitelną linię, był wyraźnie wzburzony i bębnił palcami po biurku. Stuknęliśmy kopytkami i stanęliśmy obok pieca. Na nasze głowy leciał grad wyrzutów i oskarżeń. Co za skandal, najlepsi uczniowie zakładu dają taki przykład zgorszenia, on to potrafi ukrócić, żadna kara nie będzie za wielką. Z jakim obliczem staniemy teraz wobec grona profesorskiego, wobec kolegów? Wywnioskowaliśmy, że rozchodzi się o coś gorszego aniżeli „N[owa] Reforma", lecz dopiero po kilkuminutowym perorowaniu zrozumieliśmy, gdzie psa pogrzebano. Przybrałem znudzoną minę, Rudek zaś udawał wyraźnie obrażonego.

Na dictum, co macie na swoje usprawiedliwienie, Rudek oświadczył, że nic. Napiszę tylko do ojca, jakie nieprzyjemności ma z powodu cioci. Ojciec przysłał mu ciocią bieliznę i pieniądze, on nie wiedział, że uczniowi starosądeckiego seminarium nie wolno rozmawiać nawet z rodzoną ciocią. Uszło nam na sucho. Nie obeszło się jednak i bez flirtu. Jakoś z wiosną Rudek zaciągnął grubszą pożyczkę w naszej kasie, kupił sobie rękawiczki, melonik i krawat. Od tej pory wychodziliśmy punktualnie o 7.45 i stale między studnią na rynku, stojącą w cieniu czterech kasztanów, a propinacją spotykaliśmy zarumienioną mieszczankę w toczku, zdążającą do klasztornej szkoły. Rudek kłaniał się pierwszy, ja drugi (tak zażądał), panienka rumieniła się jeszcze bardziej i odkłaniała się lekko Rudkowi. Nazywał ją Marylą, braliśmy właśnie Mickiewicza. Ten niemy flirt trwał do wakacji.

Zamienił z nią, jak twierdził, kilka zdań, gdy zeszli się przypadkowo razem w księgarni. Ponieważ kpił ze mnie, że jest już dojrzałym afebem[a], z racji Marylki, postanowiłem i ja znaleźć jakiś obiekt ukłonów. Ulicą, na której mieszkaliśmy, przechodziła do szkoły panienka w pelerynce z szarotkami. Nazywaliśmy ją Szarotką. Rodzice jej mieli w rynku restaurację. Zdawało się, że to będzie dobry obiekt do wzdychań. Ponieważ był to już maj, czasu do wakacji mało, pora gorętsza, wobec tego po kilku ukłonach posłałem jej raz bukiecik konwalii, a następnie róż. Szarotka przestała przechodzić ulicą Dworską, w jakiś czas spotkałem ją idącą z matką, miała bardzo rzadką minę, nie spojrzała nawet w moim kierunku, mamusia za to rzuciła na mnie argusowym okiem[b]. Szczęściem, Rudka nie było przy tej niemej scenie. Machnąłem więc na Szarotkę ręką. Były i inne sceny. Jeden z naszych kolegów, chłopiec silny i zdrowy, raz rano wstając z łóżka rzucił się z powrotem na nie i zaczął buczeć. Koledzy pytają – „Kuba co ci to?". „Umrę, buuu". „Cóż ci się stało?" „Dlaczego?" „Coś we mnie gnije" – buuu. Rzeczywiście, prześcieradło nosiło wyraźnie podejrzane ślady. Buczącemu [osiemnasto]letniemu Kubie wytłumaczono, że z tego powodu nie umiera się. By zaś podobnych nieporozumień nie było więcej, kolega jego, Mikuś, wybrał się po stancjach, które zamieszkiwali koledzy, z uświadamiającym odczytem. Sprawa podejrzanej „choroby" Kuby stała się ogólnie znaną i budziła dużo wesołości.

Gdzieś w maju czy czerwcu podłożyła się pod pociąg pewna kelnerka, odcięło jej głowę. Na drugi dzień zastrzelił się pod murem cmentarnym młody kancelista sądowy, fakty plotka powiązała ze sobą. Kancelista był chory na b[ardzo] rzadką jeszcze wówczas chorobę. Spoważnieliśmy, po-

[a] Właściwie: efebem (gr. *éphēbos*); w starożytnej Grecji młodzieniec pełnoletni (18 lat).

[b] *Argos* potwór stuoki, (łac. *Argus*) w mitologii nie usypiający nigdy, wielooki strażnik.

szła pogwarka, co to jest, czym to grozi, wszędzie wietrzyliśmy niebezpieczeństwo i byliśmy zaasekurowani na długie lata. Przed samymi wakacjami postanowiliśmy urządzić sobie libację. O dwa kilometry od miasta, nad Popradem, była karczma na tzw. Kamieńcu. Poszliśmy tam na piwo, pierwszą szklankę wypiłem chętnie, druga miała już smak gorzki, ponieważ zaś reszta kolegów (z wyjątkiem jednego) orzekła, że piwo w ogóle jest obskórne, kupiliśmy ćwierć litra wiśniówki i poszliśmy z nią nad „Kaczową Banię", gdzie nigdy profesorzy nie zachodzili. Wódka zmieszana z piwem wywołała u takich jak my, świeżych czcicieli Bachusa, nieoczekiwany skutek. Dwu [z] nas złożyło doraźnie bogom ofiarę nad brzegiem Popradu. Rudek doniósł zawartość żołądka do połowy drogi, pomiędzy Popradem a miastem, jeden Józek wytrzymał. Impreza nie powiodła się, postanowiliśmy nie powtarzać jej więcej.

W rynku obok propinacji był odwach policji, na którym drzemał stale jeden policjant miejski. Z policjantami tymi, których było trzech, byliśmy na bardzo dobrej stopie, komendantem ich był bowiem ojciec naszego kolegi. Raz tylko zrobiliśmy im niesmaczną psotę, za którą robili nam długo wyrzuty, a było to tak. Przy odwachu był dzwonek, którym alarmowano na pożar. Przechodząc około godziny 11.00 (miasto kładło się spać z kurami) jeden przytrzymał drzwi odwachu, drugi dzwonił, a dwu chwyciło stojący koło miejskiej studni ręczny wózek, na którym rozwożono worki i przejechało po kocich łebkach rynku. Efekt był nieoczekiwany, z hałasem otwierano okna, drzwi, okrzyk „gore" rozbrzmiewał po całym mieście, ledwie zdążyliśmy nierozpoznani ulotnić się. Chcieliśmy nastraszyć policjanta, a zakłóciliśmy błogi i zasłużony odpoczynek mieszcza-

nom. Opinia publiczna orzekła, że takie bezeceństwa mogli zrobić tylko studenci, bo kto w Boga nie wierzy, po tym się można wszystkiego spodziewać.

Wyczyny takie i tym podobne powstawały z nudów, [bo] o żadnym sporcie nie było mowy, zresztą słowo to nawet nie było znane. Z nudów niektórzy piłeczkowali, wyrzynając rozmaite ramki, toalety, kasetki itp.

Obracaliśmy się tylko w swym własnym kółku, po domach mieszczan nie bywaliśmy, byliśmy zbyt młodzi, niepoważni, no i nie mieszczany. Kto jeszcze umiał grać, to smyczkowaniem uprawiał pracowite próżnowanie. Cokolwiek naruszyło monotonię miasteczka było tematem rozmów i sporów[45]. Wiosną utonęło dwu żandarmów austriackich, eskortujących babę z Podegrodzia. Dunajec był wezbrany, łódka przechyliła się i żandarmi, opakowani solidnym rządowym rynsztunkiem, poszli na dno. Baba ocalała, podegrodzkim zwyczajem miała kilka spódnic, pomiędzy nimi było powietrze, i to utrzymało ją na powierzchni i pozwoliło wylądować w nadbrzeżnych krzakach. Odszukano zatopionych i sprawiono im w St[arym] Sączu pogrzeb. Byliśmy oburzeni niemiecką mową komendanta żandarmerii, ojca jednego z naszych kolegów.

Na przerwie wysadziliśmy raz na piec jednego małego kolegę, w tym momencie wszedł surowy prof[esor] Ergetowski. Piece wówczas były duże i miały wysokie fasady. Rozbiegliśmy się do ławek, Franek został na piecu, skurczył się i miał zamiar przesiedzieć tam godzinkę. Uwaga klasy była rozproszona, nauczyciel zaczął sypać niedostateczne noty. Od A do G nie jest znów według alfabetu daleko, oblało coś ośmiu kolegów, przyszła kolej, abym i ja położył głowę pod ewangelię.

Profesor mnie zasadniczo lubił, w ów dzień jednak albo wstał lewą nogą, albo jego żonie wykipiała rano śmietanka, dosyć że urządzał masakrę. „Indie" – rzucił mi przez zęby, błyskając szkłem binokli. Nie chciałem pasować, byłem rzekomo najlepszym w klasie historykiem; przed kilku tygodniami otrzymałem z poczty historię Bondego[a] i byłem pod wrażeniem ilustracji tam zawartych. Klasa spoglądała na mnie błagalnie, Ludwik T. zawzięcie mnie kopał. Zapytałem, czy mogę sobie uporządkować odpowiedź i wynotować poszczególne punkty.

„Możesz. To i tak nie uratuje tych, którzy cię kopią", odszczeknął wszystko widzący zawsze profesor. Ponotowałem sobie obrazki zapamiętane i zacząłem opowiadać. Właściwie treść podręcznika szkolnego mogła wystarczyć na 5 minut. Dlatego też prof[esor] spoglądał ironicznie na tych, którzy mnie kopali i zapewniał ich, że i oni będą pytani. Po kilkunastu minutach jednak, gdy zacząłem słowami malować świątynie braminów, ich życie, Buddę, jego naukę, profesor zeszedł spoza katedry, obejrzał moje notatki i zapytał: „Kochasie! A skąd ty to wszystko wiesz?". Odpowiedziałem. Wówczas zaczął on opowiadać o filozofii Buddy, a umiał interesująco wykładać. W pewnym momencie zauważył, że spoglądamy na piec, rzucił tam wzrokiem i spostrzegł zasłuchanego Franka. Gdy mu wytłumaczyliśmy, w jaki sposób tam się znalazł, i że dlatego klasa była roztargniona, roześmiał się serdecznie, powymazywał niedostateczne noty. Kurzu na piecu były całe pokłady, długo musieliśmy Franka na podwórzu otrzepywać.

[a] 16 tomów, *Dzieje powszechne ilustrowane*, wyd. 1894–1901 w Wiedniu nakładem Franciszka Bondego. Seria kontynuowana w suplementach.

Nie pamiętam już, za jaki żart dwóch kolegów otrzymało po cztery godziny aresztu. Karę taką odsiadywało się w niedzielę po nabożeństwie. Profesor wyznaczał delikwentowi zadanie do rozwiązania, odchodził, przychodził dopiero o godz[inie] 13.00, aby ich uwolnić i zabrać wypracowania. Sala, w której siedzieli była niezamknięta, ale nie wolno było się im oddalać. Po odejściu profesora przyszło nas kilku, wyrobiliśmy szybko kolegom zadania, oni je przepisali, a że pozostało jeszcze przeszło dwie godziny czasu do zwolnienia, przyniesiono skrzypce, wiolę, klarnet, jeszcze jakieś inne pitulinki i zaimprowizowano koncert. Muzykanci stali przy otwartych oknach, przez które płynęły tony na plac przed seminarium. Ulicą Franciszkańską odchodzili po sumie mieszkańcy okolicznych wsi, wnet zgromadziło się sporo ciekawych amatorów muzyki. Grano ładnie, koncert trwał dwie godziny, zastęp słuchaczy rósł. Grano właśnie *Wędrownych śpiewaków*, gdy wpadł prof[esor] Sowa, coś tam dla przyzwoitości poburczał, zabrał zadania i wyszedł, rozkazując nam się rozejść i nie powodować zbiegowiska. Koledzy powoli składali instrumenty, gdy jednak lubiany prof[esor] wyszedł już ze zakładu i szedł ku rynkowi, na znak Zarzyckiego kapela urżnęła mu siarczyście *Marsza perskiego*[a], i grała tak długo, dopóki nie znikł na zakręcie drogi.

Współżycie koleżeńskie było dobre, pomimo że element uczniowski rekrutował się z najrozmaitszych stron, sfer, pomimo że w klasie mieliśmy próbkę austriackiej wieży Babel. Było bowiem 2 Żydów, 2 Niemców ewangelickich, 3 Rusinów, zgoda była zupełna. Rusini śpiewali nam czasem w klasie smętne piosenki i przynosili po wielkanocnych

[a] Utwór Johanna Straussa syna (1825–1899). Wiedeńczyk założył własną orkiestrę w 1844 r.; skomponował około 500 dzieł, przeważnie tanecznych.

świętach bardzo ładne pisanki (ze Sokalskiego). Do matury nie dociągnęli. Jeden z nich (tenor) przeszedł na prawosławie i wstąpił do seminarium duchownego, drugi ożenił się i został u swej żony kucharzem i niańką, ona bowiem była na posadzie, była więc głową domu. Trzeci, Michajło, miał mieć jakąś skandaliczną aferę z pewną niewiastą i został usunięty. Na czym polegał ten skandal, nie dociekliśmy, zdaje się jednak, że w 30 lat później takie skandale nazywały się całkiem inaczej, może życiem towarzyskiem, może flirtem, wówczas jednak Michajło wylądował. Ewangelicy również po drodze odpadli, do matury dociągnął zaledwie z innych jeden Żydek, któremu wprawdzie po żakowsku czasem dokuczaliśmy, ale na dwój sposób lubiliśmy. Pewien dysonans na ostatnim roku wnieśli sodaliści[46], których używano do zbierania informacji.

Matura

Zbliżała się jednak matura, trzeba było trochę przysiąść fałdów. Urządzaliśmy się w ten sposób, po obiedzie odpoczywaliśmy 20 minut, następnie uczyliśmy się do 5.00 godziny, kiedy to urządzaliśmy dziesięciominutową bójkę, dziesięciominutowy odpoczynek, po którym uczyliśmy się do godziny 7.00. O 7.00 kładliśmy się spać, o 9.00 budzono nas do wieczerzy, po której uczyliśmy się do 12.00 w nocy. Dziesięciominutowe, ciche, wzajemne okładanie się pięściami po plecach i obmycie się zimną wodą pozwalało uczyć się nam do 2.00. W ten sposób dobę zamienialiśmy na dwie jednostki pracy i dwa odpoczynki nocne. Właściwie każdy uczeń składał egzamin maturyczny z 12 przedmiotów (z gimnastyki i sztuk pięknych dawano przeciętną z dwu

ostatnich lat). Kto jednak w dwóch ostatnich latach miał oceny z danego przedmiotu bardzo dobre, z tego był przy maturze zwolniony. Gdyby jednak ze wszystkich był zwolniony, komisja wyznaczała mu 3 przedmioty do zdawania. Z wyjątkiem języka niemieckiego, z którego miałem notę dobrą, który więc zdawać musiałem, byłem z pozostałych zwolniony.

Nie wiedziałem jednak, które przedmioty Komisja mi przeznaczy, musiałem się więc ze wszystkich przygotować. W identycznej sytuacji znalazł się Rudek i Franek Sk[oczeń]. Uczyliśmy się więc wspólnie. Ostatecznie dodano mi matematykę i język polski. Pisemna matura poszła mi lekko. Na IV roku był uświęcony tradycyjny zwyczaj, że do klasy przychodziło około 60% uczących się, pozostali zaś obkuwali w domu. Ponieważ trójka nasza nie opuszczała zajęć (w ostatnie 3 lata opuściłem 2 dni nauki szkolnej, 1 jarmark), postanowiliśmy, że i teraz nie opuścimy, aby słabsi mogli się lepiej przygotować. Nadeszła matura, przyjechał radca c.k. Rady Szkolnej Krajowej ze Lwowa. Trzech poszło pod nóż po południu, w tej liczbie był kol[ega] Rudek B[embynek], z którym mieszkałem. Przyszedł uszczęśliwiony o godz[inie] 10.00 z bandą kolegów, którzy wypytywali go o wszelkie możliwe szczegóły. Rozeszli się o świcie.

Zmrużyłem trochę oczy, ale oczekiwanie nie dało mi dobrze zasnąć. Ubrałem się, jak kazał obyczaj, w uroczysty anglez[47], i poszedłem do seminarium. Tam zastałem towarzyszy niedoli Gębkę i Głoda, którzy mieli odwalić w dniu tym egzamin z 12 przedmiotów. Zdałem język polski i niemiecki. Koledzy zdawali swoje przedmioty, mnie zostawiono w spokoju. Następowała reakcja, zdrzemnąłem się, przez sen słyszałem jakieś zdanie o śpiących maturzystach, ale nie

przemogłem zmęczenia. Przebudzono mnie do matematyki. Radca życzliwie odezwał się do mnie coś na temat snu. Zarumieniłem się, wziąłem tematy i ponieważ podobne zadania ongiś wyrabiałem, szybko zrobiłem wzór, podstawiłem wartości i podałem wyniki. Pozwolono mi iść się przespać do innej sali, nad Gębką i Głodem pastwiono się dalej. Wyszedłem przed budę, gdzie znów brzęczały pytania. Jak pytają? Na co kładą największy nacisk? Kto najgorszy? itp. O godz[inie] 13.00 7 maja 1910 r. odczytano nam wyniki; nie zdałem z odznaczeniem, ponieważ z muzyki średnia wypadła mi dostatecznie. Prof[esor] muzyki stale po konferencji klasyfikacyjnej zapewniał mnie, że trzy dni rzewnie płacze, gdy mi musi, pod naciskiem grona, dać niezasłużoną notę dostatecznie[48]. Odjechałem do domu. Za 10 dni przyjechałem po świadectwo dojrzałości i opuściliśmy Bryjów[49]. Później dopiero odczuliśmy jego piękno i wartość.

O posadę

Na IV roku pouczał nas jeden z nauczycieli, jak mamy składać wizyty w Inspektoracie. Miało się to odbyć ściśle, wprawdzie nie według hiszpańskiego, ale galicyjskiego ceremoniału. Anglez, rękawiczka na lewej ręce, drugą rękawiczkę należało trzymać w tej urękawicznionej ręce, melonik, czarna krawatka, oto wszystko, co było potrzebne do złożenia osobiście podania. Ubranie anglezowe kupiłem sobie do matury (wszyscy koledzy wysocy i szczupli zdawali w nim egzamin). Kociołek na głowę kupiłem po maturze, nie zapamiętałem jedynie z owej ewangelii dobrego tonu, jakiego koloru mają być rękawiczki, ostatecznie więc kupiłem zabójczo żółte.

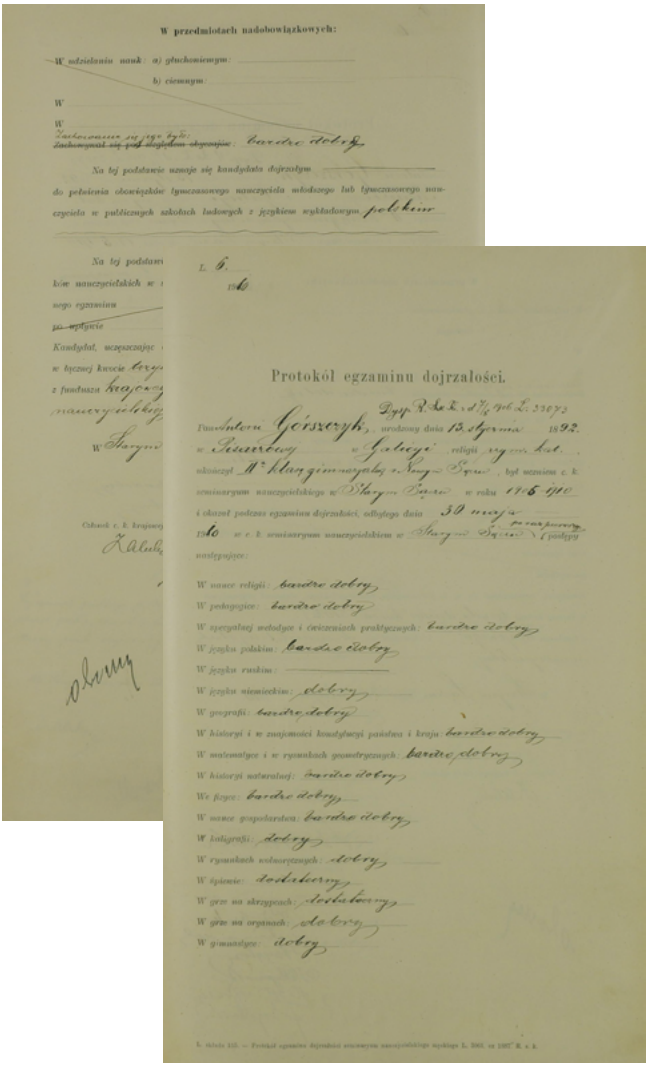

W przedmiotach nadobowiązkowych:

W udzielaniu nauk: a) głuchoniemym:

b) ciemnym:

W

W

~~Zachowanie się i czyn dyr.~~

~~Zachowywał się pod każdym stosunkiem~~: bardzo dobry

Na tej podstawie uznaje się kandydata dojrzałym

do pełnienia obowiązków tymczasowego nauczyciela młodszego lub tymczasowego nauczyciela w publicznych szkołach ludowych z językiem wykładowym polskim

Na tej podstawi

ków nauczycielskich w

nego egzaminu

~~po upływie~~

Kandydat, uczęszczając

w tyczącej kwocie trzy

z funduszu krajowy

nauczycielskiego

W Stary

Członek c. k. krajowego

Kalub

L. 6.

1910

Protokół egzaminu dojrzałości.

Dypl. R. d. k. d. 7/6. 906 L. 33073

Tomasz Goiszczyk, urodzony dnia 15 stycznia 1892.

w Pisarowcy w Galicyi, religii rzym. kat.,

ukończył II. klasę gimnazyalną w Nowym Sączu, był uczniem c. k.

seminaryum nauczycielskiego w Starym Sączu w roku 1905/910

i okazał podczas egzaminu dojrzałości, odbytego dnia 30 maja

1910 w c. k. seminaryum nauczycielskiem w Starym Sączu (publiczny)

następujące:

W nauce religii: bardzo dobry

W pedagogice: bardzo dobry

W specyalnej metodyce i ćwiczeniach praktycznych: bardzo dobry

W języku polskim: bardzo dobry

W języku ruskim: ——

W języku niemieckim: dobry

W geografii: bardzo dobry

W historyi i w znajomości konstytucyi państwa i kraju: bardzo dobry

W matematyce i w rysunkach geometrycznych: bardzo dobry

W historyi naturalnej: bardzo dobry

We fizyce: bardzo dobry

W nauce gospodarstwa: bardzo dobry

W kaligrafii: dobry

W rysunkach odręcznych: dobry

W śpiewie: dostateczny

W grze na skrzypcach: dostateczny

W grze na organach: dobry

W gimnastyce: dobry

L. zbiorów 155. — Protokół egzaminu dojrzałości seminaryum nauczycielskiego wydany L. 2001, ex 1907 R. a. k.

Protokół egzaminu dojrzałości Autora, 1910 r.
AN Kraków, Oddział w Nowym Sączu, sygn. 29/490/102

W domu wypytałem ojca, do którego powiatu najlepiej byłoby złożyć podanie. Tylko do limanowskiego, należałoby jeszcze poprosić, by to było możliwie blisko Pisarzowej.

Ojciec, jak każdy zresztą chłop pod słońcem, uważał swą wieś za centrum świata, Belonówkę (nasze gospodarstwo) za jego pępek. Wniosłem podanie osobiście. Musiałem śmiesznie wyglądać w tym anglezie z melonikiem, przy moich 18 latach i bardzo dziecinnym wyglądzie (maturę zdałem za dyspensą Rady Szkolnej Krajowej, której rzadko przed ukończeniem 19 roku udzielano), bo tatusiowaty inspektor jowialnie uśmiechnął się, dopiero obejrzawszy świadectwo popatrzył na mnie życzliwiej i zapewnił mnie, że posadę otrzymam. Poprosiłem, gdyby było możliwe, [o] okolice Pisarzowej, i tyłem wycofałem się z przybytku władzy.

W lipcu 1910 r. byłem w Krakowie na obchodzie Grunwaldu. Miałem tam stryja, który wprawdzie wówczas nie żył, ale z rodziną utrzymywaliśmy bliskie stosunki i odwiedzaliśmy się często.

Na wynik czekałem 2 i pół miesiąca. 10 września 1910 r. otrzymałem zawiadomienie, że nadano mi posadę w Siekierczynie, od dnia 1 sierpnia, z miesięcznymi poborami w kwocie 64 koron mie[sięcznie]. Las Ojca przylegał do Siekierczyny, zapytałem go, gdzie może być szkoła. Ojciec twierdził, że nigdy nie słyszał, by mogła tam być szkoła. Pisarzowa leżała w dolinie rzeki Smolnika, Siekierczyna zaś w dolinie Słomki. Znaliśmy dobrze geografię powiatu wzdłuż tego potoku od Limanowej do N[owego] Sącza, ale o Siekierczynie mało obydwaj wiedzieliśmy. Ubrałem się znów w ów sakramentalny anglez, melon i rękawiczki, i wybrałem się z wizytą do kierownictwa szkoły. Droga biegła przez pola, las i wzniesienie Raszówek. Wiatr igrał połami anglezu, po-

ciłem się pod kociołkiem, ale szedłem z zapałem poszukiwać swej placówki. Przy pomocy wskazówek dobrych ludzi, przeszedłem las Dziadowiec, jakieś krzaki, pola, miedzami pomiędzy domy i mokre łąki, zbliżyłem się do zapadłej chałupy, gdzie – jak mówiono – jest szkoła. Oniemiałem. Wyglądała mniej więcej jak u nas stajnia, tylko okna miała mniejsze i była pokryta słomą, a nie dachówką.

Gwar głosów dziecięcych przekonał mnie, że to jest rzeczywista rzeczywistość, a nie sen. Dzieci zoczyły mnie przez okno i bezceremonialnie zaanonsowały nauczycielce, że jakiśi corny pon przysed, pewnie do Pani. Wszedłem do sieni, podłoga była z gliny, kogut wiódł spór z gromadką kur, na lewo przez otwarte drzwi widać było palenisko, na nim garnki, obok nalepy swarzącą się z dziewczyną gospodynię.

Klasa była wynajęta w domu chłopskim. Zapukałem do drzwi na prawo, gdzie po wielkim szumie nagle się uciszyło. Wyszła nauczycielka, w wieku dwudziestu kilku lat. Robiła bardzo miłe wrażenie[a]. Przedstawiłem się jej, poprosiła mnie do domu, dzieciom tymczasem wyznaczyła jakieś zadanie, nim jednak uszliśmy 20 kroków cała klasa wysypała się na dwór, co śmielsi dążyli za nami, dwóch zaś zabiegło nam [drogę] i biegło przed nami. Wszyscy oglądali mnie, jak gdybym był jakim zamorskim okazem. Przyszła kierowniczka objaśniła mnie, że dzieci wiedzą, że ich będę uczył, dlatego tak mi się przyglądają. Nie byłem bynajmniej zachwycony takim zainteresowaniem się moją osobą. Zacząłem spostrzegać dysonans pomiędzy tym, czego nas uczono, i co nam obiecywano, a tym, co znalazłem. Zwierzyłem się z tej troski Kierowniczce, zaśmiała się życzliwie i oświadczyła, że ten prysznic jest udziałem prawie że każdego nauczyciela przychodzącego do zawodu, zresztą za-

[a] W 1910 r. nauczycielką w Siekierczynie była Józefa Majochówna, Górszczyk został nauczycielem „nadetatowym".

znaczyła, że czeka mnie sporo jeszcze boleśniejszych niespodzianek. Dała mi dwa dni urlopu i poleciła objąć obowiązki w klasie I i III. Drogę powrotną odbyłem wolniej, uciskał mnie anglez, gniótł melonik, ale najbardziej dokuczała perspektywa nauczania czeredy dzieci dosłownie w chlewiku. W domu, na zapytania, jak mi się tam podobało nie odpowiadałem nic lub oświadczałem, że nie mogę się jeszcze zorientować.

Obowiązki

Na trzeci dzień pomaszerowałem do Siekierczyny uczyć. Dzień, a raczej godziny nauki szkolnej dłużyły się mi niemożliwie, na przerwie zjadłem kromkę chleba z masłem, przyniesioną z domu. Żenowało mnie bardzo to, że otoczony byłem stale gromadą dzieci, które z rozdziawionymi buziami stale patrzały na mnie. Klasa I nie sprawiała mi kłopotu, natomiast połączone oddziały III klasy ambarasowały mnie niezmiernie. O nauce w oddziałach połączonych nie wspomniano nam zupełnie w seminarium. Tymczasem, wobec faktu mianowania drugiej siły we wsi, wynikł spór, gdzie wynająć drugą klasę. Kierowniczka chciała, aby uczynić to we właściwej wsi, rozdzielić oddziały, i naukę prowadzić w możliwych trochę warunkach.

Mieszkańcy przysiółka Podlesie żądali natomiast utworzenia eksponówki u siebie. Dopóki trwał spór, dochodziłem pieszo do oddalonej o 5 kilometrów szkoły w Siekierczynie.

Pomiędzy Pisarzową a Siekierczyną nie było dosłownie żadnej drogi, o jeździe rowerem ani konno nie można było marzyć. W klasie były dzieci ubite dosłownie kolanem. Po-

nieważ wrzesień był ładny, część dzieci obsadziłem za stołem, część na stopniu, tablicę powiesiłem na szafie i uczyłem spoza okna; tylko gdy wypadło mi co pisać, stawałem na progu klasy. Pracowałem z wisielczym humorem. Tak uczyłem, dochodząc, 3 tygodnie. Po upływie tego czasu Inspektorat zadecydował, że należy utworzyć eksponowaną klasę na przysiółku Podlesie. Poszedłem tam. Ośrodkiem przysiółka był folwark, rozparcelowany pomiędzy dwu chłopów; u jednego wynajęto izbę, u drugiego [pomieszczenie] na mieszkanie. Zacząłem organizować szkołę, której tu nigdy nie było.

Wieś należała do rodziny Trembeckich, były tu cztery dworki. Ostatni dziedzic Podlesia, po wyrąbaniu i sprzedaniu lasu pruskim firmom, przepiciu gotówki za drzewo, sprzedał wyrębisko najuboższym chłopom z Limanowej (okolicy) i ci osiedlali się na skrawkach pola, które musieli sobie wykarczować[50].

Dziedzic, gdy mu cała fortuna wyciekła dzbanem, został pisarzem gminnym, następnie nauczycielem prywatnym, po stracie zaś tych posad – listonoszem. Zachodził czasem do mnie. Gdy po raz pierwszy przyszedł, nie znając go, dałem mu 10 halerzy, obruszył się na mnie. On tu był dziedzicem, należy się mu więcej, dawałem mu więc po 20 halerzy, które odnosił do Reibszeida. Ludność była tu bardzo biedna (oprócz właścicieli dawnego dworu), ubrana licho, nieodżywiona, dzieci nie przynosiły prawie nigdy chleba do szkoły. Pito jednak bardzo dużo, np. na weselu u kilkumorgowego gospodarza wypito 27 ćwiartówek piwa i sporo wódki.

Dzieci były tu bardzo dobre, duży wprawdzie odsetek był umysłowo nierozwiniętych, ale to trafia się w każdej oko-

licy, gdzie nadużywają alkoholu. Ludzie przychylni. Młodzież wiosną wyjeżdżała na Sachsy, skąd nie przywoziła niczego dobrego, najwyżej rower, harmonijkę, zegarek lub nową chorobę[51].

Ognisko Związku Nauczycielstwa Polskiego[52]

Zapisałem się do Ogniska nauczycielskiego. Taki był utarty zwyczaj, że każdy nowo przybyły nauczyciel z Inspektoratu szedł do Ogniska. W Ognisku była starannie dobrana biblioteka. Pożyczałem w każdy tydzień dwa tomy i najpilniej przeczytywałem, czytałem jednak bez wyboru, co popadło.

Pierwsi uczniowie

W szkole nie było zbyt wiele pracy. W nowo zorganizowanej szkole wiek dzieci w klasie I wahał się między 7 a 13 rokiem życia. Razem było ich 30. Do klasy II uczęszczało ośmioro dzieci, klasa III liczyła 11 uczniów, z których jeden był tylko o dwa lata ode mnie młodszy. Praca była lekka i miła. Dzieci obawiały się panicznie szkoły, gdy jednakowoż przekonały się, że w szkole jest wesoło, uczęszczały pilnie. Zahukane i zabiedzone w domu, uważały pilnie w szkole. Gdzie się tylko pokazałem, ciągnęły za mną gromadą. Bardzo polubiłem klasę I. Kozy, Lisy, Króle, Kuny, Sikory, Wojtasy, Wojtaszczyki, Wojtaszyny i Wojtaszczyny, Piszczki i Śmierciaki.

Pierwsza miłość ponoć nie rdzewieje, nie zapomina się nigdy pierwszych wychowanków w szkole i pierwszego marszu bojowego. Dziś, po 57 latach, przypominam sobie najdokładniej ich twarze, nazwiska, a w przeważnej części i imiona. Ciekawe tu były typy, tak dzieci, jak i rodziców.

Na szczycie góry Zimnej Wody mieszkała uboga rodzina Śmiałków, chowali jedną krowę, czym żyli, Bogu tylko wiadomo. Dzieci podrastają, do szkoły opętane dwie godziny drogi, matka rada by nauczyć chłopców czytać, sama jednak nie umie, nie umie i pisać. Co nie robi ta dzielna matka. Idzie do Młyńczysk na służbę i umawia się, że za trzy miesiące pracy, dzieci gospodarzy nauczą ją czytać. Ojciec tymczasem zostaje w domu, gotuje jeść, opiera dzieci, ma staranie o gospodarstwo i chodzi do sąsiadów na zarobek. Matka po powrocie do domu uczy synów czytać na jednym z najpiękniejszych hymnów: *Uwielbiaj duszo sławę Pana Twego*. Bohaterska ta matka umiała psalm ów na pamięć, gdy więc zapomniała brzmienie jakiej litery, odszukiwała ją w owej pieśni. Po otwarciu szkoły przyszła zapisać synów i opowiadała o swych zmartwieniach. Odchodząc oświadczyła, że teraz jest zadowolona, bo dzieci i pisać się nauczą.

Tomaszek

Zainteresowałem się pewnym śmigłym, dziesięcioletnim góralczykiem i uczyłem go dodatkowo, po nauce. Ojciec i matka jego sługiwali długie lata po gospodarstwach i uciułali sobie kilka setek. Za te pieniądze zakupili najgorszą część wyrębiska, byle tylko było sporo morgów. Na dom nie stało, wygrzebał więc stary Tomaszek jamę w brzegu, zrobił szałas z gałęzi i tam mieszkał z narzeczoną.

Gdy wybrali się na Kaninę dać na zapowiedzi, jedno nie zapytało drugiego, czy ma 2 korony taksy, i po odbyciu 7 kilometrów bezdroży, pod kanińskim kościołem sprawa się wyjaśniła, wrócili więc z niczym do swej jamy. Przy rąbaniu drzewa zarobił kilka reńskich, dał na zapowiedzi. Gdy po

ślubie powrócili do domu, zjedli wspólnie ćwiartkę suchego chleba, którą zarobili poprzednio, pomagając przy żniwach u sąsiada, i poszli do pracy. Historia tej pary była ogólnie znaną w okolicy.

Czasem zachodził do mnie zadowolony Tomaszek, że poznałem się na jego Franku. „Panie, co to za dziecko – mówił – jaki robotny, pojętny, usłuchliwy. Nie będzie miał tej poniewierki, co ja. Nie uwierzycie panie, bo wy jesteście z grubego gospodarstwa, bo jo i w Pisarzowej sługiwałem, co jo przeszedłem. Sześć roków mi było, jak matka w koszulinie zaprowadziła mnie na Wolę, na służbę. Tam mi dali pierwsze portki, nie zapomnę, jak ich wdziewałem. Co się mną napoturali, ile się łez napołykałem, aż się otukałem. Robiłem swoje, wy krzyczcie swoje, myślałem se ino. Sypiołem ino po stajniach, bydlę mię nigdy nie skrzywdziło, ludzie – ej to różnie bywało, niech im Bóg tego nie pamięta. Za parę lot okryłem się, potem składałem ryńskie. Jak uskładałem pół stówki, pomyślołem se – bedzies tak długo robił, aż se kupie kawolątko pola i chałupę. Centa nie popuściłem, ćmika nie zakurzyłem, od wczesnej wiosny do późnej jesieni chodziłem boso, jakem sed do kościoła, to buty niosłem w garzci, a wzuwałem dopiero pod kościołem. Roz sie mi trafiało kupić 6 zagonów, ale se pomyślołem, mało. Jaz wiycie jak Pon Trembecki zacął morgi sprzedawać – kupiłem, umyśnie wybrałem najgorsze, byle buło więcy. Magda tyz miała sprawnie piniędzy, piytnoście lot przecie sługuwała, kupiliśmy i wypłacili. Na opłaty i ślub nie wystarcyło, posedłem na gościniec tłuc kamienie, Magda dali służyła. Zarobiułem na opłatę, zapłaciułem. Wykopałem jamę w ziemi, tam siedzieliśmy. Ludzie godali ze wiarujemy. Jegomość wypominali z kazalnice. Cy się kto zapytoł, ile razy my na

dzień jedli? Cy pomóg nam kto korcyć pnioki i wykopywać skole? Nikto.

Nie dbali my o nic, do kościoła nie chodzili, bo nie było w cem, i jak się cłek przez tydzień urobiuł, to chcioł choć przy święcie dać gnotąm odpocynek.

Po roku wzięliśmy ślub. Ej, co to było za wesele. Sami my pośli, sami my przyśli. Ale wiycie smutno nam nie buło. Wracaliśmy do siebie, na swoje. Jo już teroz nie bułem na służbie, mieliśmy swoje pole. Lekcho nie buło, nie. Najpierwy skopaliśmy z mórg pola i zasiołem jęczmienia. Panie, co to był za jęczmień, jak łon rós. Co dzień do niego zachodziliśmy. Piękniejsygo jęczmienia nie buło i nie bedzie. Na nowiźnie rós. Ziemnioki się tys udały, naci wielkie ni miały, ale pod kazdym krzokiem połny kapelus zimnioków. Ochropaliśmy się biydzie, mieliśmy i zimnioki, i na kasę. Nie musieliśmy chodzić na zarobki, żeby zarobić na zycie. Scyrze wzięliśmy sie do swojej gospodarki. Za pozycone piniądze kupiłem krowę. Juz nom było lekcy. Oraliśmy, jo ciągnąłem z krową, Magda trzymała pług. Darzyło się nom, Bogu dziękować. Obrodziły grzyby, casem się cłek strącił, jak nie buło co jeść. Panie, co jo sie naciesyłem, jak my sklycili chałupinę, Franuś się nom prawie wtedy urodziuł. Jak ino wyźrałem na pole i przypomniołem se, ze to moje, to nie chciołem wierzyć, co nigdy ni miołem skibki pola, miołem całą gospodarkę. Bogu ni mogę wydziękuwać za wszystko".

Lubił ze mną gadać. Sądziłem, że zaimponowałem mu czymś, czym, sam nie wiedziałem. Był już wtedy zamożnym w swym biednym środowisku gospodarzem, miał najpiękniejszy w Morgach dom pod eternitem, stale jednak odnosił się do mnie, osiemnastoletniego naucz[yciela], prawie że uniżenie. Aż raz się wygadał. „Panie, jo wos bardzo sza-

nuję, bo wy jesteście takutki jak was ojciec. Dej mu Boże jak najdłuższe lata. Sługiwołem w Pisarzowej. Pamiętom, nigdy nie pogardził biydnem, jak inne kmiecie. Nieroz się odezwał do mnie. Służyłem wtedy na Łąkach, buło wesele na Górkówce, poszedłem na słazę, stanąłem se w sieni. Gdzie mnie buło się pchać do izdebki, kej tańcyli. Was ojciec wyniós słuzie zbanek piwa, przepił do mnie, on gazda i powiedzioł mi, napij się ode mnie, dobry z ciebie parobek, bo sanujes bydło. Nigdy mu tego nie zabocę. To była pierso moja śklonka piwa. Gazdowie, którem całe lata wiernie robiułem, nie poczęstowali mie nigdy". Wyjaśniło się, poważanie zawdzięczałem szklance piwa, podarowanej w przystępie dobrego humoru przez [mego] Ojca.

Nauczyciel na Podlesiu

Autorytetem nauczyciel wówczas w Siekierczynie nie był. Poprzednik mój, nauczyciel prywatny, pijał, latem najmował się do sianokosów i żniw, zimą od Wszystkich Świętych do Wielkanocy uczył, o ile nie pił.

Trzeba było sobie na poważanie zarabiać. Raz jeden z gospodarzy przysłał mi za napisanie jakiegoś podania litr rumu. Taka była taksa u mojego poprzednika za podanie, które wywarło pożądany skutek. Nie przyjąłem, i z zasady, i z tego powodu, że przysłał przez dziecko szkolne. Na drugi dzień tenże gospodarz w karczmie odezwał się dosłownie w te słowa: „Co se ten smarkaty nauczyciel myśli. Trembecki ze ślachty pochodziuł, a za litr rumu to by mię w d... pocałował, a on odesłał, ze nie potrzebuje".

Mieszkałem obok wynajętej na klasę izby. Gospodyni gotowała mi na śniadanie mleko, na obiad rosół z ziemnia-

kami, mięso przynosiłem z Pisarzowej, na wieczerzę herbatę. W piątek zamiast rosołu jajecznicę. Tak trwało cały rok. W sobotę po nauce szedłem zawsze do rodziców w P[isarzowej], gdzie spędzałem niedzielę. Przed wieczorem pakowałem do walizki chleb, masło, mięso, trochę wędlin i szedłem na Podlesie. Czasem odprowadzał mnie Ojciec na Zbyrek[a].

[a] Wzgórze k. Pisarzowej, oddzielające dolinę Mordarki, płynącej w kierunku Limanowej, od doliny Smolnika.

Dzień w dzień był prawie że identyczny. Rano szkoła, obiad, po nim poprawa zadań, następnie przez dwie godziny czytałem książkę. Wieczorem szedłem na spacer po polach, lesie lub na Zimną Wodę, wracałem o zmierzchu. Jeżeli to była zima, wówczas siedziałem przy otwartych drzwiach piecyka poruszając żarzące się węgliki, latem czytałem wieczorem coś niecoś (zimą więcej) i szedłem spać. Gdy na dworze padał deszcz, ustawiałem na środku izby krzesło i obchodziłem je 50 razy w prawą, a następnie 50 razy w lewą stronę, i tak aż do znudzenia. Czasem zajrzałem do kierowniczki we wsi (odległość wynosiła 3 kilometry), pożyczałem od niej czasopismo „Życie". Sam nie prenumerowałem nic. Pocztę rozdawał raz na tydzień, w niedzielę, wójt na Kaninie, a ponieważ na Kaninę nie chodziłem, więc list tułał się czasem trzy tygodnie, nim dotarł w pożałowania godnym stanie do mych rąk. Zresztą, nie miałem za co prenumerować gazet. Ojciec dał mi jesionowych i trześniowych desek, stolarz zrobił mi stylowe dwa łóżka, szafę, nocny stolik, umywalkę, stół i kanapę; zapłacenie stolarza zaciążyło bardzo na mym budżecie. We wsi nic nie kupił, po każdą drobnostkę musiało się iść do Limanowej, chodziłem co tydzień 7 kilometrów. Z Limanowej czasem dla odmiany obracałem się do Pisarzowej, skąd wracałem na Podlesie.

Razem czyniło to 20 kilometrów, które robiłem za popołudnie. Ponieważ to cygańskie życie znudziło mi się trochę, więc poprosiłem inspektora szkolnego, i ten przeniósł mnie do Pisarzowej. Do szkoły miałem z domu rodziców 2 minuty drogi. Kierowniczką moją była moja dawna nauczycielka[a]. Uczyłem w tej samej klasie, w której przed dziesięciu laty brałem lanie. Początkowo stosunek wzajemny był poprawny. Kierowniczka pochodziła z tych nauczycielek, które ukończyły IX klasę ([pięcio]wydziałową). Warunki zastałem zupełnie inne. O ile na Podlesiu byłem sam, to w Pisarzowej była kierowniczka, plebania, stacja kolejowa. Trzecia część wsi to byli krewni, cała wieś znajomi. W tym czasie najstarszy mój brat Piotr, który wyjechał do Ameryki, ożenił się tamże i zażądał spłaty. Ojciec wyznaczył mu 10 tys. koron (2 tys. dolarów), z czego sam dał 5 tys., zaś pozostałe 5 tys. dał brat Staszek. Staszkowi wydzielono 15 mórg pola, że więc miał dać spłat i budować się, musiał się ożenić, aby posagiem spłacić starszego brata. Ojca gospodarstwo skurczyło się o 15 mórg. Część groszy była, sprzedano konia, parę wołów i krowę, dopożyczono brakującą kwotę u krewnych i przesłano bratu Piotrowi 5 tys. zł. Brat Staszek ożenił się na Podlesiu u tego gospodarza, u którego mieszkałem. Zacząłem pracować w rodzinnej wsi. Czułem się tu gorzej, aniżeli na Podlesiu.

[a] Kierowniczką była nadal Maria Tabaszewska, Górszczyk został znów nauczycielem „nadetatowym".

Zaraz w pierwszych tygodniach spotkałem się z jednym z gazdów z paczki wójta (ojciec nie był sympatykiem ówczesnej gospodarki gminnej). Rozmowa pomimo woli zeszła na sprawy gminne. Niezadowolony z mego stanowiska Marcin „spod góry" (ów radny) zalecał mi, bym się

nie mieszał do niczego, „bo nikt nie jest prorokiem w swojej ojczyźnie". Odpowiedziałem, że do Pisarzowej przyszedłem w roli nauczyciela, a nie proroka, jednak ubodło mnie to przypomnienie.

Na mnie przypadło 80 dzieci (w Siekierczynie miałem ostatnio 49). O ile tam były dzieci zahukane, biedne i grzeczne, to tutaj dla odmiany miałem element wręcz przeciwny, mniej więcej takie typy jak ja, gdy uczęszczałem do tutejszej szkoły. O ile tam uspakajałem uśmiechem i skinieniem ręki, to tu z kija najoczywiściej kpiono. Powoli jednak okiełzałem najoporniejszych. Pierwszy rok pobytu poświęciłem przygotowaniu się do egzaminu kwalifikacyjnego, nie bywałem nigdzie, przeczytałem jedynie sporo książek z biblioteki TSL w Limanowej.

Tu poznałem się z sekretarzem Rady Powiatowej J[ózefem] Bekiem. (Ojciec b[yłego] min[istra] spr[aw] zagr[anicznych] podpisywał się bez [litery] c). Za jego pośrednictwem otrzymałem komplet książek dla dzieci. Pożyczałem je w szkole, i tak spełniłem przyrzeczenie, z[łoż]one ongiś na widok dziewcząt czytających książkę.

Bek namówił mnie również do wstąpienia do Okręgowego Towarzystwa Rolniczego. Egzamin kwalifikacyjny złożyłem we wrześniu 1912 r. w Bochni. Uczyłem dalej, ale o ile sobie przypominam, było to odwalanie lekcji za lekcją.

Jak byłem małym chłopcem, lubiłem bardzo jabłka o winnym smaku. Jabłoni słodkich było na Belonówce kilka, grusz sporo i śliw jeszcze więcej, ale winnych nie było, poprosiłem Ojca, by mi zezwolił założyć sad owocowy. Chętnie zezwolił, zacząłem więc kopać z młodszym bratem Frankiem i siostrą dołki pod drzewka, które nabyłem w powiatowej szkółce drzewek owocowych na Słonecznej

(założonej przez Beka). Zasadziłem naturalnie same renety i kilka [śliw] renklod. Łąki koło domu były liche, bo nigdy nie nawożone. Namówiłem Ojca, aby zbronował łąki zarosłe mchem. Z niechęcią Ojciec zezwolił, nie wierząc w jakieś bronowanie. Łąki zbronowano, posiano je solą potasową i kainitem[a]. Efektem był dwukrotny plon i samopoczucie, że jednak coś z nauki gospodarstwa zapamiętałem, w ówczesnym bowiem seminarium naucz[ycielskim] uczono gospodarstwa wiejskiego. Dalsze próby z doświadczeniami odmianowymi zbóż i nawozowymi szły mi łatwo, ponieważ Ojciec – nabrawszy przekonania do tej pracy – chętnie mi pomagał, a raczej moje pomysły praktycznie realizował.

[a] Niskoprocentowy nawóz potasowy – mieszanina minerałów – stosowany pod buraki oraz do niszczenia chwastów.

Poza Belonówką nie pracowałem, zresztą nie miałem nic do powiedzenia. Kierowniczka przyszła na posadę po ukończeniu dziewięciu klas, gazet nie czytała, książek powieściowych unikała, za wieś 25 lat nie wyjeżdżała, nic więc dziwnego, że środowisko ściąg[nęło] ją do swego poziomu. Interesowały ją jedynie wszystkie nowości wsi. Nie była zła, czasem wspomagała innych, namawiała do posyłania dzieci do szkoły średniej, uczyła potrzebnych wówczas początków języka niemieckiego, miała niewyczerpane zasoby humoru, była jednak niekonsekwentna i przerzucała się łatwo z jednej ostateczności w drugą, skrajnie przeciwną.

Proboszczem został długoletni katecheta szkolny[b]. Na wsi czuł się źle, gospodarstwem się nie zajmował, nie lubił go w ogóle. Obsiadła go rodzina i ssała na wszystkie możliwe sposoby. W szkole pracował sumiennie, poza tym leżał na kanapie i czytał gazetę. Na wsi znał może dziesięć rodzin, niczym się nie interesował. Czułem się nieszczególnie. Koledzy ze szkoły w Pisarzowej służyli w armii au-

[b] Ksiądz Ludwik Wrębski.

striackiej. Dla starszych byłem Antkiem z Belonówki, synem starego, poważnego Sejmeja, ale niczym więcej, tym bardziej, że byłem kawalerem. Kawaler zaś, w ówczesnym pojęciu wsi, mógł nawet być lubiany, pełnym człowiekiem nie był, na obywatela pasowało go dopiero małżeństwo.

Do pracy społecznej ani obywatelskiej ówczesne seminarium zupełnie nie przygotowywało, miało uczyć a, b, c. Nie wyrabiało charakteru ani woli. Schyl się, brzęczało nam koło uszu pięć lat. Stale pokazywano nam miraż potulnego cielęcia, ssącego dwie krowy. Do podjęcia walki z biernością wsi, niechęcią czynników nią kierujących nie miałem sił, ochoty, przygotowania. Ówczesny wójt oszukiwał gromadę, gdzie tylko mógł, majątek gminny rozdrapywano. Wieś zaczynała ponownie pić. Byłem nauczycielem tymczasowym, ponieważ złożyłem już egzamin kwalifikacyjny, [wniosłem] więc podanie o nadanie mi posady samoistnej, stałej, w Pisarzowej, ew[entualnie] w Siekierczynie.

Ognisko ZNP

Zacząłem brać czynniejszy udział w życiu Ogniska naucz[ycielskiego], którym kierowali wówczas Sikora, Szumański, Dobek, Lubojemski[53]. Ostatni z nich założył chór nauczycielski. Dziwny to był zespół, członkowie chóru rozsiani byli na przestrzeni powiatu. Niektórzy z nich mieli po 5 mil (37 kilometrów) drogi kołowej do Limanowej (Góra św. Jana, Krasne), przeciętna odległość 20 kilometrów wstrętnej drogi. Ponieważ uposażenie było marne, odległości te [prze]bywało się pieszo. W każdą drugą niedzielę odbywała się próba, zdaje się mi, że nie było wypadku, by ją ktoś odpuścił.

Ćwiczono popularne wówczas pieśni, przypominam sobie pierwsze słowa niektórych:

1. *Pan burmistrz i ławnicy, ślą ostrzeżenie wam.*
2. *O pójdź, o pójdź, towarzyszyć nam.*
3. *Dziewczynko, czemu to* itp.

Śmiechu, gwaru, żartów było co niemiara. Koleżeństwo było prawdziwe. Rozchodziliśmy się wieczorem. Ponieważ najdalej mieli z jodłownickiego, więc często odprowadzaliśmy ich pod Tymbark, dodając sobie do normalnych 7 kilometrów dodatkowe nowych 14 kilometrów.

Kierownictwo pracy oświatowej wziął na siebie Teofil Szumański (późniejszy topograf), wydawca bardzo przejrzystej mapy powiatu limanowskiego. Z funduszów Ogniska zakupiono latarnię projekcyjną, przeźrocza, i latarniki ruszyły w teren.

W każdą niedzielę po południu szło trzech pomylonych męczenników oświaty w inną stronę. Jeden niósł latarnię, projekcyjną, drugi aparat karbidowy, trzeci, tj. prelegent, skrzynkę z przeźroczami. Miało się to nazywać, że mamy przeorać powiat, właściwie to drapaliśmy tylko, gdy gdzieś swędziało.

W tym czasie wypadł manifestacyjny Zjazd Nauczycielski we Lwowie. Było to zimą. Zamówiono specjalne pociągi. Mróz był rzetelny. By nam na drugi raz odechciało się podobnych eskapad, nie opalano długo pociągu. Pod Czudcem dla odmiany pociąg ugrzązł w śniegu i przestaliśmy parę godzin. Ostatecznie dobiliśmy do Lwiego grodu. Postaliśmy przed namiestnictwem, nim nie przyjęto naszej deputacji; spasieni policjanci, na jeszcze bardziej spasionych koniach, wjeżdżali pomiędzy nas. Ktoś przemawiał z trybuny, wypominał nam, ilu to mamy przyjaciół: zie-

mianie, kler, konserwatyści, stańczyki, Rada Szk[olna] Krajowa, a nawet sam Badeni[a] nas kocha – w końcu dodał, że wśród takich właśnie przyjaciół „psy zająca zjadły". Rusini wołali „do Widnia", my, Polacy, żądaliśmy rozstrzygnięcia przez autonomiczny sejm galicyjski. Odjechaliśmy do domów z jakąś obiecanką, rzuconą nam na odczepne.

[a] Kazimierz Badeni, polityk konserwatywny, od 1886 r. namiestnik Galicji, 1895–97 premier austriacki.

Przepowiednie

Gdzieś po zajściach we Wrześni, jeździł po powiecie limanowskim inżynier ze Lwowa, delegat Ligi Popierania Przemysłu Krajowego[b]. Byłem z nim na Kaninie. Po odczycie z przeźroczami zaprosił nas na obiad proboszcz, ks. Kwarciński. Po obiedzie proboszcz rozgrzeszył się, wyciągnął jedną i drugą butelczynę wina, pogwarka była ożywiona. Rozmowa zeszła na irracjonalne zagadnienia, inżynier oświadczył, że on nigdy nie jest zadowolony, wie wszystko, co go czeka. Zaczęliśmy oponować, zażądał, aby mu dać rękę. Pierwszy dał ksiądz, po pewnym czasie wyrwał ją mówiąc, że nie wypada mu w podobne rzeczy wierzyć. Drugi dał dłoń Ceperski, nauczyciel z Kaniny, zapamiętałem, że mówił mu o bliskim niebezpieczeństwie, po którym do śmierci będzie kaleką (ranny pod Kraśnikiem odłamkiem szrapnela w kręgosłup, pozostał na całe życie kaleką). W końcu podałem sam rękę. Wino biło mi do głowy. To, co mówił mi o przeszłości, wszystko było prawdą. Z przepowiedni zapamiętałem, że również będę w wielkim niebezpieczeństwie, ale długo (wtrąciliśmy, że to niebezpieczeństwo należy do stałego repertuaru), wyjdę jednak obronną ręką, zwiedzę przymusowo dalekie kraje i wyjadę za morze. „Do Ameryki nie wybieram się" – wtrąciłem.

[b] Zapewne chodzi o Ligę Pomocy Przemysłowej we Lwowie.

„To nie będzie Atlantyk, to będzie inne morze, prawdopodobnie Czarne". Mówił coś jeszcze, nie zwracałem jednak na to uwagi, bo nie wierzyłem. Zakończył, że w 48 roku życia będę w wielkim niebezpieczeństwie, o ile uniknę go, to będę długo żył, ale nie sądzi, by się mi to udało.

W sierpniu 1913 r. otrzymałem dekret na posadę nauczyciela samoistnego w Siekierczynie Podlesiu. Wyjechałem na dawne stanowisko, tylko w trochę innym charakterze. W Siekierczynie wsi była nauczycielka ta sama, moja była kierowniczka, obecnie zamężna i matka dwu córeczek. Żyłem trochu bliżej z kolegą ze Starej Wsi, odwiedzaliśmy się wzajemnie co tydzień. Razem z nami chodził M.D. (mój dawny znajomy z gimnazjum w N[owym] Sączu). Na drugim roku praw umarł mu Ojciec, powrócił więc na gospodarstwo, aby zająć się młodszym rodzeństwem. Miał on ładne gospodarstwo na „Gaiku" i dobrze je prowadził.

Tryb życia prowadziłem taki sam jak przed dwu laty, trochę może więcej czytałem i chodziłem po okolicznych górach. Przy pomocy TSL w Limanowej założyłem bibliotekę dla młodzieży, korzystali jednak z niej starsi. Razem pożyczających było 23. W Pisarzowej pożyczało 117 osób, roczny obrót 760 dzieł. Starałem się zorganizować kurs szycia i kroju, ale ponieważ zgłosiły się tylko trzy dziewczyny, zamiar spełzł na niczym.

Zaraz po przyjeździe na wakacje w 1914 r. poszliśmy z kolegą Morycem na spacer w stronę Męciny. Podczas przechadzki doszła nas wiadomość o zamachu w Sarajewie[a]. Z tonu komunikatu przypuszczaliśmy, że coś z tego może być. Pogoda była ładna, zorganizowaliśmy pieszą wycieczkę w Tatry. Szło nas trzech: Józek Frączek, abiturient gimnazjum[54]; Ludwik Wrębski, bratanek proboszcza;

[a] 28 czerwca 1914 r. student serbski Gawrilo Princip zabił austriackiego następcę tronu.

i ja. Wyszliśmy w połowie lipca, przeszliśmy przez Kamienicę, Gorce, Ochotnicę, Nowy Targ, pojechaliśmy następnie do Zakopanego.

Po zwiedzeniu [dolin] Kościeliskiej i Strążyskiej przeszliśmy przez Zawrat, Dolinę Pięciu Stawów [Polskich], zwiedziliśmy Morskie Oko, Czarny Staw nad Morskim, a następnie przeszliśmy ówczesną granicę węgierską i weszliśmy na terytorium dzierżaw św. Stefana. W Jurgowie[a] wstąpiliśmy do Urzędu Pocztowego, aby kupić pocztówkę. Na żądanie nasze, wystosowane kolejno w języku polskim, niemieckim i słowackim, paprykarz stale odpowiadał: „Nem tudum"[b]. Dopiero gdy odchodziliśmy, rzucił nam żądaną kartkę. Przechodząc przez Rzepiska zobaczyłem obrazy malowane na szkle, kupiłem je trzy, i dwa dawne majolikowe dzbany. Powróciliśmy przez Pieniny, Tylmanową, Łącko do domu 23 lipca 1914 r. Była to pierwsza moja wycieczka krajoznawcza. Za miesiąc wybrałem się na drugą, wprawdzie gorzej zaopatrzony, ale spędziłem na niej 5 lat.

[a] Jurgów wtedy w granicach Węgier.

[b] Właściwie: *Nem tudom* (węg.) – nie wiem.

Mobilizacja

Po powrocie zastaliśmy już częściową mobilizację. Nie zwracał nikt na to uwagi, ponieważ podobne były w 1909 r., aneksja Bośni, 1912/13 r. podczas wojen bałkańskich. Sądzono więc, że i tą razą spłyną austriackie pogróżki jak woda po gęsi[55]. 30 lipca szedłem z Sędzimirem (wówczas już prof[esorem] gimnazjum i oficerem rezerwy) i jego żoną na spacer w stronę Męciny. Czytaliśmy nadzwyczajny dodatek „Nowej Reformy", zawierający ultimatum Austrii. Byliśmy pod wrażeniem wygórowanych żądań. Gdy dochodziliśmy

Mapa bijatyki w Europie, karykatura.
AN Kraków, Wystawy archiwalne, sygn. 29/820/4

do Zamczyska, Sędzimir zwrócił się ku zachodowi i rzekł do żony: „Patrz Walerciu – to jest krew". Rzeczywiście, pół horyzontu miało niesamowity wygląd, kłębiły się chmury czerwono-rudawe, podobne do materii wydobywającej się z ropiejących ran. Wróciliśmy. Na sklepie wisiało ogłoszenie powołujące pięć roczników, gdy stanęliśmy przy ogrodzie wiodącym na „Sołtystwo", wybiegł mały brat Sędzimira, wołając: „Jasiu, jest do ciebie telegram". Żona tegoż wybuchła płaczem, pożegnaliśmy się. Po wsi biegali gońcy, roznosząc kartki powołania pod broń rezerwistów. Na drugi dzień, pomimo że to była sobota, zapełnił się kościół, przystępowano do spowiedzi. W niedzielę rano (1 sierpnia) pół wsi szło na stację kolejową. Odprowadzano około 80 rezerwistów, rekrutów, kobiety szlochały. Stary Pawłowski, który posyłał czterech synów, odprowadził najmłodszego do ławy na rzece, zatoczył się z żalu, dał synowi 10 koron. Syn pocałował go w rękę, „Zostańże z Bogiem tato", i poszedł. Stary ojciec długo jeszcze stał u ławy, ocierał łzy trokiem starego kożucha i poruszał bezgłośnie wargami.

Zajechał pociąg przepełniony po brzegi. Jeden z drugim rzucił okiem na swoich i wsiadał do wozu dla sześciu koni. Najstarsi rezerwiści ociągali się, wówczas wujek z Ciułówki zawołał: „Chłopcy, w Bogu nadzieja, w torbie chleb, siadać!".

Ze stacji wracaliśmy jak z cmentarza. Przed Gorzkówką na ławce przed domem siedział weteran pruskiej wojny (1866 r.). Józefie, opowiedzcie, jak to jest na wojnie. Zaczął bajać coś o Sadowie[56]. We wsi organizowano pomoc dla przejeżdżających. Z Sącza odjeżdżał pierwszy baon marszowy 20. Pułku Piechoty austriackiej[57]. Pojechałem pożegnać odjeżdżającego brata. Nastrojów wojennych nie

było, widać było przygnębienie. Za kilkanaście dni wracali pierwsi ranni spod Kraśnika, należało wynosić żywność do pociągów. Organizacja w Limanowej zaczęła gromadzić bieliznę, żywność dla stacjonującej drużyny w Łososinie. Studenci rozeszli się po wsi, chętnie składano dary, najwięcej dawano płótna na szarpie i obrusy na bieliznę. Jedna gospodyni dała poduszkę.

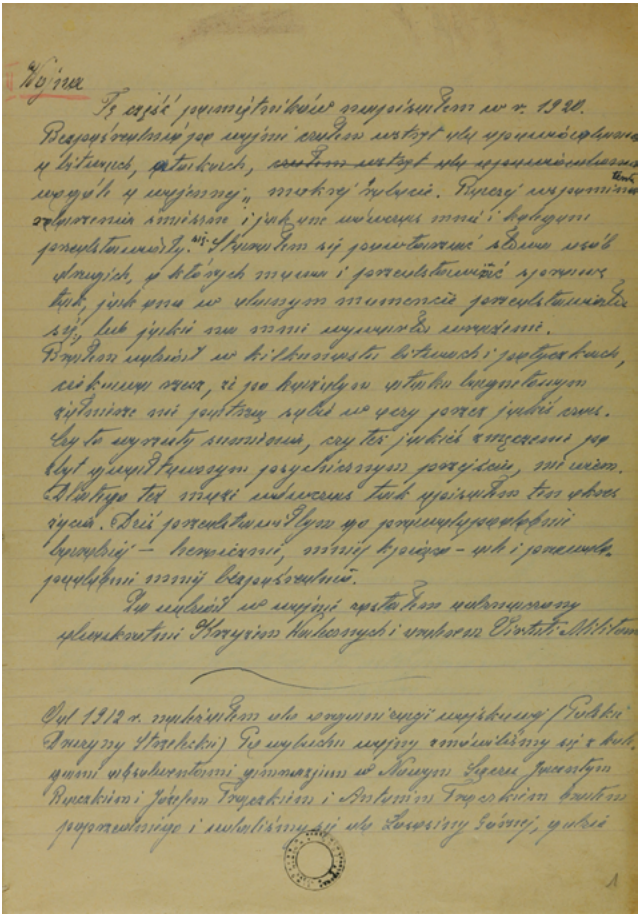

Pierwsza strona rkpsu Górszczyka.
AN Kraków Oddział w Nowym Sączu, Sandecjana, sygn. 31/190/43

2. WOJNA[a]

[a] Początek rkpsu pamiętnika w AN w Krakowie, Oddział w Nowym Sączu.

Tę część pamiętników napisałem w 1920 r.. Bezpośrednio po wojnie czułem wstręt [do] opowiedzenia o bitwach, atakach, w ogóle o wojennej „mokrej" robocie. Raczej wspominałem zdarzenia śmieszne i jak one wówczas mnie i kolegom przedstawiały się. Starałem się powtarzać słowa osób drugich, o których mowa i przedstawić sprawę tak jak ona w danym momencie przedstawiała się, lub jakie na mnie wywarła wrażenie. Brałem udział w kilkunastu bitwach i potyczkach; ciekawa rzecz, że po każdym ataku bagnetowym żołnierze nie patrzą sobie w oczy przez jakiś czas. Czy to wyrzuty sumienia, czy też jakieś zmęczenie po zbyt gwałtownym psychicznym przejściu, nie wiem. Dlatego też może wówczas tak opisałem ten okres życia. Dziś przedstawiłbym go prawdopodobnie bardziej heroicznie, mniej kpiąco, ale i prawdopodobnie mniej bezpośrednio.

Za udział w wojnie zostałem odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych i Orderem Virtuti Militari. Od 1912 r. należałem do organizacji wojskowej (Polskie Drużyny Strzeleckie)[58]. Po wybuchu wojny zmówiliśmy się z kilkoma absolwentami gimnazjum w Nowym Sączu – Jacentym Raczkiem[59] i Józefem Frączkiem i Antonim Frączkiem bratem poprzedniego[60] – i udaliśmy się do Łososiny Górnej, gdzie zbierała się drużyna z limanowskiego powiatu. Przed nami poszło z Pisarzowej kilku chłopaków, a mianowicie Maurycy Frączek, urzędnik kasy oszczędności w Nowym Targu (zginął nad Nidą 6 maja 1915 r. jako oficer legionowy)[61], dwóch Młynarskich[62], Waniołek, Kuczaj[b]. My, tj. Frączki, Raczek i ja, pozostaliśmy celem werbowania ochotników,

[b] Nie udało się ustalić bliższych danych.

bez wielkich zresztą rezultatów. W Łososinie we dworze było nas przeszło 60. Dowodził nami Józef Mucha, słuchacz Akademii Rolniczej w Dublanach. Drużyna składała się z rozmaitych typów, i tak byli gimnazjaliści, Bieda-Bem[63], Młynarscy, Frączek, Raczek, Sajak z Rybia (zginął na Wołyniu rozszarpany granatem)[64], prawnik Serafin[a] z Przyszowej, nauczyciel, kilkunastu robotników fabrycznych, reszta chłopcy wiejscy jeden morowszy od drugiego. Na ćwiczeniach zeszło nam kilkanaście dni[65]. Tu po raz pierwszy szliśmy z menażkami po obiad gotowany przez panie z Ligi[b] i żenowaliśmy się bardzo, nawet ktoś wyraził wątpliwość, czy wypada nam iść.

Tak byłem przejęty dyscypliną, iż mając rozkaz nie przepuszczenia nikogo do dworu, nie puściłem stróża pilnującego ogrodu do domu i trzymałem go na dworze do zmiany warty. 8 września wyjechaliśmy do Oleandrów (Kraków) i tu ostrzyżono nas. Pierwszy raz znalazłem się w atmosferze wojny. Jakaś kompania legionowa odchodziła pod Szczucin. Chłopcy, w cywilnych ubraniach, z żołnierskiego rynsztunku mieli na sobie pasy, ładownice i stare dymne pukawki „werndle", a na głowach maciejówki z orzełkiem[66]. Nucili półgłosem popularną później piosenkę *Jak to na wojence ładnie*[67]. Chcieliśmy iść z nimi, nie pozwolono. Ponieważ w Oleandrach był tłok, a my mieliśmy wszystko w Łososinie, przeto zawrócono[c] nas tam z powrotem. Raz szliśmy na ćwiczenia w kierunku Widomej, w szyku bojowym z ubezpieczeniami. Po drodze kobiety załamywały nad nami ręce, płakały, obdarowywały nas owocami. W drodze powrotnej naszedł nas ulewny deszcz. Zmoczeni do nitki, schroniliśmy się na ganek dworu w Młynnem (dziś już nieistniejącego). Po chwili wyszedł właściciel, zmie-

[a] Brak tego nazwiska w wykazach legionistów.

[b] Liga Kobiet wspierała legionistów, zbierając dary, gotując, wysyłając paczki.

[c] *W oryginale*: zwrócono.

rzył nas wzrokiem od stóp do głowy, popatrzył na zawilgoconą podłogę swego szlacheckiego ganku przez jakąś strzelecką bandę i zatrzasnął nam przed nosem drzwi, wiodące do sieni. Była to wróżba, bo przez cały prze[bieg] kampanii i niewoli w podobny sposób obchodzili się z nami prawie wszyscy *bene nati*[a].

[a] Dobrze urodzeni (łac.).

14 września wyjechaliśmy na zbiórkę do Choczni koło Wadowic. Po przeglądzie lekarskim, wcielono nas do 2. Kompanii 3. Pułku Piechoty, kwatery wyznaczono nam w jakiejś stodole[68]. W nocy przychodzi jakiś oficer z elektryczną latarką i pyta, gdzie warta. Odpowiedzieliśmy, że wartę trzyma 3. Pluton. Oficer objaśnia nas, że koło każdej kwatery musi być warta, ponieważ nieprzyjaciel mógłby wpaść i wymordować nas. Uspokajamy go, że Rosjanie nie przekroczyli jeszcze Sanu. Zrozpaczony naszą ignorancją kanonów wojennych, pyta, kto jest dyżurnym. Na to Serafin dosyć długim prawniczym wywodem objaśnia go, że funduszami limanowskiego oddziału zarządza A.G., cieszy się ogólnym szacunkiem drużyny, więc chyba on będzie dyżurnym, reszta zgromadzonych przytakuje. Rozśmieszony oficer opuszcza nas, życząc dobrej nocy.

Byliśmy limanowiacy umundurowani i zaopatrzeni w bardzo dobre buty, w przeciwieństwie do reszty obolałych i omalże bosych krakowiaków. Najrozpaczliwiej przedstawiali się ci w panama kapeluszach[69], szewrowych[b] lub lakierowanych bucikach i jasnych ubraniach, a był ich przeważający odsetek. Raz podczas obiadu zrobiliśmy egipską awanturę. Kucharze ugotowali grochową zupę, po której pływały robaki i kawałki śmierdzącej kiełbasy. Ujął się za nami chorąży Kabar[c]. Przywołany lekarz pułkowy orzekł, że kiełbasa jest niezdrowa i kto nie chce może jej „nie jeść".

[b] Buciki z delikatnej skóry (giemza, szewro) (fr. *chèvre*: koza).

[c] Franciszek Kabar (1896–?), pochodzący spod Lwowa.

Odjazd 2. i 3. pp Legionów Polskich
(11 Brygada) na front w Karpatach Wschodnich,
Nar. Arch. Cyfrowe, sygn. 1-H-174-2

Zmieniono nam kwaterę, dla odmiany mieszkaliśmy w plebańskich stajniach, a ćwiczyliśmy na plebańskich polach. Co wieczór śpiewaliśmy, my, z limanowskiego, i Dziewońscy (3) z Dziekanowic[70]. Najchętniej śpiewano: *Naprzód drużyno strzelecka*[71], *Hej strzelcy wraz*[72], *Tam na błoniu*[73], *Jak wspaniała nasza postać*[74], *Sam jeden, sam jeden na cały ten świat* itp.

Dowódcą plutonu był inż[ynier] Kałużyński (przed wyruszeniem w pole postrzelił się w rękę). Nie żałowaliśmy go, dosyć bezceremonialne obchodził się z nami, na mustrze się nie znał, protegował tych, którzy mu pochlebiali. Naszym kapralem był morowy inż[ynier] wodociągów w Krakowie, inż[ynier] Probulski. Trzymał się on bokiem szajki otaczającej porucznika, natomiast zawsze był razem ze swymi chłopcami (tak mawiał). Tu poznałem kaprala Kazimierza Urygę[75] ze Żmiącej, podoficera austriackiego, który napylił z c.k. armii i wstąpił do Legionów. Był on szorstki, służbista, i znał się na wojskowości, lubiany, prawdę mówiący, niósł większy posłuch aniżeli jego przełożeni.

2 października wyruszyliśmy w pole, nie żegnał nas prawie nikt. Na stacji w Wadowicach jakieś duże panienki wręczyły mi pakiet kartek polowych, swój adres i trochę wódki dla kolegów. Adres zaginął i ani jednej kartki nie napisałem[a].

Muzyka zagrała *Hej strzelcy wraz* i niebieska brać strzelecka runęła ku wagonom (6 koni i 40 mężczyzn), by na długi okres opuścić ziemię rodzinną. Przejechaliśmy Cieszyn, pełny ewakuowanych naszych uchodźców, Jabłonków[76], Iglo[77], Koszyce, Tokaj i inne miejscowości, których wymienienie może przyprawić o wadę organu mowy[78]. Jadąc po stronie południowej Karpat późną jesienią widzieliśmy cudne krajobrazy. W Iglo do pociągu przybyło kilka dziewcząt. Krakowiacy zaczęli tokować, Wolski[b] zorgani-

[a] Gdyby napisał, mógłby dostawać paczki od Ligi Kobiet.

[b] Może chodzi o krawca Antoniego Wolskiego ze Świdrówki k. Szczucina, ur. w 1894 r.

zował chór, śpiewaliśmy trochę, flirtowali więcej, aż przechodzący Węgier rzucił nam uwagę, że u tej kategorii słuchaczek możemy wszystko zyskać znacznie mniejszym zachodem, np. 2 koronami (austriackimi). Cofnęliśmy się do wozów, plując sobie w brodę. W Koszycach nasze łapiduchy[79] wzięły nas na górne fis; ogłosili mianowicie, iż wjechaliśmy w strefę choleryczną, i gdy ktokolwiek z nas kupił wspaniałych węgierskich winogron (czapka 10 centów) konfiskowali, i w swoich wagonach najbezczelniej zjadali. Zasyłaliśmy im życzenia, by ich cholera nie minęła. Tak dojechaliśmy do Husztu[a80]. Tu już zapuszczały się kozacze patrole. Na twarzach krzykliwych paprykarzy widać było blady strach, przejechaliśmy Szklencze[81], gdzie jeden żandarm wskazał nam wolny przejazd i zajechaliśmy za daleko.

[a] *W oryginale:* Huszt, *obecnie: Chust na Ukrainie Zakarpackiej.*

Spostrzegł się jednakże Roklan[82], wycofał pociąg, i w polu kazał nam wysiąść z wozów. Uszykowały się wojenne żółtodzioby, obwieszone łopatkami, kociołkami i butami, błyszczący i brzęczący niczym pochód kajdaniarzy. Cisa wylała, zatapiając dziesiątki kilometrów kwadratowych. Jedną odnogę, mającą około 5 kilometrów kwadratowych, musieliśmy przejść idąc po kolana, pas lub piersi w lepkiej, żółtej od mułu wodzie. Powoli wygramoliliśmy się na brzeg. Na drodze leżało kilkadziesiąt austriackich koni dragonów, zabitych przez mężny bukowiński landszturm, nierzadki zresztą wypadek w szeregach c.k. armii. Dragonów zdołano pochować, ale otwarte pyski, wytrzeszczone zęby, lejąca się krew, wzdęte ciała rosłych austriackich koni uczyniły na nas nieprzyjemne wrażenie. W następnej wsi zobaczyliśmy ów owszony, brudny, zastraszony, pookręcany namiotowymi płachtami bukowiński landszturm (obrona krajowa), któremu na nasz widok wyrwał się okrzyk ulgi:

Odjazd 2. i 3. pp Legionów Polskich na front w Karpatach Wschodnich,
Nar. Arch. Cyfrowe, sygn. 1-H-174-3 i sygn. 1-H-174-4

– Moskale daleko? – pytamy;
– Ze trzy kilometry – my oglądamy się dookoła.
– Byliście w bitwie?
– Mieliśmy 18 gefechtów (potyczek);
– Ile wygraliście?
– Co to, to się nam nie przytrafiło.

Inicjatywa rozmowy przechodzi do Glorreichen Armee[a].

– Kto wy jesteście?
– Polacy, Legioniści.
– Legioniści to jest freiwiligi (ochotnicy) – chwytają się za chlebaki, ale równocześnie twarz im się rozjaśniła. Po chwili zapytali: To wy na pewno nie mieliście co jeść, co robić i narukowaliście do wojska? Zapytał jeden nich Polańskiego, syna obszarnika z ziemi sanockiej.
– Dam w mordę temu murdze[b], mruknął niezbyt delikatnie zawsze przestrzegający zasad dobrego tonu Polański[83].

Rozmowa się urwała. Po chwili usłyszeliśmy zresztą od czasu wspólnych operacji z austriacką armią rozkaz *Legionäre vorvärts*[c] i pomaszerowaliśmy do Akna Slatiny[84]. Ładne to miasteczko leży w komitacie Marmarosz Sziget[85]. Posiada dużo sadów i dorodne owoce. Zaledwie jednak rozebraliśmy się i osuszyli po mimowolnej kąpieli w rybnej Cisie, nastąpił alarm. W północnej stronie pękały granaty, nas skierowano na wschód. Po całodziennym marszu doszliśmy do Leordiny[86], Koczepsy[87], a następnie powróciliśmy do M[armarosz] Sziget (piękne i czyste miasto nad Cisą). Ponieważ półtora dnia maszerowaliśmy bez pożywienia, przeto przypuszczaliśmy, że tutaj nareszcie odpoczniemy, oczyścimy się i coś przekąsimy. Odpoczęliśmy aż 10 minut, a następnie zarządzono pospieszny marsz przez jakieś góry, zbocza pokryte śniegiem, pastwiska, marsz, którego do

[a] Sławnej Armii (niem.).

[b] Gwarowo: nieokrzesaniec, prostak.

[c] Legioniści naprzód (niem.).

śmierci nie zapomnę. W jakiejś wiosce rzuciliśmy plecaki i ulżywszy sobie na ciele, z pustymi żołądkami, doładowani jedynie amunicją (240 naboi), ruszyliśmy dalej.

W ciągu 23 godzin, głodni, zrobiliśmy 80 kilometrów. Do Leordiny dowlokło się nas z plutonu – liczącego 40 ludzi – pięciu: Uryga, Joniec, Raczek, Frączek i ja. Reszta pozostała po przydrożnych fosach i pryzmach kamieni[88]. Batalionowy Hofbauer-Roklan wlókł nas w ten sposób, że gdy już iść nie mogliśmy i padaliśmy, kazał przedniej straży strzelać, my zaś, sądząc, że bitwa się zaczyna, ruszaliśmy naprzód, nie po zwycięstwo, lecz po śmierć wyzwolicielkę. W Leordinie rozpętały się najniższe instynkty. Głodni jak zgraja wilków, prosiliśmy o chleb, a nie otrzymawszy go chwytaliśmy kurki. Rodzaj niewieści podniósł taki krzyk, że gdyby niedaleko było Jerycho musiałoby runąć. Miałem jakąś kurkę i postępującą za mną Rumunkę, która brała niemożliwie wysokie tony. W wędrówce spotykam u przełazu jakiegoś doświadczonego austriackiego artylerzystę lwowiaka, wlokącego za ucho i ogon sporego ciołka. Jego anioł stróż, Rumun, nie wył, ale ryczał. Przy chruścianym płocie otarł pot z czoła, odsapnął, rozpoczęliśmy rozmowę. „Młodzi wy i naiwni jeszcze jesteście – objaśniał z dobrotliwym uśmiechem lwowiak. Łapiecie 30 kur, skubiecie je i gotujecie, słuchając 30 zawodzących Rumunek. My bierzemy jednego ciołka, mamy z nim trochę zachodu, zamiast 30 krzyków mamy jeden, może trochę silniejszy, ale i tak nie dochodzący do 1/10 tego, co wy rozpętaliście". Miał rację. Dopomogłem mu przerzucić przez płot ciołka, pożegnaliśmy się, a duet rumuński, który podczas naszej rozmowy ucichł, zaczął zawodzić ze zdwojoną siłą. Bawiliśmy tam dobę, ale poeta nie mógłby powiedzieć: wsi spokojna, wsi wesoła.

Marmaros-Sziget
Marmaros-Sziget
Szigetmarmarosi
Szinevér
Hosszumező
Bustyahegy
Bustyaháza
Borsa
Vereczke
Kőrösmező
Ökörmező
Dolina
Stanislau
Kalusz
Stryj
Sambor
Drohobycz
Lemberg
Przemyśl
Sanok
Stryj
Stanislau
Kolomea
Czernowitz
Kamenetz-Podolsk
Sniatyn
Kolomea
Stanislau
Kalusz
Stryj
Sambor
Przemyśl
Lemberg
Drohobycz
Sanok
Kamenetz-Podolsk
Czernowitz

Na drugi dzień gotujemy kurki, następuje alarm; nasz 4. Pluton spóźnił się na zbiórkę, ponieważ plutonowy Litwinowicz[89] zażądał od nas haraczu w postaci nogi ugotowanej ptaszyny, której to daniny najkategoryczniej odmówiliśmy, wychodząc z założenia, że kto nie polował, nie idzie do udziału. Plutonowy ten, rodem z Samary nad Wołgą, słuchacz akademii handlu, uparty jak każdy Litwin, poprzysiągł nam zemstę. Myśmy znali go pod przydomkiem plutonowicza, szwagra z Litwy i wszy społecznej, i ten przydomek był najpopularniejszy, miał bowiem wszy niespotykanych rozmiarów, zjadał niewiarygodnie duże porcje, mógł zresztą jeść bez przerwy. Nie mógł bez wzruszenia wspominać o swym pobycie u swej ciotki, zamieszkałej w witebskim, gdzie obchodzono święta według rzymskiego i wschodniego obrządku. Ledwo jedne się skończą, już rozpoczynają się drugie, a mazurki i placki nie schodzą ze stołu. Gdzie tylko przybyliśmy gdzie na kwaterę, pociągał za swój długi na ziemistej twarzy osadzony nos i mówił: „Należałoby nastawić samowar". Długi, niezgrabny, był przedmiotem koleżeńskich żartów, szczególnie po bitwie pod Bertianką. Widząc bowiem skierowanych ku sobie kilka karabinów rosyjskich, zanurzył głowę w śniegu, przybrał przy tym kształt trójkąta, którego podstawa, tj. głowa i stopy były zanurzone w śniegu, zaś najmniej szlachetna część ciała sterczała pod kątem ostrym ku górze. Po tej strusiej przygodzie powrócił bez czapki do Plajska Mindunga[a], nie mógł inaczej postąpić, bo na tej potrzebie zabroniono nam strzelać.

Z Leordiny udaliśmy się do Petrowy[b] a stąd do Popa Iwana[90], najwyższej wyniosłości w Karpatach węgierskich. Od godziny 10.00 rano do 11.00 w nocy wspinaliśmy się pod górę. U podnóża było sucho, łagodny październikowy kra-

[a] Ujście potoku Plajska do Berianki, stąd nazwa ujście Plajska – niem. *Plajska Mündung*.

[b] Petrowa k. Leordiny, teraz w Rumunii, pierwsza wieś czysto rumuńska w dolinie Wyszowy.

jobraz, w połowie błoto, mży deszczyk, na szczycie zastaliśmy śnieg po kolana. W drodze powrotnej potykaliśmy się o kamienie, leżące poprzeczne belki, rozbijaliśmy się o drzewa, spadali z pochyłości[a], o godzinie 10.00 rano zeszliśmy do jakiejś mieściny żydowskiej, w dwie godziny po wycofaniu się stamtąd kozaków.

[a] *W oryginale:* z pochyłością.

Naszym zadaniem było przeciąć im odwrót. Gdzieś u podnóża Popa Iwana wskoczyłem do[b] kurnej chaty Rumuna juhasa, aby prosić o kawałek chleba. Izba malutka, 2 sztuki bydła, prosię, jakieś owce plątały się po podłodze, kilkoro dzieci, z iluzorycznymi zasłonami, mającymi zakryć ich nagość, i bez tych zasłon, z płaczem skryło się na piec. Proszę o chleb, kobieta wyrzuca z garnka oblepionego sadzą na brudną szmatę polentę[c]. Ja rzucam na stół (pomimo sprzeciwu płaczącej nade mną Rumunki) kilka sztuk niklowej monety, zanurzam palce w polentę i zaczynam jeść, a raczej pożerać [posiłek] pierwszy raz od 2 dni. Resztę masy wpycha mi kobieta w kieszeń, podnoszę jakiegoś małego kędzierzawego „nescu" do góry, głaszczę po głowie i odchodzę wzruszony gościnnością tej biedaczki. Na progu zawodzi znów Rumunka, lecz jakże inaczej, aniżeli w Leordinie.

[b] *W oryginale:* ku.

[c] Mamałyga: potrawa z kaszy kukurydzianej.

M. Frączek ma w kociołku kurę, którą zaczął gotować. Woda była już gorąca, zapewniał, za kilka minut na pewno zawrzałaby. Postanowiliśmy zjeść ją wraz z kukurudzianką. Kura była łykowata, zupełnie surowa, ale jakoś udało się zjeść. Innym razem[d], chodząc po zrabowanym przez kozaków miasteczku, zaszedłem do jakiegoś żydowskiego domu. Na podłodze leżał przekłuty spisą Żyd, po bliższych oględzinach zauważyłem, że leży na drzwiach od piwnicy. Odsunąłem go na bok i wszedłem, szukałem ziemniaków, a znalazłem garnek powidła. Rozumując, że na łonie

[d] *W oryginale:* inną razą.

Abrahama, gdzie przeniósł się gospodarz, powidło *vulgo lekwar*[a] jest mu co najmniej zbyteczne, przywłaszczyłem go sobie i sprawiedliwie podzieliłem się z kolegami. Po dwudniowym wypoczynku, podczas którego żywiliśmy się już jabłkami, śliwkami, burakami, wówczas gdy prowiantowy kapitan Mroczek pasł konie naszymi sucharami, odjechaliśmy wąskotorówką do Teraczkos[91], a następnie do Mireszhaza[92], stąd zaś do Krasnaszora[93].

[a] Pospolicie gotowany lek.

Wybraliśmy się nad rzekę, by się umyć i uprać bieliznę. Kupiliśmy mleka i zaczęliśmy gotować ryż. Ile go wsypać? – pyta Uryga. Prawnik, nauczyciel i absolwent gimnazjum decydują, że pół kociołka. Co się rzekło, to się zrobiło. Dwie godziny gotowaliśmy, trzykrotnie dolewaliśmy zimnej wody. Ugotowaliśmy. Była to masa biała, lepka, płona (bez soli). Idąc czwórkami, podawaliśmy sobie kociołek i łyżkę. Szczęśliwiec, który go otrzymał, rył łyżką w ryżu, brał go do ust, łapał, łypał białkami, naciągał przełyk; i jeżeli cały ten proces przeszedł szczęśliwie, wzdychał z ulgą, podając kociołek następnemu. Nocleg wypadł nam w Dombó[94]; zakwaterowano nas w bożnicy, pokładliśmy się zmęczeni spokojnie na ziemi. Jedynie Moryc Gotlieb (jedyny Żydek kompanii) węszył coś po kątach, a znalazłszy kilka szat rytualnych, zawiadomił nas, że będzie odprawiał nabożeństwo i okręciwszy się w nie wygodnie zasnął snem sprawiedliwego. Pochodził z Włoszczowej, liczył [sobie] 16 lat, miał zawsze humor i węch, pozwalający mu wykorzystać każdą sposobność. Zwykłą jego sztuką było nabieranie naiwnych twierdzeniem, że chociażby konał z głodu, [to] kiełbasy, słoniny ani chleba pomazanego wieprzowiną nie tknie. Niejednokrotnie dawano wymienione pożywienie, a wówczas mówił, że przy głupich mądry zawsze się pożywi[95].

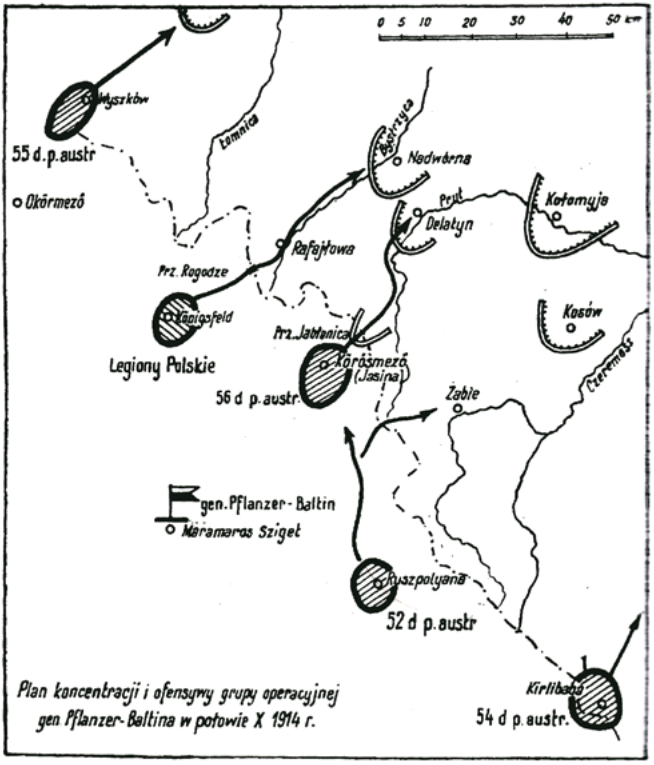

Szkic Nr 1.

Plan ofensywy grupy operacyjnej gen. Pflanzer-Baltina, poł. x 1914 r. Reprint, Kielce 2003 z wydawnictwa Antykwariatu „Filar", Warszawa 1937

Mapa Galicji z pogranicza węgiersko-galicyjskiego
w Karpatach Wschodnich, ok. 1900 r.
AN Kraków, sygn. 29/663/1174

Fragment mapy Gorganów. Reprint, Kielce 2003
z wydawnictwa Antykwariatu „Filar", Warszawa 1937

W Krasnej Szorze widziałem po raz pierwszy wnętrze ruskiej izby (Ruś Zakarpacka). Na ławkach i pryczach porozkładano barwne kilimy, na półkach bajecznie kolorowe talerze, służące, jak mnie informowano, ku ozdobie, popod sufit wisiały rzędy dawnych na szkle malowanych obrazów. Płci niektórych świętych żadną miarą nie mogliśmy odgadnąć. Widoczne rozmyślnie produkowano te bezpłciowce, by następnie wmawiać w kupujących, że to jest właśnie żądany patron, ew[entualnie] patronka. Używano pięciu farb[96]. Po jednodniowym odpoczynku odmaszerowaliśmy do węgierskiej Brustyury, wioski – 7 kilometrów długiej[97]. Kwaterowaliśmy w młynie. Z ziemi[a], belek nazgarniałem trochę mąki i ugotowaliśmy trochę kaszy.

[a] *W oryginale:* ze ziemi.

Następny nocleg mieliśmy w Kenigsfeldzie, Carskoje Polje, Királymezo[98]. Każda miejscowość miała tu niemiecką, ruską i obowiązkowo węgierską nazwę. Kenigsfeld była to duża saska wieś, koloniści pobudowali wspaniałe domy, w których były czyste podłogi, niespotykane w domach Rumunów czy też Rusinów. Zamożność widać [było] na każdym kroku. Ożenił się tu jakiś ognisty legun spod Jędrzejowa, nie rozumiejący ani słowa po niemiecku, z Niemką, którą również zebrało na miłość. Pożył z nią 4 dni, poszedł pod Mołotków i zginął.

W sekcji miałem jakiegoś Rzepkę, zdaje się z Czerwonego Prądnika (Kraków). Podział chleba odbywał się u nas w ten sposób, że podoficer kroił go, zwoływał żołnierzy, ci brali porcje, a ostatnia pozostawała. Od tej zasady nie odstępowałem nigdy. Mianowany w Kenigsfeldzie kapralem, nie umiałem dobrze dzielić, lecz najgorzej wychodziłem na tym sam. Raz zrobił mi Rzepka awanturę, że porcja przypadła mu mała i zgłosił się do raportu. Porucznik Tarkowski[99]

obejrzawszy moją i jego (większą od mojej) porcję, i wysłuchawszy, w jaki sposób rozdziela się chleb, dał mi satysfakcję, rozkazując mnie przeprosić. Po kilkudniowym pobycie, zarządzono zbiórkę o godz[inie] 11.00. Do godz[iny] 4.00 po południu staliśmy w szeregach na ulicach, aż sztab oficerski skończy obiad, wydany przez excelencję Durskiego[100]. Rodziły się w nas remi[niscencje] dawnych czasów. Ciemną nocą zaczłapaliśmy do Holzschlaghaus. Wstawiony batalionowy zawiódł nas dalej, niż należało, tak że musieliśmy powracać.

Ostatecznie stanęliśmy na miejscu nam wyznaczonym, tj. na łące, na której było wody po kostki. Poszedłem do rzeki Terzaczkos, przyniosłem trzy kamienie dosyć duże, na jednym położyłem głowę, na drugim nogi, trzeci podpierał centrum mej ziemskiej powłoki, a podparty karabinem przespałem kilka godzin. Obudziwszy się, odstąpiłem to łoże (przedmiot zazdrości) Frączkowi, a sam zająłem jego miejsce przy ognisku. Rankiem wyznaczono nam placówkę w Plajskiej, leśniczówce oddalonej 4 kilometry od leśniczówki Holzschlaghaus. Budynek zastaliśmy maleńki, ale za to była klauza[101]. Zarząd dóbr księcia Fürstenberga, mający letnią rezydencję w Turbaczmündung[102]. W tej to rezydencji widzieliśmy na strychu sto kilkadziesiąt par rogów jelenich i kozłów, niektóre z nich miały do 2 metrów rozpiętości[103]. Klauza była to tama kamienna, 12 metrów wysoka, spiętrzała ona wodę. Poniżej klauzy wyrębywano lasy, a drzewo spychano do rzeki. Gdy otwarto klauzę, masy wody (staw miał 12 metrów wysokości, 30–70 metrów szerokości i około 300 metrów długości) porywały drzewo i niosły do Holzschlaghaus. Do posterunków podchodziły wilki, rysie, a najczęściej duży niedźwiedź. Ku naszej rozpaczy, nie wolno było nam strzelać. Raz praliśmy bieliznę, ale brud nie pusz-

czał. Zobaczył to Probulski (inżynier kapral 3. Kompanii), i zaczął wykpiwać nas, nasze klasyczne wychowanie, nasz brak najprymitywniejszego zmysłu spostrzegawczego, niedozwalającego nam zaobserwować, jak kobiety wiejskie piorą bieliznę uderzając kijanką. To mówiąc, położył swą koszulę na płaskim kamieniu i zaczął uderzać w nią przyniesionym w tym celu gontem, nie zauważył jednak, że pozostał w nim kawałek gwoździa. Kpiąc sobie z nas, zapytał Dziewońskiego (prawnika): „Jak to Nauzika[a] prała bieliznę, nie wiesz Pan? Pisze o tym obywatel Homer". „Zapewne nie tak, jak Pan" – odrzekł zapytany, i pokazał mu jego własną koszulę podziurawioną gwoździem jak rzeszoto.

[a] Królewna Nauzykaa *Odyseja* Homera.

We Wszystkich Świętych poszliśmy z Jackiem i Józkiem na patrol. Wyszliśmy na wierzch Siwuli, na granicy polsko-węg[ierskiej]. Mojżesz nie patrzył tak na ziemię obiecaną, jak my zmęczeni długim pobytem między brudnymi Rumunami, zimnymi Niemcami i krzykliwymi paprykarzami.

Raz, mając zmieniać warty, zawołałem Makowskiego i Kotusińskiego. Wyszli w pole, po chwili rozległ się strzał, to Kotusiński przypadkowo postrzelił się w rękę. Odnieśliśmy go do Holzschlaghaus, a stamtąd odesłano go do Dombó[104]. Z placówki tej odwołano nas niespodziewanie. Późnym wieczorem naszła nas gromada rozbitków spod Mołotkowa. Odmaszerowaliśmy do Holcszlag[b]. Widziałem przechodzących chorych i rannych z Rafajłowej[105] do Königsfeldu[106]. Jeden z nich, szesnastoletni chłopak, zasnął przy ognisku i opalił sobie twarz, tak iż spuchła mu nie do uwierzenia, pękała, a z otworów sączyła się surowica. Dziewoński wymienił z nim karabin, za *werndla* otrzymał *greka*[107], za 2 papierosy, ja zaś od Dziewońskiego za paczkę tytoniu i bibułki. Wieczorem nasz batalion odszedł na Pantyr, otrzymawszy oprócz

[b] Holzschlaghaus.

Marszałek polny Karol Trzaska-Durski, rys. Leopold Gottlieb.
Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie

Płk J. Haller w Karpatach Wschodnich, 1914/1915 r.
Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie

Dekoracja odznaczeniami za waleczność w obecności dowódców, m.in. gen. Trzaski-Durskiego, na szlaku Legionów, 1914/1915 r.
Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie

błogosławieństwa po kociołku kwaśnego wina na dwa nosy. Droga była wyłożona okrąglakami, szło się nam wesoło, tylko wino wysychało nam zbyt szybko. Ciemną nocą wyszliśmy na przełęcz Pantyr[108]. Na szczycie była niewielka polana, na kraju lasu widniał duży krzyż, postawiony przez pierwsze oddziały, które przekroczyły granicę węg[iersko]-polską. Widniał na nim napis:

„Młodzieży polska, patrz na ten krzyż
Polskie ramiona dźwignęły go wzwyż,
Dążąc przez góry, lasy i wały,
Do Ciebie Polsko i dla Twej chwały".

Na polecenie Hallera[109], rozłożyliśmy na śniegu ogniska. Surowe gałęzie nie chciały się palić, a paląc się wydawały masę żrącego dymu. Rankiem zeszliśmy powoli po zmarzłych okrąglakach, pozostawiając za sobą cudną, ciepłą węgierską jesień, i człapiąc po mokrym śniegu, a następnie [po] błocie, zawlekliśmy się do Rafajłowej. Było tu około 3 tys. legionistów z 3. Pułku Piechoty; 2. Pułk wraz z kawalerią wycofał się po Mołotkowie do Königsfeldu, gdzie po nielicznych zajściach nastąpiła jego reorganizacja. Naszą kompanię, ponieważ była uzbrojona w dymne karabiny systemu Werndla, pozostawiono na placówkach po węgierskiej stronie, i dlatego nie brała udziału pod Mołotkowem[110], otrzymała placówkę w jakiejś leśniczówce 4 km od Rafajłowej. Zawieziono nas tam wąskotorową kolejką. Po dwudniowym pobycie, w ciągu którego zdołaliśmy się najdokładniej zawszawić, nocną porą urządziliśmy (2. Baon, 3. pp) napad na Pasieczną, prowadzony przez Roklana i Szaleńca[111]. 4. Pluton otrzymał za zadanie bronić uciekającym przejścia przez most na Bystrzycy. Plut[onowy] Litwinowicz rozrzucił nas w takim terenie, iż mieliśmy nosy

o pół łokcia poniżej pięt i w tej niewesołej pozycji przeleżeliśmy na mrozie 3–4 godz[in]. Nad ranem powróciliśmy z jednym jeńcem. Mużyk z Wiatki patrzał na nas wyłupiastymi oczyma. Chcąc go uspokoić, daliśmy mu kociołek gotowanego ryżu, zjadł, drugi również, trzeci tak samo. Dziwiąc się jego apetytowi, przynieśliśmy czwartą menażkę. Wańko wziął łyżkę, łzy stanęły mu w oczach. Po chwili zapytał się, czy musi jeść, bo on już drugi ledwo zjadł. Tak więc niechcący męczyliśmy biedaka.

8 grudzień [raczej listopad] 1914 r.: cały pułk wyruszył o godz[inie] 9.00 rano na Pasieczną, otrzymałem rozkaz zrewidowania domów w Zielonej. Wchodzę do jakiegoś domu i pytam o Moskali, nikt nie odpowiada. Po chwili z podłogi podnoszą się drzwi i wynurza się rozczochrana, oślepiona strachem głowa Rusina, za nim wychodzi Rusinka. Uspokajam ich, że tu przecież nie strzelają, że tu mogą całkiem spokojnie siedzieć, bitwa przecież w dolinie i w tej chwili wpada przez okno zabłąkana kula i rozbija obraz na ścianie (no i szybę w oknie). Rusinka z płaczem pada przed ikonami, chłop z okrzykiem „Hospody, Boże mój" rzuca się głową naprzód do jamy pod podłogą. Moskale mnie skompromitowali, zadając kłam moim słowom, odszedłem nic nie mówiąc, a zresztą nie miałem do kogo. Przechodziliśmy przez wzgórza za Zieloną, częściowo tylko okryte zaroślami pod średnim ostrzałem karabinowym. Od czasu do czasu skok, biegiem kilkadziesiąt kroków i dalsza pukanina. Około godziny 15.00 zluzowaliśmy 6. Kompanię, której zabrakło amunicji. Od czasu do czasu odzywały się od toru kul nasze pieski (małe, starego systemu armatki, strzelające dymnym prochem). Po wystrzale wznosiła się chmura dymu, czy był skutek, nie wiem, ale hałasu było bardzo dużo[112].

Krzyż na Przełęczy Legionów. Pośrodku grupy wojskowych dowódcy: gen. Trzaska-Durski i płk Haller

Legioniści w Karpatach Wschodnich: placówka w Zielonej, 1915 r.
Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie

Legioniści w rowie strzeleckim, Karpaty Wschodnie, 1914 r.
Nar. Arch. Cyfrowe, sygn. 22-126-8

Legioniści jadący kolejką do Zielonej w Karpatach Wschodnich, 1914 r.
Nar. Arch. Cyfrowe, sygn. 22-126-3

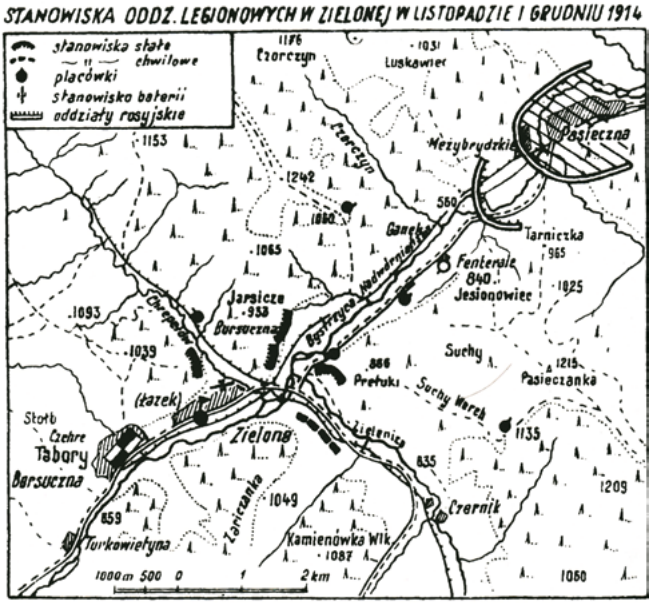

Szkic Nr 11.

Stanowiska Legionów w Zielonej, listopad–grudzień 1914 r.
Szkic z reprintu z wydawnictwa Antykwariatu „Filar", Warszawa 1937

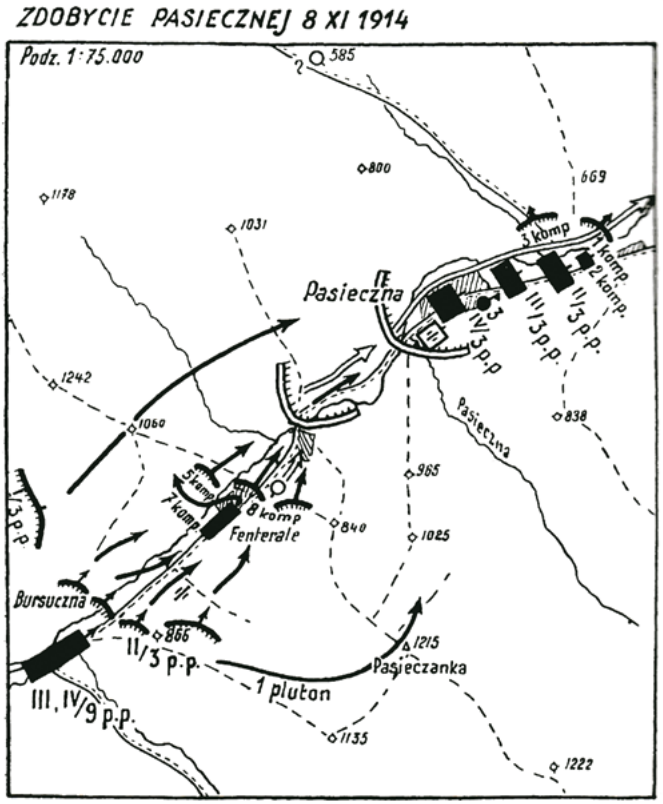

Szkic zdobycia Pasiecznej, 8 XI 1914 r.
Reprint z wydawnictwa Antykwariatu „Filar", Warszawa 1937

Obok mnie leżał Sułkowski[113], co kilka minut palił ze swego zardzewiałego werndliska, następnie kozikiem wydłubywał gilzę, wpychał drugi nabój, kozik wbijał w ziemię i czekał, aż dym się rozejdzie, by powtórzyć tę manipulację. Krawczyk[a], którego humor nigdy nie opuszczał, radził mu, by dym rozpraszał czapką. Około godziny 16.00 ruszyliśmy biegiem do Pasiecznej, przebywając kilka chruścianych płotów. Moskale już uciekli. Most kolejowy na Bystrzycy był spalony. Po jakichś belkach przeszliśmy go. Oficerzy zabawiali się u nauczycielek, my zaś 1,5 godz[iny] staliśmy w błocie na ulicy, czekając, aż raczą nam wyznaczyć kwatery. Na drugi dzień rankiem wydano nam wczorajszy obiad, jakąś bieliznę i zboczem Zielenicy, a następnie jej szczytem, dowlekliśmy się, zasłaniając prawe skrzydło, cofając się do Zielonej brygady.

[a] W wykazie legionistów jest kilkanaście osób o nazwisku Krawczyk.

Na szczycie była połonina, pasł tam bydło rogate i owce jakiś Hucuł, wespół z jakimś młodym Żydkiem czy też Ormiaszką, którzy na nasz widok skwapliwie zagnali swe stada w dół. Generał Haller został ranny w rękę. Będąc na zboczu góry sądziliśmy, że przed ogniem rosyjskiej artylerii jesteśmy zupełnie zabezpieczeni wyniosłością góry. Baon zebrany został w czwórki, gotując się do wyjazdu, wtem padają 3 szrapnele, jeden z nich 3 kroki przed frontem naszej kompanii, zebranej na zbiórkę; pociski nie eksplodowały. Na noc powróciliśmy do Zielonej, a rankiem na placówkę, którą nam wyznaczono 3 kilometry w górę potoku, płynącego z Ripnej[114]. Komendantem był Uryga, za domem rozłożyliśmy ognisko i piekliśmy płatki salami, naszpikowane na długie greckie bagnety. Na drugi dzień otrzymaliśmy rozkaz odwrotu, na noc rozłożyliśmy się na górze nad Rafajłową, jako ochrona artylerii, rozwłóczyliśmy stóg siana na posłanie. Moskale jednak na Rafajłową nie uderzyli. Wyzna-

czono nam kwaterę w maleńkiej kurnej chałupie – 3 sekcje, tj. około 35 ludzi.

Karmili nas podle, do rosołu, gdzie gotowano nogę z padłego konia, wsypano worek otręb, i to był obiad. Jedynym naszym zajęciem było oglądanie bielizny. Mściwy Krawczyk zbierał wszy i składał do gilzy karabinowej, usypawszy przedtem prochu. Po ukończonej rewizji zatykał gilzę papierem i wystrzelał do otwartych drzwiczek pieca. Wychodząc z domu na wojnę zawiesiłem sobie na szyi woreczek z kilku banknotami i trzema sztukami złota. Kilkakrotnie czułem w nocy ból w miejscu, gdzie jest woreczek. W Königsfeldzie pokazała się nawet ranka. Przypuszczałem, iż grzbiet dwukoronówki otarł mi pierś. Aż raz, rozwiązując go w obecności Urygi, zauważyłem olbrzymich rozmiarów wesz i kilkanaście mniejszych. Zaczerwieniłem się bardzo, a Uryga rzekł: „Nie żenujcie się, ja mogę wam pokazać lepsze okazy". W Rafajłowej nie żenował się już nikt. Raz, będąc z raportem w sztabie pułku, zobaczyłem oryginalny obraz. Na podłodze 3 płonące świeczki, a przy każdej oficer gnębił swój dobytek. Jedynie dr Bartel[115], nieposiadając świeczki, tułał się od jednego do drugiego, aby mógł przyprowadzić garderobę do ładu. Posiadacz świeczki zasłonił światło, a Bartel, sapiąc groźnie i potrząsając groźnie trzymaną koszulą, mówił niby groźnie: „Przyjdziesz i ty, kiedy na moje podwórko, a wtedy..." Por[ucznik] Wojtecki[116] podniósł głowę, a zobaczywszy mnie w pełnym rynsztunku (przyszedłem złożyć raport z patrolu), zapytał: „Co, może i wy chcecie bić wszy przy mojej świeczce?". Ale dr Bartel odparł: „No, przy tobie by się ktoś pożywił".

Później, na besarabskiej granicy, widziałem jak legun, pisząc list do swej dziewczyny, podpisał się gumą arabską,

a do kleju przykładał złowione insekty, zaś kropkę utworzył z czterech nadzwyczajnych rozmiarów wszy przytulonych głowami do siebie. Niejednokrotnie zresztą mawialiśmy: ludzie nas znać nie chcą, Bóg o nas zapomniał, jedynie wszy nie opuszczą nas, aż do usranej śmierci.

Gdzieś w połowie grudnia odmaszerowaliśmy do Osmołudy. Szliśmy szczytami gór, a zdaje się i Siwuli, coś 20 razy przechodziliśmy przez potok, aż nareszcie doszliśmy do leśniczówki Jali, 4 kilometry od Osmołudy[117].

Przechodząc ponad wodą plut[onowy] Litwinowicz wpadł po pas do rzeczki, gdy go już wyciągnięto upuścił karabin, wskoczył więc do wody, zanurzył się cały i wyskoczył z karabinem. Uszedłszy kilkanaście kroków [poczuł, iż] zamarzło na nim ubranie, tak że nie mógł zrobić kroku. Pozostał więc z dwoma żołnierzami, ci rozpalili ognisko i w miarę odtajania zdejmował z siebie części garderoby susząc ją przy ognisku (-18°C mrozu). Przywlókł się za nami za 4 godz[iny] do Osmołudy, nie odchorowawszy tej przygody.

Osmołuda były to dobra lasowe Potockich, obejmujące kilka tysięcy hektarów lasu. W Osmołudzie byli robotnicy, zarząd, tartak, stacja kolejki wąskotorowej. W Osmołudzie był raj w stosunku do Rafajłowej. Jacek ucinał do Tiszerowej Helci, Sowiński[a] chodził do szewca, a raczej do jego córek, my zamawialiśmy sobie prywatne obiady, w kuchni nikt nie jadł. Sowiński, były artylerzysta rosyjski, śpiewał kuplety, popijał sławnie wódkę, tańczył jak baletnica obracając się na jednej nodze. Minęły jednak te „piękne dni Aranjuezu"[b]; jednym wyczerpały się korony, innych wysyłano ustawicznie na patrole do Jasienia, do Hryńkowa, Angelowa, Huty[118]. Na Boże Narodzenie wycofano nas do Mokrańki[119]. W Nemet Mokrej[120] zamówiliśmy sobie

[a] W wykazie legionistów kilkanaście osób o nazwisku Sowiński.

[b] Rezydencja królów Hiszpanii, nawiązanie do sztuki Schillera w tłum. A. Mickiewicza.

pieczywo, kapustę, opłatki przyniósł sierż[ant] Bierszadzki spoza linii rosyjskich z Rożniatowa[121]. Wigilia była uroczysta, drzewko ubraliśmy kulkami *manlichera*[122], *werndla* i *greka*, pod drzewkiem tornister i karabin. Nie było wesoło, Duda[a] z 2. Plut[onu], 42-letni Królewiak, uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej miał 2 synów w rosyjskiej armii, zakrył oczy rękami i wyszedł z izby.

Gdy nasz 4. Pluton stał na placówce w Mokrance, patrol Śliwińskiego[b] przyprowadził dwóch Kozaków zabajkalskich, jeden z nich (Pawłowski) był wnukiem powstańca z 1863 r. W nocy Kozacy grali z pogotowiem w 21[123]. Na drugi dzień wielu naszych miało doświadczenie, Kozacy zaś mieli ich korony. Raz nie zluzowałem w porę żołnierzy na warcie, po chwili słyszę wołanie. Komendant warty – wybiegam i pytam, co jest. „Obywatelu, godzina minęła, a nie zamieniliście mnie". Był to Zapart z Czerwonego Prądnika, miał tak wyrobione poczucie czasu, iż nie dał się nigdy na 5 minut przeciągnąć na służbie. Z Mokranki zajeżdżałem służbowo do Nemet Mokrej. Była to wieś niemieckich kolonistów (robotników leśnych), ludzi serdecznych.

Nazwisk Czepeczanerów nr 92, Holcbergerów nr 86 i 101 zdaje się nigdy nie zapomnę. Babka Holcberger uratowała mi nogę, gdy bowiem przemroziłem ranioną nogę lekarz orzekł, że to gangrena i polecił odtransportować mnie do Dombó, na amputację nogi. Zawlokłem się o kulach do *Großmutter*[c] Holcberger, aby się pożegnać. Pozostawiła mnie u siebie, zamiesiła ciasto z mąki, tłuszczu i jakichś ziół, obkładała nim nogę, tak że noga straciła fioletowy kolor. Po 12 dniach poszedłem sam zameldować się do Komendy Etapu. Komendantem był Zabdyr, późniejszy pułkownik 3. Pułku Piechoty[124] (jeździł na koniu nie większym od ko-

[a] W wykazie legionistów kilka osób o takim nazwisku.

[b] Śliwiński – sekcyjny w 7. Kompanii 3. pp Legionów.

[c] Babcia (niem.).

zy). Twierdził, że w jego kompanii mają oficerską kuchnię. Kompania jego, złożona z ozdrowieńców, łazików i chorych, buszowała sobie po wiosce.

Poznałem tu dwóch Królewiaków, których 1. Pułk Piechoty Legionów oswobodził z radomskiego więzienia, osadzonych za przynależność do PPS: Piotra Jeżyńskiego[125] i Wacława Pietrusiewicza, uczniów szkoły handlowej[126]. Chodzili oni po Nemet Mokrej z rozpiętymi dragonami bez pasów, z rękami w rękawach, od restauracji Węgra do kościoła. Wieczorem zachodzili do Elizy Holcbergerówny i rozpoczynali konwersację. Nie znali więcej jak 100 słów: *Wissen sie*, *Versteen sie*, *Sagen sie*, to 50% używanych słów. Wacek co chwilę sięgał za kołnierz, pod pachę i wyciągał ofiarę, kładł ją na kawałku papieru (dobry ton nie pozwalał mu kłaść na stole, jak sam twierdził) i unieszkodliwiał na zawsze. Papierek ów pozostawał do końca wizyty i był wielokrotnie przydatny. Odchodząc, zabierał go Wacek zawsze ze sobą. Do Elizy chodzili ilekroć byli wstawieni, co im się nierzadko zdarzało, i zawsze wieczorem. Wacek twierdził, że Eliza jest ładna jedynie przy świetle lampy. Cel tych odwiedzin był platoniczny, jedynie dla wszy był realny. Wraz ze mną u *Großmutter* był Wojciech Joniec z Sechny[a], chłopak bardzo serdeczny, mądry i sympatyczny (zginął pod Łużanami)[127]. Drugą partią gości Elizy byliśmy Joniec, Niedziela[128] i ja. Oparty na ramieniu Paulinki, wlokłem się przez podwórze, Joniec przy pomocy *Großmutter*. *Großmutter*, u której leżeliśmy, brała nas co drugi wieczór na rozrywkę do wnuczek. Paulinka grała na ustnej harmonijce. Raz Eliza tańczyła, trzymając przed sobą poduszkę, ja rozmawiałem jak mogłem z matką i babką, Niedziela zaś wodził zakochanymi oczyma za tańczącą czardasza Elizą. Przy wysokich to-

[a] Sechna k. Ujanowic, na prawym brzegu potoku Łososiny.

nach muzyki czy też refrenie kładła kolejno przed Jońcem, mną i Niedzielą poduszkę na ziemi, klękała na niej, klękał i partner chwilowy i całowali się. Ona, zimna, spokojna, jak gdyby wykonywała zwykłe zajęcie; o nas, a szczególnie o Niedzieli, nie można by tego powiedzieć. I znów brała poduszkę i tańczyła zgrabnie, bezdusznie ładna, ale tylko przy świetle lampy. Raz zachodzę do Holcbergerów nr 101, już w sieni słyszę kolędę: *Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj*. To niemieckie dziewczyny, nauczywszy się kolęd od śpiewających w kościele legionistów, powtarzały je przy skubaniu pierza. Coś ścisnęło[a] mnie za gardło i w oczach mi pociemniało. Wszedłem, musiałem mieć bardzo głupią minę (ponoć łzy w oczach), bo stara babka chwyciła mnie, pocałowała w głowę mówiąc: „Gott erlaubt die nächste Weihnachten werden sie zu Haus"[b] (nie sprawdziło się, jeszcze cztery święta nie oglądałem domu). Nie mogłem mówić ani w „hoch" ani „plattdeutsch"[129], chwyciłem czapkę, widząc, że *Großmutter* i dziewczęta ucierają nosy.

[a] *W oryginale:* ścisło.

[b] Jeżeli Bóg pozwoli, następne Święta Bożego Narodzenia spędzi Pan w domu (niem.)

Stosunek wzajemny dzieciarni legionowej i mieszkańców był wzorowy. Gdy 12 stycznia wmaszerował tu 8. Baon tyrolskich strzelców, to wówczas N[emet] Mokra poznała jeszcze lepiej różnicę między Legionami a austriacką armią. *Großmutter* wprowadziła mnie do swego czyściutkiego mieszkania, mej dawnej kwatery, i załamawszy ręce pokazała połamane meble, zanieczyszczoną do niemożliwości kuchnię i naczynia. „To Niemcy, tak to Niemcy zrobili". Dziewczęta uciekały z domów, gdzie kwaterowali ich rodacy na plebanię i miały powody. Niemcy z Nemet Mokrej nie umieli pisać po niemiecku, a raczej pisząc używali węgierskiej pisowni, we wsi był ksiądz Węgier, nauczyciel Węgier, posterunek węgierskiej policji i Węgier restaurator. Tak sa-

mo w ruskich i rumuńskich wsiach. Byłem tu 12 dni, lecz na każdym kroku można było zauważyć usilną madziaryzację innoplemieńców wchodzących w skład Korony św. Stefana[a].

[a] Oficjalna nazwa krajów wchodzących w skład Królestwa Węgier. *W oryginale błędnie:* korona św. Szczepana.

24 I 1915 r. wraz z Hniłką (sierż[ant] w cywilu; kustosz uniwersyteckiej Biblioteki)[130], Bierszadzki (marynarz z Potiomkina)[131], Englicht plut[onowy][132] (poeta kompanijny, nazywany kieszonkowym wydaniem Napoleona, dobrym kolegą). Wyjechaliśmy z tego raju.

W Königsfeldzie sporządziliśmy zakąskę do wódki (pomysł Hniłki) z sardynek, cebuli, octu i oliwy, gdy nas nadeszła wiadomość o napadzie na Bertiankę, strzeżoną przez naszą kompanię. Natychmiast odjechaliśmy do naszej kompanii, a z Bertianki przez Turbacz do Plajska[133]. Po dniowym pobycie wraz z 17. Pułkiem austriackim przeszliśmy przez Siwulę do Huty, Dragonii i Porohów. W Hucie bronił się z powodzeniem Kumięga[134] z 7 legionistami i austriackim chorążym sotni kozaków; 47 austriackich żołnierzy haniebnie zwiało. W Hucie spało nas w jednej izbie 43, szarże, Jacek, Józek, Uryga i ja spaliśmy pod łóżkiem, na którym spała żona leśniczego wraz z trojgiem dzieci. Tu poznaliśmy bliżej austriacką gospodarkę żywnościową, o godz[inie] 10.00 dano nam wczorajszy obiad, o 11.30 dzisiejszy, o 14.00 jutrzejszy, ponieważ pójdziemy w góry i tam nam nie dowiozą. Ktoś wyraził obawę, by nam nie dano od razu 30 obiadów na cały miesiąc.

O godz[inie] 4.00 rozdzielono nas pomiędzy poszczególne kompanie austriackie jako przewodników i komendantów patroli i znów *Legionäre vorwärts*. 17. Pułk była to banda złożona z Niemców, Chorwatów, Kroatów, z przewagą krzykliwych i tchórzliwych dalmatyńskich Włochów[135]. Otrzymałem 12 naszych i miałem zaprowadzić dwie marszowe

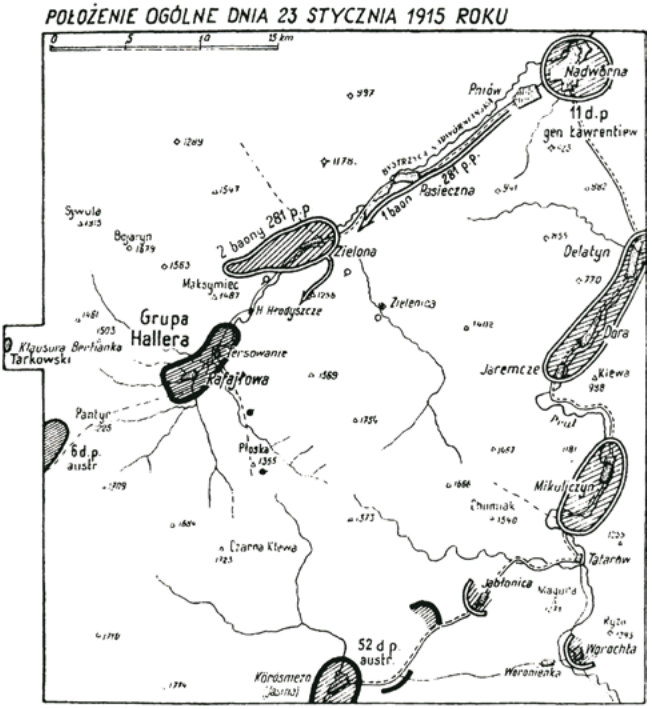

Szkic ogólnego położenia oddziałów legionistów, 23 I 1915 r.
Reprint z wydawnictwa Antykwariatu „Filar", Warszawa 1937

kompanie na Klym[a]. Rekruci spoglądali na nas z uwielbieniem, ale i jakby z obawą, oficerowie marszowi odnosili się do nas z zaufaniem, omalże nie synowskim. Wchodzimy pod górę, każę ładować broń, nasadzić bagnety, to już wyrywa się jakiemuś młodemu oficerowi, podczas gdy rekrucką brać blady strach brał w swe posiadanie. My, legioniści, zaczynamy z fanfaronadą nie okazywać żadnego strachu na śmiejący świst szrapneli. Przebiegamy przez polankę, będącą pod średnim obstrzałem, aby dojść do pozycji. Kapitan pyta mnie przez tłumacza, czy nie byłoby lepiej poczekać do wieczora, gdyż bardzo strzelają. Zapewniam go, że czas jest spokojny, że to jest zwykła pukanina, na którą nie warto zwracać uwagi. Kapitan mruknął coś pod nosem, zdaje się rzucił jakieś przekleństwo pod moim adresem, zakrył nos łopatką i z determinacją ruszył naprzód. Kilku oberwało, szczególnie jeden, szrapnelem; miał zmasakrowaną całą twarz, piersi i lewą rękę. Na nas nie robiło to wrażenia, ale marszowa kompania 17. Pułku patrzyła ze zgrozą na rannego, który przeklinał „Boha, wieru, majku, sławu i kutju". Powoli, po wypełnieniu zadań, z rozmaitych stron zeszli się nasi, komendę objął kapitan Tarkowski. Wyznaczono nam odcinek na szczycie góry i kazano kopać okopy.

Mróz dochodził do -24°C. Nie mieliśmy łopatek, płacht namiotowych, koców, cały ten bagaż wyrzuciliśmy podczas wariackiego pościgu Rosjan na Węgrzech. Kto mógł grzebał, gdy zapadł mrok zmówiliśmy się, zeszliśmy na polankę, gdzie była kopka siana i pod nią leżymy. Nadchodzi jakiś ordynans i wzywa, abyśmy natychmiast poszli kopać okopy, bo mogą nadejść Moskale. Zapewniamy go, że pozycja nie ucieknie, nie zając. Moskale niech próbują przyjść, gdy Polacy wściekli i głodni. Pozostawiono nas w spokoju. Na

[a] Właściwie Kłym, Wielki i Mały – góry pomiędzy Jasieniem a Porohami.

drugi dzień posłano mnie z patrolą do wsi. Major dał mi najściślejsze instrukcje, zaś nasz porucznik szepnął: „Nie zapominajcie o nas, jak Wam zostanie coś do zjedzenia, to przynieście nam". Ten przynajmniej zgadł, dlaczego zgłosiłem się na ochotnika na patrol i otrzymał 3 pieczone ziemniaki i pół manierki mleka. Raz szliśmy szczytem Klyma, miałem silną gorączkę, ustawicznie zdawało mi się, że idziemy przez jakieś miasta, ulice, koło jakichś pałaców, kościołów, zamków rzęsiście oświetlonych. Skarżyłem się Józkowi, dlaczego nie wstępujemy do tych domów na kwatery. Nareszcie usnąłem i prowadzony przez Józka i Jacka szedłem ponoć 3 godziny śpiąc. Około 7 dni plątaliśmy się po tej górze bez celu. Pichler[136], komendant dywizji, w dolinie Porohów[a] zarządził natarcie, [von]Kluck: prawe skrzydło robiło wielką strzelaninę, ale z miejsca się nie rusza, co robiło lewe skrzydło nie wiadomo. Gdyby nie znaczne straty w zabitych i zmarzniętych można by przypuszczać, że bawimy się w ciuciubabkę.

Raz przychodzę z patrolu spod samych rosyjskich pozycji, co zresztą Pichler wysławszy mnie obserwował przez Zeisa[b], i wyrzucam sakramentalne „Herr General ich melde gehorsam"[c] itd. On wysłuchawszy mnie z uśmieszkiem, rzekł: „No możemy iść spokojnie, najlepiej gwarantuje nam mleko na waszej brodzie", w końcu rzucił: „Sie sint wunderbare Soldaten, aber keine Armee"[d]. Genezis tego mleka był następujący. Wszedłszy do Jabłonki[137] pierwszą naszą czynnością było wmawianie Rusinkom[e], że ukrywają Rosjan, a następnie proponowaliśmy, by nam dały coś do zjedzenia. Baby, by odwrócić podejrzenie, dawały, co mogły. Pijąc mleko z dużego glinianego garnka, oblałem sobie brodę i zamarzły mi na niej krople mleka. Jacek zasłużył na pochwałę, ponieważ nie padł na ziemię, pomimo że rosyjska artyleria obrzucała

[a] Miejscowość n. Bystrzycą Sołotwińską, poniżej Huty.

[b] Lornetka firmy Zeiss.

[c] Panie Generale, posłusznie melduję (niem.).

[d] Jesteście wspaniałymi żołnierzami, ale nie armią (niem.).

[e] *W oryginale:* u Rusinki.

go szrapnelami. „Jak miałem paść – mówił później – kiedy miałem pełny chlebak surowych jaj, pacnę na ziemię rozbiję wszystkie, będę się kładł ostrożnie, zobaczą, że coś niosę". W tych tarapatach kompania stopniała do 70 bagnetów (z Wadowic wyszło nas 250). Z oficerów zginął na Hreczce chorąży Wajda[a], odwieziono do szpitala porucznika Czechnę-Tarkowskiego. Za tego oficera dalibyśmy życie, był tak delikatny jak kobieta. Cywilnej ludności nie pozwolił na włos skrzywdzić. Spał i jadł z żołnierzami, dbał o nas jak o własną duszę i rozmawiał zawsze z nami. Kolega Piłsudskiego, sformował mu we Lwowie cztery kompanie. Marzyciel, fantasta, oczy jego patrzyły gdzieś zza świata. Opowiadał jak podczas wybuchu wojny jakiś Sokół, Drużyniak i on, Strzelec, wybiegli na Wawel i rozkołysali Zygmunta. Opowiadając o tym, dodawał zawsze: „My zginiemy, lecz z trudu naszego i znoju powstanie wolna ludowa Polska".

[a] Nie udało się ustalić bliższych informacji.

Zginął podczas ataku na Polską Górę na Wołyniu. Pamiętam, jak z nieukrywanym wstrętem odwrócił się od dwu austriackich szpiegów, przechodzących nasz front, a idących wysadzić most na Dniestrze pod Stanisławowem. Gdy zameldowałem i zapytałem, co z nimi zrobić, odrzekł: „Wyprowadzić za linię placówek tych gadów".

Raz z Porohów konwojowałem znaczniejszą partię rosyjskich jeńców Kozaków, mając tylko czterech ludzi konwoju. Marsz ten trwał 2 dni i noc. Kubańscy Kozacy tak zbaranieli w górach, że gdy który pozostał w tyle wołał, by go nie zostawiać.

Raz w nocy zjedliśmy pierwszy od dwóch dni obiad, ryż rozgotowany i jakieś zimne płuca. Pociągam nosem, u Austriaków dają fasolę. Zaryzykowałem, wysunąwszy gwiazdki i wepchnąwszy rożki legionowej czapki do środka, wezwaw-

szy bożka bezczelności, by mnie nie opuścił, podchodzę do kuchni i podsuwam menażkę. „Achte Kompanii?”[a] pyta podejrzliwie parzypysk 17. Pułku. Wjechałem na niego z kopytami. „Verfluchte dreckige Misthaufen”[b] itd. w tym tonie i sensie. Szmirak zrozumiał, że kto klnie musi mieć słuszność, i dał mi półtorej chochli gęstawego groszku, tłumacząc się, że rozmaici podchodzą do kuchni, a on nie zna wszystkich ludzi. Verfluchtując, ale już ciszej, [bo] zasób niemieckich przekleństw zaczął mi się wyczerpywać, usiadłem pod świerkiem, wziąłem menażkę między kolana i zacząłem pałaszować ryzykownie nabytą fasolkę.

[a] Ósma kompania? (niem.).

[b] Cholerna podła kupa gnoju (niem.).

W Porohach była Rusinka, która miała barabole (ziemniaki), ale których żadną miarą od niej wyłgać nie można było. Posyłają mnie. Na progu zastępuje mi drogę Rusinka, twierdząc, że Moskale wsio zabrali. Uspakajam ją, że chcę tylko się zagrzać. Siedząc przy ogniu zaczynam rozmawiać z dziećmi, dając im po kostce cukru. Tym ująłem Rusinkę. Na ścianie zobaczyłem fotografię jakiegoś „murgi” z datą i numerem pułku. Była to pospolita między Rusinami fotografia z wojska (*Erinnerung an meine Dienst*)[c]. Kombinowałem, że to będzie jej syn, imię, wiek, pułk znałem z fotografii, wygląd wyobrażałem sobie z wyglądem rodzeństwa. Zacząłem improwizować, jak zacząłem opisywać okropności wojny, opisywać spotkanie z 24. Pułkiem z Kołomyi, nędzę, jaką przechodził, powtórzyłem rozmowę prowadzoną z dwudziestosiedmioletnim chłopcem z Porohów, mimochodem opisałem jego wygląd. Baba dała się nabrać, rzuciła mi kilka pytań, na które ostrożnie odpowiedziałem, i rykła: „Hospody Boże mój, ce Mychajło”. Po tym obiecującym intermezzo nie wnet się uspokoiła. Nie wnet i ja opuściłem jej „hyżę” napojony i nakarmiony, z czapką kartofli w chlebaku. Piwnicę

[c] Wspomnienie mojej służby (niem.).

miała pod podłogą, na drzwiach stało łóżko, pod które narzucała pełno gratów, nikt by się tam nie spodziewał schowka.

W Porohach na Klymie, niedaleko letniego pałacyku barona Liebiega[138], zastrzelił się jednoroczny ochotnik z Osieka[a], Chorwat. Von Kluck rzucił: „Begraben one Zeichen" (pochować bez śladu). Wetknęliśmy mu mały brzozowy krzyżyk, leży na drodze wiodącej z Klymu do Śliwek[139] (za Jasieniem). Po kilku szturmach, odwrotach, pogoniach i ucieczkach pomiędzy Sołotwiną[140] a Hutą ostatecznie usunięto Rosjan z tego terenu. Tu pożegnaliśmy armię austriacką, a przejął nas Haller. Było to w marcu, cały luty minął[b] nam na wojowaniu z 17. pp austriackiej. Coś dwa dni kwaterowaliśmy u wójta w Zarzeczu[141], który miał bardzo ładne meble w stylu rusińskim, z wcinanymi ornamentami geometrycznymi. Stąd udaliśmy się pod Żuraki[c]. Rosjanie mieli wspaniałe okopy na bystrym brzegu sołotwińskiej Bystrzycy, my leżymy na śniegu na równinie.

9 baterii austriackich i sporo ruskich bawi się naszym kosztem. Austriacy często – zamiast nieprzyjacielskie – tłuką nasze okopy. Jakiś Rusin przyniósł nam miskę zimnej, surowej kapusty, pomimo mrozu zjedliśmy ją z apetytem. Na drugi dzień pukanina ucichła i zajęliśmy Bohoradczany[142] Nowe, a następnie Stare.

Proszę podporucznika Godziejewskiego[143] o pozwolenie udania się na dalszy patrol za rzekę. Pozwolił, zachodzę do wsi za rzeką, oglądają nas z zainteresowaniem, nie widziano nas od 1914 r. W spółdzielczej mleczarni Masłosojuza kupujemy trochę masła. Jacyś inteligentni zapytują, czy już rosyjska armia jest definitywnie rozbita. Uspakajamy go, że jeszcze niejednokrotnie będzie nas tu widział jako gości. Zasadą bowiem austriackiej armii jest robić odwroty, ten

[a] Osijek (Chorwacja).

[b] *W oryginale:* zeszedł.

[c] Żuraki – miejscowość poniżej Sołotwiny.

zaś formarsz napawa nas uzasadnioną obawą. Radziliśmy cywilom, by się nie angażowali po czyjejkolwiek stronie, tj. nie kładli palców między drzwi. W Nadwórnie[144] bowiem Austriacy powiesili 16 Rusinów, za to, że naprawiali Moskalom drogę, zaś Moskale powiesili kilkunastu Polaków, za to, że witali wchodzących Austriaków. Taka już jest wojenna sprawiedliwość, bijesz ty mojego Żyda, biję ja twojego.

Za kilka dni nastąpił spodziewany odwrót. Uspokoiliśmy się, zbliżając się do gór. Tak bowiem zżyliśmy się z nimi, że na równinie czuliśmy się całkiem obco, lasy niebyłowskie, Krasna[145], Rosulna[146], Hreczka[147], to następne etapy pobytu i potyczek. Gdzieś koło Rosulnej widziałem pobojowisko przyprószone lekko śniegiem. Obok zabitego austriackiego żołnierza, rozpięty jego plecak i wyrzucona jego zawartość. Drugi trup, siedząc obok, trzyma w ręku konserwę, zabraną wcześniej zabitemu koledze i otwiera ją bagnetem. Otrzymał widocznie w tym momencie uderzenie kulką w głowę, bo czaszkę ma zmiażdżoną.

Koło Niebyłowa[148] w lesie (marzec) chcemy się zagrzać przy ognisku, przy którym trzech Węgrów piekło prosiaka. Rzucają kilka dosadnych przekleństw pod naszym adresem. Odchodziliśmy wściekli dalej pod lasek. Zrobiło się ciemno, Rosjanie wypatrzyli ognisko, za jakieś 20 minut [rozległy się] 3 strzały armatnie: drugi szrapnel pęka nad jasno płonącym ogniskiem, dwu kurisalów wędruje do węgierskiego Pana Boga na paprykarz, trzeci zaś, oszalały ze strachu, wytyka w las. Gdy przycichło, rozdrapaliśmy pomiędzy siebie śmiertelne szczątki prosiaka, które w tak opatrznościowy sposób nam się dostały.

2. Baon 3. pp zgromadzony za nasypem kolejowym przygotowuje się do wypadu szturmowego. Przed nami bije się

bukowiński landszturm z żółtymi wypustkami. Zbliżamy się do mostu. Pod kesonem mostu leży na brzuchu landszturmak Żyd. Na każdy odgłos armatniego strzału odpowiada wiernie jak echo „oj, oj", silniejszy strzał, silniejsze „oj", słabszy dalszy strzał – „oj" przybiera odcień ulgi. W dłuższych odstępach między jednym a drugim, powtarza w kółko „Moja Sura, moje dzieci, ja już zabity, oj, ojoj, oj". Śmialiśmy się serdecznie. Jakiś wesołek oficer przykłada mu *brauning*[a] do głowy, robi straszną minę i krzyczy: „Wstań, bo ci strzelę w łeb jak psu". Potomek Judy Machabeusza jakimś skombinowanym ruchem odwrócił się na plecy i zaczął wierzgać nogami, i rzucać konwulsyjnie zakrzywionymi palcami rąk w kierunku skierowanej lufki *brauninga*, jak gdyby chciał kopnąć kulkę i wydawał wysoki skrzeczący głos. Widząc, że oficer nie strzela, ruch jego nóg przybierał wolniejsze tempo. Dwukrotnie jeszcze – ku uciesze gawiedzi – oficer straszył bukowińskiego landszturmaka z tym samym skutkiem. Robiono by dalej bolesne żarty z tym oszalałym ze strachu człowiekiem, nadbiegł jednak ordynans z rozkazem, a my z okrzykiem „hurra" wypadliśmy na równinę, pozostawiając za sobą walecznego obrońcę austriackiego *Vaterlandu*[b].

[a] *Browning* (ang.) pistolet skonstruowany przez J.M. Browninga; produkcję rozpoczęły zakłady w Belgii w 1900 r.

[b] Ojczyzna (niem.).

Na kwaterach bywało rozmaicie. W Nadwórnie połowa miasta spalona, wyznaczono nam kwaterę u jakiegoś urzędnika Rusina. Zachodzimy do domu, przepraszam i donoszę, że ten dom został nam przeznaczony na kwaterę i proszę, by nam wyznaczyła miejsce, gdzie moglibyśmy się rozłożyć (mogliśmy to zrobić bez pytania). Pani domu obrzuca nas gniewnym wzrokiem i odwraca się tyłem. Wchodzimy do pokoju i oświadczam to jakiejś najwyżej szesnastoletniej panience. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głowy, za-

mknęła książkę i wyszła z pokoju. Cierpliwość zaczynała się nam kończyć, od miesiąca nie mieliśmy dachu nad głową. Żołnierze chcieli wywołać awanturę, ledwo ich uspokoiłem. Półtorej godziny nikt się do nas nie odezwał. Wyszliśmy do sąsiedniej biednej chaty, gdzie odnoszono się do nas przychylnie, przyniesiono słomy na podłogę, tak że mogliśmy się położyć. Do tego domu dałem najbardziej zdecydowanych żołnierzy z Będzina, odpowiednio ich poinformowawszy. Za kilkanaście minut przybiegła owa Paniczka do porucznika z żalami. Zawołano mnie do niego.

Przedstawiłem oczywiście sprawę jak należy, będziniacy byli czyści jak krople rosy. Paniczka usłyszała kilka grzecznych, ale mocno cierpkich słów prawdy. Już to możni tego świata nie okazywali nam serca; biedni, sami znający nędzę, zrozumieli nasze położenie, pomagali, czym mogli, i nieraz zapłakali nad nami. Po licznych tarapatach, pieszo, wozem, koleją, przybyliśmy do Kołomyi na odpoczynek. Pierwsza kwatera wypadła nam w domu doktora Landaua, którą kozacy obrócili na stajnię. Następnie przeniesiono nas do koszar 24. pp przy ulicy Bieniowskiego, czy też Bańkowskiego. Często zachodziliśmy do restauracji i kawiarni, dopóki nie wyczerpały się nam grosze przyniesione z Karpat, gdzie nie było ich można wydać. Zaczęto uzupełniać nasze szeregi świeżymi ochotnikami, przeważnie młodzieżą gimnazjalną, ćwicząc i wpajając w nas pruski dryl. Typ beztroskiego leguna wędrującego z chlebakiem i manierką zaczął zanikać. Coraz częściej radzono nam, abyśmy „stulili pysk". Nasi sierżanci zaczęli się wzorować na austriackich, a niektórzy oficerzy przybierali postawę i ton pruskich *leutnantów*[a].

Jacek, Józek i ja, zaraz po przekroczeniu węgierskiej granicy, założyliśmy spółkę z nieograniczoną poręką, aczkol-

[a] *Leutnant* (niem.) podporucznik.

wiek nie zarejestrowaliśmy jej w żadnym sądzie. Firmantem był Jacek, mający zawsze największe powodzenie u słabej a pięknej płci, burżuazyjne maniery. Gdy tylko weszliśmy gdzieś na kwaterę, gdzie była trochę do ludzi podobna dziewczyna (a w terenach przez które przechodziliśmy była stanowczo hiperprodukcja kobiet i przez to zastój, jedynie Rosjanie robili coś niecoś w interesie), Jacek robił zakochanego. Józek i ja (miałem o wszelkich możliwych kolorach brodę, a przez to duże zaufanie) wychwalaliśmy wysokie zalety jego ducha, zacność pochodzenia, rozległe włości ojca. W opowiadaniach byliśmy synami oficjalistów jego ojca, łaskawie przypuszczanych do zabaw z paniczem. Słowem, robiliśmy Jackowi iście amerykańską reklamę. Jakkolwiek wszyscy trzej byliśmy wówczas kapralami, okazywaliśmy mu czołobitność należną komendantowi kompanii, albo zgoła sierżantowi prowiantowemu, podawaliśmy mu czapkę, płaszcz, otwierali drzwi itp.

Jest rzeczą dowiedzioną, że matki mające córki na wydaniu posiadają pewien myślowy defekt, zdaje się im, że ich córka jest wcieleniem wszystkich doskonałości, i że po nią zgłosi się jakiś jeżeli już nie królewicz, to przynajmniej jego kieszonkowe wydanie. Te właściwości „rynku" postanowiliśmy wyzyskać. Jacek wzdychał i oświadczał, że kocha, któż by w czasach grabieży i niepokoju wspominał o ślubie, rodzice byli zwykle wniebowzięci, my byliśmy również, eksploatując niebywale grube pokłady rodzimej głupoty. Zapłatą naszą były podwieczorki i kolacje dla przyjaciół pana Jacentego i moc uciechy; ryczeliśmy nieraz całymi wieczorami, wspominając te przygody.

Naddatki otrzymywał jedynie amant, a że dzielił się rzetelnie z nami, *nota bene*[a] tylko niektórymi, była to więc ge-

[a] Zauważ dobrze (łac.).

nialna spółka, oparta na pewnych fundamentach. Likwidacja stosunków handlowych następowała, gdy tylko upewniliśmy się, że na ten odcinek frontu nie wrócimy. Po pierwszej znaczniejszej bitwie posyłaliśmy kartkę poczty polowej, nie troszcząc się zbytnio czy dojdzie, w której wyrazach pełnych boleści donosiliśmy o bohaterskiej śmierci nieodżałowanej pamięci naszego ukochanego przyjaciela. Zysk tych transakcji: my mieliśmy urozmaicenie, panienka miłe wspomnienia (o niemiłych wieści nas nie dochodziły), mamusie temat do pogawędki, jacy to konkurenci trafiali się Helusi, i co by to było, gdyby było. Spółka nasza przetrwałaby całą kompanię, gdyby nie *vis major*[a], rana Józka i moja niewola. Jacek, sam licytujący swe zalety, nie budził już zaufania, porzucił więc to pole popisów i przeniósł się do sądu wojskowego, który formowano wówczas w Przemyślu.

[a] Siła wyższa (łac.).

W Kołomyi (marzec 1915 r.) chorowałem, przeleżałem 2 tygodnie, obudzony zjadałem obiad czy też kolację i zasypiałem. Ponieważ byłem bardzo słaby, nie chodziłem na ćwiczenia, do szpitala też nie chciałem iść, więc przydzielono mnie do sanitarnej patroli kapr[ala] Kazimierza Rychtera[b][149].

[b] Brak informacji o Kazimierzu Rychterze.

W skład patrolu, oprócz dwu znajomych z Nemet Mokrej – Pietrusiewicza i Jeżyńskiego – wchodził Franciszek Szmyd, ucz[eń] 8 kl[asy] gimn[azjum][150] i Andrzej Czaja[151], absolwent gimn[azjum] w Nowym Targu, góral z Ludźmierza. Był bardzo przystojny, dobrze zbudowany, ale niemożliwie ociężały, gdy myśmy myśleli o obiedzie, on puszczając z dymu kółka mówił: „trzeba by iść po wodę na śniadanie". To trzeba by trwało nieraz do 11.00 godziny. Narzekał na niesprawiedliwość. W bitwie pod Pniowem wziął z dwoma legionistami 25 kozaków, napadł ich bezczelnie w karczmie, a oni nie zorientowali się, ilu ich jest, poddali się. Ja-

ko nagrodę zaproponowano mu duży srebrny medal lub 100 koron. Wybrał korony i spił się za nie przykładnie. Kapralowi, który mu kiedyś wypomniał chłopskie pochodzenie (kapr[al] był synem szewca z Podgórza), sprawił solidne mordobicie i nadwerężył ponoć żebra. Epilog dla arystokratycznego kaprala był w kołomyjskim szpitalu, zaś dla demokratycznego starszego strzelca Andrzeja Czai ze słynnego Ludźmierza degradacja i 3 dni paki. Niejednokrotnie wspominał: „Wziąłem 25 Moskali i za to otrzymałem 3 dni aresztu, gdzie tu sprawiedliwość".

Z Kołomyi, przed upływem [terminu] naszego odpoczynku, wyrzucono nas na besarabski front, za liczne burdy z niemieckimi żołnierzami. Z rekrutów kołomyjskich przypominam sobie Zawirskiego, Złotopolskiego[a], Kopaczyńskiego[152], Kopańskiego[b], Bogdanowicza[153] (uczniowie gimnazjalni). Gdy odjeżdżaliśmy na front, mały brat Zawirskiego[154], by go jak najdłużej widzieć, biegł wzdłuż pociągu; nie zobaczył go już więcej, zginął trzy kroki obok mnie pod Łużanami. Ze starych byli jeszcze: Uryga, Joniec (zginął pod Łużanami), Augustyn (zastrzelony przez Niemców 1942 r.)[155], Makowski[156], Plichta (zastrzelił się na Wołyniu)[157], Tomczykiewicz z Lanckorony[158], Kania[159], Kocajda, kowal z Sułkowic[c], Zając, grabarz z Krakowa[160], dwu braci Zapartów (Adam i Zygmunt)[161], Sułkowski z Limanowej, Sajak z Rybia, Dziewoński z Dziekanowic, Frączek Józef i Antek, Raczek z Pisarzowej, Biedroń, rzeźbiarz z Zakopanego[162], Krawczyk i Torba z Krakowa[163], Puch[164] i Gargas[165] z Laskowej, Koźmin, księgowy z Krakowa[166], Gotlieb, Żydek szesnastoletni z Włoszczowej.

[a] Nie udało się ustalić bliższych informacji.

[b] Czesław Kopański – nie udało się ustalić bliższych informacji.

[c] Michał Kocajda (1889–?).

Wysiedliśmy pod Czerniowcami, nocą przeszliśmy przez pełną Żydów Sadogórę do Czerniawki[167], a po dwudniowym

Antoni Górszczyk w mundurze legionisty, Kołomyja 1915 r. Zb. R.

odpoczynku lasami bukowymi doszliśmy do pozycji. Zmieniliśmy w okopach jakichś podtatusiałych landszturmiaków, którzy na okopach umieścili krzyżyki, [co] tak ozdobione miały wygląd nagrobków. W bukowińskich lasach powodziło się nam dobrze, na zapleczu była kałuża, w której od biedy można się było wykąpać, niejednokrotnie podchodziły sarny pod nasze okopy. Raz jedna wpadła w kolczaste druty, ale się wyślizgnęła. Czasem w nocy rozpoczęła się strzelanina, trwała raz dłużej lub krócej, wystrzeliwano setki tysięcy naboi bez celu. Na prawo od nas były okopy 2. Plutonu, którego komendantem był Królikowski z Hamburga, dwu żołnierzy było z Poznania: Weidemann i Tworek[a] (zginął pod Rosulną), reszta to Galileusze[b] i Królewiacy. Z Królestwa pochodził ludowy poeta Rustarz (zginął na placówce w Podlutem koło Osmołody)[168]. Kanonier Wróbel[169] opowiadał [o swym] wstąpieniu do Legionów w ten sposób: „Ano poszedłem do Petrzakowa z drugimi baterejcami. Naczalstwo uciekło. Czekałem półtora dnia. Ano, przyszli legioniści, poszedłem z nimi, jak wojna to wojna". Do domu nie chciał iść, bo żona bardzo płakała, gdy odchodził. Uczył rekrutów, ponieważ jednak nie mógł nauczyć się polskiej komendy, odebrano mu sekcję.

[a] Polacy, którzy służyli w armii pruskiej.

[b] Galicjanie.

Pietrusiewicz i Jeżyński opowiadali [o swym] wstąpieniu w ten sposób: „Siedzieliśmy w radomskiej tiurmie za przynależność do PPS (Frakcja). Od kilku dni chodziły wieści, że Niemcy są już pod Radomiem. Raz przed południem wpadła patrol i zajęła miasto, oczekiwaliśmy zwolnienia. Na drugi dzień przyszedł patrol niemiecki do więzienia, komendant trzymając *brauning* w ręku, policzył nas i odszedł. Dopiero za kilka dni przyszli legioniści, jeden z nich zwołał dozorców i kazał powypuszczać politycznych. Idąc

korytarzem, zrzucali żandarmi szablami ze ścian carskie portrety. W sali przyjęć zastaliśmy krzyczących żandarmów. Jeden z nich, były więzień tutejszej tiurmy, znany dobrze dozorcom endek, wezwał do wstąpienia w legionowe szeregi. Większa część zaprotestowała, nas trzech (tj. Wolski, Pietrusiewicz i Jeżyński) zgłosiliśmy się, nie z przekonania, lecz z tego powodu, że żenowaliśmy się odmówić. Wstąpiliśmy do domu na 30 minut, aby się pożegnać, a następnie odwieziono nas do Kielc. Po drodze widzieliśmy, jak nasz rodzinny polski żandarm walił w mordę dorożkarza Żyda tak fachowo, że rosyjski mógłby się od niego dużo nauczyć". Englicht zaś opowiadał w ten sposób: „Mój ojciec miał trzech synów, dwu było mądrych, a trzeci wstąpił do Legionów". Wszyscy w żartobliwym tonie opowiadali o swej decyzji. Rychter mówił: „Po śniadaniu wyszedłem na spacer, widziałem spacerujących legionistów, do których mizdrzyły się panienki, mówiąc «Cześć obywatelowi». Wstąpiłem do Krzysztoforów i zapisałem się. Myślałem, że Kaziowi dadzą kilkudniowy urlop, że pospaceruje po A–B, a tymczasem tak jak stałem, w lakierkach, angielskim letnim garniturze i panama kapeluszu z batystową chusteczką, odprowadzono nas do Oleandrów. Aleś se dolał, bracie mój". Głębsze intencje kryli wszyscy na dnie duszy, na zewnątrz okazywali jedynie komiczne strony tych przejść.

Na besarabskiej granicy wypoczęliśmy; las, maj, świeże powietrze, odpoczynek bardzo nam służyły. Okopy mieliśmy na pagórku. Często gotowaliśmy kawę, zapraszaliśmy na nią Jeżyńskiego, Pietrusiewicza (zginął pod Kijowem), Raczka, Frączka, Bogdanowicza. Do kawy dolewaliśmy rum, by miała jakiś sens. Czasem wstawieni Jeżyński i Pietrusiński ryczeli (głosem niby rekruckim) rosyjskie pie-

śni. Menaż była dostateczna, podczas gdy stojący obok nas austriacki baon jegrów[a] „fasował" obiad surowy, np. [złożony z] 4 kartofli, garści grochu i chleba na 8 ludzi. Niejednokrotnie starzy landszturmiacy chodzili po okopach szukając w trawie resztek wyrzuconego obiadu. Później prosili nas, abyśmy nie wyrzucali resztek, to oni je zjedzą, a za to wymyją nam menażki. Zostawialiśmy im zawsze cokolwiek na dnie. Na lewo od nas stali Czesi z buraczkowymi wyłogami (36. pp z Berumia) [170]. Oficer prawoskrzydłowej kompanii miał ładnego, dużego psa. Pepików mających zawsze *hlad* i *žížeň*[b] głodzono. Pies wyglądał wspaniale. Jednej nocy pies znikł. Dostojnickiego psa złapano, ugotowano i zjedzono. Nazajutrz „dostojnik", znając kulinarne skłonności i zdolności swych „maniaków", pobiegł do kuchni, powiódł palcem po kotle, a znalazłszy tłuszcz, zamiast śladów czarnej kawy (było to rano), wykrztusił z siebie: *Vergatterung* (zbiórka). Siny z wściekłości, pyta za porządkiem „Tyś sem psa žral?"[171]. Otrzymywał stale tę samą odpowiedź – „Žral". Dopiero gdzieś dwudziesty odrzekł: „Ja sem nie žral, ja tolko sup wypił, pan hetman (kapitan) wi, że zabiju krawu, a wszechnim nie chwati, a gde pak z pesa"[172]. „Rozejść się" – było odpowiedzią zrozpaczonego kapitana. Od tego czasu Czesi, idąc po menaż, wołali: „Pro menaż Neska bude vic. A precz, bo pes ne žežral"[173].

Z okazji wzięcia Lwowa dano nam po manierce rumu, i w nocy, na dany świetlną rakietą znak, kazano krzyczeć „hurra"[174]. Wypity rum darł się jak opętany, za dwa dni wytykaliśmy z kordonu. Kazano nam nieść skrzynki amunicyjne. W Czerniawce[c] rozgrabiono magazyny prowiantowe, amunicyjne podpalano. Jako osłona odwrotu pozostał pułk kawalerii austriackiej. Zaledwie jednak pokazali się kozacy,

[a] Strzelcy *Jäger* (niem.).

[b] Czeski: *hlad* – głód, *žížeň* – pragnienie.

[c] Czerniowce płn. Bukowina n. Prutem.

kawaleria zwiała w takiej panice, że omal nas nie stratowała. Północą doszliśmy do drugiej linii obronnej, ta zaś placówka w ostatnim momencie wstrzymała się przed przywitaniem nas ogniem. Nad ranem zajmujemy okopy, nadjeżdża lekarz Vowkonowicz i przywozi rozkaz dalszego odwrotu.

Koło południa przechodziliśmy przez jakąś wieś, zmęczeni, brudni, głodni. Rusinki darzą nas plackami, kozacka artyleria szrapnelami. Od zbocza Sadogóry do mostu na Prucie maszerujemy w tyralierze. Zieliński osobiście prowadzi 2. Pułk, chłopcy idą jak pod sznur wyciągnięci. Na prawo od nas kozacy wzięli baon Kaufera na szable i roznieśli[175]. My, odgryzając się, przeszliśmy most na Prucie i obsadziliśmy okopy koło wsi Bieli, a następnie koło Strileckiego Kuta. Po kilku dniach odmaszerowaliśmy na wypad przez most, położony nad Prutem. Cały dzień padał deszcz, a my, przemoknięci zupełnie, maszerowaliśmy po rozmiękłej glinie. Nocą zatrzymaliśmy się w jakiejś wiosce. Upadłem na podwórzu jakiegoś dworu i zasnąłem. Dziewoński poszedł pić, bo – jak twierdził – z tej wyprawy nie wróci. Przed odmarszem zaśpiewaliśmy *Posępną pobudkę werbel gra*[176]. Porucznik Godziejewski zawołał: „Uciszcie się puszczyki", przestaliśmy więc śpiewać. Przeszliśmy most, jakieś zarośla, zmyliliśmy kierunek, weszliśmy w jakiś otoczony kolczastym płotem bastion, obeszliśmy jakieś podłużne bagno i weszliśmy do wsi. Noc była ciemna jak nieszczęście, było prawie po północy. Baon był dorywczo złożony z kompanii wydzielonych z poszczególnych baonów.

Prawdopodobnie przewodnik pomylił się w labiryncie chałup, bo chodziliśmy tam i z powrotem. Wydaje się, że zaszliśmy daleko za cukrownię w Mamajowcach, która była celem wypadu. Szliśmy w kolumnie, gdy wtem przed nami

Mapa Galicji z pograniczem galicyjsko-bukowińskim, ok. 1900 r.
AN Kraków, sygn. 29/663/1174

zamajaczyły sylwetki idące tyralierą, mogła to być jednak któraś z naszych kompanii. Godziejewski zawołał, stój, kto idzie. Czy była odpowiedź, nie dosłyszeliśmy, zobaczyłem natomiast wianek ogników, błyskających ku nam, strzelano z *manlicherów*, karabinów używanych przez Austriaków, co nas myliło.

Rozpoczęliśmy słaby ogień, jedynie dwa plutony zdążyły się rozsypać w tyralierę. Ktoś wystrzelił świetlną rakietę, zobaczyliśmy okrągłe czapki i przewieszone[a] przez piersi płaszcze. [Jeśli] poprzednio niektórzy sądzili, że to jest nasz oddział, Litwinowicz nawet gwizdał na zaprzestanie ognia, to obecnie ostatnie wątpliwości rozwiały się. Przed nami była masa Rosjan, strzelających z austriackich karabinów. Z naszej strony zaczęto rzucać ręczne granaty. Rosjanie mieli liczebną przewagę, byli rozsypani, my zaś w kolumnie; straty od razu mieliśmy bardzo duże. Tuż przy moim ramieniu zaczął jęczeć kolega Joniec, nie mógł już powiedzieć, gdzie jest ranny. Rosjanie nie mieli jednak ochoty uderzyć na bagnety, bylibyśmy prawdopodobnie wyszli obronną ręką, gdyby nie austriacki reflektor, który oświetlił nas, pozostawiając Rosjan w cieniu. Wówczas pokazało się, że przeszliśmy pierwszą linię jakąś luką i uderzyliśmy na drugą. Dopiero gdy zostaliśmy oświetleni rozpoczęła się prawdziwa zabawa, bili do nas z frontu, obydwu skrzydeł, pierwsza linia zaś z tyłu. Położenie było rozpaczliwe, gdy reflektor mignął dalej, rozpoczęliśmy biec w lewo w tył, aby się przebić. Jakieś chaty i wygony tylko migały, wdrapywaliśmy się na chruściane płoty, które łamały się pod naszym ciężarem. Baon rozprysł się na grupy i każda torowała sobie drogę, jak mogła. Ogień pościgowy nie szkodził nam zbytnio. Biegło nas około 20 w kierunku Prutu, by się przepra-

[a] *W oryginale:* przewiedzone.

wić wpław. Na most nie próbowaliśmy już przebić się, ponieważ przed nami wrzała silna walka. Rosjanie przy tej sposobności chcieli sforsować sobie drogę na drugi brzeg.

Odbijamy się przeto na lewo, przebiegamy wiejską ulicę, wpadamy w jakieś osiedle, czoło oddziału łamie jakiś płot i wpada w środek 476. Drużyny besarabskiej (baon obrony krajowej), będącej w rezerwie pierwszej linii. Sześciu z nas, którzy biegliśmy ostatni, próbowało wykorzystać zamieszanie i skryć się w zabudowaniach. Na próżno. Besarabscy odnaleźli nas szybko, nim spostrzegliśmy się, już zdjęto z nas pasy, tornistry, odebrano broń i zgrupowano na ulicy. Ogółem wzięto do niewoli 12 legionistów i 11 Chorwatów. Były to nieszczęsne szczątki dwu kompanii Chorwatów, operujących z nami. Podczas nocnego marszu, te dwie kompanie za wcześnie rozwinęły się w tyralierę, trafiły na bagno i wlazły do niego. Udziału w potyczce nie brały, ale co najważniejsze odsłoniły nasze prawe skrzydło. Nad rankiem (w czerwcu świta o 2.00 rano) nadeszli tam Rosjanie. Chorwaci nie mogli ani iść naprzód, ani cofać się, a już najmniej okopać się. Na rozkaz jakiegoś ogłupiałego oficera rozpoczęli ogień i zostali przez rozgniewanych dużymi stratami Rosjan wybici do nogi; ocalało zaledwie 11 z tych, którzy pętali się koło nas[177].

Staliśmy tak w gromadę zbici i czekaliśmy na śmierć. Rosjanie z początkiem wojny wziętych do niewoli legionistów wieszali. Jeszcze 13 maja 1915 r. widzieliśmy pod Sadogórą (Bukowina) powieszonego niejakiego Babicza, studenta gdzieś od Nowego Targu[178]. W ustach miałem słono, tak jakoś tępo spoglądaliśmy na otaczających nas brodatych opołczeńców (pospolite ruszenie). Odnosili się do nas nawet przyjaźnie. Wy, sokoliki, kiepsko będzie z wami, kiepsko

(płocho). Reszta baonów rosyjskich ciągnęła na plac przed cukrownią. Na placu leżał ranny, młody, przystojny oficer, drapał palcami ziemię i jęczał, powtarzając ustawicznie: „Mamasza, mamasza". Rosjanie większe straty ponieśli od własnych kul, my byliśmy w kotle; kule, które przenosiły biły niejednokrotnie w ich szeregi.

Dodatek

W Choczni zetknąłem się z Antkiem Plichtą. Był to chłopak z Jastrzębi, syn zamożnych sześćdziesięciomorgowych gospodarzy, szlachty zagrodowej. Do szeregów zgłosił się z własnym karabinem, za który zapłacił 190 koron, zaoszczędził je w ciągu dwu lat. Zdrowi musieli być potomkowie kasztelańskiego rodu Plichtów, jeżeli pięciu braci powołano do austriackich szeregów, zaś najmłodszy zgłosił się do Legionów. Mówił mało, ale z gospodarską godnością. Chłopcy z Lanckorony i Sułkowic odnosili się do niego z dużą rewerencją[a]. W Choczni, podczas przeglądu przed wyjazdem na front, odbierano poszczególnym żołnierzom *manlichery* wręczając im *werndle*, których było w kompanii około 90%. Czynność tę spełniał batalionowy „Stanisław". Podszedłszy do Plichty zażądał, aby oddał karabin. „To mój karabin prywatny, kupiłem go za własne pieniądze i wiem jak niesie", odparł z godnością Plichta. „Nie ma prywatnej własności w wojsku", krzyknął czerwony z gniewu wczorajszy pepesiak, ozdobiony aktualnie czerwonym sznurem, i zdarł mu karabin z ramienia. Plichta zaczerwienił się i zaczął zdejmować rynsztunek (było to przed przysięgą), rogata dusza zaczęła wydobywać się na wierzch. Nadbiegł na tę scenę kompanijny Tarkowski, uspokoił go i nie pozwolił wystąpić

[a] Od łac. *reverentia*: poszanowanie, poważanie.

z szeregu. Było to wystąpienie przeciw subordynacji, a jednak wszyscy solidaryzowaliśmy się z Plichtą.

Był wspaniałym żołnierzem, świetnie strzelał, w marszu był niezmordowany, chętny do służby, dlatego też brałem go na każdy patrol. Później odebrał po mnie 2. Sekcję 4. Plutonu. Na Wołyniu napadła go handra. Otrzymywał często listy z domu, staruszka matka wzywała go do powrotu, rozumowała, że kto sam zgłosił się do armii, ten może [w] każdej chwili odejść. Dwaj jej synowie już polegli, trzech było na frontach austriackich, gospodarstwo upadało. Antek tłumaczył matce, że powrócić nie może, a gdy ta napisała mu list z gorzkimi wymówkami, zastrzelił się. Śmierć jego zrobiła bardzo duże wrażenie, ponieważ nastąpiła w okresie kryzysu, jaki przechodziły wówczas Legiony. Gdzieś tam na Wołyniu, pod brzozowym krzyżem, leży z dala od swej rodzinnej Jastrzębi[a].

[a] W tym miejscu kończy się rkps wspomnień przechowywany w Oddziale AN w Nowym Sączu.

Z komendantem pułku zetknąłem się trzy razy. Ponieważ byłem wytrenowany w marszach w górzystym terenie, i orientowałem się w górach (pochodziłem z Podkarpacia)[179], dlatego też często prowadziłem wywiadowcze patrole. Raz powróciłem z patrolu po trzydniowej nieobecności spoza linii rosyjskich (za którymi znalazłem się dzięki temu, że Austriacy cofnęli się, zaś Rosjanie posunęli się kilkanaście kilometrów naprzód), o czym nie wiedzieliśmy przemykając się szczytami gór. Przyprowadziłem poranionych i wyczerpanych żołnierzy i sam trawiony gorączką zgłosiłem się z raportem u Hallera. Pułk wchodził do grupy armii Baltin-Pflanzera[180], w kwaterze było kilku wyższych austriackich oficerów. Haller, dowiedziawszy się, skąd wracam i jakie przynoszę wiadomości, zapytał, kiedy ostatni raz jedliśmy. Dowiedziawszy się, że przed dwoma dniami, wybiegł

do kuchni, przyniósł garnek gorącej kawy i kawał chleba, posadził mnie na krześle. Siedząc i jedząc, grzejąc palce od garnuszka, składałem raport ku wielkiemu zgorszeniu austriackich sztabowców[181].

Drugi raz szedł tuż koło nas podczas bitwy pod Niebyłowem. Było to podczas odwrotu, zasłanialiśmy jak zwykle cofającą się austriacką dywizję. W lasach niebyłowskich otoczyli nas Rosjanie. Haller miał na bluzie szary sweter. Uderzyliśmy na bagnety, zrobiliśmy sobie drogę, ktoś chwycił go pod rękę i potrafiliśmy oderwać się od zdetonowanych naszą postawą Rosjan. W stosunku do żołnierzy był bardzo ludzki, troszczył się o nasze potrzeby, kłopotał o każdą placówkę i patrol, może nie był orłem, był jednak wzorowym wyższym oficerem.

Pieśń żołnierska ma ponoć najlepiej ilustrować nastroje w szeregach żołnierskich. Ulęgnie się taka piosenka, nie wiadomo gdzie, przebiegnie przez szeregi i albo ginie w niepamięci, albo uzyska prawo obywatelstwa. Do walk w 1914 r. weszliśmy z ubogim repertuarem. Sztandarowymi pieśniami były: *Hej strzelcy wraz*, *Naprzód drużyno*, *Tam na błoniu*. Szósta kompania 3. pp śpiewała jakąś bardzo piękną piosenkę, która się jednak nie przyjęła. Pamiętam z niej tylko jeden werset: *Wróćcie mi ojca kości z Sybiru...Wróćcie mi siostrę lilię białą...* Druga, zaczynająca się od słów *Nad wodą o wieczornej porze*, *Pieśń o Rozmarynie*, przyniesiona przez Królewiaków, przyjęły się później[182]. W jesieni 1914 r. powstało kilka piosenek, z których najdłużej utrzymała się *Armata*[183]. Pieśni te jednak nie ilustrowały nastrojów w szeregach. Najlepiej zrobiła to piosenka ułożona po Mołotkowie przez jakiegoś łapiducha, który za jej napisanie złożył Austrii ekwiwalent w postaci trzymiesięcznego garnizonowego więzienia. Po-

nieważ tekst ten jest wstydliwie chowany pod korcem, przeto podaję jego część, która brzmi następująco:

„Tam pod kopkami siana drżą
Ze strachu oficerzy
Gdy strzelcy do ataku mkną
Komendant w rowie leży.
Bo my, żołnierze, jako psy, bezdomni my włóczędzy,
Gnębi nas Moskal, gryzą wszy, za Austrii skrawek nędzy.
Nasz ekselencja (Durski) był tęgi zuch
Wojować mu się chciało
Byłby Moskali rozbił w puch,
Lecz rumu miał za mało.
Bo my żołnierze..."

Tekst ten odpowiadał nam po klęsce mołotkowskiej przez jakieś dwa miesiące[184], przyszły jednak inne aktualniejsze, jak *Idzie żołnierz borem*[185] – przestarzała, a jednak zawsze aktualna, a przede wszystkim jej ostatnie zwrotki: *Śpij kolego*[186]. Ostatnią piosenką, którą śpiewałem w szeregach, była *Posępną pobudkę werbel gra*. Był to omen, za dwie godziny poleciały drzazgi z naszej kompanii.

Przypominam sobie jak raz wracał z mokrej roboty Józek Frączek, absolwent nowosądeckiego gimnazjum (w 1939 r. pułkownik piechoty). Wbił bagnet w pierś jakiegoś piechocińca, że zaś zatrzask przy bagnecie miał zardzewiały, jako szanujący się podoficer z zasady nie czyścił broni, więc bagnet zsunął się z karabinu, [a on] pozostał na moment bezbronny. Chwycił więc za lufę i po pisarsku zaczął młócić karabinem niby cepem. Gargas, który biegł obok Józka, mówił, że gdyby przyzwoitość mu pozwalała, to mógłby iść nawet z rękoma w kieszeni. Gdy już zebraliśmy się po robocie, nadszedł Józek, wyglądał strasznie nawet dla nas, po-

krwawionych cudzą farbą. Na ramieniu niósł żelazne resztki karabinu, na kształt madejowej maczugi, oblepione włosami, mózgiem, mięsem i częściami sukna. Dębowa kolba rozprysła się na twardych głowach sybirskich strzelców.

Komenda niemiecka zażądała ponoć raz (na Wołyniu) posiłków, wymieniając siłę tychże. Miał to być baon Legionów, w braku tegoż dwa bataliony Węgrów lub pułk Austriaków. Było w tym trochę prawdy, ale zdaje się, że sztab niemiecki chciał w ten sposób dokuczyć swym sojusznikom.

Dlaczego biliśmy się rozpaczliwie, to kto znał nasze ówczesne położenie, ten rozumiał, że biliśmy się z determinacją, na co złożył się szereg współczynników.

1. W Legionach była sama młodzież (w plutonie był jeden żonaty), a wiadomo, że młodzi, którzy mają najwięcej do stracenia, najmniej cenią życie.

2. Mieliśmy przed sobą tylko dwie alternatywy, zwyciężyć lub zginąć; wziętych do niewoli Rosjanie wieszali.

3. Po niepowodzeniach Austrii i po zajęciu Galicji nie mieliśmy powrotu do domu. Po zawarciu (ewentualnym) pokoju, jak przypuszczaliśmy, zamkniętą mieliśmy drogę do Ojczyzny. Pracować nie umieliśmy, żebrać wstydziliśmy się, pozostało nam z honorem umrzeć, co też robiliśmy z wisielczym humorem.

Nie przeczę, że nieraz rzetelnie bałem się, nie chciałem się jednak ośmieszyć, nie pokazywałem tego po sobie, i aby dodać sobie odwagi, kpiłem głośno. Zdaje się, że odwaga to nie jest nic innego, jak przezwyciężenie obawy. Za jedną niepoczytalną awanturę otrzymałem Order Virtuti Militari. Pamiętam dokładnie, że strach podnosił mi włosy, jednak nie mogłem sobie odmówić przyjemności sprawienia burkom tego przykrego dla nich psikusa. Czasem przyczyna

determinacji była nader prozaiczna, np. leżymy na skraju lasu, gorąco od słońca i od artyleryjskiego ognia. Granat rozrywa kolegę, strzępy rozrzuca po drzewach. Słońce powoduje szybką fermentację zawartości żołądka zabitego, wiatr zawiewa do nas woń leżących przed nami dawnych trupów. Śmierdzi tak, że nie można wytrzymać. Nadbiega goniec z rozkazem uderzenia na bagnety, oddychamy z ulgą i jak furia biegniemy naprzód. Popędzała nas nie tyle odwaga, ile straszny fetor naszej dawnej pozycji. O miłości Ojczyzny nie deklamowaliśmy nigdy, czasem powiedziało się coś niecoś do cywilnej publiki, która między wierszami dawała nam do zrozumienia, że do armii wstąpiliśmy dlatego, że w domu nie mieliśmy co jeść. Takich rodaków spotykaliśmy dosyć często.

Między sobą kpiliśmy tylko, chowając głęboko w sercu ideały, które nas zaprowadziły do szeregów. Jeden tylko śp. kapitan Czechna-Tarkowski mógł poruszać ten temat, ale on mówił językiem nie tego świata, on nas po prostu urzekał swą fantastyczną wizją wolnej Polski.

W Kołomyi przyszła do nas druga fala straceńców. Młodzi chłopcy, gimnazjaliści, urzędnicy: Zawirscy, Złotopolscy, Kopyczyńscy, Bogdanowicze itd. – wnieśli nowe życie. My byliśmy weteranami, oni rekrucką bracią. Bogdanowicz zajechał przed koszary parą ślicznych siwków. Szesnastoletni chłopiec, śliczny jak cherubin, pochodzący z bardzo bogatej ormiańskiej rodziny, krewny Teodorowiczów[187] i Abrahamowiczów, za kilka tygodni był już dobrym żołnierzem, bił wszy, próbował kląć, co mu się jednak nie udawało. Odbył kampanię besarabską, podczas odwrotu spod Toporowiec zachorował na tyfus i został odesłany dosłownie do mamy. W latach 1938–1939 był już dostojnikiem ormiańskiego kościoła w Polsce.

3. NIEWOLA
Posępną pobudkę werbel gra

Wzdłuż drogi stały szeregi Rosjan i przyglądały się nam ciekawie. Jakiś oficer próbował rozmówić się z nami językiem podobnym do niemieckiego. Doprowadzono nas do brygady, tu jednakowoż na polecenie oficera żandarmów odesłano nas do dywizji stacjonowanej w Walawie[a]. Szliśmy bokiem szosy, a austriacka artyleria wstrzeliwała się w nas dosyć nieudolnie. Przed wejściem do Walawy uszykowali nas czwórkami, na czele kroczyli nasi ranni. Besarabcy stanęli w ordynku i rozpoczęli śpiewać jakąś ponurą pieśń, przeważały piękne, głębokie basy. Melodia ta prześladuje mnie dotychczas. Tak weszliśmy do wsi. Po bokach pełno było cywilnej ludności i żołnierzy. Nas 30 (z Chorwatami) jeńców, pomiętych, pokrwawionych, uwalanych błotem, otoczonych tysiącem tęgich, besarabskich wyżartych chłopów, przedstawiało pożałowania godny widok. Pozwolono nam położyć się na trawie obok gościńca, upadliśmy jak kłody, kilku zaczął ogarniać sen. Nad nami stanął jakiś rosyjski oficer i stał milcząc. Kilku nas rozmawiało, zastanawialiśmy się czy powieszą nas po prostu tutaj, na wierzbach, czy też z honorami gdzieś na tyłach, w jakim mieście. Rozmowy zakończył Kaziu R. filozoficznym powiedzeniem: „Od Karpater wieje wiater, moja luba *naser mater*"[b], i rozciągnął się na trawie. Był to ładny jak lalka, elegancki kapral sanitarny, słuchacz akademii handlowej. Gdy gawiedź odeszła, oficer rzucił nam nieznacznie pięć rubli, nie chcieliśmy przyjąć. Powiedział nam najczystszą polszczyzną, że od swojego przyjąć należy, bo nie wiemy, co nas czeka, zresztą możemy oddać komuś

[a] Miejscowość na Bukowinie.

[b] Synonim „byle jak", „źle", używany też jako przekleństwo na Górnym Śląsku i Galicji.

bardziej potrzebującemu. Odchodząc rzekł: „Czekają Was ciężkie czasy, szczęść Wam Boże".

Wydano nam po konserwie i jakiegoś strasznie kwaśnego chleba i popędzono do Kocmania[188]. Szło się nam niezbyt wesoło, przed nami bowiem jechało pełnych 80 sanitarnych wozów rannych żołnierzy rosyjskich, ofiar ubiegłej nocy. Rosjanie ponieśli bardzo ciężkie straty, nie tyle od naszego baonu, ile od własnego ognia. Ponieważ uderzyliśmy na drugą linię, ta otwarła silny ogień, racząc swą pierwszą linię i rezerwy. Pierwsza linia, zaatakowana od tyłu przez przebijające się nasze grupki, otwarła opętany ogień na drugą linię.

Nim sytuacja wyjaśniła się, część naszych przebiła się w stronę Prutu, a setki Rosjan zaległy pole. Podążające na front oddziały oglądały rannych, a następnie nas, nie żałując pod naszym adresem dosadnych słów i pogróżek, słów nie rozumieliśmy, ale mimika nie pozostawiała żadnych złudzeń co do intencji odgrażających się. W Kocmaniu wzięli nas w swe obroty rosyjscy żandarmi, nie wskórali nic, żaden z nas nic nie rozumiał, jeden absolwent szkoły handlowej z Radomia, Piotr Jeżyński, uczeń średniej szkoły handlowej w Radomiu, uwięziony za przynależność do PPS Frakcji, jako jeniec używał pseudonimu Andrzej Sejmej, nie zdradzał się ani słowem, zrobił udatnie tak baranią minę, że żandarm ani chciał z nim gadać. Szliśmy więc dalej w stronę Zaleszczyk[189], konwojowali nas dońscy Kozacy. Byli to młodzi chłopcy. Otrzymali od nas (grupa Zielińskiego) podczas odwrotu z besarabskiej granicy dobrą nauczkę, odnosili się [do nas] przychylnie i z respektem.

Wieczorem weszliśmy do Zaleszczyk, mieszczanki przyniosły nam herbaty, cukru, chleba. Podaliśmy im adresy i prosili o zawiadomienie rodzin, co rzeczywiście uczyniły.

Dalszą drogę do Tarnopola [190]odbyliśmy pociągiem, który wlókł się z filozoficznym spokojem. Jacyś brodaci opołczeńcy (pospolite ruszenie) pilnowali troskliwie drzwi, my zaś, stłoczeni w głębi wozu, podziwialiśmy piękno podolskiej ziemi w krasie pogodnego czerwcowego dnia. Czasem przejeżdżały transporty żołnierzy na front, wówczas całe masy tłoczyły się koło naszego wozu, gapiowato oglądały nas niby okazy menażeryjne, czyniły zaś to z taką tępotą, że czuliśmy się jak szczute zwierzęta. W Tarnopolu zapędzono nas do jakichś koszar, w których byli już stłoczeni tarnopolscy i lwowscy cywilni Żydzi, przeznaczeni na eksport do Rosji. W jakim celu wywożono tych nieszczęśliwców, nie wiadomo; był to zdaje się zwyczajny bałagan rosyjski, z którym odtąd wiele mieliśmy do czynienia. Żydzi tarnopolscy przysyłali swym współwyznawcom sporo żywności, donoszenia przesyłek podejmowali się żołnierze rosyjscy, Polacy, którzy obdzielali przede wszystkim jeńców Polaków, a resztki zanosili synom Abrahama. Do Tarnopola spędzano jeńców z całego karpackiego frontu, a że był to okres letniej ofensywy, jeńców austriackich było tu około 2 tysięcy.

Armia austriacka naciskała na Rosjan, ci ostatni gorączkowo ewakuowali Galicję, dlatego też wymieciono szybko i Tarnopol. Wyprowadzono nas na ulicę i zaczęto liczyć. To liczenie było dla jeńca prawdziwą gehenną. Żołnierz rosyjski umiał liczyć do sorok (40), następnie liczył drugi sorok itd., w końcu zaś zliczał soroki. Ponieważ zaś trwało to długo, soroki rozłaziły się i trudno było je zliczyć. Liczono nas przeszło trzy godziny, wokoło zgromadziła się publika, rogatywki budziły zainteresowanie, ktoś zapytał się, czy nie widzieliśmy jakiegoś Wałęgi. Owszem, widzieliśmy, cóż nam szkodziło tak odpowiedzieć, i w jakim celu mieliśmy kogoś

martwić. Jakaś panienka przyniosła nam papierosów. Ponieważ jednak publika zaczęła się tłoczyć, wjechał w nią kozak i nahajem zaczął zgromadzonych rozpędzać. Tu zapoznaliśmy się po raz pierwszy z podporami rosyjskiego tronu, z nahajem jako instrumentem rządzenia. Doliczono się ostatecznie i pomaszerowaliśmy w stronę Podwołoczysk[191].

Szła długa kolumna sinych mundurów, po bokach rozjeżdżali się kozacy, którzy zamykali również pochód. Droga prowadziła przez jakieś lasy, można było uciec, ale ostrzegano nas, że Rusini wydają zbiegów. Przed Podwołoczyskami minęło nas kilkanaście marszowych kompanii ros[yjskich], młodzi rekruci szli na front bez broni, wyglądali dziecinnie, i jakoś bezradnie. Przed zawagonowaniem spędzono nas na jakiś plac, otoczyli nas Żydzi, proponując kupno zegarków, pierścionków i austr[iackich] pieniędzy. Miałem kilka złotych monet obszytych suknem i przyszytych do spodni, niby guziki do szelek. Proponuję sprzedaż 20 austriackich zł[otych] za [dwudziesto]koronówkę. Cena ówczesna wynosiła około 11 rubli (za złotą), Żydzi obiecują 8 rubli, a ponieważ nie było innych kupujących, byłem zmuszony wziąć to, co mi zaofiarowa[no]. Od Wołoczysk[192] jedziemy pociągiem szerokotorowym. Czasem nam dają coś zjeść, częściej jednak karmią obiecankami, wymijamy całe kolumny pociągów jadących na front. Jakiś żołnierz frontowy pokazuje nam białą chusteczkę, mówiąc, że się już zaopatrzył. Ogółem żołnierze rosyjscy nazywają nas chytrymi Austriakami, a to z tej racji, że zdążyliśmy się poddać, i w ten sposób zakończyliśmy wojnę. Większa część Rosjan patrzy na nas z nieukrywaną zazdrością.

Mijały wsie i miasta, patrzymy na obce sobie twarze, ubrania, sposób zabudowania wsi, robiąc do siebie aktual-

ne uwagi. Konwój nasz najoczywiściej nudzi się. Na każdej stacji jest kocioł z wrzącą wodą (kipiatok), każdy pasażer ma prawo nabrać go sobie bezpłatnie, ile sobie życzy, i naparzyć sobie herbaty. Jeżeli się weźmie pod uwagę bezkresne obszary Rosji, przyzwyczajenia jej mieszkańców do czajopicia i zimna, panujące w przeważnej części Rosji, jest to bardzo praktyczne rozwiązanie zagadnienia. Po wrzątek nie chodzimy, bo nie mamy z czym. Budzi to w naszym konwoju pewne refleksje. To, że rzuciliście karabiny, to zrozumiałe, ale dlaczego rzuciliście czajniki, tylko kiepski żołnierz rzuca kociołek. Tłumaczymy mu, że w austriackiej armii nie mają czajników. Tak – grymas na jego twarzy mówił nam, co myśli o bezczajnikowym wojsku – stracił oczywiście do Austrii resztę szacunku. Jeść dawano w ten sposób, dzielono nas na dziesiątki i każda dziesiątka otrzymywała jedną blaszaną misę wielkości i kształtu dużej miednicy, z którą szło się do kuchni. Otrzymywaliśmy nieodmiennie dwa dania: barszcz kapuściany i kaszę jaglaną, kraszoną zatęchłym łojem. (Szczy i kasza piszcza nasza). Siadał nas wianek wokół misy i zajadaliśmy, jak za dobrych czasów króla Ćwieczka.

Jeść dawali dostateczną ilość, ale jakość i forma były „pod zdechłym Amorkiem". Misy te służyły kilkunastu kompletom, nie myło się ich, aż dopiero po obiadowej kompanii. Dojechaliśmy do Kijowa, na stacji wezwano nas, abyśmy oddali bandaże. Piotr J., który miał braci w armii rosyjskiej, rzucił pierwszy, za nim porzucaliśmy my, Polacy; Węgrzy ani Niemcy nie oddali opatrunków. Ponieważ było to w okresie klęsk armii rosyjskiej, dlatego dla dodania ducha oprowadzano nas trzy godziny po mieście. Zaszliśmy przed jakąś cerkiew, a w tym momencie uderzono w dzwony. Wszystkie narody monarchii Franciszka Józefa stanęły ogłupia-

łe. Takiego dzwonienia nie słyszał nikt z nas. Zachodnioeuropejskie dzwony są takie jak nasz wiecznie zachmurzony Bóg i posępne, gotyckie świątynie. Tu zaś rozbrzmiewało coś jak pieśń swawolnych chochlików. Ten bimbający dziad cerkiewny był mistrzem nie lada. Jedne dzwony biły powoli, średnie uderzały znacznie szybciej, te zaś najmniejsze skakały niby kierdel swawolnych kozłów. Z pięciu cebulastych kopół cerkwi lała się nieprzerwana kaskada rozbrykanych dźwięków. Całość wypadała ciekawie, ale mało poważnie. Konwojowi, widząc nasze zdziwienie, zatrzymali pochód mówiąc, że to troicka cerkiew gra, ale jak zagrają wszystkie dzwony na Wielkanoc, wówczas jest czego posłuchać. Doprowadzono nas do cytadeli. Na wstępie zrewidowali nas Czesi, ubrani w rosyjskie uniformy, robili to ze złodziejską znajomością rzeczy, nie zostawili u nas nic.

Austriaccy żołnierze niczego tak nie żałowali jak fajek, a był ich zbiór niemały, od okazałych porcelanowych faj tyrolczyków, do małych góralskich fajecek. W cytadeli gniliśmy kilkanaście dni, aż w końcu odesłano nas do Samary[193]. Po drodze podziwialiśmy [dieriewnie] rosyjskie. Dziwne osiedla, niby koczowiska bezdomnych włóczęgów. Drewniane, szare domy, nigdzie nawet śladu drzew, które zakrywają i okraszają biedę wsi. Jakieś rozmamłane wiedźmy i zgraje dzieci tułały się po osiedlach. Od czasu do czasu mi[gnęło] miasteczko. Wszystko to było jakieś marne, tymczasowe, tylko bizantyjskie świątynie rozdymały się pośrodku ludzkich pieleszy i przygniatały swym ogromem mizerne otoczenie. Zbliżaliśmy się do stepów nadwołżańskich. W Syzraniu[194] napadła nas szarańcza moskitów i niemiłosiernie pokłuła, nie umieliśmy się przed nimi bronić dymem tytoniowym. Opuchli, załzawieni, patrzeliśmy, jak niedaleko od toru ko-

lejowego wysoko podkasana Rosjanka udeptywała spokojnie cegiełki kisaku. Na stepie brak drzewa, wobec [tego] na 3 łokcie grubej warstwy czarnoziemu, nawóz bydlęcy nie przedstawia wartości, udeptuje się go ze słomą, tnie na cegły, suszy i używa niby torfu na opał. Daje on dosyć silny żar, ale czuć go bardzo daleko.

W Samarze oddano nas na stację elektrycznych kolei jako robotników. Zakwaterowano nas nawet przyzwoicie, na drewnianych narach (żołnierz nie znał ani siennika, ani słomy), żywiono nas według żołnierskich norm, za pracę mieliśmy otrzymywać po 15 kopiejek dziennie. Towarzystwo było mieszane, sami Słowianie, Czesi, Rusini i my, tolerowani zaledwie, Polacy. Praca była ciężka, jedni kopali rowy stojąc po kolana w mule, inni pompowali wodę, reszta pracowała przy naprawianiu torów tramwajowych. Dla nas, nieprzywykłych w ogóle do pracy, a rozleniwionych miesięcznym przebywaniem w wagonach i Kijowie, była to praca nad siły. Raz gdyśmy byli przy pracy, przechodził obok nas silnie konwojowany pochód katorżników.

Szli dzwoniąc łańcuchami jak potępieńcy, wlokące się łańcuchy od nóg wzbijały tumany pyłu. Ludność cywilna uchodziła pospiesznie z drogi, ku nam przybiegł jakiś czerwony żandarmski pysk i kazał nam cofnąć się na bok. Udaliśmy, że nie rozumiemy. Wychudłe, spalone gorączką twarze zrobiły na nas bardzo przykre wrażenie. Byli to polityczni przestępcy z ewakuowanych więzień Królestwa [Polskiego].

Praca nam coraz bardziej doskwierała, postanowiliśmy porzucić ją przy najbliższej sposobności. Święta obchodziliśmy według starego kalendarza, o 13 dni później. Nadeszło nasze święto Piotra i Pawła, oświadczyliśmy, że jutro do pracy nie pójdziemy, jest to bowiem nasze bardzo wielkie świę-

to. Komendant nasz, jakiś bombardier, oświadczył nam, że obchodzić je będziemy, ale według greckiego obrządku. Odpowiedzieliśmy odmownie, zaczęto nas straszyć. Na drugi dzień wezwano nas do pracy. Zaznaczyć należy, że na tym stanowisku stanęli wszyscy jeńcy, tj. około 150 żołnierzy. Czesi oświadczyli, że oni nieradzi pracują, na każde więc święta w zupełności się godzą.

Pierwsi wycofali się Rusini, oświadczając, że oni obchodzą święta według greckiego, a nie rzymskiego kalendarza. Po niejakim czasie Czesi zawołali, że oni „serą"[a] na wszystkie święta, chwycili łopaty i wymaszerowali. Został nas zastęp 25 ludzi, komendant wywołał moje nazwisko jako komendanta zwodu i kazał mnie otoczyć czterema żołnierzami. Następnie zapytał, kto więcej odmawia stawić się do pracy. Natychmiast wystąpił Dziewoński Zygmunt i podał swe nazwisko. Przykład bywa zaraźliwy, nim nasz bombardier (inżynier drogowy z cywila) zapisał: Zigismund Diewonckij, już padały nazwiska. Kazimierz Rychter, Andrzej Sejmej, Franciszek Szmyd, Albin Dragosz, Maks Jan, Bulik Piotr, Burliga Piotr, Berdecki Adam, Nadorożny Adam, Jarek Franc, Wojtyła Jan, Cieślik Jakób, Stanecki Stanisław, Parecki Karol. Mnie i Dziewońskiego oddano pod sąd i odesłano do wojennego naczelnika okręgu, oczywiście Niemca. Urzędników i wojskowych pochodzenia niemieckiego spotykaliśmy w Rosji na każdym kroku. Odnosili się oni do austriackich niemieckich jeńców brutalnie, okazywali pogardę na każdym kroku, wymyślali w soczystym, ruskim języku i – pomagali. Nasz był taki sam, pienił się nad nami, wygrażał pięściami, równał z błotem, groził rozstrzelaniem i skazał na 14 dni na chleb i wodę.

Żołnierze rosyjscy zagwarantowali nam co najmniej trzy miesiące ciężkiego więzienia za bunt. Zaprowadzono nas do

[a] *Serou* (czes.) wulgarne określenie czynności fizjologicznej.

celi dwa metry szerokiej i może pół metra dłuższej. Cela była nad piekarnią, w której pieczono permanentnie chleb dla armii. Był to lipiec. W Samarze latem bywa normalnie 40°C w cieniu, pod nami na dodatek palono, okna mieliśmy stale zamknięte, można sobie więc wyobrazić, co przechodziliśmy. Za pościel służyły nam dwie szerokie deski na zawiasach, przytwierdzone do ściany, które po pobudce zamykano na kłódkę, stołka żadnego nie mieliśmy, więc po zamknięciu łóżek musieliśmy stać. Nauczyłem się tam więziennego marszu: trzy kroki naprzód, zwrot, trzy kroki i znów zwrot. Podczas tych manewrów współtowarzysz marszu musiał stać w kącie. Raz znudziło się nam stać, ułożyliśmy się na podłodze, po chwili wszedł żołnierz z wiadrem wody, wylał ją na podłogę i ze złodziejskim uśmiechem radził nam położyć się na betonie, na którym było na centymetr grubo wody. Po trzech dniach zmienił się oddział przysyłający wartowników.

Przyszli Tatarzy. Sądziliśmy, że teraz będzie jeszcze gorzej, tymczasem było znacznie lepiej. Na obiad otrzymaliśmy to samo co i oni, wieczorem herbatę. Wszystko to dawali nam, uszczuplając swoje racje. Na dwór wychodziło się dwa razy na dzień. Naturalnie, staraliśmy się być na zewnątrz jak najdłużej. O ile wartę trzymali strażacy Tatarzy, ci stali nad nami dobrodusznie uśmiechnięci, o ile wypadło mieć do czynienia z Rosjanami, sytuacja bywała przykra. Waleczny opołczeniec wygrażał karabinem, przybierał bojową postawę, gdy my przybieraliśmy całkiem prozaiczną pozycję. Raz dla rozmaitości wepchnięto nas do ciemnicy. Nie byłoby tam tak zupełnie źle, tylko szczury biegały po nas, jak tylko położyliśmy się spać. Gdy pierwszy raz wyszedłem z ciemnicy, tak silnie uderzył mnie blask słonecznych

promieni, że byłbym upadł, szczęściem podtrzymał mnie Tatar. Światło słoneczne po prostu oślepiło nas, rozszerzone w ciemności źrenice nie mogły wytrzymać blasku. Po 10 dniach karceru, polecił oficer inspekcyjny wyprowadzać nas na półgodzinny spacer.

Na drugi dzień chodzimy po zaśmieconym podwórku, po którym kręcili się w drelichowych, wymiętych gimnastiorkach (bluzach wojskowych) żołnierze. Jedynie, my, jeńcy mieliśmy ubranie z solidnego sukna i do figury skrojone bluzy. Na schodkach przed komendą stał szykowny młody rosyjski oficer. Od bramy nadszedł świeżo powołany żołnierz, idący z wiadrem po wodę, był umundurowany, pas zwisał mu gdzieś na pachwinę, czapki nie miał na głowie. Przechodząc koło oficera przyłożył rękę do miejsca, gdzie powinien był być daszek. Parsknęliśmy śmiechem, oficer poczerwieniał z gniewu. Odeszliśmy na drugi koniec podwórza, żołnierz z wiadrem wracał. Mużyk z jakiejś zapadłej wsi, drugi dzień noszący mundur wie, że oficerowi należy się oddać honory, chwali więc Boga jak umie i bije nogami w śmieci, robi w lewo patrz i dla odmiany wolną lewą ręką uderza w czoło. Oficer zbiega w dół, wyrywa mu wiadro i całym rozmachem uderza nim żołnierza w głowę. Ofiara upada na ziemię zalana krwią, oficer woła: „Ubieritie etu sobaku" (zabierzcie tego psa), żołnierze wynoszą go zupełnie bezwładnego. Podwórze opustoszało, na ganku pozostał jedynie bohater zajścia – praporszczyk[a].

[a] *Прапорщик* (ros.) – podchorąży w armii rosyjskiej.

Nasze czternastodniowe więzienie skończyło się. Tanim kosztem zostaliśmy męczennikami za wiarę, co przypuszczam zostało zakonotowane w naszych aktywach. Odesłano nas do obozu jeńców, gdzie zastaliśmy pozostałych 14 męczenników. Ci dla odmiany odsiedzieli wspólnie w obozie

na chlebie i wodzie. Jedyną ciemną stroną ich aresztu była ta okoliczność, że za cienką zresztą ścianą z desek mieli ubikację, bardzo zresztą potrzebną, ale niezbyt mile pachnącą. W obozie nie zagrzaliśmy miejsca, po kilku dniach odkomenderowano nas do kamieniołomów, położonych za miastem. Przedsiębiorstwo było prywatne, starano się nas jak najbardziej wyeksploatować, trzech ludzi łamało wapienny kamień, dwu zaś ładowało go na wozy. Robota szła nieprzerwanie. Dopiero gdy jeden z jeńców, lwowiak Podgórny, padł, rażony udarem słonecznym, przeznaczono do łamania kamieni czterech ludzi.

Barak mieliśmy tuż nad kamieniołomami. Dawano nam obfite porcje cuchnącego mięsa. Ponieważ dalej byłem zwodnym, nie chodziłem do pracy, tylko dzieliłem chleb, cukier, porcje obiadowe, a w nocy pełniłem wraz z Tatarem wartę obok baraków. Miałem niby być tłumaczem pomiędzy jeńcami a służbą. Dniem najczęściej spałem; nocą, gdy wszyscy zmorzeni posnęli, siedziałem z dwoma Tatarami przed barakiem. Rozmawialiśmy stale, ciekawe były to pogawędki, umiałem kilkaset słów rosyjskich, Tatarzy umieli znacznie więcej. Darzyli mnie sympatią, gdy się dowiedzieli, że nie jestem ani ruskim, ani prawosławnym, tylko Polakiem. Ruscy źli ludzie, mówili stale. Oni byli rzeczywiście dobrzy ludzie, zawsze uśmiechnięci, nigdy nie unosili się, byli wyrozumiali na nie zawsze taktowne postępowanie jeńców. Jeden szczególnie darzył mnie swą sympatią, wyglądał strasznie, trochę był ładniejszy, chociaż niezbyt wiele, od wizerunku średniowiecznego diabła. Rosjanie okazywali im jawnie pogardę, my zaś rozmawialiśmy z nimi chętnie, stanowili bowiem dla nas egzotyczne okazy. Raz w nocy diablątko zaczyna mi się zwierzać. „Dlaczego ruscy traktują nas jak

bydło (twar)[a], mam dużo owiec i koni, mój brat jest mułłą, wy jesteście zachodni człowiek, uczony, umiecie czytać i pisać, a możecie ze mną rozmawiać, a byle ruska bradiaga[b] nazywa mnie tatarską mordą". Czasem, potrząsając ładownicami, mówił: „Noszę przy sobie te naboje, ważą kilka funtów, na kogo, na swego brata, rzuciłbym to w kibini...".

Czasem zaś dla odmiany pytał: „U was woły są?" – „Są" – odpowiadałem. „A pszenica się rodzi? Barany chowacie. Woły też. Jak Boga kocham (Jej Bohu) całkiem jak nasz kraj, i o co my duraki bijemy się ze sobą". Za barakami ciągnął się step, porosły najrozmaitszymi bodiakami[c], burianem[d] i piołunem, aż het ku Wołdze. W niedzielę poszliśmy się kąpać. Wołga pod Samarą ma około 2 kilometrów szerokości, płynie leniwo wśród płaskich brzegów. Koło miasta są drzewa, jakieś laski, a wśród nich pobudowane dacze (wille) zamożnych mieszczan Samary. Pomimo bardzo ciężkich warunków, nie porzucaliśmy pracy, nie chcąc dostać się ponownie do więzienia. Tymczasem uwolnili nas niespodziewanie. Na południu Rosji przepadały zbiory, nie miał bowiem ich kto zwozić, posłano nas więc na Kaukaz. Na przystani oczekiwał na nasz odjazd wojenny naczelnik okręgu i sztab.

Austriacka bieda rozłożyła się na brzegu, oczekując na odjazd parostatku. Madziarzy zaczynają śpiewać swoje tęskne melodie. Czesi zaczynają swe ochoczne piosenki. Kończymy my, Polacy, tą piosenką, którą zaśpiewaliśmy ostatni raz przed napadem na Łużany: „Posępną pobudkę werbel gra. Jak długo, bez końca ta droga trwa. Oby tej wędrówki już nadszedł kres. Bo serce mi pęknie, zabraknie mi łez".

Idziemy po pomoście na pokład. Z boku stoi grupa oficerów, przyglądających się nam bacznie. Ciekawe zjawisko można było zaobserwować. Żołnierze austriackiej armii,

[a] *Тварь* (ros.) bydlę, kreatura.

[b] *Бродяга* (ros.) włóczęga, łazęga.

[c] Bodiak (ukr. bodjak): regionalna nazwa ostu, roślina stepowa o kolczastych łodygach i liściach.

[d] Burzan – wysokie kępy.

dostawszy się do niewoli, chodzili jak stado baranów. Żadnej zbiórki nie można było sprawnie zarządzić, maszerowali gromadami, starali się zrzucić z siebie wszystko, co przypominało wojskowy odór, i tą razą szli kolebiąc się po dziadowsku. Jedynie nas 16 weszło na pomost czwórkami i pod nogę. Który pułk, pada pytanie. „Trzeci, Krakowski" – odpowiadamy. „Polacy, sukinsyny", słyszymy za sobą. Jedziemy pod pokładem w towarzystwie dwu krów i pak towaru. Okręcik, stary astrachański klekot, trzeszczy ustawicznie. Pokładowi pasażerowie zaglądają do nas ciekawie. Po jednej stronie rozciąga się bezbrzeżny, równy step, drugi brzeg rzeki jest stromy. Czasem w oddali widać ruskie bezdrzewne wsie, to znów kolonię Niemców, osiadłych za czasów Katarzyny II, wysokie spiczaste domy przypominają krajobrazy Ruisdala i Hobbena[195].

Wody Wołgi płynęły leniwie, niebo odbijało się w wodzie, raz tylko zaniosło się na burzę. Woda poszarzała, deszcz siekł, tworząc na niej małe dołeczki, wiatr miotał naszym pudliskiem, przechylając go z boku na bok. Pod pokładem zaczęła się wesoła zabawa: po każdym nachyleniu się statku, podpokładowi podróżni biegli raz w tę, to znów w przeciwną stronę. Ostatecznie kładliśmy się na pokładzie i kołysanie nie szkodziło nam bardzo. Urwała się jednak z uwięzi krowa i zaczęła biegać jak opętana, dosłownie po nas. Ciemno było zupełnie, tylko błyskawice czasem rozjaśniały wnętrze pod pokładem, trudno jednak było w tym momencie zobaczyć krowę, chwycić ją i przymocować do czegokolwiek. Madziarzy zaczęli skandować swe „Basmek, azania". Ostatecznie jakiś marynarz utemperował krasulę.

Podróż wlokła się dosyć długo, żywiono nas dla odmiany cuchnącą rybą, której otrzymywaliśmy funtowe kawa-

ły, [z] niewielki[mi] kromk[ami] chleba. (Funt wyziny i innej ryby kosztował nad Wołgą 3–5 kopiejek, funt baraniny 5 kopiejek, chleb razowy 2 kopiejki, biały, czysto pszenny 3,5 kopiejki).

W Carycynie[196] przesiedliśmy się na pociąg, który miał nas odstawić do stawropolskiej guberni[197]. Po drodze przejeżdżaliśmy przez kozackie stanice. Na każdej stacji widać było mężczyzn przypominających dawne szlacheckie typy, przy szabli, z zawadiacką miną. Nie przypominali oni zastraszonych a chytrych mużyków środkowej Rosji. Dorodne postaci, wychowane na żyznych, czarnoziemnych stepach, reprezentowały godnie stan Kozaczy. Dojechaliśmy do Stawropola, zapędzono nas na podwórze Ziemskiej Uprawy[198], gdzie spędziliśmy noc. Rano pozjeżdżali się chłopi i obszarnicy z okolicznych folwarków i chutorów[a] – po jeńców. Chodzili pomiędzy nas, oglądali nam ręce, omal nie zaglądali w zęby, obmacywali ramiona. Targ na niewolników w całej pełni powtórzył się w XX w. Naszej grupki nikt nie chciał nabyć. Studenci, nauczyciel, młodzi chłopcy byli marnym towarem. Po jednemu byliby nas rozebrali, na całą grupę 16 nikt nie reflektował. Towarzysze niedoli wypędzali mnie, abym ich przecież sprzedał. Namawiałem kilku tawryczan (kułaków z tawryczańskiej guberni), ale bez rezultatu[199]. Gdy już połowę żywego towaru rozebrano, wpadł na podwórze wysoki, chudy, jednoręki, w czarną kacabajkę ubrany tawryczanin. Na placu pozostały ludzkie [w]raki i nasza grupka. „Wy kto" – zapytał. „Polacy". „To dobrze, ja umiem po polsku, w Warszawie służyłem, charoszy gorod, no nasi go prosr... propał. Pójdziecie do mnie". „ Chętnie, tylko zabierzcie nas wszystkich szesnastu". Ostatecznie zabrał nas dziesięciu, zaś pozostałych

[a] Niezależne gospodarstwo o scalonych gruntach, na kresach imperium rosyjskiego.

sześciu ulokował w najbliższym swym sąsiedztwie. Zadowoleni wyjeżdżaliśmy.

Nasz „chlebodawca" był rozmowny, opowiadał stale o Warszawie. Było nam dobrze, mówiliśmy do niego po polsku, on jakimś dziwnym narzeczem, który jednakowoż dobrze rozumieliśmy. Od czasu do czasu zwracał się do woźnicy i kazał się podziwiać, jak on dobrze po polacku rozmawia. Od stacji kolejowej do dworu Kisiela (tak się nazywał nasz gospodarz) było 76 wiorst[a]. Po drodze minęliśmy dwie duże wsie. W jednej z nich wyszła na nasze spotkanie cała ludność, oglądać Austryjców. Dziewczęta w białych, lnianych narzutkach rzuciły się ku nam, jakaś leciwa niewiasta obdarzyła surowymi ogórkami; młodzież męska, przyszli bohaterzy, spoglądała na nas spode łba. Droga prowadziła stale stepem, szeroki pas ziemi zostawiony ugorem, poryty koleinami wozów, zarosły burianem, to kaukaska droga.

[a] 1 wiorsta około 1 km (1066,80 m).

Śladu pracy ludzkiej tu nieuświadczy. Jedzie się, gdy pogoda, gdy roztopy, nikt na czarnomorski step nie wyruszy. Od wioski do wioski kilkadziesiąt wiorst. Na stepie tylko orły unoszą się w powietrzu, a jest ich bardzo dużo. Często zobaczyć można bielika (białego orła), czatującego na zdobycz. Minęliśmy kilkakrotnie pojedyncze dziewczęta, pasące po kilka lub kilkanaście wielbłądów. Pożyteczne te zwierzęta obrzydliwie wyglądają w zestawieniu z końmi lub bydłem rogatym. Czasem na stepie, najczęściej w pobliżu wsi, widać szeregi kurhanów. Nikt się nimi nie zainteresował. Zapytujemy gospodarza, czy ich kto nie rozkopywał. Nie, czasem rozorują je, ale tam nie ma nic ciekawego, kamienie, kości, trochę metalu, który nawet na pogrzebacz nie nadaje się. Nasze niepodkute konie biegną wytrwale.

Siedemdziesiąt kilka kilometrów robimy za jednym rozmachem z jednogodzinnym popasem. Zbliżamy się do celu.

Płynie jakaś bagnista struga, od której ku północy wznosi się łagodnie teren. Na zboczu dwór, a raczej obszerny dom, wybudowany z czerwonej cegły, kryty dachówką, pretensjonalna brama, jakieś niskie zabudowania (seraje)[a], mała stajnia na siedem koni, kuźnia, spichlerze, to wszystko. Oprócz domu mieszkalnego wszystko w pożałowania godnym stanie. Maszyny rolnicze *sub Jove*[b] przerastają chwastem. Kisiel posiadał 230 dziesięcin własnej ziemi i dzierżawił 1500 dziesięcin od Polaka Parczewskiego (lekarz rosyjskiej armii). 1 dziesięcina wynosi około 1 hektara[200]. Krów miał 6 czy też 7, wołów 300 par, z tych połowa umiała chodzić w zaprzęgu. Stopa życiowa dworu i poziom umysłowy odpowiadały średnio zamożnemu chłopu zachodnich województw Polski. Wjechaliśmy na podwórze, wyszli ku nam Czesi, przebywający tu od tygodnia, cała służba chutoru, no i mieszkańcy dworu: stara Baba, córka Kisiela, synowa i dwóch jego wnuków. Po oględzinach dano nam na misie herbaty, po kawałku cukru, łyżki i chleb. Cukier wrzuciliśmy do brunatnej cieczy, zwanej herbatą, czym wywołaliśmy zgorszenie. Prawosławny pije czaj przegryzając cukier, liżąc go lub myśląc o cukrze, ale w żadnym wypadku nie rozpuszcza go w herbacie!

Po tym czajopiciu dano nam widły i wyprowadzono na step, gdzie pracowała parowa młockarnia, do obsługi której potrzeba było około 40 ludzi. Było już dobrze z południa, jak zaczęliśmy pracować, do wieczora dłużył się nam dzień niezwykle, słońce nie chciało się posuwać, pot lał się nam strumieniem, ręce piekły od wideł. Nie umieliśmy pracować, nie znaliśmy techniki operowania narzędzia-

[a] Pers. *sārāj*, wielki dom, na Wschodzie – pałac z wewnętrznymi komnatami i haremem.

[b] Pod gołym niebem, dosłownie: pod Jowiszem (łac.).

mi, Ruscy rozmyślnie nie pokazywali nam, jak daną pracę wykonać. Stanowiliśmy dla nich niebezpieczną konkurencję, pracowaliśmy bowiem tanio. Byliśmy w sukiennych ubraniach, z przyzwyczajenia pozapinani na wszystkie guziki, w czapkach na głowie, i męczyliśmy się niepotrzebnie. Przy maszynie były namioty dla dziewcząt i Ruskich; dla nas, 19 jeńców, był barak zrobiony z gałęzi, pokrytych słomą. Spaliśmy pokotem na słomie, po nas przebiegały jaszczurki i skakały żaby, nikt na to jednakowoż nie zwracał uwagi.

Na drugi dzień o świcie Baba obudziła nas wrzaskiem. Przeznaczono mnie do odbierania od młockarni worków, zawiązywania tychże i odnoszenia na bok. Dziennie przechodziło mi ich przez ręce przeszło 300 sztuk. Normalnie przy workach było dwóch ludzi. Chytra Baba postawiła mnie samego. Wychodziłem ze skóry, ale jakoś dawałem sobie radę. Wieczorem byłem tak zmęczony, że nie poszedłem do wieczerzy, tylko po umyciu się upadłem koło koryta, służącego nam za umywalnię, dopiero gdy mnie wieczorna rosa orzeźwiła, na czworakach dowlokłem się do baraku.

Noc tylko się migła. Nam zdawało się, że dopiero zasypiamy, a tu już Baba piekłowała się jak jędza. Przez kilka dni czuliśmy każdą kosteczkę, każdy wysiłek sprawiał nam ból. Powoli jednak zapalenie mięśni przechodziło; zaczęliśmy pracować jak rosyjscy robotnicy: w koszulach i bez czapek. Jeść otrzymywaliśmy pięć razy dziennie, ponieważ jednak pracowaliśmy intensywnie, byliśmy mimo to głodni. Gotowała nam Rosjanka. Barszcz obiadowy przyrządzała [na przykład] w ten sposób: do kotła wlewała kilka wiader wody, kilkanaście kartofli, kilka garści klusek, główkę kapusty, którą rozbijała już w kotle łopatą, służącą do wygarniania popiołu, i jakieś ochłapy ścierwa. Raz pływało nam już za

dużo robaków w zupie. Zrobiliśmy awanturę, że do pracy nie pójdziemy, o ile gospodarz nie przyjedzie. Przyjechał, obejrzał i orzekł. „Ce, ja nie winien, winna kucharka, bo dlaczego ona robaków nie wymyła". Zamiast zupy otrzymaliśmy zjełczałej słoniny i chleba, no i urwaliśmy godzinę pracy.

W niedzielę, ponieważ nie pracowaliśmy, otrzymywaliśmy tylko obiad i wieczerzę. Robotnicy rosyjscy na niedzielę wyjeżdżali, zostawali jedynie jeńcy. Raz ugotowała nam kucharka w niedzielę na obiad główkę z barana, na 19 ludzi. Tego było nam za wiele. Główkę baranią wbiliśmy na widły i nieśliśmy jako sztandar na czele pochodu, następnie uszykowani w czwórki maszerowaliśmy, śpiewając czeskie i polskie piosenki. Pochód zamykał Bulik, który zgromadzonej publice opowiadał po małorusku o wielkodusznym Kisielu, który rujnuje się ofiarując nam na obiad całą główkę barana. Opowiadał zaś to tak komicznie, że widzowie zaśmiewali się z ogólnie nielubianego tawryczanina. Skutek był oczywisty. Kisiel, ośmieszony, wściekał się, ale od tego czasu w niedzielę otrzymywaliśmy i śniadanie.

Po dwóch tygodniach, solidaryzowaliśmy się już ze światem pracy, wspólnie z rosyjskimi robotnikami prowadziliśmy podjazdową walkę z kapitalistą Kisielem. Pierwszy spór wynikł o pracę po zachodzie słońca. Baba chciała, abyśmy pracowali do zmroku, tj. około 14 godzin. Myśmy oświadczyli Babie, że po zachodzie słońca rzucamy pracę. Ona jednak, mimo naszego oświadczenia, nie pozwoliła zatrzymać maszyny. Raz, po zachodzie słońca, porzuciliśmy stanowiska, słoma zawalała stertę, zboże sypało się na ziemię, Baba pomstowała wniebogłosy, wszystko to jednak nie wyprowadzało nas z równowagi. Od tego zajścia pracę kończyliśmy o zachodzie słońca. Raz w niedzielę wybraliśmy

się do cerkwi w Zofiewce, odległej o cztery kilometry. Było to [święto] prawosławnej Matki Boskiej Zielnej. Zamiast święcenia wianków i ociepek[201], jak to w zwyczaju w Polsce, dziad kościelny nakosił na cmentarzu chwastu, zgrabił go na kupę, i to brodaty pop poświęcił. Nikt nie przygotował się, aby święcone ziela zabrać do domu.

W ogóle kościół i religia nie odgrywała w życiu przeciętnego chłopa ros[yjskiego] tej roli, co u chłopa polskiego. Pop zbierał kwestę kilka razy do roku we wsi, pił tęgo, wodził się za włosy ze swą połowicą, troszczył się bardzo o liczne potomstwo, czasem pisał donosy. Autorytetem we wsi nie był, nie był nim i nauczyciel. Poziom umysłowy kleru był bardzo niski. Nasz np. zofiejewski miał nas katolików za „niechriestow" (nie chrześcijan), publicznie nauczał dziewczęta, by nie utrzymywały stosunków z Austryjcami, bo od tego „dusza się psuje". O to tylko mu się rozchodziło. Po nabożeństwie wyszliśmy na ulicę. Domy w tej wsi były ładne, przeważnie kryte blachą, drzwi i okna pomalowane obowiązującą w Rosji zieloną farbą. Osadnicy pochodzili z Ukrainy. Chochły[a] stale prowadzili spory z osadnikami z centralnej Rosji – Wielkorusami – których pogardliwie nazywali kacapami.

[a] Ukraińcy.

Chochły byli przystojni, mówili śpiewnym językiem, bardzo zbliżonym do polskiego, chętnie śpiewali, bawili się, byli gościnni i grzeczni, lubili również popić. Kacapi, zwykle rudzi (zyz, ryży i kuternoga naznaczani od Boga, jako ludzie źli), byli chytrzy i podstępni, chciwi, niegościnni, dochodzili szybko do majątku.

Otoczyła nas gromada ludzi. „Wy od Kisiela. Ot popadliście do poganego[b] człowieka. Cóż robić, niewolni wy. Mój mąż również w niewoli, nie mogę do niego napisać. Nikt tu

[b] *Поганый* (ros.) nikczemny, plugawy.

po austriacku nie napisze adresu". „Dawaj ciocia, napiszemy" – zawołał ktoś z nas. Na klocu leżącym na ulicy otwarliśmy biuro pisania listów. Wzdłuż wsi przebiegła sławuszka (wiadomość), że Kisielowi Austriacy piszą po rusku, polsku i germańsku listy. Sejmej, który ukończył rosyjską szkołę handlową, pisał po rosyjsku, Bulik po małorusku, Dziewoński, Rychter i ja pisaliśmy adresy po niemiecku, czesku, madziarsku, jak popadło. Petentów było sporo, zwłaszcza, że pisaliśmy i listy i adresy. „Ile się wam należy!" „Dobre słowo wystarczy, nie ubyło nas". „Patrzcie ludzie" – woła jakaś kumoszka – „Do popa na kogucie jedź, diakowi zanieś dwadzieścia jajec, a i tak ci listu z astryjskim adresem nie napisze. To ci uczony naród, ci austriaccy Polacy". Poczęstowano nas pierogami i kwasem, przyjęcia datków kategorycznie odmówiliśmy. Odprowadzili nas za wieś, wymyślając po drodze na popa, diaka, nauczyciela i pomieszczyków, wrogów „wsiowego narodu".

Do cerkwi udaliśmy się bez zezwolenia Kisiela, dlatego też na podwórku oczekiwał nas Kozak, wymachując nahajem i sukinsynując nas soczystymi rosyjskimi przekleństwami. Wyszedł Kisiel. „Dlaczego piszecie listy Zofijewcom, wasz czas należy do mnie, bo ja was żywię. Niech mnie zapłacą, a wówczas pozwolę wam pisać". Nie od razu zrozumieliśmy tę kułacką mentalność, po niejakim jednak czasie wiele ciemnych spraw rosyjskich stosunków zrozumieliśmy jasno.

Do pracy przyzwyczajaliśmy się, poznawaliśmy towarzyszy pracy. Najciekawszym typem był Kuźma, suchy, zgarbiony eksmarynarz z Potiomkina. Był on u Kisiela prykazczykiem (włodarzem). Do nas na ogół odnosił się z dużym zaufaniem. Gdy był w dobrym humorze, opowiadał o buncie

rosyjskiej czarnomorskiej floty[202]. Raz wynikł między nami a Kuźmą groźny incydent. Jeden z naszych, [szesnastoletni] Albin Dragosz z Krakowa, który nigdy nie miał w swym krótkim życiu z wołami do czynienia, po wyprzęgnięciu z wozu puścił jedną parę z jarzmem na karkach na step. Gdy się Kuźma o tym dowiedział, rzucił się na Albina, my zaś powstaliśmy groźnie, a jeden z naszych kazał mu położyć ręce po szwach spodni. Kuźma zrozumiał pogróżkę; wyskoczył z naszego półkola, popędził konno za wołami w step.

Sezonowych robotników sprowadzał ukrywający się po stepie dezerter Taras. Cieszył się on wielkim powodzeniem u folwarcznych dziewek, które stale obsługiwał. Czynił to z tak rozbrajającą otwartością, nie krępując się ani porą dnia, miejscem, obecnością innych, że przecieraliśmy oczy ze zdumienia, nie mogąc zrozumieć tej strony życia ruskiego społeczeństwa. Maszynistą był Wasyl Kałmykow. Bardzo miły ten chłopak był wyznawcą sekty mołokan (nie wolno [im] było spożywać mięsa, zastępowali je mlekiem)[203], nigdy nie zaklął, przebywał stale z nami, marzył, by się dostać do Niemiec, gdzie chciał się uczyć mechaniki. Czasem w niedzielę odwiedzaliśmy starego, zasuszonego pastucha 300 kisielowych byków. Znał je wszystkie, wiedział, które stanowią parę.

Na chutorze było dziewięciu Czechów. Stosunki pomiędzy nami a Czechami jeszcze z frontu były mocno naprężone. Gdy wpadliśmy do niewoli, Czesi stale mówili nam „My se tady doma"[a]. Za Tarnopolem, gdy maszerowaliśmy do Podwołoczysk, Czesi rzucili się do studni. Oficer kozacki odpędzał ich, gdy to jednak nie pomagało, kazał kozuniom puścić wypróbowane nahajki w ruch. Czesi rozbiegli się, a my wołaliśmy za nimi: [*My jsme tady doma*]. Kisielowi

[a] *My jsme tady doma* (czes.) Jesteśmy w domu.

Czesi byli potulni. Starsi chłopi i rzemieślnicy nie wdawali się w żadne awantury, szukali jedynie lekkiej pracy przy słomie lub plewach. Do nas przylgnął jedynie Anton Burka i Masaryk, który zastrzelił swego kapelana. O czynie swym opowiadał w ten sposób:

„Nasz Feldkurat[a] stale obiecywał nam niebo, jak będziemy bić Rosjan. Sam zaś chował się; jemu się nie spieszyło. Zastrzeliłem belbouna, niech idzie do nieba zamówić nam kwatery". Pozostali Czesi witali Kisiela zdejmując przed nim czapki. „To kurwy, nie Czesi", mawiał o nich nasz Masaryk. My, Polacy, zżyliśmy się serdecznie. Do grupki należał Zygmunt Dziewoński, absolwent seminarium nauczycielskiego w Krakowie, rodem z Dziekanowic, śp. Rychter (Akademia Sztuk Pięknych), Franciszek Szmyd, absolwent gimnazjum z Miejsca Piastowego, Piotr Jeżyński z Radomia, absolwent szkoły handlowej. Po dostaniu się do niewoli Jeżyński, jako więzień polityczny (siedział za przynależność do PPS Frakcji), przybrał nazwisko Sejmej, mój rodzinny przydomek. [Byli też] Adam Nadorożny, murarz ze Lwowa, Adam Berdecki, murarz z Krakowa, Wojtyła, rolnik od Krakowa, Księżyk, parobczak od Krakowa, Piotr Bulik, krawiec z Żydaczowa, śp. Stanisław Szanecki, cukiernik z Krakowa.

Stanowiliśmy najprzykładniejszą pod słońcem rodzinę. Obserwowaliśmy życie rosyjskie. Nie mogliśmy np. zrozumieć przekleństw. Każdy szanujący się Rosjanin co drugie słowo używał terminów z dziedziny funkcji fizjologicznych w najrozmaitszych kombinacjach. Ponoć niemowlę uczy się wymawiać następujące pierwsze słowa: mama, tata, iiiii twoja mać. Jakiś Włoch podróżujący po Rosji nie mógł się nachwalić, jaki to dobry naród ci Rosjanie, przed każdą cerkwią żegnają się i stale mówią „bona mater"[b]. Oni

[a] Feldkurat – kapelan w armii austro-węgierskiej.

[b] *Buona madre* (wł.)

wprawdzie mówili podobnie, chociaż trochę inaczej. Stół, za którym siedzieliśmy, była to prosta, brudna deska na dwudecymetrowej długości nogach. Za największą obrazę uważali, jeżeli ktoś za stołem zapalił papierosa, paląc w domu wdmuchiwało się dym do pieca. Gdy przyszliśmy do Kisiela, ten zapytał nas, czy my jesteśmy krestjanie, grażdanie czy też dworianie[a].Nie rozumieliśmy zapytania: „Chrześcijanie, katolicy". „Ce, nie to" – kręcił głową nasz gospodarz. Dopiero później zrozumieliśmy, o co chodzi. Społeczeństw ruskie składało się z zamkniętych kast: chłopów, mieszczan, kozaków i dworzan (szlachty). Na każdym, nawet na najbardziej błahym świstku każdy miał zaznaczone, do jakiej warstwy socjalnej należy. Chłopu np. nie wolno było skarżyć szlachcica, nawet wówczas gdy miał najzupełniejszą rację, musiał za niego wnieść skargę szlachcic.

[a] Chłopi, mieszczanie, szlachta (ros.)

Pewną rozmaitość do tej sielanki wnieśli dopiero nasi jeńcy, nieznający żadnych różnic. Syn naszego Kisiela, Stefan, nie żył z żoną. Gospodarzył na wydzierżawionym 2 tys. ha liczącym folwarku Iszałta, gdzie prowadził hodowlę koni. On również wziął jeńców, na odmianę Węgrów. Jeden z nich bardzo przypadł mu do gustu. Był wysoki, przystojny, wąs nakręcony, jednym słowem, wymarzony woźnica do wyjazdowego powozu. To, że Madziar był z zawodu buchalterem i z końmi nie miał nic wspólnego, było dla Stefana zupełnie obojętne. Zresztą, któż się z Węgrem dogada. Posadzono Honweda na koźle, wepchnięto mu lejce i knut w garść, cmoknięto na konie i te zrobiły swoje, poszły. Stefan siedział rozparty w bryczce, ciesząc się, jakiego to szykownego kuczera[b] nabył tanim kosztem. Konie jednak wkrótce poznały, jakiego mają woźnicę i poniosły. Na stepie nie jest to nic groźnego, pobiegają, zmęczą się i ustaną. Tym razem stało

[b] Woźnica, furman.

się gorzej. Po kilkukilometrowym biegu, w jakimś dołku, bryczka rozbiła się, Stefan wylądował w darni z rozbitym nosemi, a konie poszły na Iszałtę.

Stefan chciał urządzić epilog prawdziwie szlachecki. Wyrwał knut Węgrowi i zaczął go nim okładać. Paprykarz jednak był silniejszy, kultu dla dziedzica Iszałty nie żywił. Wyrwał mu knut i bił go tak długo, dopóki sam się nie zmęczył, a Stefan nie przestał jęczeć. Następnie spokojnie poszedł na chutor, zabrał swe manatki i odmaszerował do Stawropola. Na drugi dzionek jakiś przejezdny chłop przywiózł mocno nadwerężonego Stefana.

Inny wypadek zakończył się tragiczniej. Na zachód od nas były małe chutory, gdzie było po dwu lub trzech jeńców. Na jednym z nich, u znanego w okolicy sadysty, pracował jakiś Węgier. Gospodarz stale się nad nim znęcał i bił go przy lada okazji. Widziałem go na stepie, młody szekler[a] miał nad wyraz smutne oczy, próbowałem zagadać do niego, niestety, oprócz węgierskiego żadnego innego języka nie rozumiał. Nie przemówił do nikogo już od paru miesięcy. Ostatecznie przebrała się miara. Jarocha znów go pobił, w nocy zarąbał Madziar całą rodzinę siekierą, dom i zabudowania podpalił i poszedł w step. Błądził dwa dni, potem, czy to zmylił drogę, czy też rozmyślnie powrócił, dość, że powiesił się na akacji, opodal zgliszcz spalonego przez siebie obejścia. Po tym fakcie zaczęto ze zgrozą na nas spoglądać, jednak nie odważono się uderzyć jeńca.

[a] *Schaufler* (niem.) łopaciarz.

U nas utarł się następujący zwyczaj. Z brzaskiem każdego dnia wpadała do naszego baraku Baba, wołając, abyśmy wstawali. Oganialiśmy się jak mogli, ale ostatecznie wstać się musiało. Jeden albo dwóch zostawało, oświadczając, że są bolni[b] (chorzy). Baba próbowała wyciągnąć i chorych, to

[b] *Больной* (ros.) chory.

się jej jednak nie udawało. Czasem, gdy nie mogła zorganizować przy maszynie pracy, to proponowała, aby w danym dniu chorował kto inny, np. Zigismund albo mały Adam, a nie ten, co jest tak potrzebny. Na takie kombinacje niejednokrotnie szliśmy. O ósmej nadjeżdżał Kisiel. Na wstępie zapytywał, na kogo dzisiaj kolej chorować, wymienialiśmy imiona. Wówczas szedł do baraku, stawał we drzwiach, i wymyślał: „Wy nachały[a]! Wy diabelskie jarzma! Wy gnój! Wy męczyciele!". Do baraku nie wchodził od czasu, jak Bulik zrobił mu propozycję, że mu złamie drugą rękę, mówiąc mu, że ma wprawdzie tylko jedną, ale to i tak jest na takiego jak on obwiesia za dużo.

[a] *Нахал* (ros.) bezwstydny, impertynencki.

Baba próbowała nas inaczej oduczyć chorować, a mianowicie kazała chorym nie dawać jeść. Na drugi dzień było dwóch nowych chorych, dwóch zaś nie mogło iść do pracy, bo osłabli z głodu. (Kucharka dostarczała nam po kryjomu chleba i słoniny). Baba pobiegła zrozpaczona do kuchni, przyniosła, co mogła, mówiąc: „To niech już tylko dwóch choruje". Jeść nam się nie chciało wprawdzie – przyrządzano obskurnie potrawy – ale było ich ostatecznie pod dostatkiem. Czasem jednak urządzaliśmy kawały. Raz utopił się w studni indyk, sporządzono go nam. Stanowił pewną rozmaitość w naszym menu; za dwa dni, przy naszej czynnej pomocy, utonął i drugi, tego również skonsumowaliśmy. Gdy jednak odebrał sobie życie trzeci indyk, z rozpaczy, że u Kisiela żyje, jak to dowodziliśmy Kuźmie, wówczas Kisiel i Kuźma ostentacyjnie pochowali go w nawozie. Epidemia indyczych samobójstw minęła.

Jeden z naszych pasał świnie. Zawsze rano, wypędzając je z chlewa, śpiewał im *Marsyliankę* [*La Marseillaise*]: [*Allons, enfants de la patrie*][b], rzucił wywijając knutem. Drużyna je-

[b] *Naprzód dzieci ojczyzny* – pierwsze słowa *Marsylianki* hymnu Francji.

go była bardzo liczna. Kuźma twierdził, że jest ich 74 sztuk. Kisiel udowadniał, że powinno być 76 sztuk. Trudno jest policzyć świnie, nawet czworonożne. Ostatecznie, wypędzając i wpędzając [trzodę] do seraju[a], doliczył się 78 sztuk. Aby więc rachunek się zgadzał, zakatrupiliśmy na stepie w jedną niedzielę jednego, w drugą niedzielę drugiego podświnka, opiekli w słomie i spożyli. Na stepie miał Kisiel cztery dziesięciny bakszy, gdzie rosły kawony, dynie, kukurydza i słoneczniki. Czasem Baba, gdy była w dobrym usposobieniu, obdarowywała nas kawonami i dyniami. Wyrosłe pod kaukaskim niebem, dojrzałe, smakowały nam bardzo. Dojrzały czerwony kawon skrzył się jak zmarzły śnieg, nawet przy 40°C [owoce] były chłodne i rozpływały się w ustach, [a] dynie miały smak najlepszych grusz.

[a] Tu żartobliwie: pałac sułtana na Wschodzie.

Raz, w niedzielę, wybraliśmy się na bakszę, ile kto potrafi zjeść kawonów, wielkości ludzkiej głowy. Do zawodów stanęło nas czterech. Po zjedzeniu dwu kawonów, dwóch zrezygnowało, trzeci zjadł 3,5 kawona, Dziewoński, spożywszy cztery, został ogłoszony królem bakszy. W drodze powrotnej potknął się i upadł. Tak dokładnie był obciążony kawonami, że o własnych siłach nie mógł się podnieść. My zaś nie mogliśmy się pochylić. Dopiero gdy się w nim kawony uleżały i przefiltrowały, poszliśmy do baraku.

Do domu mieszkalnego nie zachodziliśmy. Raz tylko pańskie progi przekroczył Adam Nadorożny. Zachorował, donieśliśmy Babie, że Adam naprawdę chory, wezwała go do domu. W sieni kazała mu zdjąć buty (w sieni było klepisko), by nie powalał podłogi. Jak później twierdził, podłoga w Kisielowym pokoju była brudniejsza od jego murarskiego szaflika. W pokoju była ładna tylko ikona, reszta gratów: „Ta na Łyczakowie przekupki mają lepsze".

Adamowi postawiono bańki, ale to jakoś nie od razu pomogło. Na drugi dzień Baba przyszła do nas, rozłożyła bezradnie ręce i orzekła „Adam dużo bolny, bańki mu postawiliśmy, herbatą z samowaru napoiliśmy, a on chory, źle z nim". Adam jednak wyzdrowiał. Warunki dla rolnictwa były tam wymarzone, pyszny czarnoziem, na trzy łokcie głęboki, rzadkie opady atmosferyczne sprzyjały uprawie zbóż, lekkie zimy pozwalały nie budować stajen. 300 Kisielowych byków nie widziało strzechy nad swymi rogami, dniem i nocą pasły się na stepie; zimę spędzały w ogrodzeniu, którego ścianki były ułożone z nawozu. Zboża omłóciliśmy w lato 1915 r. 36 tys. pudów pszenicy, 9 tys. pudów jęczmienia (1 pud = 16 kilogramów) i kilka tys. pudów owsa[a].

[a] Jedna z większych rosyjskich miar masy. 1 pud = 16,38 kg.

Ze słomy układało się sterty wielkości dużych kościołów, w razie potrzeby dojeżdżało się tam, by nabrać na drabiniasty wóz słomy na opał. Raz zajechaliśmy do zeszłorocznej sterty, Kuźma kazał nam brać od dołu sterty, a nie wychodzić na wierzch. Wojtyła stanął pod stertą, my zaś, chcąc sobie ulżyć, nie skubaliśmy od dołu, tylko wspinaliśmy się na stertę z wielkim hałasem, bijąc widłami w słomę, by zrzucić [ją] z góry na wóz. Gdy wyszliśmy do połowy wysokości, zobaczyliśmy, że Wojtyła ucieka, ile tylko woły wyskoczyć mogą. Okazało się, że na każdej starej stercie mają siedliska całe rodziny wężów, które tu polują na myszy i jaszczurki. Gdyśmy więc wspinali się z hałasem na stertę, zestraszyliśmy je i one spadały jak sznury (wyrażenie Wojtyły) na wóz. W sąsiedztwie weszła dziewczyna na stertę, by zwalić słomy, i nie powróciła. Żmije ją zagryzły.

Myszy, zielonych jaszczurek, węży jest na stepie kaukaskim niewiarygodnie duża ilość. Szczęściem, dużo jest również rozmaitych orlików, które je łowią. Ładnie wygląda

orlik unoszący się z wężem. Wznosi się wysoko i opuszcza zdobycz na ziemię. Nim wąż opamięta się po upadku, już siedzi na nim orlik i rozrywa w kawały. Orły stepowe zwracają tyle uwagi na orzących, ile czynią to nasze wrony. Na stepie zobaczyć można i zająca. Poluje się tu na nie w ten sposób, że jedzie się na koniu za nim tak długo, aż się go dopędzi, a wówczas uderza się go nahajem, zakończonym gałką ołowianą. Nasz chudy, górski zając może by klucząc uszedł, [ale ten] spasiony, stepowy, pada zawsze ofiarą.

Za bajorem, w najbliższym sąsiedztwie Kisiela, była kolonia Niemców ewangelików. Po ukończonych omłotach wynajął nas Kisiel wraz z maszyną Niemcom, biorąc po rublu z ryja, nam zaś płacił po 15 kopiejek[a]. Robotę tam mieliśmy wesołą, Niemcy odnosili się do nas jak do sojuszników. Mieli oni piękne domy, kryte blachą, mieszkania kilkupokojowe, ładnie lecz pretensjonalnie umeblowane. Domy, stajnie i seraje budowali z surówki, którą wyrabiali w następujący sposób. Wykopywali głęboki dół, aż kończył się czarnoziem, a zaczynała glina, tę zwilżali wodą, mieszali z pociętą słomą i depcząc wyrabiali ciasto, które następnie ubijali w formy wielkości naszych czterech cegieł. Po wysuszeniu można było budować dom; był on suchy, ciepły, nie znosił zaciekania wody.

[a] 100 kopiejek = 1 rubel.

Niemcy ci raczyli nas miodem, a raczej syropem, sporządzonym z kawonów, własnym winem, konfiturami z dyń i tym podobnymi kulinarnymi zapasami, o których prawdziwie ruski człowiek nawet nie pomyślał. Powróciliśmy po ukończeniu młocki do Kisiela, ponieważ jednak prace ukończyły się, Kisiel postanowił kilku nas oddalić do obozu jeńców w Stawropolu. Oddał naturalnie największych „musorów". Dziewońskiego, mnie, Richtera, Sejmeja, Staneckie-

go i kilku Czechów, w tej liczbie i Burkę, obu Adamów. Pozostawił Albina Bulika (krawca), pasowanego na pastucha; Szmyda, który w międzyczasie zaawansował na karmiciela byków; i Wojtyłę, będącego prawą ręką leworęcznego Kisiela. Stanęliśmy znów na podwórzu, zawiesili na sobie sakwy i zaśpiewaliśmy *Posępną pobudkę*, ucałowaliśmy się, jakoś markotno powsiadaliśmy na wóz, udając się na dalszą tułaczkę.

W Stawropolu zamknięto nas w baraku, skąd po jednemu wybierali jeńców chłopi. Nam kilku nie uśmiechał się powrót do „Kisieli", zresztą i ochotnych chłopów nie było zbyt wielu. Richtera zabrał jakiś brodacz, na zapewnienie, że uczył się na popa. W sam raz dla mnie, mówił, mam w domu skaranie boskie, dwie synowe, trzy córki, ty będziesz spokojny, na popa przecież idziesz. Chociaż (tu się zamyślił), i popy „hadiuki"[a]. Dziewońskiego uwiozła jakaś rozłożysta sołdatka, Staneckiego dla odmiany ranny przybyły z frontu żołnierz. „Ja żołnierz, ty żołnierz, car mi nie dopomoże. Razem będziemy pracować i razem jeść". Jemu też początkowo najlepiej się wiodło, żołnierza jednak powołano powrotnie na front, Stanecki służył jeszcze jakiś czas w Dubowce[204], lecz gryzła go chandra, w 1917 r. zastrzelił się. Pierwszy zawitał z powrotem elegancki i spokojny Kaziu. Z brodaczem i jego pokwękującą żoną żył w najprzykładniejszej zgodzie. „Sokolice" chciały go jednak rozerwać, ocalał tylko dlatego, że jedna strzegła drugiej, a wszystkie strzegły Kazia. Wiadomo, na popa idzie, to płaci tak u prawosławnych wyznawczyń, jak i u wyznawczyń rzymskiego kościoła.

Po kilkunastu miesiącach wtopaczył się do maneżu, gdzie wówczas mieszkaliśmy, jakiś kacap w rozwianym tołubie. „Zdrawstwujtie riebiata". „Zdorowo ziemlak"[b] – odpowiedzieliśmy. „Kogo szukacie!" Okazało się, że to towarzysz

[a] Zapewne hajduki, w znaczeniu negatywnym.

[b] *Здравствуйте ребята. Здорово земляк* (ros.) Dzień dobry dzieci. Witaj rodaku. Zdorowo – przywitanie: bądź zdrów. Ziemlak – rodak, ziomek.

nasz z frontu i niewoli, Dziewoński, mówił do nas łamanym rusko-polskim językiem. Przywiózł nam w podarunku wiadro smalcu. Wstydził się, że kaleczy język; od rozejścia się z nami nie przemówił do nikogo słowa po polsku.

Z baraku zabrał nas przedstawiciel Grodzkiej Uprawy (Magistrat Miasta), który wówczas odczuł brak robotnika i zaczął tworzyć własne robotnicze kadry. Było to nasze szczęście. Uprawy były na terenie ówczesnej Rosji demokratyczne i postępowe, podczas gdy Ziemstwo było konserwatywno-reakcyjne. Zamieszkaliśmy w maneżu, gdzie była ujeżdżalnia koni (przy ulicy Olgińskiej). Każdym rankiem formowano nas w dwuszereg i posyłano na najrozmaitsze prace. W pierwszy dzień zaproszono nas do zamiatania głównej ulicy. Nie zamiatałem, jako zwodny. Stałem z boku i tłumaczyłem polecenia dziesiętnika. Pracę zamiatania zorganizował artylerzysta przemyski, inżynier z Budapesztu Tantmann. Klął, aż furczało, utworzył z drużyny Franca Józefa tebański klin, sam stanął na jego ostrzu, machał „piórem" na lewo i prawo. Prawe jego skrzydło podmiatało na prawo, lewe ramię na lewo. Robota szła żywa. Tantmann cieszył się ze zorganizowania pracy, jak gdyby komukolwiek w Stawropolu na pracy zależało. Na drugi dzień posłano nas do zgarniania błota, to znów do noszenia węgla. Rola stojaka nie przypadała mi do przekonania, stać nad kimś z założonymi rękoma bardziej męczy, aniżeli sama praca. Poszedłem z partią przeznaczoną do rąbania drzewa i zacząłem pracować.

Dziesiętnik nie mógł mego postępku zrozumieć; otwarcie w kancelarii zakwestionował moją poczytalność. Nie wierzył, że jestem nauczycielem, podoficerem, omal zwątpił, czy w ogóle jestem człowiekiem. Zawołano mnie przed oblicze samego agronoma grodzkiego Grohmana (znów Niemca).

Zapytał mnie, jakiej jestem narodowości, jakimi władam językami, dlaczego nie chcę być zwodnym i dlaczego chcę pracować! Odpowiedziałem z dużą dozą ironii. Ponieważ jednak nie mogłem wyjęzyczyć się po rosyjsku, odpowiedziałem agronomowi po niemiecku. Wyszedłem. Po niejakim dopiero czasie dowiedziałem się, że uznano mnie wówczas za poczytalnego, aczkolwiek trochę upośledzonego na umyśle. Po tym incydencie zacząłem pracować w Roszczy (parku miejskim), której dyrektorem był Czech, Nowak, niezwykle miły człowiek

Początkowo zamiataliśmy aleje, kopali rowy, wywozili nawóz z inspektów, słowem, byliśmy za popychadła. Całą zimę dla odmiany łupaliśmy pnie drzewne, które służyły do opalania szklarni i cieplarni. W maneżu[a] tymczasem uporządkowano, dano podłogę, powałę, wybudowano nary. My, Polacy, zajęliśmy bardzo dogodne miejsce, bo jeden kąt i ścianę pod oknami. Sejmej został bardzo ważną figurą, bo pisarzem kancelarii, do której szef rzadko zaglądał, na niczym się nie znał i niczego robić nie miał zamiaru. Sejmej był pracowity, bardzo uczciwy, a po rusku poprawniej pisał od wielu urzędników Uprawy. Pozwolono nam zorganizować jeniecki samorząd. Artielszczykiem (prowiantowym) został węgierski Żyd Akerman, kucharzem siedmiogrodzki Rumun Marko. Zarządzającym był Bazyli Bazilewicz Mochryn, człowiek szczere złoto. Głównym zarządzającym był Osetyniec, technik rolniczy Aleksander Arseniewicz Sokołow. Prawdziwie pierwotna natura, raz dobry, innym razem niepoczytalny; albo odnosił się do nas jak do równych sobie, [albo] znów wył, że należy nas siec rózgami. Szczęściem, obóz jeniecki należał znów do kompetencji członka Uprawy, innego Sokołowa, Karp Andrejewicza,

[a] *Maneggio* (włos.) ujeżdżalnia koni.

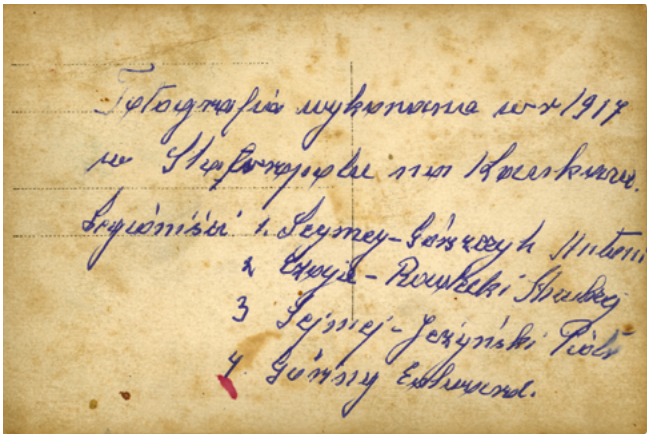
Fotografia wykonana w r. 1917
w Stawropolu nad Kaukazem.
Leżą od lewej: 1. Seymey – Górszczyk Antoni
2. Czoyl – Rozwadzki Stanisław
3. Seymey – Jeżyński Piotr
4. Górszczyk Antoni.

Antoni Górszczyk (pierwszy z prawej) z kolegami jeńcami
oraz nazwiska jeńców – kolegów A. Górszczyka –
na odwrocie fotografii, Stawropol 1917 r. Zb. R.

Europejczyka w każdym calu. Ponumerowano nas według kolejności zaangażowania, przez jakiś więc czas nosiłem blachę z wytłoczoną ósemką.

Kościół katolicki był na sąsiedniej ulicy Woroncowskiej. W niedzielę zachodziło nas tam trzech. Podpieraliśmy tylną ścianę i patrzeliśmy na rodaków. Ci zaś mieli ważniejsze troski, aniżeli zwrócenie uwagi na stęsknionych słowa polskiego Austriaków; zresztą, wychowani pod opieką Ochrany[205], obawiali się zbliżyć do nas. Zimą czytałem dużo książek, które pożyczałem od swego szefa. Były to dzieła traktujące o ogrodnictwie ozdobnym, pisane w niemieckim i czeskim języku. Wielu wyrażeń technicznych nie rozumiałem, mimo to z nudów lekturze tej poświęcałem co wieczór kilka godzin.

Polacy stawropolscy (pod auspicjami gen. armi rosyjskiej Krzyżanowskiego) urządzili nam wieczerzę wigilijną. Otrzymali pozwolenie z policji na udział jeńców Polaków. Dla Rosjan katolik był identyczny z Polakiem i odwrotnie, zebrali więc wszystkich katolików jeńców w liczbie kilkuset i zaprowadzili ich do Domu Polskiego.

Polonia nie była przygotowana na taki najazd i wieczór wigilijny nie był tak uroczysty, jak to Polonia zamierzała urządzić. W tym samym czasie napływały do Stawropola fale wygnańców, które tępa biurokracja rosyjska rzuciła na tułaczkę. Dowódcy armii rosyjskiej sądzili, że technika wojny od czasów Napoleona nie uległa zmianie, ewakuowali całe masy ludności polskiej ze złośliwą bezmyślnością. Polacy stawropolscy robili, co tylko było w ich mocy, aby ulżyć tym najbiedniejszym, a przede wszystkim dzieciom. Stworzyli Komitet Pomocy Ofiarom Wojny[206], ochronkę i szkółkę dla dzieci. W ogóle całe życie polskie w Rosji koncentrowało się w jedynie dozwolonym miejscu: w kościele i Towarzystwie

Dobroczynności. Kościół był ładny, w bazylikowym stylu. Przy szkole była biblioteka, która miała nowości sprzed 20 lat. Niejedna książka mogła być nawet ozdobą poważnej biblioteki, ale jako unikat. Jako nowość podawano nam dzieła, które my przymusowo, jako klasyczne, musieliśmy przerabiać do matury. Ducha Polonii nie mogliśmy zrozumieć i wzajemnie my byliśmy dla nich niezrozumiali. Były to niedobitki [powstania] 1863 r., ewentualnie ich rodziny. Byli także tędzy ludzie, którzy w ramach ówczesnego Królestwa znaleźć dla siebie miejsca nie mogli, było także sporo ptaków niebieskich, które tylko tu, na żyznym gruncie Rosji, mogły żerować. Tych jednakowoż trzymała Polonia w należytej odległości, a i oni, jako karierowicze, sprawami polskimi głowy sobie nie zaprzątali.

Mentalność panowała taka jak u nas po zniesieniu pańszczyzny. Kultura była właściwa sferom ziemiańskim krajów położonych za Niemnem. Omal, że nie pytano się, kto kogo rodzi. My dla nich byliśmy ludźmi niskiej kondycji, jakobinami albo co gorsza socjalistami. Byliśmy zresztą żołnierzami, a w Rosji żołnierz nie miał praw człowieka. Na bramie Roszczy był jeszcze w 1915 r. napis: „Sobak wwodit wospreszczajetsia, sałdatam wchod wospreszczon" (psów nie wolno wprowadzać, żołnierzom wejście wzbronione)[207]. Cóż więc mogło być między nami wspólnego? O nawiązaniu jakiegokolwiek kontaktu z rodzinami rosyjskimi nie mogło być mowy, byliśmy oficjalnymi wrogami cara, wiary i Ojczyzny. Niejeden może i radby był z nami pogawędzić, ale się obawiał. Cierpiałem na ból zęba, poszedłem do dentysty, okazało się, że to była kobieta, prawdopodobnie Żydówka.

W poczekalni zdumienie, austryjskij sołdat. Ponieważ zapanowało kłopotliwe dla mnie milczenie, zacząłem prze-

glądać tygodniki. Były ruskie i francuskie, przeglądałem te ostatnie ze względu na wyższą technikę graficzną. Jakaś matrona w przedpotopowej salopce rozpoczęła kowersację, władałem wówczas bardzo słabo ruskim językiem, ale jakoś to szło. Gdy przyszła moja kolejka, odstąpiłem ją z ukłonem jakiejś dla odmiany sędziwej matronie. Nie chciano znów wierzyć, że jestem szeregowym. Po kilku wizytach chciałem wyrównać należność, dentystka odmówiła przyjęcia, na zdecydowaną mą prośbę przyjęła zaledwie rubla.

W maneżu często odwiedzali nas przedstawiciele policji, a mianowicie szef Syczow, który miał czaszkę spotykaną jedynie u Lombrosa (typy zbrodnicze)[208]. Częściej jednak zachodził okołodoczny Nowicki (Polak). Nazywaliśmy go „Dzwonkiem", poruszał bowiem ręką, jak gdyby dzwonił i mówił nieodmiennie „sukinwy syny". Po wybuchu rewolucji okazało się, że z amatorstwa zajmował się katowskim rzemiosłem, ludzi wieszał na sznurze, jaki normalnie był przymocowany do wiadra, którym czerpało się w jego domu wodę. Jego również rewolucja zlikwidowała. W najbliższym naszym sąsiedztwie była szkoła prywatna Zabielskiego, dla dzieci ze sfer inteligencji; z drugiej [strony] szpital Czerwonego Krzyża. W tym ostatnim pełnili służbę Czesi i jeden Polak z Łodzi – Gering, który nam dużo dopomagał.

W maneżu była cała wieża Babel. Najwięcej było Węgrów i Niemców, następnie w kolejności co do liczby szli Rumuni, Czesi, Słowacy, Chorwaci, Kroaci, Polacy i Rusini. Z obcych było dwóch Francuzów z armii niemieckiej, kilkunastu Turków, Arabów i jeden Murzyn z Bagdadu. Gros Rusinów zostało po wsiach jako pożądani pracownicy, władali bowiem językiem ludności i znali prace na roli. Czesi po niejakimś czasie poznikali, stale węszyli za lekką pra-

cą, po kilku miesiącach pozostało ich jedynie kilku, reszta poszła do szpitali za sanitariuszy, za stróżów do kamienic (między tymi był Burko). Utworzyli [też] jakiś zespół muzykalny i grywali po restauracjach. Administracja rosyjska ich jedynie wyróżniała i ułatwiała im życie.

Raz wynikł spór, który ugruntował naszą pozycję w hierarchii jenieckiego obozu. Jakoś w niedzielę po obiedzie poróżniło się kilku Polaków z Węgrami, o co, nie pomnę. Drzemaliśmy na narach, gdy wszczęło się zamieszanie. Obudziliśmy się, przecieramy oczy, a tuż przed nami tłum rozgestykulowanych paprykarzy. Adam mały trzyma fachowo w rękach nóż, drugi Adam wywija knutem, dzierżąc go za cieńszy koniec. Sytuacja dla nas zaczyna być rozpaczliwa, jest nas kilkunastu; trzech Rusinów, którzy normalnie zgłaszali przynależność do naszej grupy, chyłkiem wyniosło się; naprzeciw nas stoi około półtorastu przeciwników.

Pomiędzy narami było wąskie przejście, to nas jedynie ratowało. Ci, którzy stali tuż naprzeciw Adamów dogadywali się z nimi względnie przyzwoicie, im bardziej jednak ku tyłowi, tym atmosfera była coraz gorętsza. Obudził się nareszcie Kujawa, ze Śląska Cieszyńskiego, poprawił bluzę, podciągnął spodnie. „Te hromy sakramenckie nie dają człekowi nawet w niedzielę zdrzemnąć" – [powiedział] – i nie pytając nawet o przyczynę sporu, chwycił jednego Węgra za bluzę, podniósł w górę i rzucił daleko w tył, na głowy tłoczących się; po nim pożeglował napowietrzną drogą drugi i trzeci. Wszczęła się wśród naszych przeciwników panika, wszyscy zaczęli uciekać, drzwi nie chciały ich jednak wypuścić wszystkich od razu, zaczął się więc wśród uciekających bój o drogę w pole. Kilkunastu potratowano, sporo miało pogniecione żebra. Właściwie nie wiedzieli, co się dzieje,

jakaś panika ogarnęła odważnych zwykle Węgrów, gdy zobaczyli fruwających nad sobą towarzyszy. Najmniej ucierpieli ci, co wszczęli kłótnię, mieli jedynie oberwane guziki u bluz. Po panicznej ucieczce Węgrów wyszli milcząc Niemcy i Rumuni, nie wiadomo kiedy ulotnili się Czesi i Słowacy. Ostatni, szwargocząc, odeszli na swych krzywych nogach Turcy. Dotrzymał nam placu jedynie Arab (nie miał menażki, więc mu jej stale pożyczaliśmy, poza tym grywał z Adamami w dwadzieścia jeden). Tymczasem od ulicy doleciał nas tentent kawalerii. Ktoś wyjrzał przez okno: sotnia kozaków przejechała Olgińską ulicą ostrym kłusem i wjechała na nasze podwórze. Ktoś, gdy się rozpoczęła awantura, prawdopodobnie nasz zarządzający Sokołow, zatelefonował do pogotowia wojskowego, że w menażu wybuchł bunt i jeńcy wzajemnie się mordują.

Położyliśmy się na narach, czekając, co wyniknie. Kozacy wpadli na wewnętrzne podwórze z wydobytą bronią, ustawili maszynowy karabin na stojących w grząskim błocie, wystraszonych i poturbowanych jeńców, zorientowali się jednak, że wróg musi być gdzieś ukryty. Kilkunastu spieszonych kozaków z pochylonymi karabinami zbliżyło się do sieni. „Wychadi" – zaczęli wołać. Nie ruszyliśmy się z nar. Po chwili wychyliły się z drzwi cztery lufy karabinów, a za nimi trochę wystraszone kozackie gęby. Przecież tu nikogo nie ma, opuścili karabiny i zaczęli się szwendać po naszych koszarach. Ostatecznie doszli do nas. „Wy kto!" „Polacy". „Wy biliście Węgrów". „Towarzysze, nas jest kilkunastu, a widzieliście, ilu stoi na polu! To Węgrów napadł jakiś szał, po prostu powściekali się i uciekając pognietli się i potratowali", objaśniał Kozakom uśmiechnięty, bardzo miły dziewiętnastoletni mały Adam. Kozaków zaczynała ta hi-

storia bawić. „Dlaczego wy jesteście tacy młodzi! Dlaczego macie inne czapki?" – pyta brodaty aseuł[a]. „Bo my jesteśmy austriaccy kozacy". „To tak bracie mów, a nie bresz o wściekliźnie, pobiliście ich rzetelnie. Kozak czy austriacki czy ruski zawsze jednaki, bije, kto mu zawadza. Cóż chłopcy, chyba zakurzymy" – zwrócił się do nas – „zakurzymy". Kozacy pokładli karabiny na narach, zaczęli drzeć arkusze bibuły, sypać machorkę, nasi częstowali ich papierosami. Pogwarka szła w najlepsze, a znów z ostrożnościami weszło 20 Kozaków i kilku Węgrów. Kozacy prędko się ze sobą porozumieli, wybuchając co chwilę iście homeryckim śmiechem i poklepując nas z oznakami sympatii po plecach. Węgrzy skamleli jak obite szczeniaki, próbując nas obwiniać. Znali jednak zaledwie kilkadziesiąt ruskich słów, podczas gdy kilku z nas biegle mówiło po rusku. „Pan, Polak bij! Pan Adam nie charoszyj, Madziar charoszyj", brzęczało nam koło uszu, i wnet się to i kozakom znudziło.

[a] *Asauł* (ukr.) oficer kozacki.

Zakurka się skończyła, wyszliśmy z kozakami na podwórze. Asauł kazał wszystkim stanąć w dwuszeregu (my staliśmy z boku, gwarząc z kozakami). Stało więc bractwo w czarnym błocie po kostki, słuchało przemówienia asauła, że mają być spokojni, z kozakami (to jest niby z nami) im nie wolno zadzierać, bo (tu wykonał wiele mówiący gest knutem) drugi raz im to na sucho nie ujdzie. Po 50 knutów dostanie się na jeden ryj, obiecywał, machając Węgrom nahajem popod nos. Po tym iście Salomonowym wyroku, pożegnał się z nami, dosiedli koni i śmiejąc się odjechali. Weszliśmy do pustego maneżu. Arab nie posiadał się z radości. Pierwsi milcząc weszli gromadnie Niemcy, za nimi Czesi i inni; wreszcie chyłkiem, po jednemu, koło ściany, wsunęli się Węgrzy. Po chwili przyszedł do nas Koisz, sympatycz-

ny Węgier, który stale coś z Adamami cyganił, kręcił głową, mrucząc stale w kółko: „Nie charaszo, nie charaszo". Jeszcze błoto na węgierskich butach nie obeschło, Koisz, Arab i dwu Adamów rżnęło w oczko, aż hej!

W jakiś czas po tym zajściu pokazał Kujawa inną sztukę. Wziął pod jedno ramię stukilogramowy worek cukru, pod drugie drugi worek, i zaczął tańczyć. Życie w maneżu ciekło monotonnie, na dzień rozchodzili się wszyscy do pracy, wracali na obiad i znów spieszyli do zajęć, by wrócić wieczorem. Po wieczerzy jedni naprawiali bieliznę, inni wyrzynali ramk[i], kłócili się, grali w karty, większość siedziała na narach z opuszczonymi nogami i puszczała dymy z machorkowego tytoniu. Turcy siedzieli stale na ziemi w kucki[a], tworząc regularne kółko. Jeden z nich, położywszy dłonie na policzkach, zawodził jakąś niesamowicie piskliwą melodię lub opowiadał z południową gestykulacją. Czasem, gdy kogoś brała w swe posiadanie chandra za Ojczyzną, to owijał głowę płaszczem, wtulał twarz w łachmany służące za poduszkę i zapominał o menażu, Stawropolu, wojnie i widział, co pragnął zobaczyć.

[a] *W oryginale:* kuczki.

Tak upłynęła zima i wiosna. Gdy Rosjanom szło gorzej, wówczas gnębiono moralnie i jak można, nas, jeńców; było na froncie lepiej, to i [nam] było lepiej. Położenie na froncie było dla nas najczulszym barometrem.

Pracowałem stale w Roszczy, obecnie jako fachowy robotnik, miałem przydzielone dwie cieplarnie i pewną ilość inspektów. Uprawa posiadała duże obszary ziemi, które normalnie wydzierżawiała. Z wiosną 1916 r. postanowiła zakupić 100 koni i utworzyć własny park asemizacyjny[b] i obóz, który miał się zająć zwożeniem drzewa do miasta. Pojechaliśmy po te konie do Niezabilnej, odległej o 70 wiorst[209].

[b] Inseminacja: unasiennianie zwierząt.

Wybrałem sobie trzy konie, osiodłałem jednego i puściliśmy się w drogę.

Mały Adam wybrał sobie dwa ładne [ogiery], tymczasem już po paru kilometrach zauważył, że żywy do Stawropola nie dojedzie, i prosił mnie, byśmy się końmi pomieniali. Zgodziłem się, sądząc, że osiodłam jednego z nich. Niestety, nie dało się [tego] zrobić, bo popręgi były za krótkie. Siadłem na oklep, źrebiec był młody, wysoki, a co najgorsze wypasiony, trudno się było na nim utrzymać. Koń, rozdrażniony zmianą jeźdźca i siodłaniem, zaczął brykać. Jeździłem wprawdzie w młodości konno, ale nie z takimi figurami, jak czyniłem to na kaukaskim stepie. Koń prawdziwie oszalał, stawał dęba, przewracał się ze mną w tył, rzucał szczupakiem niespodziewanie w bok, lub stawał na przednich nogach, głowę zwieszał między nogi, a tyłem wierzgał. Ile razy byłem na ziemi, nie liczyłem, w każdym razie i koń i ja byliśmy zupełnie mokrzy. Po 20 kilometrach takiej jazdy, po którymś tam z rzędu upadku, nie byłem już w stanie wskoczyć na podnoszącego się konia, ale [i] samemu powstać. Konia zabrał huzar Kali, przepędził wściekłym galopem kilka kilometrów, mnie zaś wsadzono na jakąś chabetę, na której dowlokłem się do celu. Przez dwa tygodnie czułem w sobie każdą kosteczkę.

W tym czasie nadeszły nowe kosiarki i żniwiarki z USA. Przeznaczono mnie na kosiarkę, wybrałem już sam te same czarne ogiery, aby je ujeździć. Duży Adam wybrał parę siwych ogierów; Kujawa, Runderla, Folwarczny i Księżyk inne pary. Tak się jakoś złożyło, że w obozie naszym było tylko dwóch Czechów, jeden węgierski Cygan, reszta zaś Polacy. Konie miałem wspaniałe, kosiarki prawie że nie czuły, a im się szybciej jeździ, tym kosiarka lepiej tnie i nie zapy-

cha się. Do koni stale mówiłem. Tak przywykły do tego, że gdy później przeszły w ręce zawodowego woźnicy i ten potrącił jednego z nich, by się usunął na bok, spokojny zwykle koń kopnięciem przetrącił mu nogę.

Na stepie przeżyłem trzy piękne tygodnie. Ładnie wyglądają sianokosy, step jak okiem sięgnie, trawa wysoka i gęsta, czasem złotogłów[a] sterczy na wysokość dwu metrów. Gdy kosa podetnie go, powoli przechyla się na bok. Najlepiej kosi się po rosie i wieczorem. W niedzielę zrobiliśmy wycieczkę konno na Syngalewskie jezioro.

[a] Bylina z rodziny liliowatych, w Polsce w górskich lasach.

Wyjechaliśmy na przełęcz za Gruszowką i zdawało się nam, że tuż, tuż mamy cudownie modrą toń jeziora. Chcieliśmy galopem dojechać, wstrzymał nas stary Kozak. Było to złudzenie, jezioro leżało za dwoma pagórkami, jechaliśmy do niego przez bardzo bujne trawy, sięgające koniom po piersi, dwie godziny. Bezodpływowe to jezioro miało 8 kilometrów obwodu, wodę miało do tego stopnia słoną, że na brzegach nie rosła trawa. Gdy chcieliśmy się w nim wykąpać, kto miał odarty przez jazdę naskórek na nogach, ten w wodzie nie wytrzymał. Innym razem później, [bo] wiosną 1917 r., jechałem konno wczesnym rankiem przez las na Gruszowkę, wjechaliśmy na jakąś polanę tonącą dosłownie w tulipanach. Podłużna polana, obejmująca może ze 20 mórg, pokryta była tulipanami główka przy główce. Najwięcej było żółtych, trafiały się jednak czerwone i białe. Na każdym z kwiatów drżała rosa, żal mi było wjechać. Rosjanie wyśmiali mnie. Kwiaty sięgały koniom powyżej pęcin. Za nami została zdeptana droga. [Kiedy indziej] widziałem całe pagórki na Beszpahirze pokryte wczesną wiosną miliardami fiołków, tak że dosłownie całe góry były fioletowe. Wyglądało to nie do uwierzenia cudnie: fiolet ciemniejszy lub

jaśniejszy jak daleko okiem sięgnąć. Fiołki te były wprawdzie bez zapachu, ale podobnie cudnego widoku nie spodziewam się zobaczyć w życiu.

Pięknie wygląda step jedynie wiosną, latem pokrywają go bodiaki, piołun, osty najrozmaitsze i burian. Trawa spalona żarem słonecznym rudzieje, wiatr unosi tumany pyłu i nasion ostu, koniowi oblepiają się nogi i ogon nasionami łopuchu i najrozmaitszych chwastów. Gdy przez ten sam Beszpahir jechałem południem w lecie, to koń i ja dusiliśmy się pyłem, ociekali potem, a miałem wrażenie, że jestem w przedpieklu. Przy sianokosach na Gruszowce było sporo dziewcząt ruskich do grabienia siana, które w każdy prawie wieczór rozniecały ognisko i śpiewały pięknie smętne ukraińskie piosenki, czasem dla odmiany tańczyły lezginkę[a]. Gdzie tylko zeszło się kilkunastu Rosjan, tam można było utworzyć wielogłosowy chór, śliczne mają tenory i głębokie basy. Tej śpiewności ludzi wsi nie spotka się w żadnym kraju środkowej Europy (innych nie znam), nawet w osławionych Czechach. Ładne były chóry wojskowe, ale szablonowe i nie dorównywały jednak nigdy dorywczo zebranym zespołom wiejskim.

[a] Lezginka – tradycyjny, ludowy taniec kaukaski o żywym tempie, zwany też czeczenką.

Zastanawialiśmy się niejednokrotnie, co wpłynęło na ten stan rzeczy, czy może to, że w każdej cerkwi z braku organów stale śpiewa chór. Żadna z naszych grup jeńców nie próbowała zaśpiewać przy Rosjanach, czasem jedynie Węgrzy wykrzykiwali swe dzikie, z głębi Turkiestanu melodie. Na Gruszowce kosiliśmy siano, inni je grabili i kopili. Wiatr czasem przynosił nam gorący oddech od południa, zwykle jednak na otwartym stepie nie jest zbyt gorąco.

Zapomnieliśmy o wojnie i wszystkich jej ciemnych stronach, żyliśmy otaczającym nas światem, trawą stepową,

drzewami Gruszowki, końmi, codzienną pracą, i było nam dobrze. Odwołano mnie jednak od tej pracy, albowiem jeden z pomocników ogrodnika został powołany do wojska.

Otrzymałem jego miejsce, dwa pokoje, kuchnię, konia do wyjazdu i tyle pracy, że często nie miałem czasu zjeść obiadu. Dysponowałem robotnikami jeńcami. Dziesiętnikami byli nadal Kirpiczenko i Diadienko. Ten ostatni był to starszy, poważny człowiek. Zawsze miał jakiś uduchowiony wyraz twarzy, należał do sekty babtystów, gdzie był ponoć dobrym objaśniaczem Pisma Świętego. Nigdy nie zaklął, nigdy nie pogniewał się, zawsze pomagał innym. W ciągu kilku lat razem spędzonych nie usłyszałem nigdy, by wymówił jakiekolwiek lekkie lub przykre słowo. Gdy go już bardzo dojęło, spluwał i mruczał: „Bud' ty Bogom proklatyj" (Niech Bóg cię przeklnie). Z Diadienką żyliśmy zawsze bardzo dobrze. Do Roszczy należały trzy obiekty: właściwa Roszcza, Pawłowa dacza[a] (gdzie były szkółki drzew owocowych i ogród spacerowy dla przedmieścia Mamajka) i Bibortowa dacza, gdzie była szkółka drzew ozdobnych i ogród spacerowy dla tzw. vorsztatu[b].

Pomocnikiem ogrodnika na Bibertowej daczy był Sajenko, czarnoseciniec, chodzący w tołubie[210] lub długiej bekieszy[211], węszący zawsze i wszędzie wrogów ruskiego narodu, do których zaliczał złodziei, koniokradów, Polaków i Germanów (tych ostatnich od 1914 r.). Pomocnikiem na Pawłowej daczy był Iwanickij, którego matka była polskiego pochodzenia. Ten nie mógł przeboleć, że jeniec Austriak został pierwszym pomocnikiem i niejednokrotnie mi dogryzał. Udawałem, że nie rozumiem jego przycinków.

Miejsce otrzymałem po Polaku, Władysławie Miaskowskim, ogrodniku z Warszawy. Był to bardzo kulturalny, cho-

[a] W tekście przypis autora, tłumaczący, że dacza to posiadłość ziemska.

[b] *Vorstadt* (niem.) przedmieście.

ciaż i młody człowiek. Robotnicy ogólnie go lubili, szczególnie gdy się pogniewał. Czerwienił się wówczas, był wyraźnie zażenowany i wersalskim tonem, niespotykanym w Rosji, robił wymówki. On namówił mnie do nauki ogrodnictwa, mówiąc, że nauką zabiję sobie czas i myśli o domu. Gdy odjeżdżał do wojska, podarował mi Biblię, kto wie czy nie Wujka, pamiątkę po matce (ofiarowałem ją jednej rodzinie wygnańczej z Końskich).

Szef miał swą własną daczę, dobrze postawiony interes ogrodniczy i sklep kwiatowy w śródmieściu. Roszczą się zbyt wiele nie zajmował, zawsze mówił mi: „Róbcie jak chcecie, byle było dobrze". Roboty było dużo, stale zatrudnionych 8 pracowników, dochodzących dziewcząt od 4 do 12, jeńców takaż ilość, zależnie od sezonu, i kilku robotników Rosjan. Wiosną obsada Roszczy wynosiła przeszło 40 ludzi. Miasto dbało o swój park; roczny budżet Roszczy wynosił 80 tys. rubli, dużo wobec niskich płac robotników w Rosji.

Miasto było siedzibą guberni, której powierzchnia równała się obszarowi Czech. Miasto powstało z dawnej stanicy kozackiej, broniącej ludność przed napadami Czeczeńców i innych plemion Kaukazu. Zbudowane rozlegle, miało szerokie bulwary, które tylko na głównej ulicy były uporządkowane. Na reszcie bulwarów stały wozy, zsypywano [tam] śmiecie, walały się papiery, wałęsały się psy, a nierzadko świnie wyszukiwały pożywienia. Domy były jak gdyby dorywczo budowane. Oprócz kilkudziesięciu może domów, reszta była stawiana jak gdyby jedynie na krótki okres czasu. O żadnym stylu nie mogło być mowy, obok barokowego pałacyku stała rozwalająca się rudera. Ciemnozielone okna, drzwi i dachy raziły monotonią. Najsolidniej wyglądały domy budowane przed czterema

dziesiątkami lat, otoczone kamiennymi murami. Posiadały własne stajnie, seraje, wewnętrzne dziedzińce i stanowiły zamkniętą całość. Domy były budowane z wycinanych prostokątów kamienia. W Stawropolu i najbliższych jego okolicach były niejednokrotnie warstwy kamienia, późnego pochodzenia. Nie był to piaskowiec, ale i nie wapień, było to raczej coś pośredniego.

Był tak miękki, że dał się rąbać toporem na prostokąty. Czy był odporny na działanie atmosferyczne w stanie surowym, wątpię, ponieważ nie widziałem domu mającego więcej jak kilkadziesiąt lat. Sądzę, że takie budowle, otynkowane należycie, mogą stać wieki.

Najciekawszą i najbardziej interesującą częścią miasta były bazary. Na nich skupiało się całe życie miasta. Na bazarze panowała niepodzielnie Azja: śniadzi, ruchliwi Ormianie nadawali ton i wprowadzali ruch. Pers, Turek, Tatar siedział dostojnie przy swym towarze; ani nie zachwalał, ani nie starał się zwrócić na siebie uwagi. Tłumy niewiast przewalały się po bazarze, wodząc za wszystkim rozmarzonym wzrokiem, często można było spotkać kobiety z osłonioną czadorem twarzą. Można tu było dostać, co dusza zapragnie: owoce południowe i nasze, tytoń, wino, manufakturę, dywany, naczynia, mięso, wędliny, ryby, rzemienie, siodła, broń białą, perfumy, bakalie, gorący z rożna szaszłyk, herbatę i czarną kawę; można było kupić osła, wołu i żonę. Na bazarze wszystko było na sprzedaż.

W okolicy miasta były źródła, można tu było sadzić drzewa owocowe. Owoce były dorodne, szczególnie grusze, zapuszczające głęboko korzenie; nie cierpiały od suszy i obficie rodziły. Pod jabłoniami musiało się utrzymywać ziemię stale poruszaną, aby [za]trzymywała wilgoć. Wspaniale

szły wiśnie, dostosowane do stepowego klimatu i wymagające w glebie wapna. Średnio obradzały śliwy węgierki, ale miały wyborowy, słodki owoc. Najobficiej jednak rodziła odmiana śliw, tzw. ałycza, pod ciężarem owocu stale łamały się u niej gałęzie. Owoc ałyczy zawierał pewną goryczkę, do przeróbki się nie nadawał, musiało się go spożywać w stanie surowym. Najlepsze jednak były kawony i dynie, które tu sadziło się w polu, jak u nas ziemniaki. Ziemniaki natomiast przepadały, musiało się po nie jeździć aż nad Manycz[a], gdzie za worek pszenicy można było dostać worek ziemniaków. Ponieważ były drogie, jadło się je albo przypiekane na zwierzęcym tłuszczu, lub jako jarzynę, dodaną do ruskiego barszczu. Szanujący się Moskal jadł jak Zagłoba wszystko, byle dużo, dobrze i tłusto. Zabielany barszcz na pierwsze danie, a potem gęś, kura, indyk, baran czy też świnia – na wszystko się godził. Tuzin blinów polanych śmietaną, marnych kilkanaście kołdunów na dodatek, z pół litra kisielu na trawienie, to [był] obiad.

[a] Manycze – słone jezioro i rzeka o takiej nazwie, lewy dopływ Donu, na północ od Stawropola.

Na podwieczorek herbaty 5, 10, 15 lub u amatora 20 szklanek. Trza było jednak widzieć to czajopicie i jego rytuał. Kostka cukru, pocięta specjalnymi szczypcami na małe kawałeczki, które trzymało się pod językiem, wrzątek wylewany na spodek i z niego wychłeptywany, a później to wycieranie mokrego łba, tak długo, aż cały ręcznik był mokry. Kto tego nie widział, nie uwierzy, że można wypić 20 szklanek herbaty za jednym rozmachem. Taka kuracja herbaciana zastępowała łaźnię, aczkolwiek te były w każdym prawie większym domu. Nie było wsi, by w niej nie było kilkunastu lub kilkudziesięciu łaźni (bań), gdzie raz w tygodniu myła się i naparzała rozgrzaną parą cała rodzina, razem najczęściej, bez względu na wiek i płeć.

W mieście były duże łaźnie, osobne dla mężczyzn i kobiet, ale były w nich kabiny rodzinne, bardzo licznie odwiedzane. Dopóki byłem w obozie, chodziłem wraz z jeńcami do łaźni Pachałowa. Raz po umyciu się na ogólnej sali wchodzimy do drugiej, gdzie można się było poddawać działaniu pary. Na rozżarzone kamienie lał łaziebny wodę i ta zamieniała się na parę, czasem aż żarzącej białości; komu mało było tego, szedł po stopniach ku górze, gdzie panowała jeszcze wyższa temperatura. Tu można się było bić do woli brzozowymi miotełkami, celem pobudzenia krwi do krążenia, a nie odczuwało się żadnego bólu. Wchodzimy do parni, a tu w białej parze snują się jakieś szkielety z łańcuchami na rękach i nogach. Łańcuchy brzęczą, wlokąc się po cementowej podłodze. Na przegubach rąk i na nogach powyżej kostek strupy od bransolet. Jednym słowem, dantejskie piekło. Byli to katorżnicy, raz zakuci, a raczej zanitowani w kajdany; nosili je tak długo, na jak długo opiewał wyrok, chyba że wybawiła ich śmierć. Ta partia to byli kryminaliści, politycznych do łaźni nie puszczano, pomimo to wywarli na nas bardzo przygnębiające wrażenie.

W każdej gminie był areszt gminny (wołostny), coś na podobieństwo ochronki. W powiecie był areszt powiatowy, zaś w guberni gubernialne więzienie, to już była bardzo poważna instytucja. Wyższe studia można było odebrać w państwowych tiurmach, a na wojaż jechało się w tym czasie etapem, aż do Narymskiego Kraju[212].

Karą, stosowaną szczególnie [wobec] studentów uniwersytetu, był tak zwany wilczy bilet. Kto go otrzymał, nie mógł w jednej miejscowości zagrzać dłużej jak 24 godziny, musiał iść dalej, meldować się na policji i znów iść dalej, i tak bez końca. O zarobieniu czegokolwiek nie mogło być

mowy, posiadacz wilczego biletu mógł pracować tylko kilka godzin. Dostać się do tiurmy było niezwykle łatwo. Aparat państwowy dysponował tajną i jawną policją, prowokatorami, poważną rolę grały tu, mile widziane, donosy. Policja miała prawo (kaduka) posłać każdego obywatela administracyjnym rozporządzeniem etapem np. do Tobolska. Nim ofiara tam doszła, idąc pieszo od etapu do etapu, upływały te trzy miesiące, wracała więc koleją do domu. Za kilka dni wysyłano dla odmiany do Irkucka. Tak igrano w Stawropolu z wielu bardzo wartościowymi ludźmi, m.in. dr. Krasnowym, aż nareszcie w 1917 r. doigrano się boleśnie, ofiary wzięły swych opraców na warsztat. Zagrano zwykłą od zarania Rusi arię, podkładając tylko inny tekst.

Szkół natomiast nie było nadmiaru. Do maneżu, czasem do Roszczy, przychodzili zafrasowani chłopi lub małomieszczanie, prosząc o napisanie adresu do syna w Austrii lub Germanii; w toku pogawędki pokazywało się, że obywatel wielkiej Rosji nie umie pisać i prosi o napisanie listu. Pisało się więc, kto mu dziękuje za pokłony, która krowa się ocieliła, kto się urodził, kto umarł, kto zginął, i znów pokłony i pokłony. Gdy otrzymywaliśmy pierwszy raz wypłatę, na 365 jeńców nie umiało się podpisać trzech Rumunów. Agronom kręcił głową na taki stan rzeczy, członek Uprawy Krasnow odpowiedział, że z ruskimi jeńcami w Austrii będzie może niezupełnie tak, ale podobnie. Na wyrażone przez agronoma powątpiewanie, odrzekł: „Ależ na pewno, trzech podpisze, a 362 nie – to cyfry właśnie będą podobne".

W Stawropolu były gimnazja męskie i żeńskie, młodzieży po parku snuło się sporo, widywałem ją w każdej porze dnia i nocy (do obowiązków mych należało od czasu do czasu kontrolować stróżów w parku i na bramach). Z książką

ich niezwykle rzadko widywałem, często natomiast w roześmianym gronie gimnazjalistek. Co najważniejsze, profesorzy uważali ten stan za całkiem naturalny i jak gdyby dawali na to swe ojcowskie *placet*[a].

Gdy zwróciłem uwagę jednemu z prof[esorów] żeńskiego gimnazjum na zachowanie się młodzieży w parku publicznym, ten śmiejąc się, odrzekł: „Anton Władysławowicz, tu nie Europa, tu Rosja". Widywałem ich bardzo często [we] wcale niedwuznacznej sytuacji w dolnym parku, gdzie światła gaszono o godz[inie] 11.00 w nocy. Czasem rozmawialiśmy, byli obyci, gładcy, uczyć się języków nie mieli zamiaru. „Z przyjaciółmi Francuzami i tak się dogadamy, języka wrogów (Niemców) absolutnie uczyć się nie myślimy". O tym, by którykolwiek z nich szedł bić się dobrowolnie za Rosję nikomu ani się nie śniło, parskali śmiechem. Przy swych 16 czy też 17 latach byli bardziej przeżyci niż my, mający po dwadzieścia kilka lat i front za sobą. Sejmej kiwał nad nimi głową, my w tym wieku, mawiał, śpiewaliśmy: „Hańba temu, który za młodu, lęka się stanąć choćby na szafocie". Oni wybrali łatwiejszą ścieżkę, może dlatego, że czekała ich beznadziejna przyszłość, wówczas jednak nikt jeszcze nie zdawał sobie [z tego] sprawy.

Ze studentami uniwersytetu nie spotykaliśmy się, przebywali w Moskwie, Pitrze lub Charkowie. Całe społeczeństwo rosyjskie było zbiurokratyzowane, marzeniem każdego była czapka z bączkiem i czyn (ranga)[213]. Wszyscy byli umundurowani; dopiero w mundurze było się człowiekiem, by zaś się nie pomylić, każda dykasteria[b] urzędnicza miała inne wszywki, inne otoki i odznaki. Na dystans można było poznać, gdzie kto pracuje, i jaki ma czyn. Nawet nauczyciele szkół powszechnych średnich byli umundurowa-

[a] Zgoda, dosłownie: podoba się (łac.).

[b] Sąd, władza, oddział sądu, urzędu.

ni. Obowiązywał ich czarny kolor tużurka, czarna furażerka, odznaki z jakimiś złoconymi palmami i peleryna, zapinana na złocone spinki, takie jakie są przy kościelnych kapach. Brakowało tylko, by każdy obywatel miał na czole numer i serię. Mania rang szła tak daleko, że każdy ważniejszy osobnik miał rangę. Burmistrz miasta był generałem, jakkolwiek w armii nigdy nie służył; agronom stacji doświadczalnej był pułkownikiem. Człowiek bez czynu był po prostu nieszczęsnym nieszczęśliwcem.

Społeczeństwo rosyjskie, o ile się mogłem zorientować, składało się z dwu [...] różnych warstw. Szczyty – wykształcone, kulturalnie bardzo wysoko stojące, wyrafinowane, pozujące w gruncie rzeczy – pokrywały tylko ruską naturę jakimś internacjonalnym lakierem blagi i pseudoliberalizmu. Doły [społeczne] – ciemne, zacofane, zahukane płaszczyły się przed władzą, nie interesowały się niczym, co mogło zaprowadzić na Sybir. Chłop rosyjski nie był nigdy tym, czym był nasz polski chłop. Nie miał własnej ziemi, nie był uczuciowo z nią związany. On był tylko użytkow[nikiem]. Cały obszar należał do gromady, i co kilka, zwykle pięć lat, podlegał podziałowi. Dzielono wówczas [areał] przez ilość dusz męskich i na okres pięciu lat przydzielano np. rodzinie mającej pięciu mężczyzn 5 x po 3 dziesięciny (15 dziesięcin). Rodziny, które miały więcej synów otrzymywały więcej ziemi, na córki nie otrzymywało się nic. Prywatną własnością był tylko dom i skrawek ogrodu, ziemia należała do obszczyny[214]. Nikt nie troszczył się o kulturę ziemi, walkę z chwastami, nawożenie (zbyteczne zresztą na stepach czarnomorskich). Chłop ruski eksploatował tylko ziemię i porzucał ją bez żalu, wówczas gdy chłop polski, a szczególnie podhalański, był dynastą związanym z ziemią organicznie

i uczuciowo. Dlatego też włościanie rosyjscy z taką łatwością przenosili się na Kaukaz i Sybir, poszukując lepszych warunków bytu. Osobną kategorię stanowili jednodworcy i chłopi osadzeni na własnej ziemi za Stołypina, sobstwiennicy[a], ale tych była nieliczna grupa[215].

[a] *Sobstwiennik* (ros.) właściciel.

Mieszczaństwo było nieliczne – choć Rosja była rolnicza, składała się z narodowo najrozmaitszych elementów – nieuspołecznione, bogaciło się i używało dóbr doczesnych w niewybrednych formach. Żadnych wyższych aspiracji w masie swej nie objawiało.

Biurokracja to była zgraja inteligentnych nomadów, im dalej od centrum państwa, a bliżej granic, tym mniejszej wartości moralnej, marząca o czynach, wzbogaceniu się i użyciu świata. Po nas, choć potop, było ogólną dewizą. Za dobrych swych czasów kradła, ile się dało i komu się dało. „Kazń nam wsiem matuszka karmilica"[b]. Kośćca moralnego nie miała żadnego. Groźna machina państwowa, łamiąca wszystko. Po rewolucji pokazało się, że przedstawia spoistość kupy piasku[216]. Wiatr rewolucji rozwiał ją po świecie, jak kupę jesiennych liści.

[b] *Казнь нам всем матушка кормилица* (ros.) Śmierć nam wszystkim matką opiekunką.

Był jeszcze uprzywilejowany stan kozaczy. Dońscy, kubańscy, orenburscy, sybirscy, zabajkalscy Kozacy podtrzymywali najsilniej „trzon", nie byli jednak zbyt liczni, nie powodziło się im wszystkim jednakowo. [Jeśli] osiadłym na czarnoziemiu dońcom i kubańcom powodziło się dobrze, to pozostali cierpieli niejednokrotnie większą biedę od zamożnego chłopa sybirskiego „starożyła". Kozak każdy służył wojskowo we własnym uniformie, na własnym koniu, który musiał parę setek kosztować. Służył dłużej, aniżeli inne rodzaje broni, i jakkolwiek nadział ziemi na duszę był w okręgach kozaczych większy, to jednak wyekwipowanie

kilku synów rujnowało zwykle rodzinę. Kozacy mieli bardzo silne tradycje wojenne, dużo mówiło się o przywiązaniu ich do [dynastii] Romanowych, mogli osiągać najwyższe dostojeństwa w państwie. Car właściwie rządził Rosją kozaczym knutem, dawał im więc dużo przywilejów. Stanu szlacheckiego we właściwym tego słowa znaczeniu na Kaukazie nie było. Byli tylko posiadacze dużych folwarków (ekonomic), niejednokrotnie liczących [po] kilkadziesiąt tysięcy dziesięcin. Z pochodzenia chłopi, lub nagrodzeni zrabowaną ziemią wojskowi, ziemianami nie byli. Kultura rolna ani duchowa z folwarków nie promieniowała. Kiedy siedział na nich chłop, to nie różnił się prawie niczym od otoczenia, chyba tylko większą chciwością i bezwzględnością, [z którą] powiększał jedynie obszar folwarku, dokupując ziemi. [Jeżeli] właścicielem był ekswojskowy, to on w ogóle na folwarku nie siedział, wydzierżawiał go lub rządził przez ekonomów, sam zaś [przebywał] w mieście.

Wyzysk służby i robotników folwarcznych był niewiarygodny. W tym stanie rzeczy nic dziwnego, że pomiędzy wsią a folwarkiem panowała z jednej strony nienawiść, z drugiej pogarda. Zdarzały się jednostki, które zajmowały się np. hodowlą owiec rasy karakułów, koni wojskowych; były to jednak unikaty. Praca fizyczna była w pogardzie u wszystkich, nawet u tych, którzy sami byli zmuszeni pracować. Białe rączki natomiast [stanowiły] najlepszą metrykę, tak jak później w innym państwie wielki paznokieć u małego palca[217].

Państwo opierało się na armii, a ta stała na froncie. Najlepsze i najwierniejsze pułki [stacjonowały] w stolicy. Siemionowcy zawsze musieli być pod ręką. Nadchodzili do kadr posiadacze białych biletów, pospolitego ruszenia i rekruci. Był ogólny brak uniformów, a co najważniejsze, broni. Bata-

liony marszowe od roku 1915 odchodziły na front wprawdzie umundurowane, ale bez broni, w okopach otrzymywali ją od zabitych[218]. Po mieście kursowały wieści o potwornych kradzieżach, które znajdowały potwierdzenie w monstren[a] procesach (Miasojedowa w Pitrze)[219]. Pomimo nadmiaru żywności, żołnierza karmiono marnie (szczy[b] i kasza), obchodzono się z nim jak za dobrych czasów generała Suworowa[220]. Dyscyplina zaczęła się rozluźniać, pałki poszły w ruch.

[a] *Monstre* (fr.) olbrzymi, ogromy.

[b] Szczi (ros.) *щи*, kapuśniak.

Widziałem raz w 1917 r. przed rewolucją taki obrazek z dziedzińca koszar rosyjskich. Do koszar za placem Piotra i Pawła (Pietropawłowskaja płoszczad) przylegały seraje, gdzie jeńcy rżnęli drzewo. Przez szpary desek można było dobrze obserwować zajęcia żołnierzy. Zajechałem tam po drzewo, znajomy mi z dawnej pracy dziasiętnik zawołał mnie do odchylonej deski, mówiąc: „Popatrzcie, Anton Władysławowicz, jak obchodzą się z naszym bratem". Na placu ćwiczeń stała w dwuszeregu kompania z brzozowymi prętami zamiast karabinów, wyprowadzono delikwenta, który miał obnażone plecy, ręce zaś przywiązane do karabinu. Żołnierz prowadził go za karabin wzdłuż dwuszeregu, a każdy żołnierz z dwuszeregu wymierzał mu jedno uderzenie w plecy. Po kilku uderzeniach, delikwent zaczął wołać, a następnie ryczeć. „Bratcy, radi Boha, bratcy pomiłujtie. Ludi, spasitie". (Bracia, na miłość boską zmiłujcie się, ludzie, ratujcie). Głos jednak słabł, słychać było jeszcze jęki, nieludzki skowyt, ale i to umilkło. Delikwent padł na ziemię. By jednak sprawiedliwości stało się zadość, polecono żołnierzowi z szeregu wziąć go na plecy i nieść wzdłuż szeregu, a pałki spadały znów rytmicznie na jego ociekające krwią, poszarpane ciało. By zaś żołnierze dobrze bili, za jednym szeregiem szedł oficer, za drugim feldfebel i znaczyli kre-

dą tych, co wymierzali słabe ciosy, [za co] otrzymali oni po skończonej egzekucji po 25 kijów. Czy żołnierza tego zakatowano na śmierć i za co wykonano egzekucję, nie wiem, rzucono ten łach ludzki na płaszcz i odniesiono do koszar.

Kto był świadkiem podobnych scen, ten nie dziwił się zbyt pastwieniu się żołnierzy nad oficerami podczas rewolucji. Najsłabszą stroną w armii rosyjskiej był brak jakiejkolwiek uczuciowej więzi pomiędzy oficerem a żołnierzem. Były to dwa obce sobie światy, najczęściej wrogie, a tylko niezwykle rzadko obojętne. Jakie walory przedstawiał korpus oficerski, nie wiem, zbyt mało miałem kontaku z jego przedstawicielami. Z frontu wynieśliśmy przeświadczenie, że rosyjski oficer jest o całe niebo lepszy od austriackiego, a subalterni[a] niewiele ustępują pruskim, u góry zdawało się nam, że panuje bezhołowie. Teraz zmieniliśmy to zdanie o tyle, że mieli oni dobrą tradycję wojskową, byli odważni, rycerscy, ale również byli oni niejednokrotnie nieutemperowani, a [ich] ogólne wykształcenie pozostawiało dużo do życzenia. (Ucz się, studentem będziesz, nie będziesz się uczył, oficerem zostaniesz, przysłowie rosyjskie).

[a] *Subaltern* (łac.) podwładny.

Wojna w społeczeństwie rosyjskim popularną nie była. Cele wojny dla mieszkańca Rosji były najzupełniej obce. O oswobodzeniu Rusi przykarpackiej ani o wolności cieśnin nikomu się tu nie rozchodziło. Widziałem raz na ulicy Woroncowskiej manifestację z okazji wzięcia Erzerumu[221]. Na czele szedł brodaty pop w bizantyjskiej kapie, za nim czterech gimnazjalistów niosło feretron[b] z portretem cara. Za nimi postępowało kilkudziesięciu ludzi: gimnazjalistów, gimnazjalistek, kobiet, czarnosecińców[222], kilku z tajnej policji i jeden umundurowany komisarz policji. Kilkanaście osób nuciło hymn *Boże caria chrani*[223]. Ruch na ulicy nawet na

[b] Przenośny ołtarzyk lub obraz noszony podczas procesji.

chwilę nie stanął, kto nie chciał zdjąć czapki, ustępował na bok, nikt nie zwracał na tę smętną procesję większej uwagi. Diadenko, pokazując mi ten orszak ręką, poinformował mnie: „Patrzcie, pop wybiera się na Turków, łykowaty on, ani na szaszłyk (pieczeń) nie nadaje się, gdzie on lezie!".

Może gdyby istniała opinia publiczna, to ta może by rozruszała społeczeństwo. W ówczesnych warunkach o wytworzeniu się opinii nie mogło być mowy. Prasa poruszała jedynie te problemy, które były dozwolone. Tuż przed rewolucją trwał zaciekły, akademicki spór, tak popularny w Rosji. Zagadnienie było nie byle jakiej doniosłości. Czasopismo „Nowoje Wriemia"[224] twierdziło, że powinno się pisać do władz: „Mam zaszczyt donieść" [...]. Inne dzienniki twierdziły natomiast, że przeciwnie, powinno się pisać: „Donieść mam zaszczyt". Ten pryncypialny spór trwał coś trzy miesiące, wypisano sporo atramentu, aż Bóg się zlitował, Rosję diabli wzięli, zagadnienie przestało być aktualne. Wspominam o tym sporze, bo on odzwierciedla, czym zajmowała się opinia publiczna z początkiem 1917 r.

Właściwie podstawą społeczeństwa jest rodzina, taki jest naród, jakie są jego podstawowe komórki. O rosyjskiej rodzinie mówiła popularna piosenka, co następuje:

„Atiec w Pietiersburgie, matka w Moskwie,
Syn na Sybirie, siestra w bardagie.
Rassija, Rassija ta job Twoju mat'
Biednaja, gorkaja, twoja uczast'!"[a]

Ciekawie rzeczywiście przedstawiały się rodziny w Rosji. Mój szef Nowak był Czechem, [jego] żona była Niemką, córka uważała się za Rosjankę. To mało. Czech był prawosławny, matka Niemka katoliczką, córka była członkinią reformowanego kościoła ewangelickiego. Trzy osoby, trzy

[a] Ojciec w Petersburgu, matka w Moskwie, syn na Syberii, siostra w burdelu. Rosja, Rosja – k...wa twoja mać, biedna, gorzka twoja dola (ros.).

narodowości, trzy wyznania. Nawiasem mówiąc, prawosławny uczęszczał do cerkwi w dni galowych nabożeństw, katoliczki ani razu w kościele nie widziałem, protestantka swą więź duchową z kościołem akcentowała jedynie przez wazony kwiatów, posyłane ewangelickiemu predykantowi[a]. Byłem raz gościem na uczcie weselnej. Wychodziła za mąż córka jednego z naszych dostawców. Średniomieszczańskie zamożne środowisko. Jakiś poważny kamienicznik i kupiec, kończąc mowę, pozdrawiał młodą parę słowami: „Z zakonnom brakom", co ostatecznie można by przetłumaczyć: „Z kościelnym ślubem". Uśmieszki wśród zgromadzonych. Później dowiedziałem się, że połowa poważnych par współbiesiadników, to ludzie żyjący „na wiarę". Przyznać trzeba, że wśród tych ostatnich było także sporo rodzin polskich, ze sfer rzemieślniczych. Co złożyło się na podobny stan rzeczy, czy mieszane małżeństwa, gdzie nie przestrzegano żadnej religii, czy upadek cerkwi i życia religijnego, czy też duch panujący w Rosji, trudno odgadnąć.

[a] Tu: kaznodzieja protestancki (łac.) *predicans*.

To przecież [tutaj] istniała oficjalna instytucja faworytów. Orłow[225] kosztował skarb państwa 15 mln rubli przed wojnami napoleońskimi. Inny faworyt otrzymał 40 tys. dusz i niezmierzone obszary na Ukrainie, na odczepne. Zostać wriemieńszczykiem[b] było marzeniem każdego przystojnego oficera. O Rasputinie[226] opowiadano sobie głośno, nie wymieniając tylko imienia „wysoko postawionej osoby". To wszystko nie mogło pozostać bez śladu. Naturalnie, nie można twierdzić, że każda rodzina żyła źle, [lecz] rodzina przeżywała już kryzys. Fakt pożycia „na wiarę" nikogo nie oburzał, nie dziwił, czasem trudno się było zorientować, która żona jest kościelna, a która „grażdańska" (obywatelska).

[b] Wriemienszczik (ros.) czasowo służący, faworyt.

O moralności rosyjskiej trudno mówić. Kradzież rządowego mienia nie uchodziła za nic zdrożnego, oburzano się jedynie jak ktoś był takim durniem, że nie umiał włożyć końców do wody i dał się złapać. Łapownik jechał na łapowniku, pijaństwo było rysem mile widzianym przez policję, zresztą cały budżet rosyjski był pijany, opierał się bowiem głównie na dochodach z monopolu wódczanego[227]. Głośno mówiło się, kto złodziej, mierzawiec[a] lub homoseksualista, lecz utrzymywano z nimi stosunki towarzyskie.

[a] *Мерзавец* (ros.) mierzawiec, nikczemnik, łotr.

Najpiękniejszą w Stawropolu stylową willę posiadała sympatia ogólnie znanego kupca, który przechwalał się pięknością willi i faworyt[y]. Willa była rzeczywiście bardzo gustowna, faworyta mniej; przechodziła już wówczas z opasu bekonowego w słoninowy. Gdy u Kisiela Albin żartobliwie zaśmiał się do Baby, aby przyszła do niego nocą, ta potarmosiła go, twierdząc, że mogłaby być jego babką, ale na drugi dzień przyniosła mu dwie koszule samego Kisiela. Na wsi stosunki przedstawiały się o wiele lepiej. Za kradzież karano, rozpasanie było bardzo duże i nikogo [nic] nie dziwiło. Rodzina jednak ze względów gospodarczych była trwała, żona była potrzebna tak samo jak konie i woły pociągowe. Utartym zwyczajem były spory o synowe pomiędzy synami a ojcami, którzy na mocy rosyjskich praw zwyczajowych rościli sobie prawa do używalności tychże. Zwykle jednak [zatargi] polubownie załatwiano, czasem jedynie dochodziła wieść o likwidowaniu sporu siekierą. Dziwne tu były pojęcia, [np.] mięsa królika nie jedzono, bo to nieczyste zwierzę; nie wolno było pogłaskać psa, bo ten był w jeszcze większym stopniu nieczysty, włóczyły się więc ich całe gromady i nikt się o nie nie troszczył; nie wolno było jeść mięsa gołębi, bo to ptak poświęcony Duchowi Świętemu. Ale to

nie przeszkadzało wszystkim podrostkom wsi wprawiać się w rzucaniu kamieniami, biorąc [psy i gołębie] za cel. Ogólną czcią cieszyli się obłąkani, zaś zdrowych na umyśle posyłano do kopalń nerczyńskich[a], by tam zmysły postradali.

[a] Nerczyńsk, nieopodal jeziora Bajkał, siedziba okręgu górniczego, miejsce zsyłek na katorgę. Wydobywano tam złoto, srebro i ołów.

Oficjalna cerkiew prawosławna nie wywierała żadnego wpływu dodatniego na społeczeństwo rosyjskie, a jeżeli wywierała, to jedynie ujemny. W środkowej ewentualnie zachodniej Europie kler z tych czy innych powodów niejednokrotnie zwalczano, tu jedynie nim pogardzano. Z dawnego przyzwyczajenia, wyniesionego z domu, odnosiłem się uprzejmie do przedstawicieli kleru, więc i prawosławnego, z którym z racji zajmowanego w Roszczy stanowiska miałem niejednokrotnie do czynienia. Kilku poważnych Rosjan, z którymi nawet nie żyłem bliżej, ostrzegło mnie przed tym, mówiąc, że albo zawrę znajomość z tiurmą, albo uczciwi ludzie odsuną się ode mnie[228]. Po jakiejś klęsce car posłał na front wóz kolejowy [pełen] obrazków treści religijnej. Nawet najstarsza baba pracująca w Roszczy kpiła z tej pomocy.

Był jednakże poważny odłam społeczeństwa ros[yjskiego], który szczerze wierzył i wiarę swą wcielał w życie. Ci jednak do oficjalnego kościoła nie należeli, byli to [członkowie] sekt, popularnie zwano ich „bogoiskatielami" (poszukującymi Boga). W Rosji było sporo sekt, na Kaukazie zetknąłem się z mołokanami, babtystami, chrześcijanami ewangelicznymi, starowierami i skopcami. Ponieważ czas w niewoli uważałem za stracony dla siebie, starałem się zawsze jak najwięcej ciekawych rzeczy zobaczyć, jak najwięcej ludzi poznać, i o ile to możliwe podglądnąć dodatnie i ujemne strony naszego najsilniejszego wroga – Rosji.

Dlatego też, gdzie tylko mogłem, wchodziłem i wyjeżdżałem, aby jak najwięcej się nauczyć. Wschód tym bar-

dziej mnie zaciekawił, że według głuchej famy, półgębkiem w domu szeptanej, mieliśmy gdzieś bardzo dawno jakiegoś mahometańskiego przodka, na co wskazywał i nasz rodowy przydomek Sejmej. Musiało to być dawno, bo już w 1685 r. góra Sejmejówka była w posiadaniu naszego ochrzczonego protoplasty, i o ile dziadek nasz gniewał się jeszcze na to wspomnienie, ojciec niechętnie słyszał o tym, to myśmy głośno przyznawali się do tej drugiej części naszego nazwiska. Z tej też racji, wkrótce po przybyciu do Stawropola, skierowałem się do minaretu. Zdjąłem w przedsionku buty, przykucnąłem na macie, dla uspokojenia sąsiadów mruczałem pod nosem Allah, Akbar, Rosulach. Oglądałem się po ścianach, nigdzie nic ciekawego nie można było zauważyć. Mułła w plugawej szacie nie przemawiał mi do przekonania, jak i jego wersety z Koranu, wykrzykiwane z wysokości minaretu. Nie mogłem wykrzesać ani jednej iskierki współczucia [dla] Allaha i jego proroka Mahometa. Widocznie ów protoplasta tak dokładnie w Polsce się wymendlizował, że nie pozostało po nim atawistycznych odruchów.

Z Akermanem chodziliśmy do żydowskiej bóżnicy, nic tam ciekawego nie było, oprócz ładnego chóru. Rozdawano obecnym rabim wałki pergaminu, ci zdejmowali z nich pokrowce, coś tam odczytali, zwijali je, i już było po całym przedstawieniu. Często zachodziliśmy do cerkwi, tu już było na co popatrzeć: same carskie wrota i cały kierdel świętych, uszeregowanych na frontowej ścianie, dawały możność dłuższej obserwacji. O ile publika była korpulentna i zabiegająca o sprawy doczesne, o tyle – widocznie prawem kontrastu – święci i święte pańskie byli wychudli i mieli na bizantyjską modłę uduchowione oblicza, a na obecnych spoglądali krzywym okiem. Aby ich jakoś ugłaskać, kupowali

obecni woskowe świeczki po 5 kopiejek i zapalali przed niektórymi świętymi. Ale i tu nie było sprawiedliwości: przed jednym cudotwórcą płonęły całe szeregi ogników, gdy tymczasem inny święty darmo pociągał nosem, woń spalonego wosku nie dolatywała go. Publika stała, czasem tylko małopolski Rusin modlił się klęcząc, czym wywoływał ogólne zaciekawienie, po kilku tygodniach i oni wyprostowali grzbiety.

Od czasu do czasu spoza carskich wrót wychodził grzywiaty duchowny i obiecywał, że teraz pomodli się za Mikołaja Mikołajewicza, carycę lub jakiegoś innego świętego panującego domu, ale nigdy się nie modlił, za to kadzenie było dokumentne i wielokrotne. Przejeżdżałem raz przez osadę skopców, było to jakoś latem, w niedzielę, przed wieczorem. Przed domami na ławkach siedziały nabrzmiałe, nieruchawe cielska, bez wyrazu, oczy jakieś zagasłe, nigdzie ruchu, dzieci bardzo mało, jakaś trupia atmosfera panowała tu niepodzielnie. I gdy w poprzedniej ruskiej wsi ulica była zalana spacerującymi, łuszczyny ze semiczek zaścielały grubo ziemię, harmoszki (harmonijki ręczne) ucinały wesoło, słychać było chichot i zawodzenie pieśni, to u skopców (sekta kastratów) ciszej było aniżeli na cmentarzu. (Cmentarz rosyjski nie jest smutny, pełno tu odwiedzających zmarłych i pogwarek kumoszek na mogiłkach).

Ciekawili mnie zawsze sekciarze, tym bardziej, że pomimo zgniłej atmosfery otaczającej ich zewsząd, żyli jak ewangeliczni chrześcijanie. Rozmawiałem niejednokrotnie na ten temat z Diadienką i najważniejszym ich predykantem[a], który sprzedawał na rogu ulicy gazety. Ciekawy ten człowiek był poprzednio wyższym urzędnikiem sądowym. Za religijne przekonania został usunięty, chwycił się sprzedaży dzienników, a w każdą niedzielę miewał ciekawe kaza-

[a] Od słowa predykat – orzeczenie o podmiocie, opisywanie właściwości lub relacji.

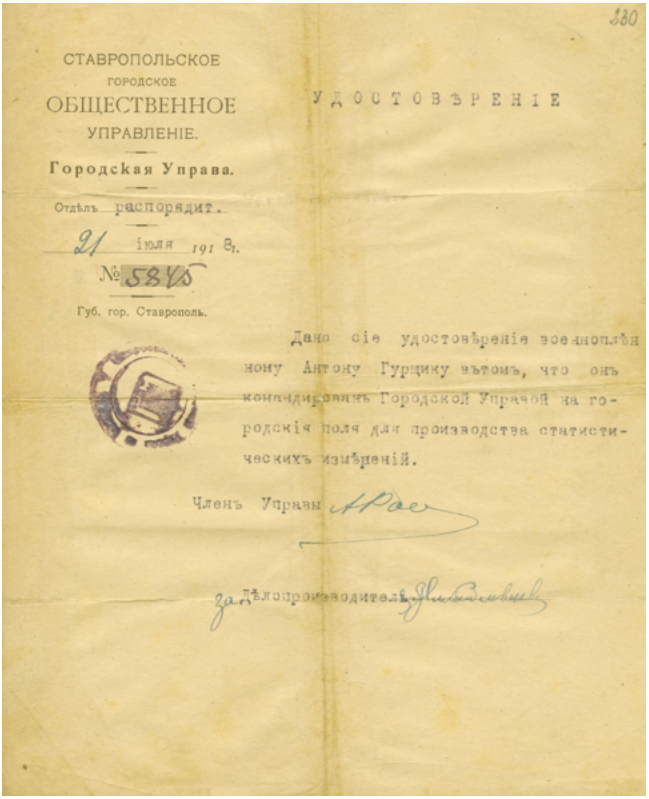

230

СТАВРОПОЛЬСКОЕ
ГОРОДСКОЕ
ОБЩЕСТВЕННОЕ
УПРАВЛЕНІЕ.

Городская Управа.

Отдѣлъ распорядит.

21 іюля 1918 г.

№ 5845

Губ. гор. Ставрополь.

УДОСТОВѢРЕНІЕ

Дано сіе удостовѣреніе военноплѣнному Антону Гурщику въ томъ, что онъ командированъ Городской Управой на городскія поля для производства статистическихъ измѣреній.

Членъ Управы

за Дѣлопроизводителя

Заświadczenie Zarządu Miasta Stawropola o opiekowaniu się ogrodem miejskim przez A. Górszczyka, 21 VII 1918 r.
Ossolineum, sygn. 15382/II, s. 230

Военнопленный Антонъ Гурщикъ отпущенъ на работу въ городскую управу

что подписью и приложеніемъ печати удостовѣряется.

Ставрополь. 6 мая 1918г.

Завѣд. канц.

ПЕЧАТЬ

241

Личный №

Имя Антонъ

Фамилія Гурщикъ

Воинская часть 3. стрелъ.

Званіе (чинъ) мл. унтеръ.

Мѣстожительство въ отечествѣ Бисарорвъ губ Лиманова

Вѣроисповѣданіе католикъ

Національность полякъ.

День и мѣсто взятія въ плѣнъ 1 Іюля 1915г. Верховище Гуковина

Раненъ или нѣтъ –

Знаетъ мастерство учитель

Książeczka jeńca wojennego Antoniego Górszczyka.
Ossolineum, sygn. 15382/II, s. 241

nia, niedługo jednak, bo wywędrował na Sybir etapem. Zapraszali mnie do siebie, dom modlitwy mieli na ulicy Kozaczej. Duża, jasna sala, krzesła, stopień jak w szkole, na nim katedra i pulpit z Pismem Świętym. Na katedrze napis: „My priepowiadajem Christa rozpiatawo"[a]. (Nauczamy o Chrystusie ukrzyżowanym). Nastrój początkowo jak na jakimś odczycie, na który zeszło się mało słuchaczy. Zaczynają jakąś smutną, ponurą pieśnią, wyrabia się nastrój, występuje jeden predykant, mówi coś językiem, jakiego codziennie nie słyszy się, mieszając wersety w starocerkiewnym języku. Nie rozumiemy dobrze tej poezji wymawianej prozą, czuje się jednak każdym nerwem, że ten co mówi święcie w to wierzy, i ta wiara promieniuje na obecnych, a co najważniejsze, że wszyscy wiedzą, że on według tych ich prawd, które głosi, żyje. Występuje drugi predykant, nie poznaję go, chociaż codziennie z nim pracuję. To nie ów dobroduszny Diadienko, dziesiętnik z Roszczy, to apostoł, mówi płynnie, przekonywująco, sypie wersetami, jak gdyby zbijał argumenty kogoś z Kościoła Rzymskiego. To reminiscencje naszych pogawędek. Twarz uduchowiona, wspomina o widzeniu, jakie rzekomo miał na Sybirze (on też przeszedł w 1905 r. tę szkołę), na to wspomnienie oblicze mu promienieje. Robi mi się niesamowicie. Co ma do powiedzenia, ktoś po inercji, należący do jakiegoś urzędownie uznanego kościoła, ludziom takiej wiary. Wychodzimy, dwóch robotników i kilka robotnic z naszej firmy.

[a] Ukrzyżowanie (ros.) *распятие*.

Za kilka niedziel decyduję się iść po raz wtóry. Nastrój jak poprzednio, po pierwszym objaśnieniu Pisma, co może robić każdy z obecnych, występuje na stopień jakiś młody człowiek i zaczyna głośno spowiedź. Oskarża się bez litości, wyznaje najrozmaitsze grzechy różnego ciężaru gatunkowe-

go, kończy nareszcie. Tuż obok mnie jakiś trzydziestokilkuletni mężczyzna, z fragmentami wojskowego munduru, bije się w piersi i prosi Boga o przebaczenie za tę niewinną krew, którą przelał i którą wziął na swe sumienie. Jakąś niewiastę opętał szał histeryczny, miota się, piszczy, wyznając rzeczywiste czy też urojone grzechy. Miałem silne nerwy, ale było mi tego za dużo, wrażenie było zbyt silne. Trzeci raz trafiłem na coś w rodzaju komunii. Nastrój uduchowiony, ale pogodny. Diadienko wydobył z ukrycia sporą struclę, poodszczykiwał poszczególne sploty, wyłożył na tacę, przykrytą serwetą, i podchodził do współwyznawców, każdy brał kęs i spożywał. To już nie była mistyczna komunia, ale coś konkretnego, każdy kęs mógł ważyć kilka dekagramów. W momencie modłów nad struclą przypominał mi Rembrandtowski obraz *Pielgrzymi w Emaus*. To nabożeństwo ich nie targało przynajmniej nerwami.

Już po wybuchu rewolucji zaprosili mnie na chrzest kilku neofitów. Ponieważ widowisko zapowiadało się ciekawie, poszliśmy z Sejmejem (Jeżyńskim). Wyszliśmy na przedmieście, gdzie był staw, w zaimprowizowanym namiocie rozebrało się kilka osób, które weszły po pas do wody. W roli Jana Chrzciciela wystąpił „gazetczyk", który powrócił już z Sybiru. Ofiara podchodziła ku niemu, poruszając się niezgrabnie w wodzie. Chrzciciel zadawał jakieś pytania, na które odpowiadał, szczękając zębami z zimna czy też wzruszenia, neofita. Po ukończonym egzaminie „gazetczyk" chwytał ofiarę za głowę, podtrzymywał za plecy i zanurzał w wodzie. Nowo [o]chrzczony prychał, kaszlał i gramolił się ku brzegowi. Pod nóż szła następna ofiara, w krótkim czasie odstawiono coś pięć sztuk, zebrani w międzyczasie śpiewali jakieś hymny.

Cała ta scena, gdyby odbyła się w katakumbach, mogłaby wywołać wstrząsające wrażenie, ale w bajorku, pod lazurowym niebem południa, na tle ślicznego krajobrazu, wypadła śmiesznie. Żołnierz w brudnej bieliźnie, jakiś niedorozwinięty, chudy podlotek, baba o obfitych kształtach, oblepieni mokrą bielizną, ociekający wodą, potykający się przy wspinaniu na brzeg, mogli w nas, wychowanych na łacińskiej kulturze, budzić tylko śmieszność. Dla mistyków byli czymś wzniosłym, jak wzniosłym dla Rosji był „Starzec z Jasnej Polany"[a]. Małych i średnich Tołstojów plątało się po bezmiarach Rosji sporo, ale to może była wina ustroju i wąskich brzegów, w jakie wepchnięto całe bujne życie ludzi stepowych, mieszańców różnych szczepów białej i żółtej rasy, różnych kultur bardzo starych i bardzo młodych, wziętych pod jeden strychulec niezdecydowanego, niedołężnego, krótkowzrocznego, a okrutnego carskiego rządu.

[a] Majątek hr. Lwa Tołstoja (1828–1910), mistrza prozy realistyczno-psychologicznej.

Te kilka uwag zamieściłem jedynie w tym celu, aby uwidocznić, dlaczego rewolucja w Rosji nie znalazła w pierwszej chwili żadnej przeciwwagi, owszem wielu zapalonych zwolenników. I dlaczego później nie zorganizowano żadnej skutecznej siły, gdy po władzę sięgnęła tak znikoma, ale zorganizowana garstka bolszewików[229].

Raz jakoś w nocy zbudziły nas nawoływania sprzedawców nadzwyczajnego wydania dodatku lokalnej gazety, nudnej jak flaki na oleju [pt.]„Siewierokawkazkij Kraj". Wołano – „Zaburzenia w Petersburgu" – a za godzinę: „Car zrzekł się tronu". Rano ludzie chodzili jak urzeczeni. Gubernator i naczelnik ogólnie znienawidzonej żandarmerii znikli. Na ogół nie zdawano sobie sprawy z doniosłości nadchodzących wypadków, debatowano o zaletach i wadach następcy[230]. Na placu przed soborem odprawiono uroczyste na-

bożeństwo, mowę powiedział jakiś kadet (konstytucyjny demokrata), upatrujący niepowodzenia armii w zdradzie carycy i premiera Frydrychsa[231]. Ten nie zdawał sobie jeszcze sprawy z zajść zaszłych w Petersburgu. Bataliony piechoty, zebrane na placu, ozdobiły bagnety czerwonymi kokardkami, jedynie szkoła podoficerska ozdobiła sztyki kolorami Romanowych. Po nabożeństwie odbyła się defilada odchodzących na front oddziałów. Szli dosyć buńczuczni, potrząsając bagnetami ozdobionymi kokardkami. Nie doszli daleko, część z nich rozbiegła się już w Stawropolu, resztki potraciły się już po drodze, tak że ostatni najbardziej uparty żołnierz dojechał do Kremeńczuka.

Pierwsza faza rewolucji, raczej kiereńszczyzny[232], nie wpłynęła na naszą dolę. Prawie że wszyscy urzędnicy na stanowiskach, wszystko pozostało po dawnemu. Powoli jednak zaczęli napływać polityczni, którzy byli w katordze lub na zesłaniu. Zaczął się ożywiony ruch w Domu Polskim. Zaczęto się organizować; ton nadawali żołnierze powracający z frontu, wygnańcy zbierający się w mieście celem szybszego powrotu, pewną rolę odgrywali jeńcy wojenni.

Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny nie wykazywało sprężystości, w Ochronce dla dzieci polskich odkryto nadużycia. To samo w Sienkiewiczowskim Komitecie Pomocy Jeńcom, gdzie prezes sprzedawał na bazarze przeznaczone dla jeńców obuwie i bieliznę, oświadczając, że likwiduje Komitet. Wybuchł skandal, nastąpiła reorganizacja zarządu, do którego wybrano nowych ludzi; na czele stanął Jarosław Bańkowski z Wilna. Równocześnie powstał Klub Demokratyczny. Odbyło się to na jakimś burzliwym zebraniu przed Domem Polskim. Część dawnej kolonii, przeważnie ze sfer rzemieślniczych, wygnańcy i jeńcy [byli] nieza-

dowoleni z mało zdecydowanej postawy Polonii stawropolskiej; żądali większej aktywności, zdemokratyzowania Domu Polskiego, uzdrowienia stosunków w Ochronce Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. Zebrani rozdzielili się wyraźnie na dwie grupy. Dawna Kolonia czuła się obrażoną, była jednak za dobrze wychowana, by się wdawać w polemikę z plebsem. Pozostali na placu powołali do życia Polski Klub Demokratyczny, wybrali zarząd i powierzyli mu wprowadzenie w życie pewnych postulatów.

Zaczęto się na siebie boczyć, niedługo to jednakowoż trwało, ktoś sprytniejszy wyjaśnił, że wszystko jest w porządku. Dom Polski reprezentuje ludzi osiadłych, z czynami z dala trzymających się od wszelkich nowinek, zaś Klub Demokratyczny żywioły idące z duchem czasu. Klub urządzał zebrania w starym gimnazjum na piętrze. Prowadzono tam zasadnicze dyskusje, ustalano zasady i kierunek oraz metody pracy. Pryncypialne dyskusje na rosyjską modłę ciągnęły się w nieskończoność, niejednokrotnie skakano sobie do oczu, kłócąc się o kozią wełnę. Jedyne konkretne wartości, które wynikły z działalności Klubu, to były rozruszanie i zainteresowanie całej Polonii sprawami polskimi, sprawienie sztandaru i urządzenie obchodu Kościuszkowskiego, do czego przyczyniły się zresztą wszystkie organizacje polskie. Ponieważ położenie Polonii, z powodu zachodzących przeobrażeń, jakie nadeszły w Rosji, zaczynało być coraz cięższe, wybrano Radę Polską, która miała bronić interesów polskich wobec nowych władz. W skład weszli: Wójcik Stanisław, Kempiński Jakub, Sejmej Andrzej, Stanisławski Stanisław, Chłopicka Helena, Buczkiwski Józef, Kucharski Michał, Stankiewicz Kazimierz, Jakubowski Stanisław, Wojsiał Augustyn, Trubaczek Władysław.

Wypadki rosyjskie miały siłą rzeczy silny wpływ na różne grupy narodowe, zamieszkujące cesarstwo. Pierwsi Żydzi rzucili się w objęcia rewolucji, a wnet osiodławszy ją, zaczęli na niej hasać. Muzułmanie stanęli bez zastrzeżeń po stronie nowego ustroju. Polacy byli początkowo na ogół rozbici. Starsza emigracja ustosunkowała się zdecydowanie wrogo do nowych władców. Żołnierze frontowi i jeńcy z pewną sympatią do nieudolnych początkowo poczynań władzy sowieckich i wojskowych deputatów. Ostatecznie ustaliła się opinia, że to są sprawy czysto rosyjskie, my nie mamy żadnego prawa wtrącania się do nich, niech sami urządzą sobie dom, jak chcą. My jesteśmy tu czasowymi i niedobrowolnymi gośćmi, dążyć mamy do tego, by jak najszybciej wyjechać z domu niewoli. Do takiego postanowienia sprawy przyczyniło się walnie nastawienie polityczne wszystkich czołowych ludzi organizacji stawropolskiej Polonii, która skupiała [różne postaci] – od ciemnego reakcjonisty, poprzez postępową konserwę, stronnictwo ludowe i sięgała do PPS Frakcji Rewolucyjnej[233] najdalej na lewo. Wszyscy jednak akcentowali swą polskość. Na jednym tylko zebraniu pewien żołnierz, bijąc się w piersi i jeszcze energiczniej plując, trąbił na wsze strony, że on jest bolszewikiem, w tym też widocznie celu dał sobie przefarbować swój wojskowy szynel na kolor ciemnoczerwony, i w takim paradował po Stawropolu, nikt go jednakowoż poważnie nie brał. Wiadomości przychodziły do Stawropola bardzo spóźnione i niepewne. Co stało się w Piotrogrodzie, na Kaukaz przychodziło z kilkutygodniowym opóźnieniem. Ofensywa Kiereńskiego spaliła na panewce[234].

Do Stawropola powrócił jakiś oddział kobiecy z frontu. „Horpyny" plątały się po mieście, wywołując śmiech lub nie-

smak swą postawą i zachowaniem się. Rozprężenie stawało się coraz bardziej widoczne, fale dezerterów napływały, nadając miastu swoisty charakter. Rewolucji właściwej jeszcze nie było. Kaukaz był syty. Jeżeli miał troski, to tylko te, że zboża nie można było dobrze sprzedać, brakowało wprawdzie manufaktury[a], cukru i innych drobiazgów, ale chleba, mięsa i tłuszczu był nadmiar. Kaukaz był rolniczy, fabryk tu nie było, nie miał więc kto robić ruchu. Komitet sowietu i roboczych deputatów nie miał żadnej egzekutywy, obradował w kupieckim klubie w Roszczy, urządzając sobie stale gadalnię. Społeczeństwo ruskie było jedną wielką masą politycznych analfabetów. Słowo polityka było tak niebezpieczne, że gdy raz w obojętnej rozmowie przed szklarniami, w gronie przygodnych osób, wspomniałem coś o handlowej polityce Anglii, zebrani rozpierzchli się jak stado wróbli. Uświadomienie polityczne i znajomość programów zyskiwał obywatel rosyjski w tiurmie lub na Sybirze, gdzie jak np. w Narymskim Kraju była jawna szkoła nauk politycznych. Przeciętny obywatel wiedział coś niecoś o Kadetach, partii Narodnoj Woli (ludowej)[b] i coś niecoś o eserach (socjalni rewolucjoniści)[235]. Mówiąc jednak o tych ostatnich „obywatel" oglądał się podejrzliwie wokół lub nabożnie żegnał, odganiając nieczyste. O bolszewikach lub mieńszewikach 99% mieszkańców nie miało żadnego pojęcia[236]. Mieszczaństwo, inteligencja i kler najoczywiściej lekceważyli cały ruch, przesączający się z centralnej Rosji na Kaukaz. Tymczasem bolszewicy rozpędzili w Petersburgu Zgromadzenie Ustawodawcze (Uczrieżditielnoje Sobranije)[237]. W Stawropolu miała być uroczysta akademia w dniu otwarcia zebrania.

W auli trzeciego żeńskiego gimnazjum urządzono zebranie. Salę, na życzenie Uprawy, ozdobiłem wspaniale

[a] Tu: wyroby przemysłu tekstylnego i rzemiosła.

[b] Narodna Wola ros. organizacja narodnicka, utworzona w 1879 r. po rozłamie w Ziemli i Woli.

palmami i najrozmaitszymi roślinami wazonkowymi. Zeszli się notable z miasta i guberni, odświętnie ubrani; przyszła jednak banda, nieliczna zresztą, pijanych drapichrustów i marynarzy, i rozpędziła zebranych. Stosunek wypędzających do wypędzanych miał się jak 1:6.

Gdyby zebrani okazali trochę rozmachu, to mogliby powyrzucać awanturników na zbity łeb. Nie zrobili tego, nie chcieli z plebsem zadawać się, zresztą rozchodziło się im widocznie o białe rękawiczki i dobrze skrojone ubrania. A można to było z powodzeniem zrobić. Stałem z jednym z robotników ubierających salę (Węgier Nimerszein) przy drzwiach sali. Jeden z obwiesiów kopnięciem rozbił wazon ślicznej hortensji, [wtedy] krewki a silny Honwed nie zdzierżył, chwycił gieroja za kark i zamiótł nim w kąt, że zaś ten ostatni był zalany, nie mógł się długo z ziemi podnieść. Stojący opodal mnie wagabunda zaczął coś nieudolnie manipulować karabinem, przyjmując groźną postawę. Chwyciłem mu za luśnię, potrząsnąłem nim, mówiąc: „Odwal bracie, bo będzie źle". Usłuchał. To był jedyny odruch, ale nam, jeńcom, rozchodziło się o rzecz konkretną – rozbity wazon Grodzkiej Uprawy; im, zebranym dostojnikom zaś o rzecz błahą, jakieś tam zebranie w Pitrze.

W mieście nikt się tym nie przejmował, w tym bowiem czasie rozbito rządowe składy z wódką. Komenda wojskowa posłała baon piechoty, by rozpędził grabiących. Na widok takiej masy „daru bożego", rozlewanego i niszczonego, ruski człowiek, nawet w mundurze, nie mógł wytrzymać. Żołnierze poopierali karabiny o ściany i oni dopiero pokazali, jak pić należy. Nadjechała galopem sotnia kozaków, przywitana jednak wyciem i szybkim ogniem karabinowym, jeszcze szybciej odjechała jak przybyła. Teraz roz-

poczęła się systematyczna grabież. Jakiś jeniec wprowadził w piwnicach ład, organizując straż porządkową, by praca składniej szła. Jednym wejściem wpuszczano, innym obładowanych wódką wypuszczano. Trwało to dosyć długo, aż jakiś znawca chciał sobie poszukać lepszego gatunku, zaświecił zapałkę. Na ziemi było sporo rozlanego spirytusu, wybuchł pożar, 16 amatorów kazionnej[a238] wódki upiekło się żywcem w piwnicy. Wobec niemożności rabunku wódek we flaszkach, rzucono się na rezerwuary napełnione spirytusem. Czerpano, nachylając się nad otworem, dwu wpadło do spirytusu, w najśmielszych może pijackich marzeniach nie śnili, że utoną w spircie. Reszta nie zwracała na to uwagi, trupy pływały, kto zaś czym mógł, czerpał płyn zakazany w czasie wojny w Rosji.

[a] *Казённый* (ros.) spolszczone kazionnyj.

Na ulicach zapanował ruch, kto żył podążał w stronę składu. Na ulicach odbywały się orgie pijackie i inne. Od strony składu biegli ludzie, ucieszeni, obładowani butelkami, siaki taki niósł przed sobą sztof (5 butelek), jak gdyby niósł swe szczęście. Fiakrem nadjeżdżało kilku urzędników w mundurach, humor aż tryskał, każdy dzierżył flaszkę, jeden trzymał nogi na koźle, a wszyscy śpiewali. Koło muru przemykała pani z towarzystwa, niosąc na koromysłach[b] dwa wiadra wódki. Jakiś stary sołdat przyczepił się na ulicy do wiadra i pije. Pani szarpie, płyn rozchlapuje się, kozak jednak nie puszcza; ukląkł, objął wiadro rękoma i ciągnie jak smok. Zgromadzona publiczność częściowo się śmieje lub też oburza na rozlewanie wódki. Kozak ostatecznie przestał ciągnąć, powstał, rozradowany, zwrócił się do zebranych, mówiąc: „Dzieci, raz się człowiek ucieszył".

[b] *Коромысло* (ros.) nosidła.

Wieczorem zachodzę do maneżu, z daleka dolatuje mnie jarmarczny gwar. Ludzie jacyś inni, weseli, serdeczni, wy-

lewni[a]. W przedsionku otaczają mnie znajomi Turcy, którzy jakiś czas pracowali w Roszczy. Pij kardasz (brat), przytykają mi sztof do ust, ledwie tych jakoś zgadałem, a już nadbiegają Węgrzy. Galgoczi i Kali mają równocześnie mowę, nie wiem, do Węgrów, czy też do mnie, słyszę jedynie wirujące słowa: *Lengyel* (Polak) *tanitour* (nauczyciel)[b]. Węgrzy stale przytakują: *igen, igen* (tak). Coś pociągnąłem, trudno się było ognać, trzeba było i coś odpowiedzieć. Rozpoczynam pierwszymi słowami hymnu Petöfiego – *Talpra Magyar (Powstańcie Węgrzy)*[239]. Odpowiada mi ryk wzruszenia, Käwes rzuca mi się na szyję. Ktoś podchwytuje słowa i potężna dzika melodia puszty węgierskiej trzęsie murami maneżu, korzystam z entuzjazmu i przesmykuję się ku Polakom. Płacę za popularność i sympatię, jaką cieszyłem się wśród mieszkańców maneżu. Nie tak to łatwo idzie, jeden przystanek urządzili mi serdeczni i zawsze mili Słowacy, drugi arystokracja maneżu – kucharze. Marko zastąpił mi drogę z połową menażki jakiegoś gorącego krupniku, dziękuję, świadczymy sobie wzajemnie grzeczności, całujemy się. Odciąga mię jednak Arab i dr Fechtner, ponoć docent heidelberskiego uniwersytetu, ci urzędują stale z Polakami. Na stole siedzi duży Adam, otaczają go kołem wszyscy znajomi, pod pachą trzyma nachyloną, czterolitrową flachę, nalewając do wyciągnionych ku niemu najrozmaitszych naczyń. *Chaim-Szulim*[c] krzyżuje się stale w powietrzu. Systematycznie, cicho, ale rzetelnie pili jedynie Niemcy. Jakoś powróciłem do swego łóżka w Roszczy.

W nocy budzi mnie bicie pięścią w okno. Co jest ? Anton Wład[ysławowicz], puście! Poznaję głos podrzędnego, potulnego robotnika z Pawłowej zdaczy. Puszczam go, pytając co się stało? „Nieszczęście! Tak, nieszczęście, rozbiłem dwie

[a] *W oryginale:* wylani.

[b] Właściwie: *tanítónő* (węg.)

[c] Spolszczony toast żydowski.

butelki". „Ho, ho, ja o was pamiętałem, A.W.", i stawia na stole dwa sztofy. Wylicza mi szereg dobrodziejstw, rzekomo ode mnie odebranych, a które widocznie wyimaginował sobie w pełnej alkoholowych oparów piwnicy. Tytułuje mnie Wasze Błagorodie. Częstuję go jakąś zakąską, je, nagle przypomina sobie coś, bo marszczy brew, zrywa się rycząc: „Oni tam grabią [mierzawcy], a ja tu durak siedzę". Wybiega.

Rano ani jeden jeniec, ani jeden Ruski nie przyszedł do pracy. Tak samo było w maneżu, gdzie członek zarządu błagał jedynie, by konie karmiono i napojono. Pomimo tego piramidalnego pijaństwa, konie nakarmiono. Nie wypuszczono również członka zarządu, dopóki i jego nie napojono szklanką siwuchy. Dwa dni poiłem i karmiłem konie w Roszczy sam z Adamem. Najniezbędniejsze prace w szklarniach i inspektach wykonywałem z Diadienką i dwoma dziewczynami. Dwa dni trwał ten największy na Kaukazie prazdnik[a], ofiar było tylko trzydzieści kilka, łącznie z tymi, którzy się spalili.

[a] *Праздник* (ros.) święto.

Bolszewicy, pomimo bardzo popularnych haseł, precz z wojną, wolności i równości, byli na Kaukazie bezsilni. Dopiero gdy ogłosili dekret o nacjonalizacji ziemi, przyprzęgli do swego rydwanu chłopów, i wtedy stali się popularni i silni. Głodu ziemi na Kaukazie nikt nie odczuwał, było jej pod dostatkiem. Na każdą duszę męską otrzymywał chłop od 6 do 10 mórg. Że zaś rodziny były liczne (kalkulowało się bowiem mieć dużo dzieci, tylko nie córek), przeciętnie każda rodzina miała kilkadziesiąt mórg najwspanialszej ziemi buraczano-pszenicznej. Chłop rosyjski pracował stale ekstensywnie, dlatego też zawsze mu było mało. Najlepszym zaś wabikiem była grabież dobytku, zapasów i inwentarza po ekonomiach. Rozpoczął się planowy i bezplanowy rabunek.

Po wsiach powstały Komitety Ziemne[240] (dla spraw związanych z rozdziałem ziemi), które wysyłały bandy dezerterów na grabież okolicznych folwarków. Bydło dzielono pomiędzy mieszkańców wsi, brali przede wszystkim ci, którzy mieli broń, broni było zaś pod dostatkiem, bo wszyscy z frontu powracali z karabinami, posprzedawali jedynie armaty (cena 75 rubli) i ciężkie karabiny maszynowe (120 do 150 rubli, jak się udało ubić). Rozgrabiono wszystkie okoliczne dwory, bydło rozebrali chłopi, bijąc się o nie niejednokrotnie. O niektóre folwarki były pomiędzy poszczególnymi wsiami formalne bitwy. Rabowano nie tylko folwark, ale i bogatszych chłopów jednodworców i sobstwienników. O zagrabione bydło nie zawsze należycie troszczono się. Przepadła 3 tys. sztuk licząca owczarnia karakułów, którą rozdrapano Tarasowym i Barabaszowi. U Kisiela jakiś chłop grabił „plewy". Zoczył to wnuk Kisiela Wasyl, zakradł się do chłopa od tyłu, włożył mu dwa palce w usta, szarpnął i rozdarł mu policzki, tak że miał je od ucha do ucha. Sam Kisiel bronił swego dorobku i został pod spichrzem zarąbany. Zabito również syna Kisiela na Iszałcie. Baba ocalała, wyjechała jednak do swej wsi rodzinnej Biezopasnoje.

Tymczasem wojna już była zakończona. Bolszewicy wzięli się do „uporządkowania tyłów". Pewnego dnia sowiet uchwalił przejęcie wszystkich instytucji w mieście. Zorganizowano patrole, które zajęły bank, pocztę, Uprawę Ziemską i Miejską, stację kolejową, elektrownię itp. Wojsko zostało zdemobilizowane, żandarmeria rozbiegła się, policja [się ukryła][a]. Dla ochrony majątku państwowego utworzono baon wartowniczy, do którego zgłosili się jeńcy Węgrzy, Niemcy, trochę Polaków ze zdemobilizowanej armii rosyjskiej i nieznaczna ilość prawdziwych Rosjan. Na 1 Maja

[a] *W oryginale:* pokryła.

1918 r. urządzono pochód, nie w śródmieściu, ale po przedmieściach. Na czele szedł prezes sowietu Ponomariow, były wyższy sędzia z sądu okręgowego, za nim sowiet, różne organizacje społeczne, sporo sympatyków z przedmieść i marynarze czarnomorscy na koniach.

Starzy Moskale jeszcze przed rewolucją opowiadali mi niejednokrotnie, że święta Rosja zaleje się krwią, zginie car i cerkiew, gdy z morza wyjdzie potwór z gołą piersią. Teraz ze zgrozą wskazywali na gołe piersi marynarzy. W początkowych miesiącach elementem najbardziej radykalnym i kierującym byli rzeczywiście czarnomorscy marynarze, którzy zatopiwszy okręty w Noworosyjsku rozpętali się po Rosji, robiąc rewolucję[241]. W Stawropolu żadnego sprzeciwu nie napotkali. Pocztę np. zajął jeden student Polak, mając do pomocy zdemobilizowanego żołnierza z Sybiru i ukraińskiego Żydka, który po raz pierwszy trzymał karabin w rękach. Bojkot urzędników był niezupełny i został szybko złamany. Opornych zastąpiono zdemobilizowanymi, którzy nie mogli powrócić do domów, z powodu [u]tworzonych[a] frontów. Polacy zaczęli się poruszać, ktoś mianował jednego z najmniej sympatycznych członków Polonii konsulem polskim. Zaczął on wydawać paszporty, których nawiasem mówiąc nikt nie respektował. Tymczasem zdemobilizowani oficerzy, których w mieście było bardzo dużo, utworzyli jakąś organizację pod kierownictwem kapitana Zołtarowa.

[a] *W oryginale:* potworzonych.

Pewnej nocy obudziły nas strzały armatnie i silny ogień karabinów zwyczajnych i maszynowych. Oficerzy Zołtarowa, podzieleni na trzy oddziały, napadli na oddziały bolszewików stacjonowanych w mieście, nie uczyniono tego jednak o jednym czasie. Pierwszy oddział uderzył na marynarzy w Oficerskiej Szkole i śpiących wymordował. Tym-

czasem wszczął się hałas, drugi oddział, który uderzył na skoszarowanych bolszewików na placu Piotra i Pawła, przybył z opóźnieniem, został przywitany ogniem i rozpierzchł się. Trzeci oddział rozsypał się w tyralierkę i rozpoczął pukaninę. Cały ruch był zupełnie po dyletancku zorganizowany. Rankiem gros miasta było w rękach bolszewików i rozpoczęło się wyłapywanie rozproszonych oficerów.

Rankiem ktoś wpadł do Roszczy i kazał pozamykać bramy. W parku było nas zaledwie pięciu, którzy musieliśmy wykonać prace najniezbędniejsze za 40 ludzi. Przed południem słychać było pojedyncze strzały w różnych stronach miasta, na które nie zwracaliśmy większej uwagi. Na ulicę nie wolno było wychodzić, nie wiedzieliśmy więc nic konkretnego o nocnych wypadkach. W południe rozkazano otworzyć bramy i jakaś operetkowa patrol zbadała park. O godzinie 2.00 siedzieliśmy przed mieszkaniem z Adamem dużym i Diadienką, gdy wtem rozległ się szereg strzałów na ulicy Woroncowskiej, a za minutę wpadł do Roszczy duży, ładnie zbudowany oficer.

Za nim, w odległości kilkudziesięciu kroków, biegło kilku żołnierzy, strzelając za uciekającym, który tymczasem skręcił ku nam. Kule packały nam ponad głową w ścianę, oficer upadł sześć kroków przed nami. Dobiegło do niego dwu milicjantów, którzy przyłożywszy mu bagnety do piersi dali do niego ognia. Dwu marynarzy zaczęło go rąbać szablami. Byłem w kilkunastu bitwach, jednak podczas tego zajścia byłem tylko widzem. Nie wiem, co poniosło nas trzech, zrobiliśmy kilka kroków i stanęliśmy tuż koło uczestników zajścia. Szable spadały na głowę, piersi i ręce nieszczęśliwej ofiary. Ciekawa rzecz, po uderzeniu np. w szczękę lub policzek w pierwszym momencie żadnej rany nie było widać,

skóra ściągała się i nakrywała ranę, dopiero tężejąc otwierały się duże rany. Oficer nie wydawał jęku, drapał jedynie palcami ziemię. Rozbestwieni marynarze jeszcze pastwili się nad nim, a jeden z milicjantów, pochylony, zaczął go ciągnąć za buta. Zdziwiony tym, zapytałem się go, co robi. „Buty zdejmuję, co mam czekać, aż zesztywnieje". Po zdjęciu butów wybili mu z ust złote korony, przeszukali kieszenie, zabrali jakieś papiery i odchodząc zapytali, kto tu gospodarzem, gdy zaś Diadienko wskazał na mnie, rzucili mi: „Pochować go jak psa, w śmieciach". Przykryliśmy go liśćmi i deskami na noc.

Teraz powstała kwestia, jak go pochować, o zakopywaniu nie mogło być mowy, zostawić go w skwarze lata niepochowanego było niemożliwością i nieludzko, postąpiłem po rosyjsku. (Byłem wówczas zarządzającym z ramienia Uprawy, ponieważ Nowak, dotychczasowy dyrektor, ustąpił). Na drugi dzień zeszli się prawie wszyscy robotnicy, kazałem przywołać pomocnika Iwanickiego i kazałem mu pochować zabitego. „Jak", pyta niegłupi pomocnik, chcąc ewentualnie odpowiedzialność przerzucić na mnie. Wjechałem na niego z kopytami. „Każde głupstwo muszę wam wyjaśniać, zróbcie jak uważacie", i trzasnąłem drzwiami wychodząc do gabinetu. Słyszałam jak Iwanicki wymyśla mi przed kancelarią od przeklętych Austriaków. Przez niedomknięte okno obserwowałem dalszy przebieg akcji. Pomocnik, nasobaczywszy mi półgłosem, zawołał dziesiętnika Diadienkę mówiąc mu, aby pochował zabitego.

Zagadnięty splunął i odrzekł, że on słyszał jak gospodarz kazał zrobić to jemu, pomocnikowi. „Gospodarz kazał mnie, a ja rozkazuję Wam", odrzekł Iwanicki. „Niech cię Bóg przeklnie", mruknął odchodząc Diadienko. Od stajni szedł

siedmiogrodzki Niemiec, Frydrych Antal z Ujarad[242], który stale woził wodę. Diadienko zagadnął go: „Anton, masz machorkę?" „Nie mam". „Bierz, zakurz". Węgier udarł bibułki, nasypał machorki i zaczął puszczać dymy. Po chwili doleciał mnie dalszy ciąg pogawędki. „Anton, weź sobie tytoniu do kieszeni". „Charaszo". „Anton, gospodarz kazał, abyś odwiózł zabitego". „Charaszo". Po chwili prowadził konia, zabitego oficera włożono na wózek, zawieziono do dolnego parku i tam pochowano w rowie. Tak więc odpowiedzialność ostatecznie spadła na woziwodę Madziara i jego konia.

W mieście rozpoczęły się orgie. Wyłapywano winnych i niewinnych oficerów, przyprowadzano ich do Oficerskiej Szkoły, gdzie za stołem siedziały jakieś ciemne pijane indywidua. Według tego, czy przyprowadzony podobał się im, czy też nie, następował wyrok, normalnie jednak skazywano prawie wszystkich we wydatki[a]. Widziałem jedną taką egzekucję, wyprowadzono jakiegoś wyższego kozackiego oficera z sądu i zaprowadzono go na podwórze Oficerskiej Szkoły. Szło z nim trzech oprawców, gdy był już za bramą koło studni, kazali mu zdjąć bluzę. Uczynił to bez słowa protestu. Następnie kazali mu usiąść i zdjąć buty. Gdy kończył je zdejmować, jeden z nich wyjął po cichu szablę i z rozmachem uderzył go w kark. Oficer potoczył się na ziemię, a wówczas pozostali dwaj zaczęli go rąbać szablami. Po chwili wyszli, jeden niósł buty, a drugi bluzę zamordowanego. Niektórych zabijano natychmiast po wyprowadzeniu z domu. Zabitych w Oficerskiej Szkole wrzucano do studni, z której nadmiar wody odpływał do stawu w Roszczy. Po niejakim czasie zaczęła się przesączać brudna, cuchnąca ciecz z rozkładających się trupów. Podczas rzezi oficerów ukryłem w swoim mieszkaniu znajomego poruczni-

[a] *Выдача* (ros.) wydawanie, wypłacanie.

ka z Łodzi, Lehmana, i jakiegoś jego przyjaciela, Rosjanina, bardzo przystojnego.

Każdy odgłos wywoływał u nich nerwowe kurcze. Ponieważ mój pomocnik zaczął się nimi interesować, zaproponowaliśmy im, że ich przebierzemy w austriacki uniform i umieścimy gdziekolwiek jako jeńców, muszą jednakowoż pracować. Lehman godził się, jednak jego paniczykowaty kolega oświadczył, że raczej zginie, a pracą nie poniży się. Bolszewicy stale odgrażali się, że urządzą noc św. Bartłomieja. Raz w nocy usłyszeliśmy ożywiony ruch automobilowy. Po niejakim czasie z sąsiadującego domu Miosniankina wyprowadzono kilka osób, które załadowano na samochód. Po chwili słyszeliśmy rozpaczliwe wołania o ratunek. Ofiary terroru wywożono na Mamajkę i tam szablami rąbano, pozostawiając trupy niepogrzebane. Miało to ten cel, że przychodzili tam mieszkańcy miasta i jeżeli któryś z nich okazał współczucie, to szwendający się w pobliżu szpicel aresztował go i odprowadzał do więzienia.

Jednego z trupów uniósł w nocy syn i pochował go w swym ogrodzie. Nad ranem stróż kamienicy sprowadził bolszewików, ci na mogile ojca zarąbali syna i kazali zrozpaczonej rodzinie pochować i jego zwłoki. Na Karskiej ulicy, u zamożnego mieszczanina Karpowa, pracował znajomy nasz jeniec z Krakowa. Byłem tam kilkakrotnie ze Sejmejem. Nie wiem za co zaaresztowano trochę później ich syna Michała i z jakąś partią skazanych zarąbano na Mamajce. Zabitych przytrząśnięto następnie ziemią. W nocy Michał przyszedł do przytomności, wygramolił się spomiędzy trupów i na czworakach dowlókł się na blisko leżącą ulicę Karską. Matka okąpała go, opatrzyła mu rany i położyła do łóżka. Na nieszczęście, Michał, czołgając się, mocno krwa-

wił, pozostawiając za sobą ślad, który naprowadził zbirów. Przyszli na drugi dzień przed południem, wywlekli młodego Karpowa z łóżka, wyprowadzili przed dom, i na schodach, w oczach rodziców i rodzeństwa, zarąbali.

Codziennie na trzeciej stronie lokalnego dziennika, była krótka wzmianka np. „Dziś wydatkowano 84 ludzi": (*Siewodnia paszło w raschod...*). Rubryka powtarzała się codziennie, zmieniały się jedynie cyfry. Bezpieczeństwo pozostawiało dużo do życzenia, w każdą noc kogoś ograbiano, bardzo często można było nocą zobaczyć pędzącą ulicą w bieliźnie niewiastę, którą zdołano gdzieś roznegliżować.

Raz szedłem od znajomych przez ulicę Kozaczą, ubrany byłem w mundur żołnierza rosyjskiego, co po demobilizacji było najpewniej i najbezpieczniej, na nogach miałem ładne buty z cholewami. Coś tam wypiłem wina, ale zaledwie tyle, że ono zalatywało ode mnie. Z drugiej Stanicznej wyskoczyło dwu rzezimieszków, chwyciło mnie pod pachę i ciągnęło w głąb ulicy. Oparłem się, chuchnąłem im w twarz i zacząłem grać pijaka. Krzyczałem, plątałem nogi, śpiewałem, a równocześnie myślałem sobie, przepadną buty. Złodziejaszki, sądząc, że jestem zupełnie zalany, prawie nieśli mnie ku ulicy 1.[a] Stanicznej. Rękoma obejmowałem ich za szyję, a oni mnie podtrzymywali. Usłyszałem, że od tyłu nadjeżdża dorożka. Gdy równała się z nami, chwyciłem jedną ręką za jeden, drugą za drugi łeb i stuknąwszy nimi z całej siły o siebie odrzuciłem ich na jezdnię, a sam wskoczyłem na dorożkę. „Poganiaj". Woźnica zdzielił konia batem, ujechaliśmy z 30 kroków, gdy jeden z tyrkniętych zaczął bić do nas z *nagana*[243], bez rezultatu zresztą.

[a] *W oryginale:* 1-szej.

Gdy przyjechaliśmy przed Roszczę, dałem woźnicy różowy banknot (10 rubli), ten zaś chowając go powiedział:

„Baryń, drugi raz chociażbyście chcieli mi dać jekatierynkę (100 rubli)[a], to lepiej nie wsiadajcie". Sowiet zupełnie nie opanował sytuacji. Cokolwiek się działo ujemnego, wszystko kładło się na karb nieudolności i złej woli nowych władców, dodatniego zaś nie działo się nic. W Stawropolu organizował się internacjonalny Pułk im. Adlera, do którego wstępowali licznie Niemcy i Węgrzy. Czesi gdzieś się ulotnili, wyjeżdżali pojedynczo do formujących się legionów[244]. Do miasta tymczasem zbliżali się biali. Ponieważ żołnierz czerwony nie chciał iść na front, wobec tego dowódca Morozow polecił ewakuować miasto, a wojsku wycofywać się ku górom, na południe. Wojsko wyszło, Morozowa jednak posądzono o zdradę i właśni podkomendni zarąbali go pod miastem. Weszli biali, rozpoczął się znów terror, ale inny. O ile poprzednio tępiono tzw. burżuazję i sługi kapitalizmu, to teraz dla odmiany gnieciono przedmieścia i robotników. Na wsiach „bekły" przede wszystkim komitety do rozdziału ziemi. Była tu jednak zasadnicza różnica, nie w treści, tylko w formie. O ile bolszewicy mordowali po bestialsku, jawnie, trupy pozostawiali na ulicach, odnosili się do uwięzionych po chamsku, o tyle biali robili znacznie więcej, ale „w rękawiczkach".

[a] Na banknocie stu-rublowym był wizerunek carycy Katarzyny II (ros. Jekatieriny).

Aresztowali nocą, mordowali masowo w piwnicach, za największe głupstwo karali śmiercią. Pozornie byli poprawni, w istocie bardziej krwiożerczy, aniżeli bolszewicy. Wkrótce po przyjściu pozbierali ofiary powstania Zołtarewa i późniejszych mordów, wykopali dużą mogiłę i tam pochowano wszystkich. Archirej odśpiewał panichidę[b], udającym się na wieczny odpoczynek. Nie spoczywali tam długo, gdy tylko czerwoni odebrali miasto, rozkopali mogiłę i rozrzucili kości pochowanych. Tak ano bawił się ludek kaukaski.

[b] Panichida – prawosławne nabożeństwo żałobne; nazwa z gr. *pannychis* – uroczystość całonocna ku czci Demetry.

Miasto przechodziło z rąk do rąk. Nigdy nie można było być pewnym rano, kto jest panem miasta, towarzysze czy panowie, a było to bardzo ważną rzeczą, bo można było za omyłkę zapłacić głową. W Roszczy mieliśmy starą babkę, którą w wątpliwych momentach wysyłaliśmy na zwiady, a po jej relacjach można było śmiało [zwracać się] do spotkanych żołnierzy: towarzyszu lub gaspadin. Roszczy interesy szły wspaniale, ponieważ zabitych było dużo, odchodziło więc sporo wieńców, pogrzeby urządzano bowiem okazałe. Ludzi opętał jakiś szał pustoty. Zabawy były świetne, powstawały szkoły tańca. Teatr kijowski, który rozbił swe namioty w letnim teatrze w Roszczy, był stale przepełniony, może i z tego powodu, że dawał udatne przedstawienia, a może dlatego, że dawał kilka godzin zapomnienia.

W mieście było wszystkiego brak. Zjechało się kilka tysięcy Ormian z Turcji, którym Kurdowie sprawili znów rzeź[245]. Można było zobaczyć ładne typy ludzi, śliczne srebrne amfory kształtu greckiego, z którymi Ormianki chodziły po wodę, niosąc je z greckim wdziękiem na ramieniu lub na głowie, i cudną białą broń bogatszych Ormian. Dywany perskie, broń [pięknie] inkrustowaną można było nabywać tuzinami.

Po przejęciu władzy przez bolszewików, mianowano nowego dyrektora parków. Do końca nie dowiedziałem się, czym on był z zawodu, szewcem czy stolarzem. Za szewstwem przemawiałoby to, że zrobił mi zgrabne buty, za stolarstwem zaś ten argument, że w zakładzie nie zajmował się niczym innym tylko naprawą półek, zbijaniem skrzyń itp. pracami. Do żadnej pracy ogrodniczej lub sadowniczej nie wtrącał się, odsyłając wszystkich interesantów do mnie. Sam stał na straży bolszewickiej prawowierności Roszczy, był jednak na tyle uczciwy, że nie przeszkadzał. Gdy do

miasta zbliżali się biali, składał swe papiery na czerwoną, kraciastą chustę, końce pedantycznie zawiązywał, brał ten pinkiel[a] pod pachę i ginął. Po powrocie czerwonych zjawiał się tak samo niepozornie jak odszedł, nie pytał o nic, tylko brał się do jakichkolwiek reperacji. Raz przyszedł bardziej przestraszony, czy to nie dano mu w porę wiadomości, czy też dłużej zawiązywał swą chusteczkę, dosyć, że się opóźnił i wyszedł na Olgińską ulicę, gdy tam wpadli już biali. Ulicą tą uciekali z 14 lazaretu ranni bolszewicy w szpitalnych koszulach. Jakiś biały oficer – zwierzę – pędził ich przed sobą i zabijał rąbiąc szablą. Pomiędzy szpitalem a ulicą Bariatińską (około 200 kroków) było zamordowanych 8 rannych żołnierzy bolszewickich.

[a] Tobołek z odzieżą i żywnością.

Naszemu Wasylowi Wasylewiczowi zrzedła wówczas mocno mina. Podczas tych kilkakrotnych przewrotów podziwialiśmy bierność inteligencji rosyjskiej. Oprócz odruchu Zołtarowa nie zdobyli się na żaden gest, szli na rzeź jak barany. Dawniej filozofowali na temat jedynowładztwa, teraz zaś rozstrzygali, czy można wystąpić przeciw obecnym satrapom. Stale w najgorętszych dyskusjach przewijało się Tołstojowskie „Nie sprzeciwiajcie się złu". Jedynie eserzy zajęli zdecydowanie wrogie stanowisko, i przeciw nim zwróciło się ostrze represji. „Popi, oficerzy, burżuazja, ziemianie nie są nam groźni, niebezpieczni są socjalni rewolucjoniści" – mawiali stale bolszewicy.

Polonia Stawropolska topniała; wyjeżdżali wygnańcy i część dawniej osiadłych, pochowali się oficerzy i ci, którzy pracowali w administracji. Pracowałem od 1917 r. w Polskim Towarzystwie Pomocy Ofiarom Wojny jako członek zarządu. Było tam sporo pracy, potrzebujących – masy, środków – z każdym miesiącem mniej, musiało się nadrabiać zapobie-

gliwością. W końcu ograniczyliśmy zasiłki, przeznaczając je tylko dla dzieci, utrzymując ochronkę i szkółkę polską. Pracowały tu z prawdziwym zaparciem się dwie nauczycielki: Aleksandra Orska, czy też Zaorska, drugiej było na imię Maria, nazwiska nie pomnę.

Przez Komitet przesuwały się najrozmaitsze typy, najwięcej było nędzy, czasem trafiali się ludzie niezaradni, którzy wytrąceni ze swej koleiny życiowej nie mogli żadną miarą przystosować się do nowych, wrogich sobie warunków. Trafiali się (rzadko zresztą) ptacy niebiescy, którzy chcieliby w ogólnym chaosie lekko żyć.

Przychodzili z tupetem, żądania mieli duże, powoływali się na swe pochodzenie miejskie i inteligencję, zadowalali się ostatecznie datkiem na bilet do Rostowa. Zaznaczyć wypada, że pochodzili oni z różnych środowisk, za wyjątkiem chłopów i ziemian. W Stawropolu zaczęło się robić coraz bardziej pusto, wyjeżdżali i jeńcy. Pierwszy zerwał się do odlotu Kaziu Rychter, bo w 1917 r. Trasę wybrał sobie oryginalną – przez front. Od żołnierza, który nie miał zamiaru wracać na front, otrzymał dokumenty gratis, mundur zaś zamienił na swe ubranie. Zgłosił się do komendy, w przeświadczeniu, że go wyślą na zachód. Sformowano kompanię marszową, posłano ją pod Erzerum. Jak Kazik dawał sobie radę w szeregach rosyjskich, jak dostał się do niewoli, przeszedł przez Małą Azję i dopiero w Bursie[a246] nad Bosforem wyjaśnił niemieckiemu oficerowi swą sytuację, opowiadał mi w słowach pełnych smętnego humoru po wojnie. W Konstantynopolu przeleżał trzy miesiące, chory z trudów i wycieńczenia na tyfus, powrócił chory; w 1920 r. umarł na gruźlicę.

[a] *W oryginale:* Brussie.

W lecie 1918 r. wywiał Sejmej – wziął kierunek na dawny chutor Kisiela, gdzie zeszedł się z Szmydem, po drodze

odwiedził Babę w Biezopasnoje (dała im na drogę worek), i stepami przekradli się do Rostowa. Mnie trzymała Roszcza, rzucić tak warsztat pracy na przepadłe, wydawało mi się niehonorowo, oddać nie było komu. Nikt zresztą nie chciał się ujadać z władzami, które zmieniały się z kalejdoskopową szybkością.

Tymczasem zaszedł wypadek, który moje skrupuły rozwiał, a mógł się dosyć niewesoło zakończyć. Po odejściu tamańskiej armii (początek lata 1918) zajęły miasto oddziały Denikina[247], które odpędziwszy dalej nieprzyjaciela zaczęły robić generalne czyszczenie. Nie wiem, kto zwrócił na mnie uwagę, zdaje mi [się], że pułkownik, kierujący doświadczalną stacją rolniczą. Miał do mnie pretensję, bo w pewnym towarzystwie opowiadałem, jaką ma przystojną żonę, podczas gdy to była tylko jego sympatia, dosyć, że on najwięcej mnie obciążał. Raz po południu przyszedł do mnie jakiś oficer, w towarzystwie akademika z Politechniki, i rozpoczęli pogawędkę. Jakkolwiek nie miałem czasu, rozmawiałem z nimi kilkanaście minut na tematy najzupełniej błahe, po czym kazali mi się ubrać i iść za sobą, po drodze, tak mimochodem, zabrali dużego Adama, który był w Roszczy wyjazdowym woźnicą, miał ze mną tyle wspólnego, że razem chodziliśmy, i że mnie woził na linijce[a].

Sądziłem początkowo, że jest to pomyłka, lub że wezwali mnie na przesłuchanie. W uczastku rozwiano moje złudzenia, gdy po rewizji wepchnięto nas do więzienia na ogólną salę. Towarzystwo zastaliśmy niejednolite, bo od dwunastoletniego złodziejaszka Persa, poprzez dorosłego Ormiaszkę, oskarżonego o udział w nocy św. Bartłomieja, przez najrozmaitsze typy, aż po esera inżyniera Gonczarowa. Dwa dni siedzieliśmy, nie wiedząc, za co właściwie nas

[a] Lekki, jednokonny pojazd z wąskim siedzeniem, na resorach.

osadzono. Po tym czasie podał mi jakiś oficer powody zatrzymania. Były one w jego oczach bardzo ciężkie, znawcy z celi orzekli, że pójdę „we wydatki". Były one następujące;

1. Rozmawiałem z pułkownikiem z doświadczalnej stacji o rewolucji francuskiej, nie oburzając się na nią, a nawet pułkownik wyczuł, że jakobym sympatyzował z tym zbrodniczym ruchem.

2. Podczas bojkotu władz bolszewickich nie porzuciłem pracy.

3. Wspomagałem finansowo bolszewików, podnosząc dochody Roszczy o 80 tys. rubli za ostatni rok, czym działałem na szkodę legalnego „prawitielstwa".

Odpowiedziałem mu, że mój pogląd na rewolucję francuską jest taki, jaki wyrobiły go podręczniki do nauki historii w monarchii austro-węgierskiej. Do bojkotu mnie nikt nie wzywał, może i dlatego, że jestem jeńcem, pracy – nawet gdybym był wezwany – nie porzuciłbym, bo porzucenie jej na kilka dni mogłoby wyrządzić szkody, idące w dziesiątki tysięcy. Pracy w sadzie i szklarniach nie można identyfikować z zatrzymaniem prac jakiejś kancelarii, wystawiającej „bumagi". Odnośnie zaś do wzrostu dochodów, to złożyło się na to kilka współczynników: 1) że sam nie kradłem i drugim kraść nie pozwoliłem; 2) że przeszedłem z pracy dniówkowej na akordową, kasując licznych a zbytecznych dozorców; 3) że na wzrost dochodów wpłynęła zwyżka cen. Dochody doręczałem temu, kto urzędował w Uprawie i nie moją rzeczą jako jeńca było mieszać się w wewnętrzne życie Rosji, i rozstrzygać, kto jest prawowitą, a kto nielegalną władzą.

Takim postawieniem sprawy zaszkodziłem sobie bardzo, co zresztą zaznaczył przesłuchujący, mówiąc: „Jeste-

ście szkodliwym (wrednym) człowiekiem, nie ma w was żalu (pokajania) za wasz czyn, nie wspomagaliście ochotniczej armii, bylibyście nawet przeciwni zabieraniu ziem Rosji, poniesiecie więc karę odpowiednią do wielkości waszego przestępstwa".

Powróciłem do celi, zdając sobie dopiero teraz sprawę, że jestem więźniem. [Cela], obliczona na 12 osób, mieściła ponad 30 osób. Polityczni trzymali się osobno, złodziejaszki ustępowali nam miejsca, zdając sobie sprawę, że wielu z nas skrócą o głowę. Podłoga była z cementu, spałem na niej w ten sposób, że kładłem pod siebie gazetę, a przykrywałem się drugą. W kącie było naczynie, które nad ranem przelewało się, zawartość jego bynajmniej nie pachniała. Współtowarzyszami byli: nauczyciel rosyjski, oskarżony o przynależność do [socjalistów-rewolucjonistów], student, ochotnik oskarżony o kradzież flaszki wódki, jakiś mieszczanin, z którego naśmiewano się, że pisywał anonimowe listy, jakiś kupiec ze wsi, na którym ciążył zarzut, że jeździł do Stawropola prosić o wojskową pomoc Czerwoną Armię, i cały szereg osób, którzy w ogóle nie wiedzieli, za co siedzą, i za co będą wisieć.

Otrzymywaliśmy chleb i wodę, mnie jednakowoż i Adamowi donoszono z Roszczy obiady, z których jednak mało co zostawało, bo trzeba się było z nowo poznanymi podzielić. Codziennie wpychano nam nowych, wywołując bywalców. W tym więzieniu obowiązywała umowa pomiędzy więźniami a strażą, gdy bowiem wywoływano jakiekolwiek nazwisko, zainteresowany zapytywał, czy ma iść z rzeczami. Jeżeli odpowiedź brzmiała: „z rzeczami", to znaczyło, że przeprowadzają więźnia do innego więzienia. Odpowiedź: „bez rzeczy" znamionowała, że idzie się na przesłuchanie.

Dwa razy dziennie przeciętnie słyszało się odpowiedź: „jak chcecie" (kak chotitie), po której robiło się w celi głucho, znaczyło to, że więźnia wyprowadzają na śmierć.

Złodziei i rabusiów traktowało ówczesne sądownictwo jak dzieci, skazywano ich na kije (sztampony od karabinów), które wymierzali im strażacy ogniowi; przestępcami byli polityczni. Raz wepchnięto nam do celi indywiduum, w którym kryminaliści poznali tajnego agenta Ochrany. Po krótkiej naradzie podszedł ku nam, jeńcom, jeden z więźniów i polecił nam patrzeć przez okno, bo oni muszą załatwić rachunek z ochramukiem[a]. Patrzeliśmy więc; prowokatorowi okręcono głowę bluzą, położono go na wznak, drugą bluzą okręcono czterokilowy chleb i nim uderzono kilkakrotnie leżącego z całej siły w piersi, a po tej operacji wepchnięto go pod nary.

[a] Ochramuk – potoczne określenie agenta rosyjskiej tajnej policji Ochrany.

Nim się wygramolił, wszyscy symulowani sen, tylko my dwaj staliśmy przy oknie. Syszczyk (tajniak) zaczął bić we drzwi, wypuszczono go natychmiast. Po takiej operacji dostaje się galopujących suchot, a do trzech miesięcy leży się na desce; zewnętrznych obrażeń nie ma żadnych.

Po celi zawsze przechadzały się jakieś dwie pary, rozmawiając ze sobą, inni wówczas stali pod ścianami lub rozmawiali siedząc na narach. Lubiłem patrzeć się w okno, przez które zobaczyć można było mały skrawek nieba, kilka gałęzi akacji, a czasem w oddali sylwetkę przechodzącego człowieka. Takie więzienie pozwala człowiekowi spojrzeć w głąb własnej duszy, robi się bilans dotychczasowego życia, a czasem nieśmiałe plany na przyszłość. Spostrzega się, że wiele z dotychczasowych niby ważnych zagadnień życiowych można sprowadzić do jednego wspólnego mianownika, streszczającego się w tych słowach: „Pozwólcie mi tylko żyć".

To zagadnienie było o tyle jeszcze dla nas ważniejsze, że z powodu braku amunicji, czy też nadmiaru sadystów, skazanych na śmierć rąbano często szablami. Wyprowadzano na zewnętrzne podwórze grupę osób i po jednemu rąbano, bardzo często urządzając w połowie pracy odpoczynek – zakurkę – wówczas gdy jedna połowa ofiar drgała na ziemi w przedśmiertnej agonii, a druga z poszarzałymi od strachu twarzami patrzała na palących mołojców lub uśmiechała się skamląc miłosierdzia, które znikąd przybyć nie mogło. W celi ćwiczyło się, by w tym naprawdę ostatnim momencie nie stracić zimnej krwi, odpiąć guziki rubaszki i nadstawić głowę pod kątem prostym do uderzającej szabli. Wówczas cios przecina kręgosłup, można więc stosunkowo szybko skonać. Patrząc na to z perspektywy ubiegłych 42 lat, przychodzę do przekonania, że egzamin dojrzałości składałem nie w 1910 r. w Starym Sączu, tylko z początkiem listopada 1918 r., w więzieniu stawropolskim.

Z nudów grywaliśmy w szachy, zrobione z chleba, okrawków papieru, guzików. Najczęściej grywałem z inżynierem Gonczarowem; raz byliśmy prawie przy końcowej rozgrywce, gdy otwarły się drzwi i żołnierz wymienił nazwisko mojego partnera szachowego. „Z rzeczami czy bez rzeczy?", zapytał trochę przybladły, ale w formie inżynier. „Jak chcecie", była odpowiedź. Gonczarow już się opanował, popatrzył na szachy i rzekł: „Tę partię byłbym prawdopodobnie wygrał, ale tamtą – tu wskazał na drzwi – przegrałem, żegnajcie panowie". Nie odpowiedział mu nikt. W celi zapanowała przeraźliwa cisza, lubiliśmy go wszyscy za takt i bardzo wysoką kulturę duchową. Nie mogłem dłużej w tej ciszy wytrzymać, podszedłem do okna, chwyciłem za kraty i podniosłem się na rękach ku górze, nie zobaczyłem jednak nicze-

go. Po dłuższej chwili usłyszeliśmy trzask karabinów, osunąłem się na ziemię, już było po egzekucji, którą wykonano rozstrzeliwując ofiary. Ktoś zawołał: „Wiecznaja pamiat'". Zaczął się ruch, nastąpiło, jak codziennie po egzekucji, odprężenie, mieliśmy zagwarantowane 24 godziny życia, co już jest dużo. Oficer rosyjski, Bauman, którego uwięziono za to, że odmówił wstąpienia do armii Denikina, zaczął krążyć po celi jak dziki zwierz. W celi zresztą zawsze ktoś krążył.

Po południu wezwano mnie z Adamem „bez rzeczy" i przeprowadzono przez miasto do kontrrazwiedki[a]. Po drodze widzieliśmy wzrok przechodniów, w którym malowało się tak dużo współczucia i litości, mówiliśmy z Adamem, że umierać publicznie w takiej atmosferze byłoby nieciężko.

[a] *Контрразведка* (ros.) kontrwywiad.

Jakiś oficer odczytał mi punkty oskarżenia, i zapytał mnie o nazwiska współwinnych w związku z przeczytanym oskarżeniem. Zapytałem go w związku z czym, bo współwinni rewolucji francuskiej, o ile mi wiadomo, już nie żyją, zaś współwinnymi zarobienia 80 tys. rubli dla Uprawy są stosunki rosyjskie. Oficer nie zorientował się dokładnie, kiedy to mogła być ta rewolucja, wiedział, że dawno. Zapytał mnie jeszcze, z kim rozmawiałem o rewolucji francuskiej. Odpowiedziałem, że z pułkownikiem i jego żoną, ponieważ ogólnie było wiadomo, że stary pułkownik ma o 40 lat młodszą sympatię; wywołało to u mojego syszczyka[b] dobry humor.

[b] *Сыщик* (ros.) szpicel, detektyw.

Odesłał mnie z powrotem do więzienia, Adama Nadorożnego nawet nie zapytano o nic. Na następny dzień „wydatkowano" Ormiaszkę i Greka Andriolę, po nich kupca i jakichś dwu podrostków. Czekałem na swą kolej. W ten dzień przed wieczorem wywołano znów mnie i Adama „bez rzeczy", ponieważ było to po raz drugi, nie budziło u władz więziennych żadnego podejrzenia. Wydano nas jakiemuś

żołnierzowi i oficerowi, którzy mieli nas zaprowadzić do badania. Po drodze na ulicy Niewinomyskiej zaintrygowało mnie, że żołnierz zdjął bagnet i przybrał pozę, jak gdyby szedł z nami na przechadzkę.

Oficer zapytał mnie po imieniu, czy mam pieniądze. Wówczas dopiero poznałem w nim znajomego, któremu wyświadczyłem kilka przysług w okresie nagonki na oficerów. Zaprowadzili mnie pod Roszczę, gdzie poczekali na nas, zostawiając mi 10 minut na zlikwidowanie stosunków z Rosją. Wpadłem do mieszkania, przebrałem się w mundur rosyjskiego żołnierza, zabrałem bieliznę, pieniądze, suchary, i byłem gotów. Odprowadzili mnie jeszcze do stacji kolejowej i dopomogli wepchnąć się do wozu, gdzie było pełno krzykliwych Ormian. Za kilkanaście minut pociąg ruszył. Wcisnęliśmy się w kąt, i tak jechaliśmy ku stacji Kaukazka. Konduktorowi, który pytał o bilet, wepchnąłem do ręki banknot, dał nam więc spokój. Przed Rostowem przechodził przez pociąg jakiś liczny patrol, który aresztował sporo osób. Szczęściem na jej czele stał Polak, którzy przejrzawszy moje lewe papiery, że jestem zdemobilizowanym żołnierzem 16. Kaukaskiego Pułku Strzelców, zadał mi kilka pytań, a następnie uśmiechnąwszy się kazał nam jechać do Polski. Poznał, że jesteśmy jeńcy, nie robił nam jednakowoż trudności.

W Rostowie zgłosiliśmy się do austriackiej komendy, która wystawiła nam *Offener Befel*[a] na dalszą podróż. W Rostowie byli wówczas Niemcy. Był to obszar wojska dońskiego. Zaczynał się jednakowoż bałagan. Gdzie były garnizony, tam panował względny porządek, za miastem rządziło prawo pięści. Pociągi kursowały jak chciały, powracało sporo uchodźców, jeńców i żołnierzy niemieckich. Na stacji Ro-

[a] *Offener Befehl* (niem.) otwarty rozkaz, pozwolenie.

sjanki trzymały za szyje jakichś Węgrów, którzy nie zdradzali nadmiaru ochoty zabrać je ze sobą na paprykarz. Wybraliśmy się na Charków, ponieważ ta droga miała być rzekomo pewniejsza.

Na Ukrainie był wówczas zamęt nie lada. W jednym mieście rządzili Niemcy, w drugim hetman, w innym bolszewicy. Gdzieś koło Jekatierynosławia[a] opanowali miasto komuniści, ponieważ zaś spodziewali się najazdu anarchistów z sąsiedniego miasta, przyjęli nasz pociąg ogniem karabinów maszynowych, zabijając siedmiu jeńców Węgrów. Koło Sławuły[b] miały być wojska polskie Potockich. Po Ukrainie jeździliśmy tu i tam, wymijając najdziwniejsze fronty i jeszcze dziwniejsze republiki.

Od czasu do czasu pociąg stawał w polu, zainteresowany maszynista oświadczał, że potrzebny jest mały remoncik, Wiadomo nam było, co to może znaczyć. Ktoś brał czapkę, szedł od wozu do wozu i zbierał ruble na ów remoncik. Zebrane pieniądze wręczano maszyniście, który – zależnie od wysokości zebranej kwoty – prędzej lub później puszczał lokomotywę w ruch. Czasem zabrakło drzewa, lecz zawsze znalazły się podkłady kolejowe lub jakaś budka, którą można było rozebrać. Koło Winnicy dowiedzieliśmy się, że na Podwołoczyska jechać nie można, ponieważ koło Lwowa są walki z Rusinami[c]. Zmieniliśmy więc kierunek na Berdyczów, Równe, Kowel. Jechało się rozmaicie, w osobowych, ciężarowych wozach, pod ławkami, na dachach. Czasem wyskakiwaliśmy z pociągu w biegu, przed idącą patrolą. Żywiliśmy się przeważnie sucharami i słoniną. Raz, gdy nam było zbyt zimno, rozpaliliśmy ogień na środku wozu towarowego, kładąc na podłogę blachę. Ciepło nas rozmarzyło, zdrzemnęliśmy [się]. Obudził nas swąd i dym,

[a] Obecnie Dnietropietrowsk na Ukrainie. Miasto założone przez carycę Katarzynę II.

[b] Sławuta – miasto na Wołyniu, około 40 km na południowy wschód od Równego.

[c] Obrona Lwowa, m.in. przez polską młodzież i dzieci, tzw. orlęta lwowskie.

od rozpalonej blachy zajęła się podłoga, wypalił się spory otwór, ponieważ zaś pociąg był w ruchu, paliło się coraz lepiej. Szczęściem pociąg stanął, ugasiliśmy ogień śniegiem i przenieśliśmy się do innego wozu.

W Kowlu była już polska Komenda Dworca. Zgłosiliśmy się, prosząc o podstemplowanie naszych rozkazów jazdy. Zgłaszali się tutaj i żołnierze Polacy z województwa poznańskiego, u których podziwialiśmy wspaniałą postawę i dostatnie wyekwipowanie. Z Kowla pojechaliśmy na Chełm, Lublin, Dęblin, Radom (wstąpiłem tu i odszukałem Sejmeja-Jeżyńskiego), Kielce, Kraków. W Krakowie pożegnałem się z Adamem, który odjechał do Lwowa, ja zaś, po otrzymaniu papierów wojskowych, pojechałem do swego nowego pułku, tj. 1. [Pułku] Strzelców Podhalańskich. Podczas całej drogi przez Polskę nie można było kupić kawałka chleba, można było ewentualnie kupić wódki, ciastek, ale chleba nie kupiłby.

W Nowym Sączu, gdzie zgłosiłem się w Komendzie Etapu, wypytywano mnie o rozmaite wiadomości z Rosji, opowiadałem zdarzenia z okresu przewrotu. W toku rozmowy zatytułowałem jednego z oficerów „obywatelu poruczniku". Odpowiedział mi ostro, że tu na szczęście nie Rosja i że tu obywateli nie ma. Powiedziałem mu, że w Rosji tytułuje się per towarzysz, to zaś, że nie ma obywateli jest źle, czeka nas bowiem wojna z Rosją, a na wojnie lepiej zawsze biją się obywatele jak panowie. Rozmowa urwała się, sierżant bowiem nie powinien się był w ten sposób odnieść do pana porucznika, dano mi więc ośmiotygodniowy urlop wypoczynkowy, ze względu na zdrowie. Wyjechałem do Pisarzowej, do rodziców.

4. DWUDZIESTOLECIE [MIĘDZYWOJENNE]

Do rodzinnej wioski przyjechałem po czterech i pół roku nieobecności. Było prawie przed północą, nie spotykałem nikogo po drodze, wszystko wydawało się mi dziwnie ciche i małe. Skręciłem z szosy na Belonówkę. Dom Kanarka i pagórek nad nim zrobiły na mnie wrażenie, że się skurczyły i zapadły w ziemię. Wyszedłem na ogród, zobaczyłem obejście rodziców, to samo wrażenie, dom szary, stodoły pod czapą śniegu jakieś niskie, przysadziste, stajnie pochylone. Żadną miarą nie mogłem zobaczyć tych blasków, którymi krasiłem Belonówkę przebywając na wojnie i w niewoli.

Nie chciałem budzić rodziców w nocy, położyłem się na ganku, nie mogłem jednak zasnąć. Zacząłem więc obchodzić budynki gospodarskie i dom dookoła. Natknąłem się na dużego psa łańcuchowego Delfina, który jednak – pomimo tak długiej nieobecności – poznał mnie. Nie miałem na sobie ani strzępka z tej odzieży, którą nosiłem przed wyruszeniem na wojnę, mimo to bardzo złe psisko skowyczało z radości, wyskakując mi na ramiona. Ten skowyt wywołał z domu Ojca, który zobaczywszy kogoś w szynelu rosyjskim i kaukaskiej czapie w najlepszej zgodzie z najgorszym psem w okolicy, powiedział, że to może być tylko Antek. Po powitaniach i pisku sióstr dowiedziałem się, że brat Staszek zginął po odbyciu całej kampanii wojennej na 15 dni przed zawieszeniem broni. Młodszy Franek, po ukończeniu gimnazjum, wstąpił do zakonu oo. jezuitów. Na zapytanie o znajomych, najczęściej otrzymywałem odpowiedź – zginął, umarł, w niewoli, nie wiadomo, co z nim słychać.

Przyjechałem prawie na Wigilię Bożego Narodzenia, święta spędziłem w domu, czułem się źle po tej miesiąc trwającej podróży w nieopalanych wozach przez Rosję, 15 stycznia 1919 r. pojechałem jednak do Warszawy, do swego pułku. Kolegów zastałem na różnych stopniach służbowych, od sierżanta do komendanta baonu włącznie. Lekarz, który mnie badał, orzekł, że mam początki zapalenia płuc i kazał natychmiast wracać do domu, bo w szpitalu jest rozmaicie. Po powrocie odleżałem kilka tygodni, a następnie nie czując się silnym do służby wojskowej, zgłosiłem się do służby nauczycielskiej. Nie powróciłem do Siekierczyny, gdzie miałem etat, tylko zostałem w Pisarzowej.

Był tu cały babiniec[248]. Inspektorem szkolnym był S. Przez wojnę prowadził najrozmaitsze interesy, nie mające nic wspólnego ze szkołą, dlatego też po rozpadnięciu się Austrii rozpoczęły się kwasy i nieporozumienia pomiędzy nim a nauczycielstwem. Inspektor w swej obronie rozjeżdżał się po szkołach i zbierał podpisy na swą obronę, przyjechał i do Pisarzowej; grono złożyło już dwa nazwiska na cyrografie, zaproponowano i mnie podpisanie. Fakt wymuszania deklaracji przez przełożonego w swej obronie jest zawsze niemoralny, odpowiedziałem mu więc grzecznie, ale do słuchu. Miało to ten skutek, że inspektor pozbierał szpargały, wyskoczył na bryczkę i odjechał[a]. Grono, z wyjątkiem jednej nauczycielki, usunęło się ode mnie. Kierowniczce, która radziła mi, bym czym prędzej przeprosił inspektora, odpowiedziałem, że gwiżdżę na wszystko. Mieszkałem u rodziców, powojennej biedy nie odczuwałem.

[a] Zapewne inspektor Solecki, jest o tym wzmianka w Kronice Szkoły w Pisarzowej.

W tym właśnie czasie Wydział Powiatowy likwidował szkółkę drzew owocowych. Od znajomego sekretarza powiatowego Beka (ojca) otrzymałem 250 sztuk jabłoni, ce-

lem obsadzenia drogi powiatowej, prowadzącej przez Pisarzową, miałem więc zajęcie na kilka tygodni. Musiałem wymierzyć odległości, pokazać jak należy kopać doły, sadzić drzewka musiałem jednak sam[249]. W szkole nie było pomocy naukowych, podręczników, radzono nad planami, dzieci były głodne i obdarte. Ponieważ był ogólny brak wszystkiego, założono sklep Kółka Rolniczego. Najbogatszego gospodarza wybrano przewodniczącym, mnie zaś powierzono prowadzenie działu handlowego, o którym nie miałem żadnego pojęcia. Złożyliśmy wspólnie 75 tys. austriackich reńskich, jako kapitał zakładowy, o towar było jednakowoż bardzo trudno, coś niecoś jednak sprowadzaliśmy: żywność, materiały odzieżowe, skóry, co tylko można było nabyć. Oprócz sklepowego, pozostali pracowali bezinteresownie, więc szło niezgorzej.

Za wypowiedzenie swego zdania, co myślę o zbieraniu podpisów przez inspektora, zostałem przeniesiony do Siekierczyny na swe etatowe stanowisko, ale była to kara. Ponieważ musiałem się wycofać ze sklepu Kółka, kilku mych krewnych wycofało coś 50 tys. reńskich udziałów, motywując to tym, że pożyczyli pieniądze na moją odpowiedzialność.

Musieliśmy zlikwidować sklep, czysty zysk przeznaczono na cele społeczne. Z dochodów sprawiliśmy nowy dach na domu gminnym i szkole, zwanej Organistówką, i przykryli oba te budynki dachówką. Przynajmniej darmo nie pracowaliśmy. Zaraz po wojnie siostra moja wyszła za właściciela resztówki dworu w Siekierczynie, u nich więc zamieszkałem. Ponieważ zaś miałem sporo wolnego czasu, więc zająłem się rysowaniem map Polski i sporządzaniem pomocy naukowych. Bieda wśród nauczycielstwa ludowe-

go i w ogóle inteligencji była duża, warunki pracy nauczycielskiej nad wyraz ciężkie. Dzieci nie miały książek, zeszytów, przyborów do pisania, ubrania w strzępach, może co trzecie dziecko posiadało jakieś znośne bucięta, reszta przychodziła w trepach lub obwijała nogi szmatami. Kaszel nie ustawał ani na moment. Dwie klasy szkolne, wynajęte u gospodarzy, wypełnione były po brzegi. Żal mi było tych biednych dzieci i młodej nauczycielki, która wychodziła ze skóry, by jak najwięcej nauczyć, a borykała się jedynie z trudnościami technicznymi i apatią głodnych malców. Robiłem co mogłem, mogłem jednak bardzo mało. Na każdą niedzielę i święto chodziłem do domu.

1 czerwca 1920 r. wstąpiłem w związki małżeńskie z kuzynką, córką jednego z naszych dalszych sąsiadów. Koledzy, a zwłaszcza koleżanki, zapatrywali się na moje małżeństwo z „chłopką" rozmaicie. Gdy byłem jeszcze małym chłopcem, rodzice nasi uradzili nasze małżeństwo. [Kiedy] jednakowoż mnie oddano do gimnazjum, obie rodziny poróżniły się z powodu zerwania umowy. Według dawnych planów miałem się ożenić z nią i otrzymać Belonówkę, zaś siostra moja miała wyjść za jej brata, który miał odziedziczyć Górkówkę. Pomimo niechęci matek, z późniejszą żoną znałem się, wliczając w to okres wojny, coś dziewięć lat. Pomimo wszystko czułem się chłopem, najlepiej odpowiadała mi praca na wsi, nienawidziłem blagi i pozy małomieszczańskiej, nie mógłbym się pomieścić w dwu pokoikach wynajętych gdzieś na zakazanej ulicy. Musiał tu grać rolę atawizm szeregu pokoleń, które obcowały stale ze ziemią. Dosyć, że gdy Ojciec parę razy napomknął mi, że Sejmeje żenią się zawsze mając około 27 lat, i on chciałby wiedzieć, kto po nim zostanie.

Tak raz na jasno postawioną kwestię odpowiedziałem, że mogę ożenić się z Marysią z Górkówki. Pomimo pewnej niechęci matek, a zadowolenia ojców z obydwu stron, po otrzymaniu dyspensy kościelnej, pobraliśmy się. Rodzice dali nam tymczasem po niecałe 8 morgów pola, tak że na początek mieliśmy piętnastomorgową zagrodę.

W międzyczasie prokurator zainteresował się (co prawda trochę późno) inspektorem szkolnym; jego zastępca, na moją prośbę, przeniósł mnie do Pisarzowej[250].

Musiałem budować sobie dom, miałem wprawdzie około 5 mórg ładnego lasu, ale trzeba było drzewo przewozić po uciążliwej drodze. Sąsiedzi dopomogli mi, tak że pomimo niesprzyjającej zimy miałem przeszło 100 metrów kubicznych drzewa na miejscu budowy. Na początek wybudowałem sobie tylko dwa pokoje, kuchnię i przedpokój, by mieć własny dach nad głową. Pierwsze kilka lat po ślubie przepędzałem między szkołą a domem. W szkole spełniałem wszystko, co do mnie należało, lecz nic ponadto. Każdą wolną chwilę poświęcałem domowi i gospodarstwu. Pole, które otrzymałem, było oddalone od obydwu gospodarstw, a więc nienawożone i nieuprawione należycie. Musiałem stale budować, to stajnie, stodoły, piwnice, to znów dobudowałem dwa pokoje, łazienkę, ganek, korytarz, śpiżarkę. Trzeba było założyć sad, osuszyć bagniste łąki, bronić pastwisk przed zalewem rzeki.

W domu stale brakowało pieniędzy, musiało się zapłacić cieśli, stolarzowi, murarzowi, sprawiać sprzęty, skupować powoli inwentarz martwy i dochowywać się żywego. Do zarządu gminy należałem wprawdzie od 1921 r., ale zaznaczyć muszę, że wybrano mnie nie jako nauczyciela, tylko jako rolnika. Warunki w szkole zastałem mocno zatęchłe.

Stara kierowniczka, chorobliwie zazdrosna o swą władzę, nie pozwoliła mi na żaden samodzielny krok, a że równocześnie proboszcz dał się powodować otoczeniu, nie mogło być mowy o żadnej pracy społecznej. Wywalczyłem sobie tylko jedno ustępstwo: zaprowadziłem kursy rolnicze i zimą przez cztery miesiące, dwa dni w tygodniu, uczyłem bezinteresownie chłopów (po dwie godziny dziennie) rachunkowości rolniczej, gospodarstwa i języka polskiego. Towarzysko nie żyłem z nikim, oprócz rodziny mojej i żony.

Wprawdzie chciano nas wciągnąć w krąg tzw. inteligencji, [ale] nie mieliśmy [na to] ani czasu, ani ochoty. Żona zajęta była stale naszym małym gospodarstwem i synem, ja zaś miałem pod dostatkiem pracy w szkole i w domu. Wizyt w dzień codzienny nie uznawałem, w niedzielę zaś byłem szczęśliwy, gdy mogłem po obiedzie zdrzemnąć się, iść z synem na łąkę, a potem przeczytać książkę lub przeczytać dokładniej gazety z całego tygodnia, bo zwykle po otrzymaniu przeglądałem jedynie tytuły. Miejscowe towarzystwo najlepiej bawiło się w następujący sposób. Puszczano na wieś jakąś złośliwą bajkę na kogokolwiek, bardzo często mocno uwłaczającą, i zawiadamiano zainteresowanego o jej treści. Rozchodziło się o to, kiedy i w jakiej formie [fama] dotrze do zainteresowanego.Ta forma zabawy wydawała się płaska i głupia, i dlatego nie braliśmy w niej udziału, byliśmy więc częstym przedmiotem żartów.

Brałem bierny udział w życiu Ogniska ZNP w Limanowej, uczestniczyłem w zjazdach, konferencjach, ale to nie zajmowało mi zbyt wiele czasu. Więcej chwil wolnych zabierała mi gmina, w której po śmierci teścia i dalszej niechęci Ojca zostałem wbrew własnej woli przedstawicielem zamożniejszych chłopów i ich głosy miałem zawsze do dys-

pozycji. Kilkakrotnie próbowałem zorganizować jakąś imprezę, ale czy ją doprowadziłem do skutku, czy nie, zawsze powstawały kwasy i awantury z kierowniczką. Dałem spokój. Zająłem się dalej gospodarstwem, przeprowadzałem doświadczenia nawozowe i odmianowe, dokupiłem parcelę pięciomorgową, wprowadziłem uprawę roślin pastewnych, zwracając większą uwagę na dochód z mleka.

I tak jakoś nasze małe, bo tylko 20 mórg liczące gospodarstwo, było jednym z najlepiej prowadzonych w okolicy. To zwróciło na mnie uwagę, zostałem wybrany do Rady Powiatowej (1925 r.). W tym samym prawie czasie rozpoczęły się nieporozumienia pomiędzy nauczycielstwem a inspektorem szkolnym. Zająłem zdecydowane stanowisko, dlatego też po przeniesieniu się do Krakowa prezesa Lubojemskiego zostałem na jego miejsce wybrany delegatem do Rady Szkolnej Powiatowej i prezesem Oddziału ZNP w Limanowej[251]. Prawdę mówiąc było kilku nauczycieli, którzy lepiej spełnialiby te funkcje, na mnie zwrócono uwagę zdaje się dlatego, że pracując w Wydziale Rady Powiatowej miałem prawie zawsze za sobą starostę, a zawsze członków z ramienia Rady i przedstawicieli chłopów, tak że łącznie z przedstawicielami nauczycielstwa stanowiliśmy większość, i nie pozwoliliśmy inspektorowi szkolnemu przeprowadzić żadnej uchwały krzywdzącej nauczycielstwo.

Oprócz tego miałem dużo znajomych wyższych oficerów i kolegów z nowosądeckiego, których rok 1926 wywindował bardzo wysoko. Miałem dużo dobrych chęci, ale bardzo mało faktycznego przygotowania do pracy społecznej, ale takich [osób] było więcej. Takim był ówczesny starosta[252], sekretarz powiatowy, właściciel ślicznego folwarku, który całe swe duże dochody łożył w powiat[a],

[a] Antoni Stręk, w Wydziale Powiatowym od 1925 r., sekretarz powiatowy, zrezygnował w 1930 r.

i jeden z członków Wydziału, naczelnik sądu powiatowego[253]. Powiat był biedny, miał jednak jedną z najpiękniejszych tradycji, dzięki długoletniej pracy sekretarza powiatowego Beka i zrozumieniu marszałka powiatu. Tę tradycję chcieliśmy nadal utrzymać. Wszystkie możliwości [wykorzystaliśmy] na popieranie rolnictwa, powiat był bowiem [w] 95% rolniczy. Udało się nam wynaleźć dwie pierwszorzędne siły: inżyniera Górza, syna chłopa z Ludźmierza, który znał się na owczarstwie i hodowli bydła, i inżyniera Marka, ogrodnika praktyka.

Przy dalszych pracach natknęliśmy się na tę trudność, że nie było odpowiednich ludzi w terenie, postanowiliśmy więc założyć szkołę rolniczą w Łososinie Górnej, gdzie powiat miał resztkę dworu, około 30 mórg ziemi. To rozpętało burzę przeciwko tym innowacjom; wystąpili niektórzy ziemianie. Było nas w Wydziale sześciu (starosta, Mars – ziemianin, Małeta – naczelnik Sądu, Mamak, ja – rolnik, Stręk – sekretarz Rady Powiatowej), do głosowania zaś tylko pięciu, bo odpadał sekretarz Stręk. Posiedzenia były burzliwe, raz chwytaliśmy za ostatni argument krzesła, ostatecznie jednak uchwałę o budowie szkoły rolniczej przeprowadziliśmy[254]. Ogniska prosperowały dobrze. Spółdzielnia nauczycielska prowadziła sklep, była kasa pożyczkowa, biblioteka. Inspektorzy zmieniali się ustawicznie, tak że w pierwszym dziesięcioleciu było ich siedmiu, nie mogli więc wyrobić sobie pozycji; na posiedzeniach Rady Szkolnej Okręgowej – [jeśli] występowali przeciw interesom szkolnictwa i nauczycielstwa – byli stale w mniejszości.

Najczęściej jednak z wartościowymi inspektorami pracowaliśmy w zgodzie, a wyniki tej współpracy były bar-

dzo dodatnie (inspektorzy Orszulski, Trysztak, Wieczorek, Pytlarz). Raz rozpętała się burza, gdy insp[ektor] szk[olny] zwolnił 19 młodych nauczycielek, do których coś czuł (one do niego nie czuły nic). Odnieśliśmy się do Kuratorium, przedstawiliśmy wizytatorowi rzecz we właściwym świetle i zwolnienia zostały cofnięte. Inspektor postanowił przenieść czterech najbardziej zdecydowanych (Skoczeń, Ceglarz[255], Oleś[256] i ja). Miałem iść do Mołodeczna, innych przeznaczono do Czartoryjaka, Sarn i Kolek. Dowiedzieliśmy się o tym z Kuratorium, daliśmy inspektorowi do zrozumienia, że może i pójdziemy tam, gdzie on sobie życzy, my zaś ze swej strony postaramy się, że on znajdzie się w więzieniu. Zrozumiał naszą pogróżkę, i wycofał się z tej imprezy. Z przykrością jednak muszę zaznaczyć, że gdy raz podczas tej walki weszliśmy na salę konferencyjną, gdzie było zgromadzone nauczycielstwo, to zebrani stronili od nas. A przecież walkę rozpoczęliśmy i prowadziliśmy nie we własnym interesie, bo nam nic nie mogło grozić, ale w obronie najmłodszych i najbezbronniejszych kolegów i koleżanek. Inspektor ten jednak miał takie wyczyny za sobą, że utrzymać się nie mógł; został przeniesiony gdzieś nad Zbrucz.

Tymczasem i we wsi miałem nie najlepsze stosunki. Ponieważ we właściwej szkole była tylko jedna klasa szkolna i mieszkanie nauczycielki, zaś dwie klasy na Organistówce (jedna własna, druga wynajęta) były bardzo ciasne i ciemne, więc proponowałem dobudowę dwu klas, albo nadbudowę piętra nad budynkiem szkolnym. Na posiedzeniu Rady Gminnej uchwała byłaby przeszła, jednakowoż wystąpiła przeciw temu dotychczasowa kierowniczka, która u schyłku swoich lat nie chciała zaprzątać sobie głowy

budową. Podjudziła dewotki i te na plenarnym zebraniu gromady podniosły taki wrzask przeciw budowie szkoły, że zebrani ze śmiechem rozeszli się do domów[257]. Te i inne powody rozgoryczyły mnie do tego stopnia, że postanowiłem przenieść się do innej okolicy. Poważną rolę grał tu także argument, że gospodarstwo miałem bardzo rozrzucone, 8 mórg na przykład miałem dwa kilometry od domu, do szkoły zaś miałem 1700 metrów.

Pertraktowałem o dwa ośrodki, ale jeden zakupił miejscowy, drugi nie podobał się żonie. W międzyczasie, z powodu podeszłego wieku, przeszła na emeryturę moja dawna kierowniczka, z konkursu otrzymałem jej miejsce w 1928 r.[258] Wobec tego zostałem na miejscu, miejscowa rada szkolna, chcąc wynagrodzić mi poprzednią odmowę, szła mi na rękę. Przebudowano salę na Organistówce, dając nową powałę, podłogę, drzwi i okna, z dwu pokoi w domu Kółka zrobiono piękną salę szkolną. Ponieważ mieszkanie nie było mi potrzebne, dwa pokoje przemieniono na jedną salę, i w ten sposób zamiast jednej możliwej i dwu nędznych izb, mieliśmy dwie ładne i dwie możliwe sale szkolne[259].

Byłem już 19 lat nauczycielem (z czego należałoby odliczyć cztery i pół roku wojny). Tak jak po czterech latach pracy nauczycielskiej przyszedłem do przekonania, że seminarium nie dało mi ani zawodowego, ani ogólnego wykształcenia, że jedno i drugie musiałem zdobywać samokształceniem, tak teraz znów przyszedłem do innego, lecz podobnego przekonania. Stosunki na wsi miałem dobre, w powiecie miałem stosunkowo dużo do powiedzenia jako prezes Oddziału Powiatowego ZNP, prezes Związku Legionistów, członek Wydziału Rady Powiatowej, prezes Komisji Szkoły Rolniczej i członek zarządu iks organizacji, ostatnio

Szkoła Podstawowa w Pisarzowej, tzw. Organistówka.
Kronika Szkoły Etatowej w Pisarzowej

zaś zostałem członkiem zarządu Kasy Komunalnej. Spostrzegłem, że wiele poczynań udaje się mi, że jednakowoż na wielu rzeczach się nie znam, że myślę często kategoriami wsi i powiatu, a nie obejmuję państwa; jednym słowem, że nie znam form i metod pracy społecznej i że nie mam teoretycznego przygotowania do tych działań, które mi powierzono i które faktycznie wykonuję.

Podałem się więc na drugi kurs społeczno-rolniczy w Brodach[260], urządzony przez ZNP. Pół roku spędzone na intensywnej pracy, pod kierunkiem pierwszorzędnych profesorów i prelegentów i [stałe obcowanie] z nimi (Bystroń – socjologia[261], Heydel – ekonomia społeczna[262], Mikułowski-Pomorski – rolnictwo[263], Kupczyński[264] – Polska współczesna, Dąbrowski[265] – spółdzielnia, Rokita – sadownictwo[266], Sondel – ekonomika drobnych gospodarstw[267], Lorenc[268] – pszczelnictwo, Janowski[269] – hodowla i rolnictwo, Maj – historia wsi, formy i metody pracy na wsi[270], kultura wsi), bogata biblioteka, praca na uniwersytecie ludowym, a przede wszystkim [wiele] wycieczek, dały mi to, czego szukałem.

Najwięcej może dała nam dłuższa wycieczka do Czechosłowacji, celem poznania tamtejszych poczynań i kierunków pracy, a szczególnie najrozmaitszych typów szkół rolniczych, od ludowych do uniwersyteckich włącznie. Na kursie było nas 29 słuchaczy, po dwóch z każdego województwa (z Warszawy nie było nikogo, z warszawskiego jeden przedstawiciel).

W dyskusjach i rozmowach poznawaliśmy bezpośrednio całą Polskę. Prowadzenie takiej pracy, to była cudowna myśl na państwową skalę mierzona, nie utrzymała się jednak zbyt długo, ponieważ w Warszawie powiał inny

wiatr. Po powrocie do domu zabrałem się inaczej do pracy, bo o ile dotychczas brałem wszystko na swe barki i zgrywałem się sam, to obecnie postanowiłem sobie wychować na wsi współpracowników i przodowników, w tym też celu zorganizowałem zimową szkołę rolniczą (sześciomiesięczną)[271]. Obsada była tego rodzaju, że lepszej nie mogłem sobie życzyć. Inżynier Górz (rolnictwo, hodowla)[272], inżynier Marek (sadownictwo, warzywnictwo)[273], inżynier Drożdż (łąkarstwo), doktor Małeta (sądy pokoju), kierownik Odziomek (ogród ozdobny)[274], kierownik Chmura (czytelnictwo)[275], nauczycielka pani Orlof (śpiew)[276], nauczycielka pani Sopalanka (świetlica)[277], doktor Świba (weterynaria)[278], mgr Andruszkiewicz (samorząd), nauczycielka Szewczykówna (gospodarstwo kobiece)[279], nauczycielka Safinówna (roboty kobiece)[280]. Mnie pozostała historia wsi, kultura wsi, praca społeczna na wsi. Prelegenci pracowali bezinteresownie, przyjezdni mieli zwrot kosz tów podróży.

Słuchaczy i słuchaczek było 46. Pochodzili z czterech wsi, [byli] w wieku od 16 – 42 lat. [Ośmiu] było żonatych gospodarzy, z nich jeden dwudziestomorgowy, jeden był wójtem i członkiem Rady Powiatowej[281]. Pomimo że niektórzy mieli po cztery kilometry na kurs, frekwencja była bardzo dobra, [współpraca] nie pozostawiała nic do życzenia. Na tym to kursie i na następnym wychowałem sobie narybek dalszych pracowników, a niektórzy z nich wybili się i rokowali nadzieję, że zostaną przodownikami wsi. Dalszą pracę na wsi wzięli oni na siebie i pod kierownictwem nauczycielstwa prowadzili Koło Młodzieży Ludowej, urządzali szereg kursów, przedstawień, wycieczek, uruchomili bibliotekę, a przede wszystkim urządzali tzw. Wieczory

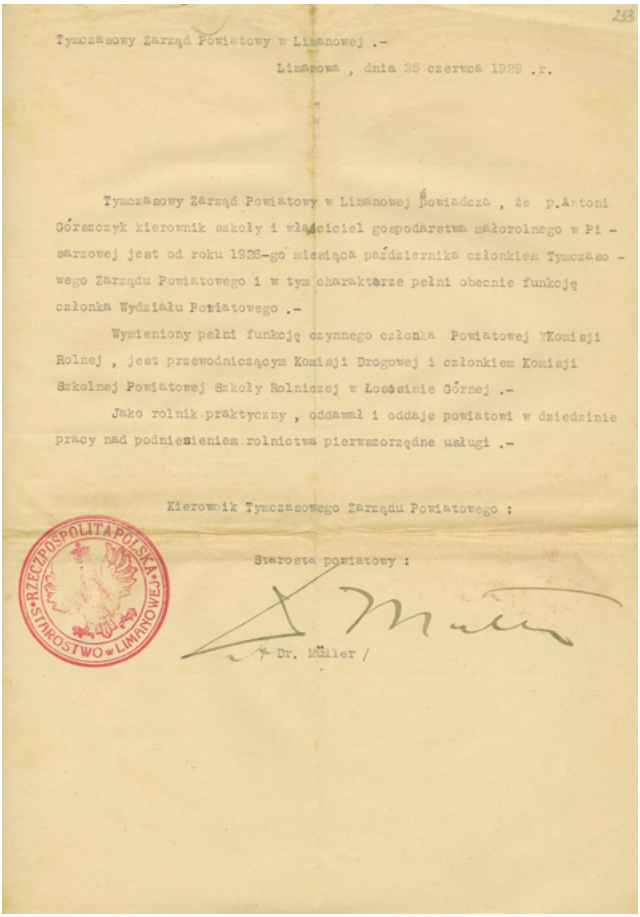

233

Tymczasowy Zarząd Powiatowy w Limanowej .-

Limanowa , dnia 25 czerwca 1929 .r.

Tymczasowy Zarząd Powiatowy w Limanowej poświadcza , że p.Antoni Górszczyk kierownik szkoły i właściciel gospodarstwa małorolnego w Pisarzowej jest od roku 1928-go miesiąca października członkiem Tymczasowego Zarządu Powiatowego i w tym charakterze pełni obecnie funkcję członka Wydziału Powiatowego .-

Wymieniony pełni funkcję czynnego członka Powiatowej Komisji Rolnej , jest przewodniczącym Komisji Drogowej i członkiem Komisji Szkolnej Powiatowej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej .-

Jako rolnik praktyczny , oddawał i oddaje powiatowi w dziedzinie pracy nad podniesieniem rolnictwa pierwszorzędne usługi .-

Kierownik Tymczasowego Zarządu Powiatowego :

Starosta powiatowy :

Dr. Müller /

RZECZPOSPOLITA POLSKA STAROSTWO w LIMANOWEJ

Zaświadczenie Tymczasowego Zarządu Powiatowego
w Limanowej nt. pełnienia różnych funkcji przez A. Górszczyka.
Ossolineum, sygn. 15382/II, s. 233

KURS SPOŁECZNO-ROLNICZY W BRODACH

zorganizowany przy poparciu MINISTERSTWA ROLNICTWA i MINISTERSTWA W. R. i O. P.
przez ZWIĄZEK POLSKIEGO NAUCZYCIELSTWA SZKÓŁ POWSZECHNYCH.

L. 52.

ŚWIADECTWO.

P. Antoni Górczyk, kierownik publicznej Szkoły powszechnej w Pisarzowej powiat Limanowa województwo Krakowskie ukończył całkowity 5-miesięczny Kurs Społeczno-Rolniczy, w dowód czego wydaje się niniejsze świadectwo.

Brody (poł. Kałuszyn Zebrzydowska), dnia 29 stycznia 1930 r.

KURSY SPOŁECZNO ROLNICZE w Brodach

Prokurent:

Dyrektor Kursu:

Dyrektor K. S. R.:

Czwartkowe, traktowane jako świetlice, próby chóru, referaty, dyskusje itp., ponadto organizowali stale zespoły konkursowe, hodowlane[282].

Na kilku pogawędkach i zebraniach Ogniska ZNP przyszliśmy do przekonania, że aby można było rozbudować pracę w powiecie, trzeba było przede wszystkim zainteresować nauczycielstwo i zapoznać ich z nowymi metodami pracy. W tym też celu zorganizowano, staraniem Oddziału i Ognisk, tygodniowy kurs dla nauczycieli powiatu w Łososinie, o nastawieniu rolniczym (1931 r.). Uczestników kursu zapraszano tak, aby zebrać najchętniejszych i by możliwie obsadzić każdy zakątek powiatu. Na kierownika kursu uproszono przewodniczącego oświaty pozaszkolnej przy Związku ZNP, profesora Maja, z ramienia Województwa był inżynier Hirszberg. Kurs udał się nadzwyczajnie. W roku 1932 zorganizowano drugi, o nastawieniu społecznym.

Po tych dwóch kursach urządziliśmy konferencję nauczycielstwa całego powiatu, ustaliliśmy kierunek i metodę, i rozdzieliliśmy pracę. Ze względu na specyficzne warunki lokalne, postanowiliśmy prowadzić pracę rolniczą jako apolityczną, a ponadto szerzyć wiadomości o Polsce i starać się o uspołecznienie środowiska. By wychować przodowników, prowadzono nadal co roku jedną zimową szkołę rolniczą, zawsze w innej okolicy (Limanowa, Sowliny, Młynne). Praca taka wymagała dużo pracy i sporo środków. Pierwszą dawało bezinteresownie nauczycielstwo, drugie Wydział Rady Powiatowej i Komisja Oświaty Pozaszkolnej ZNP. W następnych latach prowadziliśmy [liczne] kursy przeróbki wełny i trykotarstwa, celem ożywienia przemysłu chałupniczego, zatrudniając stale dwie

własne instruktorki. Praca ta cieszyła się taką [popularnością] w powiecie, że Wydział Rady Powiatowej subwencjonował ją kwotą 600–800 zł rocznie, od 1932 do 1939 r. Byliśmy więc jedyną placówką ZNP w Polsce, którą samorząd subwencjonował[283].

W szkole w Pisarzowej namówiłem nauczycielkę robót, by zużytkowała ludowe motywy zdobnicze ze skrzyń i starych haftów, i by roboty wykonywać na płótnie własnego wyrobu. Początkowo nie dawała się przekonać, później jednak, idąc w tym kierunku, nauczyła dziewczęta ślicznie wyszywać, a co najważniejsze tak ujęła rodziców, że ci bardzo chętnie dawali materiał na roboty.

Najgorzej na tym wszystkim wychodził dom, albowiem szkoła, praca w gminie, powiecie, kursach, kasie i organizacjach zajęła mi prawie cały czas, tak że dla rodziny i gospodarstwa już nic nie pozostawało. W tym właśnie czasie zacząłem pisać pracę pt. „Pisarzowa w latach 1870-tych (szła jako felieton przez kilka miesięcy w „Gazecie Podhalańskiej")[284], „Porównanie wsi królewskiej i szlacheckiej" (szła w „Głosie Podhala")[285] i [wiele] innych krótszych prac i artykułów umieszczanych w prasie ludowej. Po jakiejś wizytacji, a właściwie po jednym artykule Władysława Grabskiego, o pracy i pracownikach w powiecie limanowskim[286], zaangażowało mnie Kuratorium jako prelegenta na szereg kursów dla nauczycieli, poruczając mi omawianie zagadnień rolniczych i pracy nauczycielskiej na wsi (Bochnia, Mielec, Częstochowa, Myślenice, Kraków, Wadowice, Nowy Sącz, Kielce). Dało mi to możność zetknąć się z całym szeregiem prawdziwych pracowników i pogłębić pewne wiadomości. Bezpośrednio po tym zwrócił się do mnie z taką samą propozycją Małopolski Związek Młodzieży

Słuchacze i wykładowcy Wieczorowej Szkoły Rolniczej
w Pisarzowej, 1933 r.

Uczestnicy i wykładowcy Wieczorowej Szkoły Rolniczej, Pisarzowa 1933/1934 r.
Kronika Szkoły Etatowej w Pisarzowej

Ludowej, z jego więc ramienia jeździłem znów przez [kilka] lat po całym województwie, na kursy urządzane prawie we wszystkich powiatach dla przodowników wsi, z odczytami związanymi z pracami młodzieży wiejskiej.

Wyjeżdżałem chętnie, jakkolwiek do tej pracy musiałem dokładać. Wprawdzie wykłady były honorowane, ale rozjazdy kosztowały zawsze więcej. Mój czysty zysk był taki, że do każdego wykładu musiałem się przygotować, co nie pozwoliło mi „zaśniedzieć". Stykanie się zaś z rozmaitymi ludźmi i zagadnieniami nie zawężało mi horyzontu do skali limanowskiego powiatu. Zawód prelegenta rozpocząłem w nowosądeckim żeńskim i starosądeckim męskim i żeńskim gimnazjum. Najmilszy jednak nastrój [panował] na kursach przodowników młodzieżowych, najmniej [było] zrozumienia w seminarium, co zresztą jest zrozumiałe, ponieważ młodzież szkolna z pracą oświatową się jeszcze nie zetknęła.

Z tą chwilą, jak zacząłem jeździć z wykładami, pożegnałem się z przedostatnią przyjemnością – z polowaniem. Przez kilka lat dzierżawiłem rewir w Pisarzowej (około 2700 mórg), zwierza było sporo, ale czasu na tę przyjemność brakło.

Pozostała mi tylko ostatnia przyjemność – wycieczki w Tatry. Gdy mi było bardzo źle, dokuczyła mi podłość lub małostkowość ludzka, spotkała mnie krzywda lub zniechęcały machlojki polityczne lub niszczenie istotnych wartości dla koniunkturalnych interesów, uciekałem sam lub z bratem, ewentualnie [z] inżynierem Górzem, w Tatry. W najcięższej depresji szedłem sam, poleżałem na Granatach lub Buczynowej kilka lub kilkanaście godzin twarzą do słońca, przemyślałem i przetrawiłem to, co mi dolegało, a gdy

Uczniowie i wykładowcy Zimowej Szkoły Rolniczej w Młynnem, 1933 r.
ZNP Oddział w Limanowej, Księga Pamiątkowa

Powiat polityczny Limanowa

L. 29665/3
Poz. 25

Karta myśliwska

ważna na cały obszar b. Królestwa Galicji z W. K. Krakowskiem na 1 rok kalendarzowy to jest na czas od 1/4 - 1926 do 31/12 - 1927

Imię i nazwisko posiadacza: Antoni Górszczyk

Stempel

Zatrudnienie Kamieniarz

Wiek 1892 Zamieszkanie Pisarzowa

Ustanowioną taksę uiszczono.

Własnoręczny podpis posiadacza:

Karta myśliwska Antonirgo Górszczyka za lata 1926–1927. Zb. R.

o zmierzchu schodziłem ku stawom, dziwiłem się sam sobie, że podobna drobnostka mogła mi zamącić spokój i wytrącić z równowagi.

Budowa pomnika

W roku 1932 zawiązał się we wsi komitet budowy pomnika dla poległych w walkach o niepodległość. Ze wsi zginęło 37, z tych pięciu w Legionach, siedmiu w wojnie z bolszewikami, 25 w austriackiej armii. Rozpisano odezwę do Pisarczaków w Ameryce i w Polsce, propaganda jednak musiała być bardzo marna, bo wpłynęło z tego tytułu niecałe 100 złotych. Kosztorys wynosił przeszło 800 złotych (oprócz materiału, zwózki i niefachowej robocizny, które ofiarowali Pisarczacy bezinteresownie). Sto złotych przysłał mi brat z Ameryki, ponieważ umowę z przedsiębiorcą zawarłem jako przewodniczący komitetu, musiałem dopłacić brakujące 600 złotych. Miałem wówczas niepotrzebną parę byczków, sprzedałem je i wyrównałem należność. Przyczepiła się do mnie Ubezpieczalnia, by zapłacić 86 złotych jakichś należytości, pisałem podania, protesty, nic nie pomagało.

Raz w czasie mej nieobecności, w 1937 r., zajęli mi dwie krowy, mimo to nie zapłaciłem, dopiero w 1940 r. odszukano [mnie] i wyegzekwowano [podatek]. Nie bolało mnie zapłacone 600 złotych, ale te 90 i kilka z odsetkami nie dawały mi spać. W czasie budowy Ubezpieczalnia nie kiwnęła nawet palcem, nie świadczyła przedsiębiorcy ani robotnikom ani grosza, nie była to moja własność, mój majątek o grosz nie powiększył się, mimo to zapłacić musiałem. Drugi raz do budowy pomnika nie byłbym się już zabierał.

249

Do W. P .....

W 10 rocznicę Niepodległości zawiązał się w Pisarzowej komitet uczestników wojny, mający na celu wybudowanie pomnika dla 37 mieszkańców tutejszej gminy, którzy polegli w walkach 1914 – 1920 r.

Aby pamięć tych którzy złożyli swe młode życie na ołtarzu Ojczyzny, nie zaginęła, aby potomnym pozostawić widomy znak ceny, za którą okupioną została wolność, ażeby przed oczyma młodych pokoleń stał ten pomnik jako przypomnienie co winno Ojczyźnie, a przedewszystkiem ażeby uczcić i zachować dla potomnych nazwiska tych wszystkich, których kości są rozrzucone po całej Europie, pomnik ten musi być trwały. My, byli uczestnicy wojny, zamieszkali w Pisarzowej, damy o ile to będzie w naszej możności.

Zwracamy się jednak do wszystkich Pisarczaków rozsianych po obczyźnie z gorącą prośbą, ażeby wydatnie przyczynili się do tego dzieła, przesyłając na ten cel datki. Śmiemy prosić, ponieważ nie prosimy o nic dla siebie, ale ś. p. naszych i Waszych braci, ojców, kolegów i przyjaciół.

Po ukończeniu budowy prześlemy wszystkim ofiarodawcom wykaz ofiar i rachunków. Datki prosimy przesłać pod adresem:

A. Górszczyk kier. szkoły
Pisarzowa. Woj. Krakowskie.
Polska – Poland. Europe.

KOMITET BUDOWY POMNIKA:

A. Górszczyk — *b. podof. Leg. polskich.*
Tomasz Górski — *b. podof. arm. Hallera.*
Izydor Ciuła — *b. podof. arm. aust.*
J. Smoleń. *M. Frączek.* *Fr. Serafin.*

Ulotka Komitetu Budowy Pomnika w 10. rocznicę Niepodległości.
Ossolineum, sygn. 15382/II, s. 249

Pomnik poległych w walce o Niepodległość
k. kościoła w Pisarzowej. Zb. R.

Budowa szkoły

W ciągu swej pracy kilkakrotnie starałem się o rozbudowanie szkoły. Początkowo chciałem, aby dobudować ze dwie sale szkolne, później proponowałem wybudowanie na starej szkole piętra, zamiary te jednak spełzły na niczym.

Zamiary rozbijały się przede wszystkim o brak parceli budowlanej. W 1936 r. udało się nam zakupić parcelę od stryjecznego brata i tam postanowiliśmy budować[287]. Parcela była mała, 1200 sążni[a], chcieliśmy zakupić na ten cel od jednego z gospodarzy dwie morgi pola, płacąc mu trzykrotnie więcej, aniżeli wynosiły ceny miejscowe, nie zgodził się jednak. Ponieważ w środku wsi nie było żadnej większej parceli, wobec tego postanowiliśmy radą gromadzką wybudować na posiadanej parceli, a równocześnie pertraktowaliśmy o dokupienie pół morgi pola. 6 [grudnia] 1937 r. rada gromadzka uchwaliła przeznaczyć tysiąc sztuk najgrubszego drzewa z Zabrzeża na budowę szkoły, co przedstawiało około 27 tys. złotych wartości. Kosztorys budynku murowanego, jednopiętrowego, o pięciu salach szkolnych, dwu rezerwowych, z mieszkaniem dla kierownika, wynosił 35 tys. złotych. Brakujące 8 tys. złotych otrzymalibyśmy z gminy. Towarzystwo Popierania Budowy Szkół Powszechnych[288] [i] ewentualnie gromada miały jeszcze duże możliwości.

[a] Sążeń wiedeński (kwadratowy) liczył 3,5971 m². Sążeń = 1,90 m.

Rok 1938 upłynął na wyrabianiu planów mapek sieci szkolnej, zaświadczeń urzędu drogowego, orzeczeń Kuratorium, zbieraniu opinii władz samorządowych itp. formalnościach. Ogółem do otrzymania z Kuratorium zezwolenia na budowę szkoły przesłaliśmy 14 (czternaście) załączników, niektóre w dwóch lub trzech egzemplarzach, i to wówczas, gdy państwo nie dawało nam ani grosza subwencji. W 1939 r.

wybudowaliśmy barak, zwieźliśmy kilkanaście m³ desek i materiał na rusztowania, kamienie na fundamenty, piasek, zadołowaliśmy dwa wagony wapna i zaczęliśmy zwozić cegły, której na miejscu budowy było już kilkanaście tysięcy. Przedsiębiorca miał rozpocząć roboty 10 września, tak by [w] 1939 r. wykończyć sutereny. Żadnych sprzeciwów we wsi nie podnoszono, jedynie tylko żałowano, że przy szkole będzie tak mało gruntu.

Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem (c. d.)[289]

Przykrości zaczęły być coraz częstszym chlebem. Zaczęto tworzyć BBWR. Początkowo zaproponowano kilku zacnym ludziom zorganizowanie tej rzekomo apolitycznej grupy politycznej, ci jednakowoż nie podejmowali się tej roboty. Przysłano więc pewnego lekarza, z misją zawiązania Bloku. Lekarz gniótł kogo mógł (mnie również) dotkliwie, aczkolwiek bez rezultatu. Ostatecznie, po walnym zebraniu sympatyków zgromadzonych przy jednym stole w restauracji Bursztyna[a], wybrano prezydium. Zarządu nie wybierano, ponieważ nie było tylu członków, z ilu powinien się składać zarząd. Przez dwa lata był spokój. Kraków był zadowolony z sukcesu, my zaś długo nic nie wiedzieliśmy o istnieniu nowej partii. Lekarz był rozsądny i nie próbował robić tego, co było niemożliwością, był zaś na tyle kulturalny, by szykanami, groźbą lub przekupstwem [nie] zjednywać członków.

[a] Burmistrz Limanowej Marceli Bursztyn był właścicielem restauracji.

Wobec nikłych rezultatów, Kraków zamianował weterynarza powiatowego, polecając mu rozbudować BBWR. Nowo mianowany był rzeczywiście zdolnym weterynarzem, metody pracy miał takie jak jego pacjenci, skrupułów żad-

nych. Do pracy chciał przede wszystkim zaprząc nauczycielstwo, odpowiedzieliśmy w 90% negatywnie. Zapamiętał to sobie, zajął się zbieraniem członków. Komu groził sekwestr, protest weksla, kryminał, kto chciał otrzymać chociażby najskromniejszą pracę w powiecie, musiał mieć legitymację BBWR. Sekretarz tej nowej organizacji zapewniał mnie, [że] w każdy tydzień musi przynajmniej dziesięć razy interweniować w sądzie w sprawie członków. „Żebyście wiedzieli, co to za banda?" – mówił mi, gdy mu współczułem. Członkowie ZNP pracowali w powiecie bardzo intensywnie w organizacjach społecznych, kilku w politycznych, gdzie kto chciał i mógł.

Tam gdzie pracowali sami nauczyciele, żądaliśmy, by i firma była nasza. Organizacje polityczne spoglądały na to krzywym okiem, ale nie mówiły nic, dopiero Blok, mając otwarte konto, a nie mając żadnych wpływów, chciał naszą pracę zainkasować na swe dobro. Nie pozwoliliśmy. Ponieważ jednak prezes Oddziału Powiatowego ZNP nie miał w tych czasach odpowiedniego ciężaru gatunkowego, dlatego też z Blokiem walczył prezes Związku Legionistów (byłem jednym i drugim od kilku lat). Do organizacji należało pięciu nauczycieli, kilku urzędników i około 20 chłopów z tej drużyny, którą wyprowadziłem w 1914 r. z Łososiny. Związek Legionistów był w naszych nauczycielskich rękach. Niepoczytalne wystąpienia prezesa Bloku, [jego] okrzyki, że potrafi złamać prawo w obronie własnych członków, pomiatanie przedstawicielami władzy, pijackie i inne wybryki, rozpętanie nagonki na „piastowców" i kontrakcja tychże, umożliwiały nam obronę.

By zastraszyć nauczycielstwo, postarał się o dekret przeniesienia dla nauczyciela Lacha gdzieś na Polesie, za to, że

tenże mając wpływy we Wilkowińsku[a], kilku braci i sporo krewnych, nie chciał się podjąć utworzenia miejscowego koła BBWR. Tego nauczyciela wybrano zaś dlatego, że nie należał do związku ZNP, by więc nie miał tytułu do obrony. Pomimo to udałem się do starosty, z którym w Wydziale Rady Powiatowej pracowałem, i z którym byłem na dobrej stopie, i po dwugodzinnej pogawędce dekret został odesłany do Kuratorium. Pogawędka miała dużo ciekawych fragmentów. Starosta proponował mi, bym został prezesem BBWR, a wówczas poprowadzę pracę jak będą uważał za właściwe, a on da mi dużo możliwości, auto do własnej dyspozycji, środki itd. Odpowiedziałem, że wystarczą mi własne nogi i konie, gdy nie pracuję w polu, a do brudnej roboty nie nadaję się. Otrzymałem odpowiedź, że kanalarze wykonują brudną robotę, a jednak są pożyteczni, jeżeli nie chcę pewnych prac wykonywać, to niech przynajmniej nie przeszkadzam. Ustąpił dopiero wówczas, gdy powstałem i oświadczyłem, że gdy tylko kolega Lach zostanie przeniesiony, z tą chwilą wnoszę na jego ręce rezygnację ze wszystkich stanowisk, tj. w Radzie Powiatowej, jej komisjach, Kasie Komunalnej, Szkole Rolniczej i wycofuję się ze wszystkich innych dotychczasowych stanowisk.

[a] Wilkowisku.

Powódź

Powódź w 1934 r. zrobiła bardzo wielkie spustoszenie. Ucierpiały szczególnie wsie położone nad Smolnikiem, Łososiną, Słomką i Częściowo nad Mszanką. Szkoła w Pisarzowej była oddalona od Smolnika może 30 kroków, powódź doszła do progu, a cztery kroki od ganku była wyrwa na 2 metry głęboka, płot ogródka wisiał w powietrzu. Po ko-

lana w wodzie brodząc, wynosiliśmy akta, pomoce, sprzęty szkolne, a nawet drzwi i okna. Równocześnie pracowano nad odwróceniem biegu prądu wody, co się nam ostatecznie udało. Wszyscy mieszkańcy ponieśli mniejsze lub większe straty, kilku gospodarzy bardzo wielkie. Do powiatu zaczęła napływać pomoc z całej Polski. Zorganizowano Komitet, na którego czele stanął prezes BBWR. Tu zaczęła się tragikomedia, coś niecoś otrzymali poszkodowani, większość darów szła na kaptowanie członków BBWR i Związku Rezerwistów.

Szedł cały sznur wozów ze słomą na Wysokie, które zupełnie nie ucierpiało, jako położone na szczycie góry, pewien właściciel ziemski (prezes lokalnego koła BBWR otrzymał kilka tys. sztuk cegieł, kilkadziesiąt worków cementu, 40 q[a] ziemniaków i kilka kwintali owsa, jedyną zaś szkodę, jaką poniósł była ta, że woda zabrała mu wierzbę i dwa m² ziemi.

[a] Kwintal, odpowiada 100 kg.

[Wielu] gospodarzy z tej samej wioski, mimo dużych strat, nie otrzymało nic. W Pisarzowej pomoc dla dotkniętych powodzią była minimalna, natomiast każdy członek BBWR otrzymał po 25 kilogramów jęczmienia, jakkolwiek wielu z nich ani skibki pola nie posiadało. W Ujanowickim dla odmiany wypłacano każdemu z uczestników wiecu BBWR po 4 kilogramy mąki. Podobnie było w całym powiecie. Gdy zwracałem uwagę starosty na ten niezdrowy objaw, ruszył ramionami i rzekł: „To należy do weterynarza, nie chcę mieć nic wspólnego z tą robotą". Naturalnie, jeżeli ktoś należał do ludowców, to mógł być zrujnowany przez powódź, nie otrzymał jednak żadnej zapomogi[290].

[Polskie Stronnictwo Ludowe] Piast[291]

W związku z tym, z tą niepoczytalną robotą zaczął się szerzyć w powiecie bardzo radykalny ruch ludowy. Poważni i spokojni przywódcy, terroryzowani i szykanowani, przeważnie usunęli się od pracy, ster objęli młodzi, niepoczytalni, którzy korzystali z błędów popełnionych przez Blok i zorganizowali cały powiat. W latach 1934–1938 oblicze powiatu przedstawiało się następująco: najpoważniejsi chłopi usunęli się na bok, jakieś 60% powiatu było zorganizowanych w Stronnictwie Ludowym Piast, był tam element młodszy, radykalny, średnio zamożny, zamożny, i część biedoty wiejskiej. Kilka procent należało do Bloku. Byli to ludzie koniunktury, którzy zawsze są tam, gdzie korzyść. Byli też biedacy, którzy oczekiwali pracy lub zapomogi, był również cały szereg „łamagów" duchowych i fizycznych, czepiających się to tu, to tam[292].

Pismo do Walerego Sławka

Ponieważ stan ten z punktu widzenia państwowego uważaliśmy za szkodliwy, Prezydium Związku Legionistów zwróciło się z umotywowanym pismem do premiera Sławka, prezesa Związku Legionistów, wojewody Kwaśniewskiego i szefa bezpieczeństwa publicznego Małaszyńskiego, w sprawie sanacji tego stanu.

W piśmie tym wykazaliśmy, ile poszczególni lokalni dostojnicy BBWR ukradli tysięcy złotych, ile niektórzy siedzieli, ewentualnie ile im na podstawie amnestii darowano. Wykaz był wielce interesujący. Pismo nasze było jednak gadaniem dziada do obrazu. Dopiero po upływie dłuższego cza-

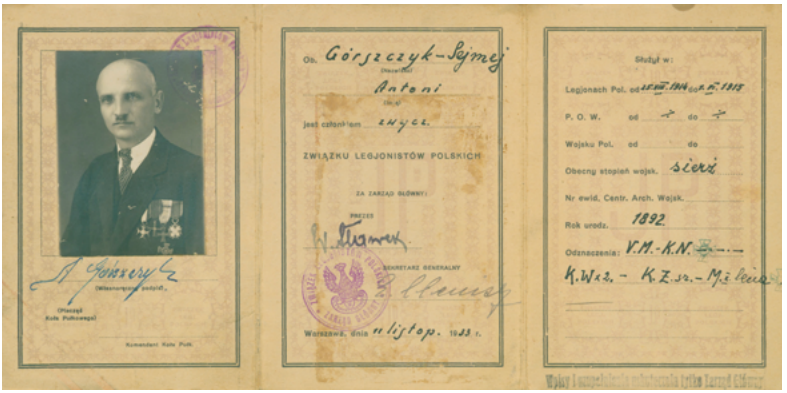

Ob. Górszczyk-Sojmej
(Nazwisko)
Antoni
(Imię)
jest członkiem zwyczajnym
ZWIĄZKU LEGJONISTÓW POLSKICH
ZA ZARZĄD GŁÓWNY:
PREZES
SEKRETARZ GENERALNY
Warszawa, dnia 11 listop. 1933 r.

Służył w:
Legjonach Pol. od 15 III 1914 do 1918
P. O. W. od – do –
Wojsku Pol. od do
Obecny stopień wojsk. sierż.
Nr ewid. Centr. Arch. Wojsk.
Rok urodz. 1892
Odznaczenia: V.M.-K.N. K.W.x2. – K.Z.x2. – M.z Lecha

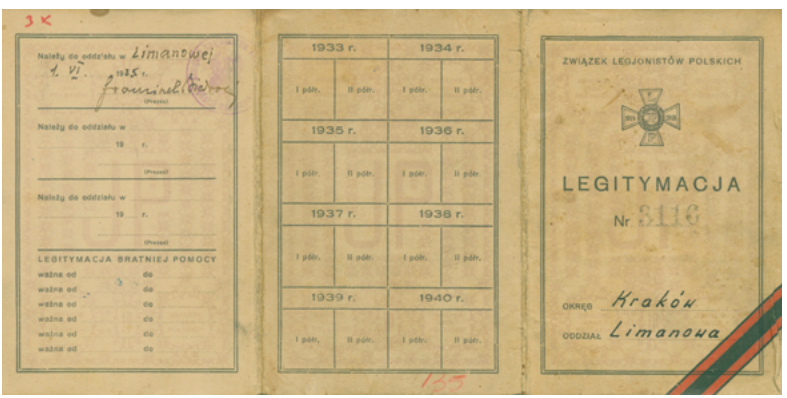

Należy do oddziału w Limanowej
1. VI. 1935 r.
(Prezes)
Należy do oddziału w
19 r.
(Prezes)
Należy do oddziału w
19 r.
(Prezes)
LEGITYMACJA BRATNIEJ POMOCY
ważna od do
ważna od do
ważna od do
ważna od do
ważna od do
ważna od do

1933 r.		1934 r.	
I półr.	II półr.	I półr.	II półr.
1935 r.		1936 r.	
I półr.	II półr.	I półr.	II półr.
1937 r.		1938 r.	
I półr.	II półr.	I półr.	II półr.
1939 r.		1940 r.	
I półr.	II półr.	I półr.	II półr.

ZWIĄZEK LEGJONISTÓW POLSKICH
LEGITYMACJA
Nr 3116
OKRĘG Kraków
ODDZIAŁ Limanowa

Legitymacja Związku Legionistów Polskich. Zb. R.

su, gdy byłem z kolegą Biedroniem u wojewody Raczkiewicza, wstąpiliśmy również do znajomego z dawnych czasów, Małaszyńskiego. Po chwili rozmowy wyjął z biurka nasze pisma, które posyłaliśmy do premiera Sławka i wojewody Kwaśniewskiego, i dodał, że one u niego pozostaną w spokoju, kpiąc z naszej donkiszoterii i poszukiwania sprawiedliwości. Za to poszukiwanie sprawiedliwości oberwałem niejednokrotnie w życiu, mimo to nieraz ponosiło mnie i szukałem znów guza.

Rok później atmosfera stała się w naszym powiecie do tego stopnia ciężka, że koledzy błagali mnie, bym co próbował zaradzić. Pomimo swych 40 z okładem lat, dałem się znów nabrać i wybrałem się do Warszawy, sądząc, że tu na pewno jest rozlewnia sprawiedliwości. Zajechałem do Związku[293] warszawskim rankiem (u nas o tej porze kury idą od wody, a dziad proszalny przychodzi z trzeciej wsi), udałem się do jednego z nowosądeckich kolegów, który pomimo bardzo wysokiego stanowiska poznawał dawnych kolegów, a nawet czasem ich odwiedzał. Nie prosiłem nigdy o nic dla siebie, prosiłem w imię dobra powiatu. Przyjął mnie jak zawsze życzliwie. Przy śniadaniu opowiadałem mu, po co przyjechałem.

W pewnym momencie aż się zachłysnął wódką, zwrócił się do trzeciego z towarzystwa, mówiąc: „Patrz, do Warszawy przyjechał po sprawiedliwość, oglądnij go, takie okazy są tylko jeszcze w naszej okolicy. Człowieku, kogo tu obchodzi sprawiedliwość w limanowskim powiecie. Powiatów jest dwieście kilkadziesiąt, a że tam w jednym jest niezupełnie w porządku, to przecież nie jest rzeczą ważną, tu mamy ważniejsze rzeczy (kpił ze stołecznych stosunków); jutro jest przyjęcie u ministra X, pojutrze u ministra Y, po-

tem zaś *garden party* u samego S., to są rzeczy ważne. Mów po polsku – potrzeba ci coś, to się załatwi, chcesz kogoś spławić, to jest do zrobienia, tylko na miłość Boską o sprawiedliwości nie mów, bo się znów zachłysnę i stracę resztę szacunku, jaki jeszcze do ciebie żywiłem". Uśmialiśmy się serdecznie, jakkolwiek sam śmiałem się z goryczą.

Położenie gospodarcze wsi, przemysł ludowy

Lata dobrej dla wsi koniunktury dawno minęły, zamknięto rafinerię nafty, sam budżet powiatowy stracił 45 tys. złotych podatku samorządowego, wieś pod względem gospodarczym leżała na obydwie łopatki[294]. Zaczęliśmy szukać nowych źródeł dochodu. Założyliśmy w Łososinie dużą mleczarnię i serownię[295], propagowaliśmy hodowlę owiec fryzyjskich i karakułów. Była wełna, trzeba ją było zużytkować; wyrabialiśmy samodziały początkowo w Pisarzowej i Łososinie, a później w wielu miejscowościach. Uruchomiliśmy (Komisja Oświaty Pozaszkolnej ZNP w Limanowej) 19 kursów trykotarskich, na które uczęszczało przeszło 600 dziewcząt i nauczyło się prać, grępłować, prząść, barwić wełnę, robić pończochy, rękawiczki, swetry, szale. Ponieważ powstawały jeszcze gorsze gatunki wełny, zaczęliśmy z odpadków wyrabiać kilimy (w Dobrej) o motywach zdobniczych ludowych, biorąc wzory ze skrzyń w Pisarzowej. W 1937–1938 Koło Młodzieży Ludowej w Pisarzowej dostarczało skarpety i rękawice do 4. Pułku Strzelców Podhalańskich w Cieszynie. Praca ta mogła dostarczyć [zajęcia] i dochodu dla ludności powiatu idącego w dziesiątki tysięcy złotych, gdyby była jednolita przędza. Przy pomocy Krakowskiej Izby Rolniczej miała powstać w Limanowej przędzalnia wełny

dla powiatów podgórskich. Ponieważ rozbudowanie tego działu miało być ponoć i moją zasługą, dlatego też obrano mnie dyrektorem tej nowej placówki. Środki mieliśmy, lokal dała Rada Powiatowa, maszyny miały nadejść we wrześniu 1939 r., w listopadzie mieliśmy uruchomić przędzalnię[a].

[a] Zarejestrowana w 1939 r. p.n. Podhalańska Przędzalnia Wełny w Limanowej.

Młodzież wiejska ucząca się

Dawniej stosunkowo sporo młodzieży uczęszczało do średnich szkół, zajmując najrozmaitsze stanowiska w administracji, szkolnictwie, rzadziej w wolnych zawodach, najczęściej zaś szła do seminarium duchownego. Po roku 1930 odpływ ten został zatamowany, talentów na wsi marnowało się dużo, taksy administracyjne, najrozmaitsze daniny i wymagania odzieżowo-wycieczkowe, były ponad finansową możność zamożnego chłopa. Przez deklamowane sito przesiewano nie talenty, tylko zamożność rodziców, uniemożliwiając biednym dostęp do oświaty. Z Pisarzowej odpływ ten z tych właśnie względów ustał, nie mogąc gdzie indziej umieściłem trzech uczniów w szkole rolniczej w Łososinie i namówiłem rodziców do posłania trzech dziewcząt do szkoły rolniczej żeńskiej, którą w ostatnich latach w powiecie założono[296].

Przyszło mi to o tyle łatwo, że ze szkołą rolniczą łączył mnie pewien sentyment, tu ćwiczyłem jako drużyniak, stąd wyprowadziłem grupę najlepszej młodzieży chłopskiej w pole. O tę szkołę kilku nas walczyło prawie że z całym powiatem. Dziesięć lat byłem przewodniczącym, w ostatnich latach członkiem komisji szkolnej, utrzymywałem więc z nią i gronem stały kontakt.

Grono Nauczycielskie; praca w Kole Młodzieży Ludowej

Naturalnie, ten stan dał się utrzymać dzięki doborowi grona nauczycielskiego i ich wydajności pracy. Sporów w gronie nigdy nie było, każdy miał swój krąg zainteresowań, na gruncie towarzyskim spotykaliśmy się bardzo rzadko, zawód nasz jest tak ciężki, że nonsensem byłoby obrzydzać go sobie jeszcze szykanami. Jeżeli ktoś był podenerwowany, ustępowałem chwilowo. Jedna starsza nauczycielka czasem dokuczyła mi, była to jednak najlepsza siła, nie odpowiedziałem jej nigdy, w myśl zasady Ojca, który twierdził, że dobremu koniowi wolno wierzgać. Dłużej pracowała nauczycielka Anna Oleksówna, z sąsiedniej wsi Żmiącej, która dobrze znała wieś i dzieci, i Wł. Janas z okolic Solca, słuchacz kursów w Brodach.

Wszyscy razem pracowaliśmy w Kole Młodzieży Ludowej, które liczyło około 40 chłopców i dziewcząt najbardziej wartościowych we wsi. Trzon stanowili uczniowie i uczennice zimowej szkoły rolniczej, prowadzonej w roku 1932. Koło nadawało ton młodzieży wioski, urządzało szereg kursów: trykotarskie, przeróbki wełny, szycia, gotowania, wyprawy skórek, narciarski; organizowało corocznie zespoły konkursowe, wprowadziło do wsi owce fryzy, urządzało najrozmaitsze imprezy, przedstawienia, prowadziło chór. Święcone i opłatek we wsi urządzane przez Koło i Strzelca (obie te organizacje żyły na terenie wsi w największej zgodzie, imprezy i uroczystości urządzały wspólnie) były wydarzeniem, które dłuższy czas interesowały opinię publiczną. Jedyną może ujemną stroną Koła było to, że skupiała się tu przeważnie zamożniejsza młodzież.

Delegacja Koła Młodzieży Ludowej z Pisarzowej na pogrzeb Marszałka w Krakowie, 18 v 1935 r. Kronika Szkoły Etatowej w Pisarzowej

Wycieczka Koła Młodzieży Ludowej z opiekunem
A. Górszczykiem, Wieliczka 1935 r.
Kronika Szkoły Etatowej w Pisarzowej

Pobranie ziemi na kopiec Marszałka na Sowińcu w Krakowie.
Przed kwaterą Komendanta, 1914 r.
Kronika Szkoły Etatowej w Pisarzowej

W drodze na Zawrat w Tatrach, sierpień 1936 r.
Kronika Szkoły Etatowej w Pisarzowej

Koło zbierało dawne piosenki i obrzędy, uchroniło od zaginięcia dawny strój ludowy, zajęło się propagowaniem ubrań samodziałowych, brało udział w Zjazdach Górskich w Zakopanem, Sanoku, Wiśle, urządzało wiele wycieczek w Tatry, do Krakowa, Wieliczki – kopalni soli, Lwowa, Warszawy, Gdyni, na pogrzeb Marszałka[a] i na Sowiniec.

Koło urządzało Wieczory Czwartkowe, wydawało przez jedną zimę własną gazetkę. Ostatnią imprezą Koła było bardzo udane urządzenie w lipcu 1939 r., w Limanowej, Sobótki przy rozpalonych ogniskach. W odtworzeniu bardzo dawnych obrzędów, tańców i śpiewów brało udział 16 par młodzieży. Grono nauczycielskie poświęcało tu dużo czasu i trudów.

[a] Uroczystości pogrzebowe i złożenie trumny J. Piłsudskiego 18 V 1935 r. na Wawelu, w krypcie św. Leonarda.

Stosunki z wsią

We wsi w ostatnie lata miałem stosunki dobre, ostatnio nawet bardzo dobre. Miało to swoje dobre strony, ale i pewne niewygody. Dobre to były te, że nie potrzebowałem troszczyć się o zaopatrzenie szkoły, budżet miałem taki, jaki był potrzebny, i zawsze był w 100% wypłacony. Niewygody były następujące: każdy pisarczak uważał, że powinienem załatwiać wszystkie sprawy poszczególnych ludzi, po radę, pomoc, pociechę przychodzili, kiedy tylko uważali za stosowne, najczęściej jednak gdy szedłem do lub ze szkoły. Pokłócił się syn z ojcem, mąż z żoną, zaorał ktoś komuś skibę, już miałem zajęcie, najczęściej dało się ugadać i wyperswadować proces. Raz toczyły dwie rodziny proces o 37 tys. złotych. Gdy straciły po kilka tys. złotych (4500 zł razem), jedna ze stron mianowała proboszcza, druga mnie swym pełnomocnikiem i sprawę załatwiliśmy polubownie. To był

największy sukces. Naturalnie, jeżeli tylko ktoś miał coś do załatwienia w Radzie Powiatowej lub Starostwie, wówczas uważał, że moim obowiązkiem jest to załatwić, najczęściej zresztą robiłem to, o co mnie proszono.

Stosunki polityczne

We wsi miałem wielu oddanych sobie ludzi, ale także pewną ilość przeciwników politycznych. BBWR przysyłał mi stale deklaracje, których zebrałem kolekcję. Pierwsza – napisana na lichym papierze maszynowym pismem, ostatnia – drukowana na bristolu. Żadnej jednakowoż nie podpisywałem, byłem więc dla nich wrogiem. [PSL] Piast nie mógł mi darować, że nie bojkotowałem pewnych poczynań i współpracowałem na polu gospodarczym ze wszystkimi, którzy pracować chcieli, ponadto potępiałem niepoczytalne wystąpienia, jak strajk, bojkot kursów i demagogiczne wystąpienia. Szkodziło mi także to, że rodzina, tak żony jak i moja, należała do zamożnych chłopów, miano mnie więc zawsze za przedstawiciela zamożniejszego włościaństwa (w pojęciu drobnych gospodarzy krakowskiego województwa).

Z tych właśnie przyczyn miałem znów zawsze większość w radzie gromadzkiej czy gminnej, i powiatowej, bo miałem do dyspozycji głosy rodziny, przeciwników BBWR i przeciwników Piasta.

Związek Nauczycielstwa Polskiego

Nie potrzebuję dodawać, że największy wpływ na wytworzenie mojego światopoglądu wywarła wojna, niewola i ZNP. Częste konferencje, zjazdy, prasa związkowa wytwarzały pe-

wien typ nauczyciela polskiego. Początkowo, dopóki Związek miał stosunkowo dosyć dużo do powiedzenia w [Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego], szeregi były może mniej zwarte, zjazdy główne bardziej szablonowe. Praca miała wówczas temperament ludzi sytych, dopiero gdy zaczęto nas zmuszać do pracy partyjnej, tak nas w podstawowych komórkach, jak i Zarząd Główny, gdy chciano nas podporządkować pewnej określonej doktrynie, zwłaszcza gdy nieprzemyślany zarzut niepoczytalnego premiera rozgłosiła radiostacja warszawska, wybuchł odruch. Za pracę od zarania Polski, za ofiarowanie całego majątku, za urządzanie całego szeregu imprez, za wyręczanie państwa w bardzo wielu sprawach, podobny zarzut był potworny i dlatego też nauczycielstwo odpowiedziało protestem, w poczuciu swej stuprocentowej słuszności. Zawieszenie Związku, zamianowanie kreatury Musioła[297] na stanowisko, gdzie widzieliśmy ludzi tej miary co Nowak[298], Kolanko[299], Nowicki[300], było tylko policzkiem.

W limanowskim powiecie narzuconemu kuratorowi nie podporządkował się nikt, „Głos Nauczycielski" odsyłano nierozcięty, wkładki nie wpływały. Protest podpisali wszyscy. Po jednym z zebrań Okręgu ZNP w Krakowie, na którym uchwaliliśmy i podpisaliśmy znaną rezolucję do Prezydenta i reszty miarodajnych czynników, na drugi dzień po powrocie przyjechał do mnie wicestarosta. Sądziłem, że przyjechał na zwykłą pogawędkę, po kolacji zaczął się jednakowoż bardzo kręcić, gdy go odprowadziłem do auta, zmieszany prosił mnie, by mu dać chociaż trochę ulotek, które przywiozłem z Krakowa i które mam rozdać nauczycielstwu, o czym doniosło mu Województwo. Na dawną zażyłość prosił mnie usilnie o to. Ponieważ sądzi-

łem, że jakieś ulotki mają nadejść, przyobiecałem mu, że pewną ich ilość osobiście mu doręczę, by mógł odesłać do Województwa, resztę zaś doręczę kolegom.

Tymczasem pokazało się, że Województwo było mylnie poinformowane, bo żadnych ulotek Związek nie wydał, gorliwość swą starostowie posunęli tak daleko, że np. w Myślenicach policja otoczyła autobus, w którym przyjechał prezes Oddziału Powiatowego kolega Gorączko, i dokonała rewizji, oczywiście bez rezultatu. Nadszedł zjazd w Krakowie, zwołany przez kuratora Maciszewskiego. Takiego zjazdu i takiego nastroju nie przeżywałem, jakkolwiek byłem już na kilkunastu zjazdach (pierwszy raz w Przemyślu, 1914 r.). Nastrój poważny, spontaniczne powitanie Kolanki, rezerwa kuratora, mowa Kolanki, jego niejako spowiedź, a później głosowanie, jednogłośnie uchwalone rezolucje i protesty, pochód na Wawel, ofiarowanie byłemu prezesowi kwiatów, a w końcu ta pieśń, śpiewana kilkoma setkami głosów sędziwych, przeważnie delegatów z całej Polski: *Weselmy bracia się, choć wicher żagle rwie* (Ślązacy śpiewali: *choć Sławoj żagle rwie*) zrobiły potężne wrażenie. Wyjechaliśmy z wiarą w zwycięstwo, słusznej naszej sprawy. Najgorętszymi zwolennikami ZNP w powiecie byli wszyscy starsi nauczyciele. Najwięcej pracy poświęcali kolega Skoczeń Franciszek – prezes ogniska, kolega Kalisz Jan[301] i Steczowicz Maria.

Nagonkę przeciw nam rozpętał krakowski [„Ilustrowany Kurier Codzienny"] IKC, który był w rękach M. Dąbrowskiego[302] i doktora Rubla[303], a ostatnio pakiet akcji zakupił krakowski biskup ks. Sapieha, kontynuował ją franciszkański „Mały Dziennik", organ Akcji Katolickiej, pozostający na nie wiadomo czyim żołdzie[304].

Antoni Górszczyk (pierwszy z prawej)
przed swoim domem w Pisarzowej. Zb. R.

Wypada wspomnieć o jednej z przyczyn wystąpienia przeciw Związkowi. Zarząd Główny wydawał oprócz „Głosu" [wiele] czasopism periodycznych, pedagogicznych, fachowych i naukowych. W ostatnich czasach rozpoczął wydawać „Dziennik Powszechny", który ośmielił się mieć w wielu sprawach swe zdanie i nie należał do prasy ozonowej i został zawieszony. Dziennik ten, początkowo słabo redagowany, został później oddany we właściwe ręce, stał na wysokim poziomie. Tak przyzwyczaiłem się do niego, że po jego zawieszeniu długo nie mogłem wziąć innej gazety do ręki[305].

Gazety

Oprócz dziennika, jako członek ZNP otrzymywałem „Głos Nauczycielski" i „Przewodnik Oświaty Pozaszkolnej", Inspektorat przysyłał mi „Oświatę Pozaszkolną".

Ponieważ nie miałem czasu czytać dzieł naukowych, czytałem bardzo wartościowy miesięcznik „Wiedza i Życie"[306]. Prenumerowałem także regionalne tygodniki: „Gazetę Podhalańską" (Nowy Targ) i „Głos Podhala" (Nowy Sącz), z tej przyczyny, że zamieszczałem tam czasem artykuły. „Młodą Polskę", organ Związku Młodzieży Ludowej[307], prenumerowałem z tej samej przyczyny, a także z tego powodu, iż jako prelegent jeździłem na kursy przodowników urządzane przez Związek Młodzieży Ludowej. Jako przypomnienie dawnych czasów [traktowałem] „Legion"[308], a później „Żołnierza POW"[309]. Prenumerowałem także „Wieś"[310] i „Zagon" (Organy Inteligencji Ludowej)[311], jako odpowiadające memu nastawieniu politycznemu, „Samorząd" (warszawski) i „Przegląd Samorządowy" (krakowski), by być zorientowanym w pracach samorządowych. W ostatnich dwu la-

tach otrzymywałem także „Ziemię”[a], gdzie były dobre etnograficzne artykuły. Nieraz zastanawiałem się, które z tych pism można by ze względów oszczędnościowych odrzucić, ale nie mogąc się zdecydować czytywałem je dalej, wszystkie były potrzebne.

[a] „Ziemia” – pismo ekonomiczno-społeczne, rolnicze i handlowe, wydawane w Krakowie.

Teatr

Podczas częstych wyjazdów do Krakowa i Warszawy, [gdy tylko] pozwolił mi czas (pociąg odchodził o.45 minut) uczęszczałem do teatru. Najchętniej do [Teatru] Wielkiego, na poważniejsze sztuki, ostatnio byłem na *Fauście*, lub do [Teatru] Ateneum, do którego także lubiłem chodzić. Bardziej jednakowoż podobały mi się sztuki wystawiane na scenie krakowskiego Teatru im. Słowackiego, szczególnie Wyspiańskiego, Rydla i Rostworowskiego[b] (w ostatnim roku dano *Bolesława Śmiałego* Wyspiańskiego i *Zaczarowane koło* Rydla). Poważniejsza sztuka widać lepiej czuła się w Krakowie. Wielkie wrażenie wywarł na mnie *Tannhäuser*[312], którego oglądałem w Národním Divadle[c] w Pradze Czeskiej. Kina nigdy nie lubiłem, jedynie tylko krajobrazy podzwrotnikowe mogłem bez znudzenia oglądać.

[b] Karol Hubert Rostworowski (1877–1938), dramaturg, poeta, publicysta.

[c] Národní divadlo v Praze – Teatr Narodowy w Pradze.

Praca w samorządzie i Zarządzie Związku Powiatów Rzeczypospolitej Polskiej

Rada Powiatowa wysłała mnie jako delegata do Wojewódzkiej Rady Samorządowej, tu zaś wybrano mnie do Rady Związku Powiatów Rzeczypospolitej Polskiej[313]. Z województwa krakowskiego wchodził jeszcze w jej skład poseł Hyla[314] i doktor Marossanyi (przedstawiciel uzdrowisk ma-

łopolskich). Tam zetknąłem się z szeregiem takich mamutów ze wschodnich rubieży Polski, jakich istnienia nie przypuszczałem nigdy. Na tle tych żubrów pięknie odbijała się szlachetna postać generała Żeligowskiego[315].

Tu spotkałem J. Radziwiłła[316], który niejednokrotnie zajmował bardzo demokratyczne stanowisko i dziwną posłankę Prystorową[317] z jej *ceterum censeo*[318] ubojem rytualnym. Obrady stały tu zawsze na wysokim poziomie, dzięki przewodniczącemu Jaroszyńskiemu[319] i Siwcowi[320], a także troskliwemu przygotowaniu materiałów przez dyrektora kancelarii Grelę. Jednak zakres prac samorządu z każdym miesiącem kurczył się, tak że ostatnio pozostawała iluzja, jakoby samorząd został, a wielka szkoda. Ile to dokonaliśmy w naszym powiecie w latach 1925–1934 dobrowolną, bezinteresowną pracą czynnika obywatelskiego, jaką dobrą szkołą obywatelską był samorząd wszystkich stopni, i ile złego wykonała bezmyślnie biurokracja, nie znająca terenu i jego potrzeb, i wykonująca mechanicznie papierowe polecenia, przeszybowane z Warszawy przez Kraków na swe biurko.

Wojewódzkie Biuro Planowania

Skład naszego (limanowskiego) Wydziału Powiatowego był tego rodzaju, że bardzo często wysuwano mnie jako delegata do rozmaitych organizacji nadrzędnych. Wysłano mnie także do Krakowskiego Biura Planowania. Placówka krakowska, na czele której stał profesor Smoleński[321], dysponowała znacznym budżetem. Dziwnego nabożeństwa było to towarzystwo, przeważnie z inżynierów i uczonych złożone. Dziwnie łatwo godziło się na wszystkie poczynania Zarządu, raz tylko była bardzo ożywiona dyskusja w zasadni-

czej sprawie – diet i marek obecności. Wówczas to właściciel jednego z uzdrojowisk oburzył się, dlaczego przyznają mu koszty biletu [jazdy] drugą klasą, gdy on jeździ tylko pierwszą klasą. Posiedzenia tego Biura Planowania miały zawsze niemrawy charakter, żal było tylko tych milionów wyrzucanych na planowania, które stale wyprzedzało życie.

Krakowska Izba Rolnicza

Często bywałem na posiedzeniach Krakowskiej Izby Rolniczej. Tam jednak wiedziano zawsze, czego chciano. Czasem ktoś z referentów mógł się mylić, mógł źle ujmować sprawę wykonania pewnych poczynań, nie można było tylko mówić, jakoby się na danym dziale nie znał. Czasem zdarzało się rzeczywiście, że od danej sprawy nie mieli „speca", wówczas zawsze znajdywano odpowiedniego spoza Izby. Raz tylko zdarzyło się mi być na posiedzeniu Izby, które niezbyt dobrze przygotowano.

Rozchodziło się o wypowiedzenie się Izby w sprawie planów przyszłych zawodowych szkół rolniczych. Przedstawiciel Kuratorium żonglował pięknie zaokrąglonymi frazesami, prezes Izby [wprost] oświadczył, że nie widzi środków na pokrycie wydatków połączonych z tworzeniem nowych szkół, dlatego też do sprawy tej nie przywiązuje większej wagi.

Najrealniej mówił jakiś major, przedstawiciel DOK[322], tylko że i on oczywiście znać się na dokształcających szkołach rolniczych nie mógł. Zwiedziłem w ciągu dwu lat wycieczek do Czechosłowacji dwadzieścia kilka szkół rolniczych różnych typów, bo w tym tylko celu tam pojechałem. Materiałów i podręczników miałem pełną teczkę, plan szkół

rolniczych dokształcających, w szczegółach opracowany i przemyślany, podczas urządzanych w powiecie zimowych szkół rolniczych. Stosunkowo łatwo przyszło mi nakłonić zebranych do przyjęcia tego programu za podstawę do wypracowania własnego, Izby, a po dokonaniu nieznacznych poprawek Krakowska Izba Rolnicza przeprowadziła swój własny projekt na posiedzeniu, zwołanym w tym celu w Ministerstwie [Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego] w Warszawie (1939 r.).

W szkolnictwie

Od osiemnastego roku życia pracowałem w szkolnictwie, jak najmniej jednak starałem się stykać ze swymi przełożonymi. By[wałem] w rozmaitych ministerstwach, w MWRiOP, dzięki Bogu, nie byłem ani razu, w Kuratorium bywałem dosyć często, ale nigdy w swej osobistej sprawie. Bardzo często w pałacu na Wielopolu czuć było trupem, szczególnie po częstych w ostatnich czasach redukcjach politycznych, a najczęściej w przedsionku referenta personalnego. Widzieć tu można było sędziwych ludzi, najzupełniej roztrzęsionych, nerwowe drgawki u dwudziestokilkuletnich mężczyzn, szloch i płacz nauczycielek opuszczających ten przybytek krzywdy i łez ludzkich. Często widać było dostojnika kuratoryjnego. Kroczył z taką godnością, jak gdyby niósł na barkach majestat Najjaśniejszej Rzeczpospolitej, gdy zaś otworzył usta, to z takim dostojeństwem to czynił, jak gdyby rozstrzygał losy świata. Najczęściej był to jakiś instruktor.

O jednym wizytatorze opowiadano, że czasem można było u niego zauważyć przebłysk uczuć ludzkich. Nie moż-

na twierdzić, że wszyscy byli tacy, był np. jeden bardzo inteligentny i kulturalny, ale ten uciekł do szkolnictwa powszechnego. Ciekawa rzecz, że starsi przełożeni mieli jaśniej skonkretyzowane żądania i bardziej realne wymagania, aniżeli świeżo upieczeni.

Byłem raz mimowolnym świadkiem rozmowy młodego zastępcy inspektora ze starym, zacnym i światłym wizytatorem. Byłem w biurze, omawialiśmy program jakiegoś kursu, gdy wszedł elegancki, przystojny inspektor z Podkarpacia. W toku rozmowy żalił się na swe nauczycielstwo, któremu stawiał zarzuty, że nie chce realizować w stu procentach nowych programów, że twierdzi ono jakoby program z matematyki był za obszerny, iż mówią jakoby tylu wycieczek, ile ich wymaga program, bez szkody dla innych przedmiotów, urządzić się nie da. Wizytator kiwał głową, niby zgorszony taką niesubordynacją, gdy zaś podinspektor skończył swą jeremiadę, powiedział mu mniej więcej te słowa: „Widzę, że Pan ma rozsądnych nauczycieli, my tu w Kuratorium podobnie mówimy, Pan się może dużo od nich nauczyć". Speszony fircyk tyłem wycofał się z wizytatorskiej kancelarii.

W Kuratorium też życie nie było miłe. Przychodzi np. szef pewnego działu, chce wejść do kancelarii, a tu w progu zatarasował mu drogę woźny, wręczył mu dekret przeniesienia i do kancelarii już go nie wpuścił. Stale zajeżdżali tu najrozmaitsi wizytatorzy ministerialni i zakłócali tok pracy. Ministerstwo WRiOP nazywano, zresztą bardzo słusznie, także Ministerstwem Wiecznych Reform i Obałamucenia Publicznego. Reform tych było rzeczywiście za dużo, nie mieliśmy swego systemu wychowania, stale byliśmy w poszukiwaniu czego doskonalszego. Nie mieliśmy własnego kierunku, robiło się bardzo dużo, gdy zaś osiągało się jakiś

rezultat, to porzucało się dawną pracę, a biegło za nową błyskotką. Prawdziwymi nieszczęśliwcami byli ci wszyscy nauczyciele, którzy chcieli stosować się do każdorazowej mody w nauczaniu i wsłuchiwali się, co w kuratoryjnej lub inspektorskiej trawie piszczy.

Przez powiat przesunęła się cała rewia inspektorów. Ostatni inspektor austriacki był (1938 r.) płatniczym w pewnym, modnym, nocnym lokalu rozrywkowym, w czarnym tużurku i z serwetką na ręku było mu bardzo do twarzy. Tu był on właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Drugi był niezwykle inteligentnym, nadzwyczaj kulturalnym, światłym i miłym przełożonym. W trudnych warunkach tworzenia państwa umiał zachęcić do pracy i dodać otuchy, miał piękny charakter, więc spławiła go jakaś partia polityczna. Był i taki inspektor, który po wejściu do szkoły pytał się tylko o wycieraczki i spluwaczki, firaneczki. Gdy [takie] zastał, a jeszcze np. sztuczne kwiaty na ścianach, to już wszystko było dobrze. Innego zaś całą zasługą było to, że jego kuzyn był wielkim dostojnikiem, sam zaś był przedmiotem wiecznych kpin. Kilku wartościowych prędko przerzucono na inne placówki.

Stan ten stale się poprawiał i ostatnich czterech inspektorów było bardzo solidnych, gdyby i na nich nie wiał odgórny wiatr. Do jakiegoś tam czasu uczono, jak kto umiał, byle jak najwięcej nauczyć. Później wyimaginował sobie ktoś ideał poszczególnych klas. I tak w I klasie miało się wychowywać czyścioszka; w klasie II tłuścioszka, i tak dalej. Potem przyszedł system zamkniętych rocznych cyklów, tzw. koncentracja, ten sposób nauczania szybko zarzucono, przyjęto tzw. korelację. Korelowano ze sobą wszystkie przedmioty, polskie z historią i geografią, co zresztą zawsze się robiło,

ale był i taki gorliwiec, który korelował rachunki mnożąc grzechy o pomstę wołające przez ośmioro błogosławieństw, lub do odpytania tabliczki mnożenia przez 7 używał siedmiu grzechów głównych, mnożąc je przez żądany mnożnik. O powyższym fakcie słyszałem tylko, ale byłem raz na lekcji wzorowej u dobrego nauczyciela. Lekcja z przyrody była o pszczole, opracowanie czytanki również na powyższy temat, piosenka była o „pszczole Bzumce", do rachunków jako konkretów użyto uli i ram (jeden ul i 8 ram). Na przerwie dzieci otrzymały po kromce chleba z miodem (z pasieki nauczyciela), potem bawiły się w pszczółki i kwiaty, na dobitek rysowały ule. Zaczęło nam już gardłem wyłazić całe to pszczelnictwo, szczęściem, że zakąski były także korelowane, a rampamputa z miodem była wprost wspaniała. Ten ostatni punkt programu był najlepszy i najaktualniejszy.

Potem przywiał nam wiatr tzw. nową lekcję w szkole. W jeden dzień zadało się coś tam do domu, a na drugi dzień następowało młócenie. Co ci się najbardziej podobało? A dlaczego? Komu się co innego podobało? Kto mu odpowie, i tak aż do znudzenia klasy i obrzydzenia im najpiękniejszego utworu. Jeszcze instruktor kuratoryjny, który objeżdżał z tą nową, niezawodną metodą nie powrócił po oświeceniu terenu do Krakowa, a już z Kuratorium czy też z Ministerstwa przyfrunął inny „spec". W czambuł potępił i wykpił metodę poprzedniego komiwojażera, zalecając swój wypróbowanej wartości towar z marką fabryczną „błyszczący guzik".

Fokus[a] ten miał polegać na tym chwycie, aby [z] każdej lekcji wybrać jakiś najbardziej charakterystyczny punkt, uczynić go pępkiem całej lekcji, i w nim ześrodkować całe zainteresowanie klasy. U siebie radziłem nauczycielstwu, by

[a] Punkt (łac.) *focus*, ognisko.

każdy uczył jak chce, byle tylko rezultaty były jak najlepsze, gdy zaś przyjedzie inspektor, to wówczas uczyć [wedle] wymagań ostatniej mody. Ucząc w ten zacofany sposób byliśmy pewni, że coś i tak nauczymy, i że wiadomości nabyte uczniowie trwale sobie przyswoją.

W imię bezstronności zaznaczyć jednak muszę, że gdy w 1932 r. zwiedzałem wzorową szkołę powszechną im. Masaryka w Pradze, to [stwierdziłem], że nasze nie wzorowe, ale dobrze postawione szkoły w Polsce stały na znacznie wyższym poziomie. Pomimo niedostatecznego wyposażenia i borykania się z wieloma trudnościami, nauczycielstwo potrafiło nadać szkole pewne oblicze, tchnąć ducha i przyswoić najnowsze zdobycze z dziedziny nauczania. Czesi, odziedziczywszy po nieboszczce Austrii inwentarz martwy (i żywy), nie będąc zmuszeni nic improwizować, ani z trzech systemów szkolnych tworzyć jednego, poszli [ku] inercji. Jeszcze wówczas, w 1932 r., we wzorowej szkole w stolicy, do której zaprowadzono zagraniczne wycieczki, stosowano metodę paznokciową: odtąd dotąd nauczycie się na jutro.

Szkolnictwo rolnicze

Zarzucano [wiele], zresztą bardzo słusznie, sposobowi odnoszenia się przełożonych do podwładnego sobie nauczycielstwa. Nie wiem, jak było w szkołach średnich, nie do pomyślenia jednak był w szkolnictwie powszechnym obrazek, który widziałem w jednej ze szkół rolniczych. Inspektor z Ministerstwa Rolnictwa, któremu wówczas te szkoły podlegały, zwołał zjazd dyrektorów niższych szkół rolniczych w Łososinie. Otrzymawszy zaproszenie na otwarcie

konferencji, pojechaliśmy tam ze starostą[323] pociągiem (auto miało przyjechać po nas w południe). Ze stacji przyszliśmy na salę ze znajomą dyrektorką żeńskiej szkoły rolniczej z sąsiedniego powiatu. Otwarcie już nastąpiło, weszliśmy na salę, warszawski dygnitarz błysnął ku nam roześlonym okiem, Kierowniczka skurczyła się i usiadła w drugiej ławce, my zaś w ostatnich. Po chwili dostojnik nosowym głosem polecił, by jego wywody notować: wszyscy skwapliwie pochylili się nad pulpitami. Nasza znajoma zwróciła się do sąsiada szeptem z jakąś prośbą.

„Co pani przeszkadza" – ryknęła warszawska wielkość. „Prosiłam kolegę o papier", brzmiała potulna odpowiedź zacnej kierowniczki. „Poleciłem, by każdy przyniósł sobie papier", dosłownie ryczał tonem austriackiego zupaka[a] naczelnik szkół rolniczych. Następnie, wyjąwszy ze swej teczki plik arkuszy, rzucił je z wysokości katedry na pulpit. „Pani się spóźniła, kazałem przyjechać punkt na ósmą, ja sobie to zapamiętam", rzucił w jej stronę. Na sali zapanowała przygnębiająca cisza, starzy pracownicy pochylili swe głowy nad ławkami, jeden tylko inżynier Górz, po chwili, blady, usunął się do kancelarii. Dostojnik ogłaszał swoje prawdy, błyskając ku nam złym okiem. Gniewaliśmy go, ponieważ spóźniliśmy się na wygłaszane przez niego rolnicze *credo*. Nie notowaliśmy jego cennych uwag, nie byliśmy dostatecznie pokorni, a może dlatego, że nas nie znał. „Weźmy się do pisania, bo może być z nami źle" – mówię staroście. „Nie mówcie nic – bo nas postawi w kącie" – odmruknął tenże kpiąco.

[a] Niski rangą oficer.

Dotrwaliśmy do przerwy, poszczególni nauczyciele podchodzili do zwierzchnika szkół rolniczych (nie wiem jak brzmiał jego pełny tytuł) i witali się z nim. Wyglądało to jak

istne homagium[a]. Wypadało się iść przedstawić; żartując, starosta popchnął mnie naprzód, mówiąc, że on nie myśli pierwszy oberwać. Podchodzę, jak mogę ukrywam rozbawienie, a tu pada pytanie: „A pan z jakiej szkoły?". „Z pobliskiej" – odpowiadam. „Ale z jakiej?". Wymieniłem nazwisko, zaznaczając, że nie mam zaszczytu pracować w szkolnictwie rolniczym, przybyłem zaś jako przewodniczący Komisji Szkoły Rolniczej. Dostojnik żachnął się. „Ja również nie mam przyjemności pracować w tym resorcie" rzekł starosta, przedstawiając się. Zamieniliśmy kilka zdań i odjechaliśmy końmi, nie czekając na przyjazd auta. W drodze powrotnej starosta kręcąc głową mówił, że i u nich jest rozmaicie, ale podobne traktowanie woźnych jest niedopuszczalne. W Ministerstwie Rolnictwa pracowało bardzo wielu zbankrutowanych ziemian, którzy uczyli tych niezbankrutowanych jeszcze rolników, jak należy gospodarzyć. Ci to ludzie zachowali widocznie dawny, folwarczny ton: „Hej, Mateuszu zaprzęgać" – z przyzwyczajenia używali go do podwładnych współpracowników, traktując ich jak posyłki lub fornali z czworaków.

[a] Hołd średniowieczny.

Ministerstwo Spraw Wojskowych

Nicując po kolei, stwierdzić wypada, że najgrzeczniej i najdemokratyczniej było w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Gdy byłem tam z dwoma znajomymi w sprawie zjazdu Stróżańczyków[324], to zupełnie nie odczuwało się, że rozmawiamy z wiceministrem i generałem. Po szybkim i sprawnym załatwieniu, śmiejąc się i żartując, odprowadził nas do drzwi gabinetu, jak gdybyśmy byli u niego z grzecznościową wizytą.

Stosunki z duchowieństwem

Nauczyciel pracujący na wsi musi z racji swego stanowiska bardzo często stykać się z miejscowym proboszczem. W tym właśnie czasie, gdy wstępowałem do zawodu nauczycielskiego, autorytet dworu upadał; po spadek po nim sięgał kler, innego spadkobiercy na przedpolu nie było. Szkolnictwo ludowe pozostawało w rękach klerykalno-obszarniczej władzy, Rady Szkolnej Krajowej we Lwowie. Za mych studenckich czasów proboszcz posiadał na wsi pełną władzę. Nikt nie mógł mu się przeciwstawić, bo w przeciwnym razie w 52 kazaniach rocznych zawsze znalazło się „ciepłe" słowo dla [opornego]. [Duchowny] pijaków z karczmy wypędzał, urządzając im generalne mordobicie, a chłop był na schwał. Gdy ktoś ukradł mu snopek żyta, to stał z nim przed drzwiami kościoła w niedzielę podczas sumy.

Imiona chrzczonym dzieciom nadawał sam, rodzice nie mieli nic do gadania. Z tego okresu plączą się po wsi następujące imiona: Adolf, Ferdynand, Maurycy, Łukasz, Mateusz, Balbina, Meltyna, Petronela, Filomena, Danicela. Słynął z twierdzenia, że oświata to jest gnój, cywilizacja to nawóz. Wyplenił ze wsi pijaństwo, otaczał opieką strój ludowy, uczącą się ze wsi młodzież tolerował tak długo, dopóki obcałowywała mu rękawy. Około 1906 r. wieś zaczęła się mu przeciwstawiać, wyjechał więc do innej parafii.

Po nim proboszczem został długoletni katecheta; ten wsią najzupełniej się nie interesował, na wszystko patrzał oczyma rodziny, która go obsiadła i ssała. Sam był dobrym człowiekiem, niesympatyczne było tylko jego otoczenie, które wywierało mało budujący wpływ na wieś. Czasem, napompowany, próbował coś zrobić, ale szybko zniechę-

cał się. Wpływu żadnego na wieś nie posiadał. Ludzi za wykonywanie religijnych usług nie wyzyskiwał, wyjechał biedny, dorabiali się na nim inni. Po nim objął stanowisko młody wikary.

Pozycja jego była ciężka, z księdzem we wsi nikt się nie liczył, we wsi był kościół narodowy, budynki plebańskie rozpadały się[325]. Taktem, pogodnym usposobieniem ujął sobie szybko ludność. Był to ochotnik kawalerzysta z 1920 r. Miał ładną czamarkę, buty, konie i kilka strzelb. O resztę nie dbał, że zaś świetnie strzelał, a gdy wypadło, to sam sobie wymierzył sprawiedliwość, nie szukając jej w sądzie, przypadł do serca byłym żołnierzom, którzy wówczas rządzili wsią. Nigdy nic nie miał, co dostał, to natychmiast wydał, by się – jak mawiał – nie obawiać złodziei. Tak jakoś psim swędem, bez żadnych składek, ozdobił kościół, przebudował plebanię, przeznaczając na to plebański las. Z nauczycielstwem żył w zgodzie, świadcząc mu mniejsze lub większe usługi. Żyłem z nim bardzo dobrze, jeżeli zaś kłóciliśmy się, to jedynie o to, co więcej warte – piechota czy kawaleria. Z bojów tych wychodziłem zwycięsko, bo miałem sprzymierzeńca w osobie proboszcza z sąsiedniej wsi, podoficera piechoty legionowej, który niemiłosiernie kpił z wojskowej kobyły naszego proboszcza. Nawiasem mówiąc, nie widzieliśmy jej na oczy, i nie wiadomo, czy to był koń, czy też kobyła.

W powiecie sporów z duchowieństwem nie mieliśmy, gdy zaś gdzieś wybuchły lokalne nieporozumienia, to zawsze dało się je umiejscowić. W dużej mierze zawdzięczać należało to staremu, bardzo zacnemu dziekanowi, który zawsze zajmował bezstronne stanowisko w razie jakiegoś nieobliczalnego wystąpienia młodych wikarych[326]. Ze swej strony

zarząd Ogniska czynił wszystko, by z osobistych niechęci nie robić kwestii religijnych. Walka księdza z nauczycielem nigdy żadnemu z nich korzyści nie przyniosła, straty zawsze przewyższały wątpliwy zysk. Raz tylko kilku nauczycieli wystąpiło przeciw pewnemu proboszczowi, ale tam zaistniały stosunki, których dłużej tolerować było niepodobna. Wicedziekan, do którego odniósł się kolega po rozpatrzeniu sporu, polecił proboszczowi przeprosić grono nauczycielskie. Zaznaczyć muszę, że księża z tym proboszczem nie utrzymywali prawie żadnych stosunków.

Praca społeczna

Ten nadmiar zainteresowań odbijał się częściowo i na szkole. Wprawdzie władze szkolne przydzieliły jeszcze jedną siłę, wówczas gdy zaczęły używać mnie do pracy w terenie, pomimo tego nie mogłem poświęcić szkole tyle sił, ile należało. Bardzo często, przyjechawszy o 6.00 rano, kładłem się w Kancelarii na ławce i spałem do 8.00. Kilka razy w tygodniu przywozili mi do szkoły coś zjeść, po skończonej nauce nie wstępowałem do domu, tylko wskakiwałem na wózek, i jechałem na stację kolejową i do Sącza, Limanowej, lub gdzie miałem zajęcie. W szkole tymczasem zgromadziliśmy jakie takie pomoce naukowe. Biblioteka liczyła kilkaset tomów, sprawiliśmy radio, zorganizowaliśmy dożywianie dla 25% dziatwy. Zaopatrywaliśmy częściowo w najpopularniejsze lekarstwa, jak tran, jodyna, środki dezynfekcyjne, bandaże, lekarstwa na choroby skórne itp. Stan nauki (według oceny insp[ektora]) był dobry, bardzo wysoko stały roboty kobiece, które prowadziła koleżanka śp. Safinówna.

Zimowa panorama Limanowej –
widoczny kościół Matki Boskiej Bolesnej, grudzień 1940 r.
Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 2-8421

Kierat społeczny

Praca społeczna to istne bagno, im dalej się idzie, tym głębiej się wpada do tego bajora. Społeczeństwo zaś nasze postępuje w ten sposób, że jak ktoś ciągnie, to dokłada się mu ciężaru, aż z nadmiaru pracy zdechnie. Sprzyja temu znakomicie struktura ostatnich ustaw samorządowych i statutów organizacyjnych. Ile dni traciło się na najrozmaitsze posiedzenia. Gromada (6 dni do roku minimum), Gmina (6 posiedzeń), Rada Powiatowa (4 posiedzenia), Wydział Rady (10 posiedzeń), komisje (4 posiedzenia), Rada Wojewódzka (2 posiedzenia rocznie), Rada Związku Powiatów (3 rocznie), to jest razem 31 posiedzeń. Związek Legionistów, ZNP, Ognisko, Oddział Powiatowy, Okręg. Zjazd Delegatów – znów minimum 20 posiedzeń. Szkoła rolnicza męska (6 wyjazdów), żeńska 3 wyjazdy, Izba Rolnicza kilka wyjazdów, pięć konferencji do roku. Ta praca dawała przynajmniej jakiś efekt. Ale teraz posiedzenia różnych komitetów, sprawienia i poświęcenia chorągwi, rauty bez rautu, zabawy, uroczystości najrozmaitszych i obchodów, na których musiało się być, by nie być posądzonym o wrogie nastawienie do państwa i reżimu, a to słuchanie najrozmaitszych uroczystych bzdur, kwasy i dąsy różnych kieszonkowych wielkości, mogły przyprawić o napad szału.

Była to jednak celowa, perfidna robota. Siaki taki „obywatel", gdy przyszedł do domu po pracy zawodowej i iks posiedzeniach, rzucał się na sofę i wzdychał o chwilę odpoczynku, o myśleniu nie było mowy, a o to przecież chodziło.

Do tego wszystkiego u mnie dochodził czas stracony na dojazd do stacji 3 kilometry, do Limanowej 8 kilometrów, do Krakowa 6 godzin jazdy pociągiem. Traciło się czas, zdro-

wie i około 600 złotych rocznie na wyjazdy, datki i inne, nie licząc zaniedbanego gospodarstwa. Po powrocie do domu wieczorem, gdy wszyscy ułożyli się do snu, ślęczałem niejednokrotnie do 2.00 po północy nad zeszytami, zestawieniami i kancelarią szkolną, zapewniając żonę, że przed 12.00 na pewno się położę. Na stratę kilkuset złotych mogłem sobie pozwolić, bo nie paliłem i nie piłem (najwyżej kilkanaście kieliszków na rok), a że każdy musi mieć jakiegoś ćwieka, więc miałem takiego, który nazywał się (za przeproszeniem) pracą społeczną.

Gospodarstwo

Zaniedbywałem jednakowoż swoje niewielkie gospodarstwo. Coś tam odziedziczyłem po stryju, tak że razem mieliśmy 37 mórg roli, sadu i lasu. Zakładałem dom na zielonym trawniku; stodoły, stajnie, sad, pasieka to wszystko był mój i żony dorobek. Śmiano się z nas, że na Granicy, jak nazywano nasze gospodarstwo, stale się coś buduje. Rzeczywiście, stale się coś dobudowywało: to studnię, zbiornik gnojowicowy, to chlewy lub przechowalnię owoców, jakąś nową stodołę. Wówczas gdy koledzy odpoczywali, ja miałem najwięcej pracy – sianokosy, jakąś budowę, żniwa, trzy dni w Tatrach, młockę i rozpoczęcie roku szkolnego. Nie narzekałem jednakowoż. Przypominałem sobie wówczas kratki stawropolskiego więzienia i uświadamiałem sobie, że życie po roku 1918 to już jest mój czysty zysk, muszę go więc jak najsprawniej zużytkować.

Metody pracy nauczycielskiej

Każdy nauczyciel, pracujący dłużej na wsi, musi mieć jakąś metodę postępowania w środowisku, w którym pracuje. Przyznam się, że nie miałem żadnej wykombinowanej. Żyłem w swojej wsi, początkowo na Belonówce, później na Granicy, rozmawiałem z rówieśnikami lub krewnymi siadając na żerdzi lub przed domem. Byłem początkowo Antkiem z Belonówki, potem młodym Sejmejem, gazdą z Granicy, a ostatnio kierownikiem z Granicy. Znałem każde dziecko i każdego starszego we wsi, jego usposobienie, stosunki rodzinne i majątkowe. Czasem wyszedłem komuś z rodziny na ślub lub na pogrzeb, gdy się ktoś spalił lub budował, to dałem drzewo w ścianę lub na deski, jak kazał stary zwyczaj. Komornikowi na przednówku dawało się jakoś ćwierć zboża, korczyk ziemniaków lub paszy dla bydła.

W szkole myślałem tylko o nauce i dzieciach, poza szkołą starałem się jak najmniej o niej myśleć. Nie można myśleć stale kategoriami szkoły i przystosowywać się do poziomu dzieci, bo po niejakim czasie zacznie się samemu myśleć uproszczonymi kategoriami młodocianego wieku. Wychodząc z domu starałem się ześrodkować całą uwagę na tę sprawę, którą w najbliższym czasie miałem się zajmować. Na każde posiedzenie starałem się przyjść przygotowany i z potrzebnym materiałem. Stale czyniłem notatki, które często przeglądałem, kieszenie miałem formalnie zapchane papierami i listami. Gdy gdziekolwiek wyjeżdżałem, na karteczce notowałem sobie kolejność prac i załatwień.

Na rozrywki nie pozostało mi już nic czasu. Ruchu umysłowego w okolicy nie było ani śladu. Obawiałem się, aby środowisko wsi nie ściągnęło mnie do swego poziomu. Sta-

rałem się od czasu do czasu rozprostowywać i mieć własne, szersze zainteresowania, by nie [zostać] tylko jednostronnie nastawionym bakałarzem. Byłem w tym szczęśliwym położeniu, że nie wysferzyłem się z własnego środowiska. Tkwiłem nadal oparty mocno nogami o ziemię, co dodawało mi siły i możność wypowiadania swego zdania, bez względu [na to], czy ono podobało się możnym tego świata. Oparty o gospodarstwo, nie kłopotałem się o środki potrzebne do wychowania dzieci. Mogłem poświęcić trochę środków pieniężnych na pracę w swym środowisku; związany z nim pokrewieństwem, sprawy wsi uważałem za swoje własne. W innej okolicy byłoby mi łatwiej i wygodniej, w swej rodzinnej wsi było mi milej. Miałem tu i nieprzyjemności, aczkolwiek nieliczne, ale miałem również bardzo dużo dowodów zupełnego zaufania i oddania, tak u młodzieży, jak i u sąsiadów rolników i kolegów nauczycieli. A to stanowiło dla mnie najwyższą cenę.

Ubierałem się stale jak zamożny chłop, żona również na co dzień chodziła jak gospodyni. Do kościoła szedłem z gospodarzami, ze szkoły stale ze zgrają dzieci. Widywano mnie jak pracowałem w polu; orkę i siew bardzo lubiłem. Byłem więc we wsi gospodarzem, synem starego poważanego Sejmeja, obrano mnie kiedyś nawet podwójcim. Początkowo próbowałem namawiać [otoczenie] do nastawienia gospodarki rolnej w pewnym kierunku, rychło jednak uświadomiłem sobie, że jest to stracony trud. Sąsiedzi słuchali mnie z poważną miną, puszczali dostojnie kłęby dymu z fajek i robili swoje. Robiłem więc sam.

Założyłem ładny sad na Belonówce, obsadziłem drogę powiatową otrzymanymi jabłonkami, później założyłem stopniowo trzymorgowy sad na Granicy. Sąsiedzi zaczęli się

ruszać, kto mógł, kupował szczepy na „Słonecznej". Jeżeli zaś nie chciał wydawać pieniędzy, to albo szczepił dziczki, ewentualnie obsadzał śliwami miedze, tak że do roku 1932 było we wsi 87 sadów z 1986 drzewkami owocowymi. Wybudowałem zbiornik gnojowiowy, wiosną rozwoziłem z parobkiem gnojówkę i rozlewaliśmy ją po łące. Za potoczkiem leżał sobie w cieniu sąsiad, po chwili doleciał mnie głos z jego strony. Ludwik mówił coś do swego kuma. Dosłyszałem tylko: „Widzicie, temu prefesorowi z Granice to sie robota przebrała, gnojówkę se wozi na śpacyr". Upłynęło kilka miesięcy. Lubiłem bardzo kosić, szczególnie wczesnym rankiem po rosie; jak stanęło z ośmiu dobrych kosiarzy, to robota szła jak z płatka. Łąka była dobra, nawożona gnojówką, dawała gruby pokos, tak że niejednokrotnie trzeba go było kosiskiem odrzucać na bok. Na przodzie kosił Ludwik. Wychodził do roboty, bo mu dawałem drzewa na opał, a czasem coś z domu. Ja kosiłem zawsze ostatni. Słyszę znów postękujące narzekanie Ludwika, że „tyz Pan Jezus nie do biydnemu takie trawy, ino takiemu, co mu i tak nic nie brakuje". Ktoś ze szeregu kosiarzy odpowiedział, „To wiycie bez te gnojówkę". Za kilka dni parobek woła mnie na dwór i pokazuje, jak to Ludwik nosi w konewkach gnojowicę na spacer. Dużą rolę w rozszerzaniu się nowych sposobów gospodarzenia grał współczynnik zazdrości, i wyzyskując go można [było] dużo nawet w najbardziej konserwatywnym środowisku zdziałać. W ciągu kilku lat powstało sporo zbiorników na gnojówkę, cenny ten nawóz azotowy nie odpływał już via Żabno do Gdańska.

Kilkakrotnie namawiałem sąsiadów, by zmienili sobie odmiany pszenicy, które już się wyrodziły, wyrażając gotowość zamiany swej odmiany [na] drugi odsiew za lokalną

(naturalnie taką ilość, jaka szła w domu na przemiał), chętnych jednak nie było wielu. Raz przy drodze miałem morgową parcelę, na której nad wyraz ładnie wyrosła pszenica (złotka mikulicka). Czy mnie kto pytał, czy nie, to każdemu zaznaczałem, że tej odmiany nikomu nie wymienię, najwyżej na Belonówkę i szwagrowi z Górkówki. Ktoś mnie prosił, ale kategorycznie zamiany ziarna odmówiłem. To stanowisko zaintrygowało wieś. Zboże pozostawiłem dłużej w polu, gdy jednak kopy widocznie „przeschły" zwiozłem je do stodoły. Brakowało około 2 kóp. Jesienią, gdy chodziłem na polowanie, strażnik łowiecki Meduś naprowadzał mnie niejednokrotnie na zasiewy ozimin. Gdy zaś przy większym kawałku ciemnozielonej runi zobaczyliśmy zagonek lub pół zagonka żółtozielonej oziminy, Meduś, mrugając filuternie okiem, pytał mnie z głupia frant, czy nie wiem, komu to zginęło? To był prawie że jedyny wypadek, że coś mi w polu przepadło, ale brali to w dobrej wierze, by się nowej odmiany dochować.

Namawiałem, by nawozić gliniaste ziemie wapnem, a wówczas robota będzie znacznie lżejsza. Najgoręcej oponował przeciwko tym innowacjom pewien gospodarz z górnej części wsi, niejaki Kudlik. Kółko Rolnicze wapna nie sprowadziło, sprowadziłem więc sam dziesięciotonowy wóz i posiałem u siebie. Raz, gdy jechałem na stację, zaczepił mnie Kudlik i prosił o radę. Miał pole koło domu, gdzie miał zamiar zasiać pszenicę, wiedział jednak, że kury od sąsiadki Marcypanny wszystko mu wygrzebią i zjedzą, co by to poradzić, aby pozdychały albo przynajmniej nie grzebały. „Józefie" – mówię mu –„ rada bardzo łatwa, wiecie, że kury lubią wapno, kupcie cetnar, rozkruszcie go i posiejcie po polu. Jak tylko kura połknie kawałek niegaszonego wap-

na, to za kilka godzin będzie gotowa". Kudlik gorąco mi podziękował, mówiąc, że raz przecie wyrychtuje tę, psiakrew, Marcypannę. Wiedziałem, że kury nie tkną się niegaszonego wapna, bo zbierają okruszki, ale lasowanego, ewentualnie tynku. Chciałem go tylko przekonać o wartości wapnowania roli. Na drugi rok, koło Piotra i Pawła, przejeżdżam tamtędy, wychodzi Kudlik.

„No i cóż Józefie, kury grzebały Wam pszenicę?" – zapytuję go. „Nie, ale wiecie, mom inny zgryz, jaro koniczyna przerosto mi kłóska, co teraz robić". „Mały zgryz Józefie" – pocieszam go – „poobrzynacie sierpem kłosy, wysuszycie na boisku i omłócicie jak mierzwę, słomę i koniczynę skosicie i wysuszycie i będzie gotowa mierzwionka" (słoma zmieszana z sianem). Tak też zrobił, od tego czasu stale wapnował pole, na którym miał z wiosną siać koniczynę.

Po rozbudowie hodowli owiec, mieliśmy sporo wełny. Skłoniłem trzech chłopców, aby uczęszczali na kurs tkacki. Nie namawiałem nikogo, aby chodził w samodziale. Sam z własnej wełny, w domu uprzędzionej, dałem sobie zrobić samodział, uszyć ubranie i kurtkę, i chodziłem w nich stale. Z samodziału miały córki płaszczyki, a syn ubranka. Wszyscy w domu, a nawet służba, używali wełnianych swetrów, rękawic i skarpet domowego wyrobu. W swetrach własnej produkcji chodził proboszcz i nauczycielstwo. Większa część chłopców z Koła Młodzieży ubierała się we własne samodziały, prawie że każda „kolarka" miała ze swej owcy swetr, rękawiczki, skarpety i szalik. Bez żadnej mówionej propagandy wełniane ubranie można było zobaczyć na każdym kroku.

W ciągu tej pracy starałem się o jedno, aby być stale ze wsią, by współpracować z jej mieszkańcami. Wystrzegałem

się tego, by nie stanąć nad wsią i nad nią niby pracować. Poklepującego stosunku nigdy między nami nie było, raczej podsuwałem innym projekty własne, gdy zaś ci wypowiedzieli je głośno, podawałem je za ich własność. Po zrealizowaniu zaś miałem tę pełną satysfakcję, że czegoś się dokonało. Pomnę, jak w seminarium radzono mi, aby chłopa trzymać trzy kroki przed sobą, nie pozwolić do spoufalenia. Postępowałem wręcz przeciwnie, a pomimo to nie spotkała mnie z tego powodu przykrość, miałem natomiast sporo dowodów zaufania. Kto stoi nad wsią, rychło może się znaleźć poza jej obrębem. Dużo w tej mierze zawdzięczam pogwarkom z Dumaczem z Poręby, śp. Orkanem[327], półrocznemu obcowaniu z K. Majem na kursie w Brodach i Związkowi Inteligencji Ludowej.

W 1938 r. urządzono w Łososinie w szkole rolniczej zjazd wszystkich inteligentów z terenu powiatu, którzy przyznawali się do swego chłopskiego pochodzenia. Był na nim nestor tego ruchu, profesor Bujak[328], spędziliśmy podniośle parę godzin. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że na lwowskiej wyższej uczelni niepoczytalni paniczykowie ośmielili się podnieść pałki i łomy na swego sędziwego profesora.

Gdzieś w 1936 r. zrzekłem się godności w zarządzie Komunalnej Kasy Oszczędności[329], w tym bowiem czasie przeszła ona pod zarząd Rady Powiatowej. Nie mogłem więc być równocześnie w zarządzie kasy i w organie ją kontrolującym, tj. Wydziale Powiatowym. W tym mniej więcej czasie otrzymałem polecenie, jako prezes Związku Legionistów, abym przystąpił do BBWR. Zrzekłem się więc godności prezesa, został nim kolega B.

Dzieci w szkole średniej

Dopóki dzieci były małe, dopóty nosiłem głowę do góry. Zacząłem ją opuszczać, gdy syn, a potem córka zaczęły uczęszczać do gimnazjum w N[owym Sączu]. Może nic nie było bardziej przykrego, jak chodzenie na konferencje wywiadowcze. To stanie zbitych gromad u drzwi, przepychanie się, by stanąć przed obliczem profesora, wyliczanie znudzonym głosem wszystkich przewin i niedociągnięć. Ostatni pociąg odchodził o godzinie 19.00, gdy się nie [zdążyło] do tej pory, trzeba było iść pieszo 18 kilometrów w nocy. Wiem, jaki smak ma chleb nauczycielski, i że jedno z lepszych przekleństw brzmi: bodajbyś uczył cudze dzieci, mimo to obserwowałem galerię grona. Młodzi zwykle byli jeszcze normalni, starsi prawie wszyscy mieli jakiegoś kręćka. Jeden np. patrzył na swych wychowanków, czy gorliwie składają datki na pewne cele, samorząd, gromadę, Czerwony Krzyż itp. Inny uzależniał swój stosunek od tego, czy dany uczeń nosi kasztany dla sarny, zaczątku zakładowej menażerii, a inny jeszcze uczeń nie otrzymał promienia łaski poświęcającej, jeżeli nie pisał listów do Niemiec.

Z tym ostatnim miałem raz taką pogawędkę na konferencji wywiadowczej. „Panie" – mówi do mnie – „to by jeszcze uszło, ale chłopak nie ma psychicznego nastawienia do pisania listów po niemiecku". „Panie profesorze" – odpowiadam mu – „ja nie posiadam psychicznego nastawienia do pisania listów po polsku, skądże chłopak, który dopiero sześć miesięcy uczy się obcej mowy, może mieć ochotę do pisania listów w obcym sobie języku?". Obraził się. Nie wiem, czy chciał mi zaimponować; słowem, psychiczne nastawienie, czy tylko był upośledzony na umyśle. Raczej to

ostatnie, [bo] uczniowie I i II klasy, a także III, korespondowali z zagranicą, pisali śliczne listy; profesor się cieszył, i nie orientował się zupełnie, że powstało prawdziwe biuro pisania listów do Niemiec, ze ściśle określoną taksą od sztuki.

Po ukończeniu gimnazjum przyszedł egzamin do liceum. W N[owym Saczu] były dwa gimnazja, miały więc powstać dwa licea. Lecz gdy ostatnich klas gimnazjalnych w danym mieście było cztery, to klas licealnych było tylko dwie. Ponieważ chłopak chciał zdawać do gimnazjum przyrodniczego, zdawał więc w obcym sobie gimnazjum. Miejsc było 40, a zdających ponad 80. Znalazł się usłużny nauczyciel-oprawca, który by ułatwić dyrektorowi wybrnięcie z trudnej naprawdę sytuacji, oblał po prostu nadwyżkę ponad normę jednej klasy z języka polskiego. Oblano naturalnie tych, którzy nie uczęszczali do danego gimnazjum, syn mój był również w tej liczbie. Po wakacjach zdał egzamin do liceum matematyczno-fizycznego, zdało ich więcej, ale dla syna miejsca nie było. Było wprawdzie jakieś rozporządzenie Rady Ministrów (nie przesądzam, czy ono było sprawiedliwe, czy też krzywdzące, ale było), na które mogłem się powołać, ale to mi bynajmniej nie pomogło. Komitet Rodzicielski wydelegował kilku nas do Kuratorium. Kurator oświadczył, że dla wszystkich miejsca nie będzie, w liceum w N[owym Sączu] kolanem uczniów ubijać nie może, ale np. w Liceum im. Sobieskiego w Krakowie jest dużo wolnych miejsc, jak i w liceum w Gorlicach.

Chwytamy taksówkę, by nas kto nie ubiegł, i jedziemy pod wskazany adres. Dyrektor danego zakładu rozkłada ręce: byłoby kilkanaście wolnych miejsc, gdyby otwarto równoległy oddział, czego jednak Kuratorium odmówiło, a o czym kurator nie wiedział. Telefonujemy z Krakowa do

Gorlic, otrzymujemy odpowiedź, że ostatnie dwa miejsca zostały kilka dni temu zajęte. Miałem więc Order Virtuti Militari, Krzyż Walecznych z Okuciem, Krzyż Niepodległości i inne świecidełka, tylko miejsca dla swego dziecka w polskiej szkole nie mogłem otrzymać. Pomimo jednak zapewnienia kuratora, że w liceum w N[owym Sączu] kolanem uczniów ubijać nie będzie, zmieścił się tam jeszcze syn posła na Sejm, syn majora i kuzynek jednego z profesorów. Z synem miałem niejakie trudności, bo stale skarżyli się na niego profesorzy, że urządza bójki. Sam pamiętałem ze swej przeszłości, że bijałem się do samej matury. A i później, w okresie, gdy bijących się specjalnie honorowano, biłem się ponoć *summa cum laude*[a].

[a] Z najwyższą pochwałą (łac.).

Wiedziałem również, że jak długo chłopak rad się bije, tak długo można być o niego spokojnym. Próbowałem to wytłumaczyć jednemu z profesorów, [lecz] nie udało się [go przekonać]. Zbyt daleko odbiegł od swych młodzieńczych lat lub może urodził się z ćwikierem na nosie[330]. Syna zapisałem więc do liceum rolniczego, w mieście oddalonym o 12 godzin jazdy pociągiem[331].

Obóz Zjednoczenia Narodowego

W próżni powstałej po rozwiązaniu BBWR, gdy wiatr rozwiał swąd spopielałych aktów tej organizacji, najrozmaitsi ludzie koniunktury czuli się źle. Byli ważni, pożądani, a teraz ich kopnięto. Nie byli to ludzie najlepsi (kursowało bowiem powiedzonko, że nie wszyscy w BBWR, to są świnie, tylko że wszystkie świnie są już w BBWR), ale w każdym razie oni mieli najlepszy węch, wietrzyli koniunkturę. Zaczęto tworzyć OZN, znów nas zaczęto kusić, ale i tym razem

bez powodzenia[332]. Utworzono więc sekretariat, rozpoczął się ruch narodowy, który zaczął objawiać swą żywotność urządzaniem żydowskich pogromików. Ojcami duchownymi tego narodowego ruchu był wikary i akademik. Ciekawa rzecz, że najpilniejsze poczucie prawa ma dziecko, a następnie chłop. Gdy ktoś nie mając tego poczucia we własnej duszy, zacznie uczyć się prawa rzymskiego, kościelnego, cywilnego i karnego, wówczas zwykle zatraca poczucie prawa i bezprawia. Najgorzej więc, gdy u prawników przychodzi szukać sprawiedliwości. Akademik był prawnikiem, zorganizował bojówkę, i w każdy jarmark wojował z biednymi Żydowinami, bogatych bowiem przezornie nie napastowano[a333]. Wieczorem bojówkarze otrzymywali suty obiad z wódecznością i po dwa złote na ryj.

[a] *W oryginale:* napastywano.

Ponieważ zarobek był dobry, a praca nieciężka, owszem urozmaicona, wobec tego ów narodowy ruch wikarego i akademika rokował piękną przyszłość w tym powiatowym miasteczku. OZN zaczął również objawiać ruchliwość, zaczęto tworzyć lokalne organizacje. Sieroty po BBWR odetchnęły, zbiegając się pod nowy znak. Nadeszły wybory do gromad, gmin i rady powiatowej. Mandaty zdobywali posłowie Piasta i bezpartyjni, którzy jednakowoż odżegnywali się od OZN. Przyszły wybory do Sejmu, dokonano wyboru delegatów na zjazd, który miał dokonać wyboru kandydatów na posłów.

Wybory do Sejmu

W dniu wyjazdu zjechaliśmy się w Limanowej, było nas kilku nauczycieli i kilku chłopów; środków lokomocji miało dostarczyć starostwo. Podchodzi do nas sekretarz Rady Powiatowej, doktor praw, wręcza nam kartki z dwoma nazwi-

skami i komunikuje, że starosta życzy sobie, abyśmy oddali głosy na te dwa nazwiska. Obydwaj wysoce niesympatyczni ludzie, jeden z Krakowa, drugi z Warszawy, którzy dotychczas nic wspólnego z powiatem nie mieli. Patrzymy po sobie, kolega Sk. drze kartkę, mówiąc, że czyni to dla wszelkiej pewności, następnie wykonujemy ten zabieg wszyscy, oburzeni takim postawieniem sprawy. Kilkakrotnie namawiano mnie jeszcze podczas poprzednich wyborów, abym kandydował, zawsze jednak odrzucałem tę propozycję ze śmiechem. Teraz jednak, po wyrzuceniu podartych kartek do kosza, zwrócił się do mnie jeden wraz z kolegami, bym się zgodził na zgłoszenie mej kandydatury. Dałem wymijającą odpowiedź.

Gdy się o tym incydencie dowiedziały miarodajne czynniki powiatowe, wówczas pokazało się, że auta nie ma. Szukamy, ale nie ma. Nadjeżdżają delegaci z Mszany, i po wielkim pijaństwie u Bursztyna, odjeżdżają dalej, my zostajemy na rynku. Rozbijamy się po mieście, ostatecznie wynajdujemy stary klekot ciężarowy i z przeszkodami dobijamy się do Bochni, tuż przed rozpoczęciem się zebrania. Na jakąkolwiek agitację nie było już absolutnie czasu. Pierwszy zgłasza pełną listę przedstawiciel OZN, następują zgłoszenia indywidualne, mnie zgłasza kolega C. W pierwszym i drugim głosowaniu utrzymuję się na miejscu trzecim, w trzecim głosowaniu z losowania otrzymuję miejsce czwarte[334]. Po powrocie do domu wnoszę podanie o urlop. Odpowiedź otrzymuję za dwa tygodnie, na objazd terenu pozostaje mi jeszcze dwa tygodnie. Urządziłem kilka wieców w swym powiecie, znacznie więcej urządził ich mój kontrkandydat. Kończył je prawie zawsze obfitymi libacjami. Ja zaś postanowiłem sobie, że absolutnie wódką kaptować nikogo nie

będę, cały mój rachunek wódczany za okres dwu tygodni wynosił 12 złotych z groszami.

Wypadało przedstawić się starostom z powiatów, które należały do Okręgu Wyborczego. Jeden z nich przyjął mnie otwarcie, jak przystało na wojskowego. „Panie, urządzę panu w swym powiecie szereg zebrań, chociaż pan do OZN nie należy, tylko proszę przyjechać". Diabli mi do tego, kogo wybiorą, byle tylko chłopi głosowali, ale zdaje mi się, że głosować nie będą. Na te wiece jeździliśmy więc paczką: ks[iądz] – oficjalny kandydat z OZN, dziedzic, który w ostatnim momencie deklarację podpisał, i ja – dziki. Przyjeżdżamy do jakiejś miejscowości, gdzie zgromadziła się grupa, zwykle bardzo szczupła, kler, nauczycielstwo, gmina, członkowie, Akcja Katolicka i trochę gawiedzi. Nastroje zazwyczaj minorowe. Rewię kandydatów rozpoczynał ksiądz, następnie występował dziedzic (bo to było w jego powiecie), zamykałem ja, jako obcy. Traktowaliśmy cały ten kram raczej na wesoło. Przeciwko sobie żadnych wycieczek nie urządzaliśmy, by koszta agitacji były mniejsze. Z kontrkandydatem (obszarnikiem) jeździliśmy często jedną taksówką. Nie jeździł tylko drugi, oficjalny kandydat OZN. Po pierwsze [dlatego], że mu mandat przed wyborem zagwarantowano, po drugie, że partia w ogóle wolała go nie pokazywać. Syn prezesa opozycji dał mi auto do dyspozycji, mogłem się więc lepiej poruszać po terenie.

OZON dalej mnie kusił. Przed głosowaniem obiecywano mi wybór za przystąpienie, później pełne skuteczne poparcie; ostatni list specjalnym posłańcem otrzymałem na 12 godzin przed głosowaniem. Odpowiadałem stale, że miarodajnym winno być to, czy w ogóle coś dotychczas dla powiatu zrobiłem, ale nie umieszczenie podpisu na jakimś świstku.

Dla administracji ważniejszym jednak był ten drugi argument. Obliczałem swe szansę, gdyby wybory były uczciwie przeprowadzone, a chłopi nie bojkotowali w 100%, to wybór miałem zapewniony. Mój kontrkandydat, wójt z jednej z górskich wiosek, który swe wójtostwo zawdzięczał kombinacjom BBWR, poza gminą [wcale] nie był znany, podczas gdy ja miałem znajomych w każdym zakątku. Mogłem liczyć na głosy robotników i kolejarzy, również i na głosy z miast. Koledzy i koleżanki byli rozsiani po całym okręgu wyborczym, no i głosy Żydów, których przymuszano (w jednym miasteczku grożono im nawet pogromem, jeżeli się wstrzymają od głosowania lub oddadzą głosy na mnie lub dziedzica). Ci ostatni na kandydatów i OZN, po deklaracji w kwestii żydowskiej, głosować nie mogli. Dziedzic był znów powiatowym prezesem Akcji Katolickiej, pozostałem więc pomimo woli ich sztandarowym kandydatem.

W dniu wyborów w bardzo wielu komisjach wstrzymano się od głosowania. Bywały wypadki, że np. zamiast 800 uprawnionych głosowało 12, w innych na 1309 głosowało 55, w wielu jednakowoż komisjach odsetek głosujących był znośny. Ogółem otrzymałem 18 tys. głosów, z tego przeszło 12 tys. w swym powiecie, resztę w dwu obcych. W naszym powiecie głosowało na mnie dużo chłopów z zamożniejszych wsi, łamiąc zakaz strajkowania. Z okolicznych wsi otrzymałem prawie wszystkie głosy, przeważnie pojedynczo. W powiatowym mieście otrzymałem przeszło połowę głosów oddanych, również pojedynczych. W Pisarzowej, na 442 głosujących, otrzymałem 428 głosów, z czego 240 pojedynczych. Ze wsi Siekierczyny, w której uczyłem przed 18 latami, szli ponoć wszyscy żywi do głosowania, do komisji odległej o godzinę uciążliwej drogi, oddając na mnie

528 głosów. W powiecie bocheńskim, gdzie przemawiałem jedynie na wiecu w Bochni, otrzymałem 3694 głosy, przeważnie od inteligencji, robotników i górników salin, dzięki niedawnym awanturom z ZNP.

Zaznaczyć muszę, że dwaj pierwsi kandydaci, oprócz pełnego poparcia administracji, mieli tę przewagę, że wszystkie czyste kartki szły na ich rachunek, podczas gdy głosy oddane na mnie i dziedzica musiały być przy naszych nazwiskach znaczone. Za kandydatami z OZN agitowała Akcja Katolicka, najsilniej jednak zaważyły na szali bojkot i „technika wyborcza". Ksiądz otrzymał rzeczywiście więcej głosów ode mnie. Ludowcy agitowali za bojkotem wyborów, przeciwko mnie jednak osobiście nie występowali, nie mogę tego jednak powiedzieć o administracji. W powiecie pracowałem od 1910 r., w organizacjach społecznych od 1912 r., od 1925 w Radzie i Wydziale Rady Powiatowej. Pomimo tego, na dużym zjeździe z racji otwarcia mostu przemawiał wicewojewoda, zwalczając mnie, a agitując za człowiekiem, którego jedyną zasługą było to, iż przed miesiącem wstąpił do OZN[335].

Miałem materiał, mogłem wnieść protest. Nie uczyniłem tego, bo: 1) protest mógł być rozpatrywany za kilka lat; 2) mogło to zaszkodzić jednemu z kolegów, który miał troje dzieci; 3) nie chciałem pracować z ludźmi tych przekonań i o takiej etyce. Cała ta awantura kosztowała mnie niezbyt wiele (rozjazdy, druki, poczta), coś miałem gotowego grosza, na brakującą kwotę sprzedałem niepotrzebną krowę, zbytecznego konia i machnąłem na wszystko ręką.

W okresie kandydowania odniosłem się do Komendy Okręgu Związku Legionistów, otrzymałem jednak odpowiedź, że Związek Legionistów popierać będzie jedynie

kandydatów OZN, nawet przeciw kandydatom legionistom. Popierał więc austriackiego starszego żołnierza przeciw legionowemu sierżantowi.

Pod najrozmaitszymi protestami usuwano z lokali wyborczych moich mężów zaufania. W miejscowości N. usunięto np. męża nauczycielki tej wsi, który był synem wójta z sąsiedniej wioski. W miejscowości N., liczącej może tysiąc mieszkańców, gdzie więc wszyscy się znają, był od [wielu] lat kasjerem kasy Stefczyka. Zażądano od niego, by się wylegitymował, bo tu jest nieznany. Żądanie to postawił mu komendant P[olicji] P[aństwowej], z którym się osobiście kilka lat znali, ponieważ jednak mój mąż zaufania nie miał przy sobie żadnego dowodu osobistego z fotografią, więc musiał iść po niego do domu, a o to przecież tylko chodziło, by usunął się na jakiś czas z lokalu wyborczego[a].

[a] Zapewne chodzi o wieś Niedźwiedź.

Zjazdy legionistów

Jeździłem także na doroczne zjazdy legionowe, by spotkać się z towarzyszami broni, najmilej spędziliśmy czas podczas zjazdu wileńskiego. Z biegiem czasu zjazdy te stawały się szablonowe, ostatni zaś, w 1939 r., stał się niesmaczną propagandą OZN. Na zjazdach słuchałem bezpośrednio mów Marszałka, niejednokrotnie nie godziłem się z jego wywodami, intuicyjnie jednak odczuwałem, że on ma słuszność. Dopiero wywiad o senatorze Woźnickim[336] i o sejmie rozczarowały mnie. Zdawało się mi, że Marszałek sam zsuwa się z wysokiego piedestału, na który go legenda wywindowała.

Ostatni starosta[337]

Po wyborach nie przyszedłem na dwa posiedzenia jakichś komisji. Jedno opuściłem, ponieważ miałem jakieś pilne zajęcie we wsi; drugie, bo musiałem wyjechać do dzieci. Wówczas starosta przysłał do mnie agronoma powiatowego, który w toku rozmowy doniósł mi, że w razie gdybym nie chciał pracować dalej społecznie, to postara się o to, że mnie przeniosą na Polesie. Odpowiedziałem mu, co myślę o takich pogróżkach i ludziach ich używających. Dodałem zaś, że na Polesie ewentualnie iść nie muszę, bo mam w domu co robić i co jeść.

Starostowie

W ciągu piętnastoletniej pracy w samorządzie miałem ścisły kontakt z pięciu starostami i dwu pełniącymi obowiązki starosty. Jeżeliby chciało się graficznie przedstawić ich zdolności rządzenia powiatem, to najlepiej byłoby użyć muzycznego znaku *decrescendo*[a]. Ostatni wytasowany kapitan artylerii miał dużo tupetu, umiał słuchać poleceń, wsi ani jej potrzeb nie znał, a co gorsza zawsze je ignorował. W czysto polskim powiecie (98,2% Polaków) stosował metody znad Strypy, gdzie poprzednio pracował. Dwaj pierwsi (po 1925 r.) starostowie poszli z awansem na lepsze placówki. Trzeci, zdolny, uczciwy, magister Buliński, mający nadzwyczajny dar wyszukiwania i zużytkowania odpowiednich pracowników, poszedł, ponieważ nie zgodził się „łamać" przeciwników reżymu i popierać kanalie z BBWR. Najbardziej zaszkodziło mu to, że jednakową miarę stosował do wszystkich interesantów, bez względu na ich zapatrywania

[a] Termin muzyczny (wł.) coraz ciszej.

polityczne. Następny po nim poszedł w odstawkę za rozruchy chłopskie. Jak jednak doszukano się w nim winy w zajściach w Kasince, to nie wiadomo. Ofiary obciążają jedynie konto oddziału policji, stacjon[ującego] w Rabce, którym bynajmniej nie dysponował starosta. Ponieważ jednak ktoś musiał ponieść odpowiedzialność za premiera, przebywającego wówczas w Paryżu, więc ofiarą padli niemile widziani starostowie i wojewodowie z powiatów, gdzie były zaburzenia, i gdzie ich nie było. Gdy pytałem starostę, w jakiż to sposób wybrano winnych, odpowiedział żartobliwie, że do czapki wsypano kartki z nazwiskami starostów; po wymieszaniu chwycił premier garść papierków – to byli winni, i tych spławiono. Po tym *intermezzo* poleskim[a], które zignorowałem zresztą, starosta robił minę, jak gdyby nic pomiędzy nami nie zaszło[338].

[a] Termin muzyczny (wł.) dosłownie środkowy, wymawia się intermedzdzo, samodzielny, krótki utwór.

Zdobnictwo ludowe

Pracowałem jak dawniej, wyszukałem sobie nawet nowe zajęcie. W Pisarzowej było sporo dawnych skrzyń z ciekawymi ornamentami, zacząłem je zbierać i ani nie przypuszczałem, że zgromadzę album [złożony] z 43 motywów zdobniczych, które można by użyć na makatki i kilimy. Przy tej sposobności wpadły mi w rękę dawne hafty, białe i kolorowe, wykonywane w Pisarzowej. Okazało się, że są to bardzo cenne motywy ludowe sprzed 60–100 lat, najwięcej z okresu około 1870 r.

Zainteresowałem tą sprawą kolegę Kalisza, który miał krewnych w Sechnej, [skąd] również wiedziałem o haftach. Przeszukaliśmy dosłownie wszystkie skrzynie; on w Sechnej, ja w Pisarzowej. Owocem tej pracy były dwa dalsze al-

bumy o 70 kartonach najciekawszych ornamentów. Nauczycielka A. Oleksówna nauczyła jedną dziewczynę odrysowywać (wzory), białym tuszem na czarnym kartonie, tak aby było znać technikę pracy. Przeszło mi przez ręce sporo tych haftów, dwu jednakowych jednak nie znalazłem. Te wiejskie „wysywacki" były to artystki w swoim rodzaju. Wzory te wykonywano na płócienku lnianym własnej roboty lub tiulu. Najpiękniejsze motywy były na rańtuchach (chustach), z których wiązano kogutki na głowę, ozdoby na koszulach dziewcząt i na fartuchach. Te hafty, które mogłem nabyć, zakupiłem; inne odrysowano, aby motyw przynajmniej zachować. Między innymi udało mi się nabyć fartuch na tiulu wyszywany, nad którym wyszywaczka pracowała pełne dwa lata. Piękny nad podziw ornament z kłosów pszenicy. Praca tak żmudna, że uwierzyć trudno, iż takie hafty wykonywano na zapadłych wsiach siedemdziesiąt lat temu. W maju 1939 r., na konferencji urządzonej przez Okręg ZNP w Łososinie, dla przewodniczących sekcji oświatowych oddziałów powiatowych ZNP, pokazywałem te hafty, albumy, makaty i kilimy. [Wzb]udziły one ogólny zachwyt, szczególnie makaty i kilimy, zrobione z [miejscowej] wełny i ozdobione oryginalnym motywem pisarzowskim. Gdyby tak zebrać materiały te z całego powiatu, z całej Polski, to byłaby istna kopalnia drogich kamieni.

Komisarz P[olicji] P[aństwowej]

Gdzieś na wiosnę 1939 r. zwołano do Limanowej konferencję w sprawie pożyczki na obronę przeciwlotniczą, po której pozostawiono najpoważniejszych obywateli powiatu na poufne zebranie. Referował komisarz policji państwowej, od-

Skrzynia z wiana panny młodej z okolic Limanowej, 1888 r.
Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 40-9-203-14

komenderowany tu z armii kapitan piechoty. Zaproponował nam ni mniej ni więcej, jak tylko pisanie anonimów na tych, których uważamy za szkodników. Pomiędzy zebranymi zapanowało przykre, przygnębiające milczenie. Zacni, poważni mieszczanie, przedstawiciele wolnych zawodów, kleru, inteligencji, pospuszczali głowy, nie wiedząc, jakie stanowisko zająć wobec tej zniewagi. Pierwszy zaczął interpelować jakiś inwalida.

Siedziałem przy oknie, patrząc na wiosenne słonko. Z domu wyszedłem o 7.00 rano, w szkole siedziałem do 13.00, zjadłem kromkę chleba z masłem i poszedłem na stację kolejową. Po przyjeździe jedno posiedzenie, tj. dwugodzinne wiercenie dziury w brzuchu, teraz dla odmiany urabianie nas na honorowych konfidentów policji. Jak jeszcze przypomniałem sobie, że w domu orzą i sieją, a mnie ta przyjemna robota ominęła, tak ulało mi się żółci. Zacząłem słowami niemieckiego poety: *Der groste Lump in dem Land, War und ist der Denunziant*[a339]. Mówiłem dosyć długo, teraz dla odmiany mienił się komisarz policji, a zebrani podnosili głowy. Coś tam bąknął później, że go nie zrozumieliśmy, ale rozeszliśmy się bez zakończenia zebrania.

[a] Największym łotrem w kraju był i jest donosiciel (niem.)

Powołanie do armii

Wakacje były gorące, chmury gromadziły się coraz groźniejsze na horyzoncie politycznym. Dopiero gorączkowe prace koło żniw i bezpośrednio po tym wykonana młocka oderwały mnie od rozmyślania nad kwestią wojny i pokoju. 23 sierpnia szedłem rano na wycieczkę z synem i córką na szczyt Jaworza. Przechodząc koło sołtysa, wstąpiłem tam i zobaczyłem listę 25 powołanych imiennie do wojska. Po-

szedłem dalej, nie uszedłem jednak 300 kroków, gdy posłyszałem za sobą wołanie. W odrębnej kopercie było powołanie dla mnie, by się stawić najbliższym pociągiem w [Dowództwo Okręgu Korpusu] DOK Kraków. Wróciliśmy się, po drodze porozmawiałem szczerze z dziećmi, co mogłem tym lepiej zrobić, że żony przy nas nie było. Testament miałem już dawno zrobiony, więc ta sprawa nie zajęła mi czasu, musiałem jednak uporządkować sprawy szkolne, kwity, kancelarię szkolną i akta oddałem koledze. Przez jakiś czas chodziłem po mieszkaniu, zachodziłem do stajni, włóczyłem się koło zabudowań, po sadzie, nie mogłem usiąść, coś mnie popędzało. Chciałem odejść z domu pieszo, żona nie pozwoliła; dzieci uparły się, że mnie odwiozą na stację. Pojechałem więc ostatni raz pięknym sześcioletnim angloarabem bułankiem na stację kolejową. Za kilka dni po mnie odszedł i bułanek do kawalerii. Na stacji pełno rezerwistów, nie było ani entuzjazmu, ani rezygnacji, raczej jakiś spokojny, poważny nastrój i dużo pewności siebie.

Odchodziło kilku rezerwistów, którzy przed kilku dopiero tygodniami ożenili się; młode żony najgłośniej chlipały. Zajechał pociąg, spokojnie, poważnie weszli powołani do wozów i ruszyliśmy. Za nami leciały jakieś okrzyki, ktoś ocierał oczy, większość zebranych na dworcu żegnała nas powiewając chusteczkami lub kapeluszami, rychło jednak straciliśmy ich z oczu.

W domu rodzice przypominali nam zawsze, że kto bez rachunku żyje, ten bez testamentu umiera. By więc nie skończyć w ten pogardliwy sposób, zawsze zapisywałem rozchody i dochody. Nie są one typowe dla przeciętnego nauczyciela, ponieważ mieszkanie i opał nie kosztowały mnie nic. Żywność [kosztowała] niewiele, kupowałem do domu tyl-

ko to, czego gospodarstwo nie dostarczało, np. mięso, cukier, korzenie, kawę itp. Za okres od 1931–1936 wydawałem przeciętnie następujące odsetki rocznego dochodu (pobory i dochód z gospodarstwa): na żywność 8,2%, budowa 15,1%, odzież 10,9%, do gospodarstwa 9,7%, służba 8,3%, dzieci (syn w gimnazjum) 18,8%, nawozy sztuczne 1,9%, drobne do domu 1,8%, gazety 1,8%, lekarstwa 0,8%, podatki, asekuracje 5,3%, podróże 2,3%, wino, wódki 0,4%, do szkoły (pomoce, dzieciom szkolnym) 1%, filantropia 1%, składki członkowskie 1,8%, społeczne 10,9%.

Po roku 1936 wydatek na dzieci podniósł się do 35,2% (córka zaczęła uczęszczać do gimnazjum); uszczuplone zostały natomiast inne pozycje, a przede wszystkim rubryka „budowa". Posyłając dwoje dzieci do szkół średnich, syna do państwowego, córkę do prywatnego gimnazjum, musiałem na ten cel oddawać przeszło 30% mych poborów służbowych (VII stopnia), nie licząc rozmaitych naturaliów z gospodarstwa i ubrań, które figurowały w rubryce „odzież". Przeciętny nauczyciel, ucząc dzieci innych, nie może marzyć o daniu wykształcenia swym własnym. Jeżeli zaś to czyni, to sam z rodziną cierpi nędzę, a uczące się jego dzieci – niedostatek. W tym tylko wypadku może podołać wydatkom, gdy i żona jego pracuje.

5. [EPILOG. Z PERSPEKTYWY POLSKI LUDOWEJ]

Wspomnienia i uwagi sadownika

Urodziłem się w roku 1892 w Pisarzowej, powiat Limanowa. Wieś górzysta, różnica poziomów od 400 metrów n.p.m. do 927. Gleba [była] przeważnie mało urodzajna. Przeważały glinki mało urodzajne, pochodzące ze zwietrzenia skał piaskowych rupków i łupków bitumicznych; [ziemia] często podmokła, tylko częściowo nadawała się do nasadzeń jabłoni i grusz, raczej śliw. W limanowskim powiecie nie było tradycji sadowniczych. Od roku 1912 należałem do Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Limanowej. Przypominam sobie, jak marszałek powiatu Zygmunt Mars mówił, że około 1840 r. jakaś zaraza zniszczyła wielkie śliwniki w Niedźwiedziu, Porębie Wielkiej, Podobinie i okolicach Kamienicy.

W połowie XIX w. (do 1856 r.) był proboszczem w Pisarzowej ks. Najduch; nie dał on ślubu, dopóki „młody" nie przyniósł zaświadczenia z gminy, że posadził 30 drzew „rodzajnych". Z tego okresu pochodziły w mej młodości sady przeważnie półdzikich grusz (płoszczyczki, kolącki, cukrówki, panny itp.), których owoce suszono. Odmian jabłoni było mniej: mądrzyki słodkie, wanatki i kwaśne. Śliwy – spotykało się węgierki zwykłe, białe damaszki, kobylarki, drzystki i czarne. Drzew tych nie było we wsi zbyt dużo. Od 1907 do 1919 r. sekretarzem Rady Powiatowej był Józef Bek[a] (jego syn, minister spraw zagranicznych, podpisywał się Beck), działacz dużej miary, z jego inicjatywy Rada Powiatowa w Limanowej zakupiła dziewięciomorgową parcelę na Słonecznej, i tam założyła szkółkę drzewek owocowych.

[a] J. Bek przybył do Limanowej wcześniej, już w listopadzie 1899 r., gdzie został sekretarzem Rady Powiatowej.

Kierownikiem był Lichoński. Drzewka rosły pięknie, miały duże przyrosty, lecz słabe ukorzenienie. Lichoński szafował azotowymi nawozami, [korzenie] posadzone w gorszej ziemi rakowaciały. Gospodarstwo ojca było średniej wielkości; [miało] 48 mórg z lasem. Koło domu były dwa rzędy węgierek, 2 mądrzyki, około 20 półdzikich grusz. Jedna grusza miała słodkie owoce, nazywaliśmy ją burą. Brat dziadka posadził jabłoń, gdy odchodził na pruską wojnę (1866 r.); upominał ją, by zaczęła rodzić, gdy powróci. Nie powrócił, zaczęła rodzić przed I wojną światową, jej szkielet stoi jeszcze dotychczas. Kwaśnych jabłoni nie było. Był krzak dzikiego agrestu, wykopanego w lesie; rósł koło studni, miał kosmate, czerwono zabarwione owocki, były one bardzo smaczne.

Po ukończeniu szkoły podstawowej (wówczas nazywała się ludowa), uczęszczałem do gimnazjum w Nowym Sączu, a następnie do Seminarium Nauczycielskiego w Starym Sączu. W programie nauczania była nauka rolnictwa, sadownictwa i pszczelnictwa. Uczył profesor Trznadel. Zachęcał do zainteresowania się tą pracą, gdy już będziemy nauczycielami na wsi.

W 1910 r., po złożeniu egzaminu dojrzałości, zostałem mianowany nauczycielem szkoły ludowej w Siekierczynie. W 1912 r. zostałem mianowany nauczycielem w Pisarzowej, mieszkałem u rodziców. Zakupiłem na Słonecznej 20 drzewek i posadziłem je koło domu. Dołki kopałem sam, pomagała mi młodsza siostra i brat, którym płaciłem po 10 halerzy od dołka. Odmiany wybierałem różne, niektóre nieodpowiednie, dlatego zrakowaciały. Gdy powróciłem z I wojny światowej, zastałem 1 Bojkena, 1 Kardynała Płomienistego, 3 Piękne z Boskoop, 1 Malinkę, 2 grusze i 3 renklody.

Od 1914 do 1920 r. byłem na wojnie w Legionach. Gdy powróciłem, szkółkę na Słonecznej już zlikwidowano. Otrzymałem wówczas od Beka 600 sztuk drzewek owocowych[a], którymi obsadziłem powiatową drogę, wiodącą przez wieś. Około 80% z tych nasadzeń zniszczono podczas dwukrotnego poszerzania szosy, gdzieniegdzie tylko sterczą niedobitki tej akcji. Wybór odmian Wydziału Krajowego nie był najszczęśliwszy. Brak doświadczenia spowodował, że Bek propagował odmiany [owoców] z Tyrolu i Bawarii. Odmiany te nie wytrzymywały niskich temperatur, które od czasu do czasu nawiedzały polskie ziemie. W 1927 r. Rada Powiatowa zaangażowała instruktora sadownictwa, inżyniera Józefa Marka. W roku 1927 otwarto szkołę rolniczą typu pszczelnickiego w Łososinie Górnej. Inżynier Marek został nauczycielem ogrodnictwa i warzywnictwa, ponieważ potrafił zarazić swą ideą uczniów, praca w powiecie ruszyła, przy szkole założono szkółkę drzewek owocowych.

[a] Wcześniej pisał, że było to 250 drzew.

W 1920 r. wstąpiłem w związek małżeński ze swą kuzynką. Rodzice wydzielili nam po 7 mórg ziemi, tak że mieliśmy na początek około 15 mórg. Lata 1921–1924 to był okres intensywnej budowy domu i budynków gospodarczych, znalazłem jednak czas na założenie dwumorgowego sadu i założenie szkółki drzewek owocowych. Muszę wspomnieć, że podczas pobytu w rosyjskiej niewoli na Kaukazie pracowałem początkowo jako robotnik, a następnie jako pomocnik miejskiego ogrodnika w Stawropolu (wówczas 84 tys. mieszkańców). Pracowałem przeważnie w szklarniach, inspektach i na kwietnikach, ale w okresie pilnych robót także w szkółkach drzewek owocowych i ozdobnych. Szkółka była na moim polu, pracowałem sam, z grupą zainteresowanych uczniów, [których] uczyłem pielęgnowania drze-

wek, szczepienia i formowania. Wyprodukowane drzewka (z wyjątkiem 30 sztuk) rozdzieliłem pomiędzy uczniów, a ci posadzili je u swych rodziców; to byli pierwsi zapaleni sadownicy w Pisarzowej.

Nadeszła ostra zima 1928–1929, sad położony w kotlinie rzeki, bujnie rozrośnięty na dobrej ziemi, przemarzł prawie w 90%. Propagowano wówczas Renetę Szarą, wszystkie drzewka przepadły. Wiosną 1929 r. wykarczowałem 128 drzew, które już dobrze zaczęły owocować.

W roku 1930 byłem na półrocznym kursie rolniczo-społecznym w Brodach, założonym przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w Brodach pod Kalwarią. Kurs ten dał mi teoretyczne podbudowanie do prac społecznych, które od 1925 r. wykonywałem. Sadownictwo wykonywał profesor Rokita, uczeń profesora Brzezińskiego. Od roku 1925 byłem członkiem Rady, a następnie członkiem Wydziału Rady Powiatowej w Limanowej, a także prezesem Oddziału Powiatowego ZNP w Limanowej. Wiedziałem, że wielu nauczycieli w powiecie ma zainteresowania sadownicze. Zorganizowałem dwa dwutygodniowe kursy ogrodniczo-rolnicze (przy pomocy ZNP, Rady Powiatowej). Przyszło mi to łatwo, ponieważ z ramienia Rady Powiatowej byłem przewodniczącym Komisji Szkoły Rolniczej i mogłem korzystać z lokalu szkoły i grona nauczycielskiego, które pracowało bezinteresownie.

Komisja Oświaty Pozaszkolnej przy Oddziale ZNP zorganizowała w latach 1932–1935 cztery półroczne (w miesiącach zimowych) zimowe szkoły rolnicze, które były właściwie uniwersytetami ludowymi (Pisarzowa, Limanowa, Sowliny, Młynne). Szkoły zgromadziły po przeszło 40 słuchaczy, w Sowlinach przeszło 100, w trzech zespołach rolniczo-wa-

rzywniczych, sadowniczo-pszczelarskich, kobiecych. Jako kierownik tych kursów miałem dużo pracy, wychowały one jednak przodowników, którzy później organizację pracy w terenie przejęli na swe barki.

Na polecenie Rady Powiatowej, angażowałem inżyniera Marka do pracy w powiecie, a on, życzliwy, dodał mi otuchy, aby próbować jeszcze raz z posadzeniem sadu. Powtórzyłem błąd, by uniknąć dużej straty, nie sadziłem tych odmian, które już przemarzły zimą 1928–1929, lecz inne, również częściowo niewypróbowane, zamiast dwu lub trzech odmian pewnych mrozoodpornych w naszym klimacie. Zima pierwszego roku II wojny światowej znów niektóre odmiany silnie przerzedziła.

Założenie sadu to [była] dopiero część pracy, należało zabezpieczyć zbyt owoców. W roku 1935 sadownicy powiatu limanowskiego [utworzyliśmy] Spółdzielnię Ogrodniczą w Tymbarku, z ograniczoną odpowiedzialnością, z udziałami po 10 zł[340]. Gros stanowili byli uczniowie Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej lub ich rodzice. Początkowo było nas 98. Owoce dostarczaliśmy spółdzielni, która zajmowała się ich przechowaniem, a sprzedawała zimą lub wiosną, gdy osiągnęły wysoką cenę. Część należności (*conto*)[a] wypłacano przy dostawie, wyrównywanie [następowało] po spieniężeniu towaru.

[a] *Conto corrente* (wł.) rachunek bieżący.

W okresie II wojny [światowej] spółdzielnia uruchomiła wyrób marmolady, tak poszukiwanej w okresie okupacji. Podczas okupacji nie pracowałem w spółdzielni, ponieważ jeszcze przed powrotem z wojny było po mnie gestapo, musiałem iść w las. Po zakończeniu wojny wciągnięto mnie ponownie do pracy w spółdzielni. Wybrany na członka Rady Nadzorczej, a następnie na sekretarza Prezydium Rady,

brałem żywy udział w pracy. W skład Zarządu weszli inżynierowie: Józef Marek, Pawłowski[341], Gwarek i doktor Macko[342]. Inicjatywę [wykazywali] inżynier Marek i inżynier Pawłowski. Inżynier Gwarek prowadził sprężyście fabrykę, która dostarczała środków na realizację planów (byliśmy na własnym rozrachunku). Podczas okupacji spółdzielnię reprezentował doktor Macko, który świetnie umiał po niemiecku i znał psychikę Niemców, a po 1945 r. znalazł wspólny język z władzami i miał chody. Spółdzielnia postanowiła zmienić oblicze powiatu. Tam gdzie tylko będą odpowiednie warunki, postanowiono zakładać sady. W północnej urodzajniejszej części powiatu (glinki lessowe) propagowano jabłonie, w południowej zimnej i górzystej śliwy, które dochodziły w dwa tygodnie po wysypie na nizinach i uzyskiwały dobre ceny. By mieć dobre własne szczepy, założono szkółki drzewek w Goduszy, Jodłowniku i Olszanie, ostatnio na Starej Wsi. Wyprodukowano około 800 tys. sztuk, rozprowadzono pomiędzy rolników limanowskiego powiatu.

Nabywca podpisywał deklarację członkowską, otrzymywał żądaną ilość drzewek i zobowiązywał się po upływie pięciu lat oddać za każde pobrane drzewko po 7 kilogramów dorodnych owoców. Rozprowadzono tym sposobem przeważnie jabłonie, trochę węgierek, bardzo mało wiśni i grusz. Po zakończeniu tej akcji spółdzielnia liczyła przeszło 4200 członków. Sam zasadziłem 3 morgi sadu, pomiędzy sąsiadów ze wsi Pisarzowa, Męcina, Kłodne rozprowadziłem około 5 tys. sztuk jabłoni. Sady zakładało się w tym celu, by nasza fabryka miała własne zaplecze surowców. W naszych warunkach świetnie rosły i owocowały: Oliwka, Kronselska. Początkowo przetwórnia przerabiała gorsze owoce i spady na moszcz, wkrótce jednak po-

kazało się, że wszystkich owoców tej odmiany nie zdoła się przetworzyć na wino i marmoladę. Śliwki, chociaż bardzo smaczne, nie nadawały się do transportu (zbyt delikatne) ani do przechowywania (jesienne). Należało przystąpić do masowych przeszczepień, co spowodowało dużo złej krwi i nieporozumień. Tymczasem w roku 1949 upaństwowiono nasze zakłady w Tymbarku, ponieważ zatrudniały przeszło 500 stałych pracowników[343].

Gdy w roku 1956 nastąpiła niejaka odwilż, z uporem maniaków postanowiliśmy zawiązać nową spółdzielnię. Inicjatorem był znów inżynier Józef Marek. Ponieważ zażądaliśmy zwrotu udziałów, na odczepne oddano nam stary, zrujnowany, nieczynny już 24 lata browar Zygmunta Marsa. Niestrudzony inżynier Marek zajął się gromadzeniem sprzętu, starych maszyn z Zachodu, i znów rozpoczęto pracę w ciężkich warunkach, przebudowując dla własnych potrzeb ruderę i usuwając gruzy[344].

Do Rady Nadzorczej wybierano przeważnie tych, którzy już pracowali w Tymbarku, wszedłem więc po inercji i prac[owałem] w niej (rok 1971). Poparcia początkowo nie mieliśmy, pozostawiono nam jednak wolną rękę. W roku 1958 umarł nieodżałowany inżynier Marek, jego miejsce zajął magister Józef Kulpa, czynny członek Rady Nadzorczej i działacz w spółdzielczości rolniczej. Warunki były z każdym rokiem cięższe. [Następowało] ograniczanie samorządu, wysokie podatki, skomasowanie środków transportu, narzucanie odgórnie cen na owoce, które niejednokrotnie nie pokrywały kosztów zbioru (śliwy). [Realia] zniechęcały sadowników.

To byłby jeden odcinek pracy w sadownictwie. Jeżeli rozchodzi się o mój sad, nie mogę poszczycić się wielkimi wy-

czynami. Zbyt wcześnie ruszyłem „z kopyta" (1913 r.), miałem wówczas 20 lat, dużo chęci, mało doświadczenia, nie mieli go również i ci, co wówczas sadownictwo propagowali. Sad pierwszy i drugi był wysokopienny, o innym wówczas nie myślano, stosowało się uprawę zbóż i [roślin] okopowych pomiędzy rzędami drzew. Po kursie w Brodach, przyszedłem do przekonania, że jednemu „rado być" albo zboże, albo drzewka. Uprawa między drzewami niszczy korzenie drzew, zabiera dużo wilgoci z gleby, utrudnia szybkie i dokładne opryskiwanie drzew. Po [uprawach] okopowych wsiałem pszenicę, a w nią wsiewkę koniczyny z trawkami, i uzyskałem sztuczną łąkę. Zrobiłem to i z tego powodu, że oprócz pracy w szkole, w radzie powiatowej, w ZNP, wykładałem na kursach nauczycielskich i młodzieżowych z ramienia kuratorium (zagadnienia gospodarcze wsi, praca oświatowa na wsi, historia i kultura wsi).

Gospodarstwo nasze liczyło w 1932 r. 37 mórg. Żona otrzymała spadek po swym, ja po swoim bezdzietnym zmarłym stryju, nie mogłem już wszystkiemu podołać. W 1934 r. wybudowałem przechowalnie na owoce. Po 1945 r. propagowano tzw. gospodarstwa piętrowe (doktor Macko), nie uważałem tego za celowe, ponieważ utrudniały pracę maszyn. Sadzeniem krzewów owocowych nie byłem zainteresowany, były one dla mnie zbyt pracochłonne. Miałem [co prawda] 60 krzaków porzeczki i agrestu, ale [przeznaczonych] dla dzieci i kuchni.

Na czarną porzeczkę jest obecnie koniunktura, nie wiadomo jak długo. Sad miałem nieogrodzony, drzewka przed zającami chroniłem owijając słomą, papierem z worków po cemencie lub smarując je ropą naftową, ale z rozmaitym skutkiem. Po każdej zimie było zawsze kilka ogryzionych

drzewek. W dwudziestoleciu [urządzałem] na terenie wsi Pisarzowa „polowanie"; co kilka dni wieczorem brałem dubeltówkę i gończego psa, pochodziłem po sadzie, a pies za śladem przeganiał zające. Ten sposób, moim zdaniem, w mych warunkach uważam za najskuteczniejszy.

Stale starałem się uzupełniać swe wiadomości, najwięcej może na konferencjach Rady Nadzorczej, gdzie wymiany zdań były często bardzo gorące, bardzo często zapraszaliśmy na nie ekspertów. Czytam czasopisma „Owoce-Warzywa-Kwiaty", „Hasło Ogrodnicze". Bibliotekę sadowniczą mam skromną.

O powiększeniu sadu nie myślę, w roku 1963 umarła mi żona, podatki od 37-morgowego gospodarstwa przy progresji były tak duże, że wysprzedając się ledwie do[trwa]łem do 1964 r. Rozdzieliłem więc gospodarstwo pomiędzy dzieci, sobie pozostawiając 5 mórg, w tym [jedną morgę] sadu.

W obecnych warunkach rolnik musi się zdecydować [na] sad lub rolnictwo. Sad w obecnych warunkach opłacić się może tylko bardzo umiejętnie prowadzony, a właściciel musi posiadać pewien kapitał obrotowy, opryskiwacze, środki transportu, przechowalnię itp. Jeżeli w danej miejscowości jest sprawnie funkcjonujące kółko rolnicze, można korzystać z jego usług (transport, opryskiwacze). Propagowanie sadownictwa przez stale zmieniających się instruktorów jest problematyczne. Najlepiej jeżeli zajmie się tym ktoś kto kilkadziesiąt lat tkwi w swym środowisku i zawsze jest człowiekiem. Sadownik powinien być jak Chińczyk, dziesięć razy rzucony na ziemię winien wstać, otrzepać się i zabrać się do roboty. Praca w sadzie (i w pasiece) ma wielki wpływ na usposobienie człowieka, działa kojąco, dlatego też zebrania sadowników, nawet bardzo liczne, są zawsze

spokojne. W ciągu 50 lat pracy społecznej w rozpolitykowanym powiecie nie spotkałem ani jednego zacietrzewionego lub nietolerancyjnego polityka, który byłby sadownikiem.

Prowadziłem wprawdzie książkę wydatków, nie prowadziłem jednakowoż [osobnego] rachunku dochodów z sadownictwa. „Wsiąkały" one w ogólne dochody z rolnictwa, hodowli, sadu, plus służbowe pobory, i rozpływały się jako wydatki na utrzymanie domu, kształcenie dzieci, budowę, zakup maszyn. Ostatecznie były duże i [stwarzały możliwość] utrzymania się po 1945 r. Zmiany po II wojnie światowej są tak duże, że trudno twierdzić, czy na te zmiany i w jakim stopniu wpłynął dochód z sadownictwa. Wpłynął jednak podnosząc dochodowość poszczególnych gospodarstw. Dopomógł w kształceniu dzieci, ozdabianiu wnętrz mieszkań, budowie ładniejszych domów, lepszym odżywianiu się i [noszeniu] lepszej odzieży. Drobny sadownik nie liczył w swym budżecie na dochód z owoców. Otrzymane w jesieni z sadu złotówki uważał za nadzwyczajny dochód i inwestował w coś, co powinno być trwałe, a więc budowę domu, kupno maszyny, wozu, meliorację lub dalsze nasadzenia drzewek. Czy w opinii wsi sadownictwo jest opłacalne? Na zebraniach sadowników stale słyszy się utyskiwania na temat nieopłacalności.

Na jednym zebraniu rejonowym zabrał głos znany sadownik i oświadczył: „Ciągle biadolicie, ja wam powiem coś do śmiechu, dawniej, gdy sadziło się kilka śliw na miedzy i dwie jabłonie koło stodoły, to parobcy śpiewali:

„Za las chłopcy za las
Bo tam dziewki tanie
Za śtyry grajcary
Pół kopy dostanie".

Dziś, gdy za lasem (rejon ujanowicki) mają takie sady, chłopcy zmienili nutę i śpiewają:

„Za las chłopcy za las
Tam dziewki jak łanie
Za każdą po ślubie
Sto kółek dostanie". (Kółko = tysiąc złotych).

Powszechny śmiech był odpowiedzią, aż ktoś powiedział: „Cóż będziemy gadać, gdy nie wiemy, co nam przyniesie jutro". U schyłku XIX i na początku XX w. sadów w pełnym tego słowa znaczeniu nie było – nie było więc z tego tytułu dochodów. W 1934 r. „Głos Podhala", wychodzący w Nowym Sączu, drukował w felietonie moją pracę pt. *Porównanie wsi królewskiej i szlacheckiej*[a]. Pomiędzy innymi była tabela, która ilustrowała różnice zachodzące pomiędzy tymi wsiami w sadownictwie, pszczelnictwie, hodowli. Dane z 1932 r.

[a] Opracowanie to było drukowane w odcinkach w „Głosie Podhala", 1937 r.

Wieś	Obszar ha		Sady	Drzewa	Pasieki	Ule	Drzewek na 100 ha	Uli pszczelich na 100 ha
	Ogółem	Ornej ziemi						
Męcina	2456	1684	32	463	12	87	18	3,5
Pisarzowa	1316	877	84	1986	20	82	146	6

W roku 1932 było w Pisarzowej 1986 jabłoni i grusz. Przypuszczalnie około 10% z nich uschło lub zmarniało, ponieważ są to drzewa dłużej rosnące, pozostało z pewnością 1788. W okresie akcji Spółdzielni Owocowo-Warzywniczej wysadzono 6121 sztuk samej jabłoni. Z tej liczby mogło przypuszczalnie przepaść (mróz, nornice, zające, wadliwe posadzenie) około 10%, pozostało więc 5500 sztuk. Obliczenia są raczej pesymistyczne. Razem więc na terenie Pisarzowej

w roku 1958 rosło 7288 sztuk jabłoni i grusz. O ile w roku 1932 na 100 ha wypadło 146, to w roku 1958 wypadło 537 sztuk[a].

[a] A. Górszczyk, rkps, „Przemiany na wsi podhalańskiej po drugiej wojnie światowej".

W roku 1927 zorganizowano z wielkim trudem i uruchomiono rolniczą szkołę w Łososinie Górnej. Był to duży wysiłek dla powiatu o budżecie najniższym w województwie krakowskim. W następnych latach zorganizowano żeńską szkołę rolniczą dla dziewcząt w Koszarach. Jedyny powiat, który utrzymywał dwie szkoły rolnicze. Szkoła w Łososinie promieniowała na cały powiat. Profesorowie tej miary co inżynierowie Marek, Górz, Drożdż byli swojego rodzaju apostołami. W okresie ferii wędrowali od wsi do wsi ucząc sadownictwa, ogrodnictwa i hodowli. Zapalili do swej idei młodzież szkoły rolniczej w Łososinie Górnej. Zaczęto zakładać sady, rozwinięto hodowlę bydła i owiec. Zaraz po 1945 r. zlikwidowano tę tak pożyteczną szkołę[345].

Placówką, która poważnie zaważyła na rozwoju sadownictwa w limanowskim powiecie była Podhalańska Spółdzielnia Ogrodniczo-Warzywnicza, założona w Tymbarku (rok 1935). Skupiła, a następnie wychowała tych, którzy byli w niej zrzeszeni. Zaczęto niemal od zera, z zapałem i wiarą, że z ubogiej ziemi limanowskiego powiatu da się ofiarnością, zapałem i pracą wydrzeć ziemi chleb dla jej mieszkańców. „Zrobić z jednego miliona dziesięć milionów to nie jest sztuka, sztuką jest z zera dorobić się jednego miliona" (doktor J. Macko).

W roku 1970 sama spółdzielnia wypłaciła swym członkom dostawcom 25 433 369 złotych, a nie tylko spółdzielnia zakupywała owoce. Z całej masy towarowej z terenu powiatu Podhalańska Spółdzielnia Ogrodniczo-Warzywnicza zakupiła 5/19, GS 2/19, Państwowe Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Tymbarku 12/19. Podhalańska Spół-

dzielnia Owocarsko-Warzywnicza w Limanowej wypłaciła za rok 1970 za owoce 25 499 369 złotych, 5 003 493 złotych z osobowego funduszu płac, 366 799 złotych z bezosobowego funduszu płac. [Razem] 30 869 661 złotych wpłynęło do kieszeni rolników i robotników. Oprócz tego do kas państwowych i samorządowych wpłynęło 10 551 884 złotych z tytułu podatku od wina, 343 493 złotych z tytułu podatku dochodowego, 550 409 złotych z tytułu podatku lokalowego, 11 495 736 razem. 550 409 złotych płaci spółdzielnia podatku lokalowego od ruder, które własnym sumptem wyremontowała i przebudowała. Według przybliżonego obliczenia Spółdzielnia zakupiła 5/19 owoców, płacąc 30 869 799 złotych, GS i PZPOW w Tymbarku za pozostałe 14/19 około skromnie licząc 70 milionów złotych.

Gdy przejeżdżam drogami limanowskiego powiatu i widzę piękne sady, mam tę satysfakcję, że jest w tym jakaś odrobina mojej pięćdziesięcioletniej bezinteresownej pracy (10 lat zajęły I i II wojna).

III. Przypisy rzeczowe

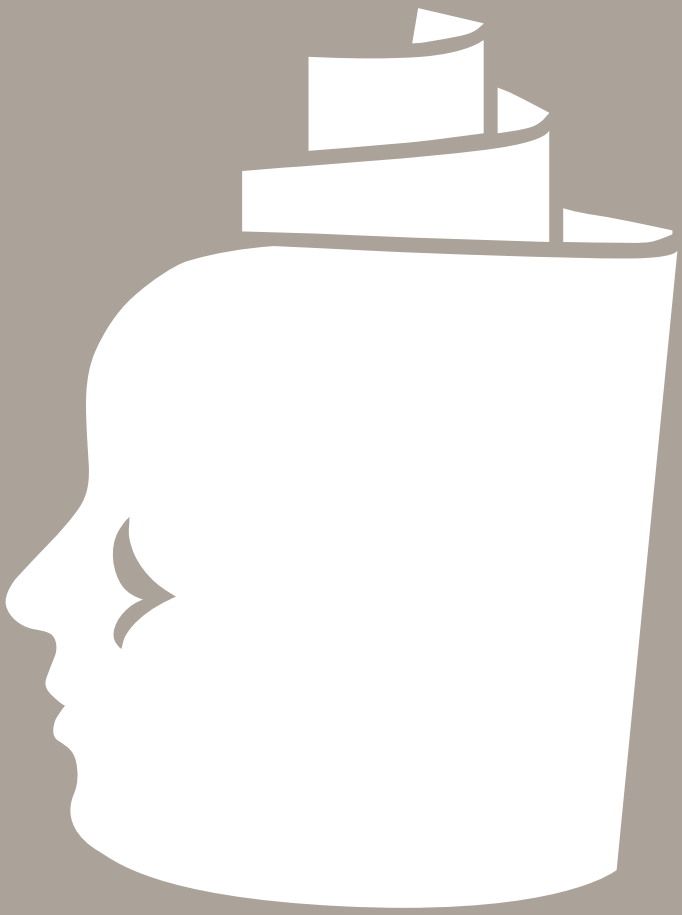

1 Morga dolnoaustriacka liczyła 0,57554 ha, czyli 5755,5 m^2. I. Ihnatowicz, A. Biernat, *Vademecum do badań nad historią* XIX *i* XX *wieku*, Warszawa 2003, s. 46.

2 Batalion Obrony Narodowej „Limanowa" wchodził w skład 2. Brygady Górskiej, stanowiącej część Armii „Karpaty", jego zadaniem była m.in. obrona Polski od strony Słowacji w dolinie Dunajca. Głównym punktem oporu w okolicy Tylmanowej (oprócz punktu w Kłodnem) była Wietrznica u ujścia potoku Ochotnica, który w pierwszych dniach września został obsadzony przez kompanię KOP „Żytyń" nad Tylmanową oraz kompanię batalionu ON „Limanowa". Polacy przez ponad 24 godziny stawiali opór wojskom niemieckim i słowackim. W obawie przed okrążeniem i odcięciem, w nocy z 4/5 września wycofali się górami w kierunku Nowego Sącza. Z. Goetel, *Kampania wrześniowa w Sądecczyźnie w roku 1939*, „Rocznik Sądecki", t. 13, 1972, s. 169–172.

3 Górnica, zwana również płótnianką, to długie lniane lub konopne letnie odzienie wierzchnie z kolorowymi wyłogami. Rodzaj płaszcza płóciennego, dopasowanego w talii, dołem mocno poszerzonego przez dwie fałdy odchodzące z tyłu od pasa. Górnice miały standardowy krój „poncha podłużnego", noszono je zazwyczaj rozpięte, w dni chłodniejsze zapinano na mosiężne haftki i przepasywano szerokim pasem skó-

rzanym. J. Wielek, *Strój Lachów Limanowskich*, Warszawa – Wrocław 1988, s. 42.

4 Tamże, s. 44; buty węgierskie noszone na co dzień, oraz przez biedniejszą ludność nawet od święta, zwane wogierscokami. Buty o krótszych cholewach, nie karbowane, zszywane po bokach. Przednia część cholewy z reguły szyta z podwójnej skóry, tylna z pojedynczej. Podeszwy miały przyszyte wprost do przyszwy.

5 Tamże, s. 44; buty polskie, noszone przez bogatszych gospodarzy bądź od święta, zwane karbiatymi albo polackami. Miały cholewy wysokie, sięgające pod kolana, sztywne, zszywane z tyłu, a na dole marszczone. O stroju Pisarzowian wspominał też autor w przedwojennym opracowaniu. A. Górszczyk, *Historia wsi Pisarzowej – Męciny*, „Głos Podhala", 1937, nr 15–16.

6 A. Górszczyk, *Historia...*, s. 27–32. W Pisarzowej zamieszkuje grupa etnograficzna góralska nazywana Lachami Limanowskimi, grupa ta występuje w środkowym dorzeczu rzeki Łososiny oraz górnym biegu Słomki.

7 Dobudowywana do pieca chlebowego (z gliny), na którą wygarniano rozpalone drewno z pieca i na tym otwartym palenisku gotowano w specjalnych garnkach.

8 Praca w szkole w Pisarzowej była twardą szkołą życia dla przybyłych tu z innych terenów nauczycieli. Pierwszą nauczycielką etatową była od 1882 r. Maria Dąbrowska (wcześniej istniała szkoła parafialna, a nauczycielami byli organiści o dość słabym wykształceniu, a następni tzw. nadetatowi nauczyciele, gdy szkoła została placówką filialną). Zapisała na koniec w kronice: „A teraz żegnaj moja droga Pisarzowo! Popraw się

dla moich następców, aby przez ciebie nie wylali tyle łez – jak to się przytrafiało! Opuszczam cię bez żalu a przejęta szczerym uznaniem wdzięczności dla tego, który mię z twoich uścisków raczył uwolnić". Następnie od 1888 r. szkołę prowadził Teofil Świerczyński, który „niedługo oświecał Pisarzową i miał wiele przykrości z ludźmi". Do roku 1898 nauczycielem w Pisarzowej był Michał Kaleta, wspomniany w pamiętniku, oraz w kronice: „obarczony liczną rodziną, bieda, wilgoć w mieszkaniu i ciemnota tak mu dokuczyły, że po sześcioletnim pobycie przeniósł się na Szląsk". Od następnego roku (aż do 1928 r.) nauczycielką „tymczasową" była wspomniana „flaczarka" Maria Tabaszewska, o której w 1928 r. w kronice szkolnej Górszczyk napisał: „Ciężkie z nią było życie otoczenia, ciężkie i ona sama miała życie. Straciła nagle ukochaną siostrzenicę, następnie po trzyletniej obłożnej chorobie matkę, na dopełnienie stracił zmysły brat jej, proboszcz w Kasinie Wielkiej, i jest obecnie na jej utrzymaniu. Spensjonowana z powodu podeszłego wieku (60 lat, 36 służby), szuka obecnie dookoła winnych, których w istocie nie było. Przy końcu urzędowania, z powodów kłopotów domowych, z wielu rzeczy nie zdawała sobie sprawy". *Szematyzm Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkim Księstwem Krakowskim na rok 1898* oraz *na rok 1899*, Lwów 1898, 1900, s. 543; AN w Krakowie, Oddział w Nowym Sączu (dalej: ANKNS), Szkoła Podstawowa w Pisarzowej (1883–1990), mps, s. 155–158, 171–172.

9 Pod koniec XIX w. we wsi zamieszkiwało około 30 Izraelitów. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych*

krajów słowiańskich, t.7, Warszawa 1887, s. 225. Na przełomie XIX i XX w. żyło we wsi 7 rodzin żydowskich, pięć z nich dzierżawiło karczmy, jedna prowadziła rzeźnię, a kolejna wiejski kram, Górszczyk wymienia nazwiska Federgrün, Lustgarten, Klapser, Heitlinger. W pamiętniku wspomina też Lejbę. Przed wojną żyło już 9 rodzin. A. Górszczyk, *Pisarzowa*, [w:] *Materiały etnograficzne z powiatu limanowskiego*, z. 2, „Archiwum Etnograficzne PTL", Wrocław 1971, s. 54; A. Górszczyk, *Historia wsi Pisarzowej – Męciny. Porównanie wsi królewskiej i szlacheckiej*, „Głos Podhala", 1937, nr 22, s. 2; Kronika Szkoły..., s. 199.

10 Przed rozbiorami w Starej Wsi k. Brzozowa byli paulini, po ich kasacie w 1784 r. (wykonanej w 1786 r.) klasztor przeszedł na własność funduszu religijnego. W 1821 r., za zgodą cesarza Franciszka I, osiedlili się w klasztorze jezuici z Rosji (obecnie Białoruś). W 1848 r. zostali usunięci z cesarstwa (przypisywano im współudział w Wiośnie Ludów), powrócili do Starej Wsi w roku 1852, po ich rehabilitacji przez cesarza Franciszka Józefa I. J. L. Kontkowski, *Sanktuarium Maryjne w Starej Wsi*, Stara Wieś 1978, s. 16–17.

11 Osobówka – potoczna nazwa pociągu osobowego. Kolej żelazna, która pojawiła się w Pisarzowej w 1884 r., początkowo była przyjmowana z rezerwą i strachem: „2 października 1884 pierwsza lokomotywa przeszła przez Pisarzową. Okrzyki radości i zgrozy pomieszały się wzajemnie. Jedni cieszyli się, inni klęli na Lucypera,że już ognistym wozem jeździć zaczyna. Oprócz tego żal im było gruntów". Kolej stała się na najbliższe 100 lat wyznacznikiem czasu dla pracujących

w polu przy torach. A. Górszczyk, *Pisarzowa w latach 1870–1880...*, „Gazeta Podhalańska", 1932, s. 6.

12 Władysław Mazur, jego nazwisko figuruje w szematyzmach z roku 1902 i 1903, jako nauczyciela nadetatowego w szkole powszechnej w Nowym Sączu. *Szematyzm Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkim Księstwem Krakowskim na rok 1902 i 1903*, Lwów 1912, s. 609.

13 Tamże. W ww. szematyzmach nie ma nauczyciela o nazwisku zaczynającym się na literę „L", być może chodzi o Jana Łaskiego, bądź Maksymiliana Klaga, którzy występują w szematyzmach.

14 Pani Wilhelmina Zielińska, zamieszkała na ul. Zamkowej 42, wdowa po krawcu. W katalogach klasowych z tego okresu umieszczano m.in. informację o mieszkaniu i osobie odpowiedzialnej za ucznia. ANKNS, I Państwowe Gimnazjum i Liceum w Nowym Sączu, Katalog Główny uczniów kl. Ib za rok szkolny 1902/03, sygn. 31/118/20.

15 O rozruchy antysemickie obwiniano pierwszą organizację chłopską w Galicji – Związek Stronnictwa Chłopskiego, a zwłaszcza jego pismo, wydawane przez posła, działacza ludowego Stanisława Potoczka w Nowym Sączu. zsch powstał w Nowym Sączu formalnie w 1893 r., a jego pismo publikowało liczne artykuły antysemickie, m.in. walczyło z karczmami żydowskimi. Do rozruchów doszło w czerwcu 1898 r. w całym powiecie sądeckim i części limanowskiego. W związku z tym wprowadzono w obu powiatach sądy doraźne (sądy przyspieszone z surowymi karami), dla osądzenia „zbrodni mordu, rabunku, podpalenia i zbrodni gwałtu publicznego", a w Galicji Zachodniej wprowa-

dzono stan wyjątkowy, zawieszając czasowo niektóre prawa obywateli. S. Antoś, *Dzieje ruchu ludowego Sądeczczyzny w latach 1870–1919*, „Rocznik Sądecki", t. 8, 1967, s. 72; J. Potoczek, *Sojusznicy czy przeciwnicy?*, „Rocznik Sądecki", t. 8; 1967, s. 139; „Związek Chłopski", 1898, nr 20 oraz nadzwyczajny dodatek do nr 19.

16 W aktach c.k. Gimnazjum Wyższego w Nowym Sączu zachował się protokół egzaminu wstępnego do I klasy gimnazjum, odbytego 30 czerwca 1902 r. Zdawało się religię, tzw. język wykładowy (czyli polski), język niemiecki i rachunki. Pod lp. 45. figuruje nazwisko Antoniego Górszczyka, który zdał religię na ocenę dobrą, język polski na ocenę bardzo dobrą ustnie i dobrą pisemnie, język niemiecki na ocenę dobrą z części ustnej i dostateczną z pisemnej oraz rachunki na oceny dostateczne. ANKNS, I Państwowe Gimnazjum i Liceum w Nowym Sączu, sygn. 31/118/47.

17 Ojciec to Piotr Sędzimir, rolnik z Pisarzowej; syn Jan, urodzony w 1884 r., uczęszczał do VII klasy, gdy autor był w I. ANKNS, I Państwowe Gimnazjum i Liceum w Nowym Sączu, Katalog Główny uczniów kl. VIIa za rok szkolny 1902/03, sygn. 31/118/20.

18 Nie był to syn starosty, starostą nowosądeckim wtedy był Władysław Jarosz, chyba że uczęszczał do innej klasy niż autor. Być może to syn jednego z urzędników starostwa. Do klasy z Górszczykiem uczęszczał natomiast syn płk. austriackiego Otto Wolfgang Pawluch, ur. we Wiedniu (wyznania grekokatolickiego), por. *Szematyzm Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkim Księstwem Krakowskim na rok 1903*, Lwów 1903, s. 34, 757; ANKNS, I Państwowe Gimnazjum i Liceum w Nowym

Sączu, Katalog Główny uczniów kl. Ib za rok szkolny 1902/03, sygn. 31/118/20.

19 W I półroczu klasa Ib (rok szkolny 1902/03), do której uczęszczał Górszczyk liczyła 55 uczniów, z czego niemal połowa to byli Łemkowie, w II półroczu 49. W I półroczu otrzymał z wszystkich przedmiotów pozytywne oceny, w II miał 5 niedostatecznych (z religii, łaciny, polskiego, niemieckiego i matematyki). ANKNS, I Państwowe Gimnazjum i Liceum w Nowym Sączu, Katalog Główny uczniów kl. Ib za rok szkolny 1902/03, sygn. 31/118/20.

20 Było to mieszkanie szewca Józefa Adamczyka, ul. Nowy Świat 32. AN w Krakowie Oddział w Tarnowie (dalej: ANKT), II Gimnazjum im. Hetmana Jana Tarnowskiego w Tarnowie, Katalog klasy Ic z roku szkolnego 1903/04, sygn.33/189/1.

21 Maczuga Apolinary, „zawiadowca" polskiej biblioteki uczniów, gospodarz klasy IIa, w której uczył łaciny. Skład grona nauczycielskiego w r. szkol. 1905, poz. 9, s. 26, [w:] *Sprawozdanie Dyrekcyi C.K. Gimnazjum Wyższego w Nowym Sączu za rok szkolny 1905*, Nowy Sącz 1905.

22 Bitwa morska pod Cuszimą, wyspą pomiędzy Koreą a Japonią, stoczona przez flotę fosyjską z japońską 27–28 maja 1905 r., podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Największa klęska w historii rosyjskiej marynarki wojennej. Rosyjska flota bałtycka i czarnomorska kierowały się do Władywostoku, w cieśninie cuszimskiej zaczaiła się na nie flota japońska, z mniejszymi i bardziej zwrotnymi okrętami. Na dno poszły wszystkie rosyjskie okręty liniowe i wiele pomocniczych, reszta się poddała, kilka jednostek zdołało zbiec. Klęska cu-

szimska doprowadziła do końca wojny i przyspieszyła zmiany ustrojowe w zrewolucjonizowanej Rosji, m.in. powołano Dumę (przedstawicielstwo społeczeństwa Rosji), a potem pod wpływem ogólnokrajowego strajku car podpisał tzw. manifest październikowy, wprowadzający demokratyczne reguły, jak chociażby powołanie rządu. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska*, Warszawa 2006, s. 32–46.

23 Władze miejskie długo zabiegały o otworzenie seminarium nauczycielskiego, pertraktowano z Radą Szkolną Krajową we Lwowie, która powołana w roku 1866 miała podporządkowane całe szkolnictwo ludowe i średnie. Zakupiono grunt i budynek od Franciszka Szołajskiego, za pożyczone 90 złotych reńskich od Wojciecha Pawlikowskiego. Miasto zobowiązało się m.in. do świadczeń materialnych, obiecało szkole dwumorgowy ogród, wybudować własnym kosztem gmach i corocznie dopłacać do subwencji rządowej. Do zakończenia budowy władze miejskie miały bezpłatnie wynajmować pomieszczenia zastępcze. 5 października 1903 r. otwarto Seminarium, umożliwiło ono młodzieży, w znacznej części ubogiej, zdobycie wykształcenia, którego wcześniej musiała szukać w większych ośrodkach miejskich lub w węgierskim Podolińcu, por. *Historia Starego Sącza od czasów najdawniejszych do 1939 roku*, red. H. Barycz, Kraków 1979, s. 261–262. Złoty reński, gulden, składający się ze 100 krajcarów. Waluta austriacka oficjalnie do 1900 r.; później pojawiła się korona wraz ze 100 halerzami. Złoty reński liczono za 2 korony. I. Ihnatowicz, A. Biernat, *Vademecum do badań...*, s. 98–100.

24 Wiktor Bazielich tak charakteryzuje Stary Sącz z początku XX w.: „Śpiączkę szarego i znojnego tygodnia roboczego miasteczka przerywały jedynie codwutygodniowe targi i raz czy dwa razy odpusty we własnej lub sąsiedniej parafii. I to było wszystko [...] w latach 1908–1911 liczył około 7000 mieszkańców, żyjących nie tyle z rzemiosła, co z roli i nieco z handlu [...]. Klasę inteligencką reprezentują urzędnicy podatkowi, kilku profesorów seminarium nauczycielskiego [...], paru sędziów i urzędników sądowych, trzech lekarzy i tyluż chyba adwokatów, urzędowy notariusz i geometra. Jest oczywiście magistrat z minimalną obsadą. Dopełnia wszystkiego liczny zastęp nauczycieli szkół powszechnych [...]. Całe życie kulturalne miasta skupia się w «Sokole» [...] Szeregi «druhów» tego towarzystwa tworzy garstka młodzieży rzemieślniczej i prawie cały świat urzędniczy, który nadto ma jeszcze swoje kasyno, gdzie tarok, preferans, ferbek, lebet i inne mniej lub więcej hazardowe gry zawzięcie są uprawiane w oparach tytoniowego dymu i alkoholu. Mieszczaństwo jest na ogół ciemne i zacofane. Exemplum: gdy na radzie miejskiej rozpatrywana była prośba miejscowego koła TSL o subwencję na zakup książek, jeden z czynniejszych rajców woła, że żadna biblioteka niepotrzebna, bo «chodoki nic by nie robiuły, tylko książki cytały». Kiedy indziej, gdy szło o fundusze na budowę pomnika Mickiewicza, tenże sam kołtun, rozumiejąc, że chodzi o pomnik na cmentarzu, pyta: «A ktoz to buł?», – «Jakisi pisorz»", odpowiada mu nieco mądrzejszy sąsiad, «Jak buł pisorzem, to mioł panksyją» pada konkluzja. – Nie trzeba dawać

ani grajcara". W. Bazielich, *Z pamiętnika Bronisławy Rychter-Janowskiej*, „Ze skarbca kultury. Biuletyn Informacyjny Zakładu im. Ossolińskich PAN", t.1, 1956, s. 121–122.

25 Zamieszkał u pana Szostaka na Podmajerzu w Starym Sączu. Górszczyk był najmłodszy w klasie, gdzie dominował rocznik 1890 i 1891, otrzymał dyspensę od wieku rozporządzeniem Rady Szkolnej z 7 sierpnia 1906 r. ANK, Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu, Katalog klasy przygotowawczej w roku szkolnym 1905/06, sygn. 29/490/3.

26 Nauczycielem muzyki i śpiewu był zastępca nauczyciela Adam Czerbak, mianowany w początkach 1904 r.; do Starego Sącza sprowadzony z Jasła. A. Czerbak został karnie przeniesiony do Krosna. Dochodzenie wszczęto przez Radę Szkolną Krajową na podstawie anonimu. Anonimy na nauczycieli były dość powszechne w seminarium starosądeckim. ANK, Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu, sygn. 29/490/136; *Historia Starego Sącza...*, s. 263.

27 Większość uczniów pochodziła ze Starego i Nowego Sącza, ci ostatni w znacznej części byli synami kolejarzy. Jeden z nich, syn emerytowanego palacza kolejowego, został wydalony ze szkoły za gorszący wpływ na współuczniów. ANK, Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu, Katalog klasy przygotowawczej w roku szkolnym 1905/06, sygn. 29/490/3.

28 Tamże dane: w I semestrze Autor otrzymał następujące oceny z tych przedmiotów: j. polski – dostateczny, j. niemiecki – dostateczny, rachunki – dostateczny, rysunki – dostateczny, kaligrafia – niedostateczny. Nato-

miast w II: j. polski – chwalebny, j. niemiecki – zadowalający, rachunki – chwalebny, rysunki – zadowalający, kaligrafia – dostateczny.

29 W 1900 r. założono w Limanowej, z inicjatywy Józefa Beka – sekretarza Rady Powiatowej w Limanowej – Koło Towarzystwa Szkoły Ludowej (od 1904 r. podlegało Zarządowi Okręgowemu TSL w Nowym Sączu), przy którym utworzono bibliotekę, prowadzoną przez żonę Józefa – Bronisławę. W pierwszym okresie książki wypożyczało ponad 200 czytelników z Limanowej i okolic. J. Bek, urodzony w Białej Podlaskiej w Królestwie Polskim (ojciec późniejszego ministra spraw zagranicznych Józefa Becka), później wiceminister spraw wewnętrznych, założył na terenie powiatu 11 bibliotek. Propagował nowoczesne formy gospodarowania, sadownictwo, organizował kółka rolnicze, kursy oświatowe, uroczystości patriotyczne, był współzałożycielem Teatru i Chóru Włościańskiego w Limanowej itp. *Limanowa. Dzieje miasta, 1565–1945*, t. 1, red. F. Kiryk, s. 366; M. Kowalska, H. Matras, *Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy im. Władysława Dunarowskiego w Limanowej*, Limanowa 1989, s. 5; P. Samuś, *Minister Józef Beck. Dom rodzinny i lata młodzieńcze*, Łódź 2015.

30 Rudolf Bembynek, syn emerytowanego wachmistrza żandarmerii z Piwnicznej. Bembynek, starszy o dwa lata, chodził do klasy II gimnazjum w Nowym Sączu, gdy Górszczyk uczęszczał do I. Mieszkali w Nowym Sączu na stancji u tej samej gospodyni. ANKNS, I Państwowe Gimnazjum i Liceum w Nowym Sączu, Katalog Główny uczniów kl. Ib za rok szkolny 1902/03, sygn. 31/118/20; ANK, Seminarium Nauczycielskie w Starym

Sączu, Katalog klasy przygotowawczej w roku szkolnym 1905/06, sygn. 29/490/3.

31 Franciszek Skoczeń (1891–1948), kolega Autora z Seminarium Nauczycielskiego w Starym Sączu, nauczyciel, działacz społeczny, uczył w Szkole Powszechnej w Limanowej, długoletni kierownik w Szkole Powszechnej w Sowlinach w latach 1928–1948. Inicjator budowy szkoły w Sowlinach. Współorganizator, wraz z Górszczykiem, kursów społeczno-gospodarczych. Biogram w przechowywanej w ZNP w Limanowej Księdze pamiątkowej.

32 Franciszek Ergetowski opracowywał m.in. starosądeckie dokumenty staropolskie. *Historia Starego Sącza...*, 263.

33 Tadeusz Korzon (1839–1918), wybitny polski historyk, zesłany na Syberię za organizację manifestacji przedpowstańczych w Kownie, przedstawiciel „warszawskiej szkoły historycznej". Zajmował się głównie historią starożytną i nowożytną, dziejami wojen i wojskowości w Polsce. Przekonany o wychowawczym znaczeniu dziejów; był jednym z najważniejszych polskich historyków końca XIX w. W. Konopczyński, *Korzon Tadeusz Sylwester*, [w:] *Polski słownik biograficzny* (dalej: PSB), t. 14, Wrocław–Warszawa–Kraków 1968–1969, s. 178–181.

34 Apolinary Despinoix współpracował z Akademią Umiejętności w Krakowie, zbierał materiały etnograficzne z powiatów nowosądeckiego i grybowskiego. *Historia Starego Sącza...*, s. 266.

35 Feliks Drożdż, ANK, Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu, Katalog kursu czwartego w roku szkolnym 1909/10, sygn. 29/490/7.

36 Franciszek Nowak – w aktach seminarium nauczycielskiego zachował się program ćwiczeń praktycznych i wycieczek na rok szkolny 1907/08 przygotowany przez nauczyciela, przesłany z powrotem z Rady Szkolnej Krajowej we Lwowie do dyrekcji seminarium. Bogaty program świadczy o zaangażowaniu i pasji nauczyciela, co niewątpliwie przysparzało mu sympatii uczniów: „[...] Wycieczki botaniczne i geologiczne odbędą się nad Poprad i Dunajec. Nad Popradem jest widoczne wietrzenie łupków marglowych, występują ławice piaskowców trzeciorzędowych [...]. W czasie zimy uzupełnią uczniowie III klasy swoje wiadomości z mineralogii na okazach nowo zamówionych [...]. Po poznaniu teoretycznym ras zwierząt domowych kandydaci kursu czwartego będą chodzić w dnie targowe na targowicę, aby tam poznawali na okazach żywych [...]. Uczniowie kursu czwartego poznają gospodarstwo wzorowe w okolicy, prawdopodobnie w Nawojowej pod Nowym Sączem". ANK, Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu, sygn. 29/490/167.

37 Bibliotekę seminaryjną założono w 1904 r. Zgromadziła książki przesłane przez Zarząd Główny Krakowskiego Towarzystwa Oświaty Ludowej. Rada Szkolna Krajowa zalecała: „Przed nadaniem książek do użytku młodzieży, należy w myśl obowiązujących w tym względzie przepisów zbadać je co do treści i przekonać się, czy nie budzą jakichkolwiek wątpliwości pod względem religijnym, moralnym lub patriotycznym" – pismo do dyrekcji seminarium z 13 lutego 1904 r. ANK, Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu, sygn. 29/490/136.

38 *Vatermörder* – modne od pierwszej połowy XIX w. wysokie, sztywne kołnierzyki męskie do koszul, o wpijających się w szyję szpicach, sięgające aż do policzków. E. i A. Banach, *Słownik mody*, Warszawa 1962.

39 W środowisku młodzieży Galicji, w tajnych związkach i kółkach samokształceniowych na początku XX w., popularność zyskały dwa nurty społeczno-polityczne. Jeden socjalistyczny i niepodległościowy, skupiony wokół wydawanego od 1899 r. we Lwowie pisma „Promień", oraz drugi, narodowy, którego młodzież czytała pismo „Teka", ukazujące się również we Lwowie od tego samego roku co „Promień". Czytelników i zwolenników linii prezentowanej na łamach tego ostatniego zwano „Promienistymi". Więcej o tych organizacjach młodzieżowych zob. J. Hulewicz, *Udział Galicji w walce o szkołę polską 1899–1914*, [w:] *Nasza walka o szkołę polską 1901–1917. Opracowania, wspomnienia, dokumenty zebrała Komisja Historyczna pod przewodnictwem prof. dra Bogdana Nawroczyńskiego*, t. 2, Warszawa 1934.

40 Podmajerz – dzielnica Starego Sącza u podnóża klasztoru Klarysek w Starym Sączu (do początków XX w. samodzielna gmina). W tym miejscu władze austriackie osiedlały niemieckich osadników (kolonizacja józefińska). Niemiecka nazwa Neudörfel. Starania o połączenie miejscowości ze Starym Sączem trwały niemal 40 lat. Udało się to zrealizować dopiero w 1910 r. *Historia Starego Sącza...*, s. 180, 215.

41 Prezydium c.k. Rady Szkolnej Krajowej w okólniku z 3 sierpnia 1904 r., przesłanym dyrektorom szkół średnich i seminariów, pisało: „Poleca się Dyrekcyi, by zwróciła jak najściślejszą uwagę na podejrzane indy-

widua wciskające się pod rozmaitymi pozorami pomiędzy młodzież szkolną, szerzące słowem i pismem rewolucyjne idee i odwodzące ją od właściwych zadań. Z uwagi na wielką doniosłość sprawy i jej drażliwość, zechce Pan Dyrektor z zachowaniem największej ostrożności śledzić tego rodzaju objawy i o każdym z nich donosić w drodze poufnej Prezydium c.k. Rady Szkolnej Krajowej". ANK, Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu, sygn. 29/490/136.

42 Bronisława Rychter-Janowska, szwagierka Gabrieli Zapolskiej (ur. 1869 Kraków – zm. 1953 Kraków), wybitna secesyjna malarka i publicystka, niedoszła żona Stanisława Wyspiańskiego i Ludwika Solskiego. Była wychowywana przez klaryski starosądeckie, czego nie wspominała z nostalgią. Po licznych wojażach i nauce malarstwa w miastach europejskich, ponownie zjawiła się w Starym Sączu, osiadła u matki, a następnie postanowiła otworzyć szkołę malarską. Otwarła ją w 1908 r.: „Obok pracy artystycznej chciałam pracować ideowo i rozglądnąwszy się w warunkach zauważyłam, że teren Starego Sącza był bardzo podatnym do takiego przedsięwzięcia. Ponieważ na miejscu było seminarium nauczycielskie, z którego zgłosiło się do mnie z IV kursu z górą 20 uczni prywatnych i profesorów oraz kandydatów z Nowego Sącza drugie tyle, więc zwróciłam się do starosty w Nowym Sączu z tym projektem, który uznał go za zupełnie nie na miejscu, zwrócił mi tylko uwagę, że należy mi się liczyć z głupotą mieszkańców, którzy znani byli z wrogiego stanowiska przeciwko wszelkiej kulturze [...]". Rychter-Janowska nie zraziła się i założyła szkołę. Kilka dni po jej otwarciu,

miejscowy ksiądz, kapelan z klasztoru Klarysek, zabronił jej prowadzenia szkoły „ze względu na moralność i zgorszenie". Chodziło mu o malowanie aktu. Dyrektor seminarium zabronił uczęszczać do szkoły malarskiej uczniom, choć ci go nie posłuchali i dalej brali udział w zajęciach. Konflikt z miejscowym księdzem nabrał rozgłosu w prasie galicyjskiej i w końcu 1909 r. Rada Miejska Starego Sącza stanęła w tym sporze po stronie księdza, uzasadniając to w ten sposób: „że kierunek i sposób, w jaki p. Rychterowa rozpoczęła prowadzenie swej szkoły malarskiej, były niestosowne, a wśród stosunków prowincjonalnych i ze względu na młody wiek uczniów i uczennic demoralizujący". Szkoła z nowym rokiem szkolnym zaprzestała działalności. W. Bazielich, *Z pamiętnika...*, s. 125–129; R. Biernacka, *Rychter-Janowska Bronisława*, [w:] PSB, t. 33, z. 138, Wrocław 1992, s. 407–410; I. Skrzypiec-Dragan, *Życie i twórczość Bronisławy Rychter-Janowskiej (1869–1953)*, „Almanach Sądecki", 2015, nr 3/4 (92/93), s. 43–68.

43 Wincenty Wodzinowski (ur. 1866 Igołomia – zm. 1940 Kraków), malarz, uczeń Gersona i Matejki. W latach 1890–1892 studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Monachium. W 1892 r. wrócił do Krakowa, gdzie wykładał na Wyższych Kursach dla Kobiet. Malował pejzaże, kompozycje realistyczne, wiejskie sceny rodzajowe. W czasie I wojny światowej walczył w Legionach.

44 „Nowa Reforma", liberalno-demokratyczny dziennik, wydawany w Krakowie w latach 1882–1928, własność dr. Adama Doboszyńskiego (1852–1929), galicyjskiego polityka i radnego miasta. W latach 1889–1894 redaktorem naczelnym był Adam Asnyk. Dziennik przeła-

mał monopol prasowy krakowskich konserwatystów, których organem prasowym był „Czas". Dziennik był uznawany powszechnie za organ krakowskich demokratów. J. Myśliński, *Studia nad polską prasą społeczno-polityczną w zachodniej Galicji 1905–1914*, Warszawa 1970, s. 32–33, 59–67.

45 Wstrząsnął Starym Sączem wybryk o charakterze „wyborczym" z początku maja 1907 r. Wybory te były przeprowadzone wedle nowej ustawy wyborczej (uchwalona na skutek wydarzeń 1905 r. w Rosji). Miały być równe i powszechne (kobiety nie głosowały). Wtedy ktoś, być może uczeń seminarium sympatyzujący z ludowcami i socjalistami, porozklejał na murach miasta ulotki (m.in. „telegram z piekła"), podpisane przez Lucypera, Antychrysta i Szatana, informujące o zamknięciu w piekle przywódcy lokalnych socjalistów Kaczanowskiego, kandydata do parlamentu austriackiego – oraz zapowiedź zamknięcia Floriana Obmińskiego. Ten żart stał się przedmiotem obrad Rady Miasta, na której odczytano przesłaną ironiczną interpelację, wniesioną przez notariusza Floriana Obmińskiego, działacza ludowego, członka i jednego z twórców Stronnictwa Ludowego, miejscowego radykała jak na stosunki starosądeckie: „1. Czy wiadomo Burmistrzowi, że w nocy z dnia 1go na 2go maja b.r. jakaś nieznana trójca piekielna wydała i porozklejała po rogach ulic miasta [...] przed zapianiem kuru, trzy zagadkowe manifesta piekielne, przylepione także na bramie mojej zagrody [...]. 11. Czy skłonny jest Pan Burmistrz wykryć sprawców tych manifestów, które wywołały wielkie poruszenie w mieście, a nawet trwogę, że manifesta

te pochodzą istotnie od podpisanych na takowych dygnitarzy piekielnych Lucypera, Antychrysta i Szatana Seniora. III. Co zamierza Pan Burmistrz uczynić dla uspokojenia zatrwożonych tymi manifestami mieszkańców – czy nie należałoby w tym celu dać na mszę św. z kasy gminnej [...]". ANKNS, Akta miasta Starego Sącza, sygn. 31/22/63; J. Potoczek, *Sylwetki działaczy ruchu ludowego – Florian Obmiński*, „Rocznik Sądecki", t. 13, s. 359–362.

46 Sodalicja Mariańska, tzw. sodalicja lub kongregacja mariańska (Sodalis Marianus) – religijne stowarzyszenie ludzi świeckich p.n. Prima Primaria, założone w 1563 r. w Rzymie przez jezuitę Jana Leunisa Flandryjczyka. Zawiązał je, aby szerzyć kult maryjny wśród młodzieży. Stowarzyszenie ukierunkowane było na wychowanie elity katolickiej, wyrobienie „cnót chrześcijańskich" i uformowanie tzw. człowieka z charakterem. Członkowie sodalicji byli zobowiązani do dostrzegania i zwalczania wszelkiego zła, a więc pilnowania czystości obyczajów, piętnowania nałogów, tańców, niemoralnych i szkodliwych pism, wydawnictw, filmów, ubiorów itp.; stąd wynikał fakt istnienia donosicielstwa wspomnianego przez autora. Wśród młodzieży, nastawionej zwykle przekornie do zastałych struktur, Sodalicja nie cieszyła się raczej szerokim poparciem, przynajmniej autor pamiętnika nie należał do jej zwolenników. Największymi przeciwnikami sodalisów byli ówcześni socjaliści (życzliwie przyjmowani wówczas przez młodzież). W Starym Sączu w tym czasie w Sodalicji Mieszczan (powstała w 1908 r.) moderatorem był wspomniany ks. Michał Przywara – katecheta seminarium

nauczycielskiego. E. Kabat, *Sodalicje Mariańskie w diecezji tarnowskiej 1887–1939*, t. 2, Praga 1999, s. 26, 106–162.

47 W XVIII w. czarny sukienny frak, następca strojów dworskich, nazywany anglezem. Ubranie anglezowe – rodzaj długiego surduta, okrycia męskiego podobnego do żakietu, o wyciętych i zaokrąglonych połach, z jednorzędowym zapięciem i wykładanym, często aksamitnym, kołnierzem, kieszonką na lewej piersi oraz kieszeniami z patkami. Kołnierz sięgał górnego guzika na piersiach. Rozpowszechniony w męskiej garderobie mieszczańskiej w pierwszej połowie XIX w. Widywany był jeszcze na początku XX w., w latach trzydziestych XX w. uważany był już za ubiór staroświecki.

48 Matura pisemna z języka polskiego trwała 2 dni, od 18 do 19 maja; 20 maja był egzamin z języka niemieckiego, natomiast 30 maja po południu autor zdawał wraz z Tadeuszem Gębką i Stanisławem Głodem matematykę. Górszczyk zdawał, jak pisze, matematykę, język polski i niemiecki. ANK, Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu, Protokół piśmiennego ustnego egzaminu dojrzałości w terminie letnim w r. 1910, sygn. 29/490/102.

49 Tamże, ANK, Seminarium.... Większość ocen Autora była bardzo dobra, ocenę dobrą miał z niemieckiego, z „rysunków wolnoręcznych", w grze na organach, w gimnastyce, z kaligrafii, natomiast dostateczny ze śpiewu i z gry na skrzypcach. Na świadectwie dojrzałości jest ponadto adnotacja, że Górszczyk otrzymał uczęszczając do seminarium stypendium z funduszu krajowego w łącznej kwocie 310 koron, oraz że zobowiązał się do sześcioletniej służby nauczycielskiej.

50 W Siekierczynie istniało 5 dworków pod koniec XIX w., których ziemie były sukcesywnie do wybuchu I wojny sprzedane lub rozparcelowane. Dwór „Podlesie", zwany później „Zarębówki", stanowił własność Augusta Zaręby i Barbary z Zarębów Zdzińskiej i został rozparcelowany, ale autor pisze o szlachcicu Trembeckim, który stracił majątek. Zapewne chodzi jednak o majątek zwany „Pągowszczyzne", a potem „Na pagórku", własność Józefa i Anny z Gładyszewskich Trembeckich, który sprzedano Towarzystwu Ochrony Własności Ziemskiej w Limanowej – na parcelację. Towarzystwo to było powołane, aby ratować zadłużone majątki, wykupując je, a następnie spłacając ich zadłużenie poprzez parcelacje i częściową ich sprzedaż, oddając dość często resztę majątku w dzierżawę poprzedniemu właścicielowi. J. Sitowski, *Dwory i dworki na limanowszczyźnie oraz ich właściciele w ostatnich dziesiątkach XIX w.*, Piotrków Trybunalski 1918, s. 35–36; *Limanowa...*, s. 372.

51 Z Siekierczyny, jak z wielu biednych wsi góralskich, ludność często wyjeżdżała na tzw. saksy, do pracy sezonowej do Niemiec, również emigrowała na stałe do Ameryki. To stąd wyjechał Jan Król, ojciec urodzonego w 1910 r. w Cleveland, późniejszego przewodniczącego Konferencji Biskupów USA i Konferencji Katolickiej Stanów Zjednoczonych arcybiskupa metropolity Filadelfii kardynała Jana Króla, pełniącego również wiele funkcji w Watykanie. T. Hejmej, *Śladami Jana Kardynała Króla*, „Echo Limanowskie", 2003, nr 108.

52 W drugiej połowie XIX i na początku XX w. nauczyciele zaczęli się organizować. Już w 1868 r., na zjeź-

dzie nauczycieli we Lwowie, powołano Towarzystwo Pedagogiczne. Towarzystwo nie zaspokajało potrzeb nauczycieli, dlatego powstawały później inne. Organizacja nauczycieli limanowskich i nowosądeckich rozpoczęła od wydawania w 1891 r. w Nowym Sączu przez Henryka Kisielewskiego własnego pisma „Szkolnictwa Ludowego", na łamach którego mocno akcentowano potrzebę organizowania się nauczycieli i solidarnego działania. Z uwagi na dość radykalne postulaty, władze szkolne galicyjskie w 1892 r. przeniosły Kisielewskiego z Nowego Sącza do Krosna, co przerwało wydawanie czasopisma. Pismo zostało reaktywowane w 1897 r. przez Józefa Gutowskiego, we współpracy z Zygmuntem Meyerem (aby uniemożliwić szykany ze strony władz szkolnych, obaj przeszli na dobrowolną emeryturę). Reaktywowane pismo nadal było najbardziej radykalnym i rozchodziło się w całej Galicji. Przeniesienie Kisielewskiego uświadomiło nauczycielom potrzebę stworzenia organizacji dla obrony interesów tej grupy zawodowej. W grudniu 1896 r. Gutowski założył Towarzystwo Nauczycieli Ludowych Galicji w Nowym Sączu, którego został prezesem. Ta nowa organizacja nauczycielska pisała liczne petycje do władz (Sejm Krajowy we Lwowie, Parlament Austriacki w Wiedniu), zorganizowała walny zjazd w Stryju w 1898 r. Peryferyjne położenie Nowego Sącza, oraz zwalczanie towarzystwa przez galicyjskie władze szkolne, uniemożliwiały spełnienie postulatów i rozwój organizacji. Dopiero w 1905 r., na zjeździe nauczycieli szkół ludowych w Krakowie, utworzono Krajowy Związek Nauczycielstwa Ludowego w Galicji (po wystąpieniu ze związku

nauczycieli Ukraińców w 1913 r. przyjął nazwę Związek Polskiego Nauczycielstwa Ludowego), który miał zjednoczyć ogół nauczycieli szkół ludowych dla obrony jego interesów. Związek funkcjonował w trzystopniowej strukturze: ognisko z minimum 10 członkami, koło w powiecie i zarząd główny. W 1905 r. na zjeździe nauczycieli z powiatu limanowskiego powołano oddział tej organizacji (tzw. Ognisko), którego prezesem został Józef Sikora. W 1906 r. powstało drugie Ognisko w Mszanie Dolnej, dlatego dla powiatu limanowskiego powstało Koło Powiatowe jako Zarząd Oddziału z prezesem Sikorą, Teofil Szumański został prezesem Ogniska w Limanowej. B. Grześ, *Związek Nauczycielstwa Polskiego – od korzeni po współczesność*, Warszawa 2000, s. 16–18, 21–22, 31–33; *Stuletnia tradycja*, „Almanach Ziemi Limanowskiej", 2005, nr 22/23, s. 54; S. Ceglarz, Historia Związku Nauczycielstwa Polskiego w powiecie limanowskim, Limanowa 1964, rkps przechowywany przez Oddział ZNP w Limanowej.

53 Józef Sikora – długoletni kierownik limanowskiej szkoły – zasiadał w Okręgowej Radzie Szkolnej w Limanowej, brał czynny udział aż do wybuchu I wojny światowej w rozwoju oświatowym miasta i powiatu. Zmarł na atak serca tuż po pożegnaniu zmobilizowanych kolegów odjeżdżających na front. Teofil Szumański (1875–1944) – nauczyciel matematyki w limanowskiej szkole, autor mapy powiatu limanowskiego, współpracownik wybitnego polskiego geografa Eugeniusza Romera, który ściągnął go po wojnie do Lwowa, gdzie Szumański podjął pracę na Politechnice. Michał Dobek – kierownik szkoły w Męcinie, w 1913 r. był lanso-

wany przez ludowców do Sejmu Krajowego, nie zyskał jednak poparcia chłopów. Franciszek Lubojemski – nauczyciel języka polskiego i historii w limanowskiej szkole, od 1921 r. kierownik szkoły męskiej w Limanowej, od 1924 r. kierownik pierwszej szkoły zawodowej w Limanowej. *Limanowa...*, s. 360, 363–364, 388, 516, 517, 528.

54 Józef Frączek (1892–?), wspominany wielokrotnie w pamiętniku, w Legionach był sierż., według zapisków Górszczyka w kronice szkolnej w Pisarzowej, po wojnie doszedł do stopnia mjr. Wojska Polskiego. *Kronika Szkoły...*, s. 173.

55 Od połowy XIX w. Turcja traciła wpływy i terytoria na Bałkanach, gdzie zaczęły powstawać nowe organizmy państwowe, a zainteresowanie tymże obszarem okazywały Austro-Węgry i Rosja, wykorzystując słabość Turków. W 1908 r. Austria ogłosiła aneksję Bośni i Hercegowiny, którą Rosja bardzo niechętnie zaakceptowała rok później. Gdy w 1912 r. wybuchło powstanie antytureckie w Albanii, a następnie w Macedonii, wojnę Turcji wypowiedziały państwa z tzw. Ligi Bałkańskiej (sojusz antyturecki Bułgarii, Serbii, Czarnogóry i Grecji), po zwycięstwie (tzw. I wojna bałkańska z lat 1912–1913) państwa Ligi nie mogły się porozumieć co do zdobyczy terytorialnych, dlatego doszło do następnego konfliktu, tym razem Bułgarii przeciwko Serbii, Grecji, Rumunii i Turcji (II wojna bałkańska 1913 r.).

56 Krótką wojnę austriacko-pruską (16 czerwiec – 23 sierpień 1866) sprowokował Bismarck, chcąc całkowicie odciąć Austrię od spraw niemieckich. Bitwa pod Sadową 3 lipca 1866 r. (nieopodal dzisiejszego Hradec Králové

w Czechach) skończyła się klęską armii austriackiej. Niepowodzenia na arenie międzynarodowej z lat 60. XIX w. doprowadziły do decentralizacji monarchii austriackiej. W 1867 r. przebudowano monarchię w dualistyczne Austro-Węgry i zwiększono autonomię poszczególnych krajów, nadając uprawnienia lokalnym samorządom.

57 20. Pułk Piechoty c. i k. armii (Infanterieregiment nr. 20), zwany „cwancygierami", który stacjonował w Nowym Sączu. Służyli w nim w większości mieszkańcy z powiatu nowosądeckiego, nowotarskiego, limanowskiego i gorlickiego, którzy stanowili podstawę utworzonego w 1918 r. 1. Pułku Strzelców Podhalańskich w Nowym Sączu. R. Zaziemski, *1 Pułk Strzelców Podhalańskich 1918–1939*, Nowy Sącz 1991, s. 7–11.

58 Polskie Drużyny Strzeleckie powstały bazując na młodzieży wywodzącej się z obozu narodowego, która rozczarowana jego działalnością zerwała z nim, tworząc w 1909 r. własną organizację niepodległościową „Zarzewie", powołując w celu szkolenia Polską Organizację Wojskową, przekształconą następnie w nielegalną Armię Polską. Z POW w 1911 r. powstały legalnie działające Polskie Drużyny Strzeleckie. Przed I wojną światową próbowano zjednoczyć organizacje niepodległościowe i paramilitarne. Powołano Komisję Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, któremu podporządkował się Polski Skarb Wojskowy. Komendantem wojskowym wspólnym dla drużyn i związków strzeleckich został Józef Piłsudski. Komisji nie podporządkowały się inne organizacje. S. Czerep, *II Brygada Legionów Polskich*, Warszawa 2007, s. 1; M. Jarzą-

bek, *Legioniści i inni. Pamięć zbiorowa weteranów I wojny światowej w Polsce i Czechosłowacji okresu międzywojennego*, Kraków 2017, s. 39.

59 Jacenty Raczek (1892-?) służył w 3. pp razem z Górszczykiem i Józefem Frączkiem. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

60 Antoni Frączek (1895-?), szer., rolnik z Pisarzowej. Po wojnie pracował w Policji Państwowej w Krzeszowicach. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

61 Maurycy Frączek (1889–1915), student, ppor. 2. Kompanii II Baonu 5. pp. Zginął w Sobowicach nad Nidą z 6 na 7 maja 1915 r. J. Cisek, K. Stepan, *Lista strat Legionów Polskich 1914–1918*, Kraków 2006, s. 51.

62 Jeden z nich, Przemysław Młynarski (1895–1915), pochodzący z Limanowej, szer., zginął nieopodal Czerniowiec – Kordon Bezdrożny, Toporowce 19 kwietnia 1915 r. Służył w 9. Kompanii III Baonu 3. pp Legionów Polskich. J. Cisek, K. Stepan, *Lista strat Legionów...*, s. 138.

63 Franciszek Bieda (1896–1982), pochodzący z Sowlin (obecnie Limanowa), służbę w Legionach rozpoczął 17 sierpnia 1914 r. Służył w 2. Kompanii 3. pp Legionów Polskich. Po wojnie studiował i związał się z UJ, został geologiem i paleontologiem, od 1935 r. profesorem, po II wojnie światowej związany z Akademią Górniczo-Hutniczą w Krakowie.

64 Władysław Sajak (1896–1916), uczeń gimnazjum ze Starego Rybia, powiat limanowski, szeregowiec 3. Kompanii 3. pp. Zginął pod Sipowiczami na Wołyniu 3 sierpnia 1916 r. J. Cisek, K. Stepan, *Lista strat Legionów...*, s. 176.

65 W powiecie limanowskim drużyny strzeleckie zaczęły powstawać już od 1911 r. Na terenie powiatu w 1913 r. w Stróży k. Dobrej, w byłym majątku babki Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, powstała pierwsza Oficerska Szkoła Strzelecka. Z inspiracji sekretarza powiatu Józefa Beka ustanowiono komendę powiatową drużyn strzeleckich, na czele z urzędnikiem Rady Powiatowej Józefem Muchą. Instruktorem oddziału w Limanowej był syn Beka. *Limanowa....*, s. 393–394; J. Bogacz, *Oficerska Szkoła Strzelecka w Stróży*, „Almanach Ziemi Limanowskiej", 2008, nr 34, s. 4–12.

66 Już na początku wojny Piłsudski zaczął organizować I Kompanię Kadrową z zachodniogalicyjskich „strzelców" i „drużyniaków", która 6 sierpnia 1914 r. przekroczyła granicę Kongresówki nieopodal Krakowa i dotarła do Kielc, licząc na wybuch powstania antyrosyjskiego. Niepowodzenie tej akcji było powodem chwilowego cofnięcia poparcia austro-węgierskiego dla tworzenia polskich Legionów. Na skutek zabiegów Polskiego Koła Poselskiego w Wiedniu, udało się zachować polskie oddziały, nazwane Legionami, nad którymi zwierzchnictwo polityczne objął Naczelny Komitet Narodowy (NKN). Pod względem strategiczno-taktycznym oddziały legionowe podległe były za pośrednictwem Komendy Legionów dowództwu austro-węgierskiemu. Na początku wojny każda z organizacji paramilitarnych oddzielnie wyposażała swoich członków. W najlepszej sytuacji były związki strzeleckie finansowane przez Polski Skarb Wojskowy, poźniej Legiony zaopatrywał Departament Wojskowy NKN oraz społeczeństwo galicyjskie, choćby za pośrednictwem Ligi Ko-

biet. Po zaprzysiężeniu, oddziały legionowe zaopatrywała intendentura armii austro-węgierskiej, jednakże zaopatrzenie było niewystarczające, świadczące o lekceważącym traktowaniu legionistów i niedowierzaniu w umiejętności „strzelców". Broń, którą otrzymywano była starego typu, najczęściej karabiny Werndla, karabiny maszynowe otrzymano dopiero w końcówce 1914 r. i z początkiem 1915 r. Jak wspominał gen. Karol Trzaska-Durski, Legiony Polskie wysłane w Karpaty Wschodnie były prowizorycznie wyposażone. Załadowano 4 pociągi legionistów; na początku byli bez taboru, dostali około 20 dział górskich o krótkim zasięgu – około 1,5 km. Legiony traktowane były jako formacja pospolitego ruszenia (landszturmu), składająca się w większości z nienajmłodszych rezerwistów i ochotników. Formacje tego typu miały w założeniu pełnić funkcje pomocnicze, rezerwowe i mogły być wykorzystane tylko w danym kraju. Legioniści mieli zagwarantowane, że będą walczyć jedynie z armią rosyjską. S. Czerep, *11 Brygada...*, s. 27, 29, 43–47; J. Bator, *Wojna Galicyjska. Działania armii austro-węgierskiej na froncie północnym w latach 1914–1915*, Kraków 2005, s. 42–43, 296–310; *Rozmowa z gen. Karolem Durskim w 20-tą rocznicę wymarszu w pole 2-giej Brygady*, „Światowid", 1934, nr 40, s. 10.

67 „A kto chce rozkoszy użyć / Niech idzie w wojence służyć! / Jak to na wojence ładnie / Kiedy ułan z konia spadnie / Koledzy go nie żałują / Jeszcze końmi potratują / Rotmistrz z listy go wymaże / Kapitan trumnę zbić każe / A za jego trud i pracę/Hejnał zagrają trębacze...[etc.]". Popularna i dynamiczna pieśń śpiewa-

na przez legionistów w wielu wersjach, geneza tekstu piosenki sięga polskich powstań, a nawet czasów napoleońskich. Popularna była np. wersja z powstania 1863 r. znana p.n. *Marsz żołnierzy Langiewicza*. Słowa niektórych wersji są wyjęte z tekstu starej pieśni *Żołnierz ochoczy*, powstałej około 1800 r. Ta śpiewana podczas I wojny światowej, to najczęściej kolejna wersja pieśni Wł. Tarnowskiego *A kto chce rozkoszy użyć*. Melodia piosenki jest oparta na ludowej pieśni węgierskiej. B. M. A. Szul-Skjöldkrona, *Piosenki leguna tułacza*, Warszawa–Kraków 1919, s. 19, 20; L. Łochowski, *... pieśń ujdzie cało...: śpiewnik*, t. 1, Warszawa 1992, s. 133, 134, 182, 183.

68 3. Pułk Piechoty Legionów zaczęto organizować we wrześniu 1914 r. Zalążkiem pułku był zlikwidowany tzw. Legion Wschodni, krótko istniejący na początku wojny (rozwiązany, gdyż odmówił złożenia przysięgi wobec niepewnej sytuacji politycznej i braku jasnych deklaracji monarchii co do przyszłości Legionów). W jego skład weszli ochotnicy, „strzelcy" ze Śląska Cieszyńskiego i Galicji, członkowie Drużyn Podhalańskich z okolic Nowego Targu i Zakopanego. Początkowo miał 2 bataliony, pierwszy pod dowództwem kpt. Józefa Hallera (który wkrótce został dowódcą 3. Pułku), składający się z 1, 2. i 4. kompanii, oraz czwarty, pod komendą kpt. Jana Kozickiego (13. i 14. Kompania). II i III Batalion kompletowano w Choczni pod Wadowicami i dokończono z początkiem października 1914 r. na terenie Węgier. Żołnierze, którzy weszli w jego skład pierwotnie mieli stanowić uzupełnienie oddziału Piłsudskiego stacjonującego w Kielcach. Kie-

dy władze austro-węgierskie zażądały najpierw rozwiązania, a potem zredukowania nowo tworzonych formacji, obawiając się zbyt szybkiego rozrostu Legionów wobec niepewnej sytuacji polityczno-wojskowej, legionistów tych skierowano do Choczni. Tam dowódca oddziału Paweł Kittay-Roklan wybrał najlepszych żołnierzy i utworzył z nich II Batalion. Z późniejszego tekstu wynika, że autor służył w II Batalionie, w 7., a następnie 3. Kompanii, w 4. Plutonie, gdzie dowodził drugą sekcją jako kpr. S. Czerep, *II Brygada...*, s.36–37.

69 Kapelusz panama zrobiony z liści tropikalnej palmy, pomimo swojej nazwy, pochodzi z Ekwadoru. Na początku XX w. lekki kapelusz słomkowy z szerokim rondem stał się modnym nakryciem głowy podczas upalnych dni. Nazwę swoją wywodzi od Kanału Panamskiego, na tle którego w 1906 r. dał się sfotografować prezydent USA Teodor Roosevelt.

70 Jednym z braci był Zygmunt Dziewoński (1893–?), absolwent seminarium nauczycielskiego w Krakowie, wielokrotnie wspominany przez autora pamiętnika. Pochodził z Dziekanowic k. Dobczyc. Razem z Górszczykiem był potem w niewoli rosyjskiej.

71 „Naprzód, drużyno strzelecka / Sztandar do góry swój wznieś! / Żadna nas siła zdradziecka / Zniszczyć nie zdoła, ni zgnieść / Czy umrzeć nam przyjdzie na polu / Czy w tajgach Sybiru nam gnić / Z trudu naszego i bólu / Polska powstanie, by żyć!...". Popularny hymn strzelecki, śpiewany do melodii rosyjskiego marsza żałobnego *Spijtie, orły bajewyje*. Brak pewności co do daty powstania utworu, wedle niektórych przekazów powstał w 1912 r. i łączy się ze Związkiem Strzelec-

kim. Zdaniem Łochowskiego, powstał jednak w czasie powstania styczniowego, B. M. A. Szul-Skjöldkrona, *Piosenki...*, s. 34; L. Łochowski, *pieśń...*, s. 148, 149.

72 „Hej, strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały / a przeciw nam śmiertelny stoi wróg / Wnet z naszych strzelb piorunem zagrzmią strzały / A lotem kul kieruje zbawca Bóg! / Więc gotuj broń i kule bij głęboko / O ojców grób bagnetów poostrz stal / Na odgłos trąb, twój sztucer bierz na oko! / Hej! Baczność! Cel! I w łeb, lub serce pal! / Hej, trąb! Hej, trąb strzelecka trąbko w dal! / A kłuj, a rąb, i w łeb lub serce pal!...". Tekst i muzyka autorstwa Ludwika Stanisława Anczyca z Krakowa, uczestnika powstania styczniowego, powstały kilka lat przed wybuchem powstania, B. M. A. Szul-Skjöldkrona, *Piosenki...*, s. 32–33; L. Łochowski, *...pieśń...*, s. 123–125,

73 „Tam na błoniu błyszczy kwiecie / Stoi ułan na wedecie / A dziewczyna jak malina / Niesie koszyk róż. / Stój, poczekaj, moja duszko! / Gdzie tak drobną stąpasz nóżką? / Jam z tej chatki, rwałam kwiatki, / I powracam już!..". Pieśń powstała w czasach powstania listopadowego. W Legionach śpiewano ją na nutę znaną z lwowskiej ulicy. B. M. A. Szul-Skjöldkrona, *Piosenki...*, s. 76; L. Łochowski, *...pieśń...*, s. 101–103

74 „Jak wspaniała nasza postać / Kiedy w słońcu błyszczy stal / Koń rży, ziemi nie chce dostać / Pójdziesz koniu, pójdziesz w dal / Taki los wypadł nam / Dzisiaj tu, jutro tam...". Tekst napisał przed wybuchem wojny poeta Kazimierz Przerwa-Tetmajer, do melodii z czasów powstania listopadowego. B. M. A. Szul-Skjöldkrona, *Piosenki...*, s. 64; L. Łochowski, *...pieśń...*, s. 97–99.

75 W wykazie oficerów Uryga nie figuruje, zapewne nie awansował do stopnia oficerskiego. Wstąpił do Legionów 31 sierpnia 1914 r., do lipca 1915 r. pełnił służbę w 7. Kompanii III Baonu 3. pp. Ranny leczył się w Wiedniu i Kamieńsku. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

76 Miasto nad Olzą na Śląsku Cieszyńskim, obecnie Jablunkov, miasto Czeskiej Republiki.

77 Igló – na Spiszu, Nowa Wieś Spiska, do rozbiorów stolica zastawionych Polsce miast spiskich – obecnie Spišská Nová Ves na Słowacji.

78 Na Węgry i Karpaty Wschodnie wysłano świeżo utworzone 2. i 3. Pułk Piechoty, 2. i 3. Szwadron Kawalerii oraz 1 Dywizjon Artylerii, dowódcą został gen. Karol Trzaska-Durski, formalny Komendant Legionów Polskich. Niepowodzenia armii austro-węgierskiej i groźba zdobycia Krakowa były powodem przesunięcia miejsca tworzenia Legionów, ponadto były tam potrzebne, gdyż sztabowcy austro-węgierscy pozostawili wschodnie przełęcze karpackie zbyt słabo zabezpieczone. Prawe wschodnie skrzydło armii składało się z grupy operacyjnej gen. piechoty Hermanna Kövessa von Kövesháza, stanowiącego część 2. Armii gen. kawalerii Eduarda Böhm-Ermolliego i osłaniającej Lwów nie gotowej do walki 3. Armii gen. Rudolfa von Brudermanna. 2. Armia, po szybkim rozbiciu Serbów na Bałkanach, miała wrócić w Karpaty Wschodnie i uzupełnić grupę Kövessa. Silny opór Serbów nie pozwolił jednak na wykonanie tego planu, co pozostawiło prawą flankę w Karpatach osłabioną. Na początku wojny armia austro-węgierska osiągnęła znaczne sukce-

sy na Lubelszczyźnie i Wołyniu (ziemie po lewej stronie Wisły Rosjanie pozostawili właściwie Austriakom i Niemcom). Jednakże Rosjanie wykorzystali osłabione wschodnie skrzydło austro-węgierskiej armii oraz neutralną postawę Rumunii, niedoszłego sojusznika Austro-Węgier, i uzyskali przewagę, zajmując Wschodnią Galicję z Lwowem i przechodząc przez Wschodnie Karpaty na Węgry. Wobec wtargnięcia Rosjan w doliny węgierskie, rząd węgierski poprosił Naczelną Komendę Armii o posiłki: rezerwowe Legiony były ratunkiem, zresztą przedstawiciele NKN sami zaproponowali przetransportowanie ich w Karpaty Wschodnie. Sama decyzja o wysłaniu w Karpaty Wschodnie była dla legionistów zaskoczeniem, liczyli raczej na wspólne wystąpienie z oddziałami Piłsudskiego i działania w Królestwie Polskim bądź na terenie Zachodniej Galicji. Mówiono nawet o nowym San Domingo. Skierowane oddziały stały się podstawą uformowanej z czasem II Brygady, zwanej Brygadą Karpacką lub „Żelazną", gdyż w jej szeregach znaczną część stanowili górale. Było popularne hasło wytrwania z bronią w ręku, wbrew jakimkolwiek przeciwnościom. S. Czerep, *II Brygada...*, s. 5, 59–60; J. Bator, *Wojna...*, s. 45.

79 Łapiduchy – tak określano sanitariuszy. Początkowo uważano ich za tchórzy i dekowników, gdyż sanitariuszami zostawali mniej sprawni rekruci. Działania na froncie zweryfikowały nieco tę opinię na korzyść służb sanitarnych, choć piosenki legionowe raczej naigrawały się z ich umiejętności. S. Czerep, *II Brygada...*, s. 107.

80 Huszt (obecnie Chust na Ukrainie), miejscowość nad Cisą we wschodniej części Zakarpacia, w części za-

chodniej węgierskiego komitatu marmaroskiego, stał się bazą zaopatrzeniową Legionów Polskich. Oddziały legionowe przybyły do Chustu 3 października i stąd, porozdzielane na małe grupy, zaczęły wyzwalać węgierskie Zakarpacie z oddziałów rosyjskich. II Batalion wysłano do Marmaros Sziget. Teren Zakarpacia należał wówczas do Węgier; po I wojnie światowej został podzielony pomiędzy Czechosłowację a Rumunię (około 1/3 południowej części komitatu marmaroskiego). Po II wojnie tereny należące do Czechosłowacji przypadły ZSRR (obecnie na Ukrainie). S. Czerep, *II Brygada...*, s. 72–73.

81 Szeklencze (polska Sokiernica), miejscowość na południowy wschód od Chustu, również nad Cisą, obecnie Sokyrnycia na Ukrainie Zakarpackiej (Sekernice w okresie przynależności do Czechosłowacji). Węgrzy (podobnie jak na terenie Słowacji) pozmieniali dowolnie nazwy miejscowe, nadając urzędowe węgierskie, trudne do wymówienia i zapamiętania. Ludność miejscowa używała zwykle nazw dawnych. Dodatkowe zamieszanie powodowało zmienianie od czasu do czasu nazw węgierskich. M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Galicyi, Bukowinie, Spiżu i Śląsku Cieszyńskim*, Lwów 1914, s.188.

82 Kpt. Zygmunt Roklan-Hofbauer dowodził wówczas po przyjeździe na Węgry II Batalionem. Urodził się w 1892 r. w Kossowie, od 1912 r. należał do Związku Strzeleckiego w Samborze. Po wybuchu wojny zgłosił się do Legionów Polskich. Początkowo był w Batalionie Uzupełniającym, który 23 września 1914 r. został przekształcony w II Batalion 3. pp. Wyznaczono go na

komendanta 5. Kompanii, jednocześnie awansowano do stopnia por. piechoty. 6 października 1914 r. mianowano go dowódcą baonu; od 11 lub 13 listopada 1914 r. kpt. Dowodził baonem do 19 stycznia 1915 r., po czym ze względu na chorobę odesłany został na leczenie. Zwolniony z Legionów, został później reaktywowany jako szer., a następnie sierż. S. Czerep, *11 Brygada...*, s. 73, 291.

83 Po wycofaniu 2. Armii (większa część przybyła z Bałkanów nie mogła już odmienić sytuacji na wschodnim foncie), przełęcze karpackie zabezpieczało pospolite ruszenie – *Landsturm* – najpierw pod dowództwem gen. Petera Hoffmanna, a następnie skompletowanej z oddziałów *Landsturmu* grupy operacyjnej gen. Pflanzera-Baltina. *Landsturm* jako ostateczna rezerwa miał spełniać głównie funkcje pomocnicze. Służyli w nim wszyscy przeszkoleni obywatele od 32 do 42 roku życia (oficerowie rezerwy do 60 roku), niezakwalifikowani ze względów zdrowotnych do czynnej służby wojskowej, oraz młodociani, powoływani na czas wojny (19–20 lat), czyli wojsko o dość słabej zdolności bojowej. Autor myli *Landsturm* z Obroną Krajową (*Landwehr* w Przedlitawii, *Honvéd* na Węgrzech i *Domobrana* w Chorwacji). S. Czerep, *11 Brygada...* s. 60, 64; J. Bator, *Wojna...*, s. 297.

84 Aknaszlatina (słow. Slatinské Doly), miejscowość nad Cisą na południowy wschód od Chustu, obecnie Sołotwyno na Ukrainie Zakarpackiej (polska Sołotwina). W miejscowości znajdują się duże złoża soli kamiennej, wydobywanej od wieków, stąd też pochodzi jej nazwa.

85 Marmaros Sziget, siedziba komitatu, obecnie Sighetu Marmaţiei w Rumunii. Leży naprzeciw Sołotwy-

ny, nad południowym brzegu Cisy, wzdłuż której biegnie dzisiejsza granica rumuńsko-ukraińska. Północną część komitatu zamieszkiwali Rusini (głównie Huculi), południową (od Petrovy) Rumuni. M. Orłowicz, *Ilustrowany...*, s. 216, 219.

86 Leordina, obecnie w Rumunii, miejscowość leżąca około 40 km na południowy wschód od Marmaros Sziget, w dolinie Vissy (polska Wyszowy, rum. Vişeu), lewym dopływem Cisy. W Leordinie zamieszkiwali Rumuni. M. Orłowicz w swoim przewodniku zwraca uwagę na odmienny strój Rumunów, piękne chaty drewniane na słupach rzeźbionych i z bramami wjazdowymi z bogatą ornamentyką, przypominające motywy podhalańskie, zarówno w Leordinie, jak i w pobliskiej Petrowie. M. Orłowicz, *Ilustrowany...*, s. 219–220.

87 Közép Viso (Środkowy Wyszów, obecnie rumuńska Vişeu de Mijloc), miejscowość kilkanaście km na południowy wschód od Leordiny, pomiędzy Dolnym a Górnym Wyszowem (węg. Alsó Visó i Felső Visó obecnie rumuńskie Vişeu de Jos oraz Vişeu de Sus).

88 Legioniści szybko oczyścili Węgry z Rosjan, tj. z oddziałów kozackich, było to jednak okupione nadludzkim wysiłkiem wielokilometrowych marszów bojowych w górach. Rosjanie, obawiając się odcięcia, wycofywali się. Legiony miały początkowo fatalne zaopatrzenie, w niektórych oddziałach panował głód. Żołnierzom wypłacano tzw. strawne, którego nie mogli i tak zamienić na żywność w splądrowanych przez kozaków miejscowościach. B. Merwin, *Legiony w Karpatach 1914*, Wiedeń 1915, s. 12, 97–98; S. Czerep, *11 Brygada...*, s. 49. Dokładniejszy opis bojów legionistów oraz topografii te-

renu zob. *Szlakiem II Brygady Legionów Polskich w Karpatach Wschodnich. Przewodnik historyczno-turystyczny po Gorganach i Czarnohorze*, red. J. Moszczeński, T. Pelczarski, A. Lenkiewicz, Warszawa 1937, Kielce 2003.

89 Wincenty Litwinowicz (1893–1925), ur. w Petersburgu, student III roku Wyższej Szkoły Przemysłowej w Krakowie. Jeden z trzech braci Litwinowiczów służących w Legionach Polskich, żołnierz 3. pp II Brygady Legionów Polskich. Najstarszy z braci, Aleksander (1879–1948), był intendentem kompanii kadrowej, potem w 1. pp, wreszcie I Brygadzie. Brat Władysław (1889–1927) służył w dowództwie I Brygady. Wincenty Litwinowicz zgłosił się do batalionu uzupełniającego 1. pp, ale został wcielony do 3. pp II Brygady. Od października 1914 do kwietnia 1915 r. dowodził plutonem w 7. Kompanii, potem od 13 kwietnia 1915 r. dowodził plutonem w 3. Kompanii 3. pp, w których służył Antoni Górszczyk. 1 kwietnia 1916 r. otrzymał awans na chor., a 1 kwietnia 1917 r. na ppor. piechoty. *Lista starszeństwa oficerów Legionów Polskich w dniu oddania Legionów Polskich Wojsku Polskiemu (12 kwietnia 1917 r.)*, Warszawa 1917, s. 25.

90 Pop Ivan Marmaroski, najwyższa góra w Karpatach Marmaroskich (nieopodal Petrowy), 1940 m n.p.m., obecnie na granicy rumuńsko-ukraińskiej.

91 Taracköz, polska nazwa Tereszawa, słow. Teresva, obecnie Tereswa na Ukrainie Zakarpackiej, u ujścia rzeki Taracz do Cisy, na zachód od Marmaros Sziget, a na wschód od Chustu. Taracköz była ostatnią stacją kolejową dla przemieszczających się w górę rzeki legionistów, gdyż zgodnie z rozkazem gen. Pflanzera-Baltina

rozproszone oddziały Legionów miały skoncentrować się w Königsfeld, aby następnie przebić się do Galicji. W celu dogodnego połączenia pomiędzy Königsfeld a Galicją, zbudowano w ekspresowym tempie specjalną drogę, tzw. Drogę Legionów, co umożliwiało transport ciężkiego sprzętu i miało zaskoczyć przeciwnika. Przez najbliższe miesiące linia Taracköz, poprzez wspomniane niżej miejscowości w górę rzeki, graniczne pasmo Gorganów i tzw. Przełęcz Legionów, aż do galicyjskiej Rafajłowej, stała się jedną z głównych linii zaopatrzenia i komunikacji dla oddziałów walczących już w Galicji. Utrzymanie łączności i zapewnienie transportu było dużym wysiłkiem logistycznym w trudnym terenie górskim. Gorgany były i są obecnie najdzikszą i najmniej dostępną częścią Karpat. Wewnątrz pasma właściwie nie ma i nie było żadnych wsi. Spotykało się jedynie osady tartaczne, leśniczówki, prywatne domki myśliwskie i klauzy. Komunikację ułatwiało nieco kilka kolejek leśnych, zbudowanych dla wywozu drzewa. B. Merwin, *Legiony...*, s. 98–106; M. Orłowicz, *Ilustrowany...*, s. 190–192; S. Czerep, *11 Brygada...*, s. 74.

92 Nyéresháza lub Alsóneresznice (słow. Nerešnica), polska nazwa Neresznica, obecnie miejscowość na Ukrainie Zakarpackiej – Neresnicja, leżąca na północ od Taracköz, w górnym biegu rzeki Taracz.

93 Krasna Szora lub Tarackraszna (słow. Krasnišora), obecnie miejscowość Krasna na Ukrainie Zakarpackiej, również nad rzeką Taracz, około 15 km na północ od Neresznicy.

94 Dombó (słow. Dubové), obecnie miasteczko Dubowe na Ukrainie Zakarpackiej, około 5 km na południe od

Krasnej, w dolinie rzeki Taracz. Prawie 1/5 mieszkańców stanowili Żydzi.

95 Moszek Gottlieb (ur. 1900), ps. Marcin, urodzony w Seceminie, powiat włoszczowski, uczeń szkoły handlowej. Jeden z najmłodszych opisywanych przez Górszczyka legionistów. Wstąpił do Legionów Polskich we wrześniu 1914 r. we Włoszczowej. Służył w 7. Kompanii 3 pp. W czasie walk w Besarabii zachorował i został odesłany do szpitala w Debreczynie na Węgrzech, a następnie do Wiednia. Po rekonwalescencji służył w 10. Kompanii 4. pp. 5 VIII 1915 r. został ranny w walce pod Kamionką na Lubelszczyźnie i leczył się w szpitalach w Rzeszowie, Bielsku-Białej oraz w Domu Uzdrowieńców w Kamieńsku. Odkomenderowany do 3. pp, po pewnym czasie znów trafił do szpitala. W czasie kryzysu przysięgowego został internowany w Szczypiornie, skąd zbiegł na Węgry. Do kraju powrócił w 1919 r. Uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1940 r. został zesłany do Kazachstanu, gdzie zmarł w 1941 r. Był odznaczony Krzyżem Niepodległości, Medalem za Wojnę 1918–1921, Medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości, odznaką 4. pp i odznaką II Brygady. M. Gałęzowski, *Na wzór Berka Joselewicza. Żołnierze i oficerowie pochodzenia żydowskiego w Legionach Polskich*, Warszawa 2010, s. 277.

96 Krasna Szora była wsią huculską, ale na Huculszczyznę przenikały także kulturowe wpływy rumuńskie, np. ikony na szkle, jeden z ciekawszych wytworów rumuńskiej sztuki ludowej. Ikony były wykonywane przez specjalizujące się w tej technice przyklasztorne zakłady, warsztaty oraz rzemieślników, którzy kopio-

wali najczęściej historyczne ikony. Rozkwit tej sztuki przypadł na XVII–XIX w. Rozpowszechnienie litografii i innych nowocześniejszych technik graficznych spowodowało powolny zanik tradycyjnych wytworów. Ikony te można było spotkać w domach prywatnych, nie umieszczano ich natomiast w ikonostasie w cerkwiach, z powodu niekanoniczności ich wykonania, A. Sulikowska, *Rumuńskie ikony na szkle. Technologia wykonywania i ikonografia przedstawień a problem kanoniczności wizerunku*, „Płaj", 1996, nr 13, s.69–75.

97 Brusztura (węg.), Brustura (słow.), obecnie Łopuchiw na Ukrainie Zakarpackiej, na północny wschód od Königsfeld, leżąca nad rzeką Teresulką (dopływ rzeki Taraczki) – obecnie Brusturianka. Wieś niemiecka, w której była huculska spółka fabryczna, gdzie wyrabiano huculskie rzeźbione talerze, kasetki itp., zdobione w oryginalny sposób mosiądzem i paciorkami. M. Orłowicz, *Ilustrowany...*, s. 198–199.

98 Königsfeld, Királymező (węg.), Carskoje Pole (rusin.), Usťčorna (słow.). Obecnie miejscowość Ust-Czorna na Ukrainie Zakarpackiej, n. rzeką Taraczką (górny bieg rzeki Taracz) – obecnie Tereswa. Kolonia niemiecka (obok sąsiedniej Niemieckiej i Ruskiej Mokrej oraz Brustury) z czasów akcji osadniczej na Węgrzech pod patronatem cesarzowej Marii Teresy z połowy XVIII w. Osadnikami byli górale z Alp Austriackich, prowadzący gospodarkę górską według wzorów przeniesionych z Alp. Bertold Merwin także wspomina tę kolonię niemiecką: „ [...] o wzorowym dobrobycie mieszkańców. Tam w górach, wśród ruskiej ludności – zagrody kolonistów niemieckich, czyste, oparkanione, ze skromnym,

lecz niemal wytwornym urządzeniem wewnętrznym [...]". Miejscowość ta stała się bazą kolejnych operacji legionowych. B. Merwin, *Legiony...*, s. 25; A. Wielocha, *Kolonizacja józefińska w galicyjskich Karpatach*, „Płaj", 1999, nr 19, s. 8–11.

99 Kpt. Zygmunt Czechna-Tarkowski, ur. pod Międzyrzecem Podlaskim (1889–1915), kpt., dowódca 7. Kompanii II Batalionu 3. Pułku Piechoty, od października 1915 r. w III Batalionie 3. Pułku Piechoty Legionów, zginął 5 listopada 1915 r. na Wołyniu, w bitwie pod Kostiuchnówką. Podczas jego pobytu w szpitalu dowództwo objął ppor. Godziejewski. S. Czerep, *II Brygada...*, s. 145, 292.

100 Gen. Karol Trzaska-Durski (1849–1935), formalny komendant Legionów Polskich od września 1914 r. do lutego 1916 r. Wysoki oficer i długoletni wojskowy austriacki, po 40 latach służby urlopowany (1908 r.), z nadanym szlachectwem od cesarza. Praktycznie dowodzący oddziałami legionowymi w Karpartach Wschodnich od ich wyjazdu w 1914 r. do maja 1915 r. Wśród jego słabości była znana skłonność do rumu, o czym wspominał Górszczyk. Początkowo podwładni legioniści byli nieufni w stosunku do niego. Jako gen. austriacki nie budził również zaufania Józefa Piłsudskiego, który doprowadził do zastąpienia go przez innego kandydata. Po odzyskaniu niepodległości gen. Wojska Polskiego, aż do przejścia w stan spoczynku w 1922 r.

101 Klauzy vel klauzury (z niem. *die Klause* – obszar zamknięty) – często spotykany w Karpatach Wschodnich sposób spiętrzania potoków w celu spławu drzewa. Wspomina o nich także Orłowicz. M. Orłowicz, *Ilustrowany...*, s. 166, 188, 206, 210.

102 Leśniczówka u ujścia potoku Turbacz do Bertianki, poniżej potok nosi nazwę Brusturianki (potem Tereszawa), stąd nazwa ujście Turbacza – niem. Turbaczmündung.

103 Plajska (węg. Plajszka), klauza na północ od Holzschlaghausu, w górnym biegu Plajski (dopływ Bertianki), nieopodal granicy Galicji, u stóp granicznej góry Siwuli (1836 m n.p.m.), najwyższej w Gorganach. Holzschlaghaus był ostatnim przystankiem przed Przełęczą Legionów vel Pantyryjską (na zachód od niej), Plajska była w stronę północną od Holzschlaghausu. B. Merwin opisuje: „Królestwo zwierza, państw jeleni i dzików. Jeszcze kilka kilometrów ciężkiej wyboistej, wąskiej drogi leśnej do «Holzschlaghausu» księcia Fürstenberga, a potem ciemne jary, ścieżyny, pnące się kręto po górach i przesmyk zwany «Pantyrpass»". B. Merwin, *Legiony...*, s. 25.

104 W Holzschlaghausie znajdowała się stacja opatrunkowa rannych i chorych, natomiast w Dombó vel Dubowe szpital stały i lazaret ruchomy. B. Merwin, *Legiony...*, s. 105.

105 Rafajłowa (powiat nadwórniański), obecnie Bystrica na Ukrainie, osada tartaczna nad Bystrzycą Nadwórniańską vel Czarną, do której dochodziła kolejka leśna z Nadwórnej. Miejsce ważne strategicznie, gdyż osada leżała w pobliżu przełęczy Rogodze Wielkie, umożliwiającej w tym czasie Legionom akcję galicyjską. W okresie międzywojennym popularne miejsce wycieczek i kolonii.

106 W Königsfeldzie (po drodze do Dubowa) znajdował się również szpital i komenda chorych-rekonwalescentów.

107 Karabin Schönauera, tzw. *grek* (nazwa od kraju produkcji oraz wynalazcy Otto Schönauera) – bardziej nowoczesny karabin z obrotowym magazynkiem.

108 Był to właściwie szczyt Pantyr, w głównym paśmie Gorganów, pomiędzy przełęczą Rogodze Wielkie, tzw. Przełęcz Legionów, a Czarną Połoniną. Chociaż przez pobliski szczyt Pantyru wiódł alternatywny szlak do Rafajłowej (grzbietem góry). J. Panaś, *My II Brygada*, Katowice 1929, s. 31; S. Czerep, *II Brygada...*, s. 74.

109 Wspomniany kilkukrotnie Józef Haller, późniejszy gen. (1873–1960), służbę w Legionach zaczynał jako por., szybko awansował: 18 października 1914 r. na kpt., 29 października 1914 r. na mjr., 20 listopada 1914 r. na ppłk., a 14 marca 1915 r. na płk. W 1916 r. objął dowództwo II Brygady. *Lista starszeństwa oficerów...*, s. 2.

110 Tamże, s. 76 – 84. Mołotków – wieś w powiecie bohorodczańskim, 12,5 km na północny zachód od Nadwórnej. 11 października pierwsze oddziały legionowe przeszły do Galicji przez przełęcz Rogodze, zajmując miejscowości wzdłuż Bystrzycy Nadwórniańskiej (Rafajłowa, Zielona, Pasieczna, oraz powiatowe miasto Nadwórna), wchodząc na tyły atakujących Galicję Zachodnią Rosjan. Rosjanie ściągnęli znaczne siły, aby wyprzeć legionistów z Galicji. W bitwie pod Mołotkowem 29 października 1914 r. legioniści starli się z dwukrotnie liczniejszymi przeciwnikami. Gen. Attems, któremu podlegały wtedy oddziały legionowe, wydał rozkaz do walki obronnej. Cały ciężar walki miał spocząć na Legionach, jednostki austro-węgierskie odgrywałyby rolę pomocniczą. Przeznaczone do wsparcia Polakom oddziały – 2 bataliony piechoty i bateria dział

polowych – były wyłączone spod dowództwa Komendy Legionów. Przewaga Rosjan w uzbrojeniu była jeszcze większa, m.in. legioniści nie posiadali karabinów maszynowych. Ponadto w odwodzie było kilka legionowych batalionów, za co później m. in. krytykowano dowództwo. Legioniści zostali zmuszeni do wycofania się, a straty w niektórych oddziałach wyniosły połowę stanu żołnierzy. Pierwsza poważna i przegrana bitwa doprowadziła do załamania się niektórych słabszych psychicznie żołnierzy i ich dezercji bądź symulowania choroby. Po porażce pod Mołotkowem legioniści umocnili się na nowych pozycjach w górze rzeki Bystrzycy, nie dopuszczając Rosjan do przedarcia się przez karpackie przełęcze. *Słownik geograficzny...*, t. 6, Warszawa 1885, s. 651.

111 Gen. Pflanzer-Baltin polecił Legionom zająć pozycje na północ od Zielonej i bronić tej miejscowości, niedopuszczając Rosjan na południe w stronę granicy, a w miarę możności wykonać dywersję w kierunku Pasiecznej. W tym okresie doszło do wielu potyczek. Największa miała miejsce 8 listopada 1914 r. pod Zieloną, gdy Rosjanie zaatakowali pozycje legionistów znajdujące się po obu stronach Bystrzycy. Wtedy został ranny mjr Haller, o czym wspomina autor pamiętnika. Atak Rosjan odparto, co podbudowało morale Polaków po przegranej wcześniej bitwie mołotkowskiej. S. Czerep, *II Brygada...*, s. 85; *Szlakiem II Brygady...*, s. 127, 142–152.

112 Tamże, s. 45. Uzbrojenie Legionów stanowiły początkowo malutkie przestarzałe armatki kalibru 7 cm, wzór 1875 r., z pociskami dostosowanymi do prochu dymnego. Armatki miały nieduży zasięg i były dość niebez-

pieczne w obsłudze. Wyposażenie to raczej nadawało się do wykonywania salw wiwatowych.

113 Jan Sułkowski (1894–1915) pochodzący z Sowlin (obecnie Limanowa), cieśla, szer. 3. Kompanii 3. pp, zginął podczas bitwy pod Rarańczą 24 lipca 1915 r. J. K. Stepan, *Lista strat Legionów Polskich 1914–1918*, Kraków 2006, s. 197.

114 Ripna – góra o wysokości 1210 m n.p.m, pomiędzy doliną Bystrzycy Sołotwińsiej a Nadwórniańskiej. Potok, o którym wspomina autor, nazywał się Chrepełów. *Szlakiem II Brygady...*, s. 73.

115 Tytuł naukowy wskazuje, że chodzić może o dr. Kazimierza Bartla (1882–1941), późniejszego wielokrotnego premiera rządu, specjalistę od kolei, matematyka, profesora i rektora Politechniki Lwowskiej. Bartel służył w armii austriackiej, i z racji wykształcenia został skierowany do wojsk kolejowych. Najpierw służył w Karpatach. Bartel bardzo chciał się przyłączyć do Legionów Polskich, ale dobrego specjalisty armia austriacka nie chciała się pozbywać. Może dlatego przebywał wtedy w sztabie 3. pp Legionów Polskich.

116 Aleksander Wojtecki (1890–?) studiował na Wydziale Filozoficznym, po wybuchu wojny zgłosił się do Legionów. Przydzielony został do 3. pp i wyznaczony na dowódcę plutonu w 7. Kompani II Baonu tego pułku. Po przetransportowaniu pułku na front karpacki został 12 października 1914 r. mianowany ppor. piechoty. Z dniem 3 grudnia 1914 r. był przeniesiony wraz z baonem do 2.pp LP. *Lista starszeństwa oficerów...*, s. 12.

117 Tamże, s. 85, 90. Osmołuda vel Osmołoda – na północ od pasma Gorganów, w górnym biegu potoku Łomni-

ca. Jala – leśniczówka powyżej Osmołudy nad potokiem Łomnica. 26 listopada Legiony walczące w Karpatach podzielono na dwie grupy. Pierwsza z nich, pod dowództwem mjr. Hallera, otrzymała za zadanie osłonę Zielonej, obronę Przełęczy Pantyrskiej i pełnienia służby etapowej. Drugą, pod dowództwem gen. Trzaski-Durskiego, dowodzoną praktycznie przez płk. Zielińskiego, przerzucono na zagrożony odcinek frontu: rejon Ökörmezö (obecnie Miżhirja na Ukrainie Zakarpackiej). Górszczyk był w pierwszej grupie, która wykorzystując względny spokój przywróciła w Rafajłowej funkcjonowanie wielu instytucji cywilnych (telefon, poczta, kolej). Tę grupę zaczęto wtedy nazywać Rzeczpospolitą Rafajłowską; uporządkowała ona poszczególne miejsca etapowe. Jednak 7. kompania autora, jako jedyna zdana na własne siły, operowała w dolinie Łomnicy wysyłając patrole i tocząc liczne potyczki z wrogiem. Doliną Łomnicy Rosjanie mogli okrążyć oddziały legionowe w Rafajłowej, co w styczniu 1915 r. próbowali zrobić. *Szlakiem 11 Brygady...*, s. 66–71.

118 Angelów vel Angełów i Jasień – miejscowości położone poniżej, w dolnym biegu Łomnicy (powiat doliniański). Huty – miejscowość na północny wschód od Osmołudy, w górnym biegu Złotej Bystrzycy vel. Sołotwińskiej, na północ od Siwuli. Hryńków – góra (1250 m n.p.m.) pomiędzy Angelowem a Hutą. Ks. Panaś wspomina działania na tym odcinku: „Osobny odcinek w grupie płk. Hallera, stanowiła podgrupa por. Czechny-Tarkowskiego, operując na lewym skrzydle u źródeł rzeki Łomnicy. Kompania ta, składająca się ze 167 ludzi, operowała skutecznie na olbrzymim terenie, zagraża-

jąc pozycjom rosyjskim pod Stanisławowem, Kałunem i Stryjem". J. Panaś, *My II Brygada...*, s. 37. Autor służył wtedy pod dowództwem Czechny-Tarkowskiego, najpierw w 7. Kompanii, a następnie w 3. Kompanii 3. Pułku Piechoty. S. Czerep, *II Brygada...*, s. 93.

119 Mokranka – osada u źródeł potoku o tejże nazwie, blisko granicy z Galicją, po zachodniej stronie Gorganów.

120 Nemet Mokra (węg.), Niemiecka Mokra – wieś niem. nieopodal Königsfeld, n. potokiem Mokranka (obecnie na Ukrainie).

121 Rożniatów (powiat doliniański), obecnie Rożniatiw na Ukrainie, miasteczko na północ od Gorganów, n. Czeczwą – dopływem Łomnicy.

122 Karabin powtarzalny F. Manlichera (1848–1904), austr. konstruktora. Wł. *mannlicher*.

123 Dwadzieścia jeden, „oczko", prosta gra w karty, polegająca na dobieraniu kart. Wygrywa ten, kto osiągnie liczbę kart o wartości jak najbliższej liczbie 21, ale nie większą.

124 Michał Zabdyr (1880–?) pochodzący spod Wieliczki nauczyciel. W roku 1900 uzyskał maturę w Krakowie, po czym rozpoczął pracę jako nauczyciel szkół powszechnych na Śląsku Cieszyńskim. Należał do organizacji „Wolni Bracia", przez dłuższy czas był czynnym członkiem „Sokoła" i od 1913 r. naczelnikiem gniazda w Jabłonkowie. W tzw. Legionie Śląskim znalazł się już 5 VIII 1914 r., po przybyciu wraz z nim do Mszany Dolnej i kryzysie w Legionie Wschodnim, przydzielony do 3. pp LP w stopniu chor., został już 18 X 1914 r. mianowany ppor., a 15 XI 1915 r. por. piechoty. Dowodził kompanią etapową, zabezpieczającą odcinek li-

nii kolejowej Rafajłowa – Kołomyja. W końcu grudnia 1914 r. kompania ta została skierowana do służby frontowej i przemianowana na 4. Kompanię I Baonu 3. pp LP. „Etap" – austriacka linia komunikacyjna, na której są urządzenia gospodarcze, magazyny wojskowe, szpitale itp. 10 V 1915 r. przydzielony został do 4. pp LP, gdzie otrzymał zadania adiutanta II Baonu i jednocześnie dowódcy 5. Kompanii. 20 I 1916 r. ranny na Wołyniu, po wyleczeniu z ran przeniesiony na powrót do 3. pp LP (21 VI 1916). Pozostał w tym pułku podczas kryzysu przysięgowego i służył aż do jego rozwiązania w wyniku Rarańczy (15–16 II 1918 r.). 1 XII 1917 r. mianowany kpt. Po przejściu przez linię frontu, dołączył do II Korpusu Polskiego w Rosji. Po rozbiciu Korpusu przez Niemców w bitwie pod Kaniowem (11 V 1918), dostał się do niewoli i został osadzony w obozie jeńców w Brześciu n. Bugiem. 5 listopada wstąpił do PSZ, przydzielony do 3. pp PSZ, po rozbrojeniu Niemców przeszedł do WP. Uczestniczył jako dowódca baonu (od 10 I 1919) w powstaniu wielkopolskim, następnie w walkach z Ukraińcami i w wojnie polsko-bolszewickiej jako dowódca 3. pp (od 9 IX 1920). Zweryfikowany po wojnie w stopniu ppłk. piechoty (ze starszeństwem z 1 VI 1919), awansowany 1 VII 1925 na płk. piechoty, pozostawał dowódcą 3. pp. 2 X 1929 został szefem Biura Uzupełnień Ministerstwa Spraw Wojskowych, z dniem 30 VI 1934 r. przeniesiony został w stan spoczynku. Zamieszkiwał w Warszawie, zginął podczas okupacji. *Lista starszeństwa oficerów...*, s. 8.

125 Piotr Jeżyński, ur. w 1894 r., uczeń szkoły handlowej, wspomniany jeszcze kilkukrotnie przez autora. Służył

w 3. Kompanii 1. Baonu 3. pp. Został wzięty do niewoli 1 czerwca 1915 r. nad Prutem. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

126 Wacław Pietrusiewicz, ur. w 1894 r.; później autor wspomina go kilkukrotnie. Nie udało się odnaleźć o nim bliższych informacji.

127 Bitwa pod Łużanami – pierwsza bitwa II Brygady podczas austro-węgierskiej ofensywy czerwcowej 1915 r. Łużany leżą na zachód od Czerniowiec, n. Prutem na Bukowinie (obecnie Ukraina). Pochodzący z Sechny Wojciech Joniec (ur. 1894) zginął 1 czerwca 1915 r. pod Łużanami. J. Cisek, K. Stepan, *Lista strat Legionów...*, s. 82.

128 Prawdopodobnie chodzi o Józefa Niedzielę, ur. w 1897 r. na Śląsku Opolskim. Służył w 12. Kompanii 3. pp. Służbę pełnił do 17 lutego 1915 r., kiedy został zwolniony z powodu gruźlicy płuc. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

129 *Hochdeutsch* i *Plattdeutsch* – niem. język literacki wysokoniemiecki i dolnoniemiecki dialekt dolnosaksoński, spokrewniony z językiem niderlandzkim.

130 Antoni Hniłko (1885–1945?), ur. w Woli Filipowskiej, powiat krzeszowicki, student filozofii. Służył w Legionach od 28 VIII 1914 r. 30 IX 1914 r. został przydzielony do 3. Kompanii I Baonu 3. pp. Od 1 X do 23 XII 1914 r. służył w 7. Kompanii II Baonu 3. pp. Brał udział w bitwie pod Mołotkowem, w październiku 1914 r. awansował na sierż., a w grudniu 1914 r. został przydzielony do 11. Kompanii III Baonu 2. pp. 30 III 1915 r. otrzymał przydział do 3. Kompanii I Baonu 3. pp i brał udział w walkach na froncie wołyńskim. 1 I 1917 r. odkomen-

derowany został do służby werbunkowej w Łodzi i Tomaszowie i mianowany chor. Po rozwiązaniu Legionów służył w 6. Kompanii 3. pp Polskiego Korpusu Posiłkowego. Po przebiciu się II Brygady pod Rarańczą został internowany w Witkowicach, a w wyniku złego stanu zdrowia został z dalszej służby zwolniony. Po długiej rekonwalescencji wstąpił 15 VIII 1919 r. do Wojska Polskiego i został przydzielony do Departamentu Naukowo-Szkolnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, następnie od kwietnia 1922 r. przeniesiony został do Muzeum Wojska, a w okresie 1924–1933 pracował jako kustosz w Archiwum Wojskowym w Warszawie. W późniejszym czasie współpracował z redakcją *Polskiego słownika biograficznego* (PSB) oraz Polskiego Towarzystwa Historycznego w Krakowie. Po przeniesieniu w stan spoczynku w latach 1935–1939 pracował w Izbie Skarbowej w Krakowie. W czasie okupacji pod ps. Bomba jako ppłk kierował Oddziałem V Sztabu Komendy Okręgu AK Kraków. W 1944 r. brał udział w przejęciu z Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie tzw. materiałów katyńskich. W związku z tą sprawą, po wkroczeniu Armii Czerwonej do Krakowa został 11 III 1945 r. aresztowany przez NKWD. Dalsze losy i okoliczności jego śmierci nie są znane. *Lista starszeństwa oficerów...*, s. 33.

131 Grzegorz Bierszacki (1883–1915), ur. w guberni chersońskiej w Rosji. W Legionach Polskich był sierżantem w 8. Kompanii II Baon 3. pp. Poległ 4 listopada 1915 r. pod Berezyną. J. Cisek, K. Stepan, *Lista strat Legionów...*, s. 14.

132 Józef Englicht (1891–1954), ur. w Dąbrowie Górniczej, przynależny do gminy Ojców w guberni kieleckiej, absolwent UJ, studiował polonistykę i historię. W Legio-

nach Polskich przydzielony do 3. pp, służył w nim do sierpnia 1916 r. Mianowany chor. 1 maja 1916 r., dowodził 3. Plutonem w 3. Kompanii I Baonu. Do stopnia ppor. awansował we wrześniu 1917 r. *Lista starszeństwa oficerów...*, s. 28.

133 Pod koniec stycznia 1915 r., dowództwo armii austro-węgierskiej zaplanowało ofensywę i przesunięcie się bardziej na północ i dotarcie do oblężonego Przemyśla; armia została wzmocniona dobrze wyposażonymi, lecz nieprzywykłymi do walk w górach, pochodzącymi z Pomorza i Prus, oddziałami niemieckimi, pod dowództwem gen. Aleksandra von Linsingena. Grupa Hallera została włączona w skrzydło zachodnie wojsk gen. Pflanzer-Baltina. Rosjanie, uprzedzając austriackie działania zaczepne, postanowili uderzyć pierwsi, na Rafajłową oraz na Bertiankę (po węgierskiej już stronie); atak nastąpił w nocy z 23 na 24 stycznia 1915 r. W Bertiance stacjonowała cześć 7. Kompanii Czechny-Tarkowskiego; Rosjanie zostali odparci. Po zwycięskim boju grupa Hallera, aż do 7 marca, walczyła głównie w dolinie Bystrzycy Nadwórniańskiej i Sołotwińskiej. Do marca Legiony, razem z wojskami państw centralnych, wyzwoliły teren południowo-wschodniej Galicji, aż po Stanisławów, spychając Rosjan do Dniestru. S. Czerep, *II Brygada...*, s. 87–94.

134 Wojciech Kumięga (1887–?), kupiec, pochodzący z miejscowości Kamień, powiat niski. Sekcyjny w 7. Kompanii 3. pp Legionów Polskich. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

135 Po sukcesie armii rosyjskiej na przełomie 1914/1915, na odcinku gen. Pflanzer-Baltina, cała jego grupa została

wzmocniona korpusem chorwackim (3 dywizje liniowe), walczącym wcześniej na froncie serbskim. J. Bator określa ich wartość bojową odmiennie od autora pamiętnika. Ponadto w Karpaty przybyły pułki bośniackie, strzelcy tyrolscy, dla których część legionistów, w tym autor, spełniała rolę zwiadowców i przewodników. Wzmocnienie tego odcinka przyniosło widoczny efekt i nastąpiło odparcie Rosjan z linii Karpat. 17. Pułk Piechoty austriackiej (*Krainerisches Infanterieregiment Nr. 17*), okręg uzupełnień – Lublana. J. Bator, *Wojna...*, s. 155; J. Panaś, *My 11 Brygada...*, s. 43–44.

136 Austriacki gen. Keltus von Pichler (1864–1928), w tym czasie dowódca 7. Brygady Piechoty, walczącej wtedy w Karpatach Wschodnich. Brygada wchodziła w skład 4. Dywizji Piechoty, której dowódcą był gen. Rudolf Stöger-Steiner von Steinstätten.

137 Jabłonka – wioska w dolinie Bystrzycy Sołotwińskiej, poniżej Porohów.

138 Baron Theodor von Liebieg, niem. przedsiębiorca-milioner z czeskiego Liberca (wówczas Reichenberg), wnuk Johanna, twórcy sukcesu firmy „Johann Liebieg & Company", założonej w latach 20. XIX w. Za zasługi dla austriackiego przemysłu, J. Liebieg otrzymał od cesarza w 1867 r. tytuł barona (dewiza: „Per laborem ad honorem"). Potentat na rynku tekstylnym; firma posiadała swoje agendy na całym świecie. T. Liebieg był jednym z pierwszych nabywców automobilu w monarchii austriackiej (1893 r.), które zresztą próbował też produkować. W czasach monarchii spółka Liebiega była w posiadaniu znacznych obszarów lasów, a także wielu tartaków na terenie Galicji, które nabywała

w drugiej połowie XIX w. Po II wojnie firmę znacjonalizowano p.n. Textilany Liberec. Firma upadła w 2001 r., gdyż nie wytrzymała azjatyckiej konkurencji. *100 Jahre Johann Leibieg & Comp.*, Warnsdorf 1928; V. Ruda, *Počátky textilního průmyslu v Liberci*, Liberec 1973.

139 Śliwki – wioska w dolnej Łomnicy (powiat kałuski).

140 Sołotwina (powiat bohorodczański), miasto n. Bystrzycą Sołotwińską, na południowy zachód od Stanisławowa.

141 Zarzecze, obok Sołotwiny, na drugim brzegu Bystrzycy.

142 Bohoradczany – miasto powiatowe na południowy zachód od Stanisławowa, n. Bystrzycą Sołotwińską.

143 Eugeniusz Godziejewski (1885–1938), ur. na Białorusi (powiat orszański), absolwent Politechniki Lwowskiej, inżynier budowy maszyn, dowódca 3. Kompanii, 3. Pułku Piechoty Legionów, w którym wtedy służył Górszczyk. Został mianowany ppor. dopiero w czerwcu 1915 r., od 12 października 1914 r. był chor. Służbę w Legionach skończył jako kpt. Po przejściu pod rozkazy niemieckie, dowódca Kursu Wyszkolenia Piechoty nr 2, następnie dowódca II Baonu 1. pp. 12 X 1918 r. awansowany do stopnia mjr. piechoty. W listopadzie 1918 r. uczestniczył w rozbrajaniu Niemców w Warszawie, następnie brał udział w wojnie 1918–1920 r. Płk WP, awans z 15 sierpnia 1924 r., a następnie gen. brygady, awans z 1 stycznia 1934 r. *Lista starszeństwa oficerów...*, s. 5.

144 Nadwórna (ukr. Nadvirna) – miasto powiatowe, na południe od Stanisławowa, nad Bystrzycą Nadwórniańską, poniżej Rafajłowej, Zielonej i Pasiecznej.

145 Krasna – wieś na północny wschód od Niebyłowa.

146 Rosulna (ukr. Rosilna), miejscowość na północ od Sołotwiny, w powiecie nadwórniańskim.

147 Hreczka – prawdopodobnie Kreczka – miejscowość nieopodal Jabłonki i Porohów.

148 Niebyłów (powiat kałuski), miejscowość nad Łomnicą, poniżej Śliwek.

149 Oddziały legionowe, wyczerpane trudną zimową kampanią karpacką i zdziesiątkowane, wreszcie mogły odpocząć na tyłach, w zdobytej niedawno Kołomyi. Nastąpiła tam gruntowna reorganizacja oddziałów. Wtedy utworzono II Brygadę Legionówów (od 23 kwietnia dowódcą był oficer austriacki płk Ferdynand Kütner). Zasłużony płk Haller i płk Zieliński zostali właściwie bez przydziałów. Ze zgromadzonych w Kołomyi oddziałów utworzono tymczasowo 3 grupy taktyczne, równocześnie uzupełniając skład osobowy i próbując wprowadzić większy rygor wojskowy. W zaprowadzanie „porządku" zaangażował się nawet osobiście gen. Pflanzer-Baltin, egzekwując m.in. zakaz noszenia przez oficerów legionowych austriackich dystynkcji, co doprowadziło do nieoddawania honorów oficerom austro-węgierskim przez oficerów legionowych i licznych w związku z tym zatargów. 16 kwietnia 1915 r. wysłano Legiony na front bukowiński, w okolice Czerniowiec, i podporządkowano XI Korpusowi austro-węgierskiemu gen. Ignaza Kordy, wchodzącego w skład grupy gen. Pflanzera-Baltina (ta część walk określona przez Górszczyka jako kampania besarabska). Legioniści nie brali więc udziału w wyzwoleniu Lwowa. Autor wchodził w skład grupy płk. Zielińskiego. S. Czerep, *II Brygada...*, s. 99–101, 111.

150 Franciszek Szmyd – w wykazie legionistów wymieniony jest tylko jego rok ur. 1894 r. Górszczyk w dalszej cześci tekstu wspomina, że pochodził z Miejsca Piastowego.

151 Andrzej Czaja miał wtedy niewiele ponad 20 lat, ur. się w 1894 r.

152 Franciszek Kopaczyński (1896–?), pochodzący z Bukowiny, uczeń VIII klasy gimnazjum. W Legionach Polskich służył od 4 III 1915 r., początkowo w baonie uzupełniającym. 28 III 1915 r. wykazany w 3. Kompanii 3. pp. Brał udział w kampanii bukowińskiej i wołyńskiej, gdzie 6 VIII 1916 r. został ranny.

153 Ks. Adam Bogdanowicz-Roszko (1898–1941), Ormianin z bogatej rodziny ziemiańskiej. Odbył studia teologiczne we Lwowie, gdzie w 1920 r. został wyświęcony przez arcybiskupa ormiańskiego Józefa Teodorowicza. Od 1932 r. kanonik gremialny, wybitny kaznodzieja i duszpasterz, uwielbiany przez młodzież. Na początku II wojny w kontakcie ze Związkiem Walki Zbrojnej. Aresztowany 2 kwietnia 1940 r. przez NKWD, w czasie śledztwa nikogo nie wydał. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, NKWD wycofało się z więzienia. Niedługo potem grupa studentów sforsowała bramę więzienia uwalniając część więźniów, wśród nich i Bogdanowicza, ten pozostał jednak, aby pomagać uwalniać resztę skazanych. Po niespodziewanym powrocie załogi NKWD wszyscy z zastanych tam zostali zabici (również ks. Bogdanowicz). Przez Ormian polskich uważany za męczennika za wiarę. Bogdanowicz jest sportretowany na słynnym fresku we lwowskiej katedrze ormiańskiej *Pogrzeb św. Odliona*, jako jeden z niosących trum-

nę żałobników. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, *Ks. Adam Bogdanowicz-Roszko*, [w:] *Słownik biograficzny duchownych ormiańskich w Polsce*, Kraków 2001.

154 Henryk Kazimierz Zawirski (1894–1915) z Bukowiny, urzędnik sądowy, zginął 10 czerwca 1915 r. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

155 Andrzej Augustyn (1897–?), czeladnik stolarski ze Żmiącej, powiat limanowski. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

156 W wykazie legionistów jest kilka osób o nazwisku Makowski, służących w 3. pp. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

157 Antoni Plichta (1895–1916) pochodził spod Lanckorony, z Jastrzębi. Jeden z jego braci, Julian, również służył w Legionach, zginął w wieku 18 lat 1915 r. Plichta popełnił samobójstwo na Wołyniu, w Baranowiczach, w 1916 r. Plichtę wspomina też ks. Panaś: „W czasie ciężkich marszów i patroli po szczytach karpackich odznaczył się tam szczególnie góral z Lanckorony Andrzej Plichta". J. Panaś, *My 11 Brygada…*, s. 37; J. Cisek, K. Stepan, *Lista strat…*, s. 162.

158 Józef Tomczykiewicz (1890–?), rolnik z Lanckorony. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

159 Józef Kania (1893–?), pochodzący z Harbuowic k.Sułkowic, kowal. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

160 Nie jest to zapewne pochodzący z Rzeszowa Józef Zając, późniejszy gen. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

161 W wykazie figuruje tylko jeden legionista Adam Zapart (1896–?). *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

162 Józef Biedroń, ur. w Jastrzębiu, powiat limanowski, w 1893 r., artysta rzeźbiarz. Do Legionów Polskich wstąpił we wrześniu 1914 r., przydzielony do 3. pp jako dowódca sekcji, awansowany do stopnia sierż.

163 Krawczyk, Torba – w wykazie legionistów jest wiele osób o takich nazwiskach. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

164 Józef Puch (1898–?), maszynista, ur. w Krempachach na Spiszu (wówczas na Węgrzech), zamieszkały w Laskowej, powiat limanowski. Do Legionów wstąpił 2 października 1914 r. Służył w 3. Kompanii 3. pp.

165 Jan Gargas (1897–?), ur. w Szyku, powiat limanowski. W Legionach Polskich służył w 7. Kompanii 3. pp, 11. Kompanii 2. pp i 3. Kompanii 3. pp. Od 10 października 1917 r. wykazany w składzie 4. Kompanii 3. pp Polskiego Korpusu Posiłkowego. Po Rarańczy (15–16 II 1918) internowany w Szaldobos, i asenterowany (wcielony) do nowosądeckiego 20. pp armii austriackiej.

166 Koźnic, księgowy z Krakowa – nie udało się ustalić bliższych danych. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

167 Czerniowce – stolica Księstwa Bukowiny, leżąca n. Prutem, zamieszkana przez liczne narodowości: Polaków, Rumunów, Rusinów, Niemców, Żydów oraz niewielką kolonię Czechów; nieopodal na północ Sadagóra (przed I wojną mieszkał tam słynny żydowski rabin cudotwórca), dalej, w kierunku północnym miejsco-

wość Czerniawka. Por. M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik*, s. 174–175.

168 Wincenty Rustarz (1893–1915), szeregowiec, pochodzący spod Kielc, zginął 8 stycznia 1915 r. pod Osmołudą. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

169 W wykazie jest kilkudziesięciu legionistów o nazwisku Wróbel. *Wykaz legionistów* na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

170 W 36. Pułku Piechoty austro-węgierskiej (*Böhmisches Infanterieregiment Nr. 36*) większość stanowili Czesi. Dwa bataliony (I i III) tego pułku stacjonowały w Bruneck w południowym Tyrolu (wł. Brunico), obecnie północne Włochy, region Trydent – Górna Adyga w prowincji Bolzano. Z uwagi na liczne dezercje i słabego ducha bojowego, pułk został rozwiązany w 1915 r.

171 Z czeskiego *žrát* – żreć, jeść. Prawidłowo po czesku to powinno brzmieć: *Ty jsi psa žral?* (Ty żarłeś psa?). Zapamiętane przez autora wypowiedzi Czechów, jeśli dobrze zostały zapamiętane, mogą stanowić tzw. *Armeeslawisch* (armijny słowiański), czyli żargon Słowian w armii austriackiej, stanowiący zbitek różnego rodzaju języków narodów zamieszkujących monarchię.

172 Prawidłowo po czesku to zdanie powinno brzmieć: *Ja jsem nie žral, jen jsem sup [polévku] vypil. Pan hetman (kapitan) ví, že zabiju krávu a to nestačí pro každého, a gde pak* [*stačilo by*] *psa*. Zamiast „polévku" w *Armeeslawisch* mógł użyć bardziej uniwersalnego wyrazu *sup*. Zdanie to można przetłumaczyć: „Ja nie żarłem, ja tylko wypiłem zupę. Pan kapitan wie, że gdy zabiję krowę, to nie starczy dla każdego, a co dopiero starczyłoby psa".

173 To zdanie powinno brzmieć *Pro menaż, dneska bude vic. A precz? Bo pes ne żeżral*. W *Armeeslawisch* mogło znaczyć: „Do stołówki, dzisiaj będzie więcej. Dlaczego? Bo pies nie zeżarł".

174 Nie była to owacja z okazji zdobycia Lwowa, który został wyzwolony dopiero 22 czerwca 1915 r., a wtedy autor był już w niewoli. Rozwój sytuacji na froncie wschodnim w maju i czerwcu 1915 r. był następstwem przełamania frontu pod Gorlicami w Zachodniej Galicji (2–6 maja) oraz przystąpienia Włoch do wojny (23 maja), po stronie Ententy. Sztabowcy austriaccy postanowili szybko zdobyć twierdzę Przemyśl, aby wzmocnić front wschodni i móc przerzucić część armii na front włoski. Dla odciążenia wycofujących się z zachodu oddziałów rosyjskich oraz mocno naciskanych Rosjan pod Przemyślem, operująca w Karpatach Wschodnich 9. Armia rosyjska gen. Platona Leczyckiego przeszła do ofensywy, atakując na prawym skrzydle słabszą grupę operacyjną gen. Pflanzer-Baltina (od 8 maja – 7. Armia austro-węgierska), w skład której wchodziła 11 Brygada Legionów. S. Czerep, *11 Brygada...*, s. 113–116.

175 W nocy z 11 na 12 maja 1915 r. Rosjanie przerwali front na odcinku bronionym przez 42. Dywizję Piechoty (koło Zaleszczyk), a żołnierze austriaccy, wycofując się w popłochu, odsłonili lewe i prawe skrzydło Legionów, którym w związku z tym polecono się wycofać. Część 2. pp (bataliony dowodzone przez por. Jana Kaufera) opóźniła swój odwrót (13 maja), najbardziej ucierpiał 11 Batalion, który nie zdążył się wycofać za Prut, gdyż landszturmiści austriaccy przedwcześnie zniszczyli

most, więc legioniści próbowali wpław przepłynąć rzekę. W wyniku dużych strat w 11 Batalionie, por. Kaufer został oddany pod sąd polowy – jednak został oczyszczony z zarzutu niewłaściwego dowodzenia. J. Panaś, *My 11 Brygada...*, s. 61–62.

176 „Posępną pobudkę werbel gra / Jak długo bez końca ta droga trwa! / Ostatniej wędrówki już nadszedł kres / Bo serce mi pęknie, zabraknie mi łez...". Pieśń powstała w 1914 r., ale jej geneza może sięgać wcześniej. B. M. A. Szul-Skjöldkrona, *Piosenki...*, s. 17–18

177 Mocno naciskana przez Rosjan 7. Armia austro-węgierska z początkiem czerwca 1915 r. sama przeszła do ofensywy. Legioniści wraz z pododdziałami 42. Dywizji Piechoty austro-węgierskiej 4 czerwca 1915 r. przeprowadzili atak na Łużany. Podczas tej operacji autor dostał się do niewoli. S. Czerep, *11 Brygada...*, s. 116–117.

178 Student Babicz – w wykazie legionistów figuruje jedynie Franciszek Babicz, ur. w 1894 r. w Załucznym, powiat nowotarski. Ten jednakże nie został powieszony, a dostał się do niewoli. W Legionach Polskich od 9 września 1914 r. Przydzielony do 6. Kompanii 3. pp. Ranny w rękę w Karpatach, w bitwie pod Maniewiczami wzięty do niewoli, skąd powrócił w 1918 r. *Wykaz legionistów*, na stronie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

179 Podkarpacie czyli właściwie Karpaty, do których należał Beskid Wyspowy. Autor nazywa tak swą okolicę, gdyż być może przez Karpaty rozumiał główny grzbiet karpacki – Tatry, Gorce, Beskid Sądecki.

180 Nielubiany przez legionistów dowódca grupy operacyjnej, gen. Karl Freiherr von Pflanzer-Baltin odniósł jed-

nak (przy wydatnej legionowej pomocy) spore sukcesy na swoim odcinku frontu. Przez podwładnych zwany „zakutą głową"; za typowe prowadzenie działań wojennych „raz do przodu, raz do tyłu i następnie znów do przodu", nazywany również generałem *Balt-hin und Balt-her* (Baltin-tu i Baltin-tam). S. Czerep, *II Brygada...*, s. 99.

181 Być może to za ten patrol Górszczyk otrzymał Order Virtuti Militari. Operując w 3. Kompanii 3. Pułku Piechoty Legionów, na linii rzeki Bystrzycy, w lutym 1915 r. jego grupa zajęła Porohy i straciła łączność z sąsiednią grupą, operującą nad rzeką Łomnicą. Nawiązanie z nią łączności było niezmiernie ważne, tym bardziej że była ona mocno atakowana przez Rosjan, co w przypadku jej wyparcia groziło oskrzydleniem grupy Górszczyka. Pomimo wyczerpania, silnego mrozu i trudnego do przejścia łańcucha górskiego oddzielającego obie grupy, kpr. Górszczyk dobrowolnie zgłosił się na ochotnika na patrol, w celu nawiązania łączności. Dotarł do dowództwa grupy sąsiedniej. Nawiązanie łączności między obiema grupami miało dla dalszego przebiegu ówczesnej operacji decydujące znaczenie. Za ten czyn otrzymał w 1933 r. Order Virtuti Militari V Klasy. Oprócz tego odznaczenia w okresie międzywojennym otrzymał Krzyż Niepodległości, Krzyż Walecznych z okuciami, Srebrny Krzyż Zasługi (dwukrotnie). CAW, Kolekcja Orderu Wojennego Virtuti Militari, sygn. I.482.66.5777 Antoni Górszczyk.

182 Tekst *Pieśni o rozmarynie* powstał przed wybuchem I wojny, do znanej melodii ludowej, sięgającej tradycji z XVII w. Według Władysława Jeziorskiego, pierwsze

sześć zwrotek jest pochodzenia ludowego, trzy następne są dodane przez Wacława Denhoffa-Czarnockiego. W. Jeziorski, *Nowy śpiewnik polski 1914–1917*, Kraków 1917, s. 112.

183 „Jak cielę uwiązana / Starym powrozem / Skacze jak opętana / Z tyłu za wozem. / Co to za kawał grata? / To jest nasza armata! / Armata, armata-ta / Armata-ta-ta-ta...". Prześmiewcza pieśń o przestarzałych armatach będących na wyposażeniu Legionów. Pieśń ułożona przez Bogusława Szul-Skjöldkronę w 1914 r., na kabaretową nutę *Dance du ventre* (*Taniec brzucha*) Bogusława Adamowicza. B. M. A. Szul-Skjöldkrona, *Piosenki...*, s. 124–125.

184 Jest to kompilacja dwóch utworów: *Posępną pobudkę werbel gra* i *Bośmy żołnierze jako psy*. Autor najwidoczniej pomieszał dwie pieśni. Piosenka *Bośmy żołnierze...* lub o nazwie *Bitwa Mołotkowska* czy też *Oficerowie polscy* powstała rzeczywiście po bitwie Mołotkowskiej i odzwierciedlała stan psychiczny żołnierzy. Zawiera gorzką prawdę o sytuacji i stosunkach panujących w niektórych oddziałach. Pieśń była bardzo popularna wśród legionistów. W wydaniach z czasów wojny nie drukowano jej bądź (podobnie jak *Armatę*) konfiskowała ją austriacka cenzura. Zwrotka *Lecz rumu miał za mało* nawiązuje do znanego wśród legionistów zawołania: „dać mu rumu", mającego genezę w słowach gen. Trzaski-Durskiego, który widząc zemdlonego legionistę miał tak ponoć zawołać do obecnych. Melodię do tej pieśni zapożyczono z popularnej niemieckiej kolędy *O Tannenbaum*: „Tam za kopkami siana drżą / Ze strachu oficerzy / Gdy strzelcy do ataku

mkną / Komendant w rowie leży / Bośmy żołnierze, jako psy / Bezdomni są włóczędzy / Trapi nas Moskal, gryzą wszy / Za Austrii skrawek nędzny / Wiatr szarpie mundur, spodnie rwie / Prześwieca ciało sine... / Sztab na hulanki rajskie mknie / Zapijać ojców winę / Bośmy...". B. M. A. Szul-Skjöldkrona, *Piosenki...*, s. 22, 157; S. Czerep, *11 Brygada...*, s. 58, 108.

185 Tamże, s. 17, 99. „Idzie żołnierz borem, lasem / Przymierając z głodu czasem / Suknia jego pokrwawiona / Szabla jego wyszczerbiona / Mundur na nim poblakuje / Wiatr dziurami przelatuje...". Najstarsza z pieśni żołnierskich, znana w wielu wersjach i pod różnymi tytułami, np. *Pieśń o żołnierzu tułaczu*, *Idzie żołnierz borem, lasem*. Sięga genezą okresu staropolskiego, od XIX w. zaczęto ją kojarzyć z tradycją Legionów czasów napoleońskich (m.in. nawiązania w ówczesnej literaturze w *Panu Tadeuszu* Adama Mickiewicza – koncert Jankiela, w *Popiołach* Stefana Żeromskiego i opowiadaniu *O żołnierzu tułaczu*. Geneza pieśni sięga dalej, należy jej szukać w pieśni rycerskiej z XV–XVI w. – *Pieśni koła rycerskiego*. S. Wasylewski, *Pieśń o żołnierzu tułaczu*, „Lud", t. 16, 1910, s. 248.

186 Być może chodzi o wersy: „Śpij kolego, a w tym grobie / Niech się Polska przyśni tobie", choć słowa te pochodzą z jednej z wersji *Jak to na wojence ładnie*, która jest również jedną z najstarszych pieśni; mogły być przecież używane w innej piosence.

187 Najsłynniejszym z rodziny Teodorowiczów był ur. w 1864 r. ormiański arcybiskup lwowski (1902–1938) ks. Józef Teodorowicz, jedna z ważniejszych postaci polskiego episkopatu okresu międzywojennego.

188 Kocmań (niem. Kotzman, obecnie Kicmań na Ukrainie) – miasto powiatowe na Bukowinie, po drodze z Czerniowiec do Zaleszczyk; zamieszkiwała tam w większym skupisku ludność polska, jak również w Walawie i innych miejscach Bukowiny. *Ilustrowany przewodnik...*, s. 173; *Słownik geograficzny...*, t. 4, Warszawa 1883, s. 234.

189 Zaleszczyki – galicyjskie miasto powiatowe na lewym brzegu Dniestru, nad granicą z Bukowiną. W okresie międzywojennym popularny kurort, w polskich dziejach zapisało się później jako punkt ucieczki rządu do Rumunii we wrześniu 1939 r.

190 Tarnopol w latach 1914–1917 okupowany przez Rosjan – miasto powiatowe, centrum galicyjskiego Podola. Po zbudowaniu linii kolejowej do granicy rosyjskiej w 1871 r., zyskał znaczenie handlowe i szybko się rozwijał. *Słownik geograficzny...*, t. 12, s. 187–193.

191 Podwołoczyska (ukr. Pidwołoczysk) – miasteczko w powiecie skałackim, na wschód od Tarnopola, położone po stronie zachodniej granicznego Zbrucza, za którym była już rosyjska gubernia podolska. Po wybudowaniu kolei (1871 r.) łączącej z Tarnopolem i zbudowaniu stacji przeładunkowej (towary przywożone ze Wschodu i wysyłane na Wschód) nastąpił jej szybki rozwój. Działali tu również agenci handlowi z Francji, Anglii, Szwajcarii i Niemiec. Na wniosek mieszkańców cesarz nadał miejscowości prawa miejskie. *Słownik geograficzny...*, t. 8, Warszawa 1887, s. 480–483.

192 Wołoczyska – miasteczko po wschodniej stronie Zbrucza, po stronie rosyjskiej, naprzeciwko Podwołoczysk.

193 Samara – stolica guberni, położona na lewym brzegu Wołgi, przy ujściu rzeki o tej nazwie. Około 1000 km na

południowy wschód od Moskwy. *Słownik geografczny...*, t. 10, Warszawa 1889, s. 223–225.

194 Syzrań – miasto powiatowe, leżące w południowej części guberni symbirskiej (Symbirsk, obecnie Uljanowsk), na prawym zachodnim brzegu Wołgi, około 100 km na zachód od Samary. Tamże, t. 11, Warszawa 1890, s. 751–752.

195 Jacob Izaakszoon van Ruisdael – holenderski malarz pejzażysta i grafik żydowskiego pochodzenia (1628–1682); w jego pracowni kształcił się zapewne jego naśladowca Meindert Hobbema (1638–1709), ostatni z holenderskich mistrzów krajobrazu, który wywarł duży wpływ na rozwój malarstwa pejzażowego w Europie XIX w.

196 Carycyn – miasto powiatowe w guberni saratowskiej, leżące nad dolną Wołgą, obecnie Wołgograd, w latach 1925–1961 nosiło nazwę na cześć Józefa Stalina – Stalingrad. *Słownik geograficzny...*, t. 1, Warszawa 1880, s. 527–528.

197 Stawropol – miasto gubernialne u stóp Kaukazu, obecnie stolica tzw. Kraju Stawropolskiego w Rosji.

198 Uprawy – organ wykonawczy administracji samorządowej w miastach, powiatach i guberniach, wprowadzony w Rosji po wydaniu w 1864 r. ustawy o samorządzie terytorialnym. W powiecie i guberni samorządem były tzw. ziemstwa (ziemstwa nie zostały wprowadzone w guberniach zachodnich dawnej Rzeczpospolitej, obawiano się bowiem działalności Polaków w samorządzie lokalnym). L. Bazylow, *Historia powszechna 1789–1918*, Warszawa 1986, s. 692–694; R. Pipes, *Rewolucja rosyjska...* s. 158–159, 194, 243–244.

199 Gubernia taurydzka (ros. Tawriczeskaja gubiernija) ze stolicą w Symferopolu na Krymie, obejmowała Półwysep Krymski i tereny na północ od niego aż po Dniepr. Odpowiadała pod względem obszaru dawnemu Chanatowi Krymskiemu.

200 Dziesięcina skarbowa miała nieco więcej niż hektar – miara powierzchni obowiązująca w Rosji przed rewolucją październikową, 1 dziesięcina równała się 10,925 m^2 lub 1, 09 ha.

201 Ociepka – wiązanka kwiatów z kłosami zboża, niesiona do kościoła na święto Matki Boskiej Zielnej 15 sierpnia; po poświęceniu wbijano ją do ziemi pola uprawnego, co miało zapewnić urodzaj.

202 Bunt wybuchł na pancerniku „Potiomkin" w czerwcu 1905 r. (właściwa nazwa „Kniaź Potiomkin Tawriczeskij"), podczas rozruchów rewolucyjnych 1905 r. w Rosji, załoga statku przyłączyła się do nich w Odessie. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska...* s. 886.

203 Nazwa sekty pochodzi od *mołoka* (ros. mleko). Wyznawcy tej prawosławnej sekty, oprócz pacyfizmu chrześcijańskiego, odrzucenia części dogmatów prawosławnych, przestrzegania starotestamentowych nakazów o jedzeniu, nie przestrzegali prawosławnego postu i w czasie jego trwania pili mleko.

204 Dubowka – miasto na prawym brzegu Wołgi, na wschód od Carycyna w guberni saratowskiej. *Słownik geograficzny...*, t. 2, Warszawa 1881, s. 200.

205 Ochrana (ros.): *Otdielenije po ochranieniju poriadka i obszczestwiennoj biezopasnosti* – Oddział ochrony porządku i bezpieczeństwa państwowego – tajna policja polityczna w carskiej Rosji; powstała w 1881 r. po zabój-

stwie cara Aleksandra II. W zamachu bombowym brał decydujący udział Polak Ignacy Hryniewiecki (zmarł w szpitalu). R. Pipes, *Rewolucja rosyjska...*, s. 77.

206 Po wybuchu I wojny światowej wielu Polaków nie z własnej woli znalazło się na obszarze Rosji, zarówno ewakuowani z Królestwa Polskiego nauczyciele, urzędnicy i robotnicy itp., jak również poddani niemieccy i austro-węgierscy, tzw. jeńcy cywilni. Wygnańcami w Rosji zajęły się organizacje polskie, najwcześniej (jesień 1914 r.) powstało w Piotrogrodzie Polskie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny. W 1915 r. na Zjeździe Polskim liczne polskie organizacje pomocy utworzyły wspólną Radę Zjazdów Polskich Organizacji Pomocy Ofiarom Wojny, która miała koordynować działalność polskich organizacji pomocowych. Do rewolucji lutowej 1917 r. praktyczna pomoc ograniczała się do cywilów, dopiero potem objęła jeńców wojennych. *Polskie organizacje ratownicze w akcji niesienia pomocy Polakom – obcopoddanym w Rosji w latach I wojny światowej*, [w:] *Historia–Polityka–Społeczeństwo. Księga jubileuszowa dedykowana Profesorowi Henrykowi Cimkowi*, red. W. Bonusiak i in., Rzeszów 2008, s. 78–88.

207 Wskutek niskiego uposażenia, mały był prestiż oficerów w Rosji, co powodowało problemy z zasileniem kadry oficerskiej ludźmi zdolnymi. Wyjątkiem były elitarne pułki gwardii. Wyżsi oficerowie i generałowie, to byli zazwyczaj karierowicze, awansowani z powodu ich lojalności wobec dynastii Romanowów, a nie z powodu ich osobistych zdolności i przygotowania do służby w armii. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska...*, s. 216.

208 Cesare Lombroso (1835–1909), włoski psychiatra i antropolog, profesor medycyny i psychiatrii sądowej, twórca antropologicznej teorii prawa karnego. Badając czaszki przestępców, uczony doszedł do wniosku, że około 40% spośród nich ma wrodzone predyspozycje do popełniania przestępstw, uważał że czynniki genetyczne mają wpływ na popełnianie przestępstw, a urodzonego przestępcę można poznać po jego defektach fizycznych. Na tej podstawie Lombroso wyodrębnił antropologiczne typy przestępców, tzw. typy lombrosowskie. Choć teorie tego uczonego zostały obalone na początku XX w., to jednak wywarły wpływ na rozwój psychiatrii. C. Lombroso, *Geniusz i obłąkanie*, Warszawa 1987.

209 Konie do Niezabilnej – być może chodzi o miejscowość Izobilny, na północny zachód od Stawropola.

210 Właściwie torłop – szata futrzana, pochodząca z Rusi, popularna za Jagiellonów, później kożuch, futro.

211 Bekiesza, ubiór pochodzenia węg., modny od czasów Batorego – długi płaszcz, poniżej kolan, podszyty futrem, wcięty w talii i ozdobiony pętlami. Popularny w Europie Środkowej i Wschodniej, gdzie panowały surowe zimy.

212 Narymski Kraj – czyli część Syberii nad górnym Obem. Od połowy XIX w. wzrosła jej rola jako bazy surowcowej imperium. Budowa Kolei Transsyberyjskiej (1891–1916) dokonała przewrotu w podstawach ekonomicznych imperium.

213 Krój munduru i kolor określały przepisy, jak również sposób zwracania się do danej kategorii urzędników; każda ranga miała swoje przywileje, również uregulowane w przepisach. R Pipes, *Rewolucja rosyjska…* s. 64.

214 *Obszczina* lub *mir* – gminna wspólnota wiejska w Rosji, polegająca na użytkowaniu ziemi i lasów będących własnością wspólnoty gminnej, zbiorowej poręce i odpowiedzialności. Chłop rosyjski nie miał poczucia tożsamości ani poczucia własności jako czegoś stałego. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska…*, s. 96–102.

215 Piotr Stołypin (1862–1911) – premier reformator i minister spraw wewnętrznych w latach 1906–1911, zabity przez zamachowca. Jedną z koncepcji Stołypina było zreformowanie stosunków na wsi, promocja własności prywatnych (istniejących obok wspólnot), które lepiej gospodarowane miały później zachęcić do występowania z obszczin. Ustawy Stołypina z 1906 r. zrównywały chłopów w prawach obywatelskich z innymi stanami, znosiły ograniczenia w poruszaniu się (potrzeba uzyskania zgody od obszczziny). Chłop mógł na własne życzenie uzyskać na własność użytkowany grunt od wspólnoty. Przeznaczono również na sprzedaż chłopom grunty koronne i państwowe, po preferencyjnych kredytach. Przeprowadzono akcję przesiedlenia chłopów z terenów zaludnionych na Syberię i stepy Azji Środkowej. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska…*, s. 174–185.

216 W Rosji, oprócz sędziów i pewnej kategorii specjalistów, nie wymagano od urzędników specjalnego wykształcenia. Do zakwalifikowania się na stanowsko pomocnika kancelisty – punktu wyjściowego w karierze urzędniczej – należało umieć czytać, poprawnie pisać i opanować podstawy matematyki. Przejście na pierwszy szczebel rangi (ros. czin) wymagało zdania egzaminu na poziomie absolwenta szkoły średniej. Awansując z biegiem lat, urzędnik nie musiał wykazać się

dodatkowymi umiejętnościami, wystarczyła wysługa lat oraz rekomendacja przełożonego, przy czym najwyższe szczeble były zastrzeżone dla szlachty. Jako „słudzy cara" urzędnicy stali ponad prawem, zaskarżyć i postawić ich przed sądem można było jedynie za zgodą przełożonego. Zgody takiej udzielano bardzo rzadko. Większość urzędników, zwłaszcza na prowincji, to byli karierowicze, którzy niskie pensje uzupełniali łapówkami i napiwkami, i raczej nie mieli żadnych poglądów politycznych, nie rozróżniali własności publicznej od prywatnej. Po rewolucji 1917 r. większość z nich oddała się do dyspozycji Rządu Tymczasowego, a potem bolszewików. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska…* s. 64–71.

217 Autorowi zapewne chodziło o Chiny, długi paznokieć był tam znakiem, że dana osoba nie musi pracować.

218 Rosja nie posiadała wystarczającego uzbrojenia dla swojej wielkiej armii. Produkowano je początkowo tylko w państwowych fabrykach, import z zagranicy i pomoc od sojuszników nie nadążał za potrzebami. Już w końcu 1914 r. połowa żołnierzy przybywających na front nie miała karabinów. Poważnie rozważano nawet wyposażenie wojska w siekiery na kiju. Praktyka była taka, że w drugiej linii żołnierze czekali, aż padną ich koledzy, aby móc przejąć ich karabiny. Wyposażano żołnierzy w granat i bagnet: musieli dotrzeć do wroga na odległość rzutu granatem, a potem atakować bagnetem. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska…*, s. 217, 227.

219 Płk. Sergiusza Mikołajewicza Miasojedowa skazano niesłusznie na karę śmierci za szpiegostwo na rzecz Niemiec w 1915 r. Sprawa ta odbiła się szerokim echem

w Rosji. W Polsce sprawę tę w formie beletrystycznej spopularyzował Józef Mackiewicz, w powieści z 1962 r.: *Sprawa pułkownika Miasojedowa*.

220 Aleksander Suworow (1729 Moskwa – 1800 St. Petersburg), rosyjski dowódca wojskowy z drugiej połowy XVIII w. W historii zapisał się niechlubnie tłumiąc konfederację barską, powstanie kościuszkowskie i dokonując rzezi ludności na warszawskiej Pradze w listopadzie 1794 r. W rosyjskiej myśli wojskowej sprzed wojny i w początkowym jej okresie dominowała osiemnastowieczna szkoła wojskowa marszałka Suworowa. Nacisk kładziono głównie na działania ofensywne i walkę wręcz, bez względu na straty. Nie uwzględniano w ogóle rewolucji technologicznej, mającej wpływ na sposób prowadzenia wojny. Przeciwnie, uważano, że zbytnie przywiązywanie wagi do techniki i obliczania bilansu strat obniża morale armii. Wiązała się z tym brutalna dyscyplina w wojsku, niezbędna z powodu braku utożsamiania się prostych żołnierzy z celami wojny. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska…*, s. 213–214.

221 Erzurum – miasto we wschodniej Turcji na Wyżynie Armeńskiej, w regionie zamieszkanym przez Ormian.

222 Czarna Sotnia – prawicowa bojówka ugrupowania Związku Narodu Rosyjskiego, utworzonego w trakcie rewolucji 1905 r., organizacji nacjonalistycznej, monarchistycznej, oddanej caratowi i prawosławiu, o wyraźnym zabarwieniu antysemickim. W Żydach widziano sprawców wszelkich nieszczęść Rosji. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska…*, s. 162.

223 Hymn Rosji w latach 1833–1917. Pierwsze słowa hymnu: *Boże zachowaj Cara* (ros. *Боже, Царя храни!*).

224 „Nowoje Wriemia" – dziennik rosyjski, wychodzący w latach 1868–1917. Organ nacjonalistów, a potem czarnosecińców. Zamknięty przez bolszewików.

225 Grigorij Orłow (1734–1783) – rosyjski wojskowy, faworyt carycy Katarzyny II, brał udział w przewrocie pałacowym, który wyniósł ją na tron.

226 Grigorij Rasputin (właśc. G. J. Nowych) (1872–1916) – mnich rosyjski, szarlatan, faworyt carycy Aleksandry i rodziny cara Mikołaja II w okresie schyłkowym imperium rosyjskiego, podejrzany o współpracę z Niemcami, zamordowany przez spiskowców..

227 Największy przychód państwa był z podatku od sprzedaży i ceł (27%), tuż za nim był przychód z monopolu spirytusowego (26%). R. Pipes, *Rewolucja rosyjska...*, s. 80.

228 Cerkiew prawosławna była kościołem państwowym, związanym mocno z caratem, nawet granice diecezji pokrywały się z guberniami. Głównym zadaniem Cerkwi (z punktu widzenia władz) była indoktrynacja, propaganda ideologiczna caratu. Duchowni byli też zobowiązani do przekazywnia policji informacji o spiskach, podejrzanych osobach, łącznie z informacjami uzyskanymi podczas spowiedzi. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska...*, s. 92–93.

229 Richard Pipes zdiagnozował Rosję sprzed rewolucji jako kraj, gdzie dominowała wszechobecna nienawiść: „ideologiczna, etniczna i społeczna. Monarchiści gardzili liberałami i socjalistami. Radykałowie nienawidzili «burżuazji». Chłopi nie cierpieli tych, którzy wystąpili ze wspólnoty, by założyć prywatne gospodarstwo. Ukraińcy nienawidzili Żydów, muzułmanie Ormian, koczownicy kazachscy nienawidzili Rosjan [...].

Łotysze byli gotowi wyrżnąć niemieckich obszarników". Początek XX w. w Rosji był okresem ustawicznych aktów terroru, zamachów, niepokojów na wsi. Akty terroru nie spotkały się z potępieniem nawet ze strony wpływowych rosyjskich liberałów, którzy używali straszaka rewolucji jako formy nacisku na carat, w celu przymuszenia go do reformowania ustroju oraz obawiali się utraty wpływów na rzecz socjalistów. Dodatkowo przystąpienie Rosji do wojny uprawdopodobniło wybuch rewolucji. Do wojska powołano miliony osób, dla których zabijanie stało się chlebem powszednim. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska…*, s. 157, 173, 204, 205.

230 Wrzenie rewolucyjne w Rosji trwało z mniejszym lub większym natężeniem od 1905 r. Na przełomie 1916/1917 sytuacja ulegała przyspieszeniu. Niepowodzenia na froncie, faworyzowanie Rasputina przez carycę Aleksandrę, oskarżaną o zdradę na rzecz Niemiec, wyobcowanie Mikołaja II od elity rosyjskiej po śmierci Rasputina, przejście konserwatystów, monarchistów i nacjonalistów do obozu przeciwników cara w obrębie rosyjskiej Dumy, oraz pogarszająca się sytuacja aprowizacyjna, wskutek wojny i ostrej zimy 1916/1917, wszystko to doprowadziło do obalenia cara. Pod koniec lutego nastroje antyrządowe z Dumy przeniosły się na ulice, nasiliły się demonstracje i zamieszki, robotnicy zaczęli strajkować. Brak zdecydowanych środków represji zachęcał tłum do badziej agresywnego zachowania, gdy jednak wreszcie zdecydowano się siłą wymusić spokój w stolicy, garnizon żołnierzy piotrogrodzkich zbuntował się, nie chcąc strzelać do bezbronnych ludzi – zaczęła się rewolucja. Pod koniec lutego Duma powoła-

ła Tymczasowy Komitet, który został przekształcony w Rząd Tymczasowy; przymuszony car podpisał akt abdykacji. R. Pipes, *Rewolucja rosyjska…*, s. 286–333.

231 Ostatnim premierem rządu w Rosji carskiej był książę Nikołaj Golicyn, natomiast hr. Władimir Borisowicz Frederiks był ministrem dworu cesarskiego, adiutantem i powiernikiem Mikołaja II, w obecności którego car podpisał akt abdykacji.

232 Kiereńszczyzna – nazwa od nazwiska Aleksandra Kiereńskiego (1881–1970), rewolucyjnego socjalisty (esera). Potoczna nazwa okresu pomiędzy rewolucją lutową a przejęciem władzy przez bolszewików (rewolucja październikowa), dwuwładzy Rządu Tymczasowego i Rady Piotrogrodzkiej, która zatwierdzała lub zmieniała decyzje rządu. Członek Komitetu Wykonawczego Rady Piotrogrodzkiej i minister sprawiedliwości w Tymczasowym Rządzie Georgija Lwowa, po którego dymisji w lipcu 1917 r. Kiereński utworzył nowy gabinet. Zmuszony został do emigracji.

233 Partia powstała w 1906 r., w wyniku rozłamu w PPS zaboru rosyjskiego na PPS Lewicę i PPS Frakcję Rewolucyjną.

234 „Ofensywa Kiereńskiego" – próba ocalenia rządu przed zamachem bolszewików (tzw. rewolucja październikowa, faktycznie zamach stanu) – podjęta przez Kiereńskiego przy pomocy części wojsk Frontu Północnego, stacjonującego w Pskowie 1917 r.

235 Kadeci, czyli liberalna Partia Konstytucyjno-Demokratyczna, powstała podczas rewolucji 1905 r. Narodnaja Wola (Wola Ludu): utworzona jesienią 1879 r. tajna organizacja, której celem było obalenie reżimu carskie-

go za pomocą terroru. Pierwsza organizacja terrorystyczna w Rosji i na świecie. Socjalni Rewolucjoniści (eserzy) – radykalna partia socjalistyczna, wywodząca się z Narodnej Woli, założona w 1902 r., ze skłonnością do anarchizmu i syndykalizmu, popierająca i stosująca terror. Po rewolucji lutowej odgrywała ważną rolę na scenie politycznej (np. Kiereński). Po zamachu bolszewickim lewicowa część poparła Lenina, reszta poparła „białych". Zarówno kadeci, jak i eserzy byli zwalczani przez bolszewików, po wojnie domowej większość z nich udała się na emigrację.

236 Mienszewicy i bolszewicy – frakcje w rosyjskiej parti socjaldemokratycznej, powstałej w 1898 r., ale faktycznie dopiero na II Zjeździe w Brukseli i Londynie w 1905 r. (wtedy nastąpił też podział). W przeciwieństwie do eserów, którzy dzielili społeczeństwo na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, socjaldemokraci – zgodnie z poglądami Karola Marksa – definiowali społeczeństwo biorąc pod uwagę stosunek grup społecznych do środków produkcji. Przemysłowa klasa robotnicza była według nich jedyną siłą rewolucyjną, chłopów jako posiadających ziemię traktowali jak drobnomieszczan, a więc reakcjonistów; burżuazja miała być przejściowym sojusznikiem w obaleniu caratu. Odrzucali terror, gdyż odwracał uwagę od głównego zadania – organizowania robotników. Jeden z ideologów partii, W. Lenin, zrewidował swój pogląd na „rewolucyjność" klasy robotniczej i propagował idee rewolucji odgórnej oraz silnie scentralizowanej partii, złożonej z etatowych rewolucjonistów, odrzucając również koncepcję „demokracji wewnątrzpartyjnej". Na tle tych różnic na II Zjeździe,

gdy Lenin uzyskał chwilową większość, ogłosił swoją frakcję jako bolszewicką (ros. *Большинство* – bolszynstwo, większość), przeciwników (*меньшинство* – mieńszynstwo) jako mniejszość nazwano mieńszewikami. Lenin, odwołując się do ortodoksyjnych poglądów marksistowskich (nieuchronności rewolucji), zwalczał tzw. rewizjonistów, którzy wzywali do zrewidowania marksistowskiej teorii społecznej w związku ze współczesnymi wydarzeniami (np. zalegalizowanie partii socjalistycznej w Niemczech w 1890 r. i możliwości wprowadzenia socjalizmu w drodze demokratyczej, a nie rewolucyjnej).

237 Bolszewicy, którzy w październiku dokonali zamachu stanu, pozwolili na wybory do Zgromadzenia Narodowego (12 listopada 1917 r.). Zamachu stanu i obalenia Rządu Tymczasowego dokonali m.in. jako orędownicy i obrońcy tego przyszłego zgromadzenia, które miało ustanowić nowy ustrój w Rosji. W Zgromadzeniu większość mandatów zdobyli jednak eserzy. Bolszewicy, pod pretekstem zagrożenia kontrrewolucyjnego, rozpędzili Zgromadzenie Konstytucyjne w dniu inauguracji jego obrad 5 stycznia 1918 r. „Zagrożenie kontrrewolucyjne" jako słowo-klucz bywało odtąd często stosowane przez propagandę bolszewicką i wykorzystywane do eliminacji przeciwników.

238 Kazionnyj – z ros., nieużywany już w polszczyźnie przymiotnik, żartobliwie określający jakieś państwowe, rządowe lub skarbowe dobra.

239 *Powstań, Węgrze, Ojczyzna Cię woła* – pieśń rozbudzająca patriotyzm Węgrów podczas rewolucji 1848–1849, napisana przez przywódcę tzw. Młodych Węgrów (mło-

dej inteligencji węgierskiej), najsłynniejszego węgierskiego poetę romantycznego Sándora Petőfiego. L. Bazylow, *Historia powszechna…*, s. 419, 490.

240 Jednym z pierwszych dekretów bolszewików po zamachu stanu w październiku 1917 r. był dekret o ziemi, czyli konfiskata ziemi osób, które jej nie uprawiają. Dało to potężny impuls do powszechnej grabieży, przemocy i anarchii, równocześnie ułatwiając bolszewikom rozprawienie się z przeciwnikami. Na prowincji władzę zaczęły przejmować lokalne rady (ros. sowiety), państwo rosyjskie uległo rozkładowi, a Rosja wkroczyła w fazę wojny domowej.

241 Na początku 1918 r. zatopiono w Zatoce Noworosyjskiej niemal wszystkie jednostki floty czarnomorskiej, aby nie zostały zajęte przez Niemców.

242 Újarad (węg.), Aradul Nou (rum.). Obecnie południowa część miasta Arad we wschodniej Rumunii, na północ od Timișoary.

243 *Nagan* – belgijski rewolwer bębenkowy, siedmiostrzałowy, popularny w Rosji na początku XX w., gdzie był produkowany na licencji. Nazwa broni pochodzi od nazwiska jego konstruktora Belga Naganta.

244 Jeńcy czescy i słowaccy dążyli do Legionu Czechosłowackiego, tworzonego już od początu I wojny światowej w Rosji. Na mocy porozumienia bolszewików z Ententą w marcu 1918 r., mieli zostać ewakuowani z Rosji w celu dalszej walki z Niemcami. Podczas ewakuacji doszło do spięcia z nową władzą sowiecką i Korpus Czechosłowacki stał się stroną w wojnie domowej w Rosji. Czesi i Słowacy uwolnili od bolszewików wiele terenów, kontrolowali przez pewien czas strategiczną

Kolej Transsyberyjską i stali się realnym zagrożeniem dla nowej sowieckiej władzy.

245 Do pogromów Ormian w Turcji dochodziło już pod koniec XIX w., ale masakra nastąpiła podczas I wojny światowej. W XIX w. państwa europejskie często interweniowały na rzecz mniejszości chrześcijańskich w Turcji, dlatego chrześcijańscy Ormianie byli postrzegani przez Turcję jako zagrożenie. Władze tureckie popierały organizacje paramilitarnych konnych oddziałów kurdyjskich, mających pacyfikować tereny zamieszkane przez Ormian, oskarżanych o działalność terrorystyczną. Z Rosją, popierającą tureckich Ormian, Turcja starła się podczas I wojny światowej. Po rozpoczęcu wojny władze tureckie utworzyły oddziały z byłych kryminalistów do planowanego ludobójstwa, angażując w akcję Kurdów i samą armię. G. Kucharczyk, *Pierwszy holocaust XX wieku*, Warszawa 2004; Y. Ternon, *Ormianie. Historia zapomnianego ludobójstwa*, Kraków 2005.

246 Bursa, miasto w północno-zachodniej Turcji, położone jest około 100 km na południe od Stambułu (wówczas Konstantynopola) i 25 km od morza Marmara.

247 Gen. Anton Denikin (1878–1947), jeden z twórców Armii Ochotniczej białych, walczącej z bolszewikami, a od wiosny 1918 r. jej dowódca. Latem 1918 r. armia białych zaczęła energicznie działać na Kaukazie. Stawropol został zdobyty jesienią 1918 r. Tamańska Armia – nazwa nadana oddziałom bolszewickim, które w 1918 r. zostały odcięte na Półwyspie Tamańskim (na wschód od Krymu), w guberni kubańskiej. Więcej o wojnie domowej w Rosji, zob. E. Mawdsley, *Wojna domowa w Rosji 1917–1920*, Warszawa 2004.

248 W 1919 r. opuściła szkołę Wanda Młynarska, na jej miejsce przyszła bratanica kierowniczki Maria Tabaszewska, która po roku wyjechała z Pisarzowej. W roku szkolnym 1917/18 objęła posadę siostrzenica proboszcza Julia Wrębska, a w 1918/19 Maria Czeczótkówna. Kronika Szkoły..., s. 163.

249 W 1902 r. Józef Bek założył nieopodal swojego domu szkółkę drzew owocowych p.n. Powiatowy Zakład Sadowniczy „Słoneczna" w Limanowej. Na utrzymanie szkółki uzyskano dotacje z Wydziału Krajowego i Ministerstwa Rolnictwa. Zakupiono grunt, wybudowano dom dla zarządu i budynki gospodarcze. Kierownik szkółki zakładu zajmował równocześnie posadę powiatowego inspektora sadownictwa, który miał pomagać przy zakładaniu sadów w powiecie. Szkółkę zamknięto w 1917 r., m.in. powodem zamknięcia zakładu było to, że spełnił już swą rolę rozbudzenia umiejętności sadowniczych wśród miejscowej ludności. Akcja obsadzenia drzewkami dróg nie powiodła się, z powodu niszczenia tych „bezpańskich" drzewek „publicznych". Drogi obsadzano wówczas drzewami, aby wyznaczały drogę w ciemności i podczas zimy (zaspy śnieżne), a w lecie chroniły od upałów. Zob. J. Bek, *Działalność Rady Powiatowej w Limanowej na polu popierania sadownictwa w latach 1902–1917*, Warszawa 1925, ss. 48; S. Rękas, *Limanowszczyzna „Dobrze rządzony powiat". Opracowanie monograficzne powiatu limanowskiego*, Limanowa 2014, s. 33–34.

250 Autor wraca do szkoły w Pisarzowej w połowie roku szkolnego 1920/21, wtedy tymczasowym inspektorem szkolnym był Chrzanowski bądź Teofil Orszulski, obej-

mujący posadę inspektora od 1 lutego 1921 r. Kronika Szkoły..., s.164.

251 W latach dwudziestych był to Związek Nauczycielstwa Polskiego Szkół Powszechnych. ZNP powstał w 1930 r. B. Grześ, *Związek Nauczycielstwa....* W materiałach, które Górszczyk przesłał wraz z rękopisem do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu jest m.in. pismo Rady Szkolnej Powiatowej w Limanowej do autora z dn. 22 stycznia 1926 r., informujące o powołaniu go na reprezentanta nauczycieli do tej rady, zgodnie z zarządzeniem Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego. Po przeniesieniu w 1925 r. Franciszka Lubojemskiego do Krakowa, autor został przesesem Zarządu Oddziału Powiatowego ZNP w Limanowej, wcześniej po śmierci Michała Dobka był już prezesem Ogniska w Limanowej (od 1922 r.). W jego miejsce prezesem Ogniska został Franciszek Skoczeń. ZNO, Rękopis Antoniego Górszczyka. Wspomnienia z lat 1892–1939 oraz dołączone materiały, sygn. 15382/II, k. 227; S. Ceglarz, *Historia....*

252 Prawdopodobnie chodzi o Juliusza Marossanyi, starostę w latach 1926–1928; wcześniej był starostą w Nowym Sączu (w czasie I wojny), później w Tarnowie i Jaśle. Następnie został dyrektorem Uzdrowiska Stadnickich w Szczawnicy. Odszedł ze służby publicznej, gdyż nie dość gorliwie zwalczał ludowców.

253 Dr Stanisław Małeta, naczelnik Sądu Powiatowego (od 1928 r. Sąd Grodzki) w Limanowej. Objął funkcję prezesa sądu jeszcze za monarchii austriackiej w 1917 r., wcześniej był pracownikiem sądu w Czarnym Dunajcu, Mielcu, Jaśle i Tarnobrzegu, zmarł w 1938 r. Przewod-

niczący wielu lokalnych organizacji, m.in. Katolickiego Stowarzyszenia „Przyjaźń" w Limanowej, przewodniczący Komisji Rewizyjnej Powiatowego Związku Komunalnego w Limanowej. ANK, Urząd Wojewódzki Krakowski (1921–1939), sygn. 29/206/131, s. 871; Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), Związek Powiatów Rzeczypospolitej Polskiej w Warszawie, sygn. 2/63/229, s. 41; ANKNS, c.k. Sąd Obwodowy w Nowym Sączu, Akta osobowe Stanisława Małety, sygn. 31/60/104.

254 W 1912 r.Wydział Powiatowy w Limanowej, którym kierowali Zygmunt Mars i Jozef Bek, zakupił „resztówkę" ziemi dworskiej w Łososinie Górnej (18 morgów ziemi i kilka morgów lasu) i przeznaczyl ja na stworzenie Zakładu Wychowawczego dla synów włościańskich. W czasie I wojny był tam zakład dla sierot wojennych Komitetu Biskupiego Książęcego z Krakowa. Po wojnie i wejściu ustawy o ludowych szkołach rolniczych (Dz. U. 1920 r., nr 62, poz. 398), Tymczasowy Wydział Powiatowy przeznaczył majątek Łososina Górna na Powiatową Szkołę Górską. Po przebudowie i rozbudowie dworku, budynków gospodarskich, szkoła rozpoczęła działalność w 1928 r. p.n. Górska Szkoła Rolnicza Męska im. Marszałka Piłsudskiego w Łososinie Górnej. Celem szkoły było: „wyrobienie wzorowych rolników, dzielnych obywateli, którzyby w przyszłości pracowali pożytecznie na własnych gospodarstwach dla siebie i dla podniesienia wsi. Za najważniejsze zadanie stawia sobie szkoła uszlachetnianie charakteru uczniów i wszczepianie w nich podstawowych zasad obywatelskich oraz nauczanie na podstawie książki i praktyki, jak gospodarstwo górskie winno być urządzone i pro-

wadzone, aby dało największy dochód". Szkoła była instytucją najważniejszą w powiecie w podnoszeniu kultury rolniczej, najczęściej odwiedzana obok dworu Romera w Jodłowniku. Szkołę finansował Powiatowy Związek Komunalny. Gospodarstwo w Łososinie Górnej, należące do Wydziału Powiatowego, zostało od lipca 1923 r. zaliczone przez Małopolskie Towarzystwo Rolnicze w poczet „ferm" wzorcowych, dlatego władze powiatowe wybrały we wrześniu 1923 r. odpowiedniego dzierżawcę – inż. Jana Drożdża ze Słupi, absolwenta Akademii Rolniczej w Wiedniu. Ponowną uchwałę o budowie szkoły, o której wspomina Górszczyk, podjęto najprawdopodobniej po 1926 r. Kierownikem szkoły został J. Drożdż, który pracował w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym, a następnie został instruktorem rolnictwa i hodowli bydła w powiecie limanowskim. Był to w sumie wybór oczywisty, gdyż Drożdż od 1923 r. dzierżawił od Wydziału Powiatowego majątek w Łososinie Górnej. Pracując poszerzał swoją wiedzę rolniczą poprzez szkolenia w Czechach i Szwajcarii, gdzie zapoznał się m.in. ze specyfiką gospodarstw górskich. Górszczyk był przez pewien czas przewodniczącym Komisji Szkolnej Szkoły Górskiej. Szkoła była kolejnym etapem podniesienia gospodarczego rolnictwa w powiecie, parę lat później założono nieopodal w Koszarach żeńską szkołę rolniczą dla dziewcząt. Dopełnienie tych wysiłków stanowiło założenie przez sadowników z powiatu Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku, która stała się naturalnym odbiorcą owoców z powiatu. ANK, Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego, sygn 29/1342/84, s. 93–97; AAN,

Związek Powiatów Rzeczpospolitej Polskiej w Warszawie, sygn. 2/63/229, s. 240; *Limanowa. Dzieje miasta...*, s. 434, 530–534; ANKr., Tymczasowy Wydział Samorządowy (b. Wydział Krajowy), sygn. 29/205/4, 21; ZNO, Wspomnienia sadownika, sygn. 15382/II, k. 213–214, 218; S. Rękas, *Limanowszczyzna...*, s. 106–114.

255 Stanisław Ceglarz (1893–1974), nauczyciel, pedagog, społecznik, ukończył jak Górszczyk Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu, uczył w szkole w Laskowej, Dobrej, Mordarce i Limanowej. Od roku szkolnego 1925/26 kierownik Szkoły Męskiej, a następnie Koedukacyjnej Szkoły Powszechnej w Limanowej (od 1936 r.), nauczyciel szkoły zawodowej w Limanowej, członek PSL, SL, a następnie ZSL, członek Zarządu (skarbnik) Oddziału Powiatowego Związku Nauczycielstwa Polskiego. Po II wojnie światowej do 1949 r. przewodniczący ZNP, powiatowy inspektor szkolny w Limanowej oraz kierownik (od 1956 r.) i faktyczny twórca Pedagogicznej Biblioteki Powiatowej w Limanowej. Biogram w przechowywanej w Oddziale ZNP w Limanowej Księdze pamiątkowej.

256 Władysław Oleś, nauczyciel, społecznik, animator kultury i sportu. W okresie międzywojennym kierował limanowskim Towarzystwem Gimnastycznym „Sokół", nauczyciel, a następnie kierownik szkoły zawodowej w Limanowej (1925–1954), uczył również w Szkole Powszechnej w Limanowej. Po II wojnie członek Miejskiej Rady Narodowej w Limanowej i przez pewien czas kierownik Szkoły Powszechnej w Limanowej.

257 Rada Szkolna Miejscowa również odrzucała propozycje Górszczyka co do budowy szkoły, tłumacząc się in-

nymi wydatkami, np. naprawą dachu kościoła. Kronika Szkoły..., s. 165–166.

258 Maria Tabaszewska przeszła w stan spoczynku w czerwcu 1928 r. Obowiązki kierownika szkoły Rada Szkolna Powiatowa (RSP) powierzyła autorowi, który został mianowany kierownikiem szkoły z konkursu przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego w lutym 1929 r. Stara Rada Szkolna Miejscowa została przez RSP rozwiązana, z powodu niezgodności w rachunkach. Zaległą sumę była rada musiała oddać. Kronika Szkoły..,.s. 171–172, 174.

259 Tamże, s. 176. W 1929 r. połączono salę szkolną z mieszkaniem stróżki, i w ten sposób powiększono salę, ponadto Górszczyk wynajął 2 pokoje w swoim domu, z których utworzono jedną obszerną salę lekcyjną.

260 Majątek Brody w powiecie wadowickim został zakupiony przez związek nauczycieli w 1926 r. W latach 1929–1934 był to ośrodek szkoleniowy ZNP, gdzie organizowano kursy społeczno-rolnicze, kursy pracy kulturalno oświatowej i kursy kooperatyw szkolnych dla nauczycieli. Kursy organizowano przy finansowym wsparciu Ministerstwa Rolnictwa i Ministerstwa Oświaty. Kursy w Brodach wykształciły około 2 tys. nauczycieli wiejskich szkół powszechnych i dzięki nim nabywali umiejętności organizatorskie i przodownicze do pracy społeczno-oświatowej na wsi. E. Magiera, *Kursy nauczycielskie w Brodach (1929–1934)*, „Przegląd Historyczno-Oświatowy", 2015, nr 3–4, s. 113–124.

261 Jan Stanisław Bystroń (1892–1964), etnograf i socjolog. Profesor uniwersytetów w Poznaniu, Krakowie i Warszawie, członek polskich towarzystw i akademii

naukowych, m.in. PAU w Krakowie oraz PAN. W badaniach koncentrował się na kulturze polskiej, folklorze i twórczości ludowej. Na podstawie dzieł literatury staropolskiej przedstawił obyczaje staropolskie (*Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 1–2, 1933). Zajmował się koncepcjami socjologii polskiej do początków XX w. W czasie okupacji był więziony na Pawiaku, brał udział w tajnym nauczaniu. A. Kutrzeba-Pojnarowa, *Jan Stanisław Bystroń (1892–1964)*, [w:] *Historycy warszawscy ostatnich dwóch stuleci*, Warszawa 1986, s. 308–324.

262 Adam Zdzisław Heydel (1893–1941), profesor ekonomii politycznej na UJ, dyrektor utworzonego w 1934 r. Instytutu Ekonomicznego PAU w Krakowie. W listopadzie 1939 r. wywieziony przez Niemców wraz z innymi profesorami UJ do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, skąd powrócił w 1940 r. W 1941 r. ponownie aresztowany i wywieziony do Oświęcimia, gdzie został rozstrzelany. W. Krzyżanowski, *Heydel Adam Zdzisław*, [w:] PSB, t. 9, Wrocław 1992, s. 497–498.

263 Józef Karol Mateusz Mikułowski Pomorski (1868–1935), profesor chemii rolnej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (dalej: SGGW), Uniwersytetu i Politechniki Warszawskiej. Pod koniec XIX w. Dublanach zorganizował stację doświadczalną chemiczno-rolniczą, która z czasem stała się najlepszą tego rodzaju placówką w Polsce, profesor i dyrektor Akademii Rolniczej w tej miejscowości. Organizator i dyrektor Kursów Przemysłowo-Rolniczych przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie (od 1911 r.), a następnie Wyższej Szkoły Rolniczej w Warszawie (1916 r.), przekształconej

w 1918 r. w SGGW (pierwszy rektor tej szkoły). W rządzie Rady Regencyjnej minister rolnictwa. W okresie międzywojennym minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, konsultant oświaty rolniczej w Ministerstwie Rolnictwa, a przez pewnien czas naczelnik Wydziału Oświaty tego ministerstwa. A. Żabko-Potopowicz, *Mikułowski Pomorski Józef Karol Mateusz*, [w:] PSB, t. 21, Wrocław–Warszawa–Kraków 1976, s. 187–190.

264 Tadeusz Kupczyński (1885–1967), pedagog, historyk i archiwista, działacz niepodległościowy i legionista. Doktor historii, studiował historię na Wydziale Filozofii oraz na Wydziale Prawa. W latach 1927–1931 kurator Okręgu Szkolnego Krakowskiego (w latach 1937–1939 kurator okręgu lwowskiego). W czasie okupacji organizował centralnie tajne nauczanie, od 1942 r. przewodniczacy ZHP. Po wojnie od 1947 r. kustosz AP w Gdańsku (zajmował się rewindykacją archiwaliów gdańskich i elbląskich), od 1948 r.przewodniczący gdańskiego oddziału PTH. W 1950 r. został dyrektorem AP w Szczecinie.

265 Franciszek Dąbrowski, dyrektor Średniej Szkoły Spółdzielczej im. R. Mielczarskiego w Warszawie. W Brodach prowadził kursy kooperatyw szkolnych (kursy spółdzielcze) dla nauczycieli, przygotowane przez Sekcję Spółdzielczą Wydziału Społeczno-Oświatowego ZNP. E. Magiera, *Kursy nauczycielskie...*, s. 118–119.

266 Stanisław Rokita, profesor UJ, uczeń Józefa Piotra Brzezieńskiego, organizatora katedry Ogrodnictwa przy Studium Rolniczym UJ.

267 Jan Karol Sondel (1895–1975), ekonomista rolny, prawnik, profesor Wyższej Szkoły Rolniczej i Wyższej Szko-

ły Ekonomicznej we Wrocławiu. Należał do ruchu strzeleckiego, w 1914 r. w Pierwszej Kompanii Kadrowej, a poźniej w Brygadzie Legionów. Po wojnie instruktor kółek rolniczych Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego w powiatach bocheńskim i brzeskim, działacz bocheńskiego PSL. Od 1931 r. nauczyciel w Męskiej Szkole Ekonomiczno-Handlowej w Krakowie, a następnie utworzonym przy niej Instytucie Administracyjno-Gospodarczym, kształcącym urzędników; wykładał administrację rolną, politykę ekonomiczną i pracę społeczną. Zwolennik idei solidarystycznych, jako alternatywy socjalizmu i liberalizmu. Przed II wojną dyrektor szkoły rolniczej w Bojanowie pod Rawiczem, gdzie zaangażował się w działalność Polskiego Związku Zachodniego, organizując wśród starszych uczniów grupę śledzącą dywersję mniejszości niemieckiej. Podczas wojny poszukiwany przez gestapo, ukrywał się, włączając się w tajne nauczanie, w latach 1943–1945 nauczyciel szkoły rolniczej w Łososinie Górnej k. Limanowej. T. Nietupski, *Sondel Jan Karol*, [w:] PSB, t. 40, Warszawa–Kraków 2001, s. 478–480.

268 Józef Lorenz (1872–), pszczelarz, osiadły w 1899 r. w Lanckoronie, gdzie objął kierownictwo Szkoły Wydziałowej. Był współzałożycielem Towarzystwa Pszczelniczego w Krakowie (1916 r.) oraz redaktorem jego organu prasowego – czasopisma „Pszczelarz" (zaczęło się ukazywać od 1918 r). Na temat bartnictwa napisał kilka prac naukowych i podręczników. Organizował kursy pszczelarskie. Ponadto był dramatopisarzem i aktywistą w rozwoju Lanckorony, m.in. dzięki niemu doszło do [spopularyzowania] Lanckorony jako uzdrowiska.

269 Stanisław Janowski (błędnie: Jankowski), zamieszkały w Brodach inżynier i dyrektor kursów. Obok Kazimierza Maja stały prelegent kursów. K. Maj, *Kursy społeczno-rolnicze dla nauczycieli szkół powszechnych w Brodach*, „Polska Oświata Pozaszkolna", 1930, nr 6, s. 290.

270 Kazimierz Maj (1898–1972), nauczyciel, prezes ZNP, działacz ruchu ludowego, poseł do Sejmu PRL. Pracę nauczycielską rozpoczął na Lubelszczyźnie w 1917 r., gdzie włączył się w organizację Koła Młodzieży Wiejskiej, Stowarzyszenia Spożywców „Społem" itd. W latach 20. XX w. członek Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego Polskich Szkół Powszechnych. Z jego inicjatywy Związek zorganizował w 1929 r. w Brodach pięciomiesięczne kursy społeczno-rolnicze dla nauczycieli wiejskich, na których był wykładowcą kursów kulturalno-oświatowych. W czasie okupacji jeden z twórców Tajnej Organizacji Nauczycielskiej, po II wojnie w PSL, a następnie w ZSL i nadal przez pierwsze lata we władzach ZNP (przez kilka lat prezes). W latach 1957–1965 poseł z ramienia ZSL. J. Hulewicz, *Maj Kazimierz* [w:] PSB, t. 19, Wrocław–Warszawa–Kraków 1974, s. 152–155.

271 Pierwszy kurs odbył się w lutym 1930 r. (wcześniej w Pisarzowej odbywały się takie kursy, ale nie cieszyły się popularnością, ze względu na ich małą atrakcyjność). Kronika Szkoły..., s. 165–179.

272 Inżynier Andrzej Górz, nauczyciel w Górskiej Szkole Rolniczej w Łososinie Górnej, specjalista od hodowli owiec i bydła.

273 Józef Marek (1900–1958), inżynier, rolnik, działacz społeczny, instruktor sadownictwa w powiecie, nauczyciel

w Górskiej Szkole Rolniczej w Łososinie Górnej, zasłużony dla rozwoju sadownictwa. Legionista II Brygady Legionów. Jeden z twórców i pierwszy prezes Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku, której został prezesem – społecznik wielce zasłużony dla powiatu limanowskiego. W czasie okupacji pierwszy kierownik Delagatury Rządu (starosta) dla terenu limanowskiego, współpracował z ZWZ-AK, organizował dożywianie ludności za pośrednictwem komitetów opieki społecznej oraz zaopatrywał w żywność partyzantów. *Marek Józef*, [w:] PSB, t. 19, Wrocław–Warszawa–Kraków 1974, s. 623–625; J. Macko, *Góry zakwitną sadami*, Warszawa 1967.

274 Stanisław Odziomek (1894–1969), długoletni kierownik Szkoły Powszechnej w Łososinie Górnej od 1923 do 1969 r., legionista i działacz ZNP. Biogram w przechowywanej w ZNP w Limanowej Księdze pamiątkowej.

275 Władysław Chmura, kierownik Szkoły Powszechnej w Męcinie.

276 Nauczycielka M. Orlof ze Szkoły Powszechnej w Męcinie.

277 Nauczycielka M. Sopalanka ze Szkoły Powszechnej w Kaninie.

278 Dr Świba – weterynarz powiatowy.

279 Bronisława Szewczyk, inspektor oświaty pozaszkolnej.

280 Marta Safin, nauczycielka ze Szkoły Powszechnej w Pisarzowej.

281 M. Lis. Nazwiska i inicjały imion (również w przypisach powyżej) pozyskano ze zdjęcia grupowego członków kursu w kronice. Kronika Szkoły..., s. 166.

282 Koła Młodzieży Ludowej powstawały w powiecie limanowskim po I wojnie światowej z ramienia Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego, zakładane przez instruktorów rolnych i przy współdziałaniu miejscowych nauczycieli i rolników. Celem organizacji było kształcenie pod względem narodowym, społecznym, zawodowym, fizycznym i kulturalnym, jak również przysposobienie wojskowe itd., czyli organizowanie młodzieży do wspólnej zabawy i pracy. ANK, Kuratorium Okręgu..., s. 85–87.

283 W sprawozdaniu Szkoły Górskiej w Łososinie z lat 1932/33 zachowały się informacje o organizowanych w powiecie limanowskim kursach: „W listopadzie 1931 r. urządzono w szkole górskiej, staraniem Komisji Oświatowej pozaszkolnej Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych (p. Antoni Górszczyk), kurs społeczno-rolniczy dla nauczycieli szkół powszechnych (56 osób). W 1932 r. (45 osób) organizowane przez nauczycieli szkół powszechnych kursy świetlicowe (Pisarzowa, Młynne, Tymbark) przeobraziły się w stałe wieczorowe szkoły rolnicze". AAN, Związek Powiatów Rzeczypospolitej Polskiej w Warszawie, sygn. 2/63/229, s. 242–243.

284 „Gazeta Podhalańska" – gazeta regionalna, wydawany w Nowym Targu tygodnik poświęcony sprawom Podhala, Spisza i Orawy w latach 1913–1935.

285 „Głos Podhala" – czasopismo regionalne, ukazujące się w Nowym Sączu w latach 1929–1939. Gazeta związana z BBWR, popierająca rząd.

286 Być może chodzi o artykuł Władysława Grabskiego, *Ćwierć wieku temu*, „Samorząd", 1931, nr 52. W arty-

kule tym Grabski podał przykład dobrze prowadzonej gospodarki w powiecie limanowskim na początku XX w., gdy sekretarzem był Józef Bek. Grabski w pierwszej dekadzie dwudziestolecia międzywojennego był czynnym politykiem, dwukrotnie premierem i ministrem skarbu, autorem słynnej reformy walutowej. Po dymisji w 1925 r. wycofał się z polityki, poświęcając się pracy naukowej i publicystycznej (m.in. rektor SGGW).

287 W AN w Krakowie zachowała się umowa sprzedaży, zarówno w tzw. zbiorach dokumentów Sądowych Sądu Grodzkiego w Limanowej, jak również w aktach notarialnych. Grunt pod szkołę sprzedał Jan Górszczyk ze Skrzydlnej, po uregulowaniu sprawy pierwokupu ze Stanisławem Górszczykiem z Pisarzowej, gromadę Pisarzowa (Fundusz Szkolny) reprezentował sołtys Pisarzowej Franciszek Serafin. ANKNS, Sąd Grodzki w Limanowej, sygn. 31/583/206, l.hip. 1330/36, Akta notariusza Alfreda Josse, sygn. 31/426/9, nr rep. 580/36.

288 Pełna nazwa: Towarzystwo Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych. Powstałe w latach 30. XX w. stowarzyszenie wspierało budowę szkół. Przewodniczył mu Władysław Raczkiewicz, w tym czasie minister spraw wewnętrznych, a następnie wojewoda pomorski, poźniejszy Prezydent RP na emigracji.

289 Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem – blok polityczny utworzony przez zwolenników współpracy z rządem i Józefa Piłsudskiego przed wyborami do Sejmu w 1928 r. Miał za zadanie grupować ludzi z różnych środowisk wokół idei „sanacji", uzdrowienia stosunków panujących w polskim życiu publicznym. Dość często jednak był organizacją rozłamową wobec in-

nych partii i przyciągającą różnego rodzaju karierowiczów. Władze współuczestniczące w organizacji BBWR często dość obcesowymi naciskami starały się skaptować miejscowych znanych działaczy, ze skutkiem odwrotnym od zamierzonego. Dość krytycznie o BBWR w powiecie limanowskim pisze w swoich wspomnieniach działacz ludowy Walenty Gawron, negatywnie nastawiony do obozu sanacyjnego. W. Gawron, *Wspomnienia z limanowszczyzny*, Warszawa 1986, s. 189–195.

290 Powódź w 1934 r. była największą w okresie międzywojennym. Najintensywniejsze opady wystąpiły w dorzeczu Dunajca; doszło do wielu zniszczeń. Po powodzi przystąpiono do budowy zbiornika retencyjnego w Rożnowie (ukończony w 1941 r.).

291 PSL Piast powstało w grudniu 1913 r., na skutek rozłamu w galicyjskim PSL. Rozszerzyło działalność w całym kraju po 1918 r. W 1929 r. weszło w skład Centrolewu; część przywódców była sądzona w procesie brzeskim (1931–1933). W marcu 1931 r. weszło w skład Stronnictwa Ludowego, zwalczającego Sanację i Konstytucję 1935 r.

292 Zła sytuacja ekonomiczna powodowała coraz ostrzejsze wystąpienia Stronnictwa Ludowego przeciw władzy, odwoływanie się do emocji i chwytliwych haseł antysemickich, że „sanacja opiera się na Żydach". Doszło do znacznej polaryzacji społeczeństwa – na tych, co z rządem (urzędnicy, inteligencja, duchowni), i tych przeciw – chłopów z SL. W marcu 1931 r. z połączenia PSL Piast, PSL Wyzwolenie i Stronnictwa Chłopskiego powstała jedna partia: Stronnictwo Ludowe. Zjednoczenie było konieczne wobec szykan dotykających

działaczy chłopskich. W kwietniu 1933 r. w Kasinie Wielkiej nastąpiła próba uwolnienia kilku członków SL, aresztowanych w związku z poufnym zebraniem i zaatakowaniem funkcjonariusza policji; doprowadziła do użycia broni przez Policję Państwową i śmierci jednej osoby. Zajście to stało się przyczyną ogłoszenia hasła strajku chłopskiego w Małopolsce. Ponieważ sytuacja była napięta, władze od 1935 r. przygotowywały się do wprowadzenia stanu wyjątkowego (SW), obok zagrożenia „zewnętrzno-wojennego", przewidywanego również na wypadek zagrożenia „wewnętrzno-politycznego". (W korespondencji Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego do starosty powiatowego w Limanowej zachowały się wytyczne). W 1937 r. SL zaplanowało na sierpień generalny strajk chłopski. Na wiecach chłopskich wezwano do wstrzymania się od sprzedaży płodów rolnych i zakupu towarów przemysłowych. 23 sierpnia 1937 r. doszło do licznych utarczek z policją na terenie województwa krakowskiego. Najtragiczniejsze wydarzenia miały miejsce w powiecie limanowskim w Kasince Małej. Chłopi z tej wsi zawrócili wóz z piekarni Jana Krupińskiego z Mszany Dolnej. Niedługo potem przybył do wsi oddział pacyfikacyjny policji stacjonującej w Rabce, zrobiło się zbiegowisko. Policjanci byli nerwowi, przecież już kilka dni trwało pogotowie. Sytuacja wymknęła się spod kontroli, policja otworzyła ogień do ludzi. Na miejscu zginęło 4 chłopów, m.in. miejscowy szef SL, 5 ciężej rannych zmarło później. Pomiędzy władzą a chłopami wyrosła bariera nienawiści. Zajścia w Kasince były bezpośrednią przyczyną odwołania staro-

sty limanowskiego Ludwika Malkowskiego. S. Rękas, *Limanowszczyzna…*, s. 147.

293 Chodzi zapewne o Związek Powiatów Rzeczypospolitej Polskiej, do którego autor był jednym z delegatów z województwa małopolskiego.

294 Kryzys lat trzydziestych dał się we znaki w powiecie. Rafineria, istniejąca od 1907 r. w Limanowej-Sowlinach, została zlikwidowana w latach 1934–1936, z powodu rosnących kosztów modernizacyjnych i silniejszej konkurencji. Likwidacja ta, z powodu znaczenia rafinerii dla miasta, obniżyła też poziom życia kulturalno-oświatowego w Limanowej, gdyż w rafinerii działało kino, odbywały się koncerty, funkcjonowała orkiestra. *Limanowa. Dzieje miasta…*, s. 476–480; S. Rękas, *Limanowszczyzna…*, s. 96–100.

295 Serowarnia została zbudowana i uruchomiona w latach 1934–1936 przy Szkole Górskiej w Łososinie Górnej, w 1936 r. zdecydowano o oddaniu majątku serowarni powstającej Spółdzielni Serowarsko-Mleczarskiej. Zob. sprawozdanie inspektora Urzędu Wojewódzkiego i Sekretarza Powiatowego z gospodarki szkoły górskiej w Łososinie Górnej z 1938 r. ANK, Urząd Wojewódzki Krakowski, sygn. 29/206/184, s. 2783–2799.

296 Tuż przed wybuchem II wojny światowej udało się zorganizować w Koszarach, obok Łososiny Górnej, żeńską szkołę rolniczą o kierunku gospodarczo-letniskowym. Szkoła nosiła nazwę Podhalańskiej Szkoły Przysposobienia Gospodyń Wiejskich. S. Rękas, *Limanowszczyzna…*, s. 111.

297 Paweł Musioł (1904–1943), publicysta i krytyk literacki związany ze Śląskiem; zwolennik radykalnego prawi-

cowego środowiska, mianowany komisarycznym kuratorem ZNP, co było bezpośrednią przyczyną strajku nauczycieli.

298 Stanisław Nowak był prezesem Związku od czasów galicyjskich do 1905 r. (wtedy powstały związek nosił nazwę Krajowego Związku Nauczycielstwa Ludowego), był również prezesem ogólnopolskiego związku po odzyskaniu niepodległości, aż do 1936 r. *Szkice z dziejów Związku Nauczycielstwa Polskiego*, Warszawa 1939.

299 Jan Kolanko (1886–1968), zasłużony nauczyciel, działacz ruchu ludowego. Był w latach 1936–1937 prezesem ZNP; został usunięty z tego stanowiska przez władze, był uczestnikiem strajku nauczycielskiego w 1937 r. J. Maciszewski, *Seweryn Władysław Maciszewski: Kartka z dziejów kryzysu w ZNP (1937–1938)*, [w:] *Rozprawy z dziejów oświaty*, t. 41, 2002, s. 244.

300 Tamże, s. 245. Zygmunt Nowicki (1881–1944), działacz ruchu ludowego, 1938–1939 prezes ZNP, podczas okupacji w kierownictwie Tajnej Organizacji Nauczania.

301 Jan Kalisz (1904–1966), nauczyciel matematyki, fizyki i chemii w szkole powszechnej i zawodowej w Limanowej, założyciel Chóru Męskiego przy kościele Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Opiekun młodzieży w organizacji „Strzelec".

302 „Ilustrowany Kurier Codzienny" (IKC) w latach 30. XX w., w związku z poglądami jego właściela Mariana Dąbrowskiego, posła BBWR, zbliżony był w swojej „linii politycznej" z obozem rządowym.

303 Ludwik Robel, redaktor działu politycznego IKC, w czasie II wojny światowej redaktor ukazującego się w Szkocji „Dziennika Żołnierza".

304 „Mały Dziennik" – katolickie prawicowe pismo o zabarwieniu antysemickim, ukazujące się od 1935 r.

305 Związek Nauczycielstwa Polskiego powstał w 1930 r., wskutek połączenia Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych i Związku Zawodowego Nauczycieli Polskich Szkół Średnich. W 1937 r. władze państwowe zawiesiły w czynnościach Zarząd Główny związku. Powołano komisarycznego kuratora Pawła Musioła. Pracownicy ogłosili wskutek tego strajk okupacyjny, co zmusiło rząd do ustępstw, przede wszystkim zamianowano nowego komisarycznego kuratora Seweryna Władysława Maciszewskiego z MWRiOP. Nowy kurator doprowadził do porozumienia z zawieszonym Zarządem Głównym ZNP, zwołał zjazd ZNP i przekazał władzę nowo wybranemu przedstawicielstwu ZNP. Kurator Maciszewski pozostawił wspomnienia z tego okresu.

306 Miesięcznik „Wiedza i Życie" – jeden z najstarszych miesięczników popularnonaukowych, ukazujący się od 1926 r.

307 „Młoda Polska" – pismo poświęcone sprawom kulturalno-oświatowym. Organ Małopolskiego Związku Młodych przy Małopolskim Towarzystwie Rolniczym.

308 „Legion. Czasopismo Związku Legionistów Polskich w Krakowie" – miesięcznik.

309 „Żołnierz Legionów i POW" – kwartalnik wydawany w latach 1937–1939 przez Komendę Naczelną Związku Legionistów i Zarząd Główny Związku Peowiaków.

310 „Wieś" – miesięcznik poświęcony zagadnieniom myśli i kultury ludowej, wydawany przez Prezydium Małopolskiego Związku Młodzieży Ludowej.

311 „Zagon" – organ Zrzeszenia Inteligencji Ludowej i Przyjaciół Wsi.

312 Opera Ryszarda Wagnera z 1845 r., pełny tytuł: *Tannhäuser i wartburski turniej śpiewaczy – Tannhäuser und der Sängerkrieg auf Wartburg*. Opera oparta na średniowiecznej legendzie, opowiada historię rycerza, śpiewaka i zarazem poety Tannhäusera.

313 Pierwszą organizacją zrzeszającą samorządy szczebla powiatowego był powołany w 1919 r. Związek Sejmików Powiatowych. Wobec niezatwierdzenia jego statutu (resort spraw wewnętrznych obawiał się działalności organizacji centralizującej samorząd terytorialny), został w 1921 r. przekształcony w Zrzeszenie Spółdzielcze Gospodarczo-Inwestycyjne Samorządów Powiatowych (zajmowało się zaopatrzeniem towarowym jednostek samorządowych). W 1923 r., na zjeździe przedstawicieli samorządu powiatowego, powołano do życia stałe Biuro, Prezydium i Radę Zjazdów jako organy koordynujące współpracę samorządowców na polu organizacyjnym, prawnym, gospodarczym, kulturalnym. Podczas posiedzenia Rady Zjazdów 21 czerwca 1930 r. uchwalony został statut i nowa nazwa organizacji – Związek Powiatów Rzeczypospolitej Polskiej. W każdym województwie odbywały się corocznie zjazdy wojewódzkie związku, który rozpowszechniał wiedzę o samorządzie, dokształcaniu pracowników oraz udzielaniu pomocy prawnej i organizacyjnej. Pierwszym prezesem Związku został związany z Limanowszczyzną Józef Bek.

314 Wincenty Hyla (1894–1975), poseł 3 kadencji Sejmu w latach 1928–1938. Członek Związku Strzeleckiego, legionista, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Ani-

mator wielu przedsięwzięć w powiecie wadowickim oraz członek regionalnych organizacji, był m.in. członkiem zarządu Krakowskiej Izby Rolniczej, Zarządu Okręgowego Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego, wiceprezesem Okręgowego Towarzystwa Rolniczego w Wadowicach. Należał do PSL Piast, a następnie do BBWR i OZN. Członek Rady Powiatowej w Wadowicach i Wydziału Wojewódzkiego. Pod koniec lat 30. pracował w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych. Biblioteka sejmowa, parlamentarzyści RP: https://bs.sejm.gov.pl.

315 Gen. Lucjan Żeligowski (1865–1947), po przejściu na emeryturę w 1927 r. zajął się polityką i działalnością społeczną. W latach 1934–1939 był posłem na Sejm. W czasie I wojny walczył po stronie rosyjskiej w polskiej Brygadzie Strzelców. Dzięki jego akcji w 1920 r. (tzw. Bunt Żeligowskiego) Wilno i Litwa Środkowa zostały przyłączone do Polski.

316 Prawdopodobnie chodzi o księcia Janusza Franciszka Radziwiłła (1880–1967), polskiego polityka konserwatywnego, w latach 1928–1935 posła na Sejm, a następnie w latach 1935–1938 senatora. Pracował w komisjach sejmowych, walczył o poprawę stosunków państwo – kościół, krytykował degenerację życia politycznego, w tym m.in. proces brzeski i obóz w Berezie Kartuskiej.

317 Janina Prystorowa (1881–1975), działaczka społeczna i polityk. Brała udział w słynnej akcji Organizacji Bojowej PPS, dowodzonej przez Józefa Piłsudskiego – napadzie na pociąg pod Bezdanami w 1908 r. W latach 1935–1938 posłanka na Sejm z okręgu wileńskiego. Zasłynęła zgłoszeniem projektu ustawy zakazującej ry-

tualnego żydowskiego uboju bydła, uzasadniając to względami humanitarnymi. Żona Aleksandra Prystora, również z korzeniami w OB PPS, polityka II RP, bliskiego współpracownika Piłsudskiego, premiera w latach 1931–1933.

318 „Ceterum censeo Carthaginem delendam esse" (łac.) „A poza tym sądzę, że Kartaginę należy zniszczyć" – łacińskie wezwanie w republice rzymskiej z ostatnich lat wojen punickich. W tym znaczeniu chodzi zapewne o uporczywe dążenie do celu.

319 Maurycy Jaroszyński (1890–1974), prawnik, specjalista w zakresie prawa administracyjnego. W latach 20. starosta powiatu mławskiego. W latach 30. kierował Katedrą Prawa Administracyjnego w Wolnej Wszechnicy Polskiej oraz w Szkole Głównej Handlowej, przed wybuchem II wojny prezes Państwowego Banku Rolnego. W czasie wojny wykładał prawo na Uniwersytecie Polskim w Oxfordzie, po wojnie szef katedry Prawa Administracyjnego na UW, członek PAN.

320 Jan Siwiec (1891–1961), działacz rolniczy i samorządowy, polityk, poseł na Sejm w latach 1928–1930. Wiceprezes Warszawskiej Izby Rolniczej, od 1936 r. wiceprezes Związku Powiatów RP, w 1938 r. p.o. prezesa, a od 1939 r. prezes Związku.

321 Jerzy Smoleński (1881–1940), geolog, geograf fizyczny, hydrograf, oceanograf, demograf, klimatolog i antropogeograf. Uważany za czołowego geomorfologa swoich czasów, prekursora badań w zakresie geografii politycznej. Od 1921 r. profesor UJ, szef Katedry Geografii Fizycznej oraz dyrektor Instytutu Geograficznego UJ. Członek wielu krajowych i międzynarodowych organi-

zacji, m.in. wiceprzewodniczący Związku Ziem Górskich. Przewodniczący (od 1937 r.) wspomnianej przez Górszczyka Komisji Regionalnego Planu Zabudowy Okręgu Krakowskiego.

322 DOK – Dowództwo Okręgu Korpusu nr V w Krakowie – terytorialny organ administracji wojskowej w okresie międzywojennym w Polsce (1921–1939).

323 Zapewne chodzi o starostę Ludwika Malkowskiego, który był starostą limanowskim w latach 1932–1937; zasłużony w działaniu na rzecz rozwoju gospodarczego powiatu.

324 Chodzi o zjazd uczestników kursu Pierwszej Oficerskiej Szkoły Strzeleckiej w Stróży k. Dobrej, latem 1913 r. W 1933 r. została na szkole w Stróży uroczyście odsłonięta tablica w rocznicę 20-lecia Szkoły Strzeleckiej. Podczas uroczystości było wielu dygnitarzy, w tym wielu wojskowych, będących wówczas elitą polskiej armii.

325 Założenie w Pisarzowej kościoła narodowego, czyli Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego, związane jest zapewne z liczną emigracją mieszkańców tej wsi do USA, gdzie ten kościół powstał na przełomie XIX i XX w. Związane to było z konfliktem polskich emigrantów z hierarchią duchowną katolicką innej narodowości (Niemcy, Irlandczycy), nierozumiejącej polskiej obyczajowości. Kościół wszedł do unii kościołów starokatolickich, niezgadzających się z linią kościoła katolickiego określoną na I Soborze Watykańskim (1870 r.). W okresie międzywojennym PNKK zakładał parafie też w Polsce (około 60), m.in. w Pisarzowej. W latach 1850–1892 gmina toczyła procesy z pro-

boszczem. W 1865 r. jeden z księży zmarł w więzieniu, gdzie przebywał pod zarzutem zamordowania gospodyni. E. Elerowski, *Zarys historii Kościoła Narodowego Polskokatolickiego*, Warszawa–Cranton–Kraków 1977; A. Górszczyk, *Pisarzowa w latach 1870–1880*, „Gazeta Podhalańska", 1932, nr 12, s. 3.

326 Chodzi o ks. dziekana Kazimierza Łazarskiego z Limanowej (1858–1944), proboszcza parafii limanowskiej od 1890 r. do 1944 r. Zbudował i wyposażył wspaniały kościół w Limanowej, otrzymał wiele funkcji i wyróżnień (delegat biskupi do Rady Szkolnej, dziekan limanowski, odznaczony Krzyżem Odrodzenia Polski przez prezydenta Ignacego Mościckiego). Angażował się w sprawy społeczne powiatu, piastował wiele funkcji, równoczesnie aktywnie działał poprzez udział w życiu politycznym oraz konserwatywną Akcję Katolicką, którą założył w dekanacie w 1934 r. Ks. B. Kumor, *Parafia i życie religijne*, [w]: *Limanowa. Dzieje miasta...*, s. 421–422, 503–512.

327 Władysław Orkan [Smreczyński], poeta, pisarz, publicysta, właśc. Franciszek Ksawery Szmaciarz (1875–1930), pochodzący z Poręby Wielkiej k. Mszany Dolnej, piewca rodzinnych Gorców, założyciel i pierwszy prezes Związku Podhalan.

328 Prof. Franciszek Bujak (1875–1953), pochodził z zamożnej rodziny chłopskiej spod Brzeska, historyk dziejów gospodarczych i społecznych, profesor UJ, Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie oraz UW, członek PAU i PAN, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego i Towarzystwa Naukowego we Lwowie, minister rolnictwa i reformy rolnej w gabinecie Wincentego Witosa.

Dwa z jego opracowań dotyczą powiatu limanowskiego: *Limanowa, miasteczko powiatowe w zachodniej Galicji. Stan społeczny i gospodarczy*, Kraków 1902; *Żmiąca, wieś powiatu limanowskiego. Stosunki gospodarczo-społeczne*, Kraków 1903.

329 Komunalna Kasa Oszczędności (KKO) powiatu limanowskiego była specyficzną instytucją kredytowo-oszczędnościową. W przeciwieństwie do innych spółdzielni oszczędnościowo-kredytowych (o charakterze prywatno-prawnym) była organizacją o charakterze publiczno-prawnym, gdzie organ założycielski (Powiatowy Związek Samorządowy, czyli Rada Powiatowa i Wydział Powiatowy ze starostą na czele) ponosił odpowiedzialność jako poręczyciel za zobowiązania kasy. KKO powstała w 1919 r. jako samodzielna jednostka. Wcześniej był w Limanowej oddział bocheńskiej kasy. Przewodniczącym Rady Kasy był starosta powiatu limanowskiego, a pośród członków Rady Kasy byli przedstawiciele z całego powiatu. Połowa członków Rady Kasy była złożona z przedstawicieli Rady Powiatowej w Limanowej, resztę stanowiły osoby spoza Rady Powiatu. Dyrekcja kasy była ciałem kolegialnym, składającym się z 4 członków (dyrektor zarządzający, zastępca i dwaj członkowie). W skład dyrekcji wchodzili w różnym okresie m.in.: Tomasz Bieda – burmistrz Limanowej, Antoni Górszczyk – członek Wydziału Powiatowego, Julian Stasiniewicz – dyrektor zarządzający w kasie, Leopold Winter – kierownik sekretariatu sądu grodzkiego, Marian Wysocki – likwidator kasy, czy też Edward Harlender. W komisji rewizyjnej byli m.in. agronom powiatowy inż. Władysław Lippo-

man, proboszcz z Niedźwiedzia ks. Franciszek Baradziej, inż. Aleksander Głazek – zarządca lasów w Kamienicy. Zgodnie ze statutem z 1934 r.: „zadaniem kasy było rozwijanie w najszerszych warstwach ludności zmysłu oszczędnościowego, ułatwianie gromadzenia oszczędności, gospodarowanie nimi w sposób zabezpieczający całkowicie bezpieczeństwo złożonego kapitału i słuszne odsetki oraz popieranie produkcji przez udzielanie kredytu najszerszym warstwom społecznym". Do zadań kasy należało m.in. przyjmowanie wkładów oszczędnościowych, lokat, otwieranie i prowadzenie rachunków bieżących, udzielanie pożyczek (pod zastaw, hipotekę, wekslowych), kupno, sprzedaż i obrót papierami wartościowymi. Kasa udzielała kredytów na inwestycje rolnicze, w tym na propagowane przez władze powiatowe sadownictwo; współpracowała w tym zakresie z lokalnymi kasami Stefczyka, kółkami rolniczymi, spółdzielniami mleczarskimi, Spółdzielnią Rolniczo-Handlową „Kosa" w Limanowej oraz Okręgowym Towarzystwem Rolniczym. Odbiorcami i udziałowcami kasy byli przeważnie rolnicy powiatu, dlatego ich kłopoty ze spłatą kredytów podczas kryzysu przełożyły się na fatalną kondycję finansową kasy w latach 30. XX w., która dopiero przed II wojną uległa stabilizacji. Sytuację przez dłuższy czas pogarszał fakt, że w kasie łatwo udzielano kredytów nie badając zdolności kredytowej oraz źle prowadzono księgowość oraz ulegano naciskom dłużników przynoszących niewielkie kwoty na prolongowanie zadłużenia. Nieumiejętności prawidłowego księgowania i złe zarządzanie finansami kasy były powodem wysłania do kasy ko-

misarza rządowego Karola Battagli w 1931 r. W latach 1936 i 1937 r. kasa musiała jeszcze zapłacić koszty sądowe i sporne kwoty byłemu dyrektorowi Edwardowi Harlenderowi. Niesprawność w działalności kasy na przełomie lat 20. i 30. XX w. doprowadziła do tego, że Wydział Powiatowy, dla którego Kasa miała być naturalną instytucją finansową do rozprowadzania kredytów na podźwignięcie gospodarki rolnej w powiecie, rozprowadzał kredyty za pośrednictwem Towarzystwa Zaliczkowego. Uzdrowienie kasy nastąpiło przed wojną, kosztem niemal zupełnego zaprzestania udzielania pożyczek rolnikom oraz licytacji kilku gospodarstw zadłużonych. W Oddziale Archiwum w Nowym Sączu zachowały się akta kasy, nr zespołu 31/151.

330 Typ okularów, inaczej binokle (z niem. *Zwicker*), trzymające się na nosie dzięki specjalnej sprężynce łączącej oba szkła. Z niezbędnym sznureczkiem, sięgającym do paska lub kieszonki kamizelki, modne w okresie secesji. W XIX w. zwane z francuskiego *pince-nez* (szczypiące nos), ze względu na odpowiednio skonstruowany uchwyt nosa.

331 Sprawa edukacji syna leżała autorowi na sercu. W Wojskowym Biurze Historycznym zachowała się teczka A. Górszczyka, któremu przyznano Order Klasy V. W teczce tej m.in. jest podanie Górszczyka do Kapituły Orderu z września 1938 r., o podjęcie interwencji w sprawie przyjęcia syna Bolesława do Liceum w Nowym Sączu bądź w Krakowie, gdyż z powodu braku miejsc nie był przyjęty, pomimo zdania egzaminów. WBH, Kolekcja Orderu Wojennego Virtuti Militari, sygn. I.482.66.5777 Antoni Górszczyk.

332 Po śmierci Józefa Piłsudskiego w 1935 r. obóz rządowy przeżywał kryzys i rozłamy. Premier Walery Sławek, podając się do dymisji, rozwiązał również BBWR. W celu scalenia środowiska sanacyjnego, wyeksponowania roli wojskowych i utworzenia nowego oparcia, gen. Edward Rydz-Śmigły zlecił utworzenie Obozu Zjednoczenia Narodowego, który zaczął przejawiać tendencje antysemickie. Utworzenie OZN nastąpiło w 1937 r., przed przedterminowymi wyborami do Sejmu V kadencji. Prezydent Ignacy Mościcki dekretem rozwiązał Sejm we wrześniu 1938 r. Zebranie organizacyjne OZN w Limanowej odbyło się z początkiem października 1938 r., w sali Wydziału Powiatowego. Wzięło w nim udział około 30 delegatów z całego powiatu. Do Zarządu Obwodu OZN w Limanowej weszli rolnik Piotr Potaczek z Podobina i wójt Niedźwiedzia jako przewodniczący, Tadeusz Ryznar – asesor notarialny jako I wiceprzewodniczący (o nim prawdopodobnie wspomina Górszczyk jako o „akademiku" i prawniku), Andrzej Pachołek – rolnik i II wiceprzewodniczący, Władysław Wróbel – sekretarz. Ponadto do Zarządu weszli: Tomasz Bieda – burmistrz Limanowej, Julian Stasiniewicz – dyrektor Komunalnej Kasy Oszczędnościowej powiatu limanowskiego, ks. dziekan Kazimierz Łazarski – proboszcz limanowski (z pewnością to nie o nim pisał Górszczyk jako o „wikarym", wcześniej bardzo pochlebnie pisał o księdzu dziekanie), Władysław Oleś i Jan Kalisz – nauczyciele. „Głos Podhala", 1938, nr 41 s. 8–9.

333 Część pamiętnika dotyczy okresu międzywojennego, autor pisał go podczas okupacji albo już po wojnie.

Niechęć do prawników mogła wynikać z wojennych doświadczeń – nazista generalny gubernator Hans Frank był doktorem prawa.

334 W myśl ordynacji wyborczej z 8 lipca 1935 r., listy kandydatów do Sejmu ustalało tzw. Zgromadzenie Okręgowe, w którym brali udział przedstawiciele uprawnionych samorządów i organizacji oraz delegaci zgłoszeni przez co najmniej 500 wyborców. Górszczyk był zapewne delegatem z ramienia Rady Powiatowej, ale np. znany na Limanowszczyźnie inż. Marek był jednym z 6 delegatów, którego zgłosiło 500 wyborców. W sumie z powiatu limanowskiego zgłoszono 37 delegatów. Powiat limanowski należał do bocheńskiego okręgu wyborczego nr 83, wspólnego również dla powiatu bocheńskiego i brzeskiego. Z okręgu 83 kandydowali: ksiądz kanonik Tomasz Sandecki – proboszcz z Chełma k. Bochni (OZN), członek bocheńskich władz powiatowych i wielu innych miejscowych organizacji; Piotr Potaczek – prezes limanowskiego OZN; Stanisław Skarżyński – właściciel majątku w Piaskach Drużków koło Czchowa w powiecie brzeskim (OZN) i Antoni Górszczyk jako bezpartyjny. Dz. U., 1935, nr 47, poz. 319; „Głos Podhala", 1938, nr 41, s. 1, 8; „Przekrój", 1939, nr 1 (5), s. 91.

335 Wybory odbyły się 6 listopada 1938 r. Głosować można było na dwóch kandydatów. Według oficjalnych danych, najwięcej głosów w okręgu 83 zdobył ks. Tomasz Sandecki (28 507), drugi był limanowski przewodniczący OZN Piotr Potaczek (25 521), Antoni Górszczyk zdobył faktycznie 15 697, najmniej zdobył czwarty kandydat, chociaż w ostatnim momencie zapisał się do

OZN – Stanisław Skarżyński (14 619). Autor pamiętnika w powiecie limanowskim dostał najwięcej głosów w komisjach wyborczych: w mieście Limanowa (786), w Jodłowniku (720), Szczyrzycu (678), Nowym Rybiu (634), Słopnicach Szlacheckich i Królewskich (616 i 517), Tymbarku (547), Kaninie – do której komisji przynależała m.in. Siekierczyna (535), Jasnej Podtopieniu (451), i w rodzinnej Pisarzowej (428). Najmniej głosów otrzymał w Lubomierzu (2). Uprawnionych w całym okręgu do głosowania było 130 204 osób, głosowało jedynie nieco ponad 50 tys. W województwie krakowskim była najniższa frekwencja wyborcza w kraju (47%), ten wynik zaniżała bardzo niska frekwencja w okręgu 83, bo 38%, gdzie oddano jedynie 32% głosów ważnych. ANK, Urząd Wojewódzki Krakowski, sygn. 29/206/80, s. 1677–1679; „Przekrój", 1939, nr 1 (5), s. 91.

336 Jan Woźnicki (1881–1945), nauczyciel, polityk we władzach PSL Wyzwolenie, a potem SL, poseł i senator, wicemarszałek Sejmu i Senatu. Jeden z założycieli i członek honorowy ZNP, był z pewnością dla Górszczyka autorytetem. Jako przedstawiciel lewicy w Sejmie był z pewnością obiektem krytycznych uwag, w tym wywiadów udzielanych przez Józefa Piłsudskiego – szefa rządu (po raz drugi premier w 1930 r.).

337 Ostatnim starostą limanowskim był dr Stanisław Nowak, nastał w drugiej połowie 1937 r. Wcześniej był starostą w Zbarażu. Pochodził z Tarnopola, z wykształcenia był prawnikiem. Stopień doktora praw uzyskał na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie też wcześniej studiował. Bezpośrednio po studiach zaczął pracować w administracji. W 1930 r. został no-

minowany starostą w Skałacie, a po przeniesieniu do Tarnopola w lipcu 1934 r. mianowany wicestarostą Starostwa Powiatowego. Za pomoc udzieloną powodzianom otrzymał wyróżnienie Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Ofiarom Powodzi. S. Nowak dostał wiele nagród i wyróżnień za pracę społeczną, m.in. w 1936 r. otrzymał od premiera Srebrny Krzyż Zasługi. W lutym 1937 r. został przeniesiony na stanowisko starosty powiatowego w Zbarażu. Krwawe wydarzenia na terenie powiatu limanowskiego spowodowały odwołanie starosty Malkowskiego, którego miejsce w listopadzie 1937 r. zajął właśnie Nowak. Zdolny, energiczny i konsekwentny starosta Nowak, mianowany dla uporządkowania spraw w powiecie limanowskim, po krwawych wydarzeniach w Kasince Małej w 1937 r. nie był przez niektórych darzony sympatią (poprzedni starosta był lubiany). W maju 1938 r. wojewoda krakowski Józef Tymiński nadał mu „Medal za długoletnią służbę" w administracji państwowej. Za pomoc Limanowskiemu Związkowi Rezerwistów (dar 7 aparatów radiowych) otrzymał podziękowanie z Zarządu Okręgu tego związku w Krakowie. W przededniu wybuchu II wojny dr S. Nowak został ewakuowany wraz z rodziną i innymi urzędnikami państwowymi do Lwowa, a następnie Tarnopola. Po wkroczeniu sowietów 19 września aresztowało go NKWD. Po dwóch miesiącach wywieziono go w głąb Rosji wraz z innymi Polakami. Najpierw przebywał w obozie w Kozielsku, skąd wiosną 1940 r. przewieziono go do Katynia, gdzie został zamordowany. Nowak, por. rezerwy, został po wojnie odznaczony pośmiertnie przez MSW emigracyjnego

rządu w Londynie Krzyżem Kampanii Wrześniowej „KATYŃ". MSW komunistycznej Polski odmówiło wypłacenia wdowie pomocy finansowej, gdyż nie zostało wydane orzeczenie sądu uznającego go za zmarłego. J. Jaworz-Dutka, *Poświęcili życie Bogu i Ojczyźnie: dr Stanisław Nowak – ostatni starosta w Limanowej, ofiara Katynia*, „Gazeta Limanowska", 1997, nr 4–5, s. 22; S. Rękas, *Limanowszczyzna...*, 90–91.

338 Starostowie, o których wspomina A. Górszczyk (po 1925 r.), to wymieniony już wcześniej w jego pamiętniku Juliusz Marossanyi, starosta limanowski w latach 1926–1928, z Limanowej przesunięty do Tarnowa; dr Roman Müller, starosta w latach 1928–1931, odszedł na stanowisko starosty do Wadowic. Franciszek Buliński był krótko starostą (1931–1932), ale został pozytywnie zapamiętany. Dłużej starostą był Ludwik Malkowski: od 1932 do 1937. S. Rękas, *Limanowszczyzna....*, 85–91.

339 Właściwie powiedzenie to powinno brzmieć: „Der größte Lump im ganzen Land, das ist und bleibt der Denunziant". Największym łotrem w całym kraju jest i pozostanie donosiciel. Autorem sentencji jest August Heinrich Hoffmann von Fallersleben, a zarazem autor hymnu Niemiec.

340 Spółdzielnię postanowiono założyć na wspólnym zebraniu sadowników w 1935 r., rok później ustanowiono statut. Podhalańską Spółdzielnię Owocarską w Tymbarku udało się zarejestrować dopiero w 1937 r. Spowodowane to było nietypową działalnością spółdzielni. Statut spółdzielni wykraczał poza ramowy, wydany przez Związek Rewizyjny Spółdzielni. Spółdzielnia zamierzała obejmować działalnością handlową nie

tylko członków spółdzielni, ale osoby spoza niej. Spółdzielnia miała całkiem inny profil, niż istniejące dotychczas, miała wyraźny charakter społeczny. W czasie wojny spółdzielnia potrafiła rozwinąć swoją działalność, równocześnie zaopatrując Radę Główną Opiekuńczą w Krakowie i partyzantów w żywność, wysyłając paczki więźniom w Nowym Sączu i Auschwitz, dając fikcyjne zatrudnienie miejscowym i chroniąc ich przed wywózką na roboty przymusowe, oraz osobom ukrywającym się na terenie powiatu. S. Rękas, *Limanowszczyzna...*, s. 117–119, 176–177.

341 Jakub Pawłowski (1884–1959), działacz ludowy, legionista, długoletni parlamentarzysta trzech kadencji (1922–1935). Skończył studia inżynierskie na Wydziale Budownictwa Wodnego Politechniki Lwowskiej. W latach 1918–1919 komisarz Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Dobromilu, a następnie starosta w tym mieście. W latach 1920–1927 członek Tymczasowego Wydziału Samorządowego we Lwowie. Członek PSL „Piast", doprowadził m.in. do rozłamu w stronnictwie i wyodrębnienia się nowego Stronnictwa Chłopskiego. Świadek w procesie brzeskim W. Witosa. W latach 1931–1939 członek Stronnictwa Ludowego, w którym był wiceprzewodniczącym Zarządu Okręgu na Małopolskę. W czasie wojny ukrywał się m.in. w powiecie limanowskim. Po wojnie (1945–1946) prezes Zarządu Powiatowego PSL w Limanowej oraz członek Zarządu Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku (1945–1948).

342 Dr Józef Macko został zachęcony do przybycia do Tymbarku przez inż. Marka, gdzie objął kierownictwo spół-

dzielni podczas okupacji niemieckiej. Pozostawił interesującą pracę o historii spółdzielni.

343 Tuż po wojnie Spółdzielnia Owocarska w Tymbarku miała być ważnym elementem w aktywizacji nie tylko powiatu, ale ziem górskich w województwie krakowskim i rzeszowskim oraz na Ziemiach Odzyskanych. Jej program społeczno-gospodarczy wzbudził duże zainteresowanie. Wojewódzka Rada Narodowa w Krakowie zleciła Komisji Rolnej opracownaie planu aktywizacji ziem górskich na podstawie programu Spółdzielni. Plan Komisji Rolnej przygotowywała grupa ekspertów, złożona m.in. z inż. Marka, inż. Drożdża oraz dr. Józefa Macko. J. Marek wraz ze współpracownikami opracowywał dla Wojewódzkiej Komisji Planowania założenia planu sześcioletniego dla rejonów górskich i podgórskich w sprawach sadownictwa, przetwórstwa i przechowalnictwa owoców, pszczelarstwa oraz wykorzystania runa leśnego i ziół. Plan zawierał również pomysły związane z rozwojem turystyki, m. in. urządzeniem uzdrowisk w Szczawie i Porębie Wielkiej. Na jego wzór podobną koncepcję opracowało województwo rzeszowskie i zainteresowało się nim Ministerstwo Ziem Odzyskanych. Zaczęto też w Tymbarku organizować technikum handlu i przetwórstwa. W pierwszych latach powojennych Spółdzielnia wytwarzała marmolady, powidła, soki, syropy słodzone, miody pitne, płynne owoce i wina. Produkcja wina była wówczas największa w kraju, dzięki otrzymaniu z Niemiec dębowych kuf, jako rekompensaty za zrabowane podczas wojny wino. Spółdzielnią zaczęła się również interesować Centrala Ogrodnicza w Kra-

kowie, która w 1948 r. przejęła od niej formalnie dystrybucję towarów oraz hurtownie w Krakowie i Katowicach. Niedługo potem bezprawnie zmieniono Radę Nadzorczą Spółdzielni w Tymbarku, wprowadzając do niej nowych członków. Rada ta wybrała nowy Zarząd Spółdzielni, w którym inż. Marek został zmarginalizowany, a następnie sam zrezygnował. 1 grudnia 1949 r. Rada Nadzorcza Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku (nie informując o tym członków spółdzielni) przekazała cały majątek Centrali Ogrodniczej w Krakowie. 1 stycznia 1951 r. powstało w miejsce spółdzielni nowe przedsiębiorstwo państwowe – Podhalańskie Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego. Szkółki drzewek oddano dla PGR w Jodłowniku, a położone bliżej Nowego Sącza przekazano nowo powstałemu Instytutowi Sadownictwa w Brzeznej. S. Rękas, *Limanowszczyzna...*, s. 209–210.

344 Tamże, s. 237–238. Po odwilży 1956 r. zaproponowano inż. Markowi kandydowanie do Sejmu PRL. Po pewnych wahaniach zgodził się. Jako poseł podjął starania, w ramach sejmowej komisji rolnej, o reaktywowanie spółdzielni owocarskiej i zwrot jej majątku. Przedstawił ponadto Marszałkowi Sejmu memorandum, w którym opisał całokształt działalności spółdzielni, przebieg jej likwidacji i niewłaściwy sposób wywłaszczenia dorobku udziałowców. Nie udało się w pełni osiągnąć celu, tj. zwrócenia majątku spółdzielni jej właścicielom. Sejm ogłosił jednak uchwałę o restytuowaniu spółdzielni ogrodniczych i w maju 1957 r. Spółdzielnia Ogrodnicza wznowiła działalność. Jednak znacjonalizowanych zakładów w Tymbarku nie zwrócono, czę-

ściowo jedynie oddając udziały członków spółdzielni. Siedzibą reaktywowanej spółdzielni została Limanowa, a na jej potrzeby przeznaczono jako rekompensatę zabudowania po browarze Marsów.

345 Tamże, s. 209–212. Oprócz likwidacji spółdzielni ogrodniczej w Tymbarku doszło również do zamknięcia szkoły rolniczej w Łososinie Górnej, choć planowano tuż po wojnie dalszy rozwój szkoły. Dyrektor szkoły inż. Jan Drożdż wraz z dr. Macko i inż. Markiem opracował koncepcję rozwoju Gimazjum i Liceum Rolniczego w Łososinie Górnej. W 1948 r. skierowano do Ministerstwa Opieki Społecznej oraz Ministerstwa Przemysłu i Handlu wniosek o subwencję na budowę przechowalni i tłoczni owoców, budowę bocznicy kolejowej, elektryfikacji zabudowań szkoły i serowarni oraz całej wsi. Wniosek został poparty przez władze powiatowe. Szkoła miała ściśle współpracować ze Spółdzielnią Owocarską w Tymbarku. Subwencję przyznano, jednakże w tym czasie doszło do zmiany władz spółdzielni w Tymbarku, w której decydujący głos zaczęła mieć Centrala Ogrodnicza w Krakowie. Rozwój szkoły został uznany za konkurencję dla spółdzielni w Tymbarku. Nowe władze „owocarni", mając wpływ na sposób wydatkowania subwencji, chciały bardziej związać inwestycje z zakładem w Tymbarku. Spotkało się to z protestem inżynierów Marka i Drożdża, którzy zwracali uwagę, że idea rozbudowy szkoły w Łososinie Górnej była wspólnym projektem Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku, Wydziału Powiatowego w Limanowej i Państwa. Dochód z projektowanej przechowalni i tłoczni miał zapewnić dochód Wydziałowi Powia-

towemu i szkole, która wspomagała biedną młodzież szkolną. Równocześnie wszczęto dochodzenie przeciw dyrektorowi szkoły Drożdżowi, w sprawie rzekomej współpracy z Niemcami w czasie okupacji. Drożdż był w czasie okupacji członkiem Polskiego Komitetu Opiekuńczego w Limanowej Wsi, delegatury Rady Głównej Opiekuńczej w Krakowie. Ponieważ świadkowie zeznawali na korzyść dyrektora, Wydział Społeczno-Polityczny Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie przesłał sprawę do rozpatrzenia do starosty limanowskiego. Ten wskazał na rzekomy nieobiektywizm świadków, wniósł o utajnienie sprawy i przekazanie jej do Wojewodzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. Twórcę szkoły i inicjatora rozwoju kultury rolnej na Limanowszczyźnie zwolniono z pracy bez prawa do emerytury, szkołę zlikwidowano i wstrzymano inwestycje w Łososinie Górnej. Majątek szkoły przekazano w użytkowanie Wojewódzkiemu Wydziałowi Rolnictwa i Leśnictwa w Krakowie, a większą część majątku do Zjednoczenia Przemysłu Roszarniczego we Wrocławiu. Uczniowie kontynuowali naukę w nowo utworzonej szkole rolniczej, w byłym majątku Stadnickich w Nawojowej k.Nowego Sącza.

IV. Bibliografia

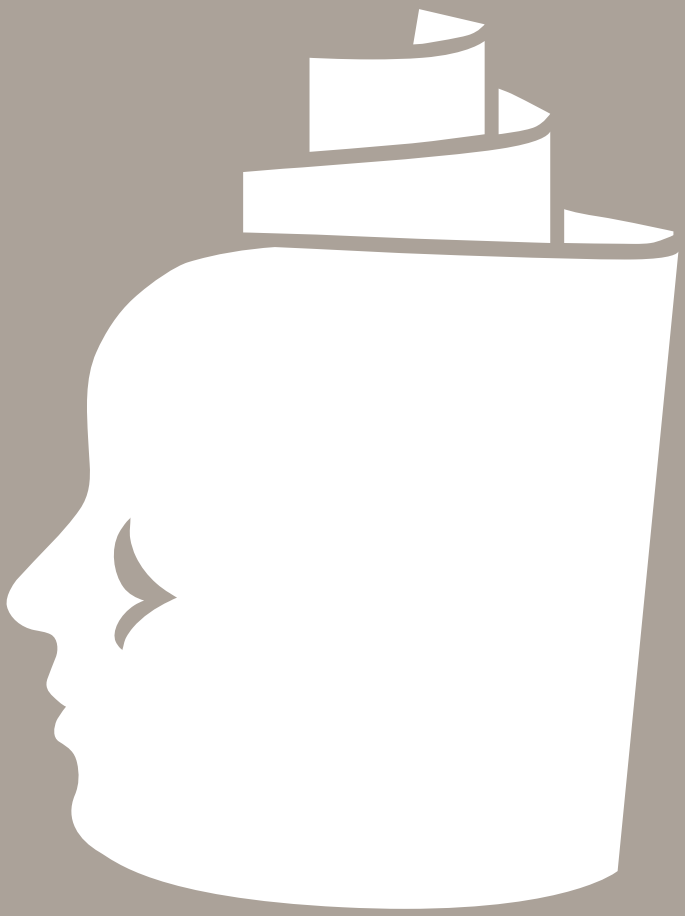

Dokumentacja z Archiwum Akt Nowych
Związek Powiatów Rzeczypospolitej Polskiej w Warszawie

Dokumentacja z Archiwum Narodowego w Krakowie
Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu
Urząd Wojewódzki Krakowski

Dokumentacja z Archiwum Narodowego w Krakowie
Oddział w Nowym Sączu
I Państwowe Gimnazjum i Liceum w Nowym Sączu
Sandecjana

Dokumentacja ze Szkoły Podstawowej w Pisarzowej
Kronika Szkoły Etatowej w Pisarzowej 1883–1990

Dokumentacja z Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie
Sprawa Obiektowa „Koło" – „wroga" działalność w kółkach rolniczych województwa krakowskiego. Charakterystyka grupy prawicy ludowej opozycji spoza ZSL

Drukowane źródła i pamiętniki
GAWRON Walenty, *Wspomnienia z limanowszczyzny*, Warszawa 1986.
Lista starszeństwa oficerów Legionów Polskich w dniu oddania Legionów Polskich Wojsku Polskiemu (12 kwietnia 1917 r.), Warszawa 1917.

MERWIN Bertold, *Legiony w Karpatach 1914*, Wiedeń 1915.
MERWIN Bertold, *Legiony w boju 1914–1915*, t. 1–2, Kraków 1916.
PANAŚ Józef, *My 11 Brygada*, Katowice 1929.
Szematyzmy Królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkim Księstwem Krakowskim z lat 1898–1913.

Opracowania

BATOR Juliusz, *Wojna Galicyjska. Działania armii austro-węgierskiej na froncie północnym w latach 1914–1915*, Kraków 2005.
CISEK Janusz, STEPAN Kamil, *Lista strat Legionów Polskich 1914–1918*, Kraków 2006.
CZEREP Stanisław, *11 Brygada Legionów Polskich*, Warszawa 2007.
FRĄCZEK Władysław, *Sławny chłopski ród Górszczyków*, „Wieści", 2001–2002, nr 13/14–78.
GÓRSZCZYK Antoni, *Historia wsi Pisarzowej-Męciny. Porównanie wsi królewskiej i szlacheckiej*, „Głos Podhala", 1937, nr 13–18, 20–22, 24–30, 37–38.
GÓRSZCZYK Antoni, *Pisarzowa w latach 1870–1880*, „Gazeta Podhalańska", 1932, nr 7–12, 14–18.
GRZEŚ Bolesław, *Związek Nauczycielstwa Polskiego – od korzeni po współczesność*, Warszawa 2000.
Historia Starego Sącza od czasów najdawniejszych do 1939 roku, red. H. Barycz, Kraków 1979.
JARZĄBEK Marcin, *Legioniści i inni. Pamięć zbiorowa weteranów 1 wojny światowej w Polsce i Czechosłowacji okresu międzywojennego*, Kraków 2017.
KOWALSKA Maria, *Sylwetki z regionu limanowskiego*, „Almanach Sądecki", 1995, nr 4, s. 12–14.

Limanowa. Dzieje miasta, *1565–1945*, t. 1, red. Feliks Kiryk, Kraków 1999.

MAGIERA Elżbieta, *Kursy nauczycielskie w Brodach (1929–1934)*, „Przegląd Historyczno-Oświatowy", 2015, nr 3–4.

MAWDSLEY Evan, *Wojna domowa w Rosji 1917–1920*, Warszawa 2004.

ORŁOWICZ Mieczysław, *Ilustrowany przewodnik po Galicyi, Bukowinie, Spiżu i Śląsku Cieszyńskim*, Lwów 1914.

PIPES Richard, *Rewolucja rosyjska*, Warszawa 2006.

RĘKAS Sylwester, *Limanowszczyzna „Dobrze rządzony powiat". Opracowanie monograficzne powiatu limanowskiego*, Limanowa 2014.

SZUL-SKJÖLDKRONA Bogusław Maria Aleksander, *Piosenki leguna tułacza*, Warszawa–Kraków 1919.

Strony internetowe

http://wykaz.muzeumpilsudski.pl/ – Wykaz Legionistów Polskich 1914–1918

v. Nota edytorska

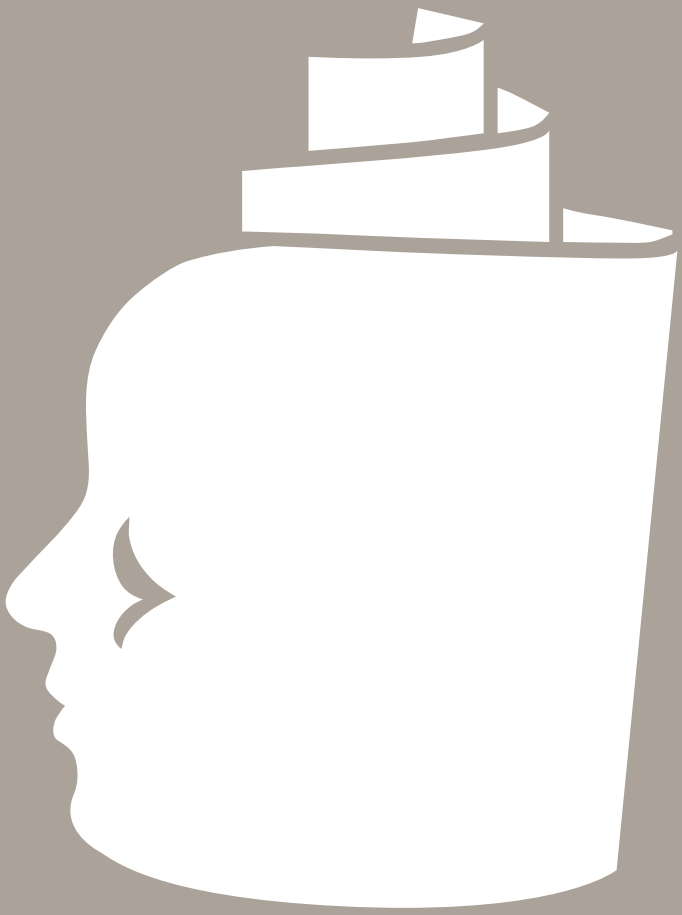

Podstawą opracowania wspomnień był maszynopis pamiętnika Antoniego Górszczyka, w całości przechowywany w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Wrocławiu (z dołączonymi wspomnieniami sadownika i dokumentami osobistymi autora). Przed przekazaniem tekst został przepisany na maszynie. Znajduje się on pod sygn. 15382/II i ma w sumie 256 stron. Fragment rękopisu poświęcony I wojnie znajduje się w Archiwum Narodowym w Krakowie Oddziale w Nowym Sączu, w Zbiorze Sandecjanów (31/190/43). Charakter pisma nie pozostawia wątpliwości, że jest to rękopis własnoręcznie sporządzony przez Antoniego Górszczyka.

Rozwinięto w pamiętniku liczne skróty wprowadzone przez autora, bez zaznaczania w tekście, które nie budziły wątpliwości ze względu na kontekst (np. gimnazjum – gimn., nauczycielski bądź nauczyciel – naucz., rosyjski – ros., austriacki – aust.). Poprawiono również skróty nazw organizacji, do przyjętej obecnie formy bez kropek (np. B.B.W.R. i O.Z.N na BBWR i OZN). Pozostawiono natomiast skróty stopni wojskowych i nazw poszczególnych jednostek wojskowych, wyjaśniając ich znaczenie, a także inicjały osób występujących we wspomnieniach, wprowadzając ewentualnie wyjaśnienia inicjału w postaci przypisu. Zapisane w formie skróconej nazwy miejscowości – również nie budzące wątpliwości – rozwinięto w nawiasie prostokątnym (np. N. Sącz, czy P. – rodzinna Pisarzowa). Pozostawiono wyrażenia gwarowe i archaiczne słownictwo, np. wskórzyć.

Autor był nauczycielem i napisał pamiętnik w lekkim i zgrabnym stylu. Za jego życia, w pierwszej połowie XX wieku, miało miejsce kilka reform języka polskiego i zdarza się, że używał archaicznych sformułowań oraz nieprawidłowej pisowni, wynikających również z gwarowych przyzwyczajeń (np. zamiast zaimka osobowego „mnie" autor konsekwentnie używał „mię"). Błędy ortograficzne poprawiono, jak chociażby błędnie zapisane obcojęzyczne słowo „gros" jako „gro" (franc. większa część, większość, wymawiane jako „gro") czy też skrót „tyś.", którego poprawna wersja to „tys.". Pominięto również wpisywane przez autora końcówki po cyfrach (np. 5-cio, 13-tej).

Pisane małą literą nazwy narodowości zostały poprawione według obowiązującej normy ortograficznej. Użycie małej litery na oznaczenie grup mniejszościowych było ongiś normą, np. żyd, cygan, i odnosiło się bardziej do wyznania, religii danej wspólnoty.

Wspomnienia Antoniego Górszczyka opatrzono bardzo licznymi przypisami, zdając sobie sprawę, że wykracza to ponad przyjętą praktykę w edycji źródeł. Uzasadnieniem dla takiego potraktowania tekstu wspomnień było przekonanie, że z racji swojej objętości, wartości literackiej, oraz lokalnego jak i ponadlokalnego wymiaru, znajdą czytelników nie tylko wśród pracowników naukowych. Opatrzenie wspomnień dokładniejszymi przypisami rzeczowymi spowodować ma większą czytelność tekstu dla szerszego grona odbiorców.

Opracowując przypisy, posiłkowano się różnymi materiałami archiwalnymi, przede wszystkim z zasobu Archiwum Narodowego w Krakowie. Szczególnie pomocny był „Wykaz legionistów", umieszczony na stronie internetowej

Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Ponadto wykorzystano liczne wydawnictwa, opracowania oraz serwisy internetowe.

Wydawnictwo zostało uzupełnione materiałem ilustracyjnym pochodzącym z zasobu Archiwum Narodowego w Krakowie, Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie, a także z archiwów rodzinnych autora pamiętnika (Elżbieta Górszczyk z Pisarzowej oraz Anna i Andrzej Madejowie z Krakowa).

Spis treści

I. Wstęp 5

Sylwester Rękas
Zarys biografii Antoniego Górszczyka 7

II. *O miłości Ojczyzny nie deklamowaliśmy...*
Wspomnienia Antoniego
Sejmeja Górszczyka 37

III. Przypisy rzeczowe 383

IV. Bibliografia 499

V. Nota edytorska 505

Czytając literaturę dokumentu osobistego wskrzeszamy historię widzianą jako współczesność: tak jak postrzegał ją człowiek tamtego czasu, a więc inaczej, niż my, współcześni, bo bez dystansu, bez wiedzy o konsekwencjach, do których zdarzenia dziejowe doprowadziły. Dokumenty te przypominają owady zatopione w bursztynie: są zatrzymanym, ocalonym głosem z przeszłości, dzięki któremu możemy poznać przeżycia tych, którzy już dawno zamilkli, wsłuchać się w ich wyznanie, poznać ich prawdę o trudzie istnienia.

Rada Naukowa o serii wydawniczej
WIELKA WOJNA – CODZIENNOŚĆ NIECODZIENNOŚCI

NACZELNA DYREKCJA
ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH